nexto.pl LEKTURY

KAROL MAY

WINNETOU

TOM 3

Karol May

WINNETOU

Tom I

Konwersja:

ROZDZIAŁ I

GREENHORN

Czy wiesz, Szanowny Czytelniku, co to jest greenhorn, określenie wysoce złośliwe i uchybiające? ”Green” znaczy ”zielony”, a ”horn” ”róg, rożek”. Greenhorn to ”zielony”, a więc niedojrzały, niedoświadczony człowiek, który musi ostrożnie wysuwać naprzód różki, jeśli się nie chce narazić na niebezpieczeństwo kpin, słowem - żółtodziób.

Greenhorn to człowiek, który nie wstaje z krzesła, gdy chce na nim usiąść lady, i pozdrawia pana domu, zanim się ukłoni paniom. Przy nabijaniu strzelby greenhorn wsuwa odwrotnie nabój do lufy albo wpycha najpierw pakuły, potem kulę, a dopiero na końcu proch. Greenhorn albo wcale nie mówi po angielsku, albo bardzo czysto i wyszukanie, a okropnością jest dlań angielski język Jankesów lub żargon myśliwski, który żadną miarą nie chce mu wleźć do głowy, a tym bardziej przejść przez gardło. Greenhorn uważa szopa za oposa, a średnio ładną Mulatkę za kwarteronkę. Greenhorn pali papierosy, a brzydzi się Anglikiem żującym tytoń. Greenhorn, otrzymawszy policzek od Paddy. leci ze skargą do sędziego pokoju zamiast, jak prawdziwy Jankes, ukarać napastnika na miejscu. Greenhorn bierze ślady dzikiego indyka za trop niedźwiedzi, a lekki sportowy jacht za parowiec z rzeki Missisipi Greenhorn wstydzi się położyć swoje brudne buty na kolanach towarzysza podróży, a gdy pije rosół, to nie chlipie jak konający bawół. Greenhorn wlecze z sobą na prerię gąbkę do mycia wielkości dyni i dziesięć funtów mydła, zabiera w dodatku kompas, który już na trzeci dzień wskazuje wszystkie możliwe kierunki z wyjątkiem

północy. Greenhorn zapisuje sobie osiemset indiańskich wyrazów, a spotkawszy się z pierwszym czerwonoskórym, przekonuje się, że zapiski te wysłał w ostatniej kopercie do domu, a list schował do kieszeni. Greenhorn kupuje proch, a kiedy ma wystrzelić, spostrzega, że sprzedano mu mielony węgiel. Greenhorn uczył się przez dziesięć lat astronomii, ale choćby równie długo patrzył w niebo, nie poznałby, która godzina. Greenhorn wtyka nóż za pas w ten sposób, że kaleczy się w udo, gdy się pochyli. Greenhorn roznieca na Dzikim Zachodzie tak duże ognisko, że płomień bucha na wysokość drzewa, a gdy go Indianie zauważą, dziwi się, że mogli go znaleźć. Greenhorn to właśnie greenhorn. Ja sam byłem greenhornem.

Nie należy jednak sądzić, że przyznawałem się wówczas, iż to przykre określenie pasuje do mnie Żadną miarą! Najwybitniejszą cechą greenhorna jest właśnie to, że uważa za ”zielonych” raczej wszystkich innych, ale nigdy samego siebie.

Przeciwnie, zdawało mi się, że jestem rozsądnym i doświadczonym człowiekiem; wszak otrzymałem wyższe wykształcenie i nigdy się nie bałem egzaminu! Będąc młodym nie zastanawiałem się wówczas nad tym, że dopiero życie jest właściwym i prawdziwym uniwersytetem, w którym uczniowie są pytani co dzień i co godzina. Wrodzona żądza czynu i pragnienie zapewnienia sobie dobrobytu zapędziły mnie za ocean do Stanów Zjednoczonych, gdzie warunki bytu były wówczas dla młodego i zapobiegliwego człowieka daleko lepsze niż teraz. Mogłem znaleźć dobre utrzymanie w państwach wschodnich. ale coś pędziło mnie na Zachód. Podejmując się różnej pracy, zarabiałem tyle, że przybyłem do St. Louis dobrze wyposażony i pełen najlepszych myśli. Tam zawiódł mnie los do pewnej rodziny, u której znalazłem chwilowe schronienie jako nauczyciel domowy. Bywał tam mr. Henry, oryginał i rusznikarz, który oddawał się swemu rzemiosłu z zamiłowaniem artysty, a siebie nazywał z patriarchalną dumą ”zbrojmistrzem”.

Był to człowiek odznaczający się życzliwością dla bliźnich, pomimo że na to nie wyglądał, gdyż prócz wspomnianej rodziny nie utrzymywał z nikim stosunków, a że swoimi klientami obchodził się tak szorstko, że nie omijali oni jego sklepu tylko dla wysokiej wartości towaru- Mr. Henry stracił żonę i dzieci wskutek jakiegoś okropnego wypadku. Nie mówił o tym nigdy, ale domyśliłem się z niektórych wzmianek, że wymordowano ich podczas jakiegoś napadu. Ten straszny cios, spowodował zapewne szorstkość jego obejścia. On sam może nawet nie wiedział, jak bardzo bywał grubiański, w głębi duszy jednak pozostał łagodny i dobrotliwy. Nieraz widziałem, jak oczy mu zachodziły łzami, ilekroć opowiadałem o ojczyźnie i moich rodakach, do których byłem i jestem przywiązany całym sercem.

Nie mogłem długi czas zrozumieć, dlaczego ten stary człowiek właśnie mnie, młodemu i obcemu, okazywał tyle przychylności, aż raz sam mi to powiedział. Przychodził do mnie często, przysłuchiwał się udzielanym przeze mnie lekcjom, a po ich zakończeniu zabierał mnie z sobą na miasto. Raz nawet zaprosił mnie do siebie w gościnę. Tego rodzaju wyróżnienie nikogo jeszcze z jego strony nie spotkało, dlatego wahałem się, czy mam skorzystać z zaproszenia. Ale moje ociąganie nie podobało mu się widocznie. Dziś jeszcze przypominam sobie wściekłą minę, jaką zrobił, gdy wreszcie przyszedłem do niego, i ton, z jakim mnie przyjął nie odpowiadając na moje powitanie.

- Gdzieżeście to siedzieli wczoraj, sir?

- W domu.

- A przedwczoraj?

- Także w domu.

- Nie zawracajcie mi głowy!

- Mówię prawdę, mr. Henry!

- Pshaw! Takie żółtodzióby, jak wy, nie siedzą w gnieździe, ale wciskają się wszędzie, gdzie mogą, tylko nie tam, gdzie powinny.

- Powiedzcież łaskawie, gdzież to powinienem być.

- Tu, u mnie. Zrozumiano? Już dawno chciałem was o coś zapytać.

- Czemuż tego nie uczyniliście?

- Bo mi się nie chciało. Rozumiecie?

- A kiedy wam się zechce?

- Może dzisiaj.

- A więc pytajcie śmiało - wezwałem go, siadając wysoko na warsztacie, przy którym pracował. Spojrzał mi w twarz zdziwiony, potrząsnął karcąco głową i zawołał:

- Śmiało! Jak gdybym takiego greenhorna, jak wy, miał dopiero pytać o pozwolenie, czy mogę z nim mówić!

- Greenhorna? - odrzekłem marszcząc czoło, gdyż poczułem się dotknięty. - Przypuszczam, mr. Henry, że wam się to słowo wyrwało mimo woli.

- Nie wyobrażajcie sobie za wiele! Powiedziałem to z pełnym rozmysłem. Jesteście greenhorn, i to jaki jeszcze! Treść przeczytanych książek dobrze wam siedzi w głowie; to prawda. To wprost zdumiewające, ile wy się tam u was musicie uczyć! Ten młodzieniec wie dokładnie, jak daleko znajdują się gwiazdy, co król Nabuchodonozor pisał na cegłach, ile waży powietrze, którego nawet nie widział. Pełen takiej wiedzy wyobraża sobie, że jest mędrcem. Ale wsadźcie nos w życie, rozumiecie, pożyjcie z pięćdziesiąt lat, wówczas dowiecie, się może, na czym polega właściwa mądrość! Wasze dotychczasowe wiadomości są niczym, wprost zerem, a ta, co potraficie, ma jeszcze mniejszą wartość. Wy z pewnością nie umiecie nawet strzelać!

Powiedział to z wielką pogardą i tak stanowczo, jak gdyby był pewny swej słuszności.

- Strzelać? Hm! - odparłem z uśmiechem. - Czy to pytanie chcieliście mi zadać?

- Tak. Teraz odpowiedzcie!

- Dajcie mi dobrą strzelbę do ręki, a dostaniecie odpowiedź.

Na te słowa odłożył lufę, którą gwintował, wstał, zbliżył się do mnie, utkwił we mnie zdziwione oczy i zawołał:

- Strzelbę do ręki, sir? Tego się po mnie nie spodziewajcie! Moje strzelby dostają się tylko w takie ręce, którym razem z nimi mogę powierzyć mój honor!

- Ja mam właśnie takie ręce - stwierdziłem. Spojrzał na mnie tym razem z boku, usiadł, zaczął znowu pracować nad lufą, mrucząc pod nosem:

- Taki greenhorn! Gotów mnie naprawdę rozzłościć swoim zuchwalstwem! Nie przejmowałem się tym, ponieważ go znałem. Wyjąłem cygaro i zapaliłem. Mój gospodarz milczał może kwadrans, ale dłużej nie wytrzymał. Podniósł lufę pod światło, popatrzył przez nią i zauważył:

- Strzelać to nie to samo, co patrzeć na gwiazdy lub odczytywać napisy ze starych cegieł Nabuchodonozora. Zrozumiano? Czy mieliście kiedy strzelbę w ręku?

- Miałem.

- Kiedy?

- Dość dawno.

- A czyście mierzyli i wypalili kiedykolwiek?

- Tak.

- I trafiliście?

- Oczywiście.

Na to on opuścił prędko trzymaną w ręku lufę, spojrzał znów na mnie i rzekł:

- Tak, trafiliście, naturalnie, ale w co?

- W cel, to się samo przez się rozumie.

- Co? Tego we mnie nie wmawiajcie!

- Nie wmawiam, lecz stwierdzam zgodnie z prawdą.

--Niech was diabeł porwie, sir! Was nie można zrozumieć. Jestem pewien, że chybiliście, choćbyście strzelali w mur na dwadzieścia łokci wysoki i pięćdziesiąt długi, a robicie przy tym twierdzeniu minę tak poważną i pewną siebie, że żółć człowieka zalewa. Ja nie jestem chłopakiem, któremu udzielacie lekcji, rozumiecie! Taki greenhorn i mól książkowy, jak wy, chce umieć strzelać! Grzebał nawet w tureckich, arabskich i innych głupich szpargałach i znalazł przy tym czas na strzelanie! Zdejmijcie tę starą flintę z gwoździa i złóżcie się jak do strzału.

To rusznica na niedźwiedzie, najlepsza ze wszystkich, jakie miałem w rękach! Poszedłem za jego wezwaniem.

- Halo! - zawołał zrywając się. - A to co? Obchodzicie się z tą strzelbą jak z laseczką, a to najcięższa rusznica, jaką znam. Tacy jesteście silni?

Zamiast odpowiedzi chwyciłem go z dołu za kamizelkę i sprzączkę od spodni i podniosłem prawą rękę do góry.

- Do pioruna! - krzyknął. - Puśćcie! Jesteście o wiele silniejsi od mego Billa.

- Waszego Billa? Kto to?

- To był mój syn, który... ale dajmy temu spokój! Nie żyje, tak jak i reszta. Rósł na dzielnego chłopa, ale sprzątnięto go razem z innymi w czasie mej nieobecności. Podobni jesteście do niego z postaci, macie prawie takie same oczy, ten sam układ ust i dlatego was... ale to was przecież nic nie obchodzi!

Twarz jego nabrała wyrazu głębokiego smutku; przesunął po niej ręką i rzekł weselej:

- Wielka szkoda, że mając tak silne muskuły, pogrążyliście się w książkach. Powinniście byli ćwiczyć się fizycznie!

- Robiłem to.

- Rzeczywiście?

- Tak.

- Boksujecie się?

- Tam u nas nie jest to w zwyczaju. Ale gimnastykuję się i mocuję.

- Jeździcie konno?

- Tak.

- A w szermierce?

- Udzielałem lekcji.

- Człowiecze, nie blaguj?

- Może spróbujemy?

- Dziękuję, mam dość tego, co było! Muszę zresztą pracować. Usiądźcie z powrotem!

Wrócił do warsztatu, a ja za nim. Rozmowa stała się skąpa, Henry zajęty był widocznie jakimiś myślami. Naraz podniósł oczy znad roboty i zapytał:

- Czy zajmowaliście się matematyką?
- To jedna z moich ulubionych nauk.
- Arytmetyką, geometrią?
- Oczywiście.
- I miernictwem?
- Nawet z wielkim upodobaniem. Uganiałem często bez potrzeby z teodolitem po polach.
- Potraficie robić pomiary naprawdę?
- Tak, brałem udział w pomiarach poziomych i pomiarach wysokości, chociaż wcale nie uważam się za skończonego geodetę.
- Well, dobrze, bardzo dobrze!
- Czemu o to pytacie, mr. Henry?
- Mam widocznie powód. Zrozumiano? Jaki, to się jeszcze kiedyś okaże. Muszę najpierw wiedzieć, hm, tak, muszę najpierw wiedzieć, czy umiecie strzelać.
- Wystawcie mnie na próbę!
- Zrobię to, tak, zrobię, bądźcie tego pewni. O której godzinie rozpoczynacie jutro naukę?
- O ósmej rano.
- To wstąpcie do mnie o szóstej. Pójdziemy na strzelnicę, gdzie wypróbowuję moje strzelby.
- Czemu tak wcześnie?
- Bo nie chce mi się dłużej czekać. Zawziąłem się, żeby was przekonać, jaki z was greenhorn. No teraz dość już; mam coś o wiele ważniejszego do roboty. Uporał się widocznie z lufą, bo wyjął z szafy wieloboczny kawałek żelaza i zaczął opiłowywać jego rogi. Zauważyłem na powierzchni każdego rogu otwór. Henry pracował nad tym z taką uwagą, że zapomniał prawie zupełnie o mojej obecności. Oczy mu się iskrzyły, gdy od czasu do czasu przypatrywał się swojemu dziełu; biła z nich, rzekłbym, miłość. Ten kawałek żelaza miał widocznie dla niego wielką wartość. Ponieważ zaciekawiło mnie to, zapytałem:
- Czy to będzie część strzelby?
- Tak - odrzekł, jak gdyby sobie przypomniał, że jeszcze jestem.

- Nie znam systemu broni z tego rodzaju częścią składową.

- Wierzę. Taki ma dopiero powstać. Będzie to system Henry'ego.

- Aha, nowy wynalazek?

- Tak.

- W takim razie proszę wybaczyć, że zapytałem! To oczywiście tajemnica.

Zaglądał do wszystkich dziurek przez dłuższy czas, obracał to żelazo w różnych kierunkach, przykładał je kilka razy do tylnego wylotu lufy; na koniec odezwał się:

- Tak, to tajemnica; wiem jednak, że umiecie milczeć, chociaż z was skończony i prawdziwy greenhorn; dlatego powiem wam, co z tego będzie: sztucer wielostrzałowy na dwadzieścia pięć strzałów.

- Niemożliwe!

- Co wy tam wiecie! Nie jestem tak głupi, żebym się porywał na rzeczy niemożliwe.

- W takim razie musielibyście mieć komory na amunicję dla dwudziestu pięciu strzałów!

- Toteż je mam!

- Ale niewątpliwie duże, niezgrabne i ciężkie.

- Będzie tylko jedna komora, bardzo wygodna. To żelazo jest komorą.

- Być może, iż nie rozumiem się na waszym rzemiośle, ale obawiam się, czy się lufa zanadto nie rozgrzeje.

- Ani jej się śni. Materiał i sposób obchodzenia się z lufą jest moją tajemnicą. Zresztą, czy trzeba wystrzelić od razu dwadzieścia pięć nabojów, jeden za drugim?

- Chyba nie.

- A zatem! To żelazo będzie obracającym się walcem, a dwadzieścia pięć otworów zawierać będzie tyleż nabojów. Przy każdym strzale walec posunie następny nabój ku lufie. Długie lata nosiłem się z tym pomysłem, długo nic mi się nie udawało; teraz jest nadzieja, że się to jakoś sklei. Już obecnie jako rusznikarz mam dobre imię, ale potem stanę się sławny, bardzo sławny i zarobię dużo pieniędzy.

- A w dodatku obciążycie swoje sumienie! Patrzył na mnie przez chwilę zdumiony, po czym zapytał:

- Sumienie? Jak to?

- Sądzicie, że morderca może mieć czyste sumienie?

- Rany boskie! Czy chcecie powiedzieć, że jestem mordercą?

- Teraz jeszcze nie.

- Albo że nim zostanę?

- Tak, gdyż pomoc w morderstwie jest taką samą zbrodnią jak morderstwo.

- Niech was diabli porwą! Nie będę pomagał w żadnym morderstwie! Co wy wygadujecie?

- Oczywiście nie w pojedynczym, ale masowym.

- Jak to? Nie rozumiem was.

- Jeżeli sporządzicie strzelbę na dwadzieścia pięć strzałów i oddacie ją w ręce pierwszego lepszego łotra, to na preriach, w puszczach i w górskich wąwozach rozpocznie się wnet okropna rzeź. Do biednych Indian strzelać będą jak do kujotów i za kilka lat nie ostanie się ani jeden czerwonoskóry. Gotowi Jesteście wziąć to na swoje sumienie?

Patrzył na mnie w milczeniu.

- Jeżeli każdy będzie mógł za pieniądze nabyć taką strzelbę - mówiłem dalej - to zbierzecie wprawdzie po kilku latach tysiące, ale mustangi i bawoły będą doszczętnie wytępione, a wraz z nimi wszelkiego rodzaju zwierzyna, której mięso potrzebne jest czerwonoskórym do życia. Setki i tysiące zabijaków uzbroją się w wasze sztucery i pójdą na Zachód. Krew ludzi i zwierząt popłynie strumieniami i niebawem okolice z tej i z tamtej strony Gór Skalistych opustoszeją z wszelkich żywych istot.

- Przekleństwo! - zawołał. - Czy rzeczywiście przybyliście tu niedawno z Europy?

- Tak.

- A przedtem nigdy nie byliście tutaj?

- Nie.

- A więc i na Dzikim Zachodzie?

- Także nie.

- A zatem zupełny greenhorn. Mimo to gada tak, jak gdyby był pradziadkiem wszystkich Indian i żył już tutaj od stu lat ! Człowieku, nie wyobrażajcie sobie, że napędzicie mi stracha! A gdyby nawet było tak, jak przedstawiacie, to wiedzcie, że wcale nie zamierzam zakładać fabryki broni. Jestem człowiek samotny i chcę samotnym pozostać. Nie mam ochoty ujadać się ze stu lub więcej robotnikami.

- Moglibyście uzyskać patent na swój wynalazek, sprzedać go i dużo na tym zarobić.

- O to się nie troszczcie, sir! Dotychczas miałem dość na swoje potrzeby; spodziewam się, że i nadal biedy nie zaznam. Teraz zabierajcie się do domu! Nie będę dłużej słuchał pisku ptaszka, który musi najpierw wylecieć z gniazda, zanim się nauczy śpiewać.

Nie obraziłem się za te szorstkie słowa. Taka była jego natura, me wątpiłem ani na chwilę, że dobrze mi życzył. Polubił mnie i chciał z pewnością pomagać mi, jak mógł, pod każdym względem. Podawszy mu na pożegnanie rękę, którą on silnie potrząsnął, odszedłem. Nie przeczuwałem, jak ważny miał się stać dla mnie ów wieczór, a tym mniej, że ciężka rusznica, którą Henry nazwał ”starą flintą”, oraz niegotowy jeszcze sztucer odegrają w mym przyszłym życiu tak wielką rolę. Cieszyłem się jednak myślą o następnym poranku, gdyż strzelałem już rzeczywiście dużo i dobrze i byłem pewien, że popiszę się przed moim osobliwym starym przyjacielem.

Stawiłem się u niego punktualnie o godzinie szóstej rano. Czekał już na mnie, przywitał się ze mną, a po jego surowej, lecz poczciwej twarzy przebiegł lekki, jakby drwiący uśmiech.

- Witam, sir! - rzekł. - Macie minę zwycięzcy. Czy zdaje wam się, że traficie w mur, o którym wczoraj mówiłem?

- Spodziewam się.

- Well, zaraz spróbujemy. Ja wezmę lżejszą strzelbę, a wy poniesiecie rusznicę, bo nie chce mi się taszczyć takiego ciężaru.

Henry przewiesił sobie przez plecy lekką dwururkę, a ja wziąłem ”starą flintę”. Gdyśmy przybyli na strzelnicę, nabił

obydwie strzelby i oddał najpierw dwa strzały ze swojej. Potem przyszła kolej na mnie. Nie znałem jeszcze tej rusznicy, trafiłem mimo to pierwszy raz w samą krawędź czarnego koła na tarczy. Drugi raz powiodło mi się jeszcze lepiej, trzeci strzał padł już dokładnie w sam środek, a wszystkie następne kule przeleciały przez dziurę wybitą za trzecim razem.

Zdumienie Henry'ego wzmagało się za każdym strzałem; musiałem wypróbować i jego dwururkę, a gdy i tym razem osiągnąłem równie pomyślny wynik, zawołał:

- Albo macie diabła w sobie, sir, albo jesteście wprost urodzeni na westmana. Nie widziałem jeszcze tak strzelającego greenhorna!

- Diabła nie mam, mr. Henry - zaśmiałem się. - I nie chcę nic wiedzieć o takim przymierzu.

- W takim razie waszym zadaniem, a nawet powinnością jest zostać westmanem. Czy nie czujecie do tego ochoty?

- Owszem!

- Well, zobaczymy, co się da zrobić z greenhorna. A konno umiecie także jeździć?

- Od biedy.

- Od biedy? A więc nie tak dobrze jak strzelać?

- Pshaw! Jeździć konno to żadna sztuka! Najtrudniej dosiąść konia. Gdy się już znajdę w siodle, zrzucić się nie dam.

Spojrzał na mnie badawczo, czy mówię poważnie, czy żartem. Zrobiłem minę, jak gdybym się nie domyślał niczego, a on zauważył:

- Tak rzeczywiście sądzicie? Chcecie zapewne trzymać się grzywy? W takim razie jesteście w błędzie. Sami przyznaliście, że najtrudniej dostać się na siodło, bo to trzeba wykonać o własnych siłach. Zsiąść o wiele łatwiej, gdyż o to już koń się stara, i to bardzo prędko.

- U mnie koń się o to nie postara!

- Tak? Zobaczymy! Może spróbujecie?

- Chętnie.

- To chodźcie! Dopiero siódma, macie jeszcze dość czasu. Pójdziemy do Jima Cornera, który odnajmuje konie. Ma on

deresza, który się już o to dla was postara.

Wróciliśmy do miasta, odszukaliśmy handlarza koni, który posiadał dużą ujeżdżalnię, otoczoną stajniami. Corner wyszedł sam i zapytał, czego żądamy.

- Ten młodzieniec twierdzi, że żaden koń nie zrzuci go z siodła - odpowiedział Henry. - Cóż wy na to, mr. Corner? Pozwolicie mu się wdrapać na waszego deresza?

Handlarz zmierzył mnie badawczym wzrokiem, potem potrząsnął głową i odrzekł: - Kościec zdaje się dobry i giętki; zresztą młodzi ludzie nie łamią karku tak łatwo jak starsi. Jeżeli ten dżentelmen chce spróbować deresza, to nie mam nic przeciwko temu.

Wydał odpowiednie rozkazy i niebawem dwaj stajenni wyprowadzili ze stajni osiodłanego konia. Był bardzo niespokojny i usiłował się wyrwać. Stary mr. Henry zląkł się o mnie i prosił, żebym zaniechał próby, ale ja się po pierwsze, nie bałem, a po drugie, uważałem tę sprawę za rzecz honoru. Kazałem sobie podać bicz i przypiąć ostrogi i po kilku daremnych próbach, przeciwko którym koń bronił się jak mógł, znalazłem się na siodle.

W tym samym momencie stajenni odskoczyli czym prędzej, a deresz zrobił skok wszystkimi czterema nogami w górę, a potem drugi w bok. Utrzymałem się na siodle, chociaż nie miałem jeszcze nóg w strzemionach. Spieszyłem się, by je prędko założyć. Zaledwie się to stało, koń zaczął wierzgać, a gdy nic tym nie wskórał, przycisnął się do ściany, aby mnie o nią zsunąć, ale mój bicz odpędził go wkrótce od niej. Nastąpiła ciężka i niebezpieczna dla jeźdźca walka z koniem. Wytężyłem całą moją zręczność i niedostateczną wówczas jeszcze wprawę oraz całą siłę nóg; to wszystko razem przyniosło mi w końcu zwycięstwo. Gdy zsiadłem, nogi mi drżały ze zmęczenia, ale koń ociekał potem i bryzgał dużymi, ciężkimi płatami piany. Był teraz posłuszny na każde poruszenie ostrogi lub cugli. Handlarz zląkł się o konia, kazał owinąć go kocem i przeprowadzać zwolna po dziedzińcu; potem zwrócił się do mnie:

- Nigdy bym tego nie przypuścił, młodzieńcze; sądziłem, że będziecie leżeli po pierwszym skoku. Nie zapłacicie oczywiście nic, a jeżeli chcecie mi sprawić przyjemność, to przyjdźcie jeszcze i nauczcie tę bestię rozumu. Nie idzie mi w tym wypadku o jakich dziesięć dolarów, ale o wiele więcej, bo to nie jest koń tani, gdy więc się stanie posłuszny, wtedy ja na tym dużo zyskam.

- Jeśli sobie życzycie, to jestem gotów wyświadczyć wam tę grzeczność.

Henry nie odezwał się ani słowem od czasu, kiedy zsiadłem; przypatrywał mi się tylko, kiwając głową. Naraz klasnął w ręce i zawołał:

- Ten greenhorn, to istotnie nadzwyczajny albo raczej niezwykły greenhorn! Mało nie zdusił na śmierć tego konia, zamiast dać się rzucić na piasek. Kto was tego nauczył, sir?

- Przypadek. Swojego czasu dostał się w moje ręce półdziki ogier z puszty węgierskiej, który nie pozwalał nikomu wsiąść na siebie. Powoli i dzięki wytrwałości opanowałem go, choć wprost z narażeniem życia.

- Dziękuję za takie bestie! Wolę mój stary fotel, który się nie sprzeciwia, gdy na nim siadam. Chodźmy, dostałem zawrotu głowy! Ale nie na darmo widziałem, jak strzelacie i jeździcie na koniu. Możecie mi wierzyć.

Poszliśmy do domu; on do siebie, a ja do mego mieszkania. Henry nie pokazał się tego dnia ani w ciągu dwóch następnych, a ja także nie miałem sposobności udać się do niego. Ale na trzeci dzień zajrzał do mnie po południu, wiedząc, że jestem wolny.

- Czy macie ochotę przejść się ze mną? - zapytał.

- A dokąd?

- Do pewnego dżentelmena, który chciałby was poznać.

- Dlaczego mnie?

- Proszę sobie wyobrazić: nie widział jeszcze nigdy greenhorna.

- Dobrze. Pójdę i zaznajomię się z nim.

Henry miał dziś tak filuterną i przedsiębiorczą minę jak jeszcze nigdy. Jego zachowanie kazało mi się domyślać, że przygotowuje jakąś niespodziankę. Przeszliśmy przez kilka ulic i wstąpiliśmy do jakiegoś biura z szerokimi, szklanymi drzwiami od ulicy. Henry wpadł tam tak prędko, że nie zdążyłem dokładnie przeczytać złotych liter na szybach, zdawało mi się jednak, że zobaczyłem słowa; ”Office” i ”surveying”. Okazało się też niebawem, że się nie pomyliłem.

Siedzieli tam trzej panowie, którzy bardzo serdecznie przywitali się z Henrym, a ze mną uprzejmie i z nie ukrywaną ciekawością. Na stołach leżały mapy i plany, a wśród nich rozmaite przyrządy miernicze. Byliśmy w biurze geodetycznym. Celu tych odwiedzin nie znałem. Henry nie przyszedł ani z zamówieniem, ani po informację, tylko jakby na przyjacielską pogawędkę, która się też bardzo szybko nawiązała i zeszła na znajdujące się tu przedmioty. Ucieszyłem się nawet tym, gdyż mogłem wziąć w niej większy udział, niż gdyby mówiono o sprawach amerykańskich, których jeszcze dobrze nie znałem.

Henry interesował się widocznie bardzo miernictwem. Chciał wiedzieć wszystko i tak mnie powoli wciągnął w rozmowę, że w końcu sam odpowiadałem na rozmaite jego pytania, objaśniałem zastosowanie różnych przyrządów; pokazywałem, jak się rysuje mapy i plany. Był ze mnie istotnie tęgi greenhorn, gdyż nie odgadłem ich zamiaru. Uderzyło mnie coś dopiero, gdy zauważyłem, że ci panowie dają rusznikarzowi tajemne znaki. Wstałem z krzesła, chcąc niejako zwrócić uwagę Henry'emu, że życzę sobie już wyjść. On się nie sprzeciwił, wobec czego wyszliśmy pożegnani jeszcze przyjaźniej, niż byliśmy przyjęci.

Gdy znaleźliśmy się w takiej odległości od biura, że nie można nas już było stamtąd dojrzeć, Henry zatrzymał się, położył mi rękę na ramieniu i rzekł promieniejąc zadowoleniem:

- Sir, człowieku, młodzieńcze, greenhornie, ależ zrobiliście mi przyjemność! Jestem wprost dumny z was!

- Czemu?

- Bo przewyższyliście nawet moją rekomendację i oczekiwania tych panów!

- Rekomendację, oczekiwania? Nie rozumiem.

- Bo to wcale niepotrzebne. Sprawa jest bardzo prosta. Twierdziliście niedawno, że znacie się na miernictwie. Aby się przekonać, czy to nie blaga, zaprowadziłem was do tych dżentelmenów, a moich dobrych znajomych, aby was wypróbowali. Okazało się, że wszystko w porządku, i wyszliście z honorem.

- Blaga? Mr. Henry, jeśli uważacie mnie za zdolnego do blagi, to już więcej nigdy was nie odwiedzę!

- Nie bądźcie śmieszni! Nie odbierzecie chyba staremu przyjemności oglądania was. Wspominałem już wam dlaczego: z powodu podobieństwa do mego syna! Byliście jeszcze kiedy u handlarza koni?

- Codziennie rano.

- I jeździliście na dereszu?

- Tak.

- Będzie co z tego konia?

- Tak sądzę, ale wątpię, czy ktoś, kto go kupi, da sobie z nim radę. Przyzwyczaił się do mnie i zrzuci każdego innego.

- Cieszy mnie to, bardzo mnie to cieszy; koń chce widocznie nosić na swym grzbiecie tylko greenhornów. Chodźcie no przez tę boczną uliczkę. Znam tu doskonałą restaurację, gdzie się bardzo dobrze jada, a jeszcze lepiej pije. Musimy uczcić egzamin, który zdaliście dziś na celująco.

Nie mogłem pojąć Henry'ego; zdawało się, że się odmienił. Ten powściągliwy odludek chciał jeść w restauracji! Twarz jego przybrała inny wyraz niż zwykle, głos brzmiał jaśniej i weselej niż kiedykolwiek. Mówił coś o egzaminie. Zastanowiło mnie to słowo, choć w tym wypadku mogło być bez wszelkiego znaczenia.

Od tego dnia Henry odwiedzał mnie codziennie i obchodził się ze mną jak z kochanym przyjacielem, którego się ma wkrótce utracić. Nie pozwolił jednak na to, żebym urósł w dumę z powodu tego wyróżnienia; miał zawsze tłumik w

postaci fatalnego słowa ”greenhorn”. W tym samym czasie zmienił się także wobec mnie stosunek rodziny, u której pracowałem. Rodzice więcej się mną zajmowali, a dzieci okazywały więcej przywiązania. Nieraz przyłapywałem je na tajemnych spojrzeniach w moją stronę, których nie mogłem zrozumieć; spojrzenia te stały się serdeczne i wyrażały coś jakby ukryty żal. Może w trzy tygodnie po naszej osobliwej wizycie w owym biurze, lady poprosiła mnie pewnego dnia, żebym wieczorem nie wychodził, lecz został na kolacji wraz z jej rodziną, podając za powód tę okoliczność, że przybędzie Henry oraz dwu dżentelmenów, z których jeden, niejaki Sam Hawkens, jest słynnym westmanem. Jako greenhorn, nie słyszałem oczywiście nic o tym nazwisku, ale ucieszyłem się ze sposobności poznania prawdziwego, i to tak znakomitego westmana.

Jako domownik, nie czekałem, aż wybije oznaczona godzina, lecz stawiłem się o kilka minut wcześniej w sali jadalnej. Ku memu zdziwieniu ujrzałem nie zwyczajne, lecz wspaniałe nakrycie jak do jakiejś uczty. Mała, pięcioletnia Emmy była sama w pokoju i wsadziła właśnie palec do kompotu. Wyjęła go, skoro tylko wszedłem, i otarła szybko w swoją jasną czuprynkę. Gdy jej pogroziłem palcem, przyskoczyła do mnie i szepnęła kilka słów do ucha. Aby naprawić swój błąd, zdradziła mi tajemnicę ostatnich dni, która wprost rozsadzała jej serduszko. Zdawało mi się, że ją fałszywie rozumiem. Zapytałem ją jeszcze raz, a ona powtórzyła z radością te same słowa: ”To uczta pożegnalna dla pana”.

Moja uczta pożegnalna! Czyż to było możliwe? Nie. Z pewnością dziecko tak sobie uroiło. Toteż uśmiechnąłem się tylko. W chwilę potem usłyszałem głosy w pierwszym pokoju; nadchodzili goście, wyszedłem więc naprzeciw, by ich powitać.

Wszyscy trzej przybyli istotnie o umówionej porze. Henry przedstawił mi trochę tępo i niezgrabnie wyglądającego młodzieńca, mr. Blacka, a następnie westmana Sama Hawkensa. Westmana! Przyznaję otwarcie, że nie wyglądałem chyba zbyt mądrze, kiedy spoczęło na nim moje zdziwione

spojrzenie. Takiej postaci nie widziałem nigdy przedtem; później oczywiście poznałem inne jeszcze dziwniejsze. Ten człowiek i tak już osobliwy potęgował jeszcze to wrażenie tym, że stał tu, w wytwornym salonie, zupełnie tak, jakby przybył prosto z puszczy - z kapeluszem na głowie i strzelbą w ręku! Zewnętrzny jego wygląd przedstawiał się tak: Spod smętnie obwisłych kres pilśniowego kapelusza, którego barwy, wieku i kształtu najbystrzejszy myśliwiec nie zdołałby określić, z plątaniny czarnego zarostu wyzierał nos tak straszliwych rozmiarów, że mógł na każdym słonecznym zegarze służyć za przyrząd do rzucania cienia. Z powodu potężnego zarostu widać było z całej twarzy, oprócz organu powonienia, tylko małe, rozumne oczka, nadzwyczaj ruchliwe i utkwione we mnie z szelmowską jakąś chytrością. Westman przypatrywał mi się zresztą tak samo uważnie jak i ja jemu. Później dowiedziałem się, dlaczego się mną tak zainteresował.

Tułów Sama Hawkensa tkwił aż po kolana w starej bluzie myśliwskiej z koźlej skóry, uszytej najwidoczniej dla jakiejś znacznie grubszej osoby. Wyglądał w niej jak dziecko, które dla zabawy ubrało się w surdut dziadka. Z tego, więcej niż obfitego, okrycia wyzierała para chudych, krzywych jak sierpy nóg, ubranych w wystrzępione spodnie, których wiek wyraźnie świadczył, że człowieczek ten wyrósł z nich przed dwoma zapewne dziesiątkami lat. Nie mniejszą uwagę zwracały na siebie jego indiańskie buty, w których z biedą mogła się zmieścić cała osoba ich właściciela.

W ręku słynny westman trzymał strzelbę, podobniejszą raczej do kija niż do broni palnej. Tylko z największą ostrożnością odważyłbym się jej dotknąć. Lepszą karykaturę myśliwca z prerii trudno było sobie wyobrazić. Jednak w krótkim stosunkowo czasie poznałem wartość tego oryginała.

Obejrzawszy mnie od stóp do głów, westman rzekł cienkim głosem do rusznikarza:

- Czy to jest ten młody greenhorn, o którym opowiadaliście, mr. Henry?

- Tak - potwierdził zapytany.

- Well! On mi się nawet dosyć podoba. Spodziewam się, że Sam Hawkens także mu się, spodobał, hi! hi! hi! Z tym piskliwym, dziwnym nieco śmiechem zwrócił się w stronę drzwi, w których ukazali się właśnie pan i pani domu. Powitali myśliwca w taki sposób, iż można było wnosić, że go już kiedyś widzieli. Potem poproszono nas do jadalni.

Poszliśmy za tym wezwaniem, przy czym Hawkens ku memu zdziwieniu nie odłożył strzelby ani kapelusza. Dopiero gdy wyznaczono nam miejsca przy stole, rzekł wskazując na swą starą pukawkę:

- Prawdziwy westman nie spuszcza nigdy z oka swej strzelby, a tym bardziej nie czynię tego ja z moją zacną Liddy. Zawieszę ją koło firanek.

A więc strzelbę swoją nazywał ”Liddy”! Później oczywiście dowiedziałem się, że wielu myśliwców, uganiających po Zachodzie, obchodzi się ze swymi strzelbami jak z żywymi stworzeniami i nadaje im imiona, Westman powiesił strzelbę koło firanek i chciał to samo zrobić z kapeluszem, ale gdy go zdjął, została w nim cała jego czupryna. Można się było naprawdę przestraszyć widokiem jego nagiej, czerwonej czaszki, Lady krzyknęła głośno, dzieci zaczęły wrzeszczeć, on zaś zwrócił się do nas celem uspokojenia:

- Nie lękajcie się, moje panie i panowie, to nic! Nosiłem własne włosy uczciwie od dzieciństwa. Żaden adwokat nie poważył się zaprzeczyć mi prawa do tego. Dopiero jeden czy dwa tuziny Indian wpadły na mnie i zdarły mi moje włosy z głowy razem ze skórą. Było to diabelnie przykre uczucie, ale przebyłem to szczęśliwie, hi! hi! hi! Potem udałem się do Tekamy i kupiłem nowy skalp, jeśli się nie mylę. Nazywa się to peruką i kosztowało trzy grube wiązki skórek bobrowych. Ale to nic nie szkodzi, gdyż nowa skóra jest o wiele praktyczniejsza, zwłaszcza w lecie; mogę ją zdjąć, kiedy się spocę, hi! hi! hi!

Zawiesił kapelusz na strzelbie i założył perukę na głowę, po czym rozebrał się z bluzy i przewiesił ją przez krzesło. Była wielokrotnie łatana, jeden kawał skóry przyszyty był na drugim, co nadało jej taką sztywność i grubość, że strzała

Indianina nie przebiłaby jej z łatwością. Teraz ujrzeliśmy jego cienkie, krzywe nogi. Miał na sobie skórzaną kamizelkę, a za pasem nóż i dwa pistolety. Gdy powrócił do krzesła przy stole, spojrzał chytrze najpierw na mnie, a potem na panią domu i zapytał:

- Może milady powie przed jedzeniem temu greenhornowi, o co chodzi, jeśli się nie mylę? Zwrot ”jeśli się nie mylę” był jego stałym przyzwyczajeniem. Lady skinęła głową, zwróciła się do mnie, wskazała na najmłodszego z gości i rzekła:

- Nie wiecie zapewne, że mr. Black jest waszym następcą, sir!

- Moim… na…stępcą - wybuchnąłem zmieszany.

- Ponieważ żegnamy was dzisiaj, musieliśmy się rozejrzeć za nowym nauczycielem.

- Że… gna…my?

Przypuszczam, że wyglądałem w owej chwili jak uosobienie zdumienia.

- Tak, żegnamy was, sir- rzekła z uśmiechem, który mi się wydał niestosowny, gdyż ja bynajmniej nie miałem ochoty do wesołości. - Polubiliśmy was bardzo, nie chcieliśmy przeto przeszkadzać wam w tym, byście jak najprędzej zdobyli szczęście. Bardzo nam przykro, że nas opuszczacie, ale rozstajemy się z wami pełni wielkiej życzliwości. Jedźcie jutro w imię Boże!

- Odjeżdżać? Jutro? Dokąd? - wykrztusiłem. Na to Sam Hawkens uderzył mnie po ramieniu i odrzekł z uśmiechem:

- Dokąd? Na Dziki Zachód ze mną. Zdaliście znakomicie egzamin, hi! hi hi! Inni surweyorzy odjeżdżają jutro i nie mogą na was dłużej czekać. Mnie, Dicka Stone'a i Willa Parkera przyjęto na przewodników przy budowie linii kolejowej wzdłuż Kanadianu do Nowego Meksyku. Myślę, że nie zechcecie tutaj nadal pozostać greenhornem!

Teraz spadła mi łuska z oczu. A więc to wszystko było z góry ukartowane! Surweyorzy, pomiary dla jednej z wielkich kolei, które zamierzano budować. Co za radość! Dalej nie było o co pytać, gdyż mój stary, kochany Henry sam podszedł do mnie, ujął mnie za rękę i rzekł:

- Powiedziałem wam już, dlaczego was lubię. Jesteście tu u zacnych ludzi, ale stanowisko nauczyciela domowego nie jest dla was odpowiednie. Musicie się udać na Zachód. Zwróciłem się w tym celu do Atlantic i Pacific Company i kazałem wybadać wasze wiadomości tak, abyście się tego nie domyślili. Zdaliście dobrze egzaminy i macie tu waszą nominację.

Podał mi dokument. Gdy rzuciwszy nań okiem, przeczytałem przewidywaną wysokość wynagrodzenia, ciemno mi się w oczach zrobiło. Stary przyjaciel mówił dalej:

- Pojedziecie konno, potrzebujecie więc dobrego konia. Kupiłem dla was deresza, którego ujeździliście. Bez broni nie możecie się ruszyć, dostaniecie więc tę starą flintę, która na nic mi się nie przyda, a z której wy tak dobrze trafiacie. I cóż wy na to, sir, hę?

Z początku milczałem, a gdy wreszcie odzyskałem mowę, próbowałem nie przyjąć darów, ale bez skutku. Ci zacni ludzie postanowili mnie uszczęśliwić, zrobiłbym im wielką przykrość, gdybym się uparł przy odmowie. Aby na razie przynajmniej zapobiec dalszemu wałkowaniu tej sprawy, lady usiadła przy stole, a my musieliśmy pójść za jej przykładem. Zaczęła się uczta, a podczas jedzenia nie należało podejmować tego tematu.

Po kolacji udzielono mi potrzebnych wiadomości. Miano budować linię kolejową z St. Louis przez Indian-Territory, Nowy Meksyk, Arizonę i Kalifornię do wybrzeża Pacyfiku i postanowiono tę długą trasę zbadać i odmierzyć sektorami. Sektor, który przypadł w udziale mnie i trzem innym surweyorom pod kierunkiem starszego inżyniera, leżał między źródłami rzek Rio Pecos i południowego Kanadianu. Trzej wytrawni przewodnicy; Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker, mieli nam towarzyszyć aż na miejsce, gdzie oczekiwała nas gromada dzielnych westmanów, dodanych nam dla bezpieczeństwa. Oczywiście mogliśmy także liczyć na pomoc wszystkich załóg wojskowych w sąsiednich fortach. Aby mi zrobić niespodziankę, powiedziano mi o tym wszystkim dopiero dzisiaj, co prawda, trochę za późno. Uspokoiła mnie jednak wiadomość, że postarano się o wszystko, co było konieczne do

podróży, aż do najdrobniejszych szczegółów. Nie pozostawało mi nic innego, jak przedstawić się kolegom, którzy czekali na mnie w mieszkaniu starszego inżyniera. Poszedłem do nich w towarzystwie Henry'ego i Sama Hawkensa. Przyjęli mnie nader serdecznie, nie biorąc za złe spóźnienia, wiedzieli bowiem, że przyczyną tego była właśnie ta niespodzianka. Pożegnawszy się nazajutrz z mymi gospodarzami, udałem się do Henry'ego. Zacząłem mu dziękować, ale on potrząsnąwszy mnie silnie za ręce, przerwał mi tymi słowy:

- Nie ma o czym mówić, sir! Wysyłam was tylko dlatego, żeby moja stara flinta mogła się jeszcze na coś przydać. Gdy wrócicie, odszukacie mnie i opowiecie, coście przeżyli i czego doświadczyliście. Wówczas dopiero się okaże, czy jesteście jeszcze tym, czym dzisiaj, mimo iż się do tego nie chcecie przyznać, mianowicie greenhornem, jakiego szukać pod słońcem.

To rzekłszy, wypchnął mnie za drzwi. Obróciłem się jeszcze raz i zobaczyłem łzy w jego oczach.

ROZDZIAŁ II

KLEKI–PETRA

Zbliżał się koniec wspaniałej, północno-amerykańskiej jesieni. Pracowaliśmy od trzech miesięcy, ale nie wypełniliśmy jeszcze naszego zadania, gdy tymczasem inne sektory wróciły już dawno do domu. Złożyły się na to dwa powody.

Pierwszy ten, że przeznaczono nam do opracowania bardzo trudną okolicę. Linia kolejowa miała iść przez prerię wzdłuż południowego Kanadianu, kierunek był więc wskazany tylko do źródeł tej rzeki; od Nowego Meksyku zaś wyznaczało go położenie dolin i wąwozów. Nasz sektor leżał pomiędzy Kanadianem a Nowym Meksykiem i myśmy mieli dopiero znaleźć odpowiedni kierunek. Do tego potrzeba było rozjazdów pożerających wiele czasu, uciążliwych wędrówek i wielu, bardzo wielu pomiarów porównawczych, zanim można było przystąpić do właściwej roboty. Utrudniało nam pracę jeszcze i to, że znajdowaliśmy się w okolicy niebezpiecznej. Tamtejsi bowiem Indianie - Kiowa, Komancze i Apacze - nie chcieli pozwolić na budowę kolei poprzez kraje, które uznawali za swoją własność. Musieliśmy się bardzo strzec i ciągle być w pogotowiu, przez co oczywiście nasza robota znacznie się opóźniała. Ze względu na tych Indian nie mogliśmy zdobywać środków żywności za pomocą polowania, ponieważ wówczas Indianie odkryliby łatwo nasze ślady. Sprowadzaliśmy wszystko, czego nam było potrzeba, z Santa Fé na zaprzężonych wołami wozach. Niestety dowóz ten był także bardzo niepewny i kilkakrotnie nie mogliśmy posunąć się naprzód z naszymi

pomiarami, ponieważ wozy z żywnością nie przybywały na czas.

Druga przyczyna tkwiła w składzie naszego towarzystwa. Wspomniałem, że w St. Louis przywitał mnie starszy inżynier i inni surweyorzy bardzo przychylnie. To przyjęcie, jakiego doznałem, pozwalało się spodziewać dobrej i skutecznej współpracy. Jednak pod tym względem spotkało mnie przykre rozczarowanie.

Moi koledzy, prawdziwi Jankesi, widzieli we mnie niedoświadczonego greenhorna. Chcieli zarobić pieniądze, nie pytając o to, czy wypełnią sumiennie swoje zadanie. Ja zawadzałem im przy tym, toteż niebawem zniknęła okazywana mi przez nich z początku przychylność. Nie dałem się tym zbić z tropu i robiłem, co do mnie należało. Wkrótce też zorientowałem się, że moi koledzy posiadali niezbyt duży zasób wiedzy. Zwalali na mnie najtrudniejszą robotę, a sami szukali okazji do uprzyjemniania sobie życia. Nie sprzeciwiałem się temu obarczaniu mnie pracą, wierząc, że im więcej się musi dokonać, tym więcej nabiera się sił i doświadczenia.

Starszy inżynier, mr. Bancroft, był z nich najbardziej wykształcony, ale okazało się niestety, że lubi wódkę. Przywieziono z Santa Fé kilka baryłek tego zgubnego napoju, a od tego czasu nasz przełożony zajmował się więcej brandy niż przyrządami mierniczymi. Nieraz potrafił przeleżeć pół dnia na ziemi zupełnie pijany. Trzej surweyorzy, Riggs, Marcy i Wheeler, musieli, jak zresztą i ja, płacić za dostawy, aby więc nie ponieść straty, pili z nim na wyścigi. Nie trudno sobie wyobrazić, że i ci dżentelmeni nie zawsze byli w najlepszej formie. Ponieważ ja nie próbowałem nawet wódki, przeto obowiązek pracy spoczywał oczywiście wyłącznie na mnie, a oni spokojnie przeplatali sobie pijatykę spaniem. Wheeler był dla mnie jeszcze najuprzejmiejszy z nich wszystkich, ponieważ miał tyle rozumu, by się zorientować, że męczyłem się za nich, nie będąc wcale do tego zobowiązany. Że praca nasza na tym cierpiała, tego oczywiście nie trzeba podkreślać.

Reszta towarzystwa pozostawiała również wiele do życzenia. Przybywszy na sektor, zastaliśmy w nim dwunastu westmanów. Jako nowicjusz, szanowałem ich z początku ogromnie, lecz wnet przekonałem się, że mam do czynienia z ludźmi o bardzo niskim poziomie moralnym. Dodano ich nam do obrony i pomocy. Szczęściem przez całe trzy miesiące nie zaszło nic takiego, co by mnie zmusiło do uciekania się pod ich nader wątpliwą obronę, a co do pomocy, to można śmiało powiedzieć, że zeszło się tu niczym na schadzkę dwunastu największych próżniaków w Stanach Zjednoczonych.

Jak smutnie musiała w takich warunkach wyglądać u nas karność!

Bancroft, komendant z tytułu i z urzędu, udawał, że jest kierownikiem, ale nikt go nie słuchał. Wyśmiewano jego rozkazy, a on klął strasznie, tak jak chyba nikt na świecie, a w końcu szedł do baryłki, aby wódką wynagrodzić sobie wysiłek. Riggs, Marcy i Wheeler postępowali nie o wiele inaczej. Miałem więc wszelki powód do tego, by wziąć cugle w ręce. Uczyniłem to, ale tak żeby tego nie zauważyli. Takiego młodego i niedoświadczonego człowieka jak ja nie mogli darzyć pełnym szacunkiem. Gdybym był o tyle głupi, żeby przemówić tonem rozkazującym, byłbym się tylko naraził na powszechny śmiech. Musiałem więc postępować cicho i ostrożnie jak rozumna żona, która umie tak kierować opornym mężem, że on nie ma o tym pojęcia. Ci na pół dzicy, nieokiełznani ludzie nazywali mnie dziesięć razy dziennie greenhornem, a mimo to stosowali się bezwiednie do mnie. Przy tym zdawało im się zawsze, ”że właściwie czynią wszystko zgodnie z własną wolą.

Pod tym względem ogromnie byli mi pomocni Sam Hawkens i jego dwaj towarzysze, Dick Stone i Will Parker.

Wszyscy trzej byli to na wskroś uczciwi, a przy tym - choć nie poznałem się na tym od razu przy pierwszym spotkaniu z Samem w St. Louis - doświadczeni, mądrzy i śmiali westmani, których imiona słynęły daleko i szeroko. Trzymali się przeważnie mnie i stronili od reszty towarzyszy, ale tak oględnie, że nie mogło to tamtych obrazić. Szczególnie Sam

Hawkens umiał, pomimo różnych swych śmiesznych właściwości, zdobyć u niechętnego mi towarzystwa znaczne poważanie. Cokolwiek zaś przeprowadzał swoim na poły poważnym, a na poły zabawnym sposobem, to zawsze po to, aby mi dopomóc w przeprowadzeniu moich zamiarów. Wytworzył się między nami w cichości stosunek, który dałby się najlepiej porównać ze stosunkiem feudalnego pana do swojego lennika. Hawkens wziął mnie w opiekę, nie pytając wcale, czy się z tym zgadzam. Ja byłem greenhornem, on zaś wytrawnym westmanem, którego słowa i czyny miały być dla mnie czymś nieomylnym. W wolnym czasie i przy sposobności udzielał mi teoretycznych i praktycznych lekcji ze wszystkiego, co należy wiedzieć i czemu trzeba umieć podołać na Dzikim Zachodzie. Jeżeli dziś zgodnie z prawdą muszę powiedzieć, że wyższą szkołę odbyłem dopiero później u boku Winnetou, to poczucie słuszności i sprawiedliwości każe mi przyznać, że Samowi Hawkensowi zawdzięczam nauki elementarne. Sporządził mi nawet własnoręcznie lasso i pozwalał ćwiczyć się nim na swojej własnej osobie i swoim koniu. Gdy potem doszedłem do tego, że pętla chwytała już cel niechybnie za każdym rzutem, ucieszył się serdecznie i zawołał radośnie:

- To pięknie, mój młody sir, to dobrze! Ale niech wam moja pochwała nie przewróci w głowie! Bakałarz musi pochwalić od czasu do czasu nawet najgłupszego ucznia, jeżeli chce, by ten robił postępy. Byłem już nauczycielem niejednego westmana, a wszyscy uczyli się o wiele łatwiej i znacznie prędzej mnie pojmowali niż wy. Jeżeli jednak nadal tak się będziecie ćwiczyć, to może po sześciu lub ośmiu latach nikt nie nazwie was już greenhornem. Aż do tego czasu pocieszajcie się tą starą maksymą, że głupi osiąga nieraz te same wyniki, co mądry, a nawet większe, jeśli się nie mylę!

Wygłaszał te słowa pozornie z największą powagą i ja tak samo je przyjmowałem, ale wiedziałem, że on wcale tak nie myślał.

Najbardziej pożądane były dla mnie jego praktyczne pouczenia, gdyż praca zawodowa zabierała mi tyle czasu, że

gdyby nie Hawkens, nie znalazłbym ani chwili na ćwiczenie tych umiejętności, które musi opanować każdy myśliwiec na prerii. Zresztą trzymaliśmy w tajemnicy nasze ćwiczenia i urządzaliśmy je tak daleko od obozu, że nie można było nas podglądnąć. Sam Hawkens tego żądał, a gdy pewnego razu zapytałem o przyczynę, odpowiedział:

- To ze względu na was, sir! Tak mało macie zręczności w tych rzeczach, że musiałbym się wstydzić do głębi duszy, gdyby nas te draby zobaczyły. Teraz już wiecie, hi! hi! hi! Weźcie to sobie do serca!

Skutkiem tego całe towarzystwo nie liczyło na raniej wcale na wypadek, gdyby zaszła konieczność użycia broni lub wykazania się zręcznością fizyczną. Ale to mniej bynajmniej nie martwiło.

Mimo wszystkich wspomnianych poprzednio przeszkód doszliśmy przecież w końcu tak daleko, że w ciągu tygodnia mogliśmy się już połączyć z następnym sektorem. Należało pchnąć posłańca, aby zanieść tam tę wiadomość. Bancroft oświadczył, że pojedzie sam pod przewodnictwem jednego z westmanów. Nie czyniliśmy tego po raz pierwszy, gdyż ciągle musieliśmy się porozumiewać zarówno z sektorem pracującym za nami, jak i tym, który pracował przed nami. Stąd zresztą wiedziałem, że kierujący robotą przed nami starszy inżynier był nadzwyczaj energicznym człowiekiem.

Bancroft zamierzał wyruszyć pewnej niedzieli rano. Uważał za stosowne wypić strzemiennego, w czym mieli wziąć udział wszyscy. Mnie tylko nie zaproszono, a Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker nie przyjęli nadesłanego im zaproszenia. Popijanie, co zresztą przewidywałem, przeciągnęło się tak długo, że ustało dopiero wtedy, kiedy Bancroft nawet już bełkotać nie mógł. Towarzysze zabawy dotrzymywali mu kroku i upili się niemniej od niego. O zamierzonej jeździe nie mogło już teraz być mowy. Hultaje zrobili to, co czynili zawsze w tym stanie: wleźli w krzaki, aby się tam wyspać.

Cóż można było począć? Posłaniec musiał odejść, tymczasem należało się spodziewać, że pijani będą spać do późna po południu. Wypadało wobec tego, żebym ja pojechał. Ale czy

mogłem? Byłem pewien że aż do mego powrotu przez cztery dni nikt nie weźmie się do pracy. Gdy się naradzałem nad tym z Samem Hawkensem, wskazał ręką na zachód i rzekł:

- Nie trzeba będzie jechać, sir. Możecie przekazać wiadomość tym dwóm, którzy oto się zbliżają.

Spojrzawszy we wskazanym kierunku, zobaczyłem dwóch jeźdźców. Byli to biali, a w jednym z nich poznałem starego przewodnika, który już kilka razy był u nas z wieściami z sąsiedniego sektora. Obok niego jechał młody mężczyzna, ubrany inaczej, niż to jest przyjęte na dalekim Zachodzie. Nie widziałem go jeszcze nigdy. Stanąwszy przed nami, nieznajomy zapytał mnie o nazwisko. Skoro je wymieniłem, obrzucił mnie przyjaźnie badawczym spojrzeniem i rzekł:

- A więc to wy jesteście tym młodym dżentelmenem, który robi tu wszystko, gdy tymczasem inni leniuchują. Będziecie pewnie wiedzieli, kim jestem, gdy wam powiem moje nazwisko. Jestem White.

Był to kierownik najbliższego zachodniego sektora, do którego mieliśmy właśnie wysłać wiadomość. Jego przybycie musiało mieć oczywiście jakiś powód. Zsiadł z konia, podał mi rękę i powiódł wzrokiem po naszym obozie. Ujrzawszy śpiących w zaroślach, a obok baryłkę po wódce, uśmiechnął się domyślnie, ale nie przyjaźnie.

- Pijani? - spytał. Skinąłem głową.

- Wszyscy?

- Tak. Mr. Bancroft chciał udać się do was i wypito strzemiennego. Zbudzę go i...

- Stać! - przerwał. - Muszę z wami pomówić tak, żeby oni tego nie słyszeli. Chodźmy na bok i nie budźmy ich! Kto są ci trzej ludzie, którzy stali z wami?

- To Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker, nasi trzej przewodnicy, ludzie godni zaufania.

- Ach, Hawkens, ten mały, osobliwy myśliwiec. To dzielny chłop, słyszałem o nim. Niechaj wszyscy trzej pójdą z nami.

Uczyniłem zadość jego wezwaniu, a następnie spytałem:

- Przybywacie z własnej inicjatywy, mr. White? Czy sprowadza was coś ważnego?

- Bynajmniej. Chciałem się tylko przekonać, czy wszystko tu w porządku, no i pomówić z wami. Myśmy już skończyli nasz sektor, a wy swojego jeszcze nie?

- Winne temu trudności terenu. Zamierzam...

- Wiem, wiem! - przerwał mi. - Wiem niestety o wszystkim. Gdybyście wy nie pracowali w trójnasób, Bancroft byłby dziś tam, gdzie rozpoczął.

- Tak nie jest, mr. White. Nie wiem wprawdzie, skąd macie to błędne mniemanie, że tylko ja byłem pilny, ale moim obowiązkiem...

- Cicho, sir, cicho! Chodzili posłańcy od nas do was i z powrotem, a ja ich o wszystko wypytywałem. To bardzo szlachetnie z waszej strony, że bierzecie w obronę tych pijaków, ale ja chciałbym usłyszeć prawdę. Ponieważ zaś widzę, że jesteście zbyt skromni, aby mi ją powiedzieć, przeto spytam nie was, lecz Sama Hawkensa. Usiądźmy!

Poszliśmy do namiotu. White usiadł przed nim na trawie i skinął na nas, żebyśmy zrobili to samo, po czym zaczął wypytywać Hawkensa, Stone'a i Parkera, którzy przedstawili mu całą prawdę, nie dodając ani jednego zbytecznego słowa. Mimo to wtrąciłem tu i ówdzie jakieś słówko, aby złagodzić niektóre, słuszne skądinąd zarzuty i bronić kolegów, ale nie wywarło to na White'cie pożądanego skutku. Przeciwnie, prosił mnie kilkakrotnie, żebym się nie trudził daremnie.

Gdy się już o wszystkim dowiedział, zażądał, żebym mu pokazał nasze rysunki i mój dziennik. Mogłem nie spełnić tego życzenia, nie uczyniłem tego jednak z obawy, żeby go nie obrazić. Czułem zresztą, że żywi w stosunku do mnie dobre zamiary. Przejrzał wszystko uważnie i nie zaprzeczyłem, kiedy mnie o to spytał, że sam byłem rysownikiem i autorem, gdyż istotnie żaden z tamtych nie zrobił ani jednej kreski i nie napisał ani jednej litery.

- Ale z tego dziennika nie widać - rzekł - ile pracy przypada na każdego z osobna. Posunęliście się za daleko w swoim

chwalebnym koleżeństwie.

Na to zauważył chytrze Sam Hawkens:

- Sięgnijcie mu do kieszeni, mr. White! Tam tkwi coś blaszanego, w czym dawniej były sardynki. Sardynek teraz już nie ma, ale jest za to coś papierowego. To prawdopodobnie dziennik prywatny, jeśli się nie mylę. Tam on zapewne wszystko spisał inaczej niż w urzędowym sprawozdaniu, gdzie tuszuje lenistwo kolegów.

Hawkens wiedział, że prowadziłem prywatne zapiski oraz że nosiłem je w wypróżnionej puszce od sardynek. Było mi przykro, że mnie zdradził. White poprosił, żebym mu pokazał swoje notatki. Cóż miałem zrobić? Czy moi koledzy zasłużyli na to, żebym się dla nich męczył bez żadnej wdzięczności z ich strony i żebym to jeszcze zatajał? Szkodzić im nie chciałem w żaden sposób, ale nie mogłem być niegrzeczny wobec White'a. Podałem mu więc dziennik, ale pod warunkiem, że nikomu nie wspomni o tym, co się w nim zawiera. Przeczytał, zwrócił mi go i rzekł:

- Powinienem właściwie zabrać z sobą te kartki i przedłożyć je, gdzie należy. Wasi koledzy to nicponie, którzy nie są warci ani jednego dolara. Wam zaś powinno się zapłacić w trójnasób. Zostawiam wam jednak swobodę. Zwracam tylko uwagę, że dobrze zrobicie, jeśli Zachowacie te prywatne zapiski, gdyż mogą się wam one później bardzo przydać. A teraz zbudźmy tych sławetnych dżentelmenów.

Wstał i wszczął alarm. ”Dżentelmeni” powyłazili z zarośli z błędnymi oczyma i zmienionymi twarzami. Bancroft gotów był uciec się do grubiaństw ze złości, że go zbudzono, okazał się jednak uprzejmy, gdy usłyszał, że przybył mr. White z najbliższego sektora. Widzieli się po raz pierwszy. Bancroft podał mu przede wszystkim kieliszek wódki, ale źle się z tym wybrał. White skorzystał z tej grzeczności w ten sposób, że posłużyła mu za temat do umoralniającego kazania, jakiego Bancroft chyba jeszcze w życiu nie słyszał. Zdumiony pijak milczał przez chwilę, ale potem rzucił się na White'a, chwycił go za ramię i krzyknął:

- Panie, wasze nazwisko?
- White.
- Kim jesteście?
- Starszym inżynierem sąsiedniego sektora.
- Czy tam może wam kto rozkazywać?
- Sądzę, że nie.
- A więc! Ja jestem Bancroft, starszy inżynier tutejszego sektora, i nikt nie ma prawa mi tu rozkazywać, a już najmniej wy, mr. White!
- To prawda, że jesteśmy sobie równi - rzekł napadnięty spokojnie. - Żaden z nas nie jest obowiązany przyjmować od drugiego rozkazów. Ale skoro jeden widzi, że drugi szkodzi przedsiębiorstwu, w którym obydwaj pracujemy, jego powinnością jest zwrócić drugiemu uwagę na jego błędy. Wy szukacie, jak się zdaje, celu swojego życia w baryłce brandy. Wszyscy, szesnastu ludzi, których tu zastałem przyjechawszy przed dwoma godzinami, byli pijani.
- Przed dwoma godzinami - przerwał mu Bancroft. - Tak długo już tu jesteście?
- Oczywiście. Przypatrzyłem się już zdjęciom i dowiedziałem się, kto je robił. Wy żyliście sobie jak w raju, tymczasem jeden, i to najmłodszy z was, dźwigał cały ogrom pracy.

Na to Bancroft zwrócił się do mnie i syknął:

- To wy powiedzieliście o tym, nikt inny! Nie wypierajcie się, nikczemny kłamco i podstępny zdrajco!
- Nie - odparł mr. White. - Wasz młody kolega postąpił jak dżentelmen; wyrażał się o was tylko dobrze i brał was w obronę. Radzę wam przeto prosić go o przebaczenie za to, że nazwaliście go kłamcą i zdrajcą.
- Prosić o przebaczenie? Ani myślę! - zaśmiał się Bancroft szyderczo. - Ten greenhorn nie umie odróżnić trójkąta od czworoboku i wyobraża sobie, że jest surweyorem. Spóźniliśmy się z pracą, ponieważ on wszystko robił nie tak, jak trzeba; a skoro teraz, zamiast to uznać, oskarża nas przed wami i oczernia...

Nie dokończył. Miesiące całe cierpiałem i pozwalałem tym ludziom myśleć i mówić o mnie, co chcieli. Teraz nadeszła chwila pokazania im, jak dalece pomylili się w ocenie mojej osoby. Pochwyciłem Bancrofta za ramię i ścisnąłem tak silnie, że aż krzyknął z bólu.

- Mr. Bancroft - rzekłem - wypiliście za dużo wódki i nie odespaliście jeszcze waszego pijaństwa. Zapewne jesteście jeszcze pijani, przyjmuję więc, żeście tego nie powiedzieli.

- Ja pijany? Zwariowaliście! - wrzasnął.

- Tak, pijany! Gdybym był pewny, że jesteście trzeźwi i że pozwoliliście sobie rozmyślnie rzucić mi te obelgi, to cisnąłbym wami o ziemię jak pierwszym lepszym hultajem. Zrozumiano? Czy macie teraz odwagę zaprzeczyć temu, żeście się upili?

Trzymałem go jeszcze za ramię. Nie przypuszczał pewnie nigdy, że będzie musiał bać się mnie kiedykolwiek, ale teraz przestraszył się naprawdę. Nie był słabeuszem, ale wyraz mojej twarzy zdawał się go przerażać, widać to było po nim. Nie chciał się przyznać, że jest jeszcze pijany, a zarazem brakło mu odwagi do podtrzymania swych oskarżeń. Zwrócił się więc do dowódcy dwunastu westmanów dodanych nam do pomocy i obrony:

- Mr. Rattler, czy ścierpicie, żeby ten człowiek porywał się na mnie? Czy nie po to tutaj jesteście, żebyście nas bronili?

Rattler, wysoki i tęgo zbudowany mężczyzna, posiadał, jak się zdawało, siłę trzech, a może czterech ludzi. Był to osobnik ordynarny i pił ustawicznie razem z Bancroftem. Nie znosił mnie i z radością skorzystał ze sposobności, aby dać ujście złości, jaką czuł do mnie. Przyskoczył prędko, pochwycił mnie za ramię, jak ja Bancrofta, i odpowiedział:

- Nie, ja na to nie pozwolę, mr. Bancroft. Ten smarkacz nie wydeptał jeszcze dziur w swoich pierwszych pończoszkach, a ośmiela się już grozić dorosłym mężczyznom, hańbić ich i oczerniać. Nie podnoś ręki na mr. Bancrofta, smarkaczu, bo ci pokażę, jaki z ciebie greenhorn!

Z takim to wezwaniem zwrócił się do mnie Rattler. Ucieszyłem się, że to on właśnie zrobił, gdyż był silniejszym

przeciwnikiem od Bancrofta. Nie wątpiłem ani na chwilę, że jeśli jego nauczę moresu, podziała to silniej, niż gdybym to uczynił wobec Bancrofta. Wyrwałem mu ramię i odrzekłem:

- Ja smarkacz, greenhorn? Odwołajcie to natychmiast, mr. Rattler, bo grzmotnę wami o ziemię!

- Wy mną? - zaśmiał się. - Taki greenhorn jest naprawdę na tyle głupi, że...

Nie skończył, gdyż uderzyłem go pięścią w skroń tak, że runął ciężko na ziemię jak wór. Kilka krótkich chwil trwała głęboka cisza, po czym zawołał jeden z towarzyszy Rattlera:

- Niech to wszyscy diabli! Czy będziemy spokojnie patrzeć, jak ten przybłęda bije naszego dowódcę? Dalej na tego draba!

Skoczył ku mnie, więc szybko wyrwałem oba rewolwery zza pasa i zawołałem:

- Kto jeszcze? Niech przyjdzie!

Cała banda Rattlera miała wielką ochotę pomścić na mnie klęskę towarzysza. Jeden spozierał na drugiego, lecz ich przestrzegłem:

- Słuchajcie, ludzie! Kto zbliży się o krok lub chwyci za broń, dostanie kulkę w łeb! Myślcie sobie o greenhornach, co się wam podoba, ale ja wam dowiodę, że jeden taki greenhorn jak ja da sobie radę z dwunastu takimi westmanami jak wy!

Wtem stanął przy mnie Sam Hawkens i rzekł:

- A ja, Sam Hawkens, także was ostrzegam, jeśli się nie mylę. Ten młody greenhorn jest pod moją szczególną opieką. Kto by się poważył zerwać mu włos z głowy, temu natychmiast wystrzelę dziurę w jego własnej osobie. Ja nie żartuję. Zapamiętajcie to sobie, hi! hi! hi!

Dick Stone i Will Parker uważali także za stosowne stanąć obok mnie, aby zaznaczyć, że są tego samego zdania, co Hawkens. To zaimponowało przeciwnikom. Odwrócili się ode mnie, mrucząc pod nosem przekleństwa, i zajęli się skwapliwie leżącym na ziemi, aby go przywieść do przytomności.

Bancroft uznał za najrozumniejsze pójść do namiotu i tam się ukryć. White patrzył na mnie szeroko rozwartymi ze

zdziwienia oczyma. Potrząsnął głową i rzekł tonem niekłamanego zdumienia:

- Ależ, sir, to jest przerażające! Nie chciałbym dostać się w wasze ręce. Należałoby was naprawdę nazwać ”Shatterhand” za to, że tego wielkiego i silnego jak dąb człowieka rozciągnęliście na ziemi jednym uderzeniem pięści. Nie widziałem jeszcze nic podobnego.

Ten projekt podobał się widocznie Samowi Hawkensowi, gdyż zaczął prychać wesoło.

- Shatterhand, hi! hi! hi! Greenhorn - i już wojenny przydomek, i to jaki! Ilekroć Sam Hawkens rzuci okiem na greenhorna, tylekroć jest z tego zbawienny skutek. Shatterhand, Old Shatterhand! Całkiem tak jak Old Firehand, także westman i silny jak niedźwiedź. Cóż wy na to miano, Dicku i Willu?

Odpowiedzi ich już nie dosłyszałem, gdyż musiałem uwagę poświęcić White'owi, który ująwszy mnie za rękę, odprowadził na bok i rzekł:

- Podobacie mi się nadzwyczajnie, sir! Czy nie mielibyście ochoty przejść do mnie?

- Trudno wchodzić w to, czy mam ochotę, czy nie, mr. White. Ja nie mogę.

- Czemu?

- Bo mnie tutaj trzyma obowiązek.

- Pshaw! Ja biorę to na siebie.

- To mi się na nic nie przyda, jeślibym ja sam nie mógł się usprawiedliwić. Przysłano mnie tutaj do pomocy przy pomiarze tego sektora, nie wolno mi się przeto stąd ruszyć, ponieważ jeszcze nie wykonaliśmy naszego zadania.

- Bancroft dokończy z tamtymi trzema.

- Tak, ale kiedy i jak? Nie, ja muszę tu zostać.

- Zważcie, że to dla was niebezpieczne!

- Jak to?

- Pytacie jeszcze? Widzicie chyba, że porobiliście sobie z tych ludzi nieubłaganych wrogów.

- Nie. Przecież im nic nie zrobiłem.

- To prawda albo raczej - było prawdą dotychczas. Ponieważ jednak powaliliście jednego z nich na ziemię, stosunki między wami są zerwane.

- Być może, ale ja się nie boję. Właśnie przez to uderzenie zdobyłem sobie poważanie. Nieprędko ktokolwiek porwie się znów na mnie. Zresztą Hawkens, Stone i Parker są ze mną.

- Jak chcecie. Wolna wola to niebo dla człowieka, ale często i piekło. Bardzo byście mi się przydali. Ale przynajmniej odprowadzicie mnie kawałek drogi?

- Kiedy?

- Teraz.

- Czy chcecie zaraz wracać, mr. White?

- Tak. Zastałem tu takie stosunki, że nie mogę bawić dłużej, niż potrzeba.

- Ależ musicie coś zjeść, nim wyruszycie w drogę, sir.

- Zbyteczne. Mamy w kaburach siodła wszystko niezbędne do życia.

- Nie pożegnacie się z Bancroftem?

- Nie.

- Przybyliście, aby pomówić z nim o interesach!

- Zapewne, ale mogę to także powiedzieć wam. Przekonałem się, że wy lepiej się rozumiecie na rzeczy niż on. Otóż przede wszystkim przybyłem tu, aby ostrzec go przed czerwonoskórymi.

- Czy widzieliście ich?

- Nie bezpośrednio, lecz ich ślady. W tym czasie ciągną na południe dzikie mustangi i bawoły, a czerwonoskórzy opuszczają swoje wsie, aby na nie polować. Przed Keiowehami nie ma obawy, gdyż dogadaliśmy się z nimi co do budowy kolei, ale Komancze i Apacze nic o tym nie wiedzą i dlatego nie możemy się im pokazywać. Skończyłem prace w moim sektorze i opuszczam te strony. Mnie więc nic już nie grozi. Ale dla was ten teren staje się co dzień niebezpieczniejszy. Starajcie się szybko doprowadzić prace do końca. Osiodłajcie teraz konia i spytajcie, czy Sam Hawkens ma ochotę udać się z nami.

Oczywiście Sam miał ochotę.

Poszedłem więc do namiotu Bancrofta i oświadczyłem, że dziś pracować nie będę lecz razem z Samem Hawkensem odprowadzę White'a.

- Idźcie do diabła i skręćcie karki! - odrzekł, a ja nie przeczuwałem, że to ordynarne życzenie mogło się niebawem spełnić.

Od kilku dni nie wyjeżdżałem nigdzie, toteż deresz mój zarżał radośnie, gdy zacząłem go siodłać. Okazał się koniem wyśmienitym, cieszyłem się więc, że będę mógł oznajmić to memu staremu ”zbrojmistrzowi” Henry'emu.

Jadąc w blasku pięknego jesiennego poranku, rozmawialiśmy o zamierzonych wielkich budowach kolejowych i o wszystkim, co nam leżało na sercu. White dał mi kilka wskazówek odnoszących się do połączenia naszego sektora z jego, a około południa zatrzymaliśmy się nad strumieniem, żeby coś przegryźć. Potem White pojechał dalej ze swym przewodnikiem, a my poleżeliśmy jeszcze chwilę, roztrząsając różne zagadnienia.

Na krótko przed wyruszeniem w drogę powrotną pochyliłem się nad strumieniem, by zaczerpnąć wody. Czysta była jak kryształ, ujrzałem więc na dnie odciski, jak mi się zdawało, stopy ludzkiej. Oczywiście zwróciłem na to uwagę Sama. On przypatrzył się uważnie, po czym ozwał się:

- White miał zupełną słuszność, ostrzegając nas przed Indianami.

- Sądzicie, Samie, że to ślad Indianina?

- Tak, indiańskiego mokasyna. Jakież wrażenie robi to na was, sir?

- Żadnego.

- Fi, musicie przecież coś czuć i myśleć?

- Cóż innego jak to, że tu był czerwonoskóry?

- Więc nie boicie się wcale?

- Ani mi się śni!

- Przynajmniej lekki niepokój?

- Także nie.

- Bo wy nie znacie czerwonoskórych!

- Ale spodziewam się, że ich poznam. Są chyba tacy sami jak inni ludzie; wrogowie swoich wrogów i przyjaciele swoich przyjaciół. Ponieważ zaś nie zamierzam występować przeciwko nim wrogo, więc przypuszczam, że nie potrzebuję się ich obawiać.

- Jesteście greenhorn i wiecznie nim zostaniecie. Możecie postępować z czerwonoskórymi, jak chcecie, wynik będzie zawsze inny, zupełnie inny. Wypadki nie zależą przecież od waszej woli. Doświadczycie tego i życzę wam, żeby to nie kosztowało was strzępu własnego ciała lub nawet życia.

- Kiedy ten czerwonoskóry mógł być tutaj?

- Mniej więcej przed dwoma dniami. Widzielibyśmy tu na trawie jego ślady, gdyby się tymczasem nie podniosła.

- Wyszedł chyba na zwiady?

- Tak, na zwiady za bawolim mięsem. Teraz panuje pokój między tutejszymi szczepami, więc nie mógł to być szpieg wojenny. Był nadzwyczaj nieostrożny, a więc prawdopodobnie młody.

- Dlaczego?

- Wytrawny wojownik nie wstępuje do takiej wody jak ta, gdzie ślad na płytkim gruncie długo jeszcze pozostaje widoczny. Takiego błędu dopuszcza się tylko głupiec, który jest zupełnie takim samym czerwonym greenhornem jak wy białym, hi! hi! hi! A białe greenhorny bywają jeszcze głupsze od czerwonych. Zapamiętajcie to sobie, sir!

Zaczął sam do siebie z cicha parskać śmiechem i wstał, by dosiąść konia. Poczciwy Sam lubił okazywać mi swoje przywiązanie nazywając mnie żartobliwie głupcem. Mogliśmy wrócić tą samą drogą, którą przybyliśmy tutaj, ale zadaniem moim jako surweyora było zbadać całą naszą trasę, dlatego skręciliśmy trochę i pojechaliśmy po równoległej linii.

W ten sposób wydostaliśmy się na dość szeroką dolinę, porosłą bujną trawą. Zbocza, zamykające ją z jednej i z drugiej strony, pokrywały w dole zarośla, a w górze las. Długość doliny wynosiła może z pół godziny drogi tak prostej, że można ją było oglądać od początku do końca. Zaledwie ujechaliśmy kilka

kroków, gdy nagle Sam wstrzymał konia i popatrzył uważnie przed siebie.

- Dobra nasza! - krzyknął. - Otóż są. Pierwsze w tym roku!

- Co? - zapytałem.

Ujrzałem daleko przed sobą osiemnaście, a może dwadzieścia zwolna poruszających się punktów.

- Co? - powtórzył kręcąc się żywo na siodle. - Nie wstydzicie się pytać? Ach, prawda, wszak jesteście greenhorn, i to potężny! Takie osobniki jak wy nie widzą często, choć oczy mają otwarte. Bądźcie łaskawi zgadnąć, najszanowniejszy sir, co to za istoty kręcą się tam, gdzie spoczęły wasze piękne oczy!

- Zgadnąć? Hm! Wziąłbym je za sarny, gdybym nie wiedział, że ten rodzaj zwierzyny żyje w gromadkach liczących najwyżej dziesięć sztuk. Biorąc także pod uwagę odległość, trzeba powiedzieć, że owe zwierzęta, chociaż. wydają się stąd tak małe, muszą być znacznie większe od sarn.

- Sarny, hi! hi! hi! - śmiał się. - Sarny tu, w górze, nad źródłami Kanadianu! To się wam znakomicie udało! Ale to, co potem powiedzieliście, było nieźle pomyślane. Tak, to większe zwierzęta, o wiele większe od sarn.

- Ach, kochany Samie! To chyba nie bawoły?

- Oczywiście, że bawoły. To bizony, prawdziwe bizony, znajdujące się w drodze, pierwsze, które widzę w tym roku. A teraz musicie przyznać, że mr. White miał słuszność: bizony i Indianie. Zamiast Indian napotkaliśmy tylko ich ślady, ale bawoły mamy przed sobą w całej okazałości. Cóż wy na to, jeśli się nie mylę, hę?

- Musimy podjechać ku nim!

- Rozumie się!

- I przypatrzyć się im.

- Przypatrzyć? Rzeczywiście przypatrzyć? - zapytał spoglądając na mnie z ukosa, z bezmiernym zdumieniem.

- Tak. Nie widziałem jeszcze nigdy bizonów i chciałbym bardzo dokładnie je obejrzeć. Byłem zaciekawiony jako zoolog, czego mały Sam nie mógł zrozumieć. Załamał ręce i rzekł:

- Obejrzeć, tylko obejrzeć? Zupełnie tak samo jak malec, który przykłada oczy do szpary w królikami, aby podpatrzyć króliki. O greenhornie, co ja z wami przeżywam! Ja nie będę im się przypatrywał ani ich oglądał, lecz będę na nie polował!

- Dzisiaj, w niedzielę?

Wyrwało mi się to niebacznie. Lecz Sam Hawkens rozgniewał się z tego powodu naprawdę i krzyknął na mnie:

- Zamknijcie się z łaski swojej, sir! Czy prawdziwy westman pyta, czy to niedziela, widząc przed sobą pierwsze bizony? One dają mięso! Rozumiecie? Mięso, i to jakie, jeśli się nie mylę! Kawał polędwicy bawolej jest rzeczą wspanialszą niż niebiański Ambroży czy Ambrożyna, czy też jak to się tam nazywa, czym raczyli się starzy greccy bogowie. Muszę dostać polędwicy bawolej, żebym miał głową nałożyć! Wiatr wieje ku nam, to dobrze. Tu na lewym północnym zboczu doliny świeci słońce, ale tam na prawo leży cień. Jeśli się tam zaczaimy, bawoły nie spostrzegą nas przedwcześnie. Jedźmy!

Spojrzał na swoją Liddy, czy obie lufy w porządku, i popędził konia na wskazane miejsce. Ja także zbadałem za jego przykładem swoją rusznicę. Ujrzawszy to, Sam od razu zatrzymał konia i zapytał:

- Macie ochotę wziąć udział w polowaniu?

- Oczywiście!

- Dajcie temu pokój, jeżeli nie chcecie być za dziesięć minut rozdeptani na miazgę! Bizon to nie kanarek, którego się bierze na palec i każe śpiewać. Nieraz jeszcze zaświeci słońce i niejedna burza przejdzie ponad Górami Skalistymi, zanim będziecie mogli porwać się na tak niebezpieczną zwierzynę.

- Mimo to spróbuję…

- Milczcie i słuchajcie!- przerwał mi tonem, jakiego nigdy wobec mnie nie używał. - Ja waszego życia na swe sumienie nie wezmę. Wjechalibyście z pewnością w paszczę niechybnej śmierci. Kiedy indziej róbcie sobie, co się wam podoba, ale teraz nie zniosę oporu!

Gdyby nie dobre stosunki panujące między nami, Sam dostałby na to należytą odpowiedź; umilkłem jednak i

pojechałem za nim zwolna pasem cienia, rzucanym przez las.

- Jest ich, jak widzę, ze dwadzieścia - mówił już łagodniej - ale wyobraźcie sobie, że pędzi ich przez sawanny ponad tysiąc! Widywałem dawniej trzody liczące po dziesięć tysięcy i więcej sztuk. Był to chleb Indian, a biali im go odebrali. Czerwonoskóry oszczędzał zwierzynę, gdyż dawała mu pożywienie, zabijał tylko w miarę potrzeby, biały natomiast grasował wśród tych niezliczonych trzód jak dzikie, drapieżne zwierzę, mordujące nawet wówczas, gdy już jest syte, dla samego rozlewu krwi. Niedługo zniknie tutaj ostatni bawół, a wkrótce po nim Indianin. Niech Bóg się zlituje nad nimi! Tak samo jest z trzodami mustangów. Dawniej żyły gromady złożone z tysiąca lub więcej koni, teraz człowiek wpada w zachwyt, gdy ich setkę na raz zobaczy.

Tymczasem zbliżyliśmy się niepostrzeżenie do bawołów na jakieś czterysta kroków. Hawkens zatrzymał konia. Zwierzęta, pasąc się, zwolna posuwały się w górę doliny. Na samym przedzie szedł stary byk, którego olbrzymie cielsko wprawiło mnie w zdumienie. Był pewnie ze dwa metry wysoki, a ze trzy długi. Nie umiałem wówczas jeszcze ocenić wagi bizona, ale ten mógł ważyć ze trzydzieści cetnarów: olbrzymia masa mięsa i kości. Natrafiwszy na błotnistą kałużę, zaczął się w niej tarzać z widocznym zadowoleniem.

- To przewodnik - szepnął Sam - najniebezpieczniejszy z całej gromady. Kto się z nim spotka, powinien mieć przy sobie podpisany testament. Biorę na cel młodą krowę na prawo za nim. Uważajcie, gdzie jej wpakuję kulę! Za łopatką skośnie w serce, to najlepszy i najpewniejszy strzał oprócz strzału w oko. Ale chyba wariat celowałby w bizona z przodu, aby go trafić w oko! Stańcie tutaj i wciśnijcie się z koniem w zarośla! Skoro mnie spostrzegą, rzucą się do ucieczki i cała ta dzika gonitwa przejdzie tędy. Ale niech was Bóg broni przed myślą opuszczenia tego miejsca, zanim nie powrócę lub was nie zawołam!

Odjechał zwolna i cicho, dopiero gdy wykonałem jego rozkaz zajmując stanowisko między dwoma krzakami. Dziwne uczucia

mną owładnęły. Czytałem często, jak się poluje na bizony, i pod tym względem nikt by mi nic nowego nie powiedział, ale zawsze jest różnica między tym, co jest napisane, a rzeczywistością, w której się to przeżywa. Tego dnia po raz pierwszy w życiu widziałem bawoły. Zwierząt, na które dawniej polowałem, nie można było nawet porównać z tymi niebezpiecznymi olbrzymami. Należałoby więc przypuścić, że stosownie do rozkazu Sama wstrzymam się od udziału w polowaniu, tymczasem stało się zupełnie inaczej.

Z początku postanowiłem tylko biernie przypatrywać się bizonom, ale teraz uczułem silną, niepohamowaną żądzę działania. Sam postanowił zabić tylko młodą krowę? ”Pfuj - pomyślałem sobie w duchu. - Do tego nie potrzeba odwagi! Prawdziwy mężczyzna bierze się właśnie do najtęższego buhaja!”

Koń zaczął się bardzo niepokoić i przebierać kopytami. Nie widział jeszcze nigdy bawołów, bał się i chciał uciekać. Z wielką trudnością utrzymywałem go na miejscu. Czy nie byłoby lepiej zmusić go do wyjścia naprzeciw buhaja? Spokojnie rozważałem, co zrobić. Decyzja nastąpiła w jednej chwili.

Sam zbliżył się do bizonów na trzysta kroków, po czym dał koniowi ostrogi, pocwałował ku trzodzie i przemknął obok byka, aby się dostać do upatrzonej krowy. Zwierzę stropiło się i zapomniało o ucieczce, a on dobiegł do niego i w przelocie wystrzelił. Ofiara drgnęła i spuściła głowę. Czy padła, tego nie widziałem, gdyż inny widok zajął moją uwagę.

Olbrzymi buhaj zerwał się i łypnął oczyma za Samem Hawkensem. Co za potężne zwierzę! Olbrzymia głowa ze sklepioną wysoko czaszką, szerokim czołem i krótkimi wprawdzie, ale mocnymi, wygiętymi w górę rogami, gęsta, kudłata grzywa na szyi i piersi oraz wznoszący się ku przednim łopatkom grzbiet przedstawiały obraz pierwotnej, surowej siły. Tak, to była niebezpieczna bestia, ale widok jej podsycał pragnienie, by zmierzyć się z jej żywiołową, zwierzęcą siłą.

Nie wiem, czy ja popędziłem deresza, czy też on sam mnie uniósł. Wypadł z zarośli i skierował się w lewo; szarpnąłem go

jednak w prawo i pognałem prosto na byka, który posłyszał, że się zbliżam, odwrócił się, a ujrzawszy mnie, pochylił głowę, aby konia i jeźdźca przyjąć rogami. Sam Hawkens krzyczał z całych sił, ale ja nie miałem czasu spojrzeć w jego stronę. Nie mogłem poczęstować bizona kulą, bo nie stał mi dobrze na strzał, a po wtóre, koń opierał mi się i leciał ze strachu wprost na groźnego olbrzyma. Byk rozstawił tylne nogi, a głowę podniósł w górę, aby wziąć konia na rogi. Wytężając wszystkie siły udało mi się pchnąć deresza w bok o tyle, że wyciągniętym skokiem przeleciał nad zadem byka, który wobec tego uderzył rogami tuż obok moich nóg. Skok niósł konia wprost w kałużę, w której przedtem tarzał się byk. Spostrzegłem to na szczęście w porę i wyjąłem nogi ze strzemion, gdyż koń się pośliznął padając razem ze mną w błoto. Jednak już w następnej chwili stałem trzymając mocno strzelbę w ręku. Jak do tego mogło dojść tak prędko, do dziś dnia nie pojmuję. Bawół obrócił się ku nam i puścił się w niezgrabnych susach ku koniowi, który się tymczasem podniósł chcąc uciec. Gdy byk stanął ku mnie bokiem, złożyłem się do strzału. Teraz rusznica miała pokazać, co naprawdę potrafi. Jeszcze jeden skok, a bizon byłby dobiegł do deresza. Wypaliłem. Olbrzymie zwierzę zatrzymało się w biegu, nie wiadomo, czy ze strachu przed hukiem, czy dlatego, że dobrze trafiłem. Posłałem mu natychmiast drugą kulę. Bawół podniósł zwolna głowę, wydał ryk tak straszny, że ciarki po mnie przeszły, zachwiał się kilka razy i runął na miejscu.

Byłbym krzyknął z radości po tym ciężkim zwycięstwie, gdyby nie było nic ważniejszego do roboty. Koń mój pędził bez jeźdźca, a Sam Hawkens cwałował po drugiej stronie doliny, ścigany przez byka, nie o wiele mniejszego od tego, którego zabiłem. Trzeba wiedzieć, że bizon, raz podrażniony, nie wypuszcza już przeciwnika, a dorównuje przy tym w szybkości koniowi. W takim wypadku okazuje odwagę, chytrość i wytrwałość, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał.

Tak i ten byk doganiał już Hawkensa, który, uciekając przed nim, wykonywał niebezpieczne zwroty, nużące konia. Pomoc była konieczna, gdyż koń nie jest tak wytrzymały jak bawół. Nie

miałem czasu spojrzeć, czy mój buhaj żyje, czy nie żyje. Nabiłem czym prędzej obie lufy i pobiegłem przez dolinę, Hawkens to zobaczył, chciał wyjechać na spotkanie odsieczy i zwrócił konia ku mnie, lecz przez to popełnił straszny błąd, gdyż byk, który pędził tuż za nim, miał teraz konia z boku. Ujrzałem, jak schylił głowę i jednym pchnięciem podrzucił w górę konia i jeźdźca, a kiedy potem obaj upadli na ziemię, zaczął ich wściekle obrabiać szarpiąc bezustannie rogami. Hawkens wołał, jak mógł najgłośniej, o pomoc. Choć dzieliło mnie od niego jeszcze jakich sto pięćdziesiąt kroków, nie mogłem się wahać ani chwili. Strzał z mniejszej odległości byłby niewątpliwie pewniejszy, ale gdybym się spóźnił, Hawkens mógłby umrzeć. Spodziewałem się, że gdybym nawet dobrze nie trafił, to przynajmniej odwrócę uwagę potwora od przyjaciela. Stanąłem, wymierzyłem w lewą łopatkę i wystrzeliłem. Bawół podniósł głowę, jak gdyby nadsłuchiwał, i odwrócił się powoli. Ujrzawszy mnie, rzucił się w moją stronę, ale gnał już ze zmniejszającą się ciągle szybkością, dzięki czemu udało mi się choć z gorączkowym pośpiechem nabić powtórnie. Uporałem się z tym, kiedy byk był ode mnie o jakieś trzydzieści kroków. Wskutek utraty sił biegł już powoli, ale zbliżał się do mnie z pochyloną głową i zakrwawionymi oczyma jak groźne przeznaczenie, którego nie można wstrzymać. Ukląkłem i wymierzyłem. Ten mój ruch sprawił, że bizon na chwilę stanął i podniósł nieco głowę do góry, aby mnie lepiej zobaczyć. Przez to podsunął swoje oczy pod moje lufy. Skorzystałem z tego i wpakowałem mu jedną kulę w prawe, a drugą w lewe oko. Krótkie drżenie przebiegło przez jego cielsko i bestia runęła na ziemię.

Zerwałem się, by pośpieszyć do Sama, ale okazało się to zbyteczne, gdyż on sam znalazł się zaraz koło mnie.

- Halo! - zawołałem doń. - Żyjecie? Nie jesteście ciężko ranni?

- Wcale nie! - odpowiedział. - Boli mnie tylko prawe biodro albo lewe, jeśli się nie mylę; nie mogę się na razie dokładnie zorientować.

- A koń?

- Już po nim. Dycha jeszcze wprawdzie, ale bawół rozdarł mu cały brzuch. Aby mu skrócić cierpienia, musimy go zastrzelić; biedne zwierzę! Czy bizon nie żyje?

- Przypuszczam! Ale zaraz to sprawdzimy. Podszedłszy ku zwierzęciu, przekonaliśmy się, że już nie żyło. Hawkens, odetchnąwszy głęboko rzekł:

- A to mi ten stary, przeklęty wół narobił kłopotu! Krowa postąpiłaby ze mną delikatniej. Oczywiście trudno wymagać od wołów, żeby się zachowywały jak wytworne damy, hi! hi! hi!

- Jakże on wpadł na ten głupi pomysł, żeby was zaczepić?

- Nie widzieliście tego?

- Nie.

- Zastrzeliłem krowę, ale zatrzymałem cwałującego konia dopiero w chwili, kiedy wpadł już na byka. Ten wziął mi to za złe i zabrał się do mnie naprawdę. Posłałem mu wprawdzie czym prędzej kulę, która mi została w drugiej lufie, ale to nie nauczyło go widocznie rozumu, gdyż zaczął mi okazywać przywiązanie, jakim nie mogłem mu się odwzajemnić. Tak zawzięcie mnie ścigał, że mi nie pozwolił nabić powtórnie strzelby. Wobec tego odrzuciłem ją od siebie, jako niepotrzebną. Mając obie ręce wolne, kierowałem teraz koniem skuteczniej, jeśli się nie mylę. Biedna szkapa robiła, co mogła, ale na nic się to nie zdało.

- Dlatego, że wykonaliście ten ostatni fatalny zwrot. Należało jechać łukiem; w ten sposób ocalilibyście konia.

- Byłbym ocalił? Mówicie jak stary. Nie spodziewałem się tego po greenhornie.

- Pshaw! Greenhorny mają także swoje dobre strony!

- Słusznie. Gdyby nie wy, leżałbym teraz tak samo skłuty i poszarpany jak mój koń. Chodźmy do niego! Nieszczęśliwe zwierzę było już martwe. Sam zdjął zeń cugle i siodło i rzekł:

- Teraz muszę udawać własnego konia i wziąć siodło na plecy. To jest korzyść z najechania na byka.

- Tak. A skąd weźmiecie innego konia? - spytałem.

- O to się najmniej troszczę. Schwytam go sobie, jeśli się nie mylę.

- Mustanga?

- Tak. Bawoły już są. Zaczęły wędrówkę na południe, wkrótce więc pokażą się także i mustangi.

- Czy będę mógł wam towarzyszyć?

- Oczywiście. I to musicie poznać. Lecz teraz chodźcie obejrzeć starego stadnika. Takie matuzalemy miewają nadzwyczaj twarde życie.

Poszliśmy. Zwierzę leżało martwe i teraz dopiero można było należycie ocenić olbrzymie kształty jego cielska. Sam spozierał to na mnie, to na bawoła, robił nieokreślone miny i potrząsał głową.

- To niepojęte, wręcz niepojęte! - odezwał się w końcu. - Czy wiecie, gdzie go trafiliście?

- No, gdzie?

- W najwłaściwsze miejsce. To prastare bydlę. Ja byłbym się zastanowił dziesięć razy, zanim poważyłbym się go zaczepić. Czy wiecie, czym wy jesteście?

- Czym?

- Najlekkomyślniejszym człowiekiem na świecie.

- Oho!

- Tak, najlekkomyślniejszym na świecie.

- Lekkomyślność nigdy nie była mym błędem.

- To zaprzyjaźniliście się z nią teraz. Zrozumiano? Kazałem wam przecież nie tykać bawołów i siedzieć w krzakach. Czemu nie posłuchaliście?

- Sam nie wiem.

- Tak! A więc podejmujecie się czynów bez powodu. Czyż to nie lekkomyślność?

- Sądzę, że nie. Z pewnością była jakaś przyczyna.

- To chyba znacie ją!

- Może ta, że wydaliście mi rozkaz, a ja nie pozwalam sobie rozkazywać.

- Tak! Jeśli się ma względem was dobre chęci i ostrzega przed niebezpieczeństwem, to jesteście tak uparci, że narażacie się na nie.

- Nie przybyłem na Zachód, żeby unikać grożących tu niebezpieczeństw.

- Bardzo dobrze, ale jesteście greenhorn i winniście się mieć na baczności. A skoro wam nie w smak było mnie słuchać, dlaczego zaoraliście się właśnie do tego olbrzymiego bydlęcia, a nie do krowy?

- Bo to bardziej po rycersku.

- Po rycersku! Ten greenhorn chce odgrywać rycerza. jeśli się nie mylę, hi! hi! hi!

Śmiał się, aż się za brzuch trzymał, i mówił dalej:

- Jeśli istotnie wbiliście sobie w głowę, żeby występować tu jako rycerz, to wiedzcie, że na Bayarda i Roland brak wam jeszcze wielu rzeczy. Zakochajcie się w krowie bawolej, czekajcie na nią codziennie o zachodzie słońca, dopóki ukochana nie zejdzie do was w dolinę. Wtedy moglibyście nawet pewnego pięknego wieczoru jako trup stać się upragnionym żerem dla kujotów i sępów. Cokolwiek czyni westman, nie zważa nigdy na to, czy to rycerskie, lecz czy mu się przyda.

- Właśnie tak zrobiłem.

- Jak to?

- Zabiłem byka, bo ma więcej mięsa niż krowa.

Patrzył na mnie jakiś czas i zawołał:

- Więcej mięsa? Ten młodzieniec zastrzelił byka dla mięsa, hi! hi! hi! Zdaje się, że wątpiliście o mojej odwadze, ponieważ ja obrałem krowę?

- Tak nie myślałem, chociaż uważałem za dowód większej odwagi wybrać zwierzę silniejsze.

- I jeść mięso buhaja? Okropny z was mądrala, sir! Ten byk dźwiga z pewnością osiemnaście lub dwadzieścia lat na grzbiecie, a składa się ze skóry, kości, ścięgien i żył. Mięsa jego nie można już nazwać mięsem, chyba wygarbowaną skórą; choćbyście je całymi dniami piekli i gotowali, nie zdołacie go rozgryźć. Każdy doświadczony westman woli krowę niż byka, ponieważ jej mięso jest bardziej miękkie i delikatniejsze. Widzicie więc, jaki z was greenhorn. Nie miałem czasu was

obserwować. Jakżeż rozegrał się wasz lekkomyślny atak na bawoła? Opowiedziałem mu wszystko szczegółowo, a gdy skończyłem, zmierzył mnie oczyma i potrząsnął znowu głową.

- Zejdźcie tam na dół - rzekł - i sprowadźcie swego konia. On nam poniesie mięso, które zabierzemy z sobą.

Uczyniłem zadość wezwaniu Hawkensa. Ale przyznaję otwarcie, że jego zachowanie rozczarowało mnie. Wysłuchał mego opowiadania i nie powiedział na to ani słowa, tymczasem ja spodziewałem się jakiegoś, choćby małego, uznania. Zamiast tego wysłał mnie po konia. Nie gniewałem się mimo to na niego, ponieważ nigdy nie robiłem niczego dla pochwał. Kiedy przyprowadziłem konia, Sam klęczał już nad zabitą krową, zdjął zręcznie skórę z tylnych nóg i wykroił polędwicę.

- Tak - rzekł - to będzie pieczeń na dziś wieczór. Ułożymy to mięso razem z siodłem i uzdą na waszym koniu. Przeznaczam to tylko dla siebie, dla was, dla Dicka i Willa. Jeżeli tamci też zechcą, to niech sobie przyjdą tutaj i zabiorą krowę.

- Jeśli jej przedtem nie rozdziobią ptaki i nie pożrą inne dzikie zwierzęta.

- Tak? Cóż z was za mądrala! Rozumie się samo przez się, że nakryjemy ją gałęziami i przyłożymy kamieniami. Chyba tylko niedźwiedź lub jakieś inne wielkie zwierzę mogłoby się potem dostać do tego.

Wyciąłem kilka grubych gałęzi z pobliskich krzaków i naznosiłem ciężkich kamieni. Nakryliśmy nimi krowę. Potem obładowaliśmy konia.

- Co będzie ze stadnikiem? - zapytałem.

- Cóż miałoby się z nim stać?

- Czy nic się dla nas z niego nie przyda?

- Zupełnie nic.

- A skóra?

- Jesteście może garbarzem? Ja nie!

- Czytałem, że skóry zabitych bawołów chowa się w specjalnych kryjówkach.

- Czytaliście o tym? No, skoro tak, to musi to być prawdą, gdyż wszystko, co piszą o Dzikim Zachodzie, to prawda, czysta

prawda, niezachwiana prawda, hi! hi! hi!

- Rzeczywiście są westmani zabijający zwierzęta dla skóry. Ja to już także robiłem, ale teraz nie jest to naszym celem, nie będziemy się wlekli z tą ciężką skórą.

Wyruszyliśmy z powrotem i przybyliśmy do obozu w pół godziny, jakkolwiek musieliśmy iść piechotą, w takiej bowiem odległości znajdowała się dolina, w której położyłem trupem mojego pierwszego, a raczej moje dwa pierwsze bawoły.

Nasz powrót piechotą i brak Samowego konia wywołał ogólne zdziwienie. Pytano o przyczynę.

- Polowaliśmy na bawoły, przy czym buhaj rozpruł mi konia - odrzekł Sam Hawkens.

- Polowali na bawoły, bawoły, bawoły! - zabrzmiało z ust wszystkich. - Gdzież to, gdzie?

- O małe pół godzinki stąd. Przynieśliśmy sobie polędwicę, a wy możecie zabrać resztę.

- Owszem, zaraz! - zawołał Rattler zachowując się tak, jakby pomiędzy mną a nim nic nie zaszło. - Gdzie jest to miejsce?

- Jedźcie naszym śladem, a znajdziecie. Macie oczy, jeśli się nie mylę.

- Ile sztuk było?

- Dwadzieścia.

- A ile zabiliście?

- Jedną krowę.

- Tylko? Gdzież reszta?

- Znikła! Możecie sobie szukać. Nie troszczyłem się i nie pytałem o to, gdzie się wybrały na przechadzkę, hi! hi! hi!

- Ale żeby dwóch strzelców z dwudziestu sztuk zabiło tylko jedną krowę, to szczególne - zauważył jeden z nich pogardliwie.

- Zróbcie to lepiej, jeżeli zdołacie, sir! Wy zabilibyście pewnie wszystkie dwadzieścia i jeszcze kilka ponadto. Zresztą, gdy tam przyjdziecie, znajdziecie jeszcze dwa stare dwudziestoletnie byki, które zastrzelił ten młody dżentelmen.

- Byki, stare byki! - zawołano dokoła. - No, żeby popełnić takie głupstwo i strzelać do dwudziestoletnich byków, na to potrzeba strasznego greenhorna!

- Śmiejcie się z niego, panowie, ale przypatrzcie się dobrze tym bykom! On mi tymi strzałami życie uratował!

- Życie? Jak to?

Domagali się natarczywie, żeby im opowiedzieć o przygodzie, ale Sam odprawił ich tymi słowy:

- Nie mam ochoty mówić teraz o tym. Niech on sam wam opowie, jeżeli uważacie za stosowne iść po mięso dopiero wtedy, kiedy się ściemni.

Miał słuszność, gdyż słońce chyliło się już bardzo ku zachodowi. Zresztą domyślili się oni zapewne, że ja tym mniej będę skłonny do opowiadania, dosiedli więc prędko koni i odjechali wszyscy razem; wszyscy, bo nie dowierzali sobie wzajemnie. Między porządnymi myśliwymi, których łączy przyjacielski stosunek, zwierzyna ubita przez jednego z nich należy do wszystkich, ale ci ludzie nie posiadali poczucia wspólnoty. Później nawet dowiedziałem się, że rzucili się na mięso jak dzicy i wśród kłótni i przekleństw wyrywali nożami, każdy dla siebie, o ile możności, największy i najlepszy kawałek.

Kiedy się oddalili, zdjęliśmy polędwicę i siodło z mojego konia, potem odprowadziłem go na bok, by go rozkiełznać i przywiązać do pala. Przez ten czas Sam Hawkens skreślił dzieje naszej przygody Parkerowi i Stone'owi.

Między nimi a mną stał namiot, nie widzieli mnie więc, kiedy się do nich zbliżałem. Będąc już prawie koło namiotu usłyszałem głos Sama:

- Wierzcie mi, że tak jest, jak mówię. Ten chłopak bierze największego i najsilniejszego byka na cel i kładzie go jak stary strzelec. Udałem oczywiście, że uważam to za lekkomyślność, wyłajałem go nawet, jak się należy, ale wiem; co o nim myśleć.

- Ja także - potwierdził Stone. - Będzie z niego tęgi westman.

- I to wnet - doleciał mnie głos Parkera.

- Tak - rzekł Hawkens. - To urodzony westman. A przy tym ta jego siła fizyczna! Czy nie pociągnął wczoraj ciężkiego wozu sam, bez cudzej pomocy? Gdzie on przejdzie, tam nieprędko trawa wyrośnie. Ale przyrzeknijcie mi jedno!

- Co? - spytał Parker.
- Nie okazujcie mu tego, co o nim sądzimy.
- Czemu?
- Bo przewróciłoby mu się w głowie.
- O nie!
- Tak! To skromny chłopak, bez odrobiny pychy, ale zawsze to źle chwalić człowieka; łatwo przez to popsuć najlepszy nawet charakter. Nazywajcie go więc śmiało greenhornem, bo choć posiada on wszystkie zalety potrzebne dzielnemu westmanowi, nie są one dostatecznie wykształcone. Musi jeszcze wiele ćwiczyć i wiele doświadczyć.
- Czy podziękowałeś mu za ocalenie życia?
- Ani mi to przez myśl nie przeszło!
- Nie? Cóż on pomyśli o tobie?
- To mi jest zupełnie obojętne, jeśli się nie mylę. Ty, rozumie się, uważasz mnie za pozbawionego rozumu i niewdzięcznego draba, ale mniejsza o to. Ważniejsze, żeby on się nie wynosił nad innych i został taki, jaki jest. Byłbym go chętnie uściskał i ucałował!
- Fi! - zawołał Stone. - Ciebie całować! Na uścisk można by się jeszcze odważyć, ale całować, nie!
- Co? Nie? Dlaczego? - zapytał Sam.
- Dlaczego? Cóż to, czy nie widziałeś nigdy jeszcze lusterka albo swej uroczej podobizny w czystej wodzie?
- Tak! Ach! Hm! Wcale przyjemnie wyrażasz się o mnie. Jestem więc poczwarą! A za cóż ty siebie uważasz? Może za piękność? Nie bądź zarozumiały! Daję słowo że na konkursie piękności ja otrzymałbym pierwszą nagrodę, a ciebie by odpalono, hi! hi! hi! Ale to nie należy do rzeczy. Wróćmy do naszego greenhorna. Nie podziękowałem mu, jak już zaznaczyłem, i nie uczynię tego, ale gdy polędwica się upiecze, dostanie najlepszy i najsoczystszy kawałek; sam mu go ukroję, bo na to zasłużył. Wiecie, co jutro zrobię?
- Co? - spytał Stone.
- Wielką przyjemność greenhornowi.
- Czym?

- Dam mu sposobność schwytania mustanga.

- Pojedziesz na mustangi?

- Tak. Przecież muszę się postarać o nowego konia. Tymczasem do polowania pożyczysz mi swego. Ponieważ dzisiaj pokazały się bawoły, więc nadejdą także mustangi. Przypuszczam, że wystarczy wyjechać na prerię, gdzie wytyczaliśmy tor. Tam będą z pewnością mustangi, jeśli tylko przyszły już w te okolice.

Przestałem podsłuchiwać i cofnąłem się w zarośla, aby się zbliżyć do trzech myśliwców z drugiej strony. Nie powinni byli się dowiedzieć, że słyszałem, co nie było dla mnie przeznaczone. Rozniecono ognisko, obok którego wbito w ziemię dwie widlaste gałęzie. Tworzyły one podporę dla rożna sporządzonego z prostego konara. Wsadzono nań całą polędwicę, po czym Hawkens zaczął obracać rożen powoli i z całym kunsztem. W duchu bawiłem się jego pełnymi upojenia minami jakie przy tym stroił.

Kiedy tamci wrócili z mięsem, wszyscy rozniecili sobie także za naszym przykładem kilka ognisk. Oczywiście, nie zachowywali się tak spokojnie jak my. Każdy chciał piec dla siebie, tymczasem zabrakło miejsca i skutkiem tego musieli spożyć swoje porcje w stanie na pół surowym. Ja dostałem rzeczywiście najlepszy kawałek, może trzyfuntowy, i zjadłem go. To nie powinno wywołać zarzutu, że jestem żarłok. Kto sam tego nie przeżył i nie doświadczył, nie uwierzy, jakie masy mięsa potrafi i musi spożywać westman, jeśli chce się utrzymać przy zdrowiu i siłach.

Człowiek potrzebuje do utrzymania życia oprócz pierwiastków nieorganicznych pewnej ilości białka i węglowodanów i może je sobie zdobyć w odpowiednim stosunku, jeśli żyje w kraju cywilizowanym. Ale westman, który nieraz miesiące całe spędza w odludnych okolicach i żyje tylko mięsem zawierającym mało węglowodanów, aby wprowadzić do organizmu konieczną ich ilość, musi zjadać wielkie porcje. Spożywa wprawdzie przy tym niepotrzebnie zbyt wiele białka, które w odżywianiu odgrywa nawet szkodliwą rolę, ale o to

oczywiście nie troszczy się wiele. Widziałem trapera, który zjadł na raz osiem funtów mięsa, a gdy go potem spytałem, czy jest już syty, odparł mi chrząkając:

- Muszę być syty, gdyż więcej nie mam, ale jeśli mi odstąpicie kawałek ze swego, nie będziecie długo czekali, by zniknął wam z oczu.

Podczas jedzenia omawiali westmani nasze polowanie na bawoły. Dowiedziałem się, że nabrali innego wyobrażenia o ”głupstwie”, które popełniłem, gdy ujrzeli obydwa byki. Nazajutrz rano udałem, że się zabieram do pracy, gdy wtem pojawił się Sam Hawkens.

- Zostawcie te instrumenty, sir! Czeka was robota bardziej zajmująca.

- Jaka?

- Jeszcze się o tym dowiecie. Przygotujcie konia. Zaraz ruszamy.

- Na przejażdżkę? Ja mam tu obowiązki.

- Pshaw! Namęczyliście się chyba dość. Zresztą przypuszczam, że wrócimy już w południe. Potem będziecie sobie mierzyli i liczyli, ile wam się spodoba.

Zawiadomiwszy o tym Bancrofta, odjechaliśmy z Samem. Hawkens robił po drodze tajemnicze miny, a ja nie okazywałem wcale, że znam już jego zamiary. Jechaliśmy po zmierzonej już przez nas trasie aż do prerii, o której Sam wczoraj mówił.

Była może na dwie mile angielskie szeroka, a dwa razy dłuższa, otaczały ją lesiste wzgórza. Środkiem płynął szeroki potok, było więc dość wilgoci, skutkiem czego rosła tam bujna trawa. Od północy można się było dostać na tę prerię między dwiema górami, a ku południowi kończyła się doliną ciągnącą się dalej w tym samym kierunku. Kiedyśmy tam przybyli, Hawkens zatrzymał się i przebiegł równinę badawczym spojrzeniem, po czym puściliśmy się dalej na północ wzdłuż brzegu strumienia. Nagle Hawkens wydał okrzyk, osadził konia na miejscu, zsiadł zeń, przeskoczył przez potok i popędził tam, gdzie było widać stratowaną trawę. Zbadawszy to miejsce dokładnie, wrócił, dosiadł konia i pojechał dalej, ale już nie w

kierunku północnym, lecz pod kątem prostym ku zachodowi, tak że wkrótce znaleźliśmy się na zachodniej krawędzi prerii. Tu zsiadł znowu z konia i puścił go na paszę, spętawszy go przedtem starannie. Od chwili zbadania śladów nie wyrzekł ani jednego słowa, ale na jego brodatym obliczu rozlewał się wyraz zadowolenia jak blask słoneczny w lesistej okolicy. Uroczyście zwrócił się do mnie z wezwaniem:

- Zsiądźcie także z konia, sir, i zechciejcie go porządnie spętać! Tu zaczekamy.

- Dlaczego mam go porządnie spętać? - spytałem, pomimo że wiedziałem dobrze, o co chodzi.

- Bo moglibyście go łatwo utracić. Byłem nieraz świadkiem tego, jak konie uciekały w takich okolicznościach.

- Jakich okolicznościach?

- Nie domyślacie się?

- Hm!

- No, to zgadnijcie!

- Mustangi?

- A wy skąd o tym wiecie? - rzekł zdziwiony, rzucając na mnie szybko spojrzenie.

- Czytałem o tym.

- O czym?

- Że konie swojskie, nie spętane należycie, uciekają chętnie z dzikimi mustangami.

- Niech was diabeł porwie! O wszystkim czytaliście i nie łatwo wam zrobić niespodziankę. Wobec tego wolę ludzi, którzy nie umieją czytać!

- Chcecie mi sprawić niespodziankę?

- Naturalnie.

- Polowaniem na mustangi?

- Tak.

- To już niemożliwe. Warunkiem niespodzianki jest zaskoczenie. Tymczasem wy musielibyście i tak powiedzieć mi o tym, zanim się konie ukażą.

- Słusznie, hm! Słuchajcie, mustangi były już tutaj.

- Czy to ich ślady badaliście przed chwilą?

- Tak. Przeszły tędy wczoraj. Była to straż przednia, coś tak jakby zwiadowcy. Trzeba wam wiedzieć, że to zwierzęta ogromnie mądre. Wysyłają zawsze małe oddziały naprzód i na boki, mają swoich oficerów zupełnie jak wojsko, a dowódcą jest stary i doświadczony ogier. Czy się pasą, czy przenoszą się z miejsca na miejsce, zawsze ochronę stada stanowią ogiery, potem bardziej ku środkowi biegną klacze, a w samym środku znajdują się źrebięta. Dzieje się to w tym celu, żeby ogiery mogły bronić klaczy i źrebiąt. Pokazywałem wam już nieraz, jak chwytać lassem mustanga. Zapamiętaliście to sobie?

- Rozumie się.

- Czy macie ochotę złapać sobie jednego?

- Owszem.

- Przed południem nastręczy się po temu sposobność, sir!

- Dziękuję! Ale ja z niej nie skorzystam.

- Nie! Do wszystkich diabłów! Dlaczego?

- Bo nie potrzebuję konia.

- Ależ westman nie ogląda się na to, czy mu potrzeba konia, czy nie!

- Wyobrażałem sobie inaczej prawego westmana.

- Jakiż ma on być?

- Mówiliście wczoraj o białych myśliwych, którzy zabijają masami bawoły, chociaż mięso ich na nic im się nie przyda. Uważam to za krzywdę wyrządzaną zwierzętom i czerwonoskórym, których przez to pozbawia się pożywienia. Wy chyba jesteście tego samego zdania?

- Oczywiście!

- Zupełnie tak samo ma się rzecz z końmi. Nie chcę żadnemu z tych wspaniałych mustangów zabierać wolności, nie mogąc tego usprawiedliwić koniecznością zdobycia konia.

- Uczciwie myślicie, sir, bardzo uczciwie. Tak samo jak wy powinien myśleć, mówić i działać każdy człowiek. Ale kto wam to powiedział, że macie jakiemuś mustangowi odebrać wolność? Ćwiczyliście się w rzucaniu lassem, teraz możecie zrobić próbę. Chcę zobaczyć, czy zdacie egzamin.

- To co innego. Na to przystaję,

- Pięknie! Mnie idzie oczywiście o wierzchowca i wybiorę też sobie odpowiedniego.

Zwracałem wam nieraz na to uwagę i teraz powtarzam: siedźcie mocno w siodle i osadźcie dobrze konia w chwili, kiedy się lasso napręży i nastąpi szarpnięcie. W przeciwnym razie spadniecie, a mustang popędzi i pociągnie na lassie waszego konia, za sobą. Wtedy stracicie własnego konia i zostaniecie pospolitym piechurem, takim jak ja teraz.

Chciał mówić dalej, lecz nagle przerwał i podniósł rękę ku wspomnianym już dwom górom na północnym krańcu prerii. Ukazał się tam jeden samotny koń. Szedł powoli, nie pasąc się, rzucał głową to w jedną, to w drugą stronę i wciągał w nozdrza powietrze.

-Widzicie go? - szepnął Sam cicho, choć koń nie mógł nas usłyszeć. - Czy nie powiedziałem, że nadejdą? To zwiadowca, który wyskoczył naprzód, by zbadać, czy okolica bezpieczna.

Chytry ogier. Jak łypie oczyma na wszystkie strony, jak wietrzy! Nas nie poczuje, bo stoimy twarzą do wiatru. Umyślnie wybrałem to miejsce.

Teraz mustang puścił się kłusem najpierw w prawo, potem w lewo, a w końcu zawrócił i umknął tam, skąd przybył.

- Przypatrzyliście się temu koniowi? - spytał Sam. - Jak mądrze się zachowuje, jak wyzyskał każdy krzak, żeby się ukryć przed obcym wzrokiem! Indiański zwiadowca nie zrobiłby tego lepiej,

- To prawda. Jestem zdumiony.

- Teraz wrócił, aby swemu czworonożnemu generałowi donieść, że droga wolna. Ale się pomylą, hi! hi! hi! Założę się, że najpóźniej za dziesięć minut będą już tutaj. Wiecie, jak zrobimy?

- No jak?

- Pojedziecie czym prędzej aż do wyjścia z prerii i tam zaczekacie, ja zaś udam się ku wejściu i ukryję się w lesie. Gdy stado nadbiegnie, przepuszczę je i popędzę za nim. Stado będzie umykać ku wam, a skoro się pokażecie, cofnie się na powrót. Tak będziemy je sobie nawzajem odsyłać, dopóki nie

upatrzymy dwu najlepszych koni. Wtedy postaramy się je schwytać, po czym ja wybiorę sobie lepszego, a gorszego puścimy wolno. Zgoda?

- Jak możecie o to pytać! Nie rozumiem się zupełnie na chwytaniu koni, a wy jesteście w tym mistrzem, będę się więc trzymał waszych wskazówek.

- Well! Macie słuszność! Siedziałem już na wielu dzikich mustangach i opanowałem niejednego, mogę więc potwierdzić, że w słowie ”mistrz” nie ma zbytniej przesady. A więc zabierajcie się, bo czas ucieka i nie zdążymy zająć naszych stanowisk.

Dosiadłszy znowu koni rozjechaliśmy się on na północ, a ja na południe, na najdalsze krańce prerii. Wiedziałem, że moja ciężka rusznica będzie mi zawadzała podczas chwytania mustangów. Toteż chętnie bym się jej pozbył, gdybym nie znał zasady, że ostrożny westman rozłącza się ze swoją strzelbą tylko wówczas, gdy jest pewny, że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Teraz jednak w każdej chwili mógł się zjawić Indianin lub jakieś drapieżne zwierzę, poprawiłem więc sobie tylko rzemień, by rusznica nie tłukła mnie podczas ruchu po plecach.

Z podnieceniem czekałem na konie. Zatrzymałem się na skraju lasu przytykającego do prerii, przywiązałem jeden koniec lassa do kuli u siodła i położyłem je potem zwinięte w pętlę przed sobą tak, że można je było w stosownej chwili uchwycić.

Drugi kraniec prerii był tak daleko ode mnie, że nie dojrzałbym mustangów, gdyby się tam pojawiły. Musiałby je Sam dopiero na mnie napędzić. Nie minął jednak kwadrans kiedy ujrzałem w dali mnóstwo ciemnych punktów, zwiększających się szybko, w miarę jak się do mnie zbliżały. Z początku nie większe od wróbli, wyglądały potem jak koty, psy, cielęta, aż w końcu przybrały naturalną wielkość koni. To mustangi leciały ku mnie w dzikim popłochu. Co za wspaniały widok przedstawiały te zwierzęta! Grzywy owiewały im szyje, a ogony chwiały się jak pióropusze. Było ich wszystkich ze trzysta

sztuk, a jednak zdawało się, że ziemia drży pod ich kopytami. Pochód prowadził siwy ogier, godny tego, żeby go schwytać i oswoić, gdyby nie to, że żadnemu myśliwemu na preriach nigdy przez myśl nie przejdzie jeździć na koniu jasnej maści, gdyż zdradziłoby go to przed każdym nieprzyjacielem.

Teraz nadeszła stosowna chwila, żeby się im ukazać. Wyjechałem spod drzew na czyste pole. Na skutek tego - siwy przewodnik stada rzucił się wstecz, jak gdyby ugodzony kulą w pierś, stado stanęło, parsknęło głośno i trwożnie, po czym cały szwadron zrobił w tył zwrot, siwek wysunął się znowu na czoło i zwierzęta pognały tam, skąd przybiegły. Ruszyłem za nimi wolno. Nie śpieszyłem się, będąc pewien, że Sam znów je ku mnie napędzi. Podczas tego starałem się wytłumaczyć sobie zjawisko, które mnie zastanowiło. Chociaż konie zatrzymały się przede mną tylko na chwilkę, wydało mi się, że jedno ze zwierząt nie było koniem, lecz mułem. Jakkolwiek pomyłka nie była wykluczona, to przecież zdawało mi się, że widziałem dobrze. Za drugim razem postanowiłem przypatrzyć się lepiej. Rzekomy muł znajdował się w pierwszym szeregu zaraz za siwym przewodnikiem; widocznie konie uważały go nie tylko za równego sobie, ale nawet obdarzyły go pewną rangą.

Po pewnym czasie zwierzęta nadbiegły znowu i znów na mój widok zawróciły. Powtórzyło się to raz jeszcze, a wtedy spostrzegłem wyraźnie, że się nie pomyliłem. Między nimi był muł, jasnobrunatny, z ciemnym pasem wzdłuż grzbietu, robił nawet bardzo dobre wrażenie mimo wielkiej głowy i uszu. Muły mniej są wybredne niż konie, mają chód o wiele pewniejszy, a nad przepaścią nie dostają zawrotu głowy. Te zalety ważą na szali na ich korzyść, choć z drugiej strony, zwierzęta te są bardzo uparte. Pozwalają się nieraz raczej na śmierć zabatożyć, a nie zrobią kroku naprzód, pomimo że nie dźwigają ciężaru i idą po drodze gładkiej jak stół. Po prostu nie chcą.

Wydało mi się, że ten muł ma w sobie dużo ognia i że jego oczy błyszczą nawet jaśniej i inteligentniej niż u koni, postanowiłem więc go złowić. Nasunęło mi się przy tym

przypuszczenie, że pewnie uciekł właścicielowi i pobiegł za przelatującym stadem dzikich koni, przy którym już pozostał.

Teraz Hawkens znów zawrócił stado ku mnie i zbliżył się sam tak, że go już dokładnie widziałem. Mustangi nie mogły się ruszyć ani w tył, ani naprzód, rzuciły się więc w bok, a my za nimi. Stado rozdzieliło się, a muł został w głównym oddziale przy boku siwka, dając dowód nadzwyczajnej rączości i wytrwałości. Trzymałem się więc tego oddziału, a Sam zamierzał widocznie uczynić to samo.

- Brać w środek, ja z lewej, wy z prawej! - zawołał do mnie.

Dawszy koniom ostrogi, nie tylko dorównaliśmy w szybkości mustangom, lecz nawet dopędziliśmy je, zanim się dostały do lasu. Tam galopować nie mogły, zawróciły więc, aby przelecieć pomiędzy nami. Chcąc temu zapobiec, zmniejszyliśmy z Hawkensem odległość między sobą, a konie rozprószyły się jak gromada kuropatw, na które uderzył jastrząb. Siwek i muł, oddzieliwszy się od reszty, przemknęły pomiędzy nami, a my popędziliśmy za nimi. Teraz Sam zawołał do mnie, kręcąc już lassem nad głową:

- Znowu greenhorn! Zostaniecie nim wiecznie!

- Dlaczego?

- Bo chcecie wziąć siwka, a tak robi tylko greenhorn, hi! hi! hi!

Odpowiedziałem mu, lecz on mnie nie usłyszał, gdyż głośny jego śmiech zagłuszył moje słowa. A więc rzeczywiście sądził, że polowałem na siwka! A niech tam! Odstąpiłem mu muła i skręciłem na bok, gdzie mustangi pędziły w różnych kierunkach, parskając i rżąc ze strachu. Hawkens znalazł się już tak blisko muła, że rzucił lasso, którego pętla owinęła się dokoła szyi zwierzęcia. Teraz Sam powinien był osadzić konia i poderwać go wstecz, jak mnie o tym gorliwie przedtem pouczał, aby wytrzymać szarpnięcie, skoro się lasso napręży.

Zrobił to istotnie, lecz o mgnienie oka za późno, tak że to gwałtowne szarpnięcie powaliło jego konia; widocznie nie zawrócił i nie stanął w porę silnie na nogach. Sam Hawkens wywinął strasznego koziołka w powietrzu i spadł na ziemię, a koń wstał natychmiast i popędził naprzód. Wskutek tego lasso

zwolniło ucisk, a muł, który się nie przewrócił, zaczerpnął powietrza i pocwałował dalej, ciągnąc za sobą przez prerię konia, lasso bowiem przywiązane było do kuli u siodła.

Pośpieszyłem do Sama zobaczyć, czy mu się nic nie stało. On jednak wstał i zawołał:

- Do stu piorunów! Koń Dicka ucieka mi razem z mułem bez pożegnania, jeśli się nie mylę!

- Czyście się potłukli?

- Nie. Złaźcie prędko i dajcie mi swego konia!

- Na co?

- Muszę gonić za zbiegami. No, złaźcie prędzej!

- Ani mi się śni! Znowu wywiniecie kozia i oba konie pójdą do stu diabłów.

To rzekłszy, ruszyłem za mułem, który odbiegł już na dość znaczną odległość, ale popadł teraz w zatarg z koniem. Koń biegł nieregularnie, zmieniając co chwila kierunek, a to wstrzymywało oczywiście muła związanego z nim lassem, toteż dopędziłem go szybko. Nie używając własnego lassa, chwyciłem za tamto i owinąłem je sobie kilka razy wokół ręki w nadziei, że teraz opanuję już muła na pewno. Z początku pozwoliłem mu biec dalej i cwałowałem z tyłu z obydwoma końmi, ściągając stopniowo rzemień tak, że pętla zwężała się coraz bardziej Udało mi się przy tym kierować do pewnego stopnia zwierzęciem, bo pozornym rozluźnianiem i naprężaniem lassa doprowadziłem do tego, że zawróciło ono łukiem tam, gdzie stał Sam Hawkens. Teraz ściągnięta nagle pętla zacisnęła się mułowi na szyi tak silnie, że stracił oddech. i runął na ziemię.

- Trzymajcie mocno, póki nie pochwycę tego gałgana, a potem puśćcie! - zawołał Sam. Przyskoczył i pomimo że muł walił nogami na wszystkie strony, stanął tuż obok niego.

- Teraz! - zakomenderował.

Puściłem lasso, muł zaczerpnął powietrza i podniósł się w górę, ale w tej chwili Sam skoczył mu na grzbiet. Zwierzę stało przez chwilę nieruchomo jak skamieniałe z grozy, wkrótce jednak zaczęło wyrzucać to przednie, to zadnie nogi. Potem

skoczyło nagle wszystkimi czterema nogami w bok i wygięło grzbiet jak kot, ale Sam siedział mocno.

- Nie zrzuci mnie! - zawołał. - Teraz spróbuje ostatniego środka i zechce ze mną uciekać. Zaczekajcie tu na mnie, wkrótce przyprowadzę go z powrotem oswojonego!Ale co do tego Hawkens się pomylił. Muł wcale nie zamierzał z nim uciekać, lecz rzucił się nagle na ziemię i zaczął się tarzać grożąc Samowi połamaniem wszystkich żeber: jeździec musiał zejść z siodła. Zeskoczyłem więc, chwyciłem wlokący się po ziemi koniec lassa i owinąłem je dwukrotnie dokoła dość grubego pnia pobliskiego drzewa. Muł, strząsnąwszy z siebie jeźdźca, chciał pognać w dal, ale pień wytrzymał, lasso się naprężyło, a pętla ścisnęła znowu silnie szyję zwierzęcia, wskutek czego runęło po raz drugi na ziemię.

Sam Hawkens pochylił się, macał się po żebrach i po nogach, stroił miny, jak gdyby się najadł kiszonej kapusty z powidłami, i rzekł:

- Puśćcie tę bestię; nikt jej nie da rady, jeśli się nie mylę!

- Jeszcze czego! Nie mogę się dać zawstydzić mułowi, którego ojciec nie był dżentelmenem, lecz zwyczajnym osłem. Musi być mi posłuszny. Uważajcie!

Odwinąłem lasso z pnia drzewa i stanąłem nad zwierzęciem w szerokim rozkroku. Skoro tylko muł dobrze odetchnął, zerwał się z ziemi. Teraz chodziło przede wszystkim o to, by go silnie ścisnąć nogami. Gdy muł użył wszystkich środków wypróbowanych wobec Sama, podniosłem zwisające mu z szyi lasso, zwinąłem je i ująłem silnie tuż za pętlicą. Skoro tylko spostrzegłem, że zwierzę ma zamiar rzucić się na ziemię, zaciskałem pętlicę i tak, ściskając przy tym kolana, utrzymałem je na nogach. Była to ciężka walka, rzekłbym - trafił swój na swego. Zacząłem się pocić z wysiłku, ale i mułowi pot spływał z całego ciała, a z pyska opadały wielkie płaty piany. Ruszał się coraz słabiej, wściekłe parskanie przeszło w krótki kaszel, aż w końcu padł pode mną nie z własnej woli, lecz dlatego, że zabrakło mu sił. Legł na ziemi bez ruchu z przewróconymi

oczyma. Zaczerpnąłem głęboko powietrza, zdawało mi się, że wszystkie żyły i ścięgna we mnie się porwały.

- Wielkie nieba, co z was za człowiek! - zawołał Sam. - Mieliście więcej sił niż to bydlę! Zlęklibyście się, gdybyście zobaczyli swoją twarz!

- Wierzę.

- Oczy wam wyłażą, wargi popuchły, a z policzków lada chwila krew tryśnie.

- To przydarza się greenhornom, którzy nie dają się wyrzucić z siodła, gdy tymczasem ktoś inny, mistrz w polowaniu na mustangi, jako mądrzejszy, pozwolił się strącić przywiązawszy poprzednio własnego konia do muła i puściwszy obydwa na przechadzkę.

Poczciwiec zrobił jeszcze bardziej płaczliwą minę i rzekł zgnębionym głosem:

- Milczcie o tym, sir! Zapewniam was, że nawet najlepszemu myśliwcowi może się coś takiego przytrafić. Mieliście dobre dni wczoraj i dzisiaj.

- Spodziewam się, że więcej takich dobrych dni dożyję. Tym gorsze były one dla was. Jakżeż tam z waszymi żebrami i innymi kośćmi?

- Nie wiem. Pozbieram je i zliczę kiedyś, gdy mi się zrobi lepiej. Teraz kłapią mi w całym ciele. Takiej bestii nie miałem jeszcze pod sobą! Przypuszczam, że teraz nabierze wreszcie rozumu!

- To się już stało. Popatrzcie, jaka zmęczona, aż litość bierze. Założymy jej uzdę i siodło i pojedziecie na niej do domu.

- Zacznie podskakiwać na nowo!

- Nie bójcie się! Dosyć się już nabiegała. To mądre zwierzę, z którego będziecie jeszcze bardzo radzi.

- I ja tak sądzę. Od samego początku upatrzyłem ją sobie, a wy siwka, co było oczywiście ogromnym głupstwem.

- Czy jesteście tego pewni?

- Rozumie się, że było to głupstwo!

- Nie o to mi chodzi, lecz o to, czy rzeczywiście wiecie, że wybrałem sobie siwka.

- A cóż?
- Także muła.
- Naprawdę?
- Tak. Chociaż jestem greenhorn, to jednak wiem już, że siwek na nic się nie przyda westmanowi. Muł spodobał mi się od razu na pierwszy rzut oka.
- Trzeba wam przyznać, że posiadacie dobry rozum… koński.
- Życzę wam, żeby wasz ludzki był tak samo dobry, kochany Samie! Pomóżcie mi dźwignąć muła z ziemi!

Podnieśliśmy go, on zaś stanął spokojnie, drżąc na całym ciele. Nie opierał się też przy zakładaniu siodła i uzdy. Gdy go Sam dosiadł, był mu posłuszny jak najlepiej ujeżdżony koń.

- Poznać, że ta mulica miała już pana - rzekł Sam - i to dobrego jeźdźca. Uciekła mu pewnie. Wiecie, jaką jej dam nazwę?
- No?
- Mary. Jeździłem już kiedyś na mulicy, która się nazywała Mary, nie potrzebuję więc wymyślać innego imienia.
- A więc muł Mary, a strzelba Liddy!
- Tak, to bardzo miłe imiona, nieprawdaż? Ale, ale muszę was poprosić jeszcze o jedną małą grzeczność.
- Jaką?
- Nie mówcie o tym, co się tu stało. Przysługę tę będę zawsze bardzo wysoko cenił.
- Co też wygadujecie! Tego, co się samo przez się rozumie, nie ceni się wcale wysoko.
- Ja myślę inaczej. Tę bandę w obozie śmiech by porwał, gdyby się dowiedziała, w jaki sposób Sam Hawkens doszedł do posiadania swej nowej, uroczej Mary! Mieliby uciechę, wielką uciechę. Jeśli o tym nie wspomnicie, to ja…
- Proszę was, bądźcie cicho! - przerwałem. - Nie traćcie słów niepotrzebnie. Jesteście mym nauczycielem i druhem. To wystarczy.

Jego małe, chytre oczka zwilgotniały.

- Tak, jestem wam druhem, sir - zawołał z zapałem - i gdybym wiedział, że darzycie mnie także odrobiną miłości, to serce

moje byłoby pełne radości i wesela!

Podałem mu rękę i odrzekłem:

- Mogę wam sprawić tę uciechę, drogi Samie. Bądźcie pewni, że kocham was tak, no... jak się kocha dobrego, zacnego wuja. Wystarczy wam to?

- W zupełności, sir, w zupełności! Jestem tym tak zachwycony, że chciałbym o ile możności zaraz tu, na miejscu, wam się odwzajemnić. Powiedzcie, co mam uczynić! Czy mam, czy mam... na przykład tę nową Mary zjeść tu w waszych oczach ze skórą i kośćmi? Czy może wolicie, żebym sam siebie zamarynował, poćwiartował i połknął? Czy...

- Wstrzymajcie się! - zawołałem ze śmiechem.

- W obu tych wypadkach bym was utracił, bo w pierwszym musielibyście pęknąć, a w drugim zginąć wskutek niestrawności, połknąwszy perukę, której nie zniósłby wasz żołądek. Zrobiliście mi już dość dobrego i jeszcze nieraz okażecie mi swoją miłość. Darujcie więc na razie życie Mary i sobie i starajcie się, żebyśmy wkrótce wrócili do obozu. Chciałbym popracować.

- A cóżeście tutaj robili? Jeśli to nie była praca, to nie wiem, co nazwać pracą.

Przywiązałem Dickowego konia lassem do mego i odjechaliśmy. Mustangi dawno już oczywiście pouciekały, a muł był tak posłuszny, że Sam kilkakrotnie zauważył:

- Ona przeszła szkołę, ta Mary, i to bardzo dobrą szkołę! Za każdym krokiem coraz bardziej czuję i poznaję, że będę miał dobrego wierzchowca. Ona sobie teraz przypomina, co niegdyś umiała, a co między mustangami wyleciało jej z głowy. Prawdopodobnie ma nie tylko temperament, lecz także charakter.

- Jeśli go jeszcze nie ma, to możecie ją tego nauczyć. Nie jest jeszcze na to za stara.

- Ile ma lat, jak sądzicie?

- Z pięć, nie więcej.

- Ja też tak myślę. Zbadam później, czy się nie mylę. Wam to zwierzę zawdzięczam, tylko wam. Były to dla mnie dwa dni złe,

bardzo złe, ale za to dla was pełne chwały. Czy przypuszczaliście, że nauczycie się polować na bizony i mustangi w tak krótkich odstępach czasu?

- Czemu nie? Tu na Zachodzie trzeba być przygotowanym na wszystko. Spodziewam się, że poznam jeszcze inne polowania.

- Hm, tak. Życzę wam, żebyście z nich wyszli tak jak wczoraj i dzisiaj. Zwłaszcza wczoraj życie wasze wisiało na włosku. Nie zapominajcie nigdy, że jesteście greenhorn. Ten człowiek pozwala spokojnie zbliżyć się do siebie bawołów! i strzela mu w oczy! Czy to kto widział? Jesteście jeszcze niedoświadczeni i nie doceniacie bizonów. Uważajcie na siebie lepiej w przyszłości i nie ufajcie sobie zanadto! Polowanie na bizona jest jednym z najniebezpieczniejszych. Jest jeszcze tylko jedno bardziej niebezpieczne.

- Jakie?

- Na niedźwiedzia.

- Czy na czarnego z żółtym pyskiem?

- Baribala? Z tego się śmieję, on jest tak dobroduszny i spokojny, że można go nauczyć prasować i haftować. Myślę o grizzlim, szarym niedźwiedziu z Gór Skalistych. Pewnie czytaliście o nim, jak zresztą o wszystkim?

- Tak.

- To się cieszcie, jeżeli nie ujrzycie go nigdy. Gdy się podniesie, jest od was wyższy o dwie stopy, a jak raz kłapnie zębami, to wam z głowy zrobi miazgę. Napadnięty i wprawiony we wściekłość, nie spocznie, dopóki nie rozszarpie i nie zniszczy wroga.

- Albo wróg jego!

- Oho! Patrzcie, znowu ta wasza lekkomyślność! Mówicie o wielkim, niezwyciężonym, szarym niedźwiedziu, jak gdyby chodziło o małego, niegroźnego szopa.

- Tak nie jest. Nie lekceważę go, ale też nie godzę się z tym, że jest niezwyciężony. Nie istnieją drapieżne zwierzęta, których nie można by pokonać. Tak samo ma się rzecz z grizzlim.

- Czy i to znaleźliście w książkach?

- Tak.

- Hm! Zdaje mi się, że czytane przez was książki są głównym powodem waszej lekkomyślności. Jesteście człowiekiem rozumnym, jeśli się nie mylę, ale potrafilibyście pewno pójść tak samo na szarego niedźwiedzia jak wczoraj na bizony.

- Gdybym nie mógł inaczej, to tak.

- Nie mógł inaczej! Głupstwo! Co przez to rozumiecie? Każdy może inaczej, jeśli chce!

- To znaczy, że może uciec, jeżeli jest tchórzem. Czy o tym myślicie?

- Tak, ale o tchórzostwie nie ma przy tym mowy. To nie tchórzostwo uciekać przed grizzlim. Przeciwnie, zaatakować go jest samobójstwem, czystym samobójstwem!

- Tu nasze zdania się różnią. Gdy zwierzę zaskoczy mnie niespodzianie i zabraknie mi czasu do ucieczki, muszę się bronić. Gdy się rzuci na mego towarzysza, idę mu na pomoc. To są dwa wypadki, w których nie mogę lub nie wolno mi uciekać. Poza tym uważam, że odważny westman zabierze się do szarego niedźwiedzia nawet bez konieczności, po to tylko żeby dać dowód swej odwagi i unieszkodliwić niebezpiecznego drapieżnika, a przy tym pokosztować szynki i łap.

- Jesteście niepoprawni, aż cierpnę ze strachu o was. Dziękujcie Bogu, jeśli nie zaznajomicie się z tymi łapami i szynką! Nie taję oczywiście, że to największe przysmaki na ziemi, przewyższające nawet polędwicę bawolą.

- Prawdopodobnie wasze obawy o mnie są na razie zbyteczne. A czyż w tych stronach w ogóle żyją szare niedźwiedzie?

- Czemu nie? Grizzli przebywa w górach, posuwa się wzdłuż rzek, a czasem nawet wychodzi na prerie. Biada temu, kogo napotka. Przestańmy już o tym mówić!

Nie przeczuwał tak samo jak ja, że już nazajutrz potoczy się inna rozmowa na ten temat i że to niebezpieczne zwierzę wejdzie nam w drogę. Nie starczyło już zresztą czasu na dalsze roztrząsanie tej sprawy, gdyż przybyliśmy do obozu, który posunięto tymczasem naprzód o odmierzoną część trasy. Bancroft wraz z trzema surweyorami zabrał się tęgo do roboty, aby w końcu pokazać, co potrafi. Wywołaliśmy ogólny podziw.

- Muł, muł! - wołano. - Skąd go macie?

- Przysłano mi go - odrzekł Sam poważnie.

- Nie może być! A kto?

- Pośpieszną pocztą, pod opaską za dwa centy. Czy chcecie zobaczyć opakowanie?

Kilku się zaśmiało, a reszta jęła urągać, ale Sam osiągnął swój cel; nie pytano go więcej. Nie zauważyłem, czy wobec Dicka Stone'a i Willa Parkera okazał się skłonniejszy do wynurzeń, gdyż zabrałem się natychmiast do pomiarów, które też dzięki temu posunęły się naprzód tak prędko, że mogliśmy nazajutrz zabrać się już do doliny, gdzie spotkaliśmy się onegdaj z bizonami. Rozmawiając o tym wieczorem, spytałem Sama, czy bawoły mogłyby nam przeszkodzić, ponieważ, jak się zdawało, obrały sobie tamtędy drogę, a dotychczas przeszła tylko przednia ich straż i należało wobec tego przygotować się na to, że, ukaże się także stado główne.

- Nie sądzę, sir - odrzekł. - Bizony nie są głupsze od mustangów. Odpędzone przez nas forpoczty wróciły i przestrzegły stado, toteż pójdzie ono z pewnością w zupełnie innym kierunku i będzie unikało tej doliny.

Z brzaskiem dnia przenieśliśmy nasz obóz do górnej części doliny bez udziału Hawkensa, Stone'a i Parkera, pierwszy z nich bowiem, chcąc ujeździć swoją Mary, udał się na prerię, a obaj pozostali postanowili mu towarzyszyć.

My, jako surweyorzy, zajęliśmy się ustawianiem tyczek pomiarowych przy pomocy kilku podwładnych Rattlera. On sam, nic nie robiąc, włóczył się z innymi po okolicy. Zbliżyliśmy się wreszcie do miejsca, w którym zabiłem niedawno oba bawoły. Nie zauważywszy z pewnej odległości zwłok starego byka, zdziwiłem się niemało, podszedłem bliżej i zobaczyłem szeroki ślad ciągnący się od miejsca, na którym zwierzę leżało, ku niedalekim zaroślom. Trawa była zgnieciona na szerokość dwu łokci, jakby ktoś wlókł coś po niej.

- Do stu piorunów! - zawołał Rattler. - Czy to możliwe? Kiedy zabieraliśmy stąd mięso, przekonałem się zbadawszy

dokładnie, że obydwa buhaje były martwe, tymczasem ten widocznie jeszcze żył.

- Tak sądzicie?

- Tak jest. A może myślicie, że martwy bawół sam potrafi się oddalić?

- A czy musiał się sam oddalić? Mógł go ktoś inny usunąć.

- Tak? A kto?

- Na przykład Indianie. Trochę dalej na północ znaleźliśmy ślad stopy Indianina.

- Tak! Jaki rozumny i mądry bywa taki greenhorn!

Gdyby byka zabrali Indianie, to skąd by się oni tu wzięli?

- Skądkolwiek.

- Bardzo słusznie. Może nawet z nieba spadli? Ja myślę inaczej. W bawole kołatało jeszcze życie, a gdy odzyskał trochę sił, zawlókł się w zarośla i tam oczywiście zdechł.. Rattler poszedł ze swoimi ludźmi za śladem, przypuszczając może, że pośpieszę za nimi. Tymczasem nie uczyniłem tego, gdyż nie podobał mi się szyderczy ton, jakim do mnie przemawiał, poza tym czekała mnie robota. Zresztą było mi dość obojętne, gdzie się podział trup byka. Zabrałem się więc do pracy, ale zaledwie wziąłem tyczkę do ręki, gdy z zarośli zabrzmiały okrzyki przerażenia, huknęły dwa czy trzy strzały i doleciał mnie głos Rattlera:

- Na drzewa, prędko na drzewa, bo śmierć! On nie umie się wspinać!

Kogo miał na myśli mówiąc, że nie umie się wspinać? Wtem wypadł z zarośli jeden z jego ludzi pędząc ogromnymi skokami jak człowiek ogarnięty śmiertelnym strachem. - Co się stało? - zapytałem głośno.

- Niedźwiedź, olbrzymi niedźwiedź, szary grizzli! - sieknął przebiegając koło mnie.

Równocześnie krzyknął jakiś jękliwy głos:

- Na pomoc, na pomoc! Ma mnie! Oh, oh!

Tak ryczeć mógł tylko człowiek, przed którym rozwarły się wrota śmierci. Groziło mu widocznie wielkie niebezpieczeństwo, należało więc przyjść mu z pomocą... Ale

jak? Strzelbę zostawiłem w namiocie, ponieważ mi przeszkadzała w pracy. Nie było to bynajmniej lekkomyślne, gdyż jako surweyorzy mieliśmy do obrony westmanów.

Gdybym pobiegł do namiotu, człowiek ów byłby rozszarpany, zanim zdołałbym powrócić.

Musiałem więc pójść tak, jak stałem, tylko z nożem i rewolwerami za pasem. Ale cóż ta broń znaczy wobec szarego niedźwiedzia! Grizzli to bliski krewny wymarłego już niedźwiedzia jaskiniowego i należy raczej do czasów przedhistorycznych niż do teraźniejszości. Dochodzi on do dziesięciu stóp wysokości, a ja sam później zabijałem okazy ważące po tyleż cetnarów. Obdarzony jest taką siłą muskułów, że biegnie z łatwością z jeleniem, źrebięciem lub cielęciem bawolim w pysku. Tylko jeździec na rączym i silnym koniu zdoła przed nim umknąć.

Wobec olbrzymiej siły, szalonej odwagi i niezmordowanej wytrwałości szarego niedźwiedzia Indianie uważają jego zabicie za czyn ogromnie zuchwały. Skoczyłem w zarośla. Ślad prowadził dalej, aż do miejsca gdzie zaczynały się drzewa. Tam zawlókł niedźwiedź stadnika i stamtąd też przedtem wyszedł; dlatego nie widzieliśmy jego śladów, bo zatarł je ciągnąc bizona.

Była to groźna chwila. Za mną wołali surweyorzy biegnąc do namiotu po broń, przede mną krzyczeli westmani, a wśród tego brzmiały wrzaski boleści człowieka, którego niedźwiedź dostał w swoje łapy. Zbliżałem się za każdym skokiem. Wtem usłyszałem głos niedźwiedzia, a raczej nie głos, gdyż i tym różni się ten niedźwiedź od innych gatunków, że nie mruczy, lecz w gniewie lub bólu w szczególny sposób parska i prycha głośno i szybko.

Nareszcie stanąłem na miejscu. Przede mną leżało zupełnie rozszarpane cielsko bizona, z prawej i lewej strony krzyczeli westmani, którzy prędko pouciekali na drzewa i czuli się tam dość bezpieczni, gdyż nigdy nie widziano, by szary niedźwiedź piął się na drzewo. Poza trupem bawolim jeden z westmanów starał się dostać na drzewo, ale niedźwiedź go przy tym zaskoczył. Człowiek ten leżał górną połową ciała na pierwszym

niskim konarze, obejmując pień obu rękami, a grizzli podniósłszy się szarpał przednimi łapami jego nogi i brzuch. Jeden rzut oka przekonał mnie, że westman przepadł bez ratunku. Mogłem więc teraz uciec bez narażania się na jakiekolwiek zarzuty, ale ten widok podziałał na mnie z nieodpartą potęgą. Porwałem jedną z porzuconych strzelb, ale niestety nie było już w niej naboju. Odwróciłem się, przeskoczyłem przez bawoła i zadałem niedźwiedziowi kolbą z całej siły cios w czaszkę. Ale cóż? Strzelba rozprysnęła się jak szkło w moich rękach, zyskałem jednak tyle przynajmniej, że odwróciłem uwagę niedźwiedzia od ofiary. Zwrócił ku mnie głowę, ale nie jednym rzutem jak drapieżne zwierzę z gatunku kotów, lecz powoli, jakby się zdziwił tym głupim atakiem. Mierząc mnie swoimi małymi oczyma, zdawał się namyślać, czy ma zostać przy swojej ofierze, czy pochwycić mnie. Tych kilka chwil ocaliło mi życie, gdyż wpadłem na myśl, w mym położeniu najszczęśliwszą i jedyną. Wyrwałem zza pasa rewolwer, podbiegłem tuż do niedźwiedzia i strzeliłem mu cztery razy w oczy. Dokonałem tego oczywiście tak prędko, jak tylko mogłem nadążyć, po czym odskoczyłem daleko w bok i stanąłem przypatrując się z dobytym nożem.

Gdybym się nie ruszył z miejsca, byłbym to przypłacił życiem, gdyż oślepione zwierzę puściło czym prędzej drzewo i rzuciło się na miejsce, na którym stałem przed chwilą. Nie znalazłszy mnie tam, niedźwiedź zaczął szukać mnie wśród groźnego sapania i wściekłych uderzeń łapami. Jak szalony kręcił się na czterech łapach w kółko szarpał ziemię, skakał na wszystkie strony, sięgając łapami daleko od siebie, aby mnie chwycić. Nie udało mu się to, gdyż na szczęście trafiłem celnie. Byłby go może w końcu węch zaprowadził do mnie, ale szalona wściekłość zagłuszyła w nim instynkt.

Wreszcie zajął się swoimi ranami, nie dbając już o tego, który je zadał. Usiadł, podniósł się w tej pozycji i parskając, i klapiąc zębami, zaczął sobie przecierać oczy przednimi łapami. Stanąłem przy nim czym prędzej i wbiłem mu dwa razy nóż między żebra. Sięgnął ku mnie natychmiast, ale znowu na

próżno, gdyż mnie już przy nim nie było. Nie trafiłem go w serce, miał więc jeszcze siły szukać mnie ze zdwojoną zajadłością może przez dziesięć minut. Utracił jednak w tym czasie wiele krwi i zmęczył się widocznie. Usiadł na powrót i znów zaczął przecierać oczy, dając mi sposobność do następnych dwu pchnięć nożem, o wiele skuteczniejszych.

Odskoczyłem, a on opuścił przednie łapy na ziemię, podbiegł, chwiejąc się i chrapiąc, naprzód, potem w bok i z powrotem. Chciał się podnieść, ale sił mu już nie starczyło. Upadł na bok, potoczył się, na próżno usiłując wstać. Wreszcie wyciągnął się i legł spokojnie.

- Dzięki Bogu! - krzyknął Rattler z drzewa. - Bestia nie żyje. Byliśmy w okropnym niebezpieczeństwie.

- Nie wiem, na czym ta okropność polegała - odrzekłem. - Przecież postaraliście się o bezpieczeństwo swej osoby. Teraz możecie zleźć.

- Nie, jeszcze nie! Zbadajcie wpierw, czy niedźwiedź naprawdę zginął.

- To zbyteczne.

- Nie powinniście tak twierdzić. Wy nie macie pojęcia, jak wielką żywotność posiada takie bydlę. Zbadajcie zatem!

- Czy może dla was? Jeśli chcecie się dowiedzieć, czy żyje, to przekonajcie się sami! Wszak jesteście słynnym westmanem, a ja tylko greenhornem!

Podszedłem do towarzysza wiszącego jeszcze na konarze. Przestał już jęczeć i nie ruszał się wcale. Z jego wykrzywionej twarzy oczy patrzyły ku mnie szklanym wzrokiem.

- Puśćcie się, sir! - zawołałem. - Ja was zdejmę.

Nic nie odpowiedział, ani jednym ruchem nie okazał, że rozumie moje słowa. Prosiłem jego towarzyszy, żeby pozłazili z drzew i pomogli mi, ale słynni westmani nie dali się do tego nakłonić, dopóki nie przewróciłem kilka razy niedźwiedzia, dowodząc w ten sposób, iż rzeczywiście nie żyje. Wówczas odważyli się zejść i zdjęli wraz ze mną na ziemię okropnie poszarpanego człowieka, nie bez trudności, gdyż ramiona jego trzymały silnie drzewo. Już nie żył.

Ale ten okropny zgon nie wzruszył widocznie jego towarzyszy, gdyż zaraz odwrócili się od niego ku niedźwiedziowi, a ich dowódca powiedział:

- Teraz będzie odwrotnie: przedtem niedźwiedź chciał nas pożreć, a teraz my pożremy jego. Prędzej, ludzie, zdjąć skórę, dobierzemy się do szynki i do łap!

Dobył noża i ukląkł chcąc swój zamiar od razu wprowadzić w czyn. Lecz ja zauważyłem:

- Byłby to dla was większy zaszczyt, gdybyście spróbowali na nim swojego noża, dopóki żył. Teraz za późno. Nie trudźcie się!

- Co? - wybuchnął. - Może mi przeszkodzicie w wykrojeniu pieczeni?

- Oczywiście, mr. Rattler!

- Jakim prawem?

- Wielkim i niezaprzeczonym. Ja przecież powaliłem niedźwiedzia.

- To nieprawda. Nie będziecie chyba twierdzili, że greenhorn zabił nożem szarego niedźwiedzia. Myśmy strzelili kilka razy do niego, gdyśmy go ujrzeli.

- A potem pouciekaliście czym prędzej na drzewa. Tak, to prawda, zupełna prawda!

- Ale nasze kule dosięgły go i od nich też zginął ostatecznie, a nie od tych kilku ukłuć szpilką, jakie zadaliście mu, gdy już ledwie dyszał. Niedźwiedź jest nasz i zrobimy z nim, co nam się spodoba. Zrozumiano?

Chciał rzeczywiście zabrać się już do roboty, lecz go przestrzegłem:

- Odstąpcie natychmiast, mr. Rattler, bo nauczę was zważać na moje słowa! Pamiętajcie! Gdy mimo to wbił nóż w futro niedźwiedzia, pochwyciłem go, tak jak klęczał, rękami za biodra i cisnąłem nim o najbliższe drzewo, aż zatrzeszczało. W tej chwili gniewu było mi zupełnie obojętne, czy sobie przy tym co połamie, czy nie. Kiedy jeszcze leciał, wyrwałem drugi nabity rewolwer zza pasa, aby się obronić, gdyby się na mnie chciał rzucić, Rattler podniósł się, spojrzał na mnie z wściekłością, dobył noża i zawołał:

- Odpokutujecie jeszcze za to! Uderzyliście mnie już raz, postaram się, żebyście się nie mogli porwać na mnie po raz trzeci!

Już zamierzał zrobić pierwszy krok w moją stronę, ale skierowałem ku niemu rewolwer i zagroziłem:

- Jeszcze krok, a wpakuję wam kulę w łeb! Precz z nożem! Na ”trzy!” strzelam, jeśli jeszcze będziecie go trzymali w ręku. A więc: raz... dwa... i...

On trzymał nóż w dalszym ciągu i byłbym strzelił istotnie, może nie w głowę, ale w rękę, gdyż chodziło o to, żeby poczuli szacunek dla mojej osoby, ale na szczęście nie doszło do tego, gdyż w tej krytycznej chwili zabrzmiał jakiś głos:

- Ludzie, czyście poszaleli? Jaki może być słuszny powód do tego, żeby biali ludzie skręcali sobie wzajemnie karki! Stójcie!

Spojrzeliśmy w stronę, skąd głos nas doleciał, i ujrzeliśmy człowieka wychodzącego zza drzewa. Był mały, chudy i garbaty, ubrany prawie jak czerwonoskóry. Trudno było dobrze rozpoznać, czy był to biały, czy Indianin, ale temu ostatniemu przeczyła barwa skóry. Ta twarz, aczkolwiek opalona od słońca, musiała być kiedyś biała. Z nieokrytej głowy spływały aż na ramiona ciemne włosy. Ubranie jego składało się ze skórzanych indiańskich spodni i takiej samej koszuli myśliwskiej, uzbrojenie zaś stanowiła strzelba i nóż. Spojrzenie miał bardzo inteligentne i mimo ułomnej postaci nie wywoływał wrażenia śmiesznego. Zresztą tylko ludzie ordynarni chyba natrząsają się z niezawinionego kalectwa. Do tego rodzaju ludzi należał Rattler, gdyż ujrzawszy przybysza zawołał:

- Halo, cóż to za karzeł i dziwoląg! Czy tu na pięknym Zachodzie bywają tacy ludzie? Obcy zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów i odrzekł spokojnie, tonem pełnym wyższości:

- Dziękujcie Bogu, że was obdarzył zdrowym ciałem. Zresztą ciało nie odgrywa w człowieku najważniejszej roli, dużo zależy także od serca i ducha, a co do tego nie obawiam się porównania z wami. Zrobił pogardliwy ruch ręką i zwrócił się do mnie:

- Macie siłę w kościach, sir! Nie każdy potrafi rzucić w powietrze z taką łatwością tak ciężkiego człowieka. Rozkosz była patrzeć na to.

Po tych słowach kopnął niedźwiedzia i ciągnął dalej, jak gdyby z żalem:

- A więc to jest ten, którego chcieliśmy upolować! Szkoda, że tak się nie stało.

- Chcieliście go zabić?

- Tak. Wczoraj znaleźliśmy jego trop i szliśmy za nim uparcie polem i gąszczem, aż teraz, kiedy wreszcie doszliśmy na miejsce, rzecz już skończona.

- Mówicie w liczbie mnogiej, sir; nie jesteście sami?

- Nie, są ze mną jeszcze dwaj dżentelmeni.

- Kto taki?

- Przedstawię ich wam, skoro się dowiem, kto wy jesteście. W tej okolicy nigdy się nie jest dość ostrożnym, napotyka się tu więcej złych ludzi niż dobrych.

Powiódł spojrzeniem po Rattlerze i jego towarzyszach i mówił dalej przyjaźnie:

- Zresztą po dżentelmenie widać od razu, czy można mu zaufać. Słyszałem koniec waszej rozmowy i wiem coś niecoś, co mam o tym sądzić.

- Jesteśmy surweyorami, sir - objaśniłem. - Jeden starszy inżynier, czterej surweyorzy, trzej przewodnicy i dwunastu westmanów dla naszej obrony.

- Hm, co do tego, to wydajecie mi się człowiekiem, który nie potrzebuje obrony. A więc jesteście surweyorami. Czy przybyliście tu służbowo?

- Tak.

- A co odmierzacie?

- Tor kolei.

- Która ma tędy przechodzić?

- Tak.

- Więc zakupiliście te terytoria?

Przy tym pytaniu wzrok jego stał się kłujący, a oblicze mu spoważniało. Miał widocznie powód do tych pytań, toteż

odrzekłem:

- Polecono mi wziąć udział w pomiarach, wykonuję je nie troszcząc się o resztę.

- Hm, tak! Sądzę jednak, że wiadomo wam, co należy o tym sądzić. Teren, na którym się znajdujecie, jest własnością Indian, a mianowicie Apaczów z plemienia Mescalerów. Twierdzę stanowczo, że nie sprzedali oni tego kraju ani też nie odstąpili go nikomu w żaden inny sposób.

- Co was to obchodzi? - zawołał do niego Rattler. - Nie zaprzątajcie sobie głowy cudzymi sprawami! Lepiej pamiętajcie o swoich!

- Ja też to i czynię, sir, ponieważ jestem Apaczem, i do tego Mescalero.

- Wy? Nie strójcie głupich żartów! Trzeba by chyba być ślepym, żeby nie poznać, iż jesteście białym.

- A mimo to się mylicie! Nie sądźcie o mnie z barwy mej skóry, lecz podług imienia. Nazywają mnie Kleki-petra.

To znaczy w języku Apaczów, których dialektu jeszcze wówczas nie znałem, tyle co ”biały ojciec”. Rattler słyszał już widocznie to imię, gdyż postąpił krok naprzód z gestem pełnym zarówno ironii, jak zdumienia, i powiedział:

- Ach, Kleki-petra, słynny bakałarz Apaczów! ﷺle, że jesteście garbaty. Dużo was to pewnie trudu kosztuje, że te czerwonoskóre gałgany nie śmieją się z was.

- O, to nic nie szkodzi, sir! Przywykłem do tego, że szydzą ze mnie gałgany, bo ludzie rozsądni tego nie czynią. A teraz, skoro już wiem, kim jesteście i co tu robicie, mogę wam wyjawić, kim są moi towarzysze. Będzie najlepiej, jeśli wam ich pokażę.

Krzyknął jakieś indiańskie słowo ku lasowi, na co ukazały się dwie, nadzwyczaj zajmujące, postacie i z godnością przybliżyły się ku nam. Byli to Indianie i jak to na pierwszy rzut oka wywnioskowałem: ojciec i syn.

Starszy był nieco więcej niż średniego wzrostu, ale bardzo silnie zbudowany. Z postawy jego biła szlachetność, a ruchy świadczyły o wielkiej fizycznej zręczności. Twarz miał typowo indiańską, choć o rysach nie tak ostrych i wyrazistych, jak to

zwykle bywa u czerwonoskórych. Oczy jego miały spokojny, niemal łagodny wyraz cichego, wewnętrznego skupienia, które musiało go wynosić nad współplemieńców. Na głowie nie nosił żadnego okrycia, ciemne włosy związane były w węzeł podobny do hełmu, w którym tkwiło orle pióro - znak godności wodza. Ubranie składało się z mokasynów, opatrzonych frędzlami spodni i skórzanej bluzy myśliwskiej. Wszystko to bardzo proste i sporządzone nadzwyczaj trwale. Zza pasa wystawał nóż oraz zwieszało się kilka torebek z nieodzownymi dla westmana drobiazgami. Na szyi zauważyłem woreczek z ”lekami” i fajkę pokoju z główką toczoną ze świętej gliny. W ręku trzymał dwururkę, której części drewniane obite były srebrnymi gwoździami. Tą strzelbą, zwaną później strzelbą srebrną, miał się wsławić syn jego Winnetou.

Strój młodszego różnił się od stroju starszego tylko zgrabniejszym wykonaniem. Mokasyny ozdobione były szczecią jeżozwierza, a szwy spodni i bluzy - delikatnymi, czerwonymi nićmi. Nosił on również na szyi woreczek z ”lekami” oraz fajkę pokoju. Uzbrojenie stanowiły także, jak u ojca, nóż i dwururka. Głowę miał też odkrytą i włosy związane w węzeł, ale bez pióra. Były tak długie, że mimo węzła opadały mu z tyłu na plecy. Niejedna dama pozazdrościłaby mu tych wspaniałych, czarnych, aż niebiesko połyskujących włosów. Rysy jego twarzy, jasnobrunatnej, z lekkim odcieniem brązu, odznaczały się jeszcze większą szlachetnością niż rysy ojca. Jak się wówczas domyśliłem, a później dowiedziałem, był w tym samym wieku, co ja. Zrobił na mnie na pierwszy rzut oka głębokie wrażenie. Czułem, że musi być dobrym człowiekiem i posiadać nadzwyczajne zdolności. Przyjrzeliśmy się sobie nawzajem długim i badawczym spojrzeniem, a w czasie tego wydało mi się, że w jego poważnych, ciemnych, o aksamitnym połysku oczach zamigotało na krótką chwilę przyjazne mi światło.

- Oto moi towarzysze i przyjaciele - rzekł Kleki-petra wskazując najpierw na ojca, a potem na syna. - To Inczu-czuna, wielki wódz Mescalerów, uznany także za dowódcę innych

plemion Apaczów. Tu zaś stoi syn jego Winnetou, który pomimo młodego wieku dokonał już więcej dzielnych czynów niż dziesięciu starych wojowników przez całe życie. Imię jego głośne będzie kiedyś i sławne, jak daleko sięgają sawanny i Góry Skaliste.

Brzmiało to trochę przesadnie, ale jak się później przekonałem, nie powiedział za wiele. Rattler zaśmiał się szyderczo i zawołał:

- Ten młokos miałby popełnić takie czyny? Mówię naumyślnie ”popełnić”, gdyż czyny jego to na pewno tylko kradzieże, rozboje i grabież. Już my to znamy. Wszyscy czerwonoskórzy kradną i grabią.

Była to ciężka obelga. Trzej obcy udali jednak, że jej nie słyszeli. Przystąpili do niedźwiedzia i jęli mu się przypatrywać. Kleki-petra pochylił się nad nim i zbadał go.

- Zginął od pchnięć zadanych nożem, a nie od kul - rzekł zwracając się do mnie.

Słyszał widocznie z ukrycia moją sprzeczkę z Rattlerem i chciał tylko stwierdzić, że miałem słuszność.

- To się okaże - rzekł Rattler. - Co taki garbaty bakałarz rozumie się na polowaniu na niedźwiedzie? Gdy zdejmiemy skórę z niedźwiedzia, zobaczymy, która rana była śmiertelna. Nie dam się oszukać greenhornowi.

Na to pochylił się także nad niedźwiedziem Winnetou, dotknął krwawych miejsc i wyprostowawszy się z powrotem, zapytał:

- Kto rzucił się z nożem na niego?

Mówił czystą angielszczyzną.

- Ja - odpowiedziałem.

- Czemu mój młody biały brat nie strzelał?

- Bo nie miałem przy sobie strzelby.

- Tu leżą strzelby!

- Nie są moje. Ci, do których one należą, porzucili je i powyłazili na drzewa.

- Idąc śladem niedźwiedzia, słyszeliśmy z dala okrzyki strachu. Gdzie to było?

- Tu.

- Uff! Wiewiórki i śmierdziele zmykają na drzewa za zbliżaniem się nieprzyjaciela, mężczyzna jednak powinien walczyć, gdyż jeśli ma odwagę, to dana mu jest moc pokonania najsilniejszego zwierza. Mój młody biały brat posiada tę odwagę. Dlaczego nazywają go tu greenhornem?

- Ponieważ po raz pierwszy i od niedawna jestem na Zachodzie.

- Blade twarze to szczególni ludzie. Nazywają greenhornem młodzieńca, który z nożem w ręku rzuca się na straszliwego grizzli, a tym, którzy ze strachu wyłażą na drzewa i tam wyją z przerażenia, wolno siebie uważać za dzielnych westmanów. Czerwonoskórzy są sprawiedliwi; u nich mężny nie może uchodzić za tchórza, a tchórz za mężnego.

- Syn mój słusznie powiedział - potwierdził ojciec trochę gorszą angielszczyzną. - Ta młoda blada twarz to już nie greenhorn. Kto w ten sposób zabija szarego niedźwiedzia, tego trzeba nazwać wielkim bohaterem. Nadto ten, który to czyni, aby ocalić innych, powinien się spodziewać z ich strony wdzięczności, nie obelg. Howgh! Wyjdźmy w pole, aby zobaczyć, dlaczego blade twarze znajdują się w tych stronach.

Jakaż różnica między moimi białymi towarzyszami a tymi, pogardzanymi przez nich, Indianami! Już samo poczucie sprawiedliwości skłoniło czerwonoskórych do świadczenia na moją korzyść, co było nawet odwagą z ich strony. Było ich tylko trzech, a nie wiedzieli, ilu nas jest, narażali się więc na niebezpieczeństwo, robiąc sobie wrogów z naszych westmanów. Ale o tym widocznie nawet nie pomyśleli, bo przeszli obok nas powoli, dumnym krokiem, opuszczając zarośla. Udaliśmy się za nimi. Wtem Inczu-czuna ujrzał wbite w ziemię paliki miernicze, stanął, odwrócił się do mnie i zapytał:

- Co to ma znaczyć? Czy blade twarze chcą ten kraj zmierzyć?

- Tak.

- Na co?

- Aby zbudować drogę dla konia ognistego.

Z oczu jego zniknął wyraz spokojnej zadumy. Rozgorzał gniewem i zapytał pośpiesznie:

- Czy ty należysz do tych ludzi?

- Tak.

- Czy mierzyłeś razem z nimi?

- Tak.

- I płacą ci za to?

- Tak.

Obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem i tak samo pogardliwie odezwał się do Klekipetry:

- Nauki twoje brzmią bardzo pięknie, ale nie zawsze się sprawdzają. Oto zobaczyliśmy młodą bladą twarz z mężnym sercem, szczerym obliczem i oczyma pełnymi rzetelności, a zaledwie spytaliśmy, co ona tu robi, wychodzi na jaw, że przybyła, aby za pieniądze kraść nam ziemię. Blade twarze mogą wyglądać na dobre czy złe, wewnątrz każda z nich jest taka sama!

Uczciwość każe mi wyznać, że nie znalazłem wtedy słów na swoją obronę. W duchu czułem się zawstydzony, gdyż wódz miał słuszność. Czyż mogłem być w tej chwili dumny ze swojego zawodu? Starszy inżynier ukrył się razem z trzema surweyorami w namiocie, wyglądając przez dziurkę w stronę, skąd mógł nadejść niedźwiedź. Spostrzegłszy nas, odważyli się wyjść wielce zdumieni, a nawet stropieni widokiem Indian. Przywitali nas oczywiście pytaniem, jak obroniliśmy się przed niedźwiedziem. Rattler odrzekł:

- Zastrzeliliśmy go i w południe będą na obiad łapy niedźwiedzie, a wieczorem szynka. Trzej goście spojrzeli na mnie, jakby pytając, czy do tego dopuszczę.

- A ja twierdzę - rzekłem - że to ja zakłułem niedźwiedzia nożem. Tutaj stoją trzej rzeczoznawcy, którzy przyznali mi słuszność, ale niech to jeszcze nie rozstrzyga. Gdy nadejdą Hawkens, Stone i Parker, wydadzą swój sąd, do którego się zastosujemy. Do tego czasu niech nikt nie waży się ruszać niedźwiedzia.

- Diabła mi tam stosować się do nich! - mruknął Rattler. - Pójdę z moimi ludźmi, aby rozkroić niedźwiedzia, a kto nam zechce w tym przeszkodzić, dostanie w brzuch pół tuzina kul!

- Nie nadymajcie się tak, bo zaraz będziecie cieńszy, mr. Rattler! Ja się tak nie boję waszych kul, jak wy baliście się niedźwiedzia. Mnie nie wpędzicie na drzewo; zapamiętajcie to sobie! Nie sprzeciwiam się temu, żebyście poszli, ale tylko ze względu na naszego zmarłego towarzysza, którego trzeba pochować. Nie możecie go przecież tak zostawić.

- Zginął kto? - zapytał Bancroft przestraszony.

- Tak, Rollins - odrzekł Rattler. - Stracił życie tylko przez cudzą głupotę, bo mógł ocaleć.

- Jak to? Przez czyją głupotę?

- No, zrobił tak jak my i skoczył ku drzewu. Byłby się wdrapał zupełnie dobrze, tymczasem nadbiegł ten greenhorn i w głupi sposób podrażnił niedźwiedzia, który rzucił się potem wściekle na Rollinsa i poszarpał go na sztuki.

To była już tak daleko posunięta nieuczciwość, że ze zdumienia omal nie straciłem mowy. Nie mogłem ścierpieć takiego przedstawienia sprawy, i to jeszcze w mojej obecności. Natychmiast więc zwróciłem się do Rattlera z zapytaniem:

- Czy takie jest wasze przekonanie, mr. Rattler?

- Tak! - skinął stanowczo głową i wyciągnął rewolwer w przypuszczeniu, że go zaatakuję.

- Rollins mógł umknąć śmierci i tylko ja mu przeszkodziłem?

- Tak.

- Ja zaś sądzę, że niedźwiedź go pochwycił, zanim ja nadszedłem!

- Kłamstwo!

- Well, wobec tego posłyszycie i poczujecie prawdę!

Po tych słowach wytrąciłem mu lewą ręką rewolwer, a prawą wymierzyłem tak potężny policzek, że potoczył się może z sześć kroków po ziemi. Zerwał się, wyjął nóż zza pasa i podbiegł ku mnie, rycząc jak wściekłe zwierzę. Odparowałem pchnięcie noża lewą ręką, a prawą grzmotnąłem go po głowie tak mocno, że padł nieprzytomny pod moje nogi.

- Uff, uff! - zawołał zdumiony Inczu-czuna zapominając na widok tego ciosu o zwykłym indiańskim panowaniu nad sobą. Ale już w następnej chwili zauważyłem, że pożałował tego uznania.

- To był znowu Shatterhand - rzekł surweyor Wheeler.

Nie zważałem na te słowa, lecz zwróciłem oczy na kolegów Rattlera. Widziałem, że są wściekli, ale żaden nie odważył się mnie zaczepić. Zdobyli się tylko na to, że mruczeli i klęli pomiędzy sobą.

- Weźcie się raz porządnie do Rattlera, mr. Bancroft! - rzekłem do inżyniera. - Nic mu nie uczyniłem, a on wciąż szuka ze mną zwady. Obawiam się, że w obozie dojdzie z tego powodu do morderstwa albo zabójstwa. Odprawcie go, a jeśli nie, to ja mogę odejść.

- Oho, sir, tak źle chyba jeszcze nie jest!

- Tak, jest źle. Macie tu jego nóż i rewolwer. Nie oddawajcie mu ich, dopóki się nie uspokoi, bo zapewniam was, że będę się bronił, a jeśli jeszcze raz przyjdzie do mnie z bronią w ręku, to go zastrzelę. Nazywacie mnie greenhornem, ale ja znam prawa prerii. Kto mi grozi rewolwerem lub nożem, tego wolno mi zabić na miejscu.

Tyczyło się to oczywiście nie tylko Rattlera, lecz także jego westmanów, którzy nie odezwali się na to ani słowem. Teraz zwrócił się do inżyniera wódz Inczu-czuna:

- Ucho moje usłyszało dopiero co, że ty masz między bladymi twarzami prawo rozkazu. Czy tak jest?

- Tak - odpowiedział zapytany.

- Wobec tego muszę z tobą pomówić.

- O czym?

- Dowiesz się, ale stoisz, a mężowie powinni siedzieć podczas narady.

- Czy chcesz być naszym gościem?

- To niemożliwe. Jak mogę być twoim gościem, skoro ty znajdujesz się na mojej ziemi, w moim lesie, w mojej dolinie i na mojej prerii. Niechaj biali mężowie usiądą. Co to za blade twarze, które tu jeszcze nadchodzą?

- Należą do nas.
- Więc niechaj zasiądą z nami.

Sam, Dick i Will wracali właśnie z przejażdżki. Jako doświadczeni westmani, zdziwili się niemało na widok Indian, a zaniepokoili się dowiedziawszy się, kim oni są.

- Kto jest ten trzeci? - spytał mnie Sam.
- Nazywa się Kleki-petra, a Rattler przezwał go bakałarzem.
- Kleki-petra, bakałarz? Ach, słyszałem o nim, jeśli się nie mylę. To bardzo tajemniczy człowiek, biały, ale żyje już długo pośród Apaczów. Jest to ktoś w rodzaju misjonarza, chociaż nie jest kapłanem. Cieszę się, że go widzę. Pomacam go trochę, hi! hi! hi!
- Jeśli na to pozwoli!
- Nie ukąsi mnie chyba. Czy stało się coś jeszcze?
- Tak.
- Co?
- Coś bardzo ważnego.
- To gadajcie, co!
- Zrobiłem to, przed czym ostrzegaliście mnie wczoraj.
- Nie wiem, co macie na myśli. Ostrzegałem was przed wielu rzeczami.
- Grizzli.
- Jak, gdzie, co? Był tutaj szary niedźwiedź?
- I jeszcze jaki!
- Gdzież to, gdzie? Żartujecie chyba!
- Ani mi to w głowie. Za tymi krzakami w lesie. Zawlókł tam starego byka.
- Rzeczywiście, naprawdę? A, do stu piorunów, musiało się to stać właśnie wtedy, kiedy mnie nie było! Czy zginął kto?
- Rollins.
- A wy? Jak wyście postąpili? Trzymaliście się chyba z daleka?
- Tak.
- To słuszne! Ale nie chce mi się w to uwierzyć.
- Możecie spokojnie uwierzyć. Trzymałem się o tyle z daleka, że mi nie mógł nic zrobić, ja zaś wbiłem mu nóż między żebra.

- Czy jesteście przy zdrowych zmysłach? Zaatakowaliście go nożem?

- Tak, bo strzelby nie miałem.

- Co za człowiek! Prawdziwy, rzetelny greenhorn. Wziął z sobą umyślnie ciężką strzelbę na niedźwiedzie, a gdy niedźwiedź przychodzi, strzela nożem zamiast z rusznicy. Czy uważałby kto coś podobnego za możliwe? Jak do tego doszło?

- Tak, że Rattler twierdzi, iż to nie ja położyłem niedźwiedzia trupem, lecz on.

Opowiedziałem mu, jak się wszystko odbyło i jak się potem znowu starłem z Rattlerem.

- Człowiecze, jesteście rzeczywiście lekkoduchem nie do uwierzenia! - zawołał. - Nie widział jeszcze nigdy szarego niedźwiedzia i idzie nań jak na starego pudla! Muszę się natychmiast przypatrzyć temu zwierzęciu. Chodźcie, Dicku i Willu! Zobaczcie wy także, jakie głupstwo popełnił znowu nasz greenhorn.

Chciał się oddalić, ale w tej chwili Rattler oprzytomniał, Sam zaś zwrócił się doń ze słowami:

- Słuchajcie, mr. Rattler, mam wam coś do powiedzenia. Zaczepiliście znowu mojego młodego przyjaciela. Gdybyście się jeszcze raz poważyli na to, postaram się, żeby się to już więcej w ogóle nie mogło powtórzyć. Moja cierpliwość się skończyła. Zapamiętajcie to sobie!

Po tym ostrzeżeniu opuścił nas w towarzystwie Stone'a i Parkera. Na twarzy Rattlera odbiła się wściekłość, rzucał na mnie spojrzenia pełne nienawiści, ale milczał. Podobny był do miny, która ma za chwilę wybuchnąć.

Obaj Indianie usiedli na trawie razem z Kleki-petra, a inżynier naprzeciwko nich, lecz rozmowa nie zaczęła się jeszcze. Czekali na powrót Sama i jego wyrok. Wrócił on niebawem i zawołał już z dala:

- Co za głupota strzelać do niedźwiedzia, a potem zmykać! Jeśli się nie chce stanąć z nim do walki, nie strzela się w ogóle, lecz zostawia go w spokoju, wówczas nic nikomu nie zrobi. Ten Rollins okropnie wygląda! Któż to zabił niedźwiedzia?

- Ja! - zawołał Rattler pośpiesznie.
- Wy? A czym?
- Kulą.
- Well, to się zgadza - to słuszne!
- Tak też myślałem.
- Tak, niedźwiedź zginął, od kuli.
- A więc należy do mnie. Słuchajcie, ludzie! Sam Hawkens oświadczył się za mną! - krzyczał Rattler z triumfem.
- Tak, za wami. Wasza kula przeszła mu po głowie. i urwała czubek ucha. Wskutek utraty takiego czubka ginie grizzli oczywiście na miejscu, hi! hi! hi! Jeśli to prawda, że kilku wypaliło na raz, to chybili ze strachu. Tylko jedna kula musnęła go w ucho, poza tym kul ani śladu. Są natomiast cztery potężne znaki od noża: dwa w okolicy serca, a dwa prosto w serce. Ale kto go pchnął nożem?
- Ja - odpowiedziałem.
- Tylko wy?
- Nikt więcej.
- Wobec tego niedźwiedź jest wasz, to znaczy, futro jest wasze, a do mięsa mają prawo wszyscy, ponieważ stanowimy zespół, tylko wy je musicie rozdzielić. Taki zwyczaj panuje na Dzikim Zachodzie. Cóż wy na to, mr. Rattler?
- Niech was diabeł porwie!

Rattler rzucił jeszcze kilka przekleństw i poszedł do wozu, na którym leżała baryłka brandy. Nalał sobie wódki do szklanki i wypił jednym haustem. Byłem pewien, że będzie teraz pił, jak długo zdoła.

Sprawa była już załatwiona, przeto Bancroft wezwał wodza Apaczów, by przedłożył swoje życzenia.

- To, co chcę wypowiedzieć, nie jest życzeniem. To rozkaz - odrzekł dumnie Inczu-czuna.
- A my nie przyjmujemy rozkazów - rzekł tak samo dumnie inżynier.

Przez twarz wodza przemknęło coś jakby gniew, lecz pohamował się i rzekł spokojnie:

- Mój biały brat odpowie mi na kilka pytań, ale zgodnie z prawdą. Czy mój biały brat posiada swój dom tam, gdzie mieszka?

- Tak.

- I ogród przy tym?

- Tak.

- Czy mój brat zniósłby, żeby mu sąsiad budował drogę przez jego ogród?

- Nie.

- Krainy po tamtej stronie Gór Skalistych i na wschód od Missisipi należą do bladych twarzy. Jakby się blade twarze zapatrywały na to, gdyby Indianie przyszli tam budować drogi żelazne?

- Wypędziłyby ich.

- Mój brat nie minął się z prawdą. Tymczasem blade twarze wciskają się tu, do kraju, który należy do nas, wyłapują nam mustangi, zabijają nasze bawoły i szukają u nas złota i drogich kamieni. Teraz zamierzają nawet wybudować długą, długą drogę, po której ma biec ich koń ognisty. Tą drogą przyjeżdżać będzie coraz więcej bladych twarzy, będą na nas napadać i zabierać powoli tę resztę, którą nam jeszcze pozostawiono. Cóż mamy na to powiedzieć?

Bancroft milczał.

- Czyż mamy mniej praw niż wy? Nazywacie siebie chrześcijanami i mówicie ciągle o miłości, utrzymujecie jednak przy tym, że wam wolno nas okradać i grabić, a od nas żądacie, byśmy byli wobec was uczciwi. Czy to jest miłość? Powiadacie, że wasz Bóg jest dobrym ojcem wszystkich czerwonych i białych ludzi, a tymczasem dla nas jest on tylko ojczymem, a ojcem prawdziwym jedynie dla was. Czyż cały ten kraj nie należy do czerwonoskórych mężów? Odebrano nam go i co dostaliśmy za to? Nędzę, nędzę i jeszcze raz nędzę! Wypieracie nas coraz dalej i ograniczacie nasze terytoria tak, że wkrótce się już podusimy. I dlaczegoż to czynicie? Czy może z potrzeby, z braku ziemi? Nie, tylko z chciwości, bo w krajach waszych jest jeszcze miejsce dla wielu, wielu milionów. Każdy z was chciałby

jednak posiadać całe państwo, cały kraj, czerwonoskóry zaś, prawowity właściciel, nie ma gdzie głowy położyć. Kleki-petra, który tu obok mnie siedzi, opowiadał mi o waszej świętej księdze. Można tam wyczytać, że pierwszy człowiek miał dwu synów, z których jeden zabił drugiego, tak że krew zabitego wołała o pomstę do nieba. Jak się ma rzecz z dwoma braćmi - czerwonoskórym i białym? Czyż wy nie jesteście Kainem, a my Ablem, którego krew woła o pomstę do nieba? Wy jeszcze wymagacie od nas, żebyśmy się pozwolili mordować, nawet bez obrony! Nie, my się będziemy bronić! Pędzono nas z miejsca na miejsce coraz dalej i dalej. Teraz mieszkamy tutaj. Zdawało nam się, że wypoczniemy i odetchniemy spokojnie, ale wy znów przychodzicie wytyczać drogę żelazną. Czy nam nie przysługuje takie samo prawo jak tobie w twoim ogrodzie? Gdybyśmy chcieli korzystać z naszych praw, musielibyśmy wytracić was wszystkich. Ale my życzymy sobie tylko, żeby wasze prawa odnosiły się również do nas. Czy tak jest? Nie! Wasze prawa mają dwie twarze, wy odwracacie je ku nam jak wam korzystniej. Chcesz tutaj budować drogę. Czy pytałeś nas o pozwolenie?

- To niepotrzebne,
- Czemu? Czy to wasz kraj?
- Tak sądzę.
- Nie, on do nas należy. Czy kupiłeś go od nas?
- Nie.
- Czy darowaliśmy ci go?
- Mnie nie.
- I nikomu innemu. Jeśli jesteś człowiekiem uczciwym i przychodzisz tu budować drogę dla konia ognistego, to powinieneś był spytać najpierw tego, który cię wysłał, czy on ma na to prawo, a gdyby tak utrzymywał - zażądać dowodu. Tego jednak nie uczyniłeś. Zakazuję wam mierzyć tu dalej!

Ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem, w którym brzmiała surowa stanowczość. Ten Indianin wprawił mnie w zdumienie. Czytałem wiele książek o Indianach i wiele mów przez nich wygłoszonych, ale z taką się jeszcze nie spotkałem. Inczu-czuna

mówił wyraźną, jasną angielszczyzną, a zarówno logika jego myśli, jak i sposób wyrażania się były świadectwem prawdziwej inteligencji. Czyżby zawdzięczał to bakałarzowi Kleki-petrze?

Starszy inżynier był w wielkim kłopocie. Jeśli chciał uczciwie wyznać prawdę, to nie mógł zbić tego oskarżenia. Przedstawił wprawdzie to i owo, ale były to same fałszywe wykręty. Gdy wódz, zabrawszy znów głos, przycisnął go do muru, zwrócił się do mnie:

- Sir, czy nie słyszycie, o czym mowa? Zajmijcie się tą sprawą i dorzućcie coś do niej także!

- Dziękuję, mr. Bancroft! Jestem tu surweyorem, a nie adwokatem. Róbcie, co chcecie. Mnie kazano mierzyć, a nie wygłaszać mowy.

Na to stwierdził wódz stanowczo:

- Dalszych mów nie potrzeba. Oświadczyłem już, że was tu nie ścierpię. Chcę, żebyście dziś jeszcze wrócili tam, skąd przyszliście. Zastanówcie się, czy posłuchacie, czy nie. Ja odejdę teraz z synem moim Winnetou i zjawię się tu znowu po upływie czasu, który blade twarze nazywają godziną, aby usłyszeć odpowiedź. Jeśli opuścicie te strony, będziemy braćmi, w przeciwnym razie wykopię topór wojenny między nami a wami. Jestem Inczu-czuna, wódz wszystkich Apaczów. Powiedziałem. Howgh!

”Howgh” jest wyrazem indiańskim, służy on do nadania dobitności temu, co się powiedziało, a znaczy tyle co: amen, basta, tak będzie, a nie inaczej! Inczu-czuna wstał, a za nim Winnetou. Poszli zwolna doliną, aż zniknęli na zakręcie. Kleki-petra pozostał na miejscu. Inżynier zwrócił się do niego i poprosił o radę. Stary odrzekł:

- Róbcie, co chcecie, sir! Jestem tego samego zdania, co wódz. Na czerwonej rasie dokonuje się ustawicznie zbrodni. Ale, jako biały, wiem, że Indianin broni się nadaremnie. Jeżeli nawet wy stąd dziś odejdziecie, zjawią się jutro inni, którzy dokończą waszego dzieła. Ale pragnę was przestrzec. Wódz nie żartuje.

- Gdzie on poszedł?

- Po nasze konie.

- Macie je z sobą?

- Naturalnie. Gdy spostrzegliśmy, że zbliżamy się już do niedźwiedzia, ukryliśmy je, bo kryjówki szarego niedźwiedzia nie szuka się na koniu.

Wstał i oddalił się także, aby się uwolnić od ponownych pytań i nalegań. Poszedłem za nim i mimo to zapytałem:

- Sir, pozwólcie, że wam będę towarzyszył. Przyrzekam, że nie powiem ani nie zrobię niczego, co mogłoby was wprawić w kłopot. Inczu-czuna i Winnetou nadzwyczajnie mnie zainteresowali. Jego osoba także mnie zaciekawiła, ale tego już nie chciałem mu powiedzieć.

- Dobrze, chodźcie, sir- odrzekł. - Odsunąłem się od białych, porzuciłem ich sposób życia i nie chcę już więcej nic o nich słyszeć, ale wy podobacie mi się, więc przejdziemy się razem.

Po krótkiej rozmowie poznałem, że był to człowiek o niezwykłym charakterze, ale unikałem wszelkich pytań na temat jego przeszłości. On natomiast śmiało pytał o moje sprawy, na co odpowiadałem mu tak obszernie, jak sobie tego życzył. Odszedłszy niedaleko od obozu, usiedliśmy pod drzewem. W czasie rozmowy przypatrywałem się dokładnie rysom jego twarzy. Życie wyryło na niej głębokie ślady. Były to ślady zwątpień i strapień, rysy, jakie pozostawia troska i niedostatek. Ileż to razy zapewne oczy jego spoglądały posępnie, groźnie, gniewnie, trwożliwie, może nawet z rozpaczą? Teraz były one jasne i spokojne jak leśne jezioro, którego tafli nie mąci wietrzyk, które jednak jest tak głębokie, że nie można zobaczyć, co się dzieje na jego dnie. Usłyszawszy ode mnie wszystko, co było godne wspomnienia, kiwnął z lekka głową i rzekł:

- Co do mnie, byłem złym człowiekiem, chociaż nigdy nie popełniłem zbrodni. Po długich latach walki wewnętrznej znalazłem spokój porzuciwszy świat i ludzi. Przebywałem w różnych miejscach, aż wreszcie udałem się na Zachód. Tutaj spotkałem czerwonoskórych broniących się rozpaczliwie przed zagładą. Wiedziałem, że ich sprawa jest nieodwołalnie przegrana i że nie zdołam ich ocalić, ale jedno było możliwe:

uczynić im śmierć lżejszą. Poszedłem między Apaczów i starałem się przystosować swoją działalność do ich zwyczajów. Pozyskałem ich zaufanie i dziś już patrzę na pierwsze wyniki mej pracy. Chciałbym, żebyście poznali Winnetou: dzieło, którym najbardziej się chlubię. Ten młodzieniec ma wielkie zdolności. Gdyby był synem europejskiego księcia, zostałby wielkim wodzem lub jeszcze większym bohaterem pokoju. Jako syn wodza indiańskiego, zginie jak cała jego rasa. Pragnę aż do chwili śmierci być przy nim w każdej przygodzie, niebezpieczeństwie i potrzebie. To moje duchowe dziecko, kocham go bardziej niż siebie samego, a gdyby mi kiedy przypadło to szczęście, żeby przeznaczona dlań kula ugrzęzła w moim sercu, umarłbym za niego z radością.

Zamilkł spuściwszy głowę. Wzruszony do głębi jego wyznaniem, nie odzywałem się, każda bowiem uwaga w tej chwili musiałaby zabrzmieć trywialnie. Ująłem go tylko za rękę i uścisnąłem serdecznie. Zrozumiał mnie i odpowiedział lekkim skinieniem głowy i uściskiem. Dopiero po długiej chwili zapytał z cicha:

- Jak to się stało, że wynurzyłem się przed wami, sir? Widzę was po raz pierwszy, a może i ostatni. A może to zrządzenie boskie, że się z wami tu zetknąłem? Tak mi jakoś dziwnie, tak mi smutno, ale ten smutek nie jest uczuciem bolesnym. Podobny nastrój przychodzi, kiedy liście spadają w jesieni. Jak to będzie, kiedy liść mojego życia spadnie z drzewa? Czy cicho, lekko i spokojnie, czy też wichura odłamie go przed czasem?

Spojrzał pogrążony w cichej, półświadomej tęsknocie ku dolinie, skąd zbliżali się Inczuczuna i Winnetou. Jechali teraz na koniach, a luźnego konia Kleki-petry prowadzili z sobą. Powstaliśmy, by udać się do obozu, gdzie przybyliśmy równocześnie z nimi. Rattler stał oparty o wóz i z nabrzmiałą, czerwoną twarzą wytrzeszczał na nas oczy. Podczas naszej nieobecności wypił tyle, że już nie mógł pić więcej i wyglądał bardziej na zwierzę niż na człowieka. Wzrok miał posępny jak byk przygotowujący się do ataku. Postanowiłem nie spuszczać zeń oka.

Wódz i Winnetou pozsiadali z koni i przystąpili do nas.

- Czy moi biali bracia rozważyli, czy mają pozostać tu, czy odejść? - zapytał Inczu-czuna. Starszy inżynier szukając polubownego rozwiązania odrzekł:

- Gdybyśmy nawet chcieli odejść, to nie możemy, gdyż musimy się stosować do wydanych nam rozkazów. Pchnę dziś jeszcze posłańca do Santa Fé po rozporządzenia. Gdy wróci, będę mógł odpowiedzieć.

Było to nieźle pomyślane, gdyż zanimby posłaniec powrócił, moglibyśmy skończyć robotę. Ale wódz rzekł stanowczo:

- Nie będę czekał tak długo. Biali bracia muszą oświadczyć natychmiast, co uczynią.

Rattler napełnił sobie czarkę wódką i podszedł ku nam. Sądziłem, że coś knuje przeciwko mnie, on jednak zbliżył się do Indianina i rzekł bełkocząc:

- Jeżeli Indianie wypiją ze mną, to spełnimy ich wolę i odejdziemy, inaczej nie. Niechaj młody zaczyna. Masz tu wodę ognistą, Winnetou!

Podał mu czarkę, lecz Winnetou cofnął się z odmownym gestem.

- Co, nie chcesz się napić ze mną? To straszna obelga. Bryznę ci w twarz, obrzydła czerwona skóro: Zliż wódkę, skoro pić nie chcesz!

I zanim ktokolwiek zdołał temu przeszkodzić, Rattler rzucił młodemu Apaczowi w twarz czarkę razem z zawartością. Według pojęć indiańskich jest to obraza godna śmierci, która też, choć nie tak srodze, została natychmiast ukarana. Winnetou uderzył Rattlera pięścią w zęby tak silnie, że ten runął na ziemię i z trudem tylko się podniósł. Przygotowałem się już, by między nich wkroczyć, gdyby wybuchła bójka, ale do tego nie doszło. Uderzony spojrzał tylko groźnie na młodego Apacza i klnąc poszedł do wozu.

Winnetou obtarł twarz i zachowała tak samo jak ojciec, zimną, niewzruszoną minę, po której niepodobna było poznać, co się w nim wewnątrz działo.

- Pytam znowu - rzekł wódz - ale po raz ostatni. Czy blade twarze opuszczą jeszcze dziś tę dolinę?

- Nie wolno nam tego uczynić - brzmiała odpowiedź.

- To my ją opuścimy. Nie ma między nami pokoju. Próbowałem jeszcze pośredniczyć, ale na próżno; wszyscy trzej odeszli do koni. Wtem zabrzmiał głos Rattlera:

- Precz stąd, czerwone psy! Ale za policzek zapłaci mi ten młodzieniec natychmiast!

Dziesięćkroć prędzej, niż się tego po jego stanie można było spodziewać, porwał strzelbę z wozu i wymierzył do Winnetou, który stał w tej chwili zupełnie odsłonięty. Kula byłaby go na pewno dosięgła, gdyż wszystko odbyło się tak prędko, że żaden ruch nie mógł go już chyba ocalić. Wtem Kleki-petra krzyknął z przerażeniem:

- Odejdź, Winnetou, odejdź prędko!

Równocześnie skoczył, aby zasłonić sobą młodego Apacza. Huknął strzał, Kleki-petra chwycił się ręką za serce, zachwiał się w jedną i w drugą stronę i padł na ziemię. W tej samej chwili runął i Rattler powalony przeze mnie pięścią. Aby zapobiec strzałowi, podbiegiem szybko ku niemu, ale niestety za późno. Podniósł się ogólny krzyk zgrozy, tylko obaj Apacze nie wydali głosu. Uklękli obok przyjaciela, który się poświęcił za swego ulubieńca, i badali w milczeniu ranę. Kula wbiła się w piersi tuż koło serca, a krew buchała gwałtownie. Pośpieszyłem tam także. Kleki-petra miał oczy zamknięte, a twarz bladła mu z gwałtowną szybkością.

- Weź głowę jego na kolana - poprosiłem Winnetou. - Gdy otworzy oczy i zobaczy ciebie, lżej mu będzie umierać.

Młody Indianin bez słowa poszedł za moim wezwaniem; nie drgnęła mu powieka, tylko wzroku nie odwracał od twarzy konającego przyjaciela. W chwilę później umierający zwolna otworzył oczy. Ujrzał pochylonego nad sobą Winnetou i uśmiech szczęścia przebiegł przez jego zapadłe oblicze.

- Winnetou, Winnetou, o mój synu Winnetou! - wyszeptał słabo.

Potem wydało się, że jego gasnące oko szuka jeszcze kogoś, aż wreszcie spoczęło na mnie.

- Zostań pan przy nim... - rzekł Kleki-petra -bądź mu wierny... prowadź dalej... moje dzieło...

- Zrobię to. Na pewno, zrobię to!

Złożył ręce do modlitwy. Po jeszcze jednym kurczowym wybuchu krwi z rany głowa opadła mu wstecz... Już nie żył.

Winnetou ułożył głowę zmarłego na trawie, wstał powoli i spojrzał pytająco na ojca.

- Tam leży morderca, którego obaliłem - rzekłem. - Zostawiam go wam.

- Woda ognista!

Z ust wodza wyszła tylko ta krótka odpowiedź, lecz ileż mieściło się w tym słowie pogardy!

- Chcę być waszym przyjacielem i bratem. Idę z wami! - wyrwało mi się mimo woli.

Na to wódz plunął mi w twarz, mówiąc:

- Parszywy psie! Złodzieju ziemi za pieniądze! Smrodliwy kujocie! Ośmiel się pójść za nami, a zmiażdżę cię!

Komu innemu odpowiedziałbym pięścią na tę obelgę. Czemuż puściłem ją płazem Inczuczunie? A może, jako wróg wciskający się w cudzą ziemię, zasłużyłem na taką obelgę? Pogodziłem się z tym raczej bezwiednie, ale nie mogłem już, mimo przyrzeczenia danego zmarłemu, raz jeszcze narzucać im swej obecności.

Biali stali w milczeniu dokoła, czekając, co uczynią Apacze. Ci, nie spojrzawszy już na nas ani razu, posadzili trupa na konia, przywiązali go doń, potem wsiedli na swoje konie i podtrzymując chylące się zwłoki Kleki-petry, odjechali. Nie rzucili ani słowa groźby lub zemsty, nie odwrócili się ku nam ani na chwilę, ale to było gorsze, o wiele gorsze, niż gdyby nam zaprzysięgli najstraszniejszą śmierć.

- To było okropne, a może się skończyć jeszcze okropniej - odezwał się Sam Hawkens. - Tam leży ten łajdak, ciągle jeszcze nieprzytomny po waszym uderzeniu i po wódce. Co z nim teraz zrobimy?

Nie odpowiedziawszy na to osiodłałem konia i odjechałem. Pragnąłem zostać sam, aby się opanować i choć trochę przezwyciężyć wrażenia ostatniej pół godziny. Dopiero późno wieczorem, znużony i rozbity na duszy i ciele, wróciłem do obozu.

ROZDZIAŁ III

WINNETOU W PĘTACH

Aby nie wlec niedźwiedzia zbyt daleko, przesunięto podczas mej nieobecności obóz bliżej miejsca, gdzie go powaliłem. Był tak ciężki, że dziesięciu mężczyzn z trudnością wydobyło go spod gałęzi i przeniosło przez zarośla do ognia. Mimo że późno wróciłem, zastałem jeszcze wszystkich na nogach z wyjątkiem Rattlera, który odsypiał swoje przepicie. Musiano go nawet przenieść jak kloc i rzucić w trawę. Hawkens zdjął skórę z niedźwiedzia, ale mięsa nie tknął. Gdy zsiadłem z konia i zaprowadziłem go na miejsce, mały westman rzekł do mnie:

- Gdzie wy się podziewacie, sir? Z bólem serca czekaliśmy na was, bo chcieliśmy skosztować misia, a nie mogliśmy go pokrajać bez waszego pozwolenia. Na razie ściągnąłem zeń tylko surdut, tak dobrze na niego zrobiony, że nie miał ani jednej fałdy, hi! hi! hi! Nie weźmiecie mi chyba tego za złe. A teraz rozstrzygniecie, jak podzielimy się mięsem. Chcielibyśmy upiec kawałek, zanim się położymy spać.

- Dzielcie, jak. Się wam podoba - odrzekłem - mięso należy do wszystkich.

- Well w takim razie chcę wam coś powiedzieć. Najsmaczniejsze są łapy. W ogóle nie znam nic lepszego nad łapy niedźwiedzie. Muszą one jednak poleżeć przez pewien czas, zanim nabiorą właściwego smaku. Wyborne są wtedy, kiedy je już robaki nadgryzą, ale my tak długu czekać nie możemy, gdyż obawiam się, że nam Apacze popsują naszą ucztę. Dlatego wolimy zawczasu zabrać się do tego i dziś już napocząć łapy, ażeby gdy czerwonoskórzy nas ukatrupią, mieć

przynajmniej tę satysfakcję, że będzie to już po biesiadzie. Zgoda, sir?

- Owszem.

- Well, a więc do dzieła. Apetytu nam nie brak, jeśli się nie mylę.

Mówiąc to Sam odkroił stopy od łap i rozdzielił je na tyle części, ile było ludzi. Ja otrzymałem najlepszy kawałek przedniej łapy, owinąłem go i odłożyłem na bok, gdy tymczasem inni pośpieszyli, by czym prędzej upiec swoje porcje. Nie chciało mi się wcale jeść, choć czułem dotkliwy głód po długiej i męczącej jeździe. Wciąż jeszcze byłem pod strasznym wrażeniem mordu. Zdawało mi się, że siedzę z Kleki-petrą i słyszę jego zwierzenia. Ciągle snuły mi się po głowie jego słowa pełne przeczucia bliskiej śmierci. Tak, liść jego życia nie opadł cicho i lekko, lecz został zerwany przemocą, i to przez takiego człowieka! Dlaczego stało się to właśnie w taki sposób? Tam leżał jeszcze morderca pijany do utraty przytomności. Brzydziłem się nim. To uczucie odrazy sprawiło też prawdopodobnie, że i Apacze nie ukarali go na miejscu. ”Woda ognista” - wyraził się Inczu-czuna ze wzgardą. Jakież oskarżenie i wyrzut zawierały się w tych dwóch słowach!

Jeśli coś mogło mnie uspokoić po tym krwawym zajściu, to chyba to, że Kleki-petra skonał na ręku Winnetou, przeszyty kulą przeznaczoną dla młodego Apacza. Takie było przecież jego ostatnie pragnienie. Ale skąd się wzięła prośba, bym właśnie ja został przy Winnetou i dokończył rozpoczętego dzieła? Czemu umierający wystosował ją właśnie do mnie? Kilka minut przedtem sądził, że nie zobaczymy się już nigdy, że droga mojego życia nie zawiedzie mnie do Apaczów, a potem naraz narzucił mi zadanie, które musiało mnie połączyć z tym szczepem.

Czemu tak prędko dałem umierającemu przyrzeczenie? Z litości? Prawdopodobnie. Ale istniał jeszcze inny powód, na razie nie uświadomiony. Winnetou wywarł na mnie tak silne wrażenie jak nikt inny dotąd. Był w równym ze mną wieku, a tak mnie jednak we wszystkim przewyższał; wyczułem to na

pierwszy rzut oka. Powaga i duma, przejrzystość aksamitnie miękkiego spojrzenia, spokojna pewność w postawie i każdym ruchu, rzewny odblask głębokiego, niemego cierpienia, które dostrzegłem na jego młodzieńczej twarzy - wszystko to podziałało na mnie natychmiast. Na jaki szacunek zasługiwało zachowanie się jego i ojca! Inni ludzie, czerwoni czy biali, rzuciliby się od razu na mordercę i zabili go. Ci dwaj nie zaszczycili go nawet spojrzeniem i ani jednym drgnieniem twarzy nie okazali tego, co się działo w ich duszach. Czym byliśmy wobec nich?

Gdy inni zajadali ze smakiem mięso, ja siedziałem pogrążony w myślach, dopóki Hawkens nie zbudził mnie z tej zadumy.

- Co z wami, sir? Nie jesteście głodni?

- Nie będę jadł.

- Tak? Wolicie się ćwiczyć w myśleniu! Ostrzegam was, że nie wolno wam się do tego przyzwyczajać. Mnie także złości dzisiejszy wypadek, ale westman musi się nauczyć obojętności wobec podobnych zajść. Nie darmo nazywa się Zachód ”dark and bloody ground” - ciemną i krwawą ziemią. Wierzcie, że ziemia ta na każdym kroku przepojona jest krwią, a kto ma nos tak delikatny, że tego wąchać nie lubi, niechaj zostanie w domu i pije wodę z cukrem. Nie bierzcie sobie tej historii do serca i dajcie mi wasz kawałek niedźwiedziej łapy, niechże go wam upiekę!

- Dziękuję, Samie, nie chce mi się jeść. Czy uradziliście, co się stanie z Rattlerem?

- Mówiliśmy już o tym.

- Jaka go kara spotka?

- Kara? Sądzicie, że należy go ukarać?

- Naturalnie.

- Ach, tak! A jak waszym zdaniem mamy się do tego zabrać? Czy może każecie zaprowadzić go do San Francisko, Nowego Jorku lub Waszyngtonu i zaskarżyć tam przed sądem jako mordercę?

- Głupstwo! My jesteśmy władzą, która ma go sądzić, gdyż podlega on prawom Zachodu.

- Popatrzcie, co taki greenhorn wie o prawach Zachodu. Czy przybyliście tu ze Starego Kraju, aby grać rolę najwyższego sędziego? Czy ten Kleki-petra był waszym krewnym lub przyjacielem?

- Bynajmniej.

- O to właśnie idzie. Tak, Dziki Zachód rządzi się własnymi, niezmiennymi i szczególnymi prawami; żąda oka za oko, zęba za ząb i krwi za krew jak w Biblii. Jeśli popełniono morderstwo, to ktoś uprawniony do tego może natychmiast zabić mordercę albo tworzy się specjalny sąd, który wydaje wyrok i od razu go wykonuje. W ten sposób usuwa się szkodliwe osobniki, które w przeciwnym razie wlazłyby na głowę uczciwym myśliwcom.

- A więc utwórzmy taki sąd.

- Do tego byłby potrzebny przede wszystkim oskarżyciel.

- Ja nim będę!

- Na jakiej podstawie?

- Na tej podstawie, że nie mogę dopuścić, żeby taka zbrodnia uszła bezkarnie.

- Pshaw! Mówicie jak greenhorn. Jako oskarżyciel moglibyście wystąpić tylko w dwu wypadkach: po pierwsze, jeżeli zamordowany był waszym bliskim krewnym lub przyjacielem, ale właśnie stwierdziliście, że tak nie jest; po wtóre, gdybyście sami byli tym zamordowanym, hi! hi! hi! Czy zachodzi ten drugi wypadek?

- Samie, z takiej sprawy nie stroi się żartów!

- Wiem o tym, wiem! Chciałem tylko dla dokładności wspomnieć o tym punkcie, gdyż zamordowany ma pierwsze i największe prawo domagać się ukarania mordercy. Wy nie macie powodu do oskarżenia, a my tak samo, gdzie zaś nie ma oskarżyciela, tam nie potrzeba także sędziego. Nie możemy zatem tworzyć sądu.

- Więc Rattler będzie korzystał z bezkarności?

- O tym nie ma mowy. Nie zapalajcie się tak! Daję słowo, że tak pewnie jak to, że każda kula z mej Liddy dosięga celu, spotka go niechybnie kara ze strony Apaczów.

- A nas razem z nim!

- To bardzo prawdopodobne. Czy sądzicie zresztą, że zapobiegniemy temu, jeśli zabijemy Rattlera? Razem wędrujemy, razem dostaniemy się do niewoli i razem zawiśniemy na haku. Apacze nie tylko jego, lecz także nas uważają za morderców i skoro dostaną nas w ręce, postąpią z nami jak z mordercami.

- Nawet jeśli się go pozbędziemy?

- Nawet wtedy. Wystrzelają nas, nie pytając, czy on jest z nami, czy nie. Ale w jaki sposób chcielibyście się go pozbyć?

- Wypędzić go.

- Tak, naradzaliśmy się już nad tym, doszliśmy jednak do przekonania, że po pierwsze, nie przysługuje nam prawo wypędzania go, a po wtóre, że nie uczynilibyśmy tego i tak ze względów przezorności.

- Ależ, Samie, zupełnie was nie rozumiem! Jeśli ktokolwiek mi nie odpowiada, to się z nim rozchodzę. A cóż dopiero z mordercą! Czy musimy cierpieć przy sobie takiego łotra i pijaka, który nam sprawia coraz to nowe kłopoty?

- Niestety tak. Rattlera wynajęto tak samo jak mnie, Stone'a i Parkera i tylko ci, którzy go przyjęli i opłacają, mogą go oddalić. Pod tym względem musimy się trzymać ściśle litery prawa.

- W stosunku do człowieka, który dzień za dniem depce prawa boskie i ludzkie!

- Choćby nawet! Wszystkie powody, które podajecie, są słuszne, ale nam nie wolno popełniać błędu dlatego, że ktoś się dopuścił zbrodni. Moim zdaniem władza powinna być przede wszystkim czysta, dlatego my, westmani, którzy sprawujemy w tym wypadku obowiązki władzy, musimy zachować opinię niczym nie skalaną. Ale nawet pominąwszy to, pytam was, co począłby wypędzony przez nas Rattler?

- To jego rzecz!

- Ale tak samo i nasza! Groziłoby nam w każdej chwili niebezpieczeństwo, że spróbuje się on zemścić. Lepiej zatrzymać go przy sobie i mieć na oku niźli wypędzić, żeby się kręcił dokoła i kogoś z nas, według upodobania, poczęstował

kulą. Spodziewam się, że teraz i wy tak samo zapatrujecie się na tę sprawę?

Rzucił przy tym ku mnie spojrzenie, które zrozumiałem od razu, gdyż wskazał znacząco na towarzyszy Rattlera. Nie dowierzaliśmy im. Należało się obawiać, że w razie naszego wystąpienia przeciwko Rattlerowi sprzymierzą się z nim. Toteż odpowiedziałem Samowi:

- Wobec takiego przedstawienia sprawy przyznaję, że musimy pozwolić jej dobiec do końca dotychczasowym trybem. Boję się tylko Apaczów, gdyż nie ulega wątpliwości, że przyjdą się zemścić.

- Przyjdą, i to tym pewniej, że nie zagrozili ani słowem. Postąpili nie tylko nadzwyczaj dumnie, lecz także bardzo mądrze. Gdyby wykonali od razu zemstę, dosięgłaby ona tylko Rattlera, nawet gdybyśmy do tego dopuścili, co jest zresztą bardzo wątpliwe. Teraz zagięli oni parol na nas wszystkich, ponieważ Rattler należał do nas. Z powodu tych pomiarów uważają nas za wrogów, którzy chcą zagrabić im ich kraj i własność. Dlatego panowali nad sobą w tak niezwykły sposób i odjechali nie podniósłszy na nas ręki. Ale za to tym pewniej powrócą, aby nas wszystkich dostać w swe ręce. Jeśli im się to uda, możemy się przygotować na ciężką śmierć, gdyż szacunek, jakiego zażywał pośród nich ten Kleki-petra, wymaga podwójnej, a nawet potrójnej zemsty.

- I to wszystko przez tego opoja! Apacze zjawią się oczywiście w większej liczbie.

- Rozumie się! Wszystko zależy więc od tego, kiedy nadciągną. Mamy czas, żeby umknąć, ale musielibyśmy zostawić wszystko i zaniechać roboty, która jest już na ukończeniu.

- Może jednak jakoś temu zaradzimy.

- Kiedy, waszym zdaniem, da się wszystko skończyć przy należytym pośpiechu?

- Za pięć dni.

- Hm! O ile wiem, nie ma tu w okolicy obozu Apaczów. Najbliższych Mescalerów szukałbym o dobre trzy dni drogi stąd. Zatem jeśli się pod tym względem nie mylę, zanim

Inczuczuna i Winnetou dostaną pomoc, będą musieli jechać ze cztery dni, szczególnie że transportują trupa. Potem trzy dni z powrotem, to zabierze razem dni siedem. Ponieważ sądzicie, że będziecie gotowi za pięć dni, przypuszczam, że możemy mierzyć dalej.

- A jeśli wasze obliczenie okaże się mylne? Kto wie, czy Apacze nie ukryją na razie trupa w bezpiecznym miejscu i nie wrócą, aby strzelić do nas z zasadzki? Możliwe i to, że natkną się na jakiś swój oddział, a nawet trzeba przypuścić, że mają w pobliżu przyjaciół, gdyż byłoby dziwne, żeby dwaj Indianie i do tego wodzowie oddalali się tak bardzo od swoich siedzib zupełnie sami. Ponieważ obecnie jest czas polowań na bawoły, zachodzi możliwość, że Inczuczuna i Winnetou należą do znajdującego się w pobliżu oddziału myśliwskiego i że odłączyli się od niego tylko na krótko. Jeśli mamy być przezorni i ostrożni, musimy wziąć to wszystko pod uwagę.

Sam Hawkens przymknął jedno ze swoich małych oczek, zrobił grymas zdziwienia i zawołał:

- Tam do licha, jacyż wy rozsądni i mądrzy! Doprawdy, dzisiaj kurczę jest dziesięć razy mędrsze od starej kwoki, jeśli się nie mylę. Ale prawdę mówiąc, to nie było głupie, coście powiedzieli. Przyznaję wam zupełną słuszność. Musimy zwracać uwagę na te wszystkie możliwości. Dlatego należy się dowiedzieć, dokąd się Apacze udali. O świcie pojadę za nimi.

- A ja z wami - rzekł Will Parker.

- I ja - oświadczył Dick Stone.

Sam, zamyśliwszy się na chwilę, odpowiedział:

- Wy tu zostaniecie, gdyż jesteście potrzebni. Zrozumiano?

Spojrzał przy tym na towarzyszy Rattlera. Stary westman miał słuszność. Gdyby ci niepewni ludzie zostali sami, mogłoby po obudzeniu się Rattlera łatwo dojść do niemiłych scen. Lepiej więc było, żeby Stone i Parker nie wydalali się z obozu.

- Przecież nie możesz jechać sam - rzeki Stone.

- Już ja bym sobie dał radę, jeślibym chciał, ale właśnie nie chcę - odrzekł Sam. - Wyszukam sobie towarzysza.

- Kogo?

- Tego młodego greenhorna - rzekł wskazując przy tym na mnie.

- Jemu nie wolno odejść! - odparł inżynier.

- Czemu, mr. Bancroft?

- Bo ja go potrzebuję.

- Ciekaw jestem, do czego.

- Do roboty. Skoro mamy być gotowi za pięć dni, musimy wytężyć wszystkie siły. Nikogo nie powinno zabraknąć.

- Tak, wytężyć wszystkie siły! Ale dotychczas tego nie robiliście. Jeden musiał robić za wszystkich.

Niech się teraz wszyscy wysilą za jednego.

- Mr. Hawkens, chcecie mnie uczyć? Wypraszam to sobie!

- Ani mi to przez myśl nie przeszło. Uwaga to jeszcze bynajmniej nie nauczka.

- Ale to tak brzmiało!

- Możliwe. Ja zresztą nic nie mam przeciwko temu. Co do waszej pracy, to nie opóźni się ona tak dalece przez to, że jutro będzie robiło czterech zamiast pięciu. Mam w tym pewien plan, żeby zabrać z sobą właśnie tego greenhorna, zwanego Shatterhand.

- Czy wolno zapytać, jaki?

- Owszem. Niech raz zobaczy, jak należy skradać się za Indianami. To mu się przyda, jeśli będzie umiał dobrze rozpoznawać ślady.

- To mnie nic nie obchodzi.

- Wiem o tym, ale jest jeszcze jeden powód. Czeka mnie niebezpieczna droga, z korzyścią więc będzie dla mnie i dla was, jeśli mi będzie towarzyszył człowiek obdarzony taką siłą fizyczną i celnym okiem.

- Nie pojmuję, dlaczego miałoby się nam to przydać.

- Nie? To mnie dziwi. Jesteście wszak bardzo sprytnym i przezornym dżentelmenem - odrzekł Sam z przekąsem. - Cóż bowiem się stanie, gdy zmierzający tu wrogowie spotkają mnie i ukatrupią? Nikt nie zawiadomi was o niebezpieczeństwie, oni zaś napadną na was i wymordują. Mając z sobą tego greenhorna, który swoimi delikatnymi rączkami powali jednym

uderzeniem najtęższego chłopa, wrócę wraz z nim prawdopodobnie cało. Wiecie więc już, o co chodzi?

- Hm, tak.

- A teraz rzecz najważniejsza. On musi jutro stąd wyjechać, żeby nie doszło do jakiejś awantury, która mogłaby się nieszczęśliwie zakończyć. Wiadomo wam, że Rattler wziął go na kieł. Gdy ten opój zbudzi się jutro, prawdopodobnie rzuci się na tego, który dziś znowu grzmotnął nim o ziemię. Trzeba ich rozdzielić przynajmniej na ten pierwszy dzień po morderstwie. Dlatego jeden z nich, niepotrzebny mi, zostanie z wami, a drugi pojedzie ze mną. Cóż wy na to?

- Niech jedzie.

- A zatem zgoda między nami - rzekł, a zwracając się do mnie, dodał: - Słyszeliście, jaki was jutro czeka wysiłek. Może nie będziemy mieli nawet chwili czasu na popas i spoczynek.

Pytam więc, czy nie przekąsicie ani kawałka waszej niedźwiedziej łapy?

- Wobec tego spróbuję przynajmniej.

- Spróbujcie tylko, spróbujcie! Znam ja te próby, hi! hi! hi! Wystarczy skosztować, a nie przestaje się jeść, dopóki nic nie zostanie. Dajcie łapę: upiekę ją wam. Taki greenhorn nie posiada dostatecznego rozumu do tej czynności. Uważajcie więc, żebyście się nauczyli! Gdybym wam musiał drugi raz piec taki przysmak, nie dostalibyście go wcale, bo zjadłbym sam.

Poczciwy Sam miał słuszność. Kiedy dokonał swego kulinarnego arcydzieła, ugryzłem raz, a równocześnie z pierwszym kęsem zjawił się apetyt. Zapomniałem na razie o zmartwieniach i jadłem rzeczywiście dopóty, dopóki starczyło mięsa.

- A widzicie! - zaśmiał się do mnie Sam. - Istotnie o wiele przyjemniej jeść szarego niedźwiedzia niż go zabijać. Wykroimy sobie teraz kilka tęgich kawałków szynki i upieczemy je dzisiaj jeszcze. Weźmiemy je jutro z sobą na drogę, gdyż na takich zwiadach nie zawsze znajdzie się czas na upolowanie zwierzyny i nie można rozniecać ognia, żeby ją

upiec. A teraz połóżcie się i wyśpijcie porządnie. Wyruszamy o brzasku, a trzeba nam sił na jutro.

- Well, więc pójdę spać, ale powiedzcie mi wpierw, na którym koniu pojedziecie.

- Nie pojadę wcale na koniu.

- Jak to?

- Co za pytanie? Myślicie, że wsiądę na krokodyla, czy jakiegoś innego ptaszka? Poniesie mnie oczywiście muł, moja Mary!

- Ja bym nie radził.

- Czemu?

- Za mało ją jeszcze znacie.

- Za to ona mnie zna dobrze. To bydlę czuje przede mną wielki respekt, hi! hi! hi!

- Ale na takiej wyprawie zwiadowczej, jaka nas jutro czeka, należy być bardzo ostrożnym i wszystko naprzód rozważyć. Niepewny koń może wiele popsuć.

- Tak? Rzeczywiście? - zaśmiał się.

- Tak - odrzekłem skwapliwie. - Wiem, że parsknięcie konia może kosztować życie jeźdźca.

- Ach, wiecie o tym? A to mądrala! Czy czytaliście także o tym, sir?

- Tak.

- Tak też myślałem. Czytanie takich książek musi być bardzo zajmujące. Gdybym nie był westmanem, udałbym się na Wschód, siadłbym sobie wygodnie na kanapie i czytałbym piękne historie o Indianach. Przypuszczam, że można przy tym utyć, pomimo ze się łapy niedźwiedzie dostaje tylko na papierze. Chciałbym wiedzieć doprawdy czy zacni dżentelmeni, pisujący takie książki, przeszli kiedy rzeczywiście przez starą Missisipi.

- Większość prawdopodobnie to uczyniła.

- Tak sądzicie?

- Tak.

- Mam co do tego wątpliwości.

- Jakie?

- Zaraz powiem, sir. Ja także umiałem dawniej pisać, ale teraz wyleciało mi to z pamięci tak, że obecnie zaledwie zdołałbym się podpisać. Ręka, która tak długo trzymała cugle, strzelbę czy nóż i wywijała lassem, nie nadaje się już do malowania zygzaków po papierze. Prawdziwy westman na pewno zapomniał pisać, a kto nie jest westmanem, ten lepiej zrobi, jeżeli nie będzie pisał o rzeczach, na których się nie zna.

- Hm! Aby napisać książkę o Zachodzie, nie potrzeba bawić tam tak długo, żeby aż stracić wprawę w pisaniu.

- To się wam nie udało, sir! Powiedziałem, że pisać prawdę może tylko dzielny westman, ale dzielny westman nigdy się do tego nie zabierze.

- Czemu?

- Bo nie przyjdzie mu na myśl opuścić Zachód, a tu kałamarzy nie ma. Preria jest jak morze: nie oddaje nikogo, kto ją poznał i polubił. Nie, wszyscy ci pisarze nie znają Zachodu! Jeśliby go raz poznali, nie wyjechaliby stąd, aby zaczernić atramentem kilkaset stron papieru. Takie jest moje zdanie i z pewnością słuszne.

- Nie. Ja znam na przykład człowieka, który polubił Zachód i pragnie zostać dzielnym myśliwym, a mimo to powróci kiedyś do cywilizacji, aby pisać o Zachodzie.

- Tak? Któż to taki? - zapytał patrząc ciekawie.

- Domyślcie się!

- Domyślić? Ja? Może macie na myśli samego siebie?

- Tak.

- A, do stu piorunów! Wrócicie więc między tych nicponiów, którzy robią książki?

- Prawdopodobnie.

- Dajcie temu spokój, sir, tak, dajcie spokój, proszę was o to usilnie. Wierzcie mi, że zmarnowalibyście się przez to tylko.

- Wątpię.

- A ja to twierdzę. Mogę nawet przysiąc! - zawołał z naciskiem. - Czyż wyobrażacie sobie to życie, jakie was czeka?

- Tak.

- No i...?

- Podróżuję, żeby badać kraje i ludzi, z czasem wrócę do ojczyzny, aby bez przeszkody spisać nabyte doświadczenia.

- W jakim celu, na miłość Boga? Nie mogę tego zrozumieć.

- Aby pouczyć czytelników i zarobić przy tym pieniądze.

- Rany boskie! Pouczyć czytelników i zarobić pieniądze! Sir, dostaliście bzika, jeśli się nie mylę! Czytelnicy niczego się od was nie nauczą, bo wy sami nic nie umiecie. Jak może taki greenhorn być nauczycielem innych? Zapewniam was, że nie znajdziecie ani jednego czytelnika! Powiedzcie mi, zaklinam was na wszystkie świętości, dlaczego wy właśnie chcecie być nauczycielem czytelników, których mieć nie będziecie? Czyż nie ma na świecie dość nauczycieli i bakałarzy? Czy musicie powiększyć ich liczbę?

- Słuchajcie, Samie, być nauczycielem to zawód ważny i święty!

- Pshaw! Westman jest tysiąc razy ważniejszy! Już ja to wiem, bo sam jestem westmanem, tymczasem wy zaledwie nos wystawiliście tutaj. Wypraszam więc sobie stanowczo, żebyście mieli być nauczycielem! I jeszcze pieniądze na tym zarabiać! Co za pomysł, co za bezmyślny, niedorzeczny pomysł! Ileż kosztuje taka książka, jaką chcecie napisać?

- Dolara, dwa, trzy, zależnie od objętości.

- Ślicznie! A co kosztuje skórka bobrowa? Czy macie o tym pojęcie? Gdy będziecie zastawiali sidła, zarobicie o wiele więcej niż jako nauczyciel czytelników, od którego, gdybyście ich znaleźli na swoje i ich nieszczęście, nie nauczyliby się nic prócz głupstw. Zarabiać pieniądze! To można najłatwiej na Zachodzie. Tu leżą one na prerii, w puszczy, między skałami i na dnie rzeki. A co za nędzne życie wiedlibyście jako dostawca książek! Musielibyście zamiast pysznej wody źródlanej Zachodu pić gęsty, czarny atrament i żuć stare gęsie pióro zamiast niedźwiedziej łapy lub polędwicy bawolej. Zamiast rozkosznego, błękitu mielibyście nad sobą odrapaną z wapna powałę, a pod sobą zamiast miękkiej, zielonej trawy, pryczę drewnianą, na której dostaniecie reumatyzmu. Tu dźwiga was koń, a tam podarty fotel. Tu możecie czy w deszcz, czy w

pogodę korzystać z wielkich darów bożych, a tam przy pierwszej kropli deszczu podnosicie czerwony lub zielony parasol. Tu jesteście wolnym i wesołym człowiekiem ze strzelbą w garści, a tam będziecie siedzieli przy biurku i marnowali siły przy piórze lub ołówku, który... no, kończę, bo nie chcę dłużej się rozdrażniać. Ale jeśli rzeczywiście pragniecie zostać nauczycielem swoich czytelników, to jesteście najbardziej pożałowania godnym człowiekiem na tej pięknej ziemi!

W tej powodzi słów uniósł się tak, że oczka mu zapłonęły, twarz poczerwieniała, o ile zresztą zarost pozwalał to dojrzeć, a nos zrobił się purpurowy. Domyślałem się, co go tak rozzłościło, ale chciałem się dowiedzieć o tym z jego własnych ust, dolałem więc jeszcze oliwy do ognia, mówiąc:

- Ależ, kochany Samie, zapewniam was, że wam samym sprawiłbym wielką przyjemność, gdyby mi się udało wykonać mój zamiar.

- Przyjemność? Mnie? Nie wyjeżdżajcie z takim głupstwem. Przyjmijcie raz do wiadomości, że nie znoszę takich dowcipów!

- To nie dowcip, lecz poważna sprawa.

- Poważna? A niech to piorun trzaśnie, jeśli się nie mylę! A to dlaczego poważna? Czymże miałbym się tu cieszyć?

- Samym sobą.

- Jak to?

- Bo o was także znajdzie się wzmianka w moich książkach.

- O mnie?- zapytał, a oczka jego stawały się coraz większe.

- Tak, o was.

- Czy napisalibyście, co robię i mówię?

- Tak. Opowiem, co przeżyłem, a ponieważ byłem razem z wami, wystąpicie więc w moich książkach zupełnie tak, jak tu przede mną siedzicie.

Na to Sam chwycił strzelbę, odrzucił kawał szynki, który trzymał podczas rozmowy nad ogniem, zerwał się, stanął przede mną w groźnej postawie i krzyknął:

- Pytam was poważnie i przy wszystkich tych świadkach: czy chcecie to zrobić naprawdę?

- Oczywiście.

- Tak? W takim razie odwołajcie to natychmiast i przysięgnijcie, że tego zaniechacie. Żądam tego stanowczo!

- Dlaczego?

- Bo w przeciwnym razie zastrzelę was albo zatłukę tą starą Liddy, którą widzicie w moim ręku. A więc odwołujecie, czy nie?

- Nie.

- To walę! - krzyknął zamierzając się kolbą.

- Walcie sobie - odrzekłem spokojnie.

Obrażony wywijał przez kilka chwil kolbą nad moją głową; potem ją opuścił, rzucił strzelbę na trawę, załamał beznadziejnie ręce i biadał:

- Ten człowiek dostał bzika, zwariował, zupełnie zwariował! Domyśliłem się tego od razu, gdy oświadczył, że chce zostać nauczycielem swoich czytelników, a teraz moje przypuszczenie się sprawdziło. Tylko wariat może siedzieć tak obojętnie, gdy moja Liddy lata nad jego głową. Co począć z tym człowiekiem? Zdaje mi się, że wyleczyć go już nie można!

- Nie potrzeba żadnego leczenia, kochany Samie - odrzekłem. - Mój rozum jest zupełnie w porządku.

- A dlaczego nie chcecie spełnić mej woli? Czemu wzbraniacie się przysiąc mi i wolicie się dać zabić?

- Pshaw! Hawkens mnie nie zabije; wiem o tym dobrze.

- Wiecie o tym? Tak, więc wiecie o tym? Niestety, to prawda. Prędzej zabiłbym siebie, niźli pozwolił, aby włos spadł wam z głowy.

- Ja przysięgi nie składam, bo dla mnie słowo znaczy tyle, co przysięga, a zresztą nie pozwolę wymusić na sobie przyrzeczenia groźbami, choćby nawet kolbą Liddy. Sprawa z książkami wcale nie jest tak głupia, jak wam się wydaje. Nie rozumiecie się na tym, kiedyś więc wyjaśnię wam to w wolnej chwili.

- Dziękuję! - rzekł siadając i biorąc znów szynkę do ręki. - Obejdę się bez wyjaśnienia czegoś, czego się wyjaśnić nie da. Nauczyciel swych czytelników! Ciągnąć zyski z robienia książek! To śmieszne!

- Ale pomyślcie o zaszczycie, Samie!

- Jakim zaszczycie? - zapytał zwracając się do mnie.

- Być czytanym przez tylu ludzi. W ten sposób dochodzi się do sławy. Podniósł prawą rękę z szynką i krzyknął:

- Sir, przestańcie w tej chwili, bo rzucę wam w głowę tymi dwunastoma funtami niedźwiedziej szynki. Tam jej. miejsce, gdyż jesteście głupi, a nawet głupsi od najgłupszego niedźwiedzia! Wsławić się robieniem książek! Czy słyszał kto podobne twierdzenie? Ja jeszcze nie słyszałem! Co wy wiecie o sławie? Ja wam powiem, jak się zdobywa sławę. Oto leży tu skóra niedźwiedzia. Przypatrzcie się jej! Utnijcie uszy i załóżcie za wstążkę od kapelusza, wyrwijcie z łap pazury, a zęby z paszczy, zróbcie z tego łańcuch i powieście go sobie na szyi. Tak postępuje każdy biały westman i każdy Indianin, ilekroć ma to wielkie szczęście, że uda mu się zabić szarego niedźwiedzia. Potem mówią o nim wszędzie, gdzie się pokaże: ”Popatrzcie na tego człowieka! On się zmierzył z szarym niedźwiedziem”. Każdy z szacunkiem ustępuje mu miejsca, a imię jego powtarzają od namiotu do namiotu i od jednej miejscowości do drugiej. W ten sposób człowiek staje się sławny. Zrozumiano? A zasadźcie sobie swoje książki za kapelusz i powieście łańcuch z nich na karku! Co powiedzą na to, hę? Ze jesteście wariatem, zupełnym wariatem! Taką oto sławę zdobędziecie sobie swoim pisaniem książek!

- Ależ, Samie, dlaczego się tak zapalacie? Powinno wam to być zupełnie obojętne, co ja uczynię.

- Tak? Obojętne? Mnie? Do wszystkich diabłów! Co z was za człowiek, jeśli się nie mylę? Miłuję go jak syna, wprost zakochałem się w nim i mam z obojętnością patrzeć na to, jak sobie poczyna. Nie, tego już za wiele! Posiada on siłę bawołu, mięśnie mustanga, ścięgna jelenia, oko sokoła, ucho myszy i pięć albo sześć funtów mózgu w głowie, sądząc według czoła. Strzela jak stary, jeździ jak duch sawannów i naciera na bawoła i na niedźwiedzia, chociaż ich przedtem nigdy nie widział, jak na świnkę morską. I taki człowiek, myśliwiec prerii, stworzony na westmana, a teraz już dokazujący więcej od niejednego

myśliwca, który dwadzieścia lat jeździł po sawannach, taki człowiek chce wrócić do domu i pisać książki! Zupełne szaleństwo! Czyż można się dziwić, że rzetelny westman wpada z tego powodu w gniew?

Patrzył na mnie przy tym pytająco, a nawet wyzywająco. Spodziewał się widocznie odpowiedzi, ale mu jej nie dałem. Złapałem go. Przysunąłem więc siodło, położyłem je sobie pod głowę, wyciągnąłem się jak długi i zamknąłem oczy.

- Jak wy się wobec mnie zachowujecie? - zapytał trzymając wciąż jeszcze szynkę w ręku.

- Czy nie jestem godzien odpowiedzi?

- O, tak - odrzekłem. - Dobranoc wam, Samie! Śpijcie spokojnie!

- Idziecie spać?

- Tak. Właśnie radziliście mi to przed chwilą.

- To było przed chwilą, ale teraz nie skończyliśmy jeszcze z sobą, sir!

- Przeciwnie!

- Nie, ja muszę jeszcze z wami pomówić.

- Ale ja z wami nie, bo wiem już to, co chciałem wiedzieć.

- Chcieliście wiedzieć? Co takiego?

- To, co zawsze wzbranialiście się mi przyznać.

- Ja się wzbraniałem? Ciekaw jestem, co to takiego? No, gadajcie!

- To, że jestem stworzony na westmana i że teraz już dokonuję większych rzeczy niż niejeden myśliwiec, który przez dwadzieścia lat jeździł po preriach.

Na to Sam opuścił rękę z szynką, zakaszlał kilka razy w zakłopotaniu i rzekł:

- Do… wszystkich diabłów! Ten młokos… ten greenhorn… mnie… hm, hm, hm!

- Dobranoc, Samie Hawkens, śpijcie dobrze! - powtórzyłem i odwróciłem się.

Na to huknął:

- Tak, śpijcie, wisielcze! Lepiej będzie, ”niż gdybyście czuwali, bo dopóki macie oczy otwarte, nikt z uczciwych ludzi nie jest

pewny, czy nie wodzicie go za nos. Znajomość nasza skończona, stosunki ze mną zerwane! Przejrzałem was teraz na wylot. Jesteście filut, przed którym trzeba się dobrze strzec!

Mówił to w największym gniewie, na jaki go było stać. Z jego słów i tonu, jakim się odzywał, można było odnieść wrażenie, że między nami istotnie już wszystko skończone. Tymczasem może po upływie pół minuty dodał łagodnym i znowu przyjaznym głosem:

- Dobranoc, sir! Zaśnijcie prędko, żebyście byli wypoczęci, gdy was obudzę!

Stary Sam Hawkens był przecież miłym, dobrym i uczciwym człowiekiem. Spałem istotnie twardo, dopóki mnie nie obudził. Parker i Stone wstali już także, a reszta z Rattlerem włącznie pogrążona była jeszcze we śnie. Zjedliśmy po kawałku mięsa, napiliśmy się wody, napoiliśmy konie i odjechaliśmy. Sam Hawkens udzielił towarzyszom wskazówek, jak się mają zachować w razie niebezpieczeństwa. Słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy rozpoczęliśmy tę jazdę, która łatwo mogła się stać niebezpieczna. Były to moje pierwsze, moje najpierwsze zwiady! Ogarnęła mnie ciekawość, jak się też one skończą. Ileż to takich jazd przedsiębrałem później!

Obraliśmy kierunek, w którym odjechali obydwaj Apacze, to jest doliną w dół, a na dole wzdłuż skraju lasu. Na trawie widniały jeszcze ślady; nawet ja, greenhorn, je zauważyłem. Wiodły one na północ, gdy tymczasem mieliśmy szukać Apaczów na południu. Za zakrętem doliny ukazała się przed nami w rosnącym na łagodnym zboczu lesie łysina, spowodowana prawdopodobnie żarłocznością jakichś owadzich szkodników. Tam prowadziły ślady. Przez pewien czas jechaliśmy przez ową łysinę, po czym znaleźliśmy się na prerii, która ku południowi wznosiła się równo i zwolna jak pochyłość dachu. Tu także widać było ślady. Apacze objechali nas bokiem. Znalazłszy się na szczycie owego dachu, ujrzeliśmy pod sobą wielką, porosłą trawą płaszczyznę, która zdawała się ciągnąć bez końca ku południowi. Mimo iż od odjazdu Apaczów upłynęło trzy czwarte doby, widzieliśmy ich ślady ciągnące się

równiną w prostej linii. Sam, który dotąd nie rzekł ani słowa, potrząsnął głową i mruknął pod wąsem:

- Ten ślad mi się wcale, a wcale nie podobał

- A mnie za to bardzo - odpowiedziałem.

- Bo jesteście greenhorn, czemu wczoraj wieczorem usiłowaliście zaprzeczyć. Uroił sobie, że ja chciałem go chwalić i porównywać z myśliwcem z prerii! Czegoś podobnego nie należy uważać nawet za prawdopodobne! Wystarczy usłyszeć wasze obecne słowa, aby wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Wam się ten ślad podoba. Wierzę, bo ciągnie się przed wami tak pięknie, prosto, ze ślepy potrafiłby go wymacać rękami. Mnie jednak, staremu bywalcowi sawannów, wydaje się to podejrzane.

- Mnie nie.

- Bądźcie cicho, szanowny sir! Nie po to was wziąłem z sobą, żebyście mi ucierali nosa swoimi niedowarzonymi poglądami. Gdy dwaj Indianie pokazują tak wyraźnie swe ślady, budzi to zawsze podejrzenie, tym bardziej że opuścili nas we wrogich zamiarach. Nasuwa się łatwo przypuszczenie, że chcą nas zwabić w pułapkę. Wiedzą przecież, że pójdziemy za nimi.

- Na czym ta pułapka będzie polegała?

- Na razie jeszcze nie można tego dociec.

- A gdzież ma być zastawiona?

- Naturalnie, że tam, na południu. Zachęcili nas do tego, żebyśmy poszli za nimi. Gdyby nie mieli w tym wyraźnego planu, postaraliby się o zatarcie śladów.

- Hm! - mruknąłem.

- Co? - zapytał.

- Nic.

- Oho! To brzmiało zupełnie tak, jak gdybyście mieli coś do powiedzenia.

- Wystrzegam się już tego!

- Czemu?

- Ważne powody skłaniają mnie do trzymania języka za zębami. Obawiam się, byście nie pomyśleli, że chcę wam utrzeć

nosa, do czego, prawdę mówiąc, nie mam ani talentu, ani ochoty.

- Nie mówcie takich rzeczy! Między przyjaciółmi nie należy tak odważać wyrazów. Postanowiliście przecież czegoś się nauczyć, a jakże tego dopniecie, jeśli zachowacie stale milczenie? Cóż znaczyło to mruknięcie, które wydaliście właśnie z siebie?

- Byłem innego zdania. Nie wierzę w żadną pułapkę.

- Tak! Dlaczego?

- Obaj Apacze zdążają do swoich, aby ich czym prędzej poprowadzić przeciwko nam, a wiozą z sobą, i to w taki upał, zwłoki. Są to dostateczne przyczyny do przyśpieszenia jazdy. Brakło im więc czasu na zacieranie śladów. To jedynie moim zdaniem tłumaczy tę okoliczność, że tak dokładnie widzimy ich trop.

- Hm! - mruknął teraz z kolei Sam.

- A gdybym nawet nie miał słuszności - mówiłem dalej - to i tak możemy śmiało iść za nimi. Dopóki znajdujemy się na tej równinie, obawy są próżne, gdyż z daleka zobaczymy każdego wroga i cofniemy się zawczasu.

- Hm! - mruknął Sam ponownie, patrząc na mnie z ukosa. - Wspomnieliście o zwłokach. Czy sądzicie, że zabiorą je z sobą przy tym cieple?

- Tak.

- Nie pochowają po drodze?

- Nie. Zmarły cieszył się u nich wielką powagą. Zwyczaje ich wymagają, żeby go pochowano z całą pompą. Uwieńczeniem tej uroczystości byłoby zabicie przez nich mordercy obok zwłok zamordowanego. Zachowają je więc niezawodnie i będą się starali dostać w ręce nas i Rattlera. O ile ich znam, to należy się tego spodziewać.

- O ile ich znacie! Czy urodziliście się w ich kraju?

- Co za gadanie!

- A skądże ich znacie?

- Z książek, o których wy nie chcecie nic wiedzieć.

- Well! Jedźmy dalej!

Nie oświadczył, czy zgadza się z moim zdaniem, czy nie, ale ilekroć rzucił na mnie z ukosa spojrzenie, przemykało mu pod wąsem znane mi lekkie drgnienie, które było zawsze oznaką, że coś go nurtuje.

Popędziliśmy cwałem przez równinę. Były to sawanny porosłe krótką trawą, jakich wiele rozciąga się pomiędzy źródliskami Kanadianu a Rio Pecos. Ślad był potrójny, jak gdyby ktoś sunął po ziemi wielkie, trójzębne widły. Widocznie konie szły tu jeszcze w takim szyku, w jakim widzieliśmy je podczas odjazdu Apaczów. Musiało być uciążliwe trzymać trupa wyprostowanego na koniu podczas tak długiej drogi, pomimo to nie zauważyliśmy dotychczas, aby Indianie ułatwili sobie jakoś tę sytuację. Sądziłem jednak, że nie wytrzymają długo takiej jazdy.

Teraz wydało się Samowi Hawkensowi, że nadszedł czas na to, żeby mnie pouczyć. Objaśnił mi, z czego należy wnosić, czy tropieni jeźdźcy jadą stępa, kłusem, czy cwałem, co zresztą łatwo było obejrzeć i zapamiętać.

W pół godziny potem wydało się nam, że las przecina w poprzek równinę, lecz było to tylko złudzenie, sawanny bowiem tworzyły tu zakręt. Jadąc tym zakrętem, mieliśmy las po lewej ręce. Drzewa stały tu tak rzadko, że mógłby się tędy przedostać cały oddział jeźdźców, gdyby się posuwali jeden za drugim. Apacze jednak jechali na trzech koniach obok siebie i dlatego nie mogli się tędy przecisnąć. Z tego powodu zmuszeni byli do okrążeń, których i myśmy się chętnie trzymali, bo mieliśmy drogę przetartą. Później oczywiście, kiedy byłem już ”wyuczony”, aniby mi przez myśl nie przeszło jechać za tropem; byłbym przejechał prosto lasem i natknął się na trop po drugiej stronie, skracając sobie w ten sposób drogę. Dalej preria zwężała się, przechodząc w wąski pas łąki, pokryty z rzadka krzakami. Tu przybyliśmy na miejsce, gdzie Apacze się zatrzymali. Było to w pobliżu kępy krzaków, z której wystrzelały w górę wysmukłe dęby i buki. Objechaliśmy ostrożnie zarośla i zbliżyliśmy się do nich dopiero wtedy, kiedyśmy się przekonali, że czerwonoskórych już tam od dawna

nie było. Z jednej strony zarośli trawa była zupełnie stratowana i pognieciona. Nasze badania wykazały, że Apacze zsiedli tu z koni, odwiązali trupa i położyli na trawie, następnie weszli w zarośla, wycięli tyki dębowe i odarli je z gałązek, które zauważyliśmy na ziemi.

- Co oni mogli zrobić z tych tyk? - spytał Hawkens patrząc na mnie jak nauczyciel na ucznia.

- Nosze lub rodzaj sani dla trupa - odrzekłem.

- Skąd o tym wiecie?

- Domyśliłem się.

- Jak to?

- Już dawno czekałem na coś podobnego. To nie drobnostka podtrzymywać zwłoki na koniu tak długo. Spodziewałem się, że jakoś temu zaradzą na pierwszym postoju.

- Nieźle pomyślane. Czy można wyczytać coś takiego w waszych książkach?

- Czegoś, co by odpowiadało całkowicie temu wypadkowi - nie, ale to zależy także od tego, kto i jak czyta taką książkę. Można się istotnie wiele z niej nauczyć i zastosować nabyte wiadomości do innych, lecz podobnych wypadków.

- Hm, to szczególne! A więc ci, którzy to pisali, byli jednak, zdaje się, na Zachodzie. Zresztą wasze przypuszczenie zgadza się z moim. Zobaczymy, czy jest słuszne.

- Sądzę, że nie sporządzili noszy, lecz sanie.

- Czemu?

- Aby zmarłego dźwigać na noszach, potrzeba dwóch koni idących obok siebie lub za sobą. Apacze mają jednak tylko trzy konie, a do sań wystarczy jeden.

- Słusznie, ale sanie robią diabelne ślady, co dla Apaczów może się stać zgubne. Zresztą należy przypuszczać, że byli tu wczoraj przed samym wieczorem, niebawem więc okaże się, czy rozbijali obóz, czy też ruszyli dalej nocą.

- Przypuszczam, że ruszyli dalej, gdyż mają podwójny powód do pośpiechu.

- Zupełnie słusznie; ale patrzmy dalej.

Zsiedliśmy z koni i prowadząc je za sobą, poszliśmy zwolna tropem, który wyglądał teraz zupełnie inaczej niż przedtem; był wprawdzie także potrójny, ale w odmienny sposób. Środkowy szeroki pochodził od kopyt końskich, a dwa boczne wyżłobiły sanie, które składały się widocznie z dwu gałęzi podłużnych i kilku poprzecznych.

- Od tego miejsca jechali jeden za drugim - zauważył Sam. - Nie stało się to bez powodu, jest dość miejsca, by mogli jechać obok siebie. Pośpieszmy za nimi!

Dosiadłszy znowu koni, pomknęliśmy kłusem. W drodze rozmyślałem nad tym, dlaczego Apacze pojechali teraz gęsiego. Niebawem wydało mi się, że znalazłem właściwą przyczynę i rzekłem:

- Samie, wytężcie wzrok! Ten ślad zmieni się wkrótce, a my tego nie spostrzeżemy.

- Jak to? Zmieni się? - zapytał.

- Tak jest, oni sporządzili sanie nie tylko po to, żeby sobie ułatwić jazdę i nie podtrzymywać trupa, lecz także po to, żeby się móc rozłączyć.

- Co wam przychodzi do głowy? Rozłączyć się? To by im się nawet nie mogło przyśnić, hi! hi! hi! - zaśmiał się.

- Nie mogłoby się przyśnić, bo zrobili to na jawie.

- Powiedzcie, jak wpadliście na tę myśl! A to was wasze książki porządnie wywiodły w pole.

- Tego w nich nie ma. Przyszło mi to na myśl jednak, co prawda tylko dlatego, że czytałem te książki uważnie i zastanawiałem się pilnie nad ich treścią.

- No i…?

- Dotychczas graliście wy rolę nauczyciela, a teraz ja was o coś zapytam.

- Pewnie o coś mądrego; ciekawym bardzo!

- Czemu Indianie zwykle jeżdżą gęsiego? Chyba nie dla wygody ani nie ze względów towarzyskich?

- Po to, żeby jadący za nimi nie mógł policzyć, ilu było jeźdźców.

- Sądzę, że w tym wypadku jest to samo.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego!

- Dlaczegóż mieliby jechać gęsiego, kiedy jest dość miejsca na trzech jeźdźców?

- Przypadkiem albo, co jest może istotnym powodem, ze względu na zmarłego. Jeden jedzie przodem jako przewodnik, potem koń ze zwłokami, a na końcu drugi, aby uważać, czy sanie się mocno trzymają i czy trup nie spadnie na ziemię.

- Może i tak, ale ja biorę przede wszystkim pod uwagę, że im pilno do nas powrócić. Przewóz zastrzelonego jest zbyt powolny, przeto jeden z nich pośpieszył prędzej, aby zawiadomić Apaczów.

- Takie myśli podsuwa wam wyobraźnia. Powiadam wam, że przez myśl im nie przejdzie się rozłączyć.

Po co miałem się z nim sprzeczać? Mogłem się mylić i tak najprawdopodobniej było, bo on był przecież doświadczonym tropicielem, a ja greenhornem. Zamilkłem więc, ale uważałem pilnie na ziemię i na ślady.

Niebawem dotarliśmy do płytkiego, ale szerokiego koryta wyschłego strumienia, którym tylko z wiosną spływają wody z gór. Dno między obydwoma niskimi brzegami było zasypane okrągłymi kamykami, między którymi znajdowały się połacie piasku. Trop wiódł w poprzek koryta.

Jadąc powoli, przypatrywałem się dokładnie piaszczystym miejscom. Jeżeli dobrze odgadłem, to tu jeden z Apaczów miał najlepszą sposobność, aby zboczyć z drogi. Gdyby tylko zjechał trochę w dół wyschłym łożyskiem, wiodąc konia nie po piasku, lecz po kamieniach, gdzie nie zostawiał odcisków, mógł zniknąć bez śladu. Jeżeli zaś drugi z koniem wlokącym zwłoki pojechał dalej, to trop jego można było nadal uważać za trop pochodzący od trzech koni.

Jechałem za Hawkensem. Byliśmy już prawie po drugiej stronie, kiedy na piaszczystej mieliźnie, wśród kamyków, zobaczyłem okrągłe wgłębienie z pozapadanymi brzegami, wielkości dość dużej filiżanki. Nie miałem wówczas jeszcze ani tego bystrego wzroku, ani tego doświadczenia, które nabyłem później, ale od razu wydało mi się, że to wgłębienie pochodzi od

kopyta końskiego, które zsunęło się z kamyków na niżej położony piasek. Dostawszy się na drugi brzeg, Hawkens chciał jechać dalej za tropem, lecz wstrzymałem go, mówiąc:

- Chodźcie no tu na lewo, Samie!

- Dlaczego? - spytał.

- Coś wam pokażę.

- Co?

- Zaraz zobaczycie. Chodźcie!

Pojechałem wzdłuż brzegu porosłego trawą. Nie ujechaliśmy więcej niż dwieście kroków, kiedy ujrzeliśmy ślady jeźdźca wychodzące z piasku na brzeg, a potem ciągnące się trawą ku południowi.

- Co to jest, Samie? - zapytałem z niemałą dumą, że mam słuszność, pomimo iż jestem nowicjuszem.

Małe jego oczka omal nie wylazły z oczodołów, a twarz wydłużyła się znacznie.

- Ślady końskie! - odrzekł zdumiony.

- Skąd się tu wzięły?

Rzucił okiem na łożysko, a nie zauważywszy śladów po drugiej stronie, powiedział:

- W każdym razie z tego strumienia, który przepływa tu na wiosnę.

- Zapewne. A kto mógł być tym jeźdźcom?

- Czy ja wiem!

- Ale ja wiem.

- No, któż?

- Jeden z Apaczów.

Twarz wydłużyła mu się jeszcze bardziej.

- Jeden z tych dwóch? Nie może być! - zawołał.

- Właśnie, że tak! Rozłączyli się, jak się tego spodziewałem. Wróćmy do naszego tropu, a przypatrzywszy mu się dobrze, przekonamy się, że pochodzi teraz już tylko od dwóch koni.

- To byłoby zdumiewające! Zobaczymy! Jestem bardzo ciekaw!

Wróciliśmy i zaczęliśmy śledzić trop baczniej, niż byśmy to czynili, gdybym nie zrobił mego odkrycia. I odczytaliśmy

rzeczywiście, że stąd szły już tylko dwa konie. Sam odkaszlnął kilka razy, zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem od stóp do głów i zapytał:

- Jakże wpadliście na to, że dzielące się ślady wyjdą stamtąd, z wyschłego koryta?

- Spostrzegłem tam w dole odcisk na piasku i z tego wywnioskowałem resztę.

Gdy zaprowadziłem go na to miejsce, spojrzał na mnie jeszcze podejrzliwiej niż przedtem i zapytał:

- Sir, czy powiecie mi choć raz prawdę?

- Czy sądzicie, że już was kiedy okłamałem?

- Hm. wydajecie mi się prawdomównym i rzetelnym człowiekiem, ale w tym wypadku jednak wam nie dowierzam. Nie byliście jeszcze nigdy na prerii?

- Nie.

- W ogóle na Dzikim Zachodzie?

- Nie.

- Ani w Stanach Zjednoczonych?

- Nigdy.

- A może jest jakiś inny kraj z sawannami, preriami, podobnymi do tutejszych? Może byliście w tym kraju?

- Nie, dotychczas nigdzie nie ruszałem się z ojczyzny.

- To niech was diabeł porwie, niepojęty człowieku!

- Oho, Samie Hawkens! Czy to ma być błogosławieństwo przyjaciela, jakim się mienicie?

- No, nie bierzcie mi tego za złe, jeśli mnie w takich sprawach żółć zalewa! Przychodzi taki greenhorn na Zachód, nie widział jeszcze, jak trawa rośnie, ani nie słyszał, jak śpiewa pchła ziemna, i zaraz na pierwszych zwiadach wywołuje rumieniec wstydu na twarzy starego Sama Hawkensa. Aby zachować przy tym zimną krew, na to trzeba w lecie być Eskimosem, a w zimie Grenlandczykiem, jeśli się nie mylę. Ja w waszym wieku byłem dziesięć razy głupszy. Czy to nie smutne dla westmana, który ma swoją porcję ambicji?

- Nie bierzcie sobie tego tak głęboko do serca.

- O, to boli! Muszę wam przyznać, że mieliście słuszność, ale nie wiem, jakeście do tego doszli.

- Przez logiczne myślenie i wnioskowanie. Umiejętność wyciągania wniosków to ważna rzecz.

- Wnioskowanie? Nie rozumiem. To dla mnie za mądre.

- Wnioskowałem w sposób następujący: jeśli Indianie jadą jeden za drugim, to znaczy, że chcą zatrzeć swoje ślady. Ci dwaj Apacze jechali jeden za drugim, a więc chcieli zatrzeć swe ślady. To chyba rozumiecie?

- Oczywiście.

- Za pomocą tego słusznego wniosku doszedłem do właściwego odkrycia. Prawdziwy westman musi przede wszystkim dobrze myśleć. Powiem wam jeszcze jeden taki wniosek. Chcecie?

- Dobrze.

- Nazywacie się Hawkens. To podobno znaczy po angielsku ”sokół”?

- Tak.

- Słuchajcie więc! Sokół pożera myszy polne. Prawda?

- Tak, jeśli je złapie, to pożera.

- A więc macie znów wniosek: sokół pożera polne myszy, wy się nazywacie Hawkens, a zatem wy pożeracie polne myszy.

Sam otworzył usta, aby zaczerpnąć powietrza oraz pozbierać myśli, popatrzył na mnie przez chwilę niewidzącym wzrokiem, aż wreszcie wybuchnął:

- Sir, stroicie sobie ze mnie żarty? Wypraszam to sobie! Daleko mi jeszcze do pajaca, któremu można skakać po plecach. Obraziliście mnie ciężko tym diabelskim twierdzeniem, że pożeram myszy, i to do tego nędzne, polne myszy. Żądam za to satysfakcji. Co myślicie o pojedynku?

- Wspaniała rzecz!

- Tak jest! Byliście na uniwersytecie, prawda?

- Tak.

- Jesteście więc zdolni do udzielenia satysfakcji, przyślę wam mego sekundanta. Zrozumiano?

- Tak, a wy chodziliście na uniwersytet?

- Nie.

- Więc nie jesteście zdolni dać satysfakcji. Zrozumiano?

To wprawiło w niemały kłopot poczciwego Sama Hawkensa. Wytrzymałem go przez chwilę w tym stanie, a wreszcie odezwałem się:

- Wprawdzie nie możecie mnie wyzwać na pojedynek, ale ja mimo to dam wam pewną satysfakcję.

- Jaką?

- Daruję wam moją skórę niedźwiedzią. Małe jego oczka zamigotały natychmiast.

- Przecież sami jej potrzebujecie!

- Nie; oddam ją wam.

- Naprawdę?

- Tak.

- Tam do licha, przyjmuję bez namysłu. Dziękuję, sir, dziękuję nadzwyczajnie! Halo, a to się tamci będą złościli! Wiecie, co ja z tej skóry zrobię?

- No?

- Nową bluzę myśliwską, bluzę ze skóry szarego niedźwiedzia. Co za tryumf! Sam ją uszyję. Musicie wiedzieć, że jestem znakomitym krawcem. Przypatrzcie się tylko mojej, jak ją pięknie naprawiłem!

Wskazał na przedpotopowy wór, w który był odziany. Było tam tyle łat skórzanych naszytych jedna na drugiej, że bluza miała grubość deski.

- Ale - dodał z wielkim zadowoleniem - uszy, pazury i zęby wy dostaniecie, bo ja obejdę się bez tych trofeów, a wy zdobyliście je narażając życie. Zrobię wam z tego naszyjnik, ponieważ znam się na takich robotach. Chcecie?

- Dobrze.

- To słuszne, to zupełnie słuszne, gdyż wówczas i ja, i wy będziemy zadowoleni. Jesteście naprawdę zuch, wielki zuch. Darujecie waszemu Samowi Hawkensowi skórę niedźwiedzią. Wobec tego możecie o mnie powiedzieć nawet to, że pożeram nie tylko myszy polne, lecz także szczury, a to nie zburzy spokoju mej duszy. A co do książek... przyznaję, że nie są wcale

tak złe że można się z nich dużo nauczyć. Czy napiszecie jaką książkę naprawdę?

- Może nawet kilka.

- O tym, co przeżywacie?

- Tak.

- I ja się także tam znajdę?

- Znajdą się tylko moi najwybitniejsi przyjaciele. Będzie to rodzaj pomnika dla nich.

- Hm, hm! Wybitni! Pomnik! To brzmi już zupełnie inaczej. Niezawodnie przesłyszało mi się tylko wczoraj. A więc ja także?

- Tylko, jeżeli chcecie.

- Słuchajcie, sir, ja chcę. Proszę was nawet o to, żebym się tam dostał.

- Zgoda, stanie się tak.

- Dobrze, ale musicie mi zrobić jedną przyjemność!

- Jaką?

- Opowiecie tam wszystko to, co przeżyliśmy razem?

- Rozumie się.

- To opuśćcie tę okoliczność, że nie zauważyłem tego rozgałęzienia tropu. Żeby Sam Hawkens nie znalazł czegoś takiego! Wstydziłbym się wszystkich czytelników, którzy zechcą uczyć się od was. Jeśli będziecie tacy dobrzy to zataić, możecie sobie śmiało pisać o myszach i szczurach. Wszystko mi jedno, co sobie ludzie pomyślą o tym, co zjadam, ale gdyby mnie uważali za westmana, który pozwala odjechać Indianinowi i nie umie tego wyczytać ze śladów, to by mnie gryzło, bardzo by mnie gryzło!

- To nie może być, kochany Samie.

- Nie? Dlaczego?

- Ponieważ każdą wymienioną osobę muszę przedstawić taką, jaką jest. W takim razie wolę już w ogóle o was nie wspominać.

- Nie, nie, ja chcę być w tej książce! Wolę już, żebyście napisali prawdę. Jeśli napiszecie wszystko o moich błędach, będzie to dla czytelników, takich głupich jak ja, ostrzeżeniem i zachętą do czegoś lepszego, hi! hi! hi! Ja natomiast wiedząc, że będę

wydrukowany, postaram się z całych sił, aby tego rodzaju błędów unikać. A zatem zgoda między nami?

- Tak.

- Jedźmy więc dalej!

- Za którym śladem? Za tym odgałęzieniem?

- Nie, za tym.

- Tak, to będzie Winnetou.

- Z czego to wnosicie?

- Jeden Apacz ze zwłokami posuwał się wolno, a za to drugi wyjechał naprzód, aby czym prędzej zgromadzić wojowników; będzie to więc prawdopodobnie wódz.

- Tak! To słuszne. Jestem tego samego zdania. Wódz nas teraz nic nie obchodzi. Pojedziemy za synem.

- Czemu za nim?

- Bo chcę jeszcze zobaczyć, czy się zatrzymywał po drodze, zależy mi na tym. A więc naprzód, sir!

Ruszyliśmy dalej kłusem, przy czym nie zaszło nic godnego wzmianki, opis zaś okolic, przez które przejechaliśmy, nie byłby zajmujący. Dopiero na godzinę przed południem Sam się zatrzymał i rzekł:

- Na razie wystarczy, Winnetou jechał także przez całą noc; widocznie bardzo im pilno i należy się wkrótce spodziewać napadu; może nawet jeszcze w przeciągu tych pięciu dni potrzebnych wam do ukończenia roboty.

- To byłoby źle!

- Zapewne. Gdybyśmy przerwali pracę i uciekli, zostałaby nie dokończona, a gdy pozostaniemy, napadną na nas i robota i tak nie zostanie wykonana. Trzeba z Bancroftem poważnie pomówić o całej tej sprawie.

- Może znajdzie się jakieś wyjście?

- Jakie?

- Ukryjemy się na przykład w bezpiecznym miejscu, a potem gdy Apacze się cofną, skończymy robotę!

- Tak, to dałoby się może zrobić. Zobaczymy, co inni na to powiedzą. Teraz musimy się śpieszyć, aby jeszcze przed nocą dostać się do obozu.

Wróciliśmy tą samą drogą. Nie oszczędzaliśmy wierzchowców, ale mimo to mój deresz był jeszcze zupełnie rześki, a ”nowa Mary” wyglądała tak, jak gdyby dopiero wyszła ze stajni. Przebyliśmy w krótkim czasie znaczną przestrzeń, aż zatrzymaliśmy się nad potokiem, gdzie napoiliśmy konie i sami, zsiadłszy z nich, odpoczęliśmy z godzinkę, rozciągnięci w zaroślach na miękkiej trawie. Nie mając o czym mówić, leżeliśmy cicho. Ja myślałem o Winnetou i czekającej nas walce z nim i z jego Apaczami, a Sam Hawkens zamknął oczy i... zasnął, co poznałem po miarowym ruchu jego klatki piersiowej. Mógł sobie pozwolić na lekką drzemkę, bo ja czuwałem, a przez całą drogę nie zauważyliśmy nic podejrzanego. Wtem nadarzyła mi się sposobność przekonania się, jak bystre są zmysły ludzi i zwierząt na Dzikim Zachodzie. Muł stał w zaroślach tak, że był niewidoczny, i szczypał liście z gałęzi; było to zwierzę nietowarzyskie, unikało koni, trzymając się najczęściej na osobności. Mój deresz stał w pobliżu i rwał trawę ostrymi zębami. Wtem muł wydał z siebie dziwne, jakby ostrzegawcze parsknięcie, a Sam zbudził się w tej chwili i zerwał się na równe nogi.

- Zasnąłem, Mary parsknęła i to mnie zbudziło. Zbliża się człowiek lub zwierzę. Gdzie muł?

- Tutaj w zaroślach. Chodźcie!

Wleźliśmy w krzaki i zobaczyliśmy Mary ukrytą ostrożnie za gałęziami i wyglądającą przez nie. Strzygła żywo długimi uszami, a ogon podnosiła i opuszczała. Ujrzawszy nas, uspokoiła się, uszy i ogon przestały się poruszać. Zwierzę było widocznie dawniej w dobrych rękach. Sam więc mógł sobie powinszować, że złapał ją, a nie jakiegoś mustanga. Rzuciwszy okiem pomiędzy gałęzie, ujrzeliśmy sześciu Indian jadących jeden za drugim naszym tropem od północy, dokąd właśnie zamierzaliśmy się udać. Pierwszy z nich, niewielkiej, lecz muskularnej postaci, miał głowę spuszczoną i nie odwracał widocznie oczu od śladów. Wszyscy ubrani byli w skórzane spodnie i ciemne sukienne bluzy, a uzbrojeni w strzelby, noże i

tomahawki. Twarze świeciły im się od tłuszczu, przecinały je na poprzek dwa pasy: niebieski i czerwony.

Zacząłem się już niepokoić tym spotkaniem, kiedy Sam odezwał się, nie tłumiąc bynajmniej głosu:

- Co za spotkanie! To nas ocali, sir!

- Ocali? Jak to? Mówcie ciszej, bo są już tak blisko, że mogą nas usłyszeć.

- Niech słyszą, to ludzie ze szczepu Kiowa. Na czele jedzie Bao, co w ich języku oznacza: ”lis”, dzielny i chytry wojownik, jak to widać z imienia. Wódz tych ludzi nazywa się Tangua; to przedsiębiorczy czerwonoskóry, a zarazem mój przyjaciel. Mają barwy wojenne na twarzy i są prawdopodobnie na zwiadach. Nie słyszałem jednak, żeby szczep ten wyruszył przeciwko innemu.

Słowo Kiowa wymawia się Ke-i-o-weh. To czerwone plemię jest prawdopodobnie mieszaniną Shoshonów i Pueblów. W terytorium dla Indian wyznaczono im osobne miejsce, ale wiele ich oddziałów snuje się po tak zwanym Pem-handle aż do Nowego Meksyku. Oddziały te. mają dużo dobrych koni. Z powodu żądzy grabieży są bardzo niebezpieczni dla białych i dlatego najzawziętszymi ich wrogami są graniczni osadnicy. Keiowehowie żyją także na stopie wojennej z rozmaitymi plemionami Apaczów, ponieważ nie oszczędzają zazwyczaj mienia i życia swych czerwonoskórych braci. Są to jednym słowem bandy rozbójników. Tych sześciu zwiadowców podjechało tymczasem do nas zupełnie blisko. Jak nas mieli ocalić, tego oczywiście nie wyobrażałem sobie. Sześciu Indian mogło nam pomóc niewiele albo wcale. Później, co prawda, dowiedziałem się, jak to Sam Hawkens rozumiał. Na razie ucieszyłem się tym, że Sam ich znał, gdyż wobec tego nie było powodu do obaw. Keiowehowie przyjechali za naszym tropem i zauważyli ślady wiodące w zarośla. Wywnioskowali z tego oczywiście, że w zaroślach znajdują się ludzie. Natychmiast więc zawrócili swoje nadzwyczaj silne i ruchliwe konie i popędzili w przeciwnym kierunku, aby się dostać poza odległość strzału. Na to Sam wystąpił z zarośli, złożył dłonie

koło ust i wydał przeraźliwy, donośny okrzyk znany widocznie Indianom, gdyż stanęli i spojrzeli za siebie. Sam zawołał powtórnie i dał im znak ręką. Zwiadowcy zrozumieli okrzyk i znaki, a spostrzegłszy Sama, którego osobliwej postaci nie podobna było nie poznać, wrócili cwałem. Teraz i ja stanąłem obok Sama. Indianie przygalopowali, jak gdyby nas mieli zamiar stratować, naraz zdarli przed nami konie tak, że aż przysiadły na zadach, zeskoczyli z nich i puścili je wolno.

- Nasz biały brat Sam jest tutaj? - zapytał dowódca. - Skąd wziął się na drodze swych czerwonoskórych przyjaciół i braci?

- Bao, chytry lis, spotkał mnie, bo znalazł się na moim tropie - odrzekł Sam.

- Myśleliśmy, że to ślady czerwonych psów, których szukamy - rzekł Lis łamaną, lecz dość zrozumiałą angielszczyzną.

- O jakich psach mówi mój czerwony brat?

- O Apaczach z plemienia Mescalerów.

- Dlaczego nazywacie ich psami? Czy wyniknął spór między nimi a mymi dzielnymi braćmi Keiowehami?

- Wykopaliśmy topór wojenny między nami a tymi parszywymi kujotami.

- Uff! To mnie cieszy! Niech moi bracia usiądą z nami. Mam ich zawiadomić o czymś ważnym.

Lis spojrzał na mnie badawczo i zapytał:

- Nie widziałem jeszcze tej bladej twarzy; jest młoda. Czy należy już do wojowników białych mężów? Czy zdobyła sobie już imię?

Moje właściwe nazwisko nie zrobiłoby wrażenia. Toteż Sam Hawkens, przypomniawszy sobie słowa Wheelera odrzekł:

- Ten mój najmilszy brat i przyjaciel przybył niedawno przez Wielką Wodę z ojczyzny, gdzie jest wielkim wojownikiem. Nie widział nigdy przedtem bawołu ani niedźwiedzia, a mimo to walczył przedwczoraj z dwoma bykami i zabił je, aby ocalić mi życie, a wczoraj zakłuł nożem szarego niedźwiedzia z Gór Skalistych, przy czym zwierz nawet nie zadrasnął mu skóry.

- Uff, uff! - zawołali z podziwem czerwonoskórzy, a Sam ciągnął dalej w sposób, co prawda nieco przesadny:

- Kula jego nigdy nie chybia celu, a w pięści jego mieści się tyle siły, że jednym uderzeniem powali na ziemię każdego nieprzyjaciela. Dlatego biali z Zachodu nadali mu imię Old Shatterhand.

W ten sposób opatrzono mnie bez mego zezwolenia imieniem wojennym, które odtąd stale w tamtych stronach nosiłem. Taki panuje zwyczaj na Zachodzie, toteż często najlepsi przyjaciele nie znają nawzajem swych właściwych nazwisk.

Lis podał mi rękę i rzekł przyjaźnie:

- Jeśli Old Shatterhand pozwoli, będziemy jego braćmi i przyjaciółmi, miłujemy bowiem ludzi, którzy zabijają wroga jednym uderzeniem. Przyjmiemy cię chętnie w naszych namiotach. Znaczyło to innymi słowami; ”Potrzeba nam hultajów z taką siłą jak twoja, dlatego przyjdź do nas. Jeśli będziesz myszkował, kradł i grabił dla nas, to będzie ci u nas znośnie”. Mimo to odpowiedziałem z godnością:

- Kocham czerwonych mężów, jako synów Wielkiego Ducha, którego dziećmi są także biali. Jesteśmy braćmi, pomagajmy więc sobie przeciw wszystkim wrogom, którzy nas i was nie poważają.

Wyraz zadowolenia przemknął mu przez twarz zasmarowaną tłuszczem i farbą, gdy mnie zapewniał:

- Old Shatterhand słusznie powiedział. Zapalimy z nim fajkę pokoju.

Potem Keiowehowie usiedli z nami nad wodą. Lis dobył fajkę, której ostra woń odurzyła mój nos już z daleka. Napchał ją mieszaniną złożoną, jak się zdawało, z buraków, liści lnu, siekanych żołędzi i kapusty, zapalił ją, powstał, pociągnął raz, wydmuchnął dym ku niebu i ku ziemi i powiedział:

- Tam na górze mieszka Dobry Duch, a tu na ziemi rosną rośliny i zwierzęta, które on przeznaczył dla Keiowehów.

Następnie pociągnął jeszcze cztery razy, wypuszczając dym ku północy, południu, wschodowi i zachodowi.

- W tych stronach - rzekł potem - mieszkają czerwoni i biali mężowie przywłaszczając sobie bezprawnie rośliny i zwierzęta.

My jednak znajdziemy ich i zabierzemy, co do nas należy. Powiedziałem, howgh!

Co za mowa! Jakże odmienna od tych, jakie dotąd czytałem, a później tak często słyszałem, Ten Keioweh oświadczył otwarcie, że wszystko, co jest na ziemi, uważa za własność swego plemienia, a tym samym uznaje grabież nie tylko za swoje prawo, ale wprost za obowiązek! I ja miałem teraz zostać przyjacielem tych ludzi! Niestety, kto wejdzie między wrony, musi krakać jak i one. Lis podał Samowi tę zgoła nie pokojową fajkę pokoju, on zaś dzielnie pociągnął sześć razy i wygłosił następujące słowa:

- Wielki Duch nie zważa na rozmaitość skór ludzkich, gdyż ludzie mogą się posmarować farbami, by go oszukać, Wielki Duch zaś patrzy w serce. Serca wojowników sławnego szczepu Keiowehów są dzielne, nieustraszone i wierne. Moje serce przywiązane jest do nich, jak mój muł do drzewa, i zawsze tak będzie, jeśli się nie mylę. Powiedziałem, howgh!

Taki to był Sam Hawkens, ów mały i chytry człowiek, który umiał każdą sprawę uchwycić z najlepszej strony. Mowę jego nagrodzono kilkakrotnym ”uff, uff uff!” Ale cóż, kiedy popełnił teraz tę zbrodnię, że i mnie wetknął do ręki glinianego śmierdziela. Musiałem więc spróbować tego specjału. Postanowiłem się jednak przemóc. Zdarza się, że tego, kto ten tytoń zapali, trzech ludzi musi trzymać, by się nie przewrócił. Na szczęście paliłem go już raz, przypuszczałem więc, że i ta fajka nie powali mnie na ziemię. Podniosłem się, zrobiłem ręką uroczysty ruch i pociągnąłem po raz pierwszy. Przekonałem się, że w fajce znajdowały się wszystkie podane poprzednio składniki, a ponadto jeszcze piąty: teraz bowiem poczułem nosem. i językiem coś jakby zapach i dym ze spalonego pilśniowego buta. Wydmuchnąłem dym także ku niebu i ziemi i rzekłem:

- Z nieba spada promień słońca i deszcz, stamtąd pochodzą wszelkie dobre dary i błogosławieństwo. Ziemia przyjmuje ciepło i wilgoć i daje za to bawołu i mustanga, niedźwiedzia i jelenia, dynię i kukurydzę, a przede wszystkim szlachetną

roślinę, z której mądrzy czerwoni mężowie przyrządzają kinnikinnik, rozszerzający z fajki pokoju zapach miłości i braterstwa.

Czytałem swego czasu, że Indianie nazywają swój mieszany tytoń ”kinnikinnik”, i wyzyskałem teraz tę wiadomość. Pociągnąłem znów dymu i wypuściłem go na wszystkie cztery strony świata. Zapach okazał się bardziej skomplikowany niż przedtem. Poznałem wyraźnie obecność dwóch jeszcze składników, a mianowicie kalafonii i obciętych paznokci. Po tym znakomitym odkryciu mówiłem dalej:

- Na zachodzie wznoszą się Góry Skaliste, a na wschodzie rozciągają się równiny, na północy lśnią jeziora, na południu zaś przewalają się wielkie wody morza. Gdyby cały ten kraj był moją własnością, darowałbym go wojownikom Keiowehów, gdyż uważam ich za braci. Oby w tym roku upolowali dziesięć razy tyle bawołów i pięćdziesiąt razy tyle niedźwiedzi, ile głów liczy ich plemię. Oby ziarnka kukurydzy były jako dynie, a dynie tak wielkie, żeby z jednej łupiny można było wykroić dziesięć owoców. Powiedziałem, howgh!

Mnie to zbyt wiele nie kosztowało, że życzyłem im tych wszystkich wspaniałości, oni zaś cieszyli się, jak gdyby je istotnie dostali. Była to najlepsza z moich mów, jakie kiedykolwiek w życiu wygłosiłem, toteż przyjęto ją z bezprzykładną radością, jeśli się uwzględni chłodny spokój, jaki Indianie zawsze zachowują. Tyle jeszcze nikt, a tym mniej biały człowiek, im nie życzył ani nie chciał darować, toteż okrzyki ”uff, uff!” powtarzały się bez końca. Lis ściskał mi rękę kilkakrotnie, zapewniał o swej przyjaźni po wszystkie czasy i tak szeroko roztwierał usta za każdym swoim ”howgh”, że udało mi się pozbyć fajki pokoju wsunąwszy mu ją pomiędzy długie, żółte zęby. On zamilkł natychmiast, pragnąc napawać się jej zawartością. Była to moja pierwsza ”święta czynność” wśród Indian, gdyż palenie fajki pokoju uważają oni rzeczywiście za uroczystość, którą wywołują ważne powody, a kończą równie ważne skutki. Ileż to razy potem jeszcze musiałem palić fajkę, będąc zawsze świadom powagi tej

czynności. Ta sytuacja jednak napełniła mnie odrazą, a potem rozśmieszyła, gdy usłyszałem o sercu Sama ”przywiązanym jak muł do drzewa”. Ręka cuchnęła mi tytoniem, toteż ucieszyłem się z całej duszy, gdy fajka znalazła się w ustach dowódcy Wyjąłem z kieszeni cygaro i zapaliłem je dla zabicia przykrego smaku. Jakież pożądliwe spojrzenia zwrócili teraz na mnie czerwonoskórzy! Lis otworzył usta, aż mu fajka wypadła, ale jako doświadczony wojownik, pochwycił ją i wsunął na powrót pomiędzy zęby. Widać było jednak po nim, że wolałby teraz jedno cygaro niż tysiąc fajek pokoju i kinnikinniku.

Ponieważ pozostawaliśmy w stałej łączności z Santa Fé, skąd sprowadzaliśmy wozami wszelkie potrzebne nam artykuły, z łatwością zaopatrywałem się w cygara, które były dość tanie. Wolałem je niż wódkę, którą inni spijali z taką przyjemnością. Zabrałem z sobą sporo cygar na wszelki wypadek, gdybyśmy mieli powrócić dopiero nazajutrz rano, mogłem więc dać każdemu z Indian po jednym. Lis odłożył zaraz fajkę i zapalił, jego ludzie natomiast wsadzili w usta nie tylko koniec, lecz całe cygara i zaczęli je żuć. Każdy ma swoje upodobania. Poprzysięgłem sobie jednak nie darować im więcej nigdy niczego do palenia. Na tym skończyły się formalności. Czerwonoskórzy byli teraz w najlepszym nastroju. Toteż Sam rozpoczął pytaniem:

- Moi bracia mówią, że wykopano topór wojenny między nimi a Apaczami Mescalero, o czym ja nic nie wiem. Od kiedy topór nie spoczywa już w ziemi?

- Od czasu, który blade twarze nazywają dwa tygodnie. Mój brat Sam przebywał widocznie w dalekich stronach, skoro nie słyszał o tym.

- To prawda. Ale przecież jeszcze niedawno szczepy żyły w pokoju. Co skłoniło moich braci do pochwycenia za broń?

- Te psy Apacze zabiły naszych czterech wojowników.

- Gdzie?

- Nad Rio Pecos.

- Wszak tam nie stoją wasze namioty.

- Ale Mescalerów.

- Czego tam chcieli wasi wojownicy? Nie namyślając się ani chwilki, Keioweh powiedział całą prawdę:

- Gromada naszych wojowników wyruszyła, aby nocą zabrać konie Apaczów. Te psy śmierdzące czuwały jednak dobrze. Zaczęli się bronić i zabili nam czterech dzielnych wojowników. Dlatego między nami a nimi został wykopany topór wojenny.

Keiowehowie postanowili zatem ukraść konie, ale ich schwytano i odpędzono. Sami byli temu winni, że kilku z nich postradało życie. Mimo to mieli za to odpokutować Apacze, którzy bronili swojej własności. Najchętniej byłbym tym łotrzykom w oczy powiedział, co o nich myślę, i otworzyłem już nawet usta, lecz Sam dał mi ręką znak ostrzegawczy i pytał dalej:

- Czy Apacze wiedzą o tym, że wasi wojownicy wyruszyli przeciwko nim?

- Czy brat mój sądzi, że powiedzieliśmy im to? Napadniemy na nich znienacka, zabijemy, ilu zdołamy, i zabierzemy potem wszystko, co nam się przyda z ich rzeczy.

To było straszne! Nie mogłem się dłużej powstrzymać od pytania:

- Dlaczego dzielni moi bracia chcieli zabrać konie Apaczom? Słyszałem, że bogaty szczep Keiowehów posiada daleko więcej koni, niż potrzebuje.

Lis spojrzał mi w twarz z uśmiechem i odrzekł:

- Mój młody brat Old Shatterhand przybył zza Wielkiej Wody i jeszcze nie wie, jak żyją i myślą ludzie po tej stronie. Tak, mamy dużo koni, ale przyszli biali mężowie i chcieli je od nas zakupić. Chcieli tak dużo, że nie mogliśmy im takiej ilości dostarczyć. Wtedy biali opowiedzieli nam o stadach koni Apaczów i przyrzekli za każdego ich konia tyle towarów i brandy, co za konia Keiowehów. Wobec tego nasi wojownicy udali się po konie do Apaczów.

A więc kto był winien śmierci już poległych i przyszłego rozlewu krwi? Biali handlarze koni, którzy chcieli płacić za nie wódką i wysyłali Keiowehów na kradzież! Byłbym sobie ulżył z

ochotą, mówiąc, co myślę, ale Sam Skinął na mnie energicznie i zapytał:

- Czy mój brat Lis wyszedł na zwiady?

- Tak.

- Kiedy wasi wojownicy przybędą za wami?

- Może o jeden dzień później.

- Kto nimi dowodzi?

- Sam waleczny wódz Tangua.

- Ilu ma wojowników z sobą?

- Dwakroć po sto.

- I sądzicie, że zaskoczycie Apaczów?

- Spadniemy na nich jak orzeł na wrony, które go nie spostrzegły.

- Mój brat się myli. Apacze wiedzą, że Keiowehowie mają na nich uderzyć.

Lis potrząsnął głową z niedowierzaniem i odrzekł:

- Skądżeby się o tym dowiedzieli? Czy uszy ich sięgają do namiotów Keiowehów?

- Tak.

- Nie rozumiem mego brata Sama. Niechaj mi powie, jak rozumie swe słowa!

- Apacze mają uszy, które umieją chodzić i jeździć. Widzieliśmy wczoraj czworo takich uszu, które były koło namiotów Keiowehów, by podsłuchiwać.

- Uff! Czworo uszu? A więc dwaj wojownicy byli u nas na zwiadach?

- Tak.

- W takim razie wracam zaraz do wodza. Wyruszyło tylko dwustu wojowników, bo więcej by nam nie było potrzeba, gdyby Apacze nie spodziewali się niczego. Skoro zaś wiedzą, to trzeba o wiele więcej.

- Moi bracia nie rozważyli dokładnie wszystkiego. Inczu-czuna, wódz Apaczów, jest bardzo mądrym wojownikiem. I kiedy zobaczył, że jego ludzie zabili czterech Keiowehów, powiedział sobie, że Keiowehowie pomszczą śmierć swoich ludzi, i wyjechał, by się ku nim zakraść.

- Uff, uff! On sam?

- Tak i jego syn Winnetou.

- Uff! I ten także! Gdybyśmy to wiedzieli, bylibyśmy pochwycili te psy! Teraz sprowadzą mnóstwo wojowników, aby nas przyjąć. Muszę o tym donieść wodzowi, aby się zatrzymał i sprowadził więcej naszych ludzi. Czy Sam Hawkens i Old Shatterhand będą nam towarzyszyli?

- Tak.

- Niech więc siadają na konie!

- Tylko powoli! Muszę jeszcze przedtem koniecznie z tobą pomówić.

- Powiesz mi to po drodze.

- Nie. Ja pojadę z tobą, ale nie do Tanguy lecz do naszego obozu.

- Mój brat Sam bardzo się myli.

- Posłuchaj, co ci powiem! Czy chcecie wodzą Apaczów, Inczu-czunę, schwytać żywcem?

- Uff! - zawołał Keioweh, jakby tknięty iskrą elektryczną, a jego ludzie nadstawili uszu.

- I jego syna z nim razem?

- Uff, uff! Czy to możliwe?

- Bardzo łatwe.

- Znam mego brata Sama, bo inaczej pomyślałbym, że na jego języku mieszka teraz żart, którego nie mógłbym ścierpieć.

- Pshaw! Mówię poważnie. Możecie żywcem pochwycić wodza i jego syna.

- Kiedy?

- Sądziłem, że za pięć, sześć lub siedem dni, ale teraz widzę, że o wiele prędzej,

- Gdzie?

- Koło naszego obozu.

- Ja nie wiem, gdzie się ten obóz znajduje.

- Zobaczycie, gdyż pojedziecie bardzo chętnie, usłyszawszy to, co teraz powiem.

Opowiedział im o naszym sektorze i o tym, co tu robimy, przeciw czemu oni nic nie mieli, a potem o spotkaniu z obu

Apaczami i dodał do tego uwagę:

- Zdziwiłem się widząc, że obaj wodzowie byli sami, i sądziłem, że w czasie polowania na bawoły odłączyli się na krótki czas od swoich wojowników. Ale teraz wiem, co to znaczy.

Obaj Apacze byli u was na zwiadach. A że właśnie dwaj najwyżsi podjęli się tej jazdy, to świadczy, że uważają sprawę za bardzo ważną. Teraz udali się do domu. Jazda Winnetou opóźni się, bo wiezie zwłoki, ale Inczu-czuna pojechał naprzód i zajeździ konia na śmierć, jeśli będzie potrzeba, by zgromadzić swych wojowników.

- Dlatego muszę równie prędko donieść o tym naszemu wodzowi! :

- Niechaj mój brat zaczeka i pozwoli mi skończyć! Apacze zechcą się zemścić podwójnie, na was i na nas, z powodu zamordowania Kleki-petry. Wyślą więc większy oddział przeciwko wam, mniejszy przeciwko nam, a na czele tego drugiego stanie wódz ze swoim synem. Po napadzie na nas połączą się z większym oddziałem. Gdy ci pokażę nasz obóz, pojedziesz do twego wodza i oznajmisz mu wszystko, co wiesz ode mnie. Następnie przybędziecie do nas, zaczekacie na Inczu-czunę i weźmiecie go do niewoli z jego niewielką garstką. Was jest dwustu, a on nie przyprowadzi więcej niż pięćdziesięciu. Nas jest dwudziestu białych i pomożemy wam oczywiście; zwyciężycie więc Apaczów z wielką łatwością. Skoro potem dostaniecie w swe ręce obu wodzów, będzie to znaczyło tyle samo, jak gdybyście opanowali cały szczep. Będziecie mogli wówczas zażądać, co wam się spodoba. Czy mój brat nie uznaje słuszności tego wszystkiego?

- Tak. Plan mego brata Sama jest dobry. Skoro wódz się o nim dowie, ucieszy się, a my czym prędzej zastosujemy się do tego planu.

- A więc ruszajmy i jedźmy szybko, żebyśmy Jeszcze przed nocą dotarli do obozu!

Wsiedliśmy na wypoczęte już konie i popędziliśmy cwałem. Oczywiście teraz nie trzymaliśmy się już tropu, lecz jechaliśmy

wprost do obozu, nie potrzebowaliśmy więc kołować. Muszę nadmienić, że postępowanie Sama wcale mnie nie zbudowało, a raczej nawet rozgniewało. Winnetou, ten szlachetny Winnetou miał razem z ojcem i pięćdziesięciu wojownikami wpaść w zastawioną pułapkę! Jeśliby się to udało, oni obaj i ich Apacze byliby zgubieni. Jak mógł Hawkens doradzić coś podobnego! Wiedział, z jaką życzliwością odnosiłem się do Winnetou, bo mu się z tym zwierzyłem, sądziłem także, że i Sam był dla młodego wodza Apaczów przychylnie usposobiony.

Wszystkie moje starania, aby po drodze zbliżyć się do niego i odciągnąć go choćby na krótko od Keiowehów, były daremne. Chciałem odwieść go od jego planu, a zaproponować na to miejsce inny, lecz on przeczuwał to widocznie i nie odstępował od boku dowódcy zwiadowców. To wzmogło jeszcze mój gniew i jeżeli ja, nie mając kapryśnego usposobienia, byłem kiedykolwiek w złym humorze, stało się to wówczas, gdy wieczorem przybyliśmy do obozu. Zsiadłem z konia, rozsiedlałem go i położyłem się rozgoryczony na trawie, widząc, że na razie nie dojdzie do żadnej wymiany zdań z Samem. Hawkens nie zwracał uwagi na moje próby zbliżenia i opowiadał teraz towarzyszom obozu, jak spotkaliśmy się z Keiowehami i co teraz miało nastąpić. Z początku przestraszyło ich ukazanie się Indian, ale tym bardziej ucieszyli się wiadomością, że ci Indianie są naszymi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami i że zbyteczne są dalsze obawy przed napaścią Apaczów. W otoczeniu i pod osłoną dwustu Keiowehów mogliśmy dokończyć pracy w przekonaniu, że nie ma powodu do lęku.

Keiowehów przyjęto gościnnie, dano im sporo mięsa niedźwiedziego do jedzenia, po czym opuścili nasz obóz, chcąc jak najszybciej zawiadomić swoich. Dopiero po ich odjeździe Sam podszedł do mnie, położył się obok na trawie i rzekł zwyczajnym tonem wyższości:

- Macie dzisiaj markotną minę, sir. Powodem tego jest zapewne jakieś zaburzenie albo w trawieniu, albo w

duchowych wnętrznościach, hi! hi! hi! Co słuszne, jedno, czy drugie? Chyba to drugie, nieprawdaż?

- Oczywiście! - odparłem niechętnie.

- To otwórzcie swe serce, wyjawcie przyczynę, a ja was wyleczę.

- Cieszyłbym się bardzo, gdybyście to potrafili, Samie, ale pozwalam sobie wątpić.

- Potrafię, potrafię; możecie mi wierzyć.

- Więc powiedzcie mi, jak wam się podobał Winnetou.

- Niesłychanie. Wam chyba także,

- I wy chcecie jego zguby! Jak to się jedno z drugim zgadza?

- Zguby? Ja jego? Ani to przez myśl nie przeszło jedynemu synowi mojego ojca.

- Przecież mają go schwytać!

- Rozumie się.

- I to będzie jego zgubą!

- Nie wierzcie w strachy, sir! Tak polubiłem Winnetou, że gdyby się znalazł w niebezpieczeństwie, oddałbym życie za niego.

- A dlaczegóż w takim razie zwabiacie go w pułapkę?

- Aby nas obronić przed nim i jego Apaczami.

- A potem?

- Potem… hm! Wy byście się pewno ujęli gorliwie za tym młodym Apaczem, sir?

- Nie tylko ująłbym się, lecz uczynię to rzeczywiście! Wyswobodzę go, jeśliby go wzięto do niewoli, a gdyby ktoś podniósł broń przeciwko niemu, stanę u jego boku i będę walczył w jego obronie. Oświadczam to wam pod słowem i otwarcie.

- Tak? Zrobicie to? Rzeczywiście?

- Dałem umierającemu rękę na to, a takie przyrzeczenie jest dla mnie przysięgą, gdyż ja nigdy nawet zwyczajnego słowa nie łamię.

- Cieszy mnie to, bardzo mnie to cieszy. Zgadzamy się obydwaj zupełnie.

- Ależ - napierałem zniecierpliwiony - jak można pogodzić wasze piękne słowa z waszymi niecnymi zamiarami?

- Tego więc chcielibyście się dowiedzieć! Hm, tak, wasz stary Sam Hawkens zauważył po drodze, że pragnęliście z nim pomówić, ale dobrze, że to nie doszło do skutku, bo cały mój piękny plan byłby stracony. Jestem zupełnie innym człowiekiem i mam zupełnie inne zamiary, niż się to zdaje na oko. Tylko nie każdemu pozwalam sobie zaglądać w karty, hi! hi! hi! Wam mogę to wyjawić, bo wy mi dopomożecie, a Dick Stone i Will Parker także, jeśli się nie mylę. A więc Inczu-czuna, jak sądzę, nie tylko wyszedł z Winnetou na zwiady, lecz równocześnie kazał swoim wojownikom przygotować się i wyruszyć. Niezawodnie posunęli się oni dość daleko naprzód, a że zarówno wódz, jak i Winnetou będą jechali przez całą noc, spodziewam się, że spotka się z nimi już jutro rano lub przed południem. W przeciwnym razie nie wytężałby tak konia. Pojutrze wieczorem może się już tu pojawić. Widzicie z tego, w jakim jesteśmy niebezpieczeństwie i jak jest już ono bliskie. Jak to dobrze, że pojechaliśmy za nim! Nie spodziewałbym się go tu tak szybko! A jak to również dobrze, że natknęliśmy się na Keiowehów i że dowiedzieliśmy się od nich o wszystkim! Oni sprowadzą tutaj swoich dwustu jeźdźców i...

- Muszę przestrzec Winnetou przed Keiowehami - wtrąciłem.

- Broń Boże! - zawołał. - To by nam tylko zaszkodziło, bo Apacze umknęliby pozostając dla nas nadal równie groźni mimo obecności Keiowehów. Nie, oni muszą być pojmani i muszą zajrzeć śmierci w oczy. Jeśli ich potem potajemnie uwolnimy, to będą nam winni wdzięczność i zaniechają zemsty. Co najwyżej zażądają od nas Rattlera, a ja im nie odmówię. Cóż wy na to, rozgniewany dżentelmenie?

Podałem mu rękę mówiąc:

- Jestem zupełnie uspokojony, kochany Samie; bardzo dobrze to wszystko obmyśliliście!

- Prawda? Sam Hawkens jada podobno, jak ktoś powiedział, polne myszy, ale ma on także swoje dobre strony, hi! hi! hi! A zatem zgoda między nami?

- Tak, stary Samie.

- To kładźcie się i śpijcie spokojnie. Jutro będzie sporo roboty. Powiem teraz Stone'owi i Parkerowi, o co chodzi.

Czyż to nie było dobre, kochane człowieczysko, ten stary Sam Hawkens? Wyrazu ”stary” nie biorę dosłownie. Nie miał on więcej niż lat czterdzieści, ale przeraźliwy zarost, straszliwy nos, wystający jak wieża strażnicza i bluza skórzana, jak gdyby zbita z desek, czyniły go o wiele starszym.

Tu przyda się zresztą uwaga co do znaczenia słowa: ”old” - ”stary”. I u nas używa się go nie tylko na oznaczenie wieku, lecz często także jako wyrazu pieszczotliwego: ”mój stary”, ”poczciwy stary”. Człowiek tak nazwany niekoniecznie musi być naprawdę stary; określa się tak często nawet młode osoby. Prócz tego ma to słowo jeszcze jedno znaczenie. Mówi się często o ludziach: ”stary hultaj”, ”stary mruk”, ”stary wyga”. Tu wyraz ”stary” jest znakiem potwierdzenia, mocniejszym wyrażeniem jakiejś właściwości człowieka, silniejszym jej podkreśleniem. W tym samym znaczeniu posługują się słowem ”old” ludzie Dzikiego Zachodu. Jeden z najsławniejszych myśliwców na prerii nazywał się ”Old Firehand”. Strzał z jego strzelby oznaczał pewną śmierć; stąd nazwa ”Ognista Ręka”. Poprzedzające ją ”Old” podnosiło właśnie tę celność jego strzałów. Do nazwy ”Shatterhand”, którą ja otrzymałem, dodawano później także ”Old”.

Po odejściu Sama starałem się zasnąć, lecz sen długo nie przychodził. Towarzysze obozowi, uszczęśliwieni przybyciem Keiowehów, tak głośno omawiali ten temat, że usnąć przy tym było niemałą sztuką. Oprócz tego własne myśli nie dawały mi spokoju. Hawkens mówił o swoim planie z taką ufnością, jak gdyby niepowodzenie było zupełnie wykluczone, ja jednak nie podzielałem jego zapatrywania. Postanowiliśmy uwolnić Winnetou i jego ojca, ale nie zostało powiedziane bynajmniej, co się stanie z resztą Apaczów. Czy mieli oni zostać w rękach Keiowehów, a tylko wodzowie ocaleć? To mi się wydało niesłuszne. Ale uwolnić wszystkich Apaczów nie mogli czterej ludzie, zwłaszcza że musiało się to stać potajemnie, żeby

podejrzenie nie padło na nas. W jaki sposób mieli się Apacze dostać w ręce Keiowehów? Chyba nie bez walki, a w takim razie można było przewidzieć, że właśnie ci dwaj, których zamierzaliśmy ocalić, będą się bronili najdzielniej, a tym samym będą najbardziej narażeni na niebezpieczeństwo śmierci. Jak temu przeszkodzić? Gdyby się nie dali zwyciężyć i wziąć do niewoli, zabiliby ich prawdopodobnie Keiowehowie, a do tego w żadnym razie nie należało dopuścić.

Dumałem nad tym jeszcze długo, przewracałem się z boku na bok, ale nie znalazłem żadnego wyjścia. W końcu uspokoiła mnie do pewnego stopnia myśl, że chytry Sam Hawkens wybrnie jakoś z tych trudności. Na wszelki wypadek przyrzekłem sobie wystąpić w obronie obu wodzów i w razie potrzeby zasłonić ich nawet sobą. Nareszcie zasnąłem. Nazajutrz rano wziąłem się ze zdwojoną gorliwością do pomiarów, ponieważ poprzedniego dnia nie pracowałem. Każdy starał się, jak mógł, posuwaliśmy się więc naprzód szybciej niż zwykle. Rattler trzymał się z dala, włóczył się bez zajęcia tu i tam, ale jego westmani obchodzili się z nim przyjaźnie, jak gdyby nic nie zaszło. Wobec tego nabrałem przekonania, że w razie nieporozumienia z nim nie będę mógł na nich liczyć. Wieczorem okazało się, że odmierzyliśmy trasę dwa razy dłuższą niż zwykle, pomimo że teren był trudniejszy niż przedtem. Znużeni tym wysiłkiem, położyliśmy się spać zaraz po wieczerzy. Obóz posunął się oczywiście naprzód, Następnego dnia pracowaliśmy również pilnie aż do południa, przeszkodziło nam dopiero przybycie Keiowehów.

Zwiadowcy ich dostali się do nas łatwo z obozowiska, na którym u nas byli poprzednio, gdyż zostawione przez nas ślady były aż nadto widoczne. Indianie, silne, wojownicze postacie, siedzieli na dobrych koniach i wszyscy bez wyjątku uzbrojeni byli w strzelby, noże i tomahawki. Naliczyłem ich przeszło dwustu. Ich dowódca miał rzeczywiście niezwykły wzrost, surowe, ponure rysy twarzy i dwoje drapieżnych oczu, po których trudno było spodziewać się czegoś dobrego. Biła z nich żądza grabieży i walki. Nazywał się Tangua, czyli ”Dowódca”.

Patrząc na jego twarz i oczy, doznawałem lęku i trwogi na myśl, że Inczu-czuna i Winnetou mogą się dostać w jego ręce. Tangua przybył jako nasz przyjaciel i sprzymierzeniec, ale nie zachowywał się bynajmniej przyjaźnie. Występował, rzekłbyś - jak tygrys, który łączy się z lampartem, gdy idzie na polowanie, aby go potem także pożreć. Dowódca jechał z Lisem na czele czerwonoskórej gromady, a przybywszy do nas, nie zsiadł z konia, by nas powitać, lecz zrobił ręką ruch rozkazujący, na skutek czego jego ludzie otoczyli obóz. Potem zbliżył się do naszego wozu i podniósł płachtę, aby zajrzeć do środka. Zawartość nęciła go widocznie, gdyż zsiadł z konia i wlazł na wóz, aby zbadać, co się na nim znajduje.

- Oho! - rzekł Sam Hawkens stojący przy mnie. - On widocznie uważa nas i naszą własność za swoją zdobycz, jeśli się nie mylę. Jeżeli sobie wyobraża, że Sam Hawkens jest tak głupi, żeby wpuszczać wilka do obory, to się przekona o czymś zupełnie innym. Zaraz mu to pokażę.

- Tylko ostrożnie, Samie! - prosiłem. - Tych dwustu drabów ma nad nami przewagę.

- Liczbą, prawda, tylko nie dowcipem, hi! hi! hi!

- Ale otoczyli nas.

- Well! Widzę to także. A może myślicie, że nie mam oczu? Zdaje się, że nie sprowadziliśmy tu sobie dobrych pomocników. Okoliczność, że kazał nas okrążyć, uprawnia do przypuszczenia, że chce nas razem z Apaczami schować do kieszeni lub nawet pożreć. Ale bądźcie pewni, że ten kąsek stanie mu kością w gardle. Chodźcie do wozu i posłuchajcie, jak Sam Hawkens rozmawia z takimi łotrzykami! Jestem dobrym znajomym Tanguy, a chociaż on mnie nie widział, to wie dobrze, że się tutaj znajduję. Zachowanie jego nie tylko mnie złości, lecz także budzi obawę co do losu nas wszystkich. Popatrzcie na te marsowe miny, jakie oni do nas stroją. Zaraz im dowiodę, że Sam Hawkens jest tutaj. Chodźcie więc! Udaliśmy się ze strzelbami w ręku do wozu, w którym buszował Tangua. Opanowało mnie przy tym nieprzyjemne uczucie. Stanąwszy koło wozu, Sam rzekł ostrzegawczo:

- Czy sławny wódz Keiowehów ma ochotę przejść się za kilka chwil w odwieczne krainy?

Zapytany, zwrócony do nas plecami, podniósł się, odwrócił i odrzekł szorstko:

- Czemu blade twarze przeszkadzają mi tym głupim pytaniem? Tangua będzie kiedyś rządził w odwiecznych krainach, ale jeszcze dużo czasu upłynie, zanim się tam wybierze.

- Ten czas będzie może tylko minutą.

- Dlaczego?

- Zleź z wozu, to ci powiem, ale czym prędzej!

- Zostanę tutaj!

- Dobrze, to leć w powietrze!

Po tych słowach Sam odwrócił się i udał, że odchodzi. Na to wódz szybko zeskoczył z wozu, pochwycił Hawkensa za ramię i zawołał:

- Lecieć w powietrze? Dlaczego Sam Hawkens mówi takie słowa?

- Aby cię przestrzec.

- Przed czym?

- Przed śmiercią, która by cię porwała, gdybyś jeszcze przez kilka chwil został na wozie.

- Uff! Śmierć jest na wozie?

- Tak.

- Gdzie? Pokaż mi ją!

- Może później. Czy twoi zwiadowcy nie powiedzieli ci, po co tutaj jesteśmy?

- Powiedzieli mi. Chcecie wybudować drogę dla ognistego konia bladych twarzy.

- Słusznie! Taka droga przechodzi przez rzeki, przepaście i skały, a te ostatnie zwykle rozsadzamy. Przypuszczam, że ci o tym wiadomo.

- Tak, ale co to ma wspólnego ze śmiercią, którą mi groziłeś?

- Bardzo wiele, więcej, niż sądzisz. Czy słyszałeś kiedy, czym rozsadzamy skały stojące na drodze naszego konia ognistego? Czy myślisz, że prochem, którym strzelacie ze swoich strzelb?

- Nie. Blade twarze zrobiły inny wynalazek, którym mogą rozsadzać całe góry.

- Słusznie! Ten wynalazek mamy na wozie. Jest on wprawdzie dobrze opakowany, ale kto nie wie, w jaki sposób wziąć paczkę do ręki, i dotknie jej, ten jest zgubiony, bo pęknie mu w rękach i rozerwie go na tysiąc kawałków.

- Uff, uff! - zawołał przerażony. - Czy byłem blisko tych paczek?

- Tak blisko, że gdybyś nie zeskoczył, znajdowałbyś się już teraz w odwiecznych krainach myśliwskich. A z czym byś tam poszedł? Nie ujrzano by na tobie ani świętych ”leków”, ani skalpowego kosmyka, nie przyniósłbyś tam z sobą nic prócz kawałeczków mięsa i kości. Jakżeż mógłbyś w tej postaci panować na polach wieczności jako wielki wódz? Szczątki twoje podeptałyby tam i porozgniatały rumaki duchów.

Indianina schodzącego w wieczne ostępy myśliwskie bez ”leków” i skalpowego kosmyka, przyjmują zmarli bohaterowie z pogardą i kiedy ci szczęśliwcy pławią się w indiańskich rozkoszach, on musi się kryć przed ich oczyma. Tak wierzą czerwonoskórzy. Jakież to nieszczęście przybyć tam w małych kawałeczkach! Mimo ciemnej barwy skóry widać było, że wodzowi krew z twarzy uciekła ze strachu.

- Uff! - zawołał po chwili. - Jak to dobrze, że powiedziałeś mi to jeszcze zawczasu! Ale dlaczego przechowujecie ten wynalazek na wozie, gdzie znajduje się tyle innych, pożytecznych rzeczy?

- Czy mają te paczki leżeć na ziemi, gdzie mogłyby się zepsuć albo wywołać nieszczęście? Powiadam ci, że nawet na wozie nie są dość bezpieczne. Gdyby taka paczka pękła, wyleciałoby w powietrze wszystko, co jest w pobliżu.

- A ludzie także?

- Naturalnie, ludzie i zwierzęta w obrębie stu końskich długości.

- Wobec tego muszę nakazać moim wojownikom, żeby nikt się nie zbliżał do wozu.

- Proszę cię, zrób to, żeby jakaś nieostrożność nie zgubiła nas wszystkich! Widzisz, jak ja się o was troszczę w przekonaniu, że Keiowehowie są naszymi przyjaciółmi. Tymczasem zdaje mi się, że się pomyliłem. Przyjaciele przy spotkaniu pozdrawiają się i palą razem fajkę pokoju. Czy postanowiłeś tego dzisiaj zaniechać?

- Paliłeś już przecież z moim zwiadowcą Lisem!

- Tylko ja i ten biały wojownik stojący przy mnie, ale reszta moich towarzyszy nie. Skoro ich nie pozdrawiasz, muszę przypuścić, że przyjaźń twoja nie jest szczera.

Tangua patrzył przez jakiś czas przed siebie w zadumie i odpowiedział wymówką:

- Jesteśmy na wyprawie wojennej i nie wzięliśmy z sobą kinnikinniku pokoju.

- Usta wodza Keiowehów mówią co innego, niż serce myśli. Widzę worek kinnikinniku wiszący u jego pasa, prawdopodobnie pełny. Nam go nie potrzeba, bo mamy pod dostatkiem tytoniu. Niekoniecznie wszyscy muszą brać udział w paleniu. Ty zapalisz za siebie i za swoich wojowników, a ja za siebie i obecnych tu białych, wówczas przymierze obejmować będzie wszystkich mężów, którzy się tu znajdują.

- Po cóż my dwaj będziemy palili, skoro już jesteśmy przyjaciółmi? Niechaj Sam Hawkens uważa, że wypaliliśmy fajkę pokoju za wszystkich.

- Dobrze, ale w takim razie my uczynimy to, co nam się spodoba, a ty nie dostaniesz Apaczów w swe ręce.

- Czy chcesz ich może ostrzec? - spytał Tangua błysnąwszy złowrogo oczyma.

- Ani myślę o tym, ponieważ są naszymi wrogami i postanowili nas zabić. Ale nie powiem ci, jak ich schwytać.

- Nie potrzebuję twoich rad. Sam to wiem.

- Oho! Czy wiesz, kiedy i z której strony nadejdą, gdzie możemy się na nich natknąć?

- Dowiem się, bo wyślę ludzi na zwiady.

- Tego nie zrobisz, bo będziesz dość mądry i powiesz sobie, że Apacze znaleźliby twoje ślady i przygotowaliby się do napadu.

Posuwaliby się ku nam z największą ostrożnością, krok za krokiem, a wtedy pytanie, czy dostałbyś ich w ręce. Tymczasem według mojego planu moglibyście ich niespodzianie otoczyć i wziąć do niewoli, Jeśli się nie mylę.

Spostrzegłem, że to wyjaśnienie nie pozostało bez wrażenia. Tangua oświadczył po chwili namysłu:

- Pomówię z moimi wojownikami.

Następnie oddalił się od nas, podszedł do Lisa, skinął na kilku jeszcze innych czerwonoskórych i zaczął się z nimi naradzać.

- Przez to, że chce wpierw pomówić z nimi, przyznaje, że nie miał względem nas dobrych zamiarów - rzekł Sam.

- To podle z jego strony, gdyż jesteście jego przyjacielem i nie wyrządziliście mu nic złego - odparłem.

- Przyjacielem? Kto jest przyjacielem w pojęciu Keiowehów? To opryszki żyjące z grabieży. Uważają oni kogoś za przyjaciela tylko dopóty, dopóki nie posiada rzeczy, które by można mu zrabować. A my właśnie mamy wóz z środkami żywności i innymi rzeczami przedstawiającymi dla Indian wielką wartość. Zwiadowcy donieśli o tym wodzowi i od tej pory Keiowehowie postanowili nas ograbić.

- A teraz?

- Teraz... hm! Teraz jesteśmy bezpieczni.

- Cieszyłbym się, gdyby się to okazało prawdą.

- Sądzę, że tak jest. Znam tych ludzi. To kapitalny pomysł z mej strony, że wmówiłem w niego, jakobyśmy przechowywali na wozie coś w rodzaju dynamitu, hi! hi! hi! On uważał już wszystko, co się tam znajduje, za pewny łup. Wszak pierwszy swój krok zrobił w stronę wozu. Teraz nie wątpię, że nikt z czerwonoskórych nie odważy się ruszyć niczego na wozie. Spodziewam się nawet że ta ich obawa przyda nam się jeszcze później. Ja wezmę sobie puszkę z sardynek i wmówię w nich, że zawiera materiał wybuchowy. Wy macie też przy sobie taką samą puszkę, w której przechowujecie papiery. Zapamiętajcie to sobie na wszelki wypadek na przyszłość.

- Pięknie! Spodziewam się, że odniesie to należyty skutek. Ale co sądzicie o fajce pokoju?

- Ułożyli sobie, że nie będziemy jej palić, ale teraz sądzę, że się namyślą. Mój argument trafił wodzowi do przekonania, przypuszczam, że przekona również i jego wojowników. Mimo to i nadal nie możemy im wierzyć.

- A zatem widzicie, Samie, że miałem do pewnego stopnia słuszność. Chcieliście swój plan wykonać z pomocą Keiowehów, a tymczasem oddaliście siebie i nas w ich ręce. Jestem ciekawy, co teraz z tego wyniknie.

- Nic innego jak to, czego się spodziewam. Możecie spokojnie zdać się na mnie. Wódz zamierzał wprawdzie z początku ograbić nas, a potem schwytać Apaczów na własną rękę, teraz jednak musi uznać, że ci są zbyt chytrzy na to, żeby się dać mu pojmać i zarąbać. Jak mu to już przedstawiłem, Apacze znaleźliby ślady wysłanych przeciwko nim zwiadowców, a wtedy mógłby spokojnie czekać, zanimby mu wpadli w ręce jak ślepe kury. O, już skończyli i wódz nadchodzi. Teraz się rozstrzygnie.

To rozstrzygnięcie ujrzeliśmy jeszcze, zanim się Tangua do nas przybliżył, gdyż na kilka okrzyków Lisa otaczający nas dotąd krąg czerwonoskórych cofnął się, a jeźdźcy pozsiadali z koni. Wódz miał teraz mniej posępną minę.

- Naradziłem się ze swymi wojownikami -powiedział. - Zgadzają się na to, bym zapalił fajkę pokoju z moim bratem Samem, a to będzie obowiązywało wszystkich.

- Spodziewałem się tego, ponieważ jesteś nie tylko dzielnym, lecz także rozumnym człowiekiem. Niechaj wojownicy Keiowehów utworzą koło, abyśmy zamienili między sobą dym pokoju i przyjaźni.

Tak się też stało. Tangua i Sam Hawkens wypalili fajkę pokoju, ze zwykłym ceremoniałem, a potem my, biali, podchodziliśmy do każdego czerwonoskórego po kolei, aby im podać rękę. Teraz mogliśmy być spokojni, że przynajmniej na dzisiaj i na najbliższe dni nie będą żywili wobec nas nieprzyjaznych zamiarów. Co potem mogli wymyślić i zrobić, tego oczywiście nie wiedzieliśmy.

Mówiąc, że palili fajkę pokoju, posługuję się określeniem używanym u nas. Indianin, jak sam to określa, nie ”pali” tytoniu, lecz go ”pije”, a zwrot ten jest o tyle właściwy, że Indianin paląc połyka dym, gromadzi go w żołądku i wypuszcza z rzadka powolnymi wydechami. Pod tym względem podobny jest Indianin w dziwny sposób do Turka. Tytoń nazywa się po turecku ”titiu”, a palić tytoń lub fajkę - ”titin” lub ”czibuk iczmek”; ”iczmek” zaś nie znaczy palić, lecz pić.

Jaką czcią otaczają Indianie fajkę pokoju, widać z tego, że na przykład w języku Jemesów i we wszystkich dialektach Apaczów istnieje dla niej ten sam wyraz, co dla oznaczenia wodza. W języku Jemesów wódz nazywa się ”fui”, a fajka ”fuiczasz”, u Apaczów zaś dowódca ”natan”, a fajka ”natantse”. To ”tse” znaczy kamień i określa zarówno fajki gliniane wypalane, jak i sporządzone z kamienia, Głowica fajki pokoju powinna być zrobiona ze świętej gliny znajdującej się w Dakocie. Po przywróceniu tego, tymczasowego przynajmniej, porozumienia zażądał Tangua zwołania wielkiej rady, w której mieli wziąć udział także i biali. Nie byłem z tego wcale zadowolony, gdyż odrywało nas to od roboty, która przecież nie cierpiała zwłoki. Prosiłem więc Sama, żeby się postarał o odłożenie tej narady na wieczór, słyszałem bowiem, że czerwonoskórzy, zajęci taką naradą, niełatwo. ją kończą, chyba że zmusi ich do tego jakieś niebezpieczeństwo. Hawkens pomówił z wodzem i oświadczył mi potem:

- Jako prawdziwy Indianin, nie chce zmienić swej woli. Na Apaczów jeszcze długo trzeba będzie czekać, dlatego domaga się posiedzenia, na którym ja mam wyłuszczyć swój plan, po czym nastąpi wielka uczta. Zapasów nam nie brak, a Keiowehowie sprowadzili także dość suszonego mięsa na swoich jucznych koniach. Szczęściem uzyskałem tyle, że tylko ja, Dick Stone i Will Parker mają być obecni na naradzie. Wam wolno pójść do roboty.

- Wolno? Jak gdybyśmy potrzebowali do tego ich pozwolenia. Zachowam się wobec nich tak, że poznają, iż uważam się za zupełnie niezależnego od nich.

- Nie wprowadzajcie mi tu zamieszania, sir! Udawajcie lepiej, że niczego nie zauważyliście! Nie powinniście ściągać na siebie ich oburzenia, jeżeli chcecie, aby wszystko poszło dobrze.

- Ale ja chciałbym także brać udział w tej naradzie.

- To zbyteczne.

- Ja sądzę przeciwnie. Muszę też wiedzieć, jakie postanowienia zapadną.

- Dowiecie się natychmiast potem.

- A jeśli postanowicie coś, na co ja się nie zgodzę?

- Nie zgodzę? Wy? Patrzcie na tego greenhorna! Wyobraża sobie naprawdę, że będzie zatwierdzał to, co przedsięweźmie Sam Hawkens! Czy mam was także pytać o pozwolenie, gdy sobie zechcę obciąć paznokcie albo buty oczyścić?

- Tak tego nie rozumiem. Chciałbym tylko być pewien, że nie uchwalicie czegoś takiego, przez co życie obu Apaczów byłoby narażone na szwank.

- Co do tego możecie się zdać zupełnie na waszego starego Sama Hawkensa. Zaręczam słowem, że wyjdą Z tego cało. Czy to wam wystarczy?

- Tak. Wasze słowo mi wystarcza, bo sądzę, że dawszy je, będziecie dbać, żeby się spełniło.

- Well! Zabierajcie się więc do roboty i bądźcie pewni, że i bez was sprawa ułoży się tak, jak gdybyście sami wetknęli w nią swój nos!

Musiałem się z tym pogodzić, gdyż zależało mi na ukończeniu pomiarów jeszcze przed starciem z Apaczami. Zabraliśmy się więc do wytyczania trasy z nową gorliwością i posuwaliśmy się naprzód bardzo szybko. Bancroft i jego trzej podwładni wytężali wszystkie siły, gdyż przedstawiłem im grożące nam niebezpieczeństwo.

Gdybyśmy bowiem choć trochę żałowali naszych sił, Apacze mogliby przybyć przed ukończeniem roboty, a wtedy los nasz nie byłby do pozazdroszczenia albo z ich powodu, albo nawet z powodu Keiowehów. Jeślibyśmy zaś naszą pracę doprowadzili do końca przed ich ukazaniem się, należało się spodziewać, że uda nam się umknąć i zabezpieczyć siebie i rysunki. Na skutek

tych uwag i przestróg ludzie pracowali tak pilnie i wytrwale jak nigdy przedtem. Cel swój zatem osiągnąłem. Sam jednak nie myślałem ani na chwilę o tego rodzaju ucieczce. Chodziło mi o Winnetou. Reszta mogła czynić, co chciała, ja byłem gotów zostać, dopóki nie nabrałbym pewności, że nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo. Miałem podwójną robotę, gdyż musiałem mierzyć i zapisywać, a zarazem sporządzać rysunki, i to w duplikatach. Jeden egzemplarz dostawał starszy inżynier, a drugi potajemnie chowałem dla siebie na wszelki wypadek. Położenie nasze było tak niebezpieczne, że przezorność ta była usprawiedliwiona.

Narada trwała istotnie aż do wieczora, a skończyła się właśnie wtedy, kiedy musieliśmy zaprzestać roboty z powodu ciemności. Keiowehowie byli w znakomitym usposobieniu, ponieważ Sam słusznie czy niesłusznie obdzielił ich naszą pozostałą wódką. Nie przyszło mu oczywiście na myśl zapewnić sobie poprzednio zezwolenia Rattlera. Płonęło już kilka ognisk, a dokoła nich siedzieli ucztujący czerwonoskórzy. Obok pasły się konie, a dalej w ciemności pilnowały obozu czaty rozstawione przez wodza. Usiadłem obok Sama i jego nieodłącznych towarzyszy, Parkera i Stone'a, jadłem wieczerzę i wodziłem oczyma po obozie, który przedstawiał dla mnie, jako nowicjusza, niezwykły widok. Wyglądał rzeczywiście dość wojowniczo. Przypatrując się kolejno czerwonym twarzom, nie znalazłem ani jednej, którą by można było posądzić o zdolność wzruszenia się niedolą wroga. Naszej wódki wystarczyło zaledwie tyle, by każdy pociągnął tylko z pięć lub sześć łyków. Nie zauważyłem więc ani jednego pijanego, ale ”woda ognista”, którą rzadko mogli zdobyć, wywarła jednak skutek. Indianie byli bardziej ożywieni w ruchach i głośniejsi w rozmowie niż zazwyczaj.

Zapytałem oczywiście Sama o wynik narady.

- Możecie być zadowoleni - odrzekł. - Obu waszym ulubieńcom nic się nie stanie.

- A jeśli się będą bronili?

- Do tego wcale nie dojdzie. Zostaną pokonani i skrępowani, zanim się domyśla, że spotka ich coś podobnego.

- Tak! Jakżeż wy sobie właściwie wyobrażacie tę całą sprawę, mój stary Samie?

- Bardzo prosto. Apacze mogą nadejść tylko jedną drogą. Zgadniecie którą, sir?

- Tak. Udadzą się najpierw tam, gdzie się z nami spotkali, a potem dalej naszym śladem.

- Słusznie! Nie jesteście rzeczywiście tacy głupi, jak się wydaje, gdy się widzi waszą twarz. Mamy zatem pierwszą z potrzebnych nam wiadomości, to jest wiemy, z której strony się ich spodziewać. Druga sprawa pod względem ważności - to czas, w którym przybędą.

- Nie da się tego obliczyć dokładnie, ale można się mniej więcej domyślić.

- Tak, kto ma olej w głowie, może się już czegoś podobnego domyślić, ale sam domysł nic jeszcze nie znaczy. Kto w takim położeniu jak nasze działa tylko wedle domysłów, ten niewątpliwie naraża swą skórę. Musimy mieć pewność, zupełną pewność.

- Moglibyśmy ją uzyskać tylko za pomocą zwiadów, ale wy tego nie chcecie, kochany Samie. Twierdzicie, że zdradziłyby nas ślady zwiadowców.

- Czerwonych zwiadowców, zapamiętajcie to sobie! Apacze wiedzą, że jesteśmy tutaj, i skoro natkną się na ślad białego, nie wzbudzi to w nich podejrzenia. Gdyby jednak znaleźli ślady czerwonoskórych, byłoby to zupełnie co innego, bo ostrzeżeni tym, baczyliby starannie na wszystko. Jako nadzwyczajnie mądra głowa, wyobrażacie sobie zapewne, co by Apacze przypuścili.

-- Że w pobliżu są Keiowehowie?

- Tak, odgadliście rzeczywiście! Gdybym nie musiał oszczędzać mojej starej peruki, zdjąłbym teraz przed wami kapelusz z wielkiego uszanowania. Pomyślcie sobie, że to uczyniłem.

- Dziękuję, Samie! Mam nadzieję, że ten szacunek będzie trwały. Ale wróćmy do sprawy. Sądzicie zatem, że powinniśmy wysłać białych, a nie czerwonoskórych na zwiady do Apaczów?

- Tak, ale nie kilku, tylko jednego.

- Czy to nie za mało?

- Nie, gdyż na tego jednego można się zdać zupełnie; nazywa się on Sam Hawkens i jeśli się nie mylę, jada myszy polne, hi! hi! hi! Znacie tego człowieka, sir?

- Tak - rzekłem. - Jeśli on to weźmie na siebie, obawy będą zbyteczne. On się nie da pochwycić Apaczom.

- Pochwycić się nie da, lecz się im pokaże.

- Co? Mają więc was zobaczyć?

- Rozumie się.

- W takim razie pochwycą was i zabiją,

- Ani im to w głowie nie postanie. Są na to zbyt mądrzy. Urządzę się tak, że mnie zobaczą po to, by nie pomyśleli, że ktoś się do nas przyłączył. Gdy zaś tak spokojnie przejdę się przed ich oczyma, będą przypuszczali, że czujemy się bezpiecznie jak na łonie Abrahama. Nic mi nie zrobią, bo gdybym nie wrócił do obozu, wy z kolei powzięlibyście podejrzenie. Będą mniemali, że i tak potem dostaną mnie w swe ręce.

- Ależ, Samie, to niemożliwe, żeby oni was zobaczyli, a wy ich nie!

- Sir - wybuchnął żartobliwie - jeśli mi dajecie taki moralny policzek, to nasza przyjaźń skończona! Ja miałbym ich nie zobaczyć? Oczka Sama Hawkensa są małe, lecz bardzo bystre. Apacze nie zbliżą się wprawdzie wielką gromadą, lecz wyślą kilku swoich na zwiady, ale ja i tych nie przegapię, ponieważ tak się ustawię, że będę musiał ich ujrzeć. Wiecie, są miejsca, w których najlepszy westman nie zdoła się ukryć i musi wyjść w czyste pole. Takie miejsca wyszukuje się po to, by podpatrywać zwiadowców. Skoro ich tylko spostrzegę, doniosę wam o tym, żebyście byli spokojni, gdy będą się oni skradali do obozu.

- Ale w takim razie zauważą Keiowehów i zawiadomią o tym wodza!

- Kogo zauważą? Keiowehów? Człowiecze, greenhornie, szanowny młodzieńcze, czy myślicie, że mózg Sama Hawkensa składa się z waty i bibuły? Już ja się o to postaram, że nie będzie widać ani śladu Keiowehów najmniejszego śladu, zrozumiano? Nasi kochani przyjaciele, Keiowehowie, ukryją się bardzo dobrze i wypadną dopiero w stosownej chwili. Zwiadowcy Apaczów mogą zobaczyć tylko te osoby, które były w obozie podczas bytności Winnetou i jego ojca.

- To co innego!

- Prawda? Zwiadowcy Apaczów mogą zatem śmiało skradać się dokoła nas i nabrać pewności, że czujemy się zupełnie bezpieczni. Skoro się potem oddalą, ruszę za nimi, aby zaczekać na całą gromadę. Nadciągnie ona oczywiście nie w dzień, lecz w nocy i zbliży się do obozu, jak tylko będzie mogła, po czym dzielni Apacze rzucą się na nas.

- I wezmą nas do niewoli albo pozabijają; przynajmniej kilku!

- Słuchajcie, sir; żal mi się was robi naprawdę. Udajecie człowieka wykształconego, a nie wiecie nawet o tym, że jeśli się nie chce być pojmanym, to się zmyka. Wie o tym każdy zając, a nawet ów mały, czarny i kąśliwy owad, który skacze sześćset razy wyżej niż sięga wzrostem. A wy, wy tego nie wiecie! Hm, czy nie ma tego w owych książkach, których tak dużo przeczytaliście?

- Nie, gdyż dzielny westman nie powinien skakać tak wysoko jak ów owad, o którym mówicie. Zdaniem waszym powinniśmy zatem umknąć w bezpieczne miejsce?

- Tak. Rozniecimy ogień, żeby nas mogli dokładnie zobaczyć. Dopóki będzie płonął, Apacze z pewnością pozostaną w ukryciu. Skoro się tylko ogniska wypalą, usuniemy się po ciemku, aby sprowadzić Keiowehów. Wtedy rzucą się Apacze na obóz i… nie znajdą w nim nikogo, hi! hi! hi! Ogarnie ich oczywiście zdumienie i rozniecą ogień na nowo, żeby nas szukać. Dzięki temu zobaczymy ich tak wyraźnie jak wówczas, kiedy tu byli, i cała sprawa się odwrócił wtedy my na nich napadniemy! Będzie to fortel, o którym ludzie długo będą sobie

opowiadali zaznaczając przy tym, że to Sam Hawkens go wymyślił, jeśli się nie mylę.

- Tak, to byłoby wcale dobre, gdyby się wszystko stało tak, jak sobie wyobrażacie, a nie inaczej.

- Postaram się o to, żeby się nie stało inaczej.

- Ale co potem? Zapewne uwolnimy potajemnie Apaczów?

- Przynajmniej Inczu-czunę i Winnetou.

- A innych nie?

- Ilu się da, bez zdradzenia siebie.

- A co będzie z innymi?

- Nic złego, sir, mogę was o tym zapewnić. Keiowehowie mniej będą myśleli o nich niż o chwytaniu zbiegów, a gdyby się okazali rzeczywiście krwiożerczy, to będzie tu jeszcze Sam Hawkens. W ogóle nie trzeba łamać sobie głowy nad tym, co się potem stanie, wy przynajmniej możecie zrobić ze swojej lepszy użytek. Jak się potoczą dalsze wypadki, to się potem okaże. Teraz musimy się rozejrzeć za miejscem potrzebnym do przeprowadzenia naszego planu, bo nie każde się do tego nadaje. Postaram się o to jutro. Na razie mówiliśmy już dość, od jutra trzeba działać.

Miał słuszność. Dalsze gadanie i snucie planów było zbyteczne; teraz należało tylko czekać na to, co się zdarzy.

Noc była dość nieprzyjemna. Zerwał się wiatr, który się zamienił w burzę, a nad ranem dało się odczuć zimno tak dotkliwe, jakie w tych stronach bywa rzadkością. Znajdowaliśmy się mniej więcej na wysokości Damaszku, a mimo to obudził nas chłód. Sam Hawkens przyjrzał się niebu i rzekł:

- Dzisiaj stanie się tutaj coś, co się rzadko zdarza w tych stronach: deszcz spadnie, jeśli się nie mylę. To nam się bardzo przyda w naszym planie.

- Jak to? - spytałem.

- Nie możecie wpaść na to sami? Popatrzcie, jak się trawa dokoła położyła! Skoro przyjdą Apacze, zauważą, że było tu więcej ludzi i zwierząt, niż nas jest. Jeśli deszcz spadnie, trawa prędko się podniesie. W przeciwnym razie ślady obozu byłyby

widoczne jeszcze po czterech lub pięciu dniach. Oddalę się z Keiowehami czym prędzej.

- Aby wyszukać miejsce na napad?

- Tak. Mógłbym zostawić Keiowehów tutaj i dopiero później po nich wrócić, lecz im rychlej się oni oddalą, tym prędzej znikną ich ślady. Wy pracujcie sobie tymczasem dalej.

Zawiadomił wodza o swoim zamiarze i wkrótce potem Indianie odjechali wraz z Samem i jego obydwu towarzyszami. Oczywiście miejsce, które Sam postanowił wybrać, musiało leżeć na linii naszych pomiarów, inaczej bowiem kosztowałoby nas to zbyt wiele czasu i wpadłoby w oko Apaczom.

Posuwaliśmy się za nimi zwolna, w miarę postępu naszej roboty. Około południa spełniła się przepowiednia Sama, i to w sposób, jaki jest właściwy tylko tym szerokościom geograficznym. Zdawało się, że się niebo otwarło. Wśród tej ulewy nadszedł Sam z Dickiem i Willem. Spostrzegliśmy ich dopiero, gdy się zbliżyli na dziesięć do piętnastu kroków; tak gęsto padał deszcz. Dowiedzieliśmy się, że znaleźli stosowne miejsce. Parker i Stone mieli je nam pokazać, a Hawkens wyszedł na zwiady, zabrawszy z sobą trochę żywności. Wybrał się pieszo, bo tak mógł się lepiej ukryć niż z mułem. Gdy zniknął za gęstą zasłoną deszczu, doznałem uczucia, że katastrofa zbliża się pośpiesznym krokiem. Jak niezwykła była ulewa, istne oberwanie chmury, tak też prędko się skończyła. Naraz zamknęły się niebieskie upusty, zaświeciło nad nami słońce tak ciepłe jak wczoraj, przeto podjęliśmy na nowo przerwaną pracę.

Znajdowaliśmy się na równych, niezbyt wielkich i otoczonych lasem sawannach, porosłych z rzadka krzakami. Teren był łatwy, więc postępowaliśmy szybko naprzód. Zauważyłem przy tym, że Sam Hawkens słusznie przewidział dziś rano skutki deszczu. Keiowehowie przejeżdżali tym samym szlakiem, a mimo to nie widać było śladów kopyt ich koni. Idący za nami Apacze nie mogliby się domyślić, że mamy dwustu sprzymierzeńców w pobliżu. Gdy o zmierzchu zaprzestaliśmy pracy, dowiedzieliśmy się od Stone'a i Parkera, że jesteśmy już

w pobliżu przypuszczalnego placu boju. Byłbym go chętnie zobaczył, ale na to już było za późno.

Nazajutrz rano dotarliśmy po krótkiej pracy do potoku tworzącego dość duży staw, prawdopodobnie napełniony zawsze wodą, gdy tymczasem koryto potoku było przeważnie wyschłe. Obecnie jednak, na skutek ulewy, woda przelewała się przez brzegi. Do stawu prowadził wąski szmat sawanny, otoczony drzewami i zaroślami. Brzeg tworzył w tym miejscu półwysep porosły także drzewami i krzakami. Wąski tam, gdzie się łączył z lądem, rozszerzał się ku środkowi stawu tak, że miał kształt prawie kolisty. Po drugiej stronie stawu wznosiło się łagodne, lesiste wzgórze.

- Oto miejsce obrane przez Sama - rzekł Stone spoglądając dokoła okiem znawcy. - Znakomicie nadaje się ono do tego, co zamierzamy.

To skłoniło mnie oczywiście. do rozejrzenia się na wszystkie strony.

- Gdzież są Keiowehowie, mr. Stone? - spytałem.

- Ukryci, bardzo dobrze ukryci - odrzekł. - Trudźcie się, jak chcecie, a nie zdołacie znaleźć ich śladu, chociaż oni widzą nas i mogą obserwować dokładnie.

- A zatem gdzie są?

- Zaczekajcie, sir! Najpierw muszę wam wyjaśnić, dlaczego wybór chytrego Sama padł na to miejsce. Sawanny, którymi przybyliśmy tutaj, pokrywa dużo samotnie stojących krzaków. Tę właściwość terenu wyzyskają zwiadowcy Apaczów: pojadą za nami niepostrzeżenie, kryjąc się za krzakami. A teraz przypatrzcie się tej polanie. Rozniecony przez nas ogień oświetli ją, rzucając światło na sawanny, którymi nadciągną wrogowie. To znęci Apaczów, toteż zbliżą się do nas ukryci za drzewami i krzakami otaczającymi z obu stron polanę. Powiadam wam, że nie mogliśmy znaleźć lepszego miejsca na napad dla czerwonoskórych!

Jego długa, chuda, ogorzała twarz świeciła wprost od wewnętrznego zadowolenia, ale starszy inżynier nie podzielał bynajmniej tego zachwytu i rzekł potrząsając głową:

- Jacy wy jesteście dziwni, mr. Stone! Ogarnia was radość z tego powodu, że na was napadną. Mnie zaś to tak dalece martwi, że się stąd zabiorę!

- Aby tym pewniej wpaść w ręce Apaczów! Strzeżcie się podobnych myśli, mr. Bancroft! Rozumie się, że rad jestem z tego miejsca, gdyż wprawdzie ułatwi ono Apaczom napad, ale później umożliwi z kolei nam ich ujęcie. Spojrzyjcie tylko za wodę! Tam na wzgórzu siedzą w lesie Keiowehowie. Ich zwiadowcy powyłazili na najwyższe drzewa i widzieli nas z pewnością, gdy nadchodziliśmy. Tak samo zauważą nadciągających Apaczów, gdyż mogą stamtąd objąć okiem całe sawanny.

- Ależ - wtrącił starszy inżynier - Co nam to pomoże w razie napadu Apaczów, że za wodą kryją się w lesie Keiowehowie?

- Oni tam są tylko tymczasem; nie mogą być tutaj, gdyż odkryliby ich zwiadowcy Apaczów.

Skoro tylko zwiadowcy się oddalą, Keiowehowie natychmiast zejdą i ukryją się na półwyspie, gdzie nie będzie ich można dostrzec.

- A zwiadowcy Apaczów tam nie pójdą?

- Mogliby, lecz my ich nie puścimy.

- W takim razie musielibyśmy ich odpędzić, a przecież mamy udawać, że nie wiemy o ich obecności. Jak to się godzi jedno z drugim, mr. Stone?

- Bardzo dobrze. Nie wolno nam, co prawda, okazywać, że ich szukamy, ani zabronić im wejścia na półwysep. Ma on jednak tam, gdzie styka się z brzegiem, tylko trzydzieści kroków szerokości, a, tę szerokość zabarykadujemy naszymi końmi.

- Konie barykadą? Czy to możliwe?

- Tak, jest. Przywiążemy tam konie do drzew. Indianin na pewno się nie zbliży, gdyż konie mogłyby go zdradzić parskaniem. Pozwolimy więc zwiadowcom podejść spokojnie i rozejrzeć się, bo na półwysep nie będą się wdzierali. Skoro się oddalą po większą liczbę wojowników, wówczas zejdą z góry Keiowehowie i ukryją się na półwyspie. Potem podpełzną po cichu Apacze, by na nas napaść, gdy tylko położymy się spać.

- A jeśli nie będą czekać tak długo? - wtrąciłem. - Wszak nie zdołamy się cofnąć na czas!

- To nie przedstawiałoby także żadnego niebezpieczeństwa - odrzekł - gdyż Keiowehowie przyszliby nam zaraz z pomocą.

- Ale nie obyłoby się bez rozlewu krwi, a tego właśnie chcemy uniknąć.

- Cóż, sir, tu na Zachodzie trudno się liczyć z każdą kroplą krwi. Ale nie obawiajcie się! Ten sam powód powstrzyma też i Apaczów od napadu dopóty, dopóki będziemy jeszcze czuwali. Zrozumieją, że będziemy się bronili i chociaż nas jest tylko dwudziestu, padnie niejeden z nich, zanim zdołają nas unieszkodliwić. Nie, oni tak samo oszczędzają swoje życie i krew jak my swoją. Dlatego zaczekają, dopóki się nie położymy spać. My zaś zgasimy prędko ogień i udamy się na wyspę.

- A co będziemy robili do tego czasu? Możemy pracować?

- Tak; tylko musicie być tutaj w stanowczej chwili.

- A więc nie traćmy czasu. Chodźcie, panowie, aby coś jeszcze zrobić!

Poszli za mym wezwaniem, chociaż bynajmniej nie okazywali zapału do pracy. Jestem pewien, że chętnie by wszyscy pouciekali, ale wówczas praca nie zostałaby skończona i zgodnie z kontraktem, nie otrzymaliby za nią zapłaty. Nie chcieli zaś jej utracić. Zresztą gdyby nawet umknęli, Apacze dopędziliby ich niebawem. Toteż spostrzegłszy, że tutaj bezpieczeństwo ich było względnie największe, zostali na miejscu.

Co się mnie tyczy, to przyznaję otwarcie, że nie czekałem obojętnie na wypadki. Opanował mnie nastrój podobny do gorączki, którą się odczuwa, gdy zaczynają grać armaty. Nie był to lęk, o nie, do tego bowiem miałem więcej powodów wówczas, gdy kładłem trupem bawoły, a potem niedźwiedzia. Dziś chodziło o życia ludzkie i to mnie niepokoiło. Na moje życie mniej zważałem, gdyż potrafiłbym je jakoś obronić; ale Inczu-czuna i Winnetou! Tyle w ostatnich dniach myślałem o młodym wodzu, że w duchu czułem się mu coraz bliższy. Choć nieobecny i nie zaprzyjaźniony ze mną wcale, stał mi się drogi.

Był to osobliwy proces duchowy. I rzecz szczególna! Dowiedziałem się później od Winnetou, że myślał o mnie wówczas równie często jak ja o nim!

Praca także nie usunęła mego wewnętrznego niepokoju. Byłem natomiast pewien, że zniknie on w chwili stanowczej, dlatego pragnąłem, żeby nadeszła jak najszybciej, tym bardziej że ominąć jej nie było można. Życzenie to miało się spełnić, gdyż na krótko przed południem ujrzeliśmy Sama Hawkensa wracającego ze zwiadów. Mały człowieczek był wyraźnie znużony, lecz jego małe, chytre oczka wyzierały nadzwyczaj pogodnie z gęstwiny zarostu.

- Czy wszystko się udało? - zapytałem. - Widzę to po was, zacny stary Samie.

- Tak? - zaśmiał się. - Gdzież to napisane? Na moim nosie, czy w waszej fantazji?

- Fantazji? Pshaw! Kto ujrzy wasze oczy, nie może wątpić.

- Tak, więc oczy mnie zdradzają. Dobrze, że wiem o tym, to mi się przyda na przyszłość. Ale macie słuszność. Udało mi się, udało się o wiele lepiej, niż przypuszczałem.

- A więc widzieliście zwiadowców?

- Zwiadowców? Czy widziałem? Coś więcej, o wiele więcej! Nie tylko zwiadowców, lecz całą gromadę, i nie tylko widziałem, lecz także słyszałem i podsłuchałem.

- Podsłuchaliście? Ach, to powiedzcie prędzej, czegoście się dowiedzieli!

- Nie teraz i nie tutaj. Zbierzcie przyrządy i idźcie do obozu! Przyjdę zaraz za wami, ale muszę się przedtem udać do Keiowehów, aby im oznajmić wynik moich zwiadów i pouczyć, jak się mają zachować.

Poszedł wzdłuż stawu, przeskoczył potok i zniknął po drugiej stronie między drzewami. My zabraliśmy nasze graty, udaliśmy się do obozu i tam czekaliśmy na Sama Hawkensa. Nie widzieliśmy, żeby wracał, ani też nic nie słyszeliśmy, gdy wtem zjawił się nagle między nami i rzekł zarozumiale:

- Oto jestem, my lords! Czyż nie macie oczu ani uszu? Mógłby was zaskoczyć słoń, którego kroki słychać o kwadrans drogi!

- Co prawda nie zachowaliście się jak słoń - odrzekłem.

- Być może. Chciałem wam tylko pokazać, że można podejść kogoś niepostrzeżenie. Siedzieliście spokojnie i nie rozmawialiście wcale, a jednak nie zauważyliście mnie, gdy się skradałem. Zupełnie to samo było wczoraj wieczorem, kiedy podchodziłem Apaczów.

- Opowiedzcie nam to, opowiedzcie!

- Well! Usłyszycie, ale dopiero kiedy usiądę, gdyż jestem bardzo zmęczony. Moje nogi przyzwyczaiły się do konnej jazdy i nie chcą już biegać. Zresztą eleganccy ludzie służą w kawalerii, a nie w piechocie, jeśli się nie mylę.

Zajął miejsce blisko mnie, łypnął okiem na każdego z osobna i rzekł kiwając znacząco głową;

- A zatem dzisiaj pójdziemy w taniec!

- Już dziś wieczorem? - zapytałem na wpół zaskoczony i na wpół uradowany, ponieważ życzyłem sobie jak najwcześniejszego rozstrzygnięcia. - To dobrze, to bardzo dobrze!

- Uwzięliście się widocznie, żeby się dostać w ręce Apaczów! Ale słusznie mówicie, że to dobrze. Ja także się cieszę, że nie trzeba już dłużej czekać. To przykra rzecz czekać na coś, co się może skończyć inaczej, niż sobie człowiek wyobraża.

- Jak to: inaczej? Czy jest jakaś przyczyna do obaw?

- Bynajmniej. Teraz właśnie jestem pewien, że wszystko skończy się dobrze. Ale doświadczony człowiek wie, że i z najlepszego dziecka wyróść może opryszek. Tak samo bywa ze zdarzeniami. Najpiękniejsze plany zawodzą niekiedy wskutek przypadku.

- Ale tego chyba nie należy się tym razem obawiać?

- Nie. Sądząc z tego, co słyszałem, wynik będzie znakomity.

- Cóżeście słyszeli? Opowiedzcie, opowiedzcie!

- Tylko powoli, mój młody sir! Wszystko po kolei. Nie mogę jeszcze powiedzieć, co słyszałem, bo muszę wpierw wspomnieć, co się stało przedtem. Wyszedłem podczas ulewy, nie czekając jej końca, ponieważ deszcz nawet najulewniejszy nie może się przedostać przez tę bluzę, hi! hi! hi! Dotarłem prawie do

miejsca, gdzie obozowaliśmy, kiedy obaj Apacze do nas przybyli, ale tam już musiałem się ukryć, gdyż ujrzałem trzech czerwonoskórych węszących dokoła. ”To zwiadowcy Apaczów - pomyślałem sobie - ale nie pójdą dalej, gdyż prawdopodobnie mieli dojść tylko do tego miejsca”. Tak też było. Przeszukali okolicę, ale nie znaleźli moich śladów, usiedli wreszcie pod drzewami, ponieważ poza lasem ziemia była zbyt mokra, i tak czekali ze dwie godziny. Ja również ułożyłem się pod drzewem i czekałem te dwie godziny. Musiałem przecież wiedzieć, co się dalej stanie. Wtem nadjechał oddział jeźdźców pomalowanych wojennymi barwami. Poznałem natychmiast Inczu-czunę i Winnetou z ich Apaczami.

- Ilu było wszystkich?

- Tylu, ilu się spodziewałem: około pięćdziesięciu ludzi. Zwiadowcy wyszli spod drzew i zdali sprawę obu wodzom. Potem ruszyli znowu przodem, a gromada zwolna za nimi. Możecie sobie wyobrazić, dżentelmeni, że Sam Hawkens wybrał się także w drogę. Deszcz pozacierał zwyczajne ślady, ale zostały wasze powbijane pale i one posłużyły za niezawodne drogowskazy. Obym, dopóki żyć będę, miał zawsze takie piękne, wyraźne ślady! Lecz Apacze musieli być bardzo ostrożni, gdyż mogli na każdym zakręcie lasu, za każdą kępą zarośli natknąć się na nas, i dlatego posuwali się naprzód bardzo powoli. Poczynali sobie chytrze i przezornie, czym się bardzo w duchu cieszyłem, gdyż, jak zawsze, sądzę, że Apacze przewyższają wszystkie inne szczepy indiańskie. Inczu-czuna to zuch, Winnetou również. Najdrobniejszy ich ruch był dokładnie obliczony. Nie wymówili ani słowa i porozumiewali się na migi. Kiedy byłem o dwie mile od miejsca, gdzie ujrzałem ich po raz pierwszy, zapadł wieczór. Wtedy Indianie zsiedli z koni, przywiązali je do palików i zniknęli w lesie, gdzie mieli zostać do rana.

- I wy tam podsłuchaliście, co mówili? - zapytałem.

- Tak. Jako rozumni ludzie, nie rozniecili ognia, a ponieważ Sam Hawkens jest równie mądry jak oni, więc nie zdołali go dojrzeć. Posuwałem się zwolna coraz to dalej i dalej pod

drzewami na własnym brzuchu, bo innego nie miałem, aż się do nich zbliżyłem i usłyszałem wszystko, o czym rozprawiali.

- A zrozumieliście wszystko?

- Nierozsądne pytanie! Potrafię chyba usłyszeć, co się mówi?

- Myślę o tym, czy posługiwali się żargonem indiańsko-angielskim?

- Mówili, jeśli się nie mylę, dialektem Mescalerów, który od biedy rozumiem. Przybliżyłem się do obu wodzów, którzy zamieniali z sobą co pewien czas kilka słów krótkich wprawdzie, zgodnie z indiańskim zwyczajem, lecz pełnych treści. Dowiedziałem się dostatecznie wiele i wiem, czego się trzymać.

- To wystrzelcie już raz z tym, co wiecie! - prosiłem, gdy zrobił pauzę.

- Więc idźcie na bok, sir, jeżeli chcecie, by mój strzał was nie dosięgną! Apacze zawzięli się istotnie na nas i pałają żądzą pochwycenia nas żywcem.

- A więc nie będą zabijali?

- Owszem. Chcą nas zabić, ale nie od razu. Będą się starali nas tylko pojmać i zabrać potem do wsi Mescalerów nad Rio Pecos, gdzie nas poprzywiązują do słupów i żywcem upieką. Well, zupełnie jak karpie, które się przynosi do domu, wkłada do wody i karmi, aby je potem ugotować z różnymi korzeniami. Ciekawym, czy smaczne będzie mięso ze starego Sama, zwłaszcza gdy go całego wsadzą do rynki i usmażą razem z bluzą myśliwską, hi! hi! hi! Zaśmiał się w zwykły swój sposób i mówił dalej:

- Szczególnie godzą na mr. Rattlera, który siedzi tu z wami w niemym zachwycie i patrzy na mnie w upojeniu jak gdyby niebo razem ze wszystkimi swoimi szczęśliwościami tylko na niego czekało. Tak, mr. Rattler, nawarzyliście sobie piwa i musicie je wypić. Nadzieją was na rożen, wbiją na pal, strują, zakłują, zastrzelą, połamią kołem i powieszą, jedno po drugim, a za każdym razem tylko troszkę, żebyście od razu nie zginęli i mogli z należnym smakiem skosztować wszystkich rodzajów męczarni i śmierci. A jeśli nie umrzecie mimo to wszystko,

położą was razem z zastrzelonym przez was Kleki-petrą do grobu i żywcem zakopią.

- O nieba! Czy tak powiedzieli? - zapytał Rattler zbladłszy z przerażenia.

- Rozumie się. Zasłużyliście na to, a ja wam w tym nieszczęściu nie pomogę. Życzę wam tylko, żebyście po przebyciu wszystkich rodzajów śmierci nie popełnili już nigdy tak niecnego czynu. Sądzę, że tego zaniechacie. Zwłoki Kleki-petry oddano czarownikowi, aby je zabrał do domu. Musicie wiedzieć, że południowi Indianie umieją świetnie konserwować zwłoki swych zmarłych. Widziałem mumie dzieci indiańskich, które po upływie przeszło stu lat wyglądały tak, jak gdyby dzień przedtem jeszcze żyły. Gdy nas wszystkich pojmają, zrobią nam tę przyjemność, że zobaczymy, jak mr. Rattlera zamienią żywcem w mumię.

- Ja tutaj nie zostanę! - zawołał wymieniony. - Uciekam! Mnie nie dostaną!

Chciał się zerwać, ale Sam go przytrzymał i upomniał:

- Ani kroku stąd, jeśli wam życie miłe! Powiadam, że Apacze obsadzili już całą okolicę.

Wpadlibyście im prosto w ręce.

- Czy naprawdę tak sądzicie, Samie? - spytałem.

- Tak. To nie pusta groźba, mam prawo to przypuszczać. Nie pomyliłem się i pod innym względem. Apacze wyruszyli już także przeciwko Keiowehom. Jest tam całe wojsko, z którym obaj wodzowie mają się połączyć, kiedy uporają się tu z nami. Tylko w ten sposób mogli tak szybko do nas powrócić. Nie jeździli po wojowników aż do wsi, lecz spotkali w drodze oddział który wyruszył przeciw Keiowehom. Oddali więc zwłoki Kleki-petry czarownikowi i kilku ludziom, by je odwieźli do domu, a sami wybrali pięćdziesięciu dobrych jeźdźców na wyprawę przeciwko nam.

- Gdzie się znajduje oddział przeznaczony do walki z Keiowehami?

- Nie wiem. Nie słyszałem o tym ani słowa. Jest to zresztą obojętne.

Tu stary Sam nie miał słuszności. Nie było nam to wcale obojętne, gdzie się znajdował ten najliczniejszy oddział. Mieliśmy się o tym przekonać już w najbliższych dniach. Sam ciągnął dalej;

- Usłyszawszy wystarczająco dużo, byłbym się od razu wybrał do was, ale nocą trudno zatrzeć ślad; mogli go rano zobaczyć, a poza tym chciałem się im jeszcze przypatrzyć. Dlatego pozostałem w leśnym ukryciu i wstałem dopiero, kiedy odeszli. Szedłem za nimi w odległości około sześciu mil stąd, a potem okrążyłem ich, aby powrócić niepostrzeżenie do was. Well, oto wszystko, co wam mogę oznajmić.

- Więc nie pokazaliście się im wcale?

- Nie.

- I postaraliście się, żeby nie odkryli waszych śladów?

- Tak.

- Wszak powiedzieliście, że się im pokażecie i...

- Wiem już, wiem! Byłbym to zrobił, ale okazało się to zbyteczne, gdyż, bo... pst, czyście słyszeli?

Trzykrotny krzyk orła przerwał mu mowę.

- To zwiadowcy Keiowehów - rzekł. - Siedzą na drzewach. Powiedziałem im, żeby dali ten znak, gdy dojrzą Apaczów na sawannach. Chodźcie, sir, przekonamy się, jakie macie oczy!

Wezwanie to zwrócił Sam do mnie. Podniósł się z ziemi, żeby odejść, a ja wziąłem strzelbę i ruszyłem za nim.

- Stać! - rzekł. - Strzelbę zostawcie tutaj. Westman nie powinien się wprawdzie rozłączać ze strzelbą, ale to wyjątkowy wypadek, gdyż musimy udawać, że nie myślimy o żadnym niebezpieczeństwie. Będziemy pozornie zbierali drzewo na ognisko. Apacze wywnioskują z tego, że wieczorem rozłożymy się tu obozem, a to nam się przyda.

Włóczyliśmy się na pozór niewinnie pomiędzy rzędami drzew i zarośli na otwartej polanie, po czym poszliśmy na sawanny. Tam zaczęliśmy na skraju lasu zbierać suche gałęzie i spoglądaliśmy przy tym ukradkiem w stronę Apaczów. Jeśli się znajdowali w pobliżu, byli niewątpliwie w zaroślach rozsypanych po sawannach.

- Czy widzicie kogo? - spytałem Sama po chwili.

- Nie - odpowiedział.

- Ja także nie.

Wytężyliśmy wzrok, ale nie dostrzegliśmy niczego. Tymczasem, jak się później dowiedziałem od samego Winnetou, leżał on może o pięćdziesiąt kroków od nas za krzakiem i stamtąd nas śledził. Nie wystarczą tylko bystre oczy, trzeba je jeszcze wyćwiczyć, a tego ćwiczenia wówczas jeszcze moje oczy nie miały. Dzisiaj spostrzegłbym Winnetou od razu, choćby tylko po muchach, które znęcone zapachem ciała gęściej kłębią się nad krzakiem. Powróciliśmy więc do naszych towarzyszy, nic nie wskórawszy, i dalej zbieraliśmy drzewo na ognisko. Nazbieraliśmy więcej, niż było potrzeba.

- To słuszne - rzekł Sam. - Musimy zostawić kupkę chrustu dla Apaczów, żeby mieli drzewo pod ręką, gdy po naszym zniknięciu zechcą rozniecić ogień.

Ściemniło się. Sam, jako najbardziej doświadczony, ukrył się na samym skraju polany, gdzie zaczynały się sawanny, chcąc posłyszeć zbliżanie się zwiadowców. Należało się ich spodziewać, gdyż mieli zbadać nasz obóz. Rozniecono ogień, który rzucał światło daleko na sawanny. Apacze musieli niewątpliwie uważać nas za ludzi niedoświadczonych! Ten ogień bowiem wybornie wskazywał drogę do nas. Ułożyliśmy się do wieczerzy tak swobodnie, jak gdybyśmy byli dalecy od wszelkich obaw. Strzelby leżały daleko od nas, ale zwrócone ku półwyspowi, żebyśmy potem mogli zabrać je z sobą. Półwysep, jak to Sam Hawkens przedtem postanowił, zamykały konie.

Od zapadnięcia zmierzchu upłynęło ze trzy godziny, kiedy Sam wrócił cicho jak cień i zawiadomił nas szeptem:

- Nadchodzą dwaj zwiadowcy: jeden z tej, a drugi z tamtej strony. Słyszałem ich i widziałem, Zbliżali się więc z dwóch stron polany, kryjąc się w cieniu zarośli. Sam przysiadł się do nas i rozpoczął rozmowę na jakiś obojętny temat, a myśmy mu odpowiadali. W ten sposób rozwinęła się pogawędka, której ożywienie miało uśpić czujność zwiadowców. Widzieliśmy, że byli i że nas śledzili, ale nie rzuciliśmy ani jednego

podejrzliwego spojrzenia ku zaroślom. Teraz szło przede wszystkim o to, żeby się dowiedzieć, kiedy się oddalą. Słyszeć tego ani widzieć nie mogliśmy, a przecież po ich odejściu nie mieliśmy już ani chwili do stracenia. Należało się spodziewać, że zaraz potem zbliży się cała gromada, a przedtem Keiowehowie powinni byli obsadzić półwysep. Najlepiej więc było nie czekać, aż zwiadowcy sami opuszczą zarośla, lecz zmusić ich do tego. Sam Hawkens podniósł się i udając, że szuka drzewa, wszedł w zarośla z jednej, a ja z drugiej strony. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że Indianie się cofnęli. Następnie Sam złożył dłonie koło ust i wydał trzykrotny okrzyk, naśladując głos ropuchy. Był to dla Keiowehów znak by się zbliżyli. Ponieważ znajdowaliśmy się nad wodą, krzyk ten nie mógł budzić podejrzeń. Potem Sam udał się znów na swoją poprzednią placówkę, by donieść nam o zbliżaniu się głównego oddziału Apaczów.

Upłynęły zaledwie dwie minuty od krzyku żaby, a już nadeszli Keiowehowie, jeden za drugim, w długim szeregu, złożonym z dwustu ludzi. Nie czekali w lesie, lecz dla pośpiechu posunęli się aż do potoku. Jak węże przeczołgali się w naszym cieniu ku półwyspowi tak zręcznie i szybko, że w trzy minuty minął nas już ostatni. Teraz czekaliśmy na Sama, który wkrótce się zjawił i szepnął:

- Nadchodzą, i to z obu stron. Dołóżcie drzewa. Trzeba się postarać, żeby po zgaśnięciu ognia został jeszcze żar pod popiołem, od którego czerwoni będą mogli szybko rozniecić ogień.

Ułożyliśmy zapas drzewa dokoła ognia w ten sposób, by światło żaru nie zdradziło przedwcześnie naszego zniknięcia. Teraz każdy z nas musiał się stać aktorem. Wiedzieliśmy, że w pobliżu znajduje się pięćdziesięciu Apaczów, a nie mogliśmy się z tym zdradzić, gdyż od tego zależało nasze życie. Przyjęliśmy za pewnik, że nieprzyjaciele zaczekają, dopóki rzekomo nie zaśniemy na dobre, ale co by się stało, gdyby tego nie zrobili i napadli na nas wcześniej? Wprawdzie mieliśmy tuż obok dwustu sprzymierzeńców, ale wtedy doszłoby do walki i

rozlewu krwi, co niejeden z nas mógłby przypłacić życiem. Dziwne było nasze zachowanie w obliczu katastrofy. Ja byłem spokojny, jak gdyby szło o rozegranie partii szachów. Rattler leżał twarzą do ziemi i udawał śpiącego. Strach śmiertelny objął go lodowatymi rękami. Jego ”sławni westmani” patrzyli na siebie trupio bladzi i ledwo brali udział w naszej rozmowie. Will Parker i Dick Stone siedzieli tak swobodnie, jak gdyby na całym świecie nie było ani jednego Apacza. Sam Hawkens opowiadał jeden dowcip po drugim, a ja śmiałem się z jego żartów.

Ponieważ minęło tak już z pół godziny, nabraliśmy pewności, że napad nastąpi dopiero wówczas, gdy zaśniemy, w przeciwnym razie bowiem dawno doszedłby do skutku. Ogień już się prawie wypalił, toteż uważałem za stosowne nie zwlekać dłużej z rozstrzygnięciem. Ziewnąłem więc przeciągle kilka razy i powiedziałem:

- Jestem znużony i chciałbym się położyć spać. A wy, Samie?

- Nic nie mam przeciwko temu i także to zrobię - odrzekł. - Ogień już gaśnie, dobranoc!

- Dobranoc! - zawołali również Stone i Parker, po czym odeszliśmy jak najdalej od ognia,

ale tak żeby to nie wyglądało podejrzanie, i rozciągnęliśmy się na ziemi.

Ogień malał coraz bardziej, aż wreszcie zgasł. Żar tlił się jeszcze pod popiołem, ale światło nie mogło nas już dosięgnąć, byliśmy więc w zupełnej ciemności. Teraz należało przenieść się w bezpieczne miejsce. Wziąwszy swoją strzelbę, zacząłem się zwolna czołgać. Sam trzymał się mego boku, a reszta ruszyła za nami. Na wypadek gdyby który z nich wywołał szmer, postarałem się zagłuszyć go w ten sposób, że dostawszy się do koni, zmusiłem jednego z nich do głośnego tupotu, popychając go to w jedną, to w drugą stronę. Nie pozwalało to dosłyszeć żadnego odgłosu, który mógłby nas zdradzić. Wszystkim też udało się dotrzeć do Keiowehów zaczajonych jak chciwe krwi pantery.

- Samie - rzekłem - jeżeli mamy rzeczywiście oszczędzać obu wodzów, to nie wolno nam dopuścić do nich Keiowehów. Czy jesteście tego samego zdania?

- Tak.

- Ja biorę na siebie Winnetou, a wy, Stone i Parker zaopiekujcie się Inczu-czuną.

- Jak to? Wy bierzecie jednego, a nam trzem także zostawiacie tylko jednego? To trochę niesprawiedliwie, jeśli się nie mylę.

- Zupełnie sprawiedliwie. Ja uporam się prędko z Winnetou, ale was musi być trzech, żeby Inczu-czuną nie mógł się wcale bronić, gdyż inaczej łatwo narazi się na rany, a nawet na śmierć.

- Well, macie słuszność! Ale żeby Keiowehowie nas nie uprzedzili, wysuńmy się trochę naprzód, a będziemy pierwsi. Chodźcie!

Ustawiwszy się o kilka kroków bliżej ognia, czekaliśmy z najwyższym napięciem na hasło walki Apaczów, gdyż należało się spodziewać, że bez hasła nie rozpoczną napadu. Zgodnie z indiańskim zwyczajem wódz daje znak okrzykiem, a potem wtóruje mu reszta, jak może najpiekielniej. Wycie to ma pozbawić przeciwnika ochoty do obrony. Można ten właściwy wszystkim szczepom okrzyk naśladować w ten sposób, że się wydaje jak najprzenikliwiej długie ”hiiiiiiih”, a potem dłonią uderza się szybko raz za razem po wargach tak, że to brzmi jak tryl. Keiowehowie byli tak samo podnieceni jak my. Każdy z nich chciał być pierwszy, więc pchali się do przodu, popędzając nas coraz bardziej ku ognisku. Mogło się to stać dla nas, wysuniętych naprzód, niebezpieczne, dlatego pragnąłem, żeby Apacze rozpoczęli atak jak najszybciej.

Nareszcie spełniło się to życzenie. Zabrzmiało wspomniane ”hiiiiiih” tak przeraźliwie i dojmująco, że mi ciarki przeszły po plecach, po czym nastąpiło wycie tak straszliwe, jak gdyby je wydało tysiąc diabłów. Mimo miękkości gruntu usłyszeliśmy odgłos szybkich kroków i - znowu zapanowała cisza. Przez kilka chwil nic się nie ruszyło dokoła. Potem doszedł nas głos Inczu-czuny, który wymówił krótkie słowo ”ko!”

Wyraz ten oznacza: ogień. Popiół, któryśmy zostawili, tlił się jeszcze, a leżący obok chrust łatwo się palił. Apacze czym prędzej wykonali rozkaz i rzucili trochę drzewa na przygasłe nieco ognisko. W kilka sekund płomienie buchnęły na nowo i oświetliły polanę. Inczu-czuna i Winnetou stali obok siebie. Skoro Apacze spostrzegli, że nas nie ma, utworzył się dokoła wodzów krąg wojowników.

- Uff, uff, uff! - wołali zdumieni.

Winnetou okazał już teraz, mimo swej młodości, rozwagę, którą tak podziwiałem u niego później. Pomyślał, że musimy być jeszcze niedaleko i że wobec tego stojący w świetle ognia Apacze stanowią dla nas zbyt wyraźny cel. Dlatego zawołał:

- Tatisza, tatisza!

Słowo to znaczy: oddalić się. Sam Winnetou już się prężył do skoku w ciemność, kiedy go uprzedziłem. Kilka szybkich kroków - i oto znalazłem się przy otaczającym go kole wojowników. Roztrąciwszy na prawo i lewo zawadzających mi Apaczów, przebiłem się do środka, a Sam, Stone i Parker szli tuż za mną. Wtedy właśnie, kiedy Winnetou zawołał głośno ”tatisza!” i zamierzał odskoczyć, znalazł się przede mną. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. On sięgnął ręką błyskawicznie do pasa po nóż, lecz równocześnie ja uderzyłem go pięścią w skroń tak, że zachwiał się i runął na ziemię, a w tej samej chwili Sam, Will i Dick pochwycili Inczu-czunę.

Apacze zawyli z wściekłości, ale wycie ich przygłuszył okropny ryk Keiowehów, którzy się teraz na nich rzucili. Przebiwszy koło Apaczów, stałem w samym środku kłębowiska walczących i wyjących ludzi. Dwustu Keiowehów przeciwko pięćdziesięciu Apaczom, a więc czterech na jednego! Ale dzielni wojownicy Winnetou bronili się ze wszystkich sił. Musiałem kilku z nich utrzymywać z dala od siebie, pomagając sobie przy tym pięściami, ponieważ nie chciałem nikogo zranić ani zabić. Powaliwszy jeszcze czterech czy pięciu, zdobyłem trochę miejsca, a wtedy osłabł także opór ogólny. W pięć minut po naszym ataku walka się zakończyła. Zaledwie w pięć minut! Ale w takim wypadku znaczy to: bardzo długo! Wódź Inczu-czuna

leżał związany na ziemi, a obok niego również skrępowany i nieprzytomny Winnetou. Ani jeden z Apaczów nie uciekł, prawdopodobnie dlatego, że tym mężnym wojownikom ani przez myśl nie przeszło opuścić obu pokonanych zaraz na początku wodzów. I oni, i Keiowehowie mieli rannych, a trzech Keiowehów i pięciu Apaczów poniosło śmierć na miejscu. Wprawdzie nie mieliśmy takiego zamiaru, lecz energiczny opór Apaczów zmusił Keiowehów do użycia broni.

Pokonanych nieprzyjaciół od razu skrępowano, co nie było wielką sztuką, gdyż na jednego Apacza wypadało po czterech, a licząc także nas, białych, po pięciu ludzi. Trzech Keiowehów przytrzymywało jednego Apacza, a czwarty lub piąty zajmował się wiązaniem. Trupy usunięto na bok, a ponieważ ranni Keiowehowie znaleźli pomoc u swoich towarzyszy, przeto my zabraliśmy się do opatrywania rannych Apaczów. Oczywiście przyjęli nas z ponurymi twarzami, a niektórzy nawet stawiali opór, gdyż byli zbyt dumni na to, by korzystać z przysługi nieprzyjaciół, i woleli, żeby krew im z ran uchodziła. Nie czułem się tym jednak zaniepokojony, gdyż rany ich były przeważnie lekkie. Ukończywszy opatrywanie rannych, zapytaliśmy, jak pojmani spędzą noc. Chciałem im ulżyć, ile możności, ale wódz Keiowehów, Tangua, huknął na mnie:

- Te psy do nas należą, nie do was, ja tylko mam prawo stanowić o ich losie!

- A co z nimi zrobisz? - spytałem.

- Zatrzymalibyśmy ich w niewoli aż do powrotu do naszych wsi, ale ponieważ chcemy napaść na ich wsie, a droga do nich długa, przeto nie będziemy się z nimi wlekli tak daleko. Pójdą pod pal męczeński.

- Wszyscy?

- Wszyscy.

- O tym wątpię.

- Czemu?

- Ponieważ przedtem znajdowałeś się w błędzie.

- Kiedy?

- Kiedy powiedziałeś, że Apacze należą do was. To było fałszywe.

- To było słuszne!

- Nie. Wedle praw Zachodu pojmany należy do tego, kto go pokonał. Weźcie więc sobie Apaczów, których wyście ujęli, ja wam w tym nie przeszkodzę. Ci jednak, których myśmy obezwładnili, należą do nas.

- Uff, uff! Jak ty mądrze mówisz! Chcecie zatem wziąć sobie Inczu-czunę i Winnetou?

- Naturalnie!

- A jeśli ja wam ich nie dam?

- O to się nie boję!

Tangua mówił głosem nieprzyjaznym, a ja odpowiadałem spokojnie, ale stanowczo. Wyciągnął zza pasa nóż, wbił go w ziemię aż po rękojeść i rzekł błyskając ku mnie groźnie oczyma:

- Dotknijcie tylko jednego Apacza, a ciała wasze będą jako to miejsce, w którym tkwi nóż. Powiedziałem. Howgh!

Sprawa przybrała więc dość niebezpieczny obrót, ale mimo to byłbym mu dowiódł, że nie potrafi mnie zastraszyć, gdyby nie Sam Hawkens, który rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. To przywróciło mi rozwagę. Wolałem wiec zamilknąć.

Skrępowani Apacze leżeli dokoła ognia. Najprostszą rzeczą było zostawić ich tak, zwłaszcza że nie trudno byłoby ich pilnować. Ale Tangua chciał mi pokazać, że uważa ich rzeczywiście za swoją własność oraz że może z nimi robić, co mu się podoba. Rozkazał więc, żeby poprzywiązywano ich do drzew w postawie stojącej.

Zlecenie to wykonano i jak to sobie można łatwo wyobrazić, niezbyt łagodnie. Keiowehowie postępowali bezwzględnie i starali się sprawiać jeńcom jak najwięcej bólu. Żaden z Apaczów nie drgnął nawet, bo wszyscy wychowani byli surowo i wyćwiczeni w znoszeniu bólu. Najbezwzględniej postępowano z obu wodzami, których więzy ściągnięto tak mocno, że im krew omal nie trysnęła z nabrzmiałych członków.

Nie było mowy o tym, żeby któryś z jeńców mógł o własnych siłach wydobyć się z więzów i umknąć, ale mimo to Tangua

rozstawił czaty dokoła obozu.

Rozniecony na nowo ogień płonął na środku polany. Rozłożyliśmy się dokoła ognia, zamierzając nie dopuścić tutaj nikogo z Keiowehów, ponieważ utrudniłoby to lub nawet uniemożliwiło uwolnienie Winnetou i jego ojca. Na szczęście nie przyszli do nas. Od razu na początku okazali się nieprzychylni dla nas, a moja sprzeczka z wodzem tym bardziej nie zmieniła ich usposobienia na lepsze. Zimne, pogardliwe niemal spojrzenia, jakie na nas rzucali, nie budziły bynajmniej zaufania. Musieliśmy sobie powiedzieć, że i tak dobrze będzie, jeżeli rozstaniemy się z nimi bez starcia.

Keiowehowie zapalili sobie daleko od nas, a bliżej sawannów, kilka ognisk i rozłożyli się przy nich obozem. Tam rozmawiali z sobą nie żargonem używanym w stosunkach czerwonych z białymi, lecz językiem swojego szczepu, oczywiście dlatego, żebyśmy ich nie rozumieli, co było także złym znakiem. Widocznie uważali siebie za panów sytuacji i zachowanie ich w stosunku do nas było podobne do zachowania się lwa w menażerii, który z trudem znosi przy sobie pieska w klatce.

Wykonanie naszego zamiaru utrudniała jeszcze ta okoliczność, że mogły o nim wiedzieć tylko cztery osoby: Sam Hawkens, Dick Stone, Will Parker i ja. Reszty towarzyszy nie chcieliśmy wtajemniczać w tę sprawę, gdyż niewątpliwie sprzeciwiliby się temu, a może nawet donieśliby o naszym planie Keiowehom. Spodziewaliśmy się zresztą, że wszyscy niebawem zasną, a wówczas nie zauważą naszych ruchów. Z tego powodu, a także dlatego że w razie powodzenia naszego zamiaru nie było mowy, żebyśmy mogli potem choć przez chwilę odpocząć, Sam zwrócił uwagę, że byłoby dobrze trochę się przespać. Poszliśmy więc za jego radą. Zasnąłem szybko pomimo podniecenia, w jakim się znajdowałem. Nie umiałem jeszcze wówczas mierzyć czasu podług gwiazd, ale niewątpliwie było już około północy, kiedy Sam mnie obudził. Towarzysze spali, a ogniska się wypaliły. Keiowehowie podtrzymywali jeszcze tylko jedno, a reszta zgasła. Mogliśmy z sobą

porozmawiać, oczywiście przyciszonym głosem. Parker i Stone także już czuwali. Sam szepnął do mnie:

- Przede wszystkim należy wybrać spomiędzy nas dwu ludzi, bo wszyscy czterej nie możemy stąd odejść. Dwaj wystarczą.

- Oczywiście ja do nich należę! - rzekłem stanowczo.

- Oho, nie tak nagle, sir! Sprawa bardzo niebezpieczna.

- Wiem o tym.

- Well. Jesteście zuch, jeśli się nie mylę, ale grozi nam zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Narażamy życie; powodzenie zamiaru zależy od osób, które go wykonają.

- To słuszne.

- Cieszy mnie, że to przyznajecie, sądzę więc, że wyrzekniecie się swego osobistego udziału.

- Ani mi się śni!

- Miejcie rozum, sir! Puśćcie mnie z Dickiem!

- Nie!

- Jesteście jeszcze nowicjuszem. Po prostu nie umiecie jeszcze się skradać.

- Możliwe. Dowiodę wam jednak dzisiaj, że człowiek potrafi spełnić swe zadanie nawet, jeśli się na nim nie rozumie. Trzeba tylko gorąco chcieć.

- I posiadać trochę zręczności, sir, trochę zręczności! A tego wam właśnie brak. To musi być zręczność i wrodzona, i wyćwiczona, a wam do niej jeszcze niestety daleko.

- Niech rozstrzygnie próba.

- A zrobicie próbę?

- Tak.

- Jaką?

- Wiecie, czy Tangua śpi?

- Nie.

- A to dla nas bardzo ważne. Prawda?

- Tak. Ja się tam zakradnę.

- Nie, ja to uczynię.

- Wy? Dlaczego?

- Właśnie, by odbyć próbę,

- Ach, tak! A jeżeli was odkryją?

- Nic się nie stanie strasznego, ponieważ mam dobrą wymówkę. Powiem, że chciałem się przekonać, czy czaty dobrze pilnują.

- Dobrze. Ale po co ta próba? - Aby sobie zdobyć wasze zaufanie. Jeśli mi się to uda, to weźmiecie mnie z sobą do Winnetou.

- O tym jeszcze pomówimy.

- Zgoda. A zatem mogę się udać do wodza?

- Tak, ale miejcie się na baczności! Gdy was spostrzegą, powezmą podejrzenie, jeśli nie teraz, to potem, po ucieczce Winnetou. Pomyślą, że wyście go odcięli.

- I nie będą się zbytnio mylić.

- Kryjcie się za każdym drzewem i każdym krzakiem, a unikajcie miejsc oświetlonych ogniem. Starajcie się być ciągle w ciemności!

- Zastosuję się ściśle do waszych wskazówek.

- Spodziewam się. Nie śpi jeszcze przynajmniej trzydziestu Keiowehów, jeśli się nie mylę, nie licząc czat. Jeżeli dokażecie tego, że was nie spostrzegą, to was pochwalę i pomyślę sobie, że może jednak będzie z was kiedyś westman, chociaż pomimo moich zbawiennych rad jesteście wciąż jeszcze greenhornem, jakiego nie znajdzie się w żadnym muzeum osobliwości, hi! hi! hi!

Wsunąłem nóż i rewolwer za pas tak głęboko, że nie mogły mi wypaść po drodze, i odczołgałem się od ognia. Dziś, kiedy to opowiadam, czuję całą odpowiedzialność, jaką tak lekko wówczas wziąłem na siebie, cała zuchwalstwo zamierzonego przedsięwzięcia. Nie miałem bowiem zamiaru zakradać się do wodza Tanguy.

Polubiłem Winnetou i pragnąłem dać mu dowód tej przyjaźni, o ile możności czynem wymagającym narażenia życia. Teraz nastręczyła się doskonała ku temu sposobność: możliwość wyswobodzenia go z niewoli. Ale chciałem to zrobić sam! Tymczasem Sam Hawkens stanął mi w drodze ze swoimi wątpliwościami. Gdybym nawet podpatrzył szczęśliwie Tanguę, mogłem przypuszczać, że Sam nie pozbędzie się tych

wątpliwości. To, na co się tak cieszyłem, zamierzał wykonać z Dickiem Stone'em. Dlatego przyszło mi na myśl nie żebrać i nie trudzić się o to, by moje życzenie się spełniło. Postanowiłem udać się nie do Tanguy, lecz do Winnetou! Wystawiałem przez to na szwank nie tylko moje życie, lecz także i życie towarzyszy, bo jeśliby mnie schwytano, zginęliby wraz ze mną i oni. Zdawałem sobie z tego sprawę, ale w młodzieńczym zapale przeszedłem nad tym do porządku dziennego. O tym, jak należy się skradać, czytałem dużo w młodości, a odkąd sam już byłem na Dzikim Zachodzie, także dużo słyszałem. Szczególnie Sam Hawkens opowiadał i pokazywał mi często, jak się to robi. Starałem się go naśladować, ale o umiejętności, jakiej mi wówczas było potrzeba, nie mogło być nawet mowy. Nie zamąciło mi to jednak wiary w siebie i w powodzenie przedsięwzięcia. Leżałem w trawie i posuwałem się przez zarośla. Od obozu do miejsca, gdzie przywiązano do drzew Inczu-czunę i Winnetou, było z pięćdziesiąt kroków. Powinienem był posuwać się tak, żeby dotykać ziemi tylko palcami rąk i końcami butów. Do tego potrzeba siły i wytrwałości, jaką zdobywa się przez długie ćwiczenie, a ja ich wtedy jeszcze nie miałem. Toteż sunąłem się na kolanach i na łokciach jak czworonożne zwierzę. Zanim oparłem ręce, obmacywałem to miejsce, próbując, czy nie ma tam kawałka zeschłego drzewa, które złamane ciężarem mego ciała, mogłoby wywołać szelest. Ilekroć musiałem się przeciskać pod lub pomiędzy gałęziami, rozgarniałem je najpierw uważnie, żeby się przesunąć bez szmeru. Jak z tego widać, posuwałem się bardzo powoli, ale jednak stale naprzód. Apaczów poprzywiązywano do drzew po obu stronach otwartej polany. Obaj wodzowie znajdowali się po lewej stronie obozu. Drzewa ich stały na brzegu, a o pięć kroków od nich siedział, zwrócony do nich twarzą, Indianin, który ich pilnował. Ta okoliczność utrudniała mi moje zadanie i mogła je nawet udaremnić, ale obmyśliłem sobie sposób odwrócenia uwagi strażnika. Potrzebne mi były do tego kamienie, których tam jednak szukałbym na próżno. Przebyłem już prawie pół drogi i

zużyłem na to przeszło pół godziny. Dwadzieścia pięć kroków w pół godziny! Wtem ujrzałem obok siebie jasną plamę. Przysunąwszy się tam, spostrzegłem ku mej radości, małe, może na dwa metry średnicy, zagłębienie napełnione piaskiem. Gdy deszcz wypełniał potok i staw, a woda występowała z brzegów, wówczas napływała ona do tego zagłębienia i nanosiła piasek. Nabrałem więc prędko piasku do kieszeni i popełzłem dalej.

Po następnej półgodzinie znalazłem się już tylko o kilka kroków od Winnetou i jego ojca. Drzewa, do których ich przywiązano, nie były grubości człowieka. Nie mógłbym się do nich zbliżyć, gdyby u ich stóp nie rosło kilka krzaków pokrytych liśćmi, które pozwalały mi się ukryć przed strzegącym jeńców Indianinem. Z boku, o kilka kroków za nim, rósł kolczasty krzak, który także miałem na oku.

Doczołgałem się najpierw do Winnetou i poleżałem kilka chwil spokojnie, aby się przypatrzyć dozorcy. Był niewątpliwie znużony, gdyż oczy miał zamknięte i otwierał je z widocznym wysiłkiem. Było mi to bardzo na rękę. Należało najpierw zbadać, w jaki sposób przywiązano Winnetou. Sięgnąłem więc ręką do pnia i obmacałem go dokoła razem z nogami jeńca, który to z pewnością poczuł. Bałem się, że się poruszy, co by mnie zdradziło. Nie uczynił tego jednak, był na to zbyt mądry i obdarzony niezwykłą przytomnością umysłu. Przekonałem się, że związano mu nogi w kostkach, a oprócz tego przymocowano je rzemieniem do drzewa. Były tu zatem konieczne dwa cięcia.

Następnie spojrzałem w górę. Przy migotliwym świetle ognia zauważyłem, że ręce miał wykręcone do tyłu, oplecione wokół drzewa i związane rzemieniem. Tu wystarczało jedno cięcie.

Teraz dopiero przyszło mi do głowy coś, o czym nie pomyślałem uprzednio. Oto należało się spodziewać, że Winnetou po przecięciu więzów natychmiast rzuci się do ucieczki, co naraziłoby mnie na największe niebezpieczeństwo. Zastanawiałem się długo, jakby tego uniknąć, ale nie znalazłem żadnego wyjścia. Musiałem zaryzykować, a w razie ucieczki Apacza zrobić natychmiast to samo. Ale jakżeż się wtedy pomyliłem w mniemaniu o Winnetou! Okazało się, że go nie

znałem. Kiedy później rozmawialiśmy o jego wyswobodzeniu, opowiedział mi, co wtedy myślał. Oto poczuwszy, że go dotykają czyjeś ręce, sądził, że to jakiś Apacz. Schwytano wprawdzie wszystkich, których miał ze sobą, ale przecież mógł iść za nimi niepostrzeżenie jakiś zwiadowca lub poseł wiozący wieści od głównego oddziału. Winnetou był pewny uwolnienia i czekał na zbawcze cięcie noża. Nie miał jednak zamiaru zmieniać swej postawy przy drzewie, gdyż nie umknąłby bez ojca, a zarazem pamiętał, że szybką ucieczką naraziłby na niebezpieczeństwo swego oswobodziciela.

Najpierw przeciąłem oba dolne rzemienie. Górnego nie mogłem z ziemi dosięgnąć, a gdyby to nawet było możliwe, to jednak należało być ostrożnym, żeby nie skaleczyć Winnetou w rękę. Trzeba więc było wstać, a wtedy mógł mnie spostrzec strażnik. Aby odwrócić lego uwagę, przyniosłem właśnie z sobą nieco piasku. Sięgnąłem ręką do kieszeni, wyjąłem odrobinę i rzuciłem ją na krzak kolczasty obok niego. To wywołało szelest. Strażnik obejrzał się, popatrzył na krzak, ale wnet się uspokoił. Drugi rzut wzbudził w nim już podejrzenie. W krzaku mógł się znajdować jakiś jadowity płaz. Wstał, podszedł do krzaka i przyjrzał mu się badawczo. Odwrócił się wówczas do nas plecami, W tej chwili uniosłem się i przeciąłem górny rzemień. Wpadły mi przy tym w oko wspaniałe włosy Winnetou, związane na głowie w węzeł podobny do hełmu i opadające obficie na plecy. Uchwyciwszy lewą ręką cienki kosmyk tych włosów, odciąłem go prawą i obsunąłem się znowu na ziemię. Po co to zrobiłem? Aby w razie potrzeby mieć w ręku dowód, że to ja uwolniłem Winnetou.

Ku mej radości Winnetou nie ruszył się nawet, lecz stał dalej tak samo jak przedtem. Zwinąłem włosy na palcu w pierścionek i schowałem do kieszeni. Następnie podkradłem się do Inczu-czuny, którego pęta zbadałem równie dokładnie. Był tak samo jak Winnetou skrępowany i przywiązany do drzewa i również nie poruszył się, gdy poczuł dotknięcie mej ręki. Przeciąłem jego rzemienie najpierw u dołu, a potem odwróciwszy w ten sam sposób co przedtem uwagę strażnika, uwolniłem z pęt ręce

starego wodza. Ojciec okazał się tak samo rozważny jak syn i ani drgnął.

Wtem przyszło mi na myśl, że lepiej będzie nie zostawiać na ziemi przeciętych rzemieni. Keiowehowie nie powinni wiedzieć, w jaki sposób oswobodzono jeńców. Gdyby zaś znaleźli rzemienie, zobaczyliby, że były rozcięte, i podejrzenie ich padłoby na nas. Zabrałem więc najpierw rzemienie od Inczu-czuny i przemknąłem się znowu do Winnetou, aby tam zrobić to samo. Następnie schowałem je i ruszyłem z powrotem. Wiedziałem, że w chwili zniknięcia obu wodzów strażnik natychmiast podniesie alarm i pobudzi wszystkich, a wówczas nie powinienem się znajdować w pobliżu. Musiałem się śpieszyć. Ukryłem się przeto w krzakach tak głęboko, że nie dostrzeżono by mnie nawet, gdybym się wyprostował, wstałem i szedłem ostrożnie, ale już znacznie szybciej niż przedtem, do obozowiska. Znalazłszy się w jego pobliżu, położyłem się znowu i odbyłem resztę drogi czołgając się po ziemi.

Moi trzej towarzysze bardzo się o mnie niepokoili. Kiedy się do nich dostałem i znowu położyłem się na ziemi, Sam szepnął do mnie:

- Byliśmy w strachu o was, sir! Czy wiecie, jak długo was nie było?

- No?

- Prawie dwie godziny.

- Słusznie: pół godziny tam, pół z powrotem, a godzina na miejscu.

- Po co bawiliście tam tak długo?

- Aby się przekonać dokładnie, czy wódz śpi.

- Jakżeż zabraliście się do tego?

-Patrzyłem na niego przez cały ten czas, a gdy się nie ruszył, wtedy już nie wątpiłem, że śpi.

- A to ładnie, ładnie! Słyszeliście, Dicku i Willu? Aby się przekonać, czy wódz śpi, patrzył na niego przez całą godzinę, hi! hi! hi! Był i zostanie greenhornem, niepoprawnym greenhornem! Czyż nie macie oleju w głowie, że nie

obmyśliliście lepszego sposobu? Mogliście chyba znaleźć po drodze dość kawałków drzewa i kory? Nie?

- Tak - odpowiedziałem na te ostatnie, zwrócone do mnie słowa.

- Wystarczało więc z pewnej odległości rzucić taki kawałeczek drzewa lub grudkę ziemi na wodza. Gdyby czuwał, poruszyłby się z pewnością. Wy rzucaliście także, ale spojrzenie za spojrzeniem, i to przez całą godzinę, hi! hi! hi!

- Być może, ale ogniową próbę przecież odbyłem! Podczas rozmowy miałem oczy zwrócone z oczekiwaniem na Apaczów. Dziwiłem się, że stali jeszcze wciąż przy drzewach, jak gdyby przywiązani, gdy mogli już odejść. Powód był zupełnie prosty. Winnetou spodziewał się, że rozdawszy najpierw jemu pęta, poszedłem do jego ojca, oczekiwał więc teraz ode mnie znaku. To samo, tylko odwrotnie, myślał zapewne ojciec sądząc, za jestem jeszcze zajęty oswabadzaniem Winnetou. Nie widząc jednak przez czas dłuższy żadnego znaku, Winnetou podpatrzył chwilę, w której strażnik zamknął znużone oczy, podniósł rękę, by dać znać ojcu, że nie jest już skrępowany, a stary wódz uczynił to samo. Wtedy dopiero zniknęli obaj ze swoich miejsc.

- Tak, odbyliście próbę - rzekł Sam Hawkens. - Śledziliście ruchy wodza całą godzinę, a nie daliście się pochwycić!

- Wobec tego przyznacie, że mogę się udać do Winnetou i głupstwa nie zrobię.

- Hm! Czy wam się zdaje, że oswobodzicie obu dowódców, bombardując ich znowu wzrokiem przez całą godzinę?

- Nie. Odetniemy ich.

- Myślicie, że ich tak łatwo odciąć jak gałąź od drzewa? Czy nie widzicie przy nich strażnika?

- O, widzę dobrze.

- On robi to samo co wy: ostrzeliwuje ich spojrzeniami. Uwolnić ich pomimo jego czujności to rzecz, do której jeszcze nie dorośliście. Nie wiem, czy nawet mnie się to uda. Spojrzyjcie tylko, sir! Już samo zakradnięcie się tam byłoby arcydziełem, a gdy się tam człowiek szczęśliwie dostanie, to... tam do licha! A to co? Zwrócił oczy ku Apaczom i utknął w pół zdania, gdyż w

tej chwili właśnie zniknęli. Udałem, że tego nie widzę, i zapytałem:

- Co się dzieje? Czemu nie mówicie dalej?

- Czemu? Bo… bo… Czy to prawda, czy ja się mylę? Przetarł sobie oczy i mówił dalej:

- Tak. Na Boga, to prawda! Dicku, Willu, popatrzcie tam; czy widzicie jeszcze Winnetou i Inczu-czunę?

Zapytani spojrzeli w tę stronę i chcieli właśnie dać wyraz swemu zdumieniu, kiedy strażnik, który w tej chwili także dostrzegł brak powierzonych jego opiece jeńców, zerwał się, wytrzeszczył oczy na oba opuszczone drzewa i wybuchnął głośnym, przejmującym okrzykiem, budząc nim wszystkich. Gdy opowiedział, co się stało, powstał nieopisany rwetes. Wszyscy pędzili do drzew, nawet biali. Pośpieszyłem za nimi, udając, że nie wiem o niczym, a równocześnie wysypałem z kieszeni piasek.

Szkoda, że zdołałem uwolnić tylko Winnetou i Inczu-czunę! Jakże chętnie byłbym dopomógł do odzyskania wolności wszystkim Apaczom, ale nawet najmniejsza próba, podjęta w tym celu, graniczyłaby z szaleństwem.

Więcej niż dwustu ludzi cisnęło się dokoła miejsc, gdzie stali przed chwilą obaj jeńcy. Panował przy tym wrzask i wycie tak wściekłe, że łatwo się było domyślić, co by mnie spotkało, gdyby prawda wyszła na jaw. Wreszcie Tangua nakazał spokój i wydał rozkazy. Po chwili połowa Keiowehów rozbiegła się po sawannach, aby mimo ciemności szukać zbiegów. Wódz pienił się wprost z wściekłości. Uderzył nieuważnego strażnika pięścią w twarz, zdarł mu z szyi woreczek z ”lekami” i zaczął go deptać. W ten sposób odebrano nieszczęśnikowi jego cześć.

Z wyrazu ”leki” nie należy sądzić, że chodzi tu o lekarstwa jako o środki lecznicze. Słowo to zrodziło się u Indian dopiero z pojawieniem się białych. Leki bladych twarzy nie były im znane, uważali więc ich skutek za działanie czarów, jakiejś niepojętej, tajemniczej siły. Odtąd nazywają lekarstwem wszystko, czego nie rozumieją, co im się wydaje cudem, skutkiem wyższych wpływów. Oczywiście każdy szczep inaczej

i przez siebie samego utworzonym wyrazem nazywa lekarstwo. Mandanowie: ”hopenesz”, Tuskarorowie: ”yunnjuh queht”, Czarnonodzy: ”nehtowa”, Siuksowie: ”wehkon”, a Ariaccarehowie: ”wehrootih”. Każdy dorosły wojownik, każdy wódz nosi na szyi woreczek z ”lekami”. Młodzieniec, który chce wejść w grono mężów i wojowników, znika nagle z gromady i szuka samotności. Tam odprawia posty, głodzi się i odmawia sobie nawet wody. Rozmyśla przy tym o swych nadziejach, życzeniach i planach. Wysiłki duchowe w połączeniu z cielesnymi wyrzeczeniami wprawiają go w stan gorączkowy, w którym nie umie już odróżnić pozoru od rzeczywistości. Zdaje mu się, że otrzymuje z góry natchnienie, a każdy sen jest dlań nadziemskim objawieniem. W tym stanie czeka na pierwszy lepszy przedmiot, jaki mu się we śnie lub w jakikolwiek inny sposób zamajaczy, i przedmiot ten jest potem przez całe życie jego świętością, czyli ”lekiem”. Gdyby to miał być na przykład nietoperz, nie spocznie, dopóki go nie pochwyci. Skoro mu się to uda, wraca do szczepu i oddaje ów przedmiot lekarzowi, czarownikowi, który umie preparować takie rzeczy. Potem chowa ”leki” w osobliwie sporządzonym woreczku, który nosi stale przy sobie i który stanowi jego najcenniejszy skarb. Tracąc owe ”leki” Indianin traci zarazem i honor. Taki nieszczęśnik może odzyskać cześć tylko wówczas, gdy zabije sławnego wroga i zdobędzie jego ”leki”, które stają się odtąd własnością zwycięzcy. Można więc sobie wyobrazić, jaką karą było dla strażnika zerwanie i podeptanie tego woreczka. Nie rzekłszy ani słowa usprawiedliwienia lub gniewu, zarzucił strzelbę na ramię i zniknął między drzewami. Odtąd uchodził dla swego szczepu za umarłego, szczep mógł go przyjąć z powrotem tylko w razie, gdyby zdobył nowe ”leki”. Wściekłość wodza zwróciła się nie tylko przeciwko winnemu, lecz i przeciwko mnie. Przystąpił tedy do mnie i krzyknął:

- Rościłeś sobie prawo do tych psów! Biegnij teraz za nimi i złap ich!

Chciałem się odwrócić bez odpowiedzi, ale Tangua pochwycił mnie za ramię i zawołał:

- Słyszałeś, co rozkazałem? Masz ich ścigać! Odepchnąłem go od siebie i odpowiedziałem:

- Rozkazałeś? Czy masz do tego prawo?

- Tak. Jestem wodzem tego obozu, a wy musicie mnie słuchać!

Wyjąłem z kieszeni puszkę od sardynek. - Czy mam ci dać właściwą odpowiedź - rzekłem trzymając puszkę w ręce - i wysadzić cię w powietrze z wszystkimi wojownikami? Powiedz jeszcze słowo, które mi się nie spodoba, a zniszczę was wszystkich moimi ”lekami”! Byłem ciekawy, czy ten żart wywoła pożądany skutek. Nie czekałem długo. Wódz cofnął się daleko i krzyknął:

- Uff, uff! Zachowaj te ”leki” dla siebie! Jesteś psem, takim jakim jest każdy Apacz!

Była to obelga, której nie przyjąłbym spokojnie, gdyby nie wzgląd na rozdrażnienie jego i większości Keiowehów.

My, biali, wróciliśmy do naszego obozu, gdzie wszyscy próbowali wyjaśnić to zdarzenie, ale bez skutku. Ja milczałem nawet wobec Sama, Dicka i Willa. Bawiło mnie to w duchu, że posiadam tajemnicę uwolnienia jeńców, której oni mimo największych starań nie mogli rozwiązać. Kosmyk włosów Winnetou miałem przy sobie we wszystkich moich wędrówkach po Zachodzie i zachowałem go do dziś dnia.

ROZDZIAŁ IV

DWA RAZY W WALCE O ŻYCIE

Zachowanie się Keiowehów, chociaż nie uważaliśmy ich za zdecydowanych wrogów, budziło w nas pewne obawy. Dlatego postanowiliśmy, kładąc się na spoczynek, czuwać po kolei do rana. Ten środek ostrożności nie uszedł uwagi czerwonoskórych i oczywiście wzięli nam go za złe. Przyjaźń ich zmniejszyła się jeszcze bardziej.

O świcie zbudził nas ten, który czuwał ostatni. Spostrzegliśmy, że Keiowehowie starali się odszukać ślady zbiegłych wodzów, co im się nie udało w nocy. Teraz znalazłszy trop, poszli za nim. Prowadził on do miejsca, w którym Apacze ukryli przed napadem konie naturalnie pod dozorem kilku strażników. Inczu-czuna i Winnetou odjechali razem ze strażnikami, nie zabrawszy reszty koni z sobą. Dowiedziawszy się o tym Sam Hawkens zrobił chytrą minę i zapytał mnie:

- Czy domyślacie się, sir, dlaczego tak postąpili obaj wodzowie?

- Nie trudno odgadnąć.

- Oho! Taki greenhorn jak wy niech sobie nie wyobraża, że dzięki prostemu przypadkowi wpadnie zawsze na dobry pomysł. Aby odpowiedzieć na moje pytanie, potrzeba doświadczenia.

- Wszak je mam.

- Wy? Doświadczenie? Ciekaw jestem, skąd żeście je wzięli. Może mi to powiecie.

- Owszem. Doświadczenie, które posiadam, zaczerpnąłem z książek.

- Znowu te wasze książki! Zapewne przeczytaliście niejedno, co się tutaj może przydać, ale nie sądźcie zaraz, że posiedliście wszystkie rozumy. Zaraz wam udowodnię, że nic, ale to nic nie wiecie. A zatem, dlaczego obaj wodzowie zabrali tylko swoje konie z sobą, a zostawili konie jeńców?

- Właśnie z powodu tych jeńców.

- Jak to?

- Bo ci będą jeszcze bardzo potrzebowali tych koni.

- Co powiecie? Po co jeńcy mogą potrzebować koni? Słowa jego nie zraniły mojej ambicji, bo znałem już jego usposobienie.

- Mogą tu zajść dwie możliwości - odpowiedziałem. - Albo obaj wodzowie powrócą z dostateczną liczbą wojowników, aby wydobyć jeńców z niewoli, a w takim razie po co mieliby zabierać konie i odprowadzać je z powrotem? Albo Keiowehowie nie zaczekają na Apaczów i opuszczą te strony razem z jeńcami, a w tym wypadku wzięci do niewoli Apacze konno wygodniej odbędą drogę.

Przetransportowanie ich napotka mniejsze trudności, a wobec tego jest nadzieja, że Keiowehowie zabiorą ich do swoich wsi. Gdyby musieli iść piechotą, wtedy mogłoby Keiowehom przyjść na myśl, że lepiej uniknąć uciążliwego i nudnego transportu i zabić jeńców na miejscu.

- Hm! Wcale nie tak głupio pomyślane, jakby należało wnosić z wyrazu waszej twarzy. Ale zapomnieliście o trzeciej możliwości. Oto czy Keiowehowie nie pozabijają jeńców pomimo koni?

- Na pewno nie.

- Nie? Sir, w jaki sposób ośmielacie się przeczyć temu co Sam Hawkens uważa za możliwe?

- Bo Sam Hawkens zapomniał widocznie, że ja tu jestem.

- Ach, wy tu jesteście! Wyobrażacie więc sobie, że wasza szanowna obecność jest nadzwyczajnym, a nawet wręcz wstrząsającym wydarzeniem?

- Nie. Chciałem tylko zaznaczyć, że dopóki tu jestem i dopóki choćby ręką ruszyć potrafię, dopóty jeńcy nie zostaną wymordowani.

- Naprawdę? O, to z was wielki człowiek, hi! hi! hi! Keiowehowie mają dwustu ludzi, a wy, jeden człowiek, greenhorn, chcecie nie dopuścić, by zrobili to, co im się spodoba!

- Spodziewam się, że nie zostanę sam jeden.

- Nie? A na kogóż liczycie?

- Na was oraz na Dicka Stone'a i Willa Parkera! Ufam niezachwianie, że sprzeciwilibyście się takiej masowej rzezi.

- Tak! A więc macie do nas zaufanie! Bardzo jestem wam za to wdzięczny. To rzeczywiście nie żart posiadać zaufanie takiego człowieka jak wy. Jestem dumny z tego, jeśli się nie mylę!

- Słuchajcie, Samie, mówię poważnie i bynajmniej nie mam ochoty robić żartów z tej sprawy. Gdzie chodzi o życie tylu ludzi, tam nie ma miejsca na żarty.

Stary błysnął ku mnie ironicznie swymi małymi oczkami i rzekł:

- Tam, do pioruna! Więc naprawdę nie żartujecie? W takim razie muszę się inaczej do tego ustosunkować. Ale jak wy to sobie właściwie wyobrażacie, sir? Na resztę nie możemy liczyć, jest nas więc wszystkiego czterech na dwustu Keiowehów. Czy sądzicie, że to się dla nas dobrze skończy?

- Ja nie pytam o koniec! Nie zniosę, żeby w mojej obecności dopuszczono się takiego mordu!

- A jednak dojdzie on do skutku, tylko z tą małą różnicą, że i was przy tym uśmiercą. A może spodziewacie się czegoś po swoim nowym przezwisku ”Old Shatterhand”? Czy sądzicie, że powalicie dwustu wojowników pięściami?

- Głupstwo! Nie nazwałem się tak sam i wiem dobrze,

że nie dalibyśmy rady dwustu wojownikom, ale czy konieczne jest tu użycie siły? Podstępem więcej wskóramy.

- Tak? Czytaliście o tym?

- Tak.

- Toteż dzięki temu staliście się okropnie mądrym człowiekiem! Chciałbym was choć raz widzieć chytrym! Ciekawy jestem, jaką mielibyście przy tym minę. Ja twierdzę, że cała wasza chytrość na nic się nie przyda. Czerwonoskórzy

zrobią, co zechcą, nie troszcząc się o to, czy nasze miny będą groźne, czy chytre.

- Dobrze! Widzę, że na was liczyć nie mogę. Jeśli mnie zmuszą do tego, będę działał sam.

- Na miłość Boga, sir, nie róbcie głupstw! Nie poczynajcie nic na własną rękę, musicie we wszystkim stosować się do nas! Nie powiedziałem bynajmniej, że nie ujmę się za Apaczami, gdyby im groziło niebezpieczeństwo, ale nie było i nie jest moim zwyczajem walić głową o mur. Pamiętajcie, że mur jest zawsze twardszy od głowy.

- A ja nie powiedziałem, że chcę dokonać niemożliwości. Nie wiemy jeszcze, co Keiowehowie postanowili uczynić z jeńcami, i nie mamy powodu dręczyć się obawą. Gdyby nam jednak potem wypadło działać, to sposób się znajdzie.

- Być może, ale człowiek ostrożny nie powinien się do tego ograniczać. Nic mnie to nie obchodzi, że coś się dopiero zdarzy. My mamy przed sobą zupełnie określone pytanie: co uczynimy, gdy zechcą Apaczów pozabijać?

- Nie dopuścimy do tego. - To słowo nic jeszcze nie mówi, zupełnie nic. Nie dopuścimy?Wyrażajcie się jaśniej! - Sprzeciwimy się temu.

- To nie odniesie skutku. - W takim razie zmuszę dowódcę, by spełnił moją wolę.

- W jaki sposób?

- Jeśli się nie da inaczej, to go obezwładnię i przyłożę mu nóż do piersi.

- I zakłujecie go?

- Jeśli nie będzie posłuszny, tak.

- Do wszystkich diabłów! A to z was gwałtownik! - zawołał z przestrachem. - Po was można się tego spodziewać!

- Zapewniam was, że to uczynię.

- To jest... to jest... - Tu urwał. Jego zatroskana twarz przybrała zwolna inny wyraz. - Słuchajcie - ciągnął dalej - to jest myśl wcale niezła. Przyłożyć dowódcy nóż do gardła, to w tym wypadku jedyny sposób zmuszenia go, żeby się zastosował do

naszych żądań. To istotnie prawda, że czasem nawet greenhorn miewa dobre pomysły. Trzymajmy się tego.

Chciał jeszcze mówić dalej, ale nadszedł Bancroft i wezwał mnie do roboty. Miał najzupełniejszą słuszność. Musieliśmy się śpieszyć, aby skończyć nasze zadanie, zanim Inczuczuna i Winnetou powrócą z wojownikami.

Aż do południa pracowaliśmy z wielkim wysiłkiem, lecz o tej porze nadszedł Sam Hawkens i rzekł do mnie:

- Muszę wam niestety przeszkodzić, sir, gdyż zdaje mi się, że Keiowehowie zaczynają coś robić koło jeńców.

- Coś? To bardzo nieokreślone. Nie wiecie, co?

- Tylko przypuszczam, jeśli się nie mylę. Prawdopodobnie chcą ich pozbawić życia przy palu męczeńskim.

- Kiedy? Później, czy zaraz?

- Naturalnie że zaraz, inaczej bym tu do was teraz nie przyszedł. Porobili przygotowania, z których wnoszę, że postanowili zamęczyć Apaczów, a zdaje się, że wezmą się do dzieła niebawem.

- Nie pozwolimy na to! Gdzie wódz?

- Między wojownikami.

- Musimy go stamtąd wywabić. Czy postaracie się o to, Samie?

- Owszem, lecz w jaki sposób?

Rzuciłem badawcze spojrzenie za siebie. Tam gdzie obozowaliśmy poprzedniego dnia, nie było już Keiowehów. Posuwali się za nami stopniowo i usadowili na skraju małego lasku preriowego. Był tam Rattler ze swymi ludźmi, Sam Hawkens włóczył się koło nich, żeby podpatrywać, co będą robili z jeńcami, a Parker i Stone siedzieli w pobliżu mnie. Pomiędzy czerwonoskórymi a nami ciągnęły się małe zarośla, które nadawały się bardzo do moich zamiarów, gdyż nie pozwalały Keiowehom dojrzeć tego, co się u nas dzieje. Na pytanie Sama odpowiedziałem:

- Oświadczcie po prostu, że chcę mu coś oznajmić, a nie mogę przerwać roboty - to przyjdzie.

- Spodziewam się, ale jeśli weźmie jeszcze innych z sobą?

- To ich pozostawię wam, Stone'owi i Parkerowi. Przygotujcie rzemienie, żeby ich związać.

Cała sprawa musi się odbyć prędko, ale po cichu.

- Well! Nie wiem, czy to, co zamierzacie, będzie dobre, ale ponieważ nic lepszego nie przychodzi mi na myśl, to niech się dzieje wasza wola. Narażamy życie, ale ponieważ nie czuję ochoty do śmierci, więc sądzę, że wyjdziemy z jednym lub kilku podbitymi oczami, hi! hi! hi!

Odszedł śmiejąc się jak zwykle do siebie. Moi szanowni koledzy znajdowali się nie opodal, ale nie mogli słyszeć naszej rozmowy. Nie uważałem też za stosowne podawać do ich wiadomości moich zamiarów, wiedziałem bowiem, że staraliby mi się w tym przeszkodzić. Oni cenili bardziej swoje życie niż życie pojmanych Apaczów. Byłem świadom, jak niebezpiecznego podejmowałem się zadania. Czy wolno mi było wciągać w to Dicka Stone'a i Willa Parkera nie ostrzegając ich uprzednio?

Nie. Zapytałem więc ich, czy mogę na nich liczyć. Na to odrzekł Stone:

- Co z wami jest, sir? Czy uważacie nas za hultajów, którzy opuszczą przyjaciela w potrzebie? Wasz plan to prawdziwy figiel westmański, w którym wezmę udział z całą rozkoszą. Prawda, stary Willu?

- Tak - potwierdził Parker. - Chciałbym zobaczyć, czy nas czterech potrafi sobie dać radę z dwustu Indianami! Z góry się już cieszę tym widokiem, gdy nadbiegną z wyciem, a jednak nic nam nie będą mogli zrobić.

Pracowałem dalej spokojnie i nie oglądałem się za siebie. Po pewnym czasie Stone zawołał:

- Przygotujcie się, sir, nadchodzą! Obróciłem się. Sam Hawkens zbliżał się z Tanguą i niestety z trzema jeszcze czerwonoskórymi.

- Każdy z nas weźmie jednego - rzekłem. - Ja zajmę się wodzem, a wy chwyćcie ich za gardło, żeby nie mogli krzyczeć. Oczywiście zaczekacie, dopóki ja nie zacznę.

Ruszyłem wolnym krokiem naprzeciw Tanguy, a Stone i Parker za mną. W miejscu spotkania stanęliśmy tak, że reszta Keiowehów nie mogła nas widzieć spoza krzaków. Wódz miał minę posępną i rzekł niechętnie:

- Blada twarz, zwana Old Shatterhand, kazała mnie zawołać. Czy zapomniałeś, że jestem wodzem Keiowehów?

- Owszem, wiem, że nim jesteś - odrzekłem.

- Więc ty powinieneś był przyjść do mnie, a nie ja do ciebie. Ponieważ jednak przebywasz od niedawna w naszym kraju i musisz się dopiero nauczyć grzeczności, przeto wybaczam ci ten błąd. Co chciałeś mi powiedzieć? Mów krótko, bo nie mam czasu!

- Jakież to ważne czynności naglą cię do pośpiechu?

- Chcemy, żeby te psy Apacze zawyły.

- Kiedy?

- Teraz.

- Skądże ten pośpiech? Sądziłem, że zabierzecie ich do swoich wigwamów i że tam zadacie im śmierć przy palu w obecności waszych żon i dzieci.

- Pierwotnie zamierzaliśmy tak postąpić, ale to by nam przeszkodziło w wyprawie wojennej. Dlatego muszą zginąć już dziś.

- Proszę cię, żebyś tego nie czynił!

- Nie wolno ci o nic prosić! - huknął na mnie.

- Może byś zechciał mówić tak grzecznie jak ja? Wypowiedziałem tylko prośbę; gdybym ci rozkazywał, to może prędzej miałbyś prawo zachować się grubiańsko.

- Nie przyjmuję od was ani prośby, ani rozkazu. Nie zmienię mego postanowienia dla żadnej bladej twarzy.

- A może jednak! Czy przysługuje wam prawo zabijania jeńców? Nie chcę słyszeć twej odpowiedzi, bo znam ją i nie będę się o to z tobą sprzeczał, ale zachodzi pewna różnica między zabiciem człowieka prędko i bez bólu a zamęczaniem go na śmierć. Nie pozwolimy, żeby się to stało w naszej obecności!

Wówczas Tangua wyprostował się i odrzekł pogardliwie:

- Nie pozwolicie? Za kogóż ty się uważasz? Jesteś wobec mnie jak żaba wobec niedźwiedzia z Gór Skalistych.

Jeńcy są moją własnością i zrobię z nimi, co mi się będzie podobało.

- Oni dostali się w wasze ręce tylko dzięki naszej pomocy, więc mamy do nich takie samo prawo jak wy. My zaś życzymy sobie, żeby zostali przy życiu.

- Życz sobie, czego chcesz, biały psie, ja kpię sobie z twoich słów!

Splunął mi pod nogi i już chciał się odwrócić, ale w tejże chwili ugodziłem go pięścią tak, że runął na ziemię. Twardą jednak miał czaszkę, bo uderzenie nie ogłuszyło go całkowicie i chciał się podnieść. Musiałem schylić się, aby mu zadać cios powtórnie, więc nie mogłem zważać na pozostałych. Gdy się podniosłem, Sam klęczał na jednym z czerwonoskórych i trzymał go za gardło, Dick i Will powalili drugiego, a trzeci umykał z krzykiem.

Przyszedłem Samowi z pomocą. Związaliśmy jego Keioweha, a tymczasem Stone i Parker uporali się także ze swoim.

- To, źle - rzekłem - że pozwoliliście trzeciemu umknąć.

- Bo ja pochwyciłem właśnie tego samego, którego obrał Stone - usprawiedliwiał się Parker.

- Straciliśmy przez to tylko dwie sekundy, ale to wystarczyło tamtemu drabowi do ucieczki.

- Nic nie szkodzi - pocieszał Sam Hawkens. - To nie pociągnie za sobą nic ponadto, że taniec zacznie się trochę prędzej. Nie łammy sobie nad tym głowy. Za dwie lub trzy minuty Indianie będą już tutaj. Postarajmy się o wolne pole między nami a nimi.

Skrępowaliśmy wodza czym prędzej. Surweyorzy patrzyli na nas z przerażeniem. Starszy inżynier przyskoczył i krzyknął z trwogą:

- A wam co, ludzie? Co wam Keiowehowie zrobili? Zginiemy wszyscy!

- Tak będzie, sir, jeśli nie połączycie się czym prędzej z nami - odrzekł Sam. - Zawołajcie tu swoich ludzi i chodźcie z nami ! My was obronimy.

- Wy nas obronicie? To przecież...

- Milczeć! - przerwał mu Sam. - Wiemy dobrze, czego chcemy. Jeśli nie staniecie po naszej stronie, to będziecie zgubieni. A zatem prędzej!

Dźwignąwszy skrępowanych Indian z ziemi, odnieśliśmy ich czym prędzej na otwartą prerię,

gdzie zatrzymaliśmy się i położyliśmy ich na trawie. Bancroft poszedł za nami, a z nim trzej surweyorzy. Obraliśmy umyślnie to miejsce, ponieważ czuliśmy się bezpieczniejsi na otwartym polu niż w terenie, którego nie można było objąć wzrokiem.

- Kto będzie mówił z czerwonoskórymi, skoro nadejdą? Może ja? - spytałem.

- Nie, sir - odrzekł Sam. - Ja to uczynię, bo wy nie władacie jeszcze tym na pół indiańskim żargonem. Ale pomagajcie mi we właściwej chwili, udając, że chcecie zakłuć dowódcę.

Ledwie Sam skończył, usłyszeliśmy wściekłe wycie Indian, a w kilka chwil potem ujrzeliśmy ich wyskakujących z zarośli, które służyły nam dotąd niejako za zasłonę. Wypadali spoza nich i pędzili ku nam, ale że jeden biegł szybciej od drugiego, nie utworzyli zwartej gromady, lecz dość długi szereg. Było to dla nas korzystne, gdyż zwartej gromadzie nie oparlibyśmy się tak łatwo. Odważny Sam wyszedł nieco naprzeciwko nich i dawał im obiema rękami znaki, zęby się zatrzymali. Wołał też coś do nich, ale nie rozumiałem słów z powodu zbytniego oddalenia. Nie poskutkowało to od razu, dopiero gdy powtórzył okrzyk kilkakrotnie, zobaczyłem, że pierwsi Keiowehowie stanęli, a następni uczynili to samo. Sam przemówił do nich, wskazując przy tym kilkakrotnie na nas. Wezwałem Stone'a i Parkera, żeby postawili wodza na nogach, i zamierzyłem się nań nożem.

Czerwonoskórzy wydali okrzyk zgrozy.

Sam mówił do nich w dalszym ciągu, po czym jeden z nich, prawdopodobnie zastępca wodza, odłączył się od gromady i podszedł ku nam z Samem zwolna i krokiem pełnym godności. Gdy się do nas zbliżyli, Sam wskazał na trzech pojmanych i rzekł:

- Widzisz, że słyszałeś prawdę z moich ust. Są zupełnie w naszej mocy. Indianin, z którego twarzy przebijał wyraźnie z trudnością hamowany gniew, przypatrzył się trzem Keiowehom i odpowiedział:

- Ci dwaj czerwoni wojownicy żyją jeszcze, ale wódz już umarł, jak mi się zdaje.

- Nie umarł. Powaliła go pięść Old Shatterhanda i opuściła go przytomność, ale powróci doń niebawem. Zaczekaj na to, a tymczasem usiądź. Skoro wódz przyjdzie do siebie, odzyska mowę, a wtedy naradzimy się razem z wami. Ale gdyby który z was podniósł przeciwko nam broń, nóż Shatterhanda utonie w sercu Tanguy. Możesz być tego pewien!

- Jak możecie podnosić rękę na swych przyjaciół?

- Przyjaciół? Sam nie wierzysz w to, co mówisz!

- Wierzę. Czyż nie paliliśmy z sobą fajki pokoju?

- Przyznaję, ale temu pokojowi nie można zbyt ufać.

- Dlaczego?

- Czy jest zwyczajem Keiowehów obrażać swoich przyjaciół i braci?

- Nie.

- No, a wasz wódz obraził Old Shatterhanda, nie możemy więc uważać was za przyjaciół. Popatrz, już zaczyna się ruszać!

Tangua, którego Stone i Parker znowu położyli na ziemi, poruszył się rzeczywiście. Niebawem otworzył oczy, popatrzył na każdego z nas po kolei, jak gdyby chciał sobie przypomnieć, co zaszło, wreszcie odzyskał widocznie przytomność, bo zawołał:

- Uff, uff! Old Shatterhand mnie powalił. Kto mnie skrępował?

- Ja - odpowiedziałem.

- Zdejm mi rzemienie! Rozkazuję!

- Przedtem ty nie chciałeś posłuchać mej prośby, a teraz ja nie wykonam twego rozkazu. Nie masz zresztą prawa rozkazywać.

Zwrócił na mnie wściekły wzrok i syknął:

- Milcz, szczeniaku, bo cię zmiażdżę!

- Milczenie byłoby lepsze dla ciebie niż dla mnie. Obraziłeś mnie i dlatego cię powaliłem. Old Shatterhand nie pozwala

bezkarnie nazywać siebie białym psem i żabą. Jeśli nie będziesz grzeczny, może być z tobą jeszcze gorzej.

- Żądam uwolnienia! W przeciwnym razie zginiecie z rąk moich wojowników!

- Wtedy ty pierwszy byłbyś zgubiony. Zastanów się nad tym, co ci powiem. Tam stoją twoi ludzie. Jeśli któryś z nich ruszy się z miejsca, aby zbliżyć się do nas bez pozwolenia, zatopię ci w sercu to ostrze noża. Howgh!

Przyłożyłem mu koniec noża do piersi. Musiał uznać, że jest w mej mocy, i nie wątpił, że spełnię swą groźbę. Nastąpiła pauza, podczas której zdawało się, ze nas połknie swoimi dziko łypiącymi oczyma, starał się jednak stłumić swój gniew i zapytał spokojniej:

- Czegóż chcesz ode mnie?

- Tylko tego. o co cię przedtem prosiłem, żeby Apacze nie zginęli przy palu męczeńskim.

- Żądacie, żeby ich w ogóle nie zabito?

- Zrobicie z nimi potem, co się wam będzie podobało, ale dopóki my jesteśmy z wami i z nimi, nic im się nie może stać. Znowu minęła chwila ciszy. Mimo barw wojennych widać było na jego twarzy odcienie rozmaitych uczuć: gniewu, nienawiści i podstępnej radości. Przypuszczałem, że utarczka słowna między nami się przedłuży. Zdziwiłem się więc niemało, kiedy się odezwał tymi słowami:

- Niechaj się stanie według twojego życzenia, zrobię nawet więcej, jeśli się zgodzisz na to, czego ja chcę.

- Cóż to takiego?

- Najpierw oświadczam ci, że nie obawiam się twojego noża. Nie ośmielisz się mnie zabić, gdyby bowiem do tego doszło, moi wojownicy rozdarliby was na kawałki. Choćbyście byli najwaleczniejsi, to jednak dwustu wojowników nie zwyciężycie. Śmieję się więc z twej pogróżki. Mógłbym spokojnie powiedzieć, że nie spełnię twej prośby, a ty nie zrobiłbyś mi nic złego. Mimo to te psy Apacze nie zginą przy palach. Przyrzekam ci nawet, że wcale ich nie zabijemy, jeśli zgodzisz się walczyć o nich na śmierć i życie.

- Z kim?
- Z jednym z moich wojowników, wyznaczonym przeze mnie,
- Jaką bronią?
- Tylko nożem. Jeśli on ciebie zabije, to zginą także Apacze, jeśli ty jego, będą żyli.
- I odzyskają wolność?
- Tak.

Przypuszczałem, że ma w tym jakąś ukrytą myśl. Uważał mnie prawdopodobnie za najniebezpieczniejszego z białych i chciał mnie unieszkodliwić, należało bowiem być pewnym, że wybór jego padnie na mistrza w walce na noże. Mimo to odrzekłem nie namyślając się długo:

- Zgadzam się. Omówimy warunki i zapalimy fajkę pokoju, a potem walka będzie mogła się zacząć.
- Co wy robicie, sir? - zawołał Sam Hawkens. - Nie pozwolę na to, żebyście popełnili to głupstwo i przystali na walkę!
- To nie jest głupstwo, kochany Samie!
- Głupstwo, i to największe, jakie tylko być może. W słusznej i rzetelnej walce szansę muszą być równe, ale tu tak nie jest.
- Właśnie, że tak jest!
- Ja sądzę inaczej. Czy walczyliście kiedykolwiek nożem na śmierć i życie?
- Nie.
- A więc macie! Dostaniecie oczywiście na przeciwnika mistrza w tej walce. A rozważcie też różne skutki zwycięstwa! Gdy was zabiją, zginą także Apacze, a jeśli wy zabijecie Keioweha, kto wówczas da głowę? Nikt!
- Ale Apacze zostaną przy życiu i odzyskają wolność.
- Czy wierzycie w to istotnie?
- Tak, ponieważ zapalimy na to fajkę pokoju, co oznacza również przysięgę.
- Niech diabeł wierzy przysiędze, za którą kryje się sto fałszywych myśli! A nawet jeżeli przyjąć, że będzie uczciwa, to i tak jesteście greenhorn i…
- Bądźcie cicho z waszym greenhornem, kochany Samie! - wtrąciłem. - Doświadczyliście już nieraz, że ten greenhorn wie,

co czyni!

Sprzeczał się jednak jeszcze przez pewien czas, a Dick Stone i Will Parker byli po jego stronie. Zostałem jednak wierny postanowieniu, na co Sam zawołał w końcu z niechęcią:

- Dobrze! Walcie swoją grubą głową w dziesięć, dwadzieścia murów, jeżeli się wam tak podoba, nie sprzeciwiam się już temu, ale będę uważał, żeby walka była uczciwa, i biada temu, kto by nas usiłował oszukać! Wystrzelę go moją Liddy w powietrze tak, że zawiśnie w chmurach w tysiącach kawałków, jeśli się nie mylę!

Następnie zostały ułożone warunki walki. W miejscu piaszczystym postanowiono nakreślić ósemkę, czyli znak złożony z dwu stykających się z sobą zer. Każdy z przeciwników miał stanąć w jednym z tych zer i nie opuszczać go podczas walki. Wykluczono wzajemne oszczędzanie się: jeden musi zginąć, ale stronnikom zabitego nie wolno mścić się na zwycięzcy. Gdy ustaliliśmy warunki, kazałem zdjąć wodzowi pęta i wypaliłem z nim fajkę pokoju. Następnie wypuściliśmy także pozostałych dwóch jeńców i czerwonoskórzy udali się do swoich wojowników, aby ich zawiadomić o czekającym ich widowisku.

Starszy inżynier i surweyorzy robili mi wyrzuty, lecz nie zważałem na to. Sam, Dick i Will byli także innego zdania niż ja, lecz nie sprzeczali się przynajmniej. Hawkens rzeki z niepokojem:

- Mogliście zrobić coś lepszego niż przystawać na to szelmostwo, sir! Zawsze mówiłem i teraz powtarzam: jesteście człowiekiem lekkomyślnym, nadzwyczaj lekkomyślnym! Co wam właściwie z tego przyjdzie, że was zakłują? Powiedzcie mi!

- Śmierć. Nic więcej.

- Nic więcej? Nie róbcież w dodatku lichych dowcipów! Śmierć to jest wszystko, bo skoro się raz umrze, to nie może się już zdarzyć nic więcej.

- Przeciwnie.

- Tak? Co na przykład?

- Można być pochowanym.

- Bądźcie cicho, zacny sir! Jeżeli już nic nie potraficie, tylko złościć mnie w moim strapieniu, to szkoda, że nie ofiarowałem swojej przyjaźni godniejszemu osobnikowi.

- Czy martwicie się istotnie, kochany Samie?

- Rozumie się. Nie pytajcie tak głupio! To prawie pewne, że was ukatrupią. Co ja pocznę potem na świecie na stare lata? Hę, co ja pocznę? Muszę mieć greenhorna, z którym mógłbym się sprzeczać. A z kim będę się sprzeczał, gdy was zakłują?

- Z innym greenhornem.

- To łatwiej powiedzieć niż zrobić, bo takiego skończonego i niepoprawnego greenhorna nie znajdę już nigdy w życiu. Ale zapowiadam wam, sir, że gdy wam się co stanie, to mnie ci czerwonoskórzy popamiętają. Wpadnę między nich jak Uhland szalony i...

- Roland, Roland, kochany Samie - przerwałem.

- Wszystko mi jedno, czy będę szalonym Rolandem, czy Uhlandem. Nie pozwolę na to, żeby was zakłuto. A jakże tam, sir, z waszą humanitarnością? Wiem, że macie dobre serce i niechętnie zabijacie człowieka. Nie żywicie chyba ukrytego zamiaru oszczędzania tego draba, z którym będziecie walczyć?

- Hm, hm!:

- Hm, hm! Tu nie czas chrząkać! Tu chodzi o życie i śmierć!

- A jeśli go tylko zranię?

- Wszak słyszeliście, że to nie ma znaczenia.

- Myślę o takiej ranie, która mu uniemożliwi dalszą walkę.

- To także nic nie znaczy. Nie uznają was w takim razie zwycięzcą i będziecie musieli walczyć z drugim. Słyszeliście, że zwyciężony musi umrzeć, musi! Gdyby więc wam się udało pozbawić przeciwnika zdolności do walki, to obowiązani jesteście zakłuć go na śmierć, pchnąć go po raz ostatni z łaski. Nie róbcie sobie z tego powodu wyrzutów. Pamiętajcie, że ci Keiowehowie to zbóje i że oni są winni wszystkiemu, co się teraz dzieje, bo chcieli ukraść konie Apaczów. Przez zabicie jednego takiego łotra ocalicie żywot wielu Apaczom, a jeśli go będziecie oszczędzać, to ci zginą. Musicie o tym pamiętać, jeśli się nie mylę. No, powiedzcie mi szczerze, czy pójdziecie na tę

walkę śmiało, jak prawdziwy westman, nie mdlejący na widok kropli krwi? Uspokójcie mnie!

- Jeśli to was uspokoi, to bądźcie pewni, że nie będę pobłażliwy, gdyż i mojemu przeciwnikowi przez myśl nie przejdzie mnie oszczędzać. Ocalę tym życie wielu ludziom. To pojedynek.

- Pięknie! To godne słowo. Patrzę teraz na waszą walkę z większym spokojem, mimo to mam uczucie, jakby mi prowadzono syna na rzeź. Wolałbym już sam walczyć na waszym miejscu. Czy pozwolicie, sir?

- Nie, mój Samie. Po pierwsze, sądzę, szczerze mówiąc, że lepiej by zginął greenhorn niż tak dzielny westman jak wy, a po wtóre…

- Cicho bądźcie! Na mnie nikomu nie zależy, co tam taki stary dziad, ale jeśli taki młody, pełen na…

- To wy bądźcie cicho! - przerwałem mu tak samo jak on mnie przedtem. - Po wtóre zaś, byłoby to brakiem honoru i dowodem tchórzostwa z mojej strony, gdybym pozwolił komu innemu walczyć za siebie. Zresztą wódz nie zgodziłby się na to, bo chodzi mu o mnie.

- To właśnie nie może mi się w głowie pomieścić! On istotnie na was zagiął parol, na was. Mam nadzieję, że jego czółno inaczej popłynie, niż on zamierza sterować. Uwaga! Oto nadchodzą!

Indianie zbliżali się powoli. Nie było ich dwustu, gdyż część pozostała na straży przy pojmanych Apaczach. Tangua przeprowadził ich obok nas na wspomniane powyżej miejsce. Tam utworzyli trzy czwarte koła, a czwartą część mieliśmy wypełnić my, biali. Gdyśmy to zrobili, wódz dał znak. Z szeregu czerwonoskórych wystąpił wojownik o herkulesowych kształtach i odłożył na bok wszelką broń oprócz noża. Następnie obnażył górną połowę ciała. Kto spojrzał na te nagie mięśnie, musiał się o mnie zatrwożyć. Wódz wyprowadził go na środek i oznajmił głosem, w którym brzmiała pewność zwycięstwa:

- Oto stoi Metan-akwa, najsilniejszy wojownik Keiowehów, którego nożowi nikt jeszcze się nie oparł. Wróg pada pod jego pchnięciem, jakby rażony piorunem. Blada twarz, Old Shatterhand, będzie z nim walczyła.

- Niech to wszyscy diabli! - szepnął Sam do mnie. - To prawdziwy Goliat! Słuchajcie, kochany sir, już po was!

- Pshaw!

- Nonsens! Nie rójcie sobie, niczego! Jest tylko jeden sposób pokonania tego draba.

- Jaki?

- Nie wdawajcie się w długą walkę, lecz dążcie do szybkiego końca, bo was zmęczy i będziecie zgubieni. Jak tam z waszym tętnem?

Wziął mnie za przegub ręki, chwilę nadsłuchiwał, po czym rzekł:

- Chwała Bogu, nie więcej niż sześćdziesiąt uderzeń, a więc zupełnie prawidłowo. Nie jesteście zdenerwowani? Nie boicie się wcale?

- Jeszcze by tego brakowało! Zdenerwowanie i obawa w chwili, kiedy życie zawisło od zimnej krwi i pewnego spojrzenia! Nazwa tego olbrzyma mówi tak wiele jak jego postać. Jest najsilniejszy i włada wspaniale nożem! Dlatego to wódz zaproponował mi walkę na noże! Zobaczymy jednak, czy jest rzeczywiście niezwyciężony.

Podczas tej krótkiej, cicho przeprowadzonej rozmowy rozebrałem się także do pasa. Wprawdzie nie było to objęte warunkami, ale chciałem uniknąć podejrzenia, że w ubraniu szukam osłony przed nożem przeciwnika. Rusznicę i rewolwery oddałem Samowi i wstąpiłem w środek koła. Poczciwemu Samowi serce głośno pukało, ale ja nie czułem trwogi. Być dobrej myśli to pierwszy warunek powodzenia w każdym niebezpieczeństwie. Wyryto na piasku trzonkiem tomahawka dość dużą ósemkę, po czym wódz nas wezwał, żebyśmy zajęli miejsca. Nóż-Piorun zmierzył mnie wysoce pogardliwym spojrzeniem i rzekł donośnie:

- Ciało tej słabej bladej twarzy trzęsie się ze strachu. Czy odważy się wejść w to nakreślone koło? Ledwie wymówił te słowa, wstąpiłem w kółko ósemki.

- On się odważył naprawdę! - zaśmiał się szyderczo Metan-akwa. - Nóż mój go pożre. Wielki Duch oddaje go w moje ręce, odebrawszy mu rozum.

U Indian takie wstępne przemowy należą do zwyczaju. Uchodziłbym za tchórza, gdybym milczał. Odrzekłem przeto:

- Ty walczysz gębą, a ja stoję z nożem. Wejdź na twe miejsce, jeżeli się nie boisz. Na to on jednym skokiem stanął w drugim kółku ósemki i krzyknął gniewnie:

- Bać się? Metan-akwa miałby się bać? Czy słyszeliście. wojownicy Keiowehów? Pozbawię życia tego białego psa za pierwszym pchnięciem!

- Moje pierwsze pchnięcie ciebie życia pozbawi. A teraz milcz! Powinieneś właściwie nazywać się nie Metan-akwa, lecz Awat-ya.

- Awat-ya, Awat-ya! Ten smrodliwy kujot ośmielił się mnie zelżyć! Dobrze, niech sępy pożrą, twoje wnętrzności!

Ta pogróżka była wielką nierozwagą, wprost głupotą z jego strony, gdyż zwróciła moją uwagę na sposób, w jaki chciał użyć broni. Moje wnętrzności! Nie zamierzał więc pchnąć mnie w serce od góry, lecz ciąć od dołu, by rozpruć mi brzuch.

Byliśmy od siebie tak daleko, że wystarczało schylić się, aby dosięgnąć przeciwnika nożem. Indianin utkwił wzrok w moich oczach. Prawą rękę opuścił prosto na dół, trzymając nóż w ten sposób, że klinga sterczała ostrzem do góry pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Domyśliłem się, że będzie się starał zadać mi cios od dołu do góry, gdyż przy uderzeniu z góry trzyma się nóż odwrotnie.

Kierunek ataku był mi już wiadomy, teraz szło głównie o czas, a czas ten musiałem odgadnąć z jego spojrzenia. Znałem ten szczególny błysk oka, poprzedzający, zawsze taką chwilę. Opuściłem powieki, by upewnić przeciwnika, że niczego nie dostrzegam, tym czujniej jednak śledziłem poprzez rzęsy jego ruchy.

- Pchnij, psie! - zachęcał mnie Metan-akwa.

- Nie mów już więcej, lecz walcz, czerwony szczeniaku! - odparłem.

Po tak wielkiej obeldze musiała nastąpić albo gniewna odpowiedź, albo uderzenie - i tak też się stało. Błyskawiczne rozszerzenie źrenicy Indianina było mi zapowiedzią ataku i rzeczywiście już w następnej chwili Metan-akwa wyrzucił silnie naprzód prawą rękę. Gdybym się nie spodziewał z góry tego ciosu, byłoby po mnie, tak jednak odparowałem cięcie, a w następnej chwili... mój nóż utkwił w jego sercu aż po rękojeść. Olbrzym zachwiał się, chciał krzyknąć, ale wydobył tylko jękliwe westchnienie i runął martwy na ziemię. Indianie zawyli wściekle, tylko jeden z nich nie zawtórował im, a mianowicie wódz Tangua. Podszedł, schylił się nad mym przeciwnikiem, obmacał brzegi rany, podniósł się znowu i popatrzył na mnie wzrokiem, którego długo nie mogłem zapomnieć. Przebijała w nim mieszanina wściekłości, zgrozy, strachu, podziwu i uznania. Potem wódz odwrócił się i chciał się milcząc oddalić. Wobec tego rzekłem:

- Czy widzisz, że stoję jeszcze na miejscu, a Metan-akwa opuścił swoje i leży poza nakreślonym kołem? Kto z nas zwyciężył?

- Ty! - odrzekł wściekle i odszedł, ale zaledwie zrobił kilka kroków, wrócił i syknął do mnie: - Jesteś białym synem złego Czarnego Ducha. Nasz czarownik zdejmie z ciebie czary, a wtedy oddasz nam życie!

- Rób sobie ze swoim czarownikiem, co ci się podoba, ale przedtem dotrzymaj danego słowa!

- Jakiego słowa? - zapytał szyderczo.

- Ze Apacze nie zginą.

- My ich nie zabijemy. Przyrzekłem to i dotrzymam.

- I będą wolni?

- Odzyskają wolność. Co powie wódz Keiowehów, Tangua, to spełnia się zawsze!

- W takim razie pójdę teraz z moimi przyjaciółmi i zdejmę im więzy.

- Zrobię to sam, gdy przyjdzie na to pora.

- Już przyszła, już jest, bo zwyciężyłem.

- Milcz! Czy mówiliśmy przedtem o porze?

- Nie wspominaliśmy o tym osobno, ale rozumie się samo przez się, że...

- Milcz! - huknął na mnie ponownie. - Porę oznaczę ja. Nie zabijemy tych psów Apaczów, ale co na to poradzimy, jeżeli pomrą, gdy nie dostaną jadła ani napoju? Czy ja będę temu winien, jeżeli umrą z głodu i pragnienia, zanim będę ich mógł puścić wolno?

- Łajdaku! - rzuciłem mu w twarz.

- Psie, powiedz jeszcze słowo, a...

Chciał dokończyć groźby, lecz powstrzymał się i wpatrzył się z trwogą w moją twarz. Zaniepokoił go widocznie jej wyraz. Ja zaś dokończyłem za niego:

- ...a powalę cię tą pięścią na ziemię, ciebie, najpodlejszego ze wszystkich kłamców!

Odskoczył czym prędzej o kilka kroków, wydobył nóż i zawołał:

- Z pięścią już się do mnie zanadto nie zbliżysz, bo przebiję cię natychmiast!

- Nóż-Piorun chełpił się także, że to zrobi, a teraz leży martwy. Ciebie spotkałby ten sam los. O tym, co się ma stać z Apaczami, pomówię z moimi białymi braćmi. Gdyby im spadł włos z głowy, już byłoby po tobie i twoich. Wiesz, że możemy was wysadzić w powietrze. Dopiero po tych słowach wystąpiłem z ósemki i podszedłem do Sama, który z powodu wrzasku czerwonoskórych nie mógł słyszeć mojej rozmowy z wodzem. Podskoczył ku mnie, objął mnie oburącz i wołał w zachwycie:

- Wiwat, wiwat, sir! Pozdrawiam was tak, jak gdybyście wracali z krainy śmierci! Człowiecze, przyjacielu, skarbie, młodzieńcze i greenhornie, co z was za istota! Nie widział bawołów, a zabija najsilniejsze z całego stada! Nie widział szarego niedźwiedzia, a bierze się do niego z nożem jak do jabłka! Nie widział nigdy mustanga, a złapał mi moją Mary! A tu staje przed najsilniejszym i najzręczniejszym

czerwonoskórym wojownikiem i trafia go pierwszym pchnięciem noża w samo serce, nie utraciwszy ani kropli krwi! Dicku i Willu, chodźcie tu i przypatrzcie się temu surweyorowi! Co z niego zrobić?

- Czeladnika - rzekł Stone z zadowoleniem.

- Czeladnika? Co przez to rozumiesz?

- Dowiódł raz jeszcze, że już nie jest uczniem, greenhornem.

Mianujemy go czeladnikiem, a z czasem może zostać mistrzem.

- Nie jest greenhornem? Zrobić go czeladnikiem? Skoro cię język swędzi, żeby coś powiedzieć, to nie mów przynajmniej przedwczesnych niedorzeczności! To greenhorn z krwi i kości, bo nikt inny nie odważyłby się wyzwać tego zwinnego i olbrzymiego Indianina. Ale ludzie lekkomyślni mają zawsze najwięcej szczęścia, tak jak najgłupszemu chłopu rodzą się często najdorodniejsze kartofle. To głupiec, lekkoduch i greenhorn! Tego, że jeszcze żyje, nie zawdzięcza sobie, lecz swej głupocie, jeśli się nie mylę. Gdy zaczął walczyć, serce mi przestało bić i nie mogłem tchu złapać, wszystkie moje myśli zajęte były testamentem tego greenhorna. Naraz jedno uderzenie, jedno pchnięcie i czerwonoskóry runął na ziemię! Teraz osiągnęliśmy to, o co nam chodziło - życie i wolność Apaczów!

- Mylicie się niestety - odrzekłem nie gniewając się zresztą za sposób, w jaki do mnie przemawiał.

- Ja się mylę? Jak to?

- Wódz, dając nam słowo, poczynił sobie w duszy zastrzeżenia, które teraz ujawnił.

- Wiedziałem, że Tangua będzie miał ukryte myśli! O jakich zastrzeżeniach mówicie?

Powtórzyłem słowa Tanguy, które tak rozgniewały Sama, że natychmiast podszedł do wodza żądając wyjaśnienia. Skorzystałem z tego, żeby się znowu ubrać i wziąć odłożoną broń. Keiowehowie nie wątpili ani przez chwilę, że Nóż-Piorun mnie zabije. Toteż zupełnie nieoczekiwany wynik walki przejął ich smutkiem i wściekłością. Najchętniej by na nas napadli, ale

było to nie tylko zastrzeżone w naszej umowie, lecz nawet wypaliliśmy fajkę, z zapewnieniem, że strona zwyciężonego nie zemści się na zwycięzcy. Tego nie wolno już im było naruszyć. Szukali więc innego pretekstu do wrogiego wystąpienia przeciwko nam. Czekali jeszcze, bo wiedzieli, że nie możemy im ujść. Przytłumiwszy więc na razie swą złość zajęli się trupem poległego towarzysza. Tangua znajdował się także przy nim, łatwo więc sobie wyobrazić, że Sam Hawkens nie znalazł chętnego j przychylnego ucha dla swych wywodów. Wrócił wysoce zniechęcony i oznajmił:

-Ten drab nie chce istotnie dotrzymać słowa. Postanowił, jak się zdaje, zagłodzić jeńców. I

ten łajdak nazywa to ”niezabijaniem”! Ale będziemy mieli oczy otwarte, jeśli się nie mylę, i spłatamy mu figla, hi! hi! hi!

- Żeby ten figiel nas za drogo nie kosztował! - zauważyłem. - To trudna rzecz bronić innych, gdy się samemu potrzebuje obrony.

- Boicie się tych czerwonoskórych?

- Pshaw! Że się nie boję, o tym wiecie chyba równie dobrze jak i ja sam.

- Ale z jedną różnicą. Tam gdzie ja bym się obawiał, wy idziecie przebojem, jak byk za czerwoną płachtą, a tam gdzie potrzebna odwaga - wysuwacie wątpliwości. To już taki zwyczaj greenhornów. O czym rozmyślacie teraz?

W tej samej chwili, z miejsca gdzie znajdowali się więźniowie wraz ze strażnikami, rozległ się przeraźliwy okrzyk Apaczów ”hiiiiiiih!” Wbrew wszelkim oczekiwaniom Inczu-czuna i Winnetou zdążyli już wrócić i napadli na obóz Keiowehów. Ci z Keiowehów, którzy byli przy nas zaczęli nadsłuchiwać w przerażeniu, po czym Tangua krzyknął:

- Nieprzyjaciele są tam na dole przy naszych braciach! Prędzej, prędzej na pomoc! I chciał biec, ale Hawkens zastąpił mu drogę i krzyknął:

- Nie możecie tam iść! Zostańcie tu, bo na pewno jesteśmy już otoczeni. A może myślicie, że obydwaj wodzowie Apaczów są

tacy głupi, iż zaatakowali tylko straże nie wiedząc, gdzie wy się znajdujecie? Za chwilę będą tu...

Mały westman mówił pośpiesznie, ale i tak nie zdążył dokończyć, gdyż w tej chwili zabrzmiał dokoła nas przejmujący wojenny okrzyk Apaczów. Staliśmy wprawdzie na otwartej prerii, ale tu i ówdzie rosły na niej krzaki, za którymi skradali się nie dostrzeżeni przez nas Apacze. Teraz nadbiegali gromadami ze wszystkich stron. Keiowehowie strzelili do nich i kilku nawet trafili, ale to nie miało żadnego znaczenia. Napastnicy byli już tuż.

- Nie zabijajcie Apaczów! - zawołałem do Sama, Dicka i Willa. W tej samej chwili rozszalała się już dokoła nas walka wręcz. Tylko my czterej nie braliśmy w niej udziału. Starszy inżynier i surweyorzy bronili się, toteż ich zastrzelono. To było straszne. Patrząc w jedną tylko stronę, nie widziałem, co się działo poza mną. Napadła na nas stamtąd gromada Indian i rozproszyła nas. Wołaliśmy wprawdzie, że jesteśmy ich przyjaciółmi, ale na próżno. Natarli na nas nożami i tomahawkami tak, że musieliśmy się bronić chociaż staraliśmy się tego możliwie uniknąć. Powaliliśmy kilku z nich kolbami, na skutek czego odstąpili od nas. Wyzyskałem tę wolną chwilę, by rozejrzeć się dokoła. Nie było ani jednego Keioweha, który nie miałby przeciwko sobie kilku Apaczów. Hawkens zobaczył to także i zawołał:

- Uciekać czym prędzej, tam w krzaki!

Wskazał na wspomniane już kilkakrotnie zarośla, które kryły nas od strony obozu, i pobiegł tam, a Dick Stone i Will Parker za nim. Ja wahałem się przez kilka chwil, spoglądając na miejsce, gdzie znajdowali się surweyorzy. Chętnie bym im pośpieszył z pomocą, ale już było za późno, dlatego skierowałem się także ku zaroślom. Byłem jeszcze dość daleko od nich, kiedy ujrzałem wyłaniającego się właśnie stamtąd Inczu-czunę.

Razem z Winnetou stał on na czele niewielkiego oddziałku Apaczów, którego zadaniem było napaść na obóz i uwolnić jeńców. Dokonawszy tego, obaj wodzowie pośpieszyli obejrzeć skutki napadu głównego oddziału, który atakował nas. Inczu-

czuna, wyprzedzając nieco syna, obiegł zarośla, a zobaczywszy mnie, zawołał:

- Złodzieju ziemi!

I równocześnie natarł na mnie odwróconą srebrną strzelbą.

Odpowiedziałem mu wprawdzie kilka słów celem wyjaśnienia, że nie jestem jego wrogiem, lecz on nie chciał słuchać i podwajał ciosy. Nie chcąc odnieść ciężkich ran albo nawet stracić życia, musiałem niestety, sprawić mu ból W chwili gdy zamierzył się do uderzenia, odrzuciłem moją rusznicę, którą się dotąd broniłem, pochwyciłem go lewą ręką za gardło, a prawą palnąłem kilkakrotnie po skroni. Stary wódz upuścił strzelbę, zacharczał krótko i padł na ziemię. Wtem zabrzmiał tuż za mną triumfujący głos:

- To Inczu-czuna, najwyższy wódz tych psów, Apaczów! Muszę dostać jego skórę, jego skalp!

Obejrzawszy się, ujrzałem Tanguę, który z niewiadomego mi powodu obrał ten sam kierunek ataku. Odłożył strzelbę, wyciągnął zza pasa nóż i chciał się zabrać do nieprzytomnego Apacza, by go oskalpować. Ująłem go za ramię i zawołałem:

- Zabierz rękę! Ja go zwyciężyłem, należy więc do mnie, a nie do ciebie!

- Milcz, biały robaku? - odpowiedział. - Nie pytam wcale o twoje zdanie. Ja jeden mam prawo do wodza! Puść mnie, bo...

Rozjuszony pchnął nożem i trafił mnie w przegub ręki. Nie chciałem go zabijać, nie uciekłem się przeto do noża, rzuciłem się tylko na niego, starając się go odtrącić od siebie. Gdy mi się to nie udało, ścisnąłem mu szyję tak, że się już nie mógł ruszać, a sam pochyliłem się nad Inczu-czuna, którego twarz skropiła krew z mojej rany na ręce. W tej chwili usłyszałem za sobą jakiś szmer i obejrzałem się.. Ten ruch ocalił mi życie, gdyż otrzymałem straszne uderzenie kolbą w plecy, które pierwotnie wymierzone było w głowę i byłoby mi roztrzaskało czaszkę. Tym, który mnie ugodził, był Winnetou.

Został on, jak już wspomniałem, w tyle za Inczu-czuna. Teraz właśnie wynurzył się z zarośli, a spostrzegłszy mnie klęczącego nad ojcem, który leżał jak martwy z twarzą skropioną krwią,

zamachnął się do śmiertelnego uderzenia kolbą, szczęściem jednak trafił mnie w plecy. Następnie cisnął strzelbę na ziemię, wyrwał zza pasa nóż i rzucił się na mnie. Położenie moje nie mogło być gorsze. Uderzenie wstrząsnęło całą moją istotą i odjęło mi władzę w ręku. Byłbym chętnie dał Winnetou jakieś wyjaśnienie, ale wypadki toczyły się tak prędko, że nie było na to czasu. Młody wódz Apaczów utopiłby mi nóż w sercu aż po rękojeść, gdybym nieznacznym ruchem, na jaki tylko w tej chwili mogłem się zdobyć, nie udaremnił ciosu przynajmniej o tyle, że nóż trafił w lewą kieszeń na piersi, gdzie pośliznął się o puszkę z sardynek i ugodził mnie w szyję, a przebiwszy szczękę, zranił mi język, Winnetou wyciągnął nóż i pochwyciwszy mnie za gardło, zamierzył się do drugiego pchnięcia. Śmiertelna trwoga podwaja siły fizyczne. Mogłem się posługiwać tylko lewą ręką, a on leżał trochę na mnie. Udało mi się złapać jego prawą rękę, którą ściskałem tak silnie, że nóż mu wypadł. Następnie porwałem go za łokieć lewej ręki i podbiłem ją w górę tak wysoko, że jeśli chciał uniknąć złamania ręki, musiał puścić moje gardło. Zgiąłem nogi w kolanach, całą siłą podrzuciłem się w górę i strząsnąłem Winnetou z siebie tak, że padł brzuchem na ziemię. W następnej chwili znalazłem się na jego grzbiecie.

Teraz szło o to, żeby mego przeciwnika przytrzymać, gdyż byłbym ostatecznie zgubiony, gdyby się znowu podniósł. Klęknąwszy mu prawym kolanem na udach, a lewym na jednej ręce, zdrową ręką chwyciłem go za kark. On tymczasem drugą ręką szukał noża, ale na szczęście daremnie. Zaczęło się szatańskie mocowanie. Trzeba sobie wyobrazić, że był to Winnetou, którego nikt przedtem ani potem nie zwyciężył, Winnetou, obdarzony kocią zręcznością, stalowymi mięśniami i ścięgnami. Teraz miałem już czas, by przemówić, ale krew buchała mi z ust, a gdy chciałem poruszyć przebitym językiem, wydobywałem z siebie ledwie zrozumiały bełkot. Przeciwnik mój wytężał wszystkie siły, aby mnie zrzucić z siebie, ja zaś ciężyłem na nim jak góra, której strząsnąć nie podobna. Zaczął coraz bardziej stękać, a ja mu ściskałem szyję coraz silniej, aż mu brakło oddechu. Czyż miałem go udusić? Nie, w żadnym

razie! Zwolniłem więc na chwilę jego szyję z uścisku, a on podniósł natychmiast głowę, która przez to stała się dla mnie łatwym celem. Zadałem dwa czy trzy uderzenia pięścią i Winnetou był ogłuszony: zwyciężyłem niezwyciężonego.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza, uważając przy tym, żeby nie połykać krwi zalewającej mi usta. Trzymałem je wciąż otwarte, by krew mogła spływać. Z zewnętrznej rany buchała także krew grubym na palec strumieniem. Chciałem właśnie dźwignąć się z ziemi, gdy wtem zabrzmiał za mną groźny okrzyk Indianina, a potem otrzymałem tak silne uderzenie kolbą po głowie, że padłem bez zmysłów.

Gdy przyszedłem do siebie, był już wieczór; tak długo leżałem bez przytomności. Z początku roiłem jak we śnie. Wydawało mi się, że wpadłem w murowane łożysko młyńskiego koła, które nie mogło się obracać dlatego, że ja zawadzałem znajdując się pomiędzy nim a murem. Woda szumiała nade mną, a siła, z jaką działała na koło, ściskała mnie coraz mocniej i mocniej. Bałem się, że mnie lada chwila zmiażdży. Bolały mnie wszystkie członki, a szczególnie głowa i plecy. Zwolna poznałem, że nie była to rzeczywistość. Nie było to także tylko senne majaczenie. Szum i łoskot nie pochodził od wody, lecz rozlegał się w mojej głowie wskutek uderzenia kolbą, które mnie powaliło, a ból w plecach sprawił cios zadany przez Winnetou. Krew płynęła mi z ust wciąż jeszcze, wciskała się do gardła i dławiła. Usłyszałem okropne charczenie i zgrzytanie i - zbudziłem się. Charczałem ja sam.

- Rusza się! Dzięki Bogu, rusza się! - doszedł mnie głos Sama.

- Tak, ja także to zauważyłem! - odrzekł Dick Stone.

- Teraz otwiera oczy! Żyje! Żyje! - dodał Will Parker.

Istotnie podniosłem powieki. Widok, jaki na pierwszy rzut oka dostrzegłem, wcale nie był pocieszający. Znajdowaliśmy się jeszcze na placu boju. Dokoła płonęło może ze dwadzieścia ognisk, a wśród nich uwijało się z pięciuset Apaczów. Wielu z nich było rannych. Zauważyłem także znaczną liczbę zabitych, których ułożono w dwa rzędy: w jednym Apacze, w drugim Keiowehowie. Pierwsi stracili jedenastu, drudzy trzydziestu

wojowników. Dokoła leżeli pojmani Keiowehowie, silnie skrępowani; ani jeden nie uszedł. Wodza Tanguy także nie brakło między nimi.

Niedaleko nas leżał człowiek związany w kłębek mniej więcej tak jak ongiś ofiary tortur stosowanych przy użyciu tak zwanego kozła hiszpańskiego. Był to Rattler. Apacze związali go w kłębek, aby mu sprawić jak największy ból. Jęczał tak, że litość mnie brała. Towarzysze jego nie żyli już, gdyż zastrzelono ich od razu w pierwszym ataku. Jego oszczędzono, by jako morderca Kleki-petry poniósł powolną śmierć, połączoną z większymi mękami.

Ja także miałem skrępowane ręce i nogi, tak samo Stone i Parker, którzy leżeli z lewej strony. Po prawej siedział Sam Hawkens. Nogi miał skrępowane, a lewą rękę związaną na plecach; prawą, jak się później dowiedziałem, pozostawiono mu wolną, żeby mi mógł dopomagać.

- Dzięki Bogu, że już przyszliście do siebie, kochany sir! - rzekł głaszcząc mnie pieszczotliwie po twarzy. - Jak się to stało, że was powalono?

Chciałem odpowiedzieć, lecz nie mogłem, gdyż miałem usta pełne krwi.

- Wypluńcie to! - rzekł.

Posłuchałem, lecz zdołałem dobyć zaledwie kilku niezrozumiałych słów, gdy usta na nowo napełniły mi się krwią. Z powodu utraty krwi byłem już śmiertelnie osłabiony. Odpowiadać mogłem tylko w krótkich, oderwanych słowach, i to tak cicho, że Sam zaledwie je mógł zrozumieć.

- Z Inczu-czuną walcz… Winnetou… pchnął w usta… kolbą po głowie… od… nie wiem…

Reszta słów ugrzęzła w gardle.

Ze zgrozą zauważyłem, że leżę w kałuży własnej krwi.

- Do stu piorunów! Kto by to pomyślał! Bylibyśmy się chętnie poddali, lecz Apacze nie słuchali naszych wyjaśnień. Wleźliśmy więc w krzaki, aby zaczekać do czasu, kiedy ochłoną z gniewu, jeśli się nie mylę. Przypuszczaliśmy, że wy zrobiliście to samo i szukaliśmy was. Gdy was nie znaleźliśmy, poczołgałem się na

skraj zarośli, gdzie ujrzałem jakby martwych Inczu-czunę i Winnetou. Obaj niebawem się podnieśli. Wy leżeliście także obok jak zabity. Tak się tym przeraziłem, że zabrałem natychmiast Dicka Stone'a i Willa Parkera i pobiegłem z nimi do was zobaczyć, czy kołata się w was jeszcze życie. Oczywiście natychmiast nas pojmano. Zapewniałem Inczu-czunę, że jesteśmy przyjaciółmi Apaczów, że wczoraj mieliśmy zamiar uwolnić obu wodzów, on jednak wyśmiał mnie i tylko Winnetou zawdzięczam, że zostawili mi tę rękę wolną. On też opatrzył wam ranę na szyi, bo gdyby nie to, już nigdy byście się nie obudzili wskutek upływu krwi, jeśli się nie mylę. Czy pchnięcie doszło daleko?

- Przez... język - wybełkotałem.

- A do wszystkich diabłów! To niebezpieczne. Będziecie mieli gorączkę, której nikt chyba nie chciałby dostać, ale wziąłbym ją chętnie na siebie, bo taki stary gracz jak ja przetrzymałby łatwiej niż greenhorn, który dotychczas widywał krew tylko w krwawej kiszce. A innych ran nie macie?

- Uderzenia kolbą... głowę... plecy - odrzekłem.

- A zatem was powalono? Sądziłem, że wszystkiemu winno tylko to pchnięcie. Musi wam diabelnie szumieć w głowie. Ale to minie. Najważniejsze, że nie uśmiercono wam tej odrobiny rozumu, którą jeszcze mieliście. Główne niebezpieczeństwo tkwi jednak w przebitym języku, którego nie podobna obwiązać. Ja teraz...

Więcej już nie słyszałem, gdyż znów zemdlałem. Kiedy się zbudziłem, poczułem, że jestem w ruchu. Dokoła rozlegał się tupot kopyt końskich. Otworzyłem oczy, bo mnie to zastanowiło. Leżałem - proszę sobie wyobrazić - na skórze zakłutego przeze mnie szarego niedźwiedzia, którą związano mniej więcej na kształt hamaka i zawieszono pomiędzy dwoma końmi. Leżałem tak głęboko w futrze, że widziałem tylko dwie głowy końskie i niebo. Słońce rzucało na mnie gorące promienie, a w żyłach czułem żar, jakby płynęło tam roztopione żelazo. Usta miałem spuchnięte i pełne stężałej krwi. Starałem się ją wyrzucić językiem, ale nie mogłem nim ruszyć.

”Wody, wody!” - chciałem zawołać, gdyż dokuczało mi okropne pragnienie, ale nie zdołałem wydobyć głosu. Znowu zemdlałem. Potem walczyłem z Indianami, bawołami i niedźwiedziami, odbywałem śmiertelne jazdy przez prerie, płynąłem miesiącami po bezbrzeżnych morzach. Była to gorączka z ran, w której przez długie dni mocowałem się ze śmiercią. Czasem dochodził mnie jakby z wielkiego oddalenia głos Hawkensa, czasem widziałem nad sobą dwoje aksamitnych oczu Winnetou, a wreszcie umarłem, włożono mnie do trumny i zakopano. Słyszałem, jak grudy ziemi spadały na wieko trumny, spoczywałem potem w niej przez całą wieczność, nie mogąc się poruszyć. Nagle wieko podniosło się w górę i zniknęło. Zajaśniał nade mną czysty błękit, a ściany grobu osunęły się w dół. Czy to prawda? Czy mogło się stać coś takiego? Sięgnąłem ręką do czoła i...

- Hura! Hura! Budzi się ze snu, budzi się! - krzyknął Sam.

Odwróciłem głowę.

- Czy widzicie, że ręką dotknął czoła, że nawet odwrócił teraz głowę? - krzyczał mały człowieczek.

Pochylił się nade mną. Twarz promieniała mu po prostu z zachwytu, co wyraźnie spostrzegłem pomimo jego niezwykle gęstego zarostu.

- Czy widzicie mnie, kochany sir? - zapytał. - Otworzyliście oczy i poruszyliście się. A więc znowu żyjecie. Czy mnie widzicie?

Chciałem odpowiedzieć, ale nie mogłem, po pierwsze, ze znużenia, a po wtóre dlatego, że język ciężył mi jak ołów. Toteż skinąłem tylko głową.

- A czy mnie słyszycie? - mówił dalej. Skinąłem znowu.

- Patrzcie na niego, patrzcie, patrzcie!

Twarz jego zniknęła, a ukazały się głowy Stone'a i Parkera.

Zacnym ludziom łzy zalśniły w oczach. Już mieli jakieś pytanie na ustach, ale Sam ich odsunął krzycząc:

- Puśćcie mnie do niego, ja chcę z nim mówić, ja! Wziął moje ręce, przycisnął do nich tę część zarostu, w której powinny się znajdować usta, i zapytał:

- Czy czujecie głód lub pragnienie, sir? Potrząsnąłem głową na znak przeczenia. Byłem tak bardzo osłabiony, że nie zdołałbym wypić nawet kropli wody.

- Nie? Naprawdę nie? Boże, czy to możliwe? Czy wyobrażacie sobie, jak długo leżeliście?

Zaprzeczyłem znów głową.

- Trzy tygodnie, całe trzy tygodnie! Pomyślcie tylko!

Nie wiecie także oczywiście, co się z wami działo i gdzie się teraz znajdujecie Mieliście straszną gorączkę i popadliście w letarg. Apacze chcieli was już zakopać, ale ja nie wierzyłem w waszą śmierć i dopóty żebrałem, dopóki Winnetou nie wstawił się za wami u ojca i nie uzyskał pozwolenia na to, by pochować was dopiero wówczas, kiedy już nastąpi rozkład. Zawdzięczamy to Winnetou. Muszę pójść do niego i sprowadzić go tutaj!

Zaniknąłem oczy i leżałem znowu, ale teraz już nie w grobie, lecz w rozkosznym znużeniu, w niebiańskim jakimś spokoju. Pragnąłem leżeć tak wiecznie, gdy wtem doszedł mnie odgłos kroków. Dotknęła mnie jakaś ręka, podniosła moją rękę, po czym usłyszałem głos Winnetou:

- Czy Sam Hawkens się nie pomylił? Czy Selki-lata obudził się rzeczywiście?

- Tak, tak.. Wszyscy trzej widzieliśmy to dokładnie, odpowiadał nawet ruchami głowy na moje pytania.

- W takim razie stał się wielki cud, ale byłoby lepiej, gdyby pozostał martwy, bo tylko po to powrócił do życia, by umrzeć: pójdzie na śmierć razem z wami.

- Ależ to największy przyjaciel Apaczów!

- A dwa razy mnie powalił.

- Bo musiał!

- Wcale nie musiał!

- Przeciwnie. Pierwszy raz uczynił to, aby ci życie ocalić. Broniłeś się i Keiowehowie byliby cię zabili. Drugim razem zmuszony był odpierać twoje ciosy. Chcieliśmy się poddać dobrowolnie, ale wasi wojownicy nie zważali na nasze zapewnienia.

- Sam Hawkens przedstawia tak sprawę dlatego, aby się wyratować.

- Nie, to jest prawda!

- Język twój kłamie. Wszystko, co mi opowiedziałeś, aby ujść męczeńskiej śmierci, przekonało nas niezbicie, że jesteście jeszcze większymi wrogami niż te psy Keiowehowie. Skradałeś się ku nam i podsłuchałeś nas. Gdybyś nam sprzyjał, byłbyś nas ostrzegł, a wówczas nie napadnięto by na nas nad wodą i nie przywiązano by nas do drzew.

- Ale wy pomścilibyście na nas śmierć Kleki-petry, albo gdybyście nawet z wdzięczności tego nie uczynili, to byście nam przeszkodzili w dokończeniu robót.

- I tak nie moglibyście tego zrobić. Wymyślasz wymówki, które dziecko potrafi przejrzeć. Czy uważasz Inczu-czunę i Winnetou za tak głupich, a nawet głupszych od małego dziecka?

- Ani mi to w głowie nie powstało! Old Shatterhand znowu zemdlał. Gdyby był przytomny i zdołał przemówić, potwierdziłby prawdziwość moich słów.

- Kłamałby tak samo jak ty. Blade twarze to sami kłamcy i oszuści. Znałem tylko jednego białego, w którego sercu mieszkała prawda - był nim zamordowany przez was Kleki-petra. Niewiele już brakowało, żebym się co do Old Shatterhanda pomylił. Widziałem jego odwagę i siłę, podziwiałem go. Z jego oczu przebijała szczerość, zdawało mi się, że go pokocham. Ale to był taki sam złodziej naszej ziemi jak inni. Dopuścił do tego, że nas zwabiono w pułapkę, i po dwakroć uderzył mnie pięścią po głowie. Dlaczego Wielki Duch stworzył takiego człowieka, ale dał mu serce tak fałszywe?

Starałem się spojrzeć na Winnetou, gdy mnie dotykał, ale znużone nerwy odmówiły posłuszeństwa woli. Ciało moje było jakby z eteru, jakby z jakichś nieuchwytnych pierwiastków, nie mogło też odczuć tego, co jest dostępne zmysłom. Teraz jednak, gdy uświadomiłem sobie ten wyrok Winnetou, powieki mnie posłuchały; otwarły się, dzięki czemu ujrzałem go stojącego obok mnie. Miał teraz na sobie lekkie płócienne ubranie, był bez broni, a w ręku trzymał książkę, na której widniał napis

”Hiawatha” Ten Indianin, syn narodu zaliczonego do ”dzikich”, umiał więc nie tylko czytać, lecz posiadał nawet zrozumienie dla rzeczy wyższych. Sławny poemat Longfellowa w ręku Apacza! Czy mogłem przypuścić coś podobnego?

- Znowu ma oczy otwarte! - zawołał Sam, a Winnetou zwrócił się do mnie. Przystąpił, rzucił na mnie długie, przeciągłe spojrzenie i zapytał:

- Czy możesz mówić? Potrząsnąłem głową.

- Czy cię coś boli?

Dałem taką samą odpowiedź.

- Bądź ze mną szczery! Jeśli się człowiek budzi ze snu śmierci, nie może mówić nieprawdy. Czy wy czterej chcieliście nas rzeczywiście ocalić?

Skinąłem głową dwukrotnie.

Na to machnął pogardliwie ręką i rzekł z widocznym oburzeniem w głosie:

- Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo! Nawet nad otwartym grobem kłamstwo! Gdybyś powiedział prawdę, pomyślałbym może, że jeszcze się poprawisz, i poprosiłbym ojca Inczuczunę o darowanie ci życia. Ale ty nie jesteś godny mojego wstawiennictwa, musisz więc umrzeć. Będziemy cię troskliwie pielęgnowali, abyś szybko powrócił do zdrowia, odzyskał siły i mógł przez długi czas wytrzymać męczarnie, które cię czekają. Gdybyś umarł prędko jako człowiek chory i słaby, nie byłaby to dostateczna kara.

Dłużej nie zdołałem utrzymać oczu otwartych i zamknąłem je znowu. O gdybym mógł przemówić! Sam, ten chytry w różnych sytuacjach Sam Hawkens nie prowadził bynajmniej chytrze naszej obrony. Ja wziąłbym się do tego zupełnie inaczej. On jak gdyby odgadł moje myśli, zaczął przekonywać młodego wodza Apaczów:

- Dowiedliśmy ci jasno i niezbicie, że byliśmy po waszej stronie. Waszym wojownikom miano zadać straszne męki. Aby temu przeszkodzić, Old Shatterhand walczył z Nożem-Piorunem i zwyciężył go. Naraził więc swoje życie na

niebezpieczeństwo i teraz w nagrodę za to ma ponieść męczeńską śmierć?

- Nie udowodniliście niczego, gdyż to opowiadanie jest jednym wielkim kłamstwem.

- Spytaj Tanguę, wodza Keiowehów, który jest w twoich rękach!

- Już to uczyniłem.

- I co powiedział?

- Że kłamiesz. Old Shatterhand nie walczył z Nożem-Piorunem, zabili go nasi wojownicy podczas napadu na was.

- To straszna nieuczciwość ze strony Tanguy. Wie, że potajemnie staliśmy po waszej stronie, i chce się zemścić za to w ten sposób.

- Przysiągł mi na Wielkiego Ducha, wierzę więc jemu, a nie wam. Powtórzę ci to samo, co przed chwilą usłyszał ode mnie Old Shatterhand: gdybyście się przyznali otwarcie, wstawiłbym się za wami. Kleki-petra, który był mym duchowym ojcem, przyjacielem i nauczycielem, posiał mi w sercu umiłowanie pokoju i łagodności. Nie pożądam krwi, a mój ojciec czyni zawsze to, o co go proszę. Dlatego nie zabiliśmy dotąd żadnego z Keiowehów, których jeszcze ciągle trzymamy w niewoli. Za wszystko, co nam złego wyrządzili, nie zapłacą życiem, lecz końmi, bronią, namiotami i kocami. Nie zgodziliśmy się jeszcze z nimi co do wysokości wykupu, ale załatwimy to niebawem. Rattler jest mordercą Kleki-petry i musi dać głowę. Jesteście jego towarzyszami, mimo to okazalibyśmy wam może pobłażliwość, gdybyście byli szczerzy, ponieważ zaś tak nie jest, przeto podzielicie jego los.

- Było to przemówienie tak długie, jakie rzadko później i tylko w najważniejszych chwilach słyszałem z ust milczącego na ogół Winnetou. Los nasz obchodził go zatem więcej, niż sam się do tego przyznawał.

- Przecież nie możemy potwierdzić, że jesteśmy waszymi wrogami, skoro jesteśmy przyjaciółmi - odparł Sam.

- Milcz! Widzę, że umrzesz z tym wielkim kłamstwem na ustach. Pozostawiliśmy wam dotąd więcej wolności niż innym

jeńcom, aby dać wam możność czynienia usług Old Shatterhandowi. Nie jesteście godni tych względów i odtąd będziemy postępować z wami ostrzej. Chory już was nie potrzebuje. Pójdziecie teraz ze mną. Wskażę wam miejsce, którego nie wolno wam będzie opuścić.

- Nie, Winnetou, tylko nie to! - zawołał Sam przestraszony. - Ja nie mogę się rozłączyć z Old Shatterhandem.

- Będziesz mógł, bo ja ci to nakazuję! Stanie się to, czego ja chcę!

- Prosimy cię, byś nam przynajmniej...

- Cicho! - przerwał mu Apacz surowo. - Nie ścierpię ani słowa sprzeciwu. Czy pójdziecie ze mną, czy mam polecić mym wojownikom, by was związali i zabrali siłą?

- Jesteśmy w waszej mocy, musimy więc was słuchać. Kiedy wolno nam będzie zobaczyć Old Shatterhanda?

- W dzień jego i waszej śmierci.

- A prędzej nie?

- Nie.

- Więc pozwól nam pożegnać się z nim.

Sam ujął mnie za ręce; polem poczułem brodę jego na mej twarzy, gdyż pocałował mnie w czoło. Parker i Stone zrobili to samo, po czym odeszli razem z Winnetou. Leżałem sam przez pewien czas, dopóki nie zbliżyło się kilku Apaczów i nie podjęło mnie z ziemi. Dokąd mnie zanieśli, nie wiem, gdyż wskutek słabości nie zdołałem drugi raz otworzyć oczu i już podczas transportu zasnąłem na nowo.

Nie wiem, jak długo spałem. Był to sen ozdrowienia, który zwykle bywa głęboki i trwa bardzo długo. Zbudziwszy się, otworzyłem oczy już z łatwością. Poprzednie osłabienie znacznie się zmniejszyło. Mogłem już do pewnego stopnia poruszać językiem i sięgnąć ręką do ust, by je oczyścić z nagromadzonej krwi i ropy.

Znajdowałem się ku memu zdumieniu w jakiejś czworokątnej komnacie o ścianach z kamienia. Światło padało przez otwór wejściowy bez drzwi. Łoże moje mieściło się w tylnym kącie pomieszczenia. Ułożono tu kilka skór szarych niedźwiedzi, a

nakryto mnie bardzo pięknym kocem indiańskim. Tuż przy wejściu siedziały dwie Indianki - jedna stara, a druga młoda - zapewne po to, by mnie pielęgnować, a zarazem strzec. Stara była brzydka jak wszystkie prawie czerwone skwaw. To skutek przepracowania, gdyż kobiety indiańskie muszą wykonywać wszelkie prace, mężczyźni zaś zajmują się tylko wojną i polowaniem, a resztę czasu spędzają bezczynnie. Młodsza odznaczała się niezwykłą urodą. Ubrana po europejsku, budziłaby podziw w każdym salonie. Miała długą, jasnoniebieską, powłóczystą szatę, przylegającą ciasno do szyi, a w pasie spiętą rzemieniem ze skóry grzechotnika. Nie nosiła żadnych ozdób, jak perły szklane czy tanie monety, którymi tak chętnie obwieszają się Indianki. Jedyną jej ozdobę stanowiły wspaniałe włosy, spadające w dwu granatowoczarnych splotach poniżej bioder. Przypominały one włosy Winnetou, a rysy jej twarzy były także podobne do jego rysów. Miała ten sam aksamitny, czarny blask oczu ukrytych do połowy pod długimi czarnymi rzęsami jak niezgłębione tajemnice. Nie widziało się u niej wystających jak zwykle u Indian kości policzkowych. Miała miękko i miło zarysowane pełne policzki z dołeczkami, które u Europejek świadczyłyby o pewnego rodzaju zalotności. Aby mnie nie zbudzić, rozmawiała z towarzyszką po cichu, a ilekroć przy tym otwierała w uśmiechu pięknie wykrojone usta, połyskiwały między czerwonymi wargami zęby, białe jak najczystsza kość słoniowa. Delikatne nozdrza wskazywały raczej na greckie niż na indiańskie pochodzenie. Cera jej miała barwę jasnego brązu z lekkim odcieniem srebra. Dziewczyna mogła mieć lat osiemnaście. Mógłbym się założyć o każdą cenę, że była to siostra Winnetou.

Obie kobiety zajęte były ozdabianiem czerwonymi szwami i arabeskami garbowanego na biało, skórzanego pasa. Podniosłem się, tak, podniosłem się, i to prawie bez trudu, gdy przed ostatnim zaśnięciem nie mogłem otworzyć oczu z osłabienia. Stara posłyszała szmer, zwróciła ku mnie swój wzrok i wskazując na mnie zawołała:

- Uff! A-guan inta-hinta!

”Uff” - to okrzyk zdumienia, ”a-guan inta-hinta” znaczy ”on nie śpi”. Dziewczyna odwróciła wzrok od roboty i ujrzawszy mnie siedzącego, wstała, aby się do mnie przybliżyć.

- Obudziłeś się? - rzekła ku memu zdumieniu płynną angielszczyzną. - Czy masz jakieś życzenie?

Otworzyłem już usta, by odpowiedzieć, lecz zamknąłem je z powrotem, gdyż przyszło mi teraz na myśl, że właściwie nie mogę mówić. Skoro jednak doszło już do tego, że usiadłem, spodziewałem się, że potrafię wyrzec przynajmniej parę słów. Spróbowałem więc i odpowiedziałem:

- Tak, mam... nawet... kilka życzeń.

Jakżeż się ucieszyłem brzmieniem swego głosu! Wydał mi się jakiś obcy, słowa wychodziły zduszone i świszczące i sprawiały ból w przełyku, ale były to ostatecznie pierwsze słowa po parotygodniowej niezdolności wydobycia choćby jednego wyrazu.

- Mów cicho albo znakami - rzekła. - Nszo-czi widzi, że mówienie sprawia ci ból.

- Nszo-czi jest ci na imię? - spytałem.

- Tak.

- Więc podziękuj temu, kto ci je nadał. Nie mogłaś otrzymać odpowiedniejszego, gdyż jesteś jak piękny dzień wiosenny, kiedy po raz pierwszy unosi się woń świeżych kwiatów.

”Nszo-czi” znaczy ”Piękny Dzień”. Dziewczyna pokraśniała lekko i przypomniała mi:

- Miałeś mi wyrazić swoje życzenia.

- Powiedz mi przedtem, czy jesteś tu z mojego powodu?

- Tak. Polecono mi ciebie pielęgnować.

- Kto?

- Winnetou, który jest moim bratem.

- Tak też i myślałem, gdyż jesteś nadzwyczajnie podobna to tego młodego i dzielnego wojownika.

- A ty chciałeś go zabić!

Brzmiało to na poły jak twierdzenie, a na poły jak pytanie. Spojrzała mi przy tym bystro w oczy, jak gdyby chciała przejrzeć mnie do głębi.

- Nie - odparłem.

- On w to nie wierzy i uważa ciebie za swego wroga. Powaliłeś go dwukrotnie na ziemię, chociaż dotychczas jeszcze nikt go nie zwyciężył.

- Raz, aby go ocalić, a drugi raz dlatego, że chciał mnie zabić. Pokochałem go od pierwszego wejrzenia. Ciemne jej oczy spoczęły znowu na mojej twarzy.

- On wam nie wierzy - rzekła - a ja jestem jego siostrą. Czy czujesz ból w ustach?

- Teraz nie.

- Czy będziesz mógł połykać?

- Spróbuję. Czy możesz mi dać trochę wody do picia?

- Tak i do mycia. Zaraz ci przyniosę.

Wyszły obie ze starą. Co to mogło znaczyć? Winnetou uważał nas za wrogów, nie wierzył naszym zapewnieniom, a mimo to powierzył mnie opiece własnej siostry! Pomyślałem, że później wyjaśni się powód tego postępowania.

Po jakimś czasie wróciły obie skwaw. Młodsza niosła małe naczynie podobne do filiżanki, pełne zimnej wody. Uważała mnie jeszcze za zbyt słabego, żebym potrafił pić bez pomocy, toteż przytknęła mi naczynie do ust. Połykałem z wielkim trudem, czułem ból, ale jakoś to zniosłem szczęśliwie. Pijąc małymi łykami i w wielkich odstępach, wypróżniłem naczyńko do dna.

Pokrzepiło mnie to nadzwyczajnie! Nszo-czi poznała to widocznie, gdyż rzekła:

- To ci dobrze zrobiło. Przyniosę ci później coś innego. Niezawodnie jesteś bardzo spragniony i głodny. Czy chcesz się umyć?

- A czy potrafię?

- Spróbuj!

Stara przyniosła wydrążoną dynię, pełną wody. Nszo-czi postawiła mi ją obok łoża i podała coś w rodzaju ręcznika z delikatnej plecionki. Wziąłem się do mycia, ale mi się to nie udało, byłem jeszcze za słaby. Nszo-czi zamoczyła więc koniec plecionki w wodzie i zaczęła mi myć twarz - mnie, rzekomemu

wrogowi własnego brata i ojca. Skończywszy zapytała z lekkim, lecz pełnym politowania uśmiechem:

- Czy zawsze byłeś taki chudy jak teraz?

Chudy? Ach, nie myślałem o tym jeszcze dotychczas! Kilka długich tygodni śmiertelnej gorączki bez kąska pożywienia i bez kropli wody! To nie mogło minąć bez śladu. Dotknąłem policzków i odpowiedziałem:

- Przeciwnie! Nigdy nie byłem chudy.

- Więc przypatrz się tu swemu odbiciu! Spojrzałem na wodę w dyni i cofnąłem głowę z przerażeniem - zobaczyłem tam widmo szkieletu.

- To cud, że jeszcze żyję! - zawołałem.

- Tak, Winnetou powiedział to także. Przetrwałeś nawet tę jazdę tutaj. Dobry Wielki Duch dał ci ciało nadzwyczaj silne, gdyż kto inny nie wytrzymałby pięciu dni takiej drogi.

- Pięciu dni? Gdzież my się znajdujemy?

- W naszym pueblu nad Rio Pecos.

- Czy wrócili tu wszyscy wasi wojownicy, którzy wzięli nas do niewoli?

- Tak, wszyscy. Mieszkają w pobliżu puebla.

- A czy pojmani Keiowehowie są także tutaj?

- Także. Właściwie należałoby ich zabić. Każdy inny szczep zamęczyłby ich na śmierć, ale dobry Kleki-petra był naszym nauczycielem i pouczył nas o dobroci Wielkiego Ducha. Jeżeli Keiowehowie zapłacą odpowiedni wykup, będą mogli odejść.

- A moi trzej towarzysze? Czy wiesz, gdzie są?

- W podobnej komnacie jak ta, ale ciemnej. Tam są przywiązani.

- Jak im się powodzi?

- Nie cierpią biedy, gdyż kto ma umrzeć przy palu, musi być silny, żeby mógł wiele wytrzymać, bo inaczej nie byłoby to dla niego dostateczną karą.

- Więc mają umrzeć - naprawdę umrzeć?

- Tak.

- I ja także?

- I ty także!

W tonie, którym to wypowiadała, nie było ani cienia litości. Czyżby ta piękna dziewczyna była tak nieczuła, że nie wzruszała jej wcale pełna męczarni śmierć człowieka?

- Czy mógłbym z nimi pomówić?

- To zabronione.

- A zobaczyć ich choćby z daleka?

- I tego nie wolno.

- To przynajmniej posłać wiadomość?

- I to zakazane.

- Donieść im tylko, jak się czuję?

Namyślała się przez chwilę i odrzekła:

- Poproszę o to mego brata Winnetou, żeby się mogli dowiedzieć od czasu do czasu, jak ci się powodzi.

- Czy Winnetou przyjdzie tu kiedy do mnie?

- Nie.

Ależ ja muszę z nim pomówić!

- A on tego nie chce.

- To jest konieczne.

- Dla niego?

- Dla mnie i dla moich towarzyszy.

- On nie przyjdzie. Może bym ja mu to powiedziała, jeśli możesz to mnie powierzyć?

- Nie, dziękuję ci! Mógłbym ci to powiedzieć, mógłbym ci w ogóle wszystko powierzyć, ale skoro twój brat jest za dumny na to, by ze mną mówić, to i ja mam swoją dumę i nie będę z nim mówił przez posłów.

- Nie zobaczysz go, aż w dniu swojej śmierci. Teraz wyjdziemy. Gdybyś czego potrzebował, daj znak. My usłyszymy i natychmiast ktoś się zjawi.

Wydobyła z kieszeni i podała mi małą glinianą świstawkę, po czym odeszła ze starą. Czyż położenie, w którym się znajdowałem, nie było trochę dziwaczne? Leżałem śmiertelnie chory, a pielęgnowano mnie po to, abym miał siły do powolnego konania. Ten który się mej śmierci domagał, kazał czuwać nade mną swojej własnej siostrze, i to wcale nie starej, brzydkiej skwaw.

Zbytecznie wspominać, że moja rozmowa z Nszo-czi nie toczyła się tak gładko, jak się ją czyta. Mówienie sprawiało mi trudności i połączone było z dużym bólem, mówiłem więc dość powoli i często przystawałem, aby wypocząć. To mnie znużyło i skoro tylko Piękny Dzień się oddaliła, od razu usnąłem.

Obudziwszy się w kilka godzin potem, poczułem wielkie pragnienie i wprost wilczy apetyt. Spróbowałem swego czarodziejskiego środka i użyłem świstawki. Stara siedziała chyba za drzwiami, bo ukazała się w tej samej chwili. Wsunęła głowę i wymówiła jakieś pytanie, z którego wyłowiłem tylko dwa słowa: ”isha” i ”isztla”. Domyśliłem się, że chciała się dowiedzieć, czy będę jadł i pił. Dałem szczękami znak żucia, po czym zniknęła. Niebawem ukazała się Nszo-czi z glinianą miską i z łyżką w ręku, uklękła obok łoża i zaczęła mi podawać jedzenie łyżka za łyżką jak dziecku, które nie umie jeszcze jeść beż pomocy. Dzicy Indianie nie używają takich naczyń, widocznie także i pod tym względem zmarły Kleki-petra był nauczycielem Apaczów.

Miska zawierała bardzo mocny rosół z mąką kukurydzianą, którą Indianki przyrządzają rozgniatając ziarna kukurydzy między kamieniami. Dla gospodarstwa Inczu-czuny zbudował Kleki-petra żarna, które pokazywano mi potem jako wielką osobliwość. Jedzenie szło mi oczywiście jeszcze trudniej niż picie. Ledwie zdołałem opanować krzyk przy przełykaniu zawartości każdej łyżki, ale natura wymagała pokarmu i musiałem coś jeść, jeśli nie chciałem zginąć z głodu. Starałem się więc nie dać poznać po sobie, jakie męki przy tym znoszę, nie mogłem jednak powstrzymać łez płynących mi z oczu mimo woli. Nszo-czi zauważyła to i rzekła, gdy spożyłem ostatnią łyżkę

- Jesteś widocznie bardzo osłabiony, ale mimo to silny mąż i bohater. O, gdybyś się urodził Apaczem, a nie kłamliwą bladą twarzą!

- Ja nie kłamię, nie kłamię nigdy; uznasz to kiedyś!

- Chętnie wierzyłabym ci, ale niestety tylko jedna blada twarz mówiła prawdę: Klekipetra, którego wszyscy kochaliśmy. Był

ułomny, ale miał ducha jasnego i dobre serce. Zamordowaliście go, chociaż was nie obraził, i za to musicie zginąć, a potem was z nim pochowają.

- Jak to? Więc jeszcze nie jest pochowany?

- Nie.

- Ależ zwłoki nie mogły się tak długo utrzymać!

- Spoczywają w mocnej trumnie, przez którą nie przejdzie powietrze. Zobaczysz ją na krótko przed śmiercią.

Po tym pocieszającym zapewnieniu odeszła. Widocznie tego, kogo mają zamęczyć na śmierć, powinna uspokoić myśl, że zobaczy przedtem trumnę ofiary! Zresztą nie myślałem jeszcze poważnie o śmierci. Przeciwnie, byłem pewien, że będę żył, gdyż posiadałem niezbity dowód do wykazania naszej niewinności, a mianowicie kosmyk włosów Winnetou. Ale czy miałem go rzeczywiście? Czy mi go nie zabrano? Przeraziłem się tym pytaniem. Podczas krótkich chwil przytomności nie przyszło mi na myśl, że Indianie zwykli ograbiać swoich jeńców. Musiałem więc zbadać kieszenie.

Leżałem jeszcze w swoim ubraniu. Nie zdjęto ze mnie ani jednej jego części. Można sobie wyobrazić, co to znaczy przebyć tak trzy tygodnie w jednym ubraniu, i to w gorączce. Zdarzają się wypadki, które można przeżyć, ale opisywać ich w książce nie wolno. Czytelnik zazdrości takiemu człowiekowi, który wiele jeździł i wiele doświadczył, ale nie odważyłby się wstąpić w jego ślady, gdyby znał okoliczności uboczne, pominięte milczeniem. Ileż to razy otrzymuję listy od zapalonych czytelników moich dzieł, w których donoszą mi, że chcieliby podjąć podobne wyprawy. Pytają o koszty, co należy wziąć z sobą w podróż, ale mało kto się interesuje, jakich języków powinien się nauczyć i jakie nabyć wiadomości, aby sobie ułatwić podróż. Tych, żądnych przygód, panów leczę skutecznie szczerymi odpowiedziami, w których zdzieram zasłonę z rzeczy przemilczanych.

Zbadałem więc swoje kieszenie i znalazłem ku memu radosnemu zdumieniu wszystko, co posiadałem; zabrano mi tylko broń. Wyjąłem puszkę od sardynek; były w niej jeszcze

moje zapiski, a między nimi kosmyk włosów Winnetou. Schowałem puszkę i położyłem się spać spokojnie. Ledwie się wieczorem zbudziłem, ukazała się Nszo-czi i przyniosła znowu jedzenie i świeżą wodę. Jadłem już bez jej pomocy i zadawałem jej różne pytania, na które ona, stosownie do okoliczności, odpowiadała lub nie. Dano jej widocznie wskazówki, jak się ma zachowywać, z nakazem, by od nich nie odstępowała, bo niejedno moje pytanie zostawiła bez odpowiedzi. Zapytałem ją także, dlaczego mnie nie ograbiono.

- Brat mój Winnetou zabronił tego - odrzekła.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Mogę ci powiedzieć za to coś innego, lepszego.

- Co takiego?

- Byłam u bladych twarzy pojmanych razem z tobą.

- Ty sama? - zawołałem uradowany.

- Tak. Chciałam im donieść, że czujesz się dobrze i że wkrótce wyzdrowiejesz. Na to poprosił mnie ten, którego nazywają Sam Hawkens, żebym ci doręczyła coś, co on zrobił podczas owych trzech tygodni pieczy nad tobą.

- Co to jest?

- Pytałam Winnetou, czy mogę ci to zanieść, a on pozwolił. Oto masz! Musisz być silnym i odważnym człowiekiem, skoro ośmielasz się atakować nożem szarego niedźwiedzia! Sam Hawkens mi to opowiedział.

Podała mi naszyjnik wykonany przez Sama z pazurów i zębów niedźwiedzia; zdobiły go także oba końce uszu.

- Jak on to mógł sporządzić? - zapytałem zdziwiony. - Chyba nie samymi rękami. Czy zostawiono mu nóż i inne rzeczy, które miał przy sobie?

- Nie, tylko tobie jednemu nic nie zabrano. Ale Sam Hawkens powiedział bratu, że chce zrobić ten naszyjnik, i wyprosił sobie pazury i kły niedźwiedzia. Winnetou nie odmówił i pożyczył mu potrzebnych do tego narzędzi. Noś go od dzisiaj, gdyż już niedługo będziesz się nim mógł cieszyć.

- Czy dlatego, że umrę wkrótce?

- Tak.

Wzięła z mej ręki naszyjnik i powiesiła mi go na szyi. Od tego dnia nie zdejmowałem go nigdy przez cały czas pobytu na Dzikim Zachodzie.

- Mogłaś później przynieść mi tę pamiątkę - odpowiedziałem pięknej Indiance. - Nie ma nic pilnego, gdyż będę ją prawdopodobnie nosił jeszcze przez długie, długie lata.

- Nie, tylko przez krótki, bardzo krótki czas.

- Nie wierz temu! Wasi wojownicy mnie nie zabiją!

- Zabiją z pewnością! Tak postanowiono na radzie starszych.

- To cofną to postanowienie, skoro tylko dowiedzą się, że jestem niewinny.

- Nie uwierzą ci!

- Uwierzą, ponieważ potrafię im to udowodnić!

- Udowodnij, udowodnij! Ucieszyłabym się bardzo, słysząc, że nie jesteś kłamcą i zdrajcą! Powiedz mi, czym możesz to udowodnić, abym zawiadomiła o tym brata Winnetou!

- Niech sam przyjdzie do mnie po to.

- Tego nie zrobi.

- To się nie dowie. Nie przywykłem żebrać dla siebie przyjaźni ani porozumiewać się przez posłów z ludźmi, którzy nie chcą do mnie przyjść.

- Jacy z was wojowników twardzi ludzie! Byłabym ci tak chętnie przyniosła przebaczenie Winnetou, ale go nie otrzymasz.

- Nie potrzebuję przebaczenia, bo nie popełniłem nic takiego, co by mi musiano darowywać. Poproszę cię o inną przysługę,

- O jaką?

- Gdybyś jeszcze raz była u Sama Hawkensa, to pociesz go ode mnie, gdyż będziemy wolni, skoro tylko wyzdrowieję.

- Nadzieja twoja cię zawiedzie!

- To nie jest nadzieja, lecz niezachwiana pewność. Przyznasz mi potem, że miałem słuszność.

Powiedziałem to z taką siłą przekonania, że przestała mi się sprzeciwiać i odeszła. Więzienie moje leżało więc nad rzeką Pecos, a raczej w jednej z bocznych jej dolin, gdyż wyglądając przez drzwi, widziałem w niedużej odległości naprzeciw ścianę

skalną. Dolina Rio Pecos musiała być znacznie szersza. Chętnie obejrzałbym pueblo, w którym czy raczej na którym się znajdowałem, lecz nie mogłem się podnieść z łoża, a gdybym nawet potrafił chodzić, to nie wiadomo, czy pozwolono by mi opuścić komnatę, w której mieszkałem przecież nie z własnej woli.

Gdy się ściemniło, przyszła stara z lampą zrobioną z małej, wydrążonej tykwy i usiadła w kącie. Do jej obowiązków należały zapewne grubsze roboty, a Nszo-czi wypełniała, jeżeli się można tak wyrazić, obowiązki gościnności.

Mimo dość ostrego światła lampy spędziłem całą noc w głębokim i pokrzepiającym śnie i poczułem się nazajutrz o wiele silniejszy. Tego dnia dostałem sześć razy swój zwykły posiłek: rosół z kukurydzą, równie pożywny, jak łatwy do strawienia. Karmiono mnie tym dopóty, dopóki nie mogłem przełknąć pokarmów stałych, szczególnie mięsa. Stan mój polepszał się z dnia na dzień. Szkielet nabrał znowu mięśni, a spuchlizna w ustach zmniejszała się stale. Nszo-czi była wciąż taka sama, przyjaźnie zaniepokojona, w przekonaniu, że śmierć moja jest coraz bliższa. Ilekroć sądziła, że na nią nie patrzę, rzucała na mnie okiem z wyrazem rzewności i niemego pytania. Zdaje się, że zaczynała się nade mną litować. Wyrządziłem jej więc krzywdę, kiedy pomyślałem, że jest bez serca. Zapytałem ją, czy wolno mi opuścić więzienie, do którego wejście było zawsze otwarte. Zaprzeczyła jednak, dodając, że dniem i nocą siedzą przed wejściem dwaj niewidzialni dla mnie strażnicy, którzy i nadal mnie będą pilnowali, i że tylko memu osłabieniu zawdzięczam, iż mnie nie skrępowano. Niebawem miałem zostać pozbawiony i tej odrobiny swobody. To skłoniło mnie do ostrożności. Liczyłem wprawdzie na wrażenie, jakie zrobi kosmyk włosów Winnetou, ale to mogło zawieść, a wówczas byłbym pozostawiony samemu sobie i swojej sile fizycznej. Należało więc ćwiczyć tę siłę. Ale jak?

Tylko podczas snu leżałem na skórze niedźwiedziej, przez resztę czasu siedziałem albo chodziłem po komnacie. Oświadczyłem Nszo-czi, że nie jestem przyzwyczajony do

niskich siedzeń, i zapytałem, czy nie mógłbym dostać kamienia, który zastąpiłby mi krzesło. Przedłożono to życzenie Winnetou, a on przysłał mi kilka kamieni rozmaitej wielkości: najcięższy ważył zapewne z cetnar. Tymi kamieniami ćwiczyłem się, ilekroć byłem sam. Wobec moich opiekunek udawałem osłabionego, w rzeczywistości jednak potrafiłem już po dwóch tygodniach podnosić wielokrotnie ów wielki kamień. Ten stan poprawił się jeszcze w następnym tygodniu. Odzyskałem zupełnie swoje dawne siły. Byłem tu już sześć tygodni, a nie słyszałem, żeby Keiowehów wypuszczono z niewoli. A to przecież nie łatwo wyżywić przez tak długi czas około dwustu ludzi. Keiowehowie musieli później oczywiście za to zapłacić. Im dłużej nie chcieli się zgodzić na warunki Apaczów, tym bardziej wzrastał też okup. Pewnego pięknego poranku w słoneczny dzień jesienny przyniosła mi Nszo-czi śniadanie i usiadła przy mnie, kiedy jadłem, gdy zazwyczaj od razu wychodziła. Wzrok jej spoczął na mnie łagodnie pełen jakiegoś wilgotnego blasku, a w końcu łza potoczyła się po jej policzku.

- Płaczesz? - spytałem. - Co cię tak smuci?

- To, co się ma dzisiaj stać.

- Cóż takiego?

- Keiowehowie odchodzą na wolność. Tej nocy przybyli nad rzekę ich posłańcy z całym okupem.

- I to cię tak smuci? Powinnaś się tym cieszyć!

- Nie wiesz, co mówisz, i nie przeczuwasz, co cię czeka. Pożegnanie z Keiowehami ma być uczczone w ten sposób, że ciebie i twoich białych braci przywiążą do pala.

Spodziewałem się tego już dawno, a jednak przeląkłem się, słysząc to teraz. A więc to był dzień rozstrzygający, może ostatni mój dzień! Co mi mógł przynieść jego schyłek? Udawałem obojętność i jadłem dalej na pozór spokojnie, a gdy skończyłem, oddałem jej naczynie. Wzięła je, wstała i ruszyła do wyjścia. W progu zatrzymała się, zawróciła, wyciągnęła do mnie rękę i rzekła nie wstrzymując już łez:

- Mówię teraz do ciebie po raz ostatni. Bądź zdrów! Nazywają cię Old Shatterhand, jesteś dzielnym wojownikiem. Bądź także

silny, kiedy cię będą męczyli! Nszo-czi boleje bardzo nad twą śmiercią, ale napełniłoby to duszę jej wielką radością, gdyby żadne męki nie wydarły ci z ust okrzyku boleści i skargi. Spraw mi tę radość i umrzyj jak bohater!

Po tej prośbie wybiegła. Stanąłem u wejścia, aby za nią wyjrzeć, ale wtem zwróciły się ku mnie lufy dwu strzelb: to obaj strażnicy pełnili swój obowiązek. Gdybym postąpił o krok naprzód, zginąłbym od kuli albo w najlepszym razie otrzymał taką ranę, że dalej nie mógłbym już iść. O ucieczce nie było co myśleć. I tak zresztą nie mogłaby się udać, gdyż nie znałem okolicy. Cofnąłem się czym prędzej do mego więzienia. Co robić? Należało chyba czekać spokojnie na dalsze wypadki, a w odpowiedniej chwili spróbować, jak podziała ów kosmyk włosów. Spojrzenie, rzucone na dwór, przekonało mnie ostatecznie, że myśl o ucieczce byłaby szaleństwem. Czytałem wprawdzie o indiańskich pueblach, ale nie widziałem dotąd żadnego.

Puebla budowane są w celach obronnych, a osobliwa ich konstrukcja odpowiada doskonale swemu przeznaczeniu. Wypełniają one zazwyczaj głębokie skalne szczeliny. Stawia się je z mocnego kamiennego muru, a składają się z kilku pięter, stosownie do właściwości terenu. Każde wyższe piętro jest nieco cofnięte tak, że mieści się przed nim platforma utworzona przez powałę niższego. Całość wydaje się piramidą skalnych stopni, wciskających się w miarę wysokości coraz głębiej w szczelinę skały. Najbardziej wysuwa się naprzód parter - jest on najszerszy, a następne piętra coraz bardziej się zwężają. Nie są one wewnątrz połączone schodami tak jak u nas, lecz trzeba się na nie wspinać od zewnątrz za pomocą drabin przystawianych w razie potrzeby. Jeśli nieprzyjaciel nadciąga, usuwa się te drabiny i wróg nie może się dostać wyżej, chyba że przyniósł z sobą własne drabiny. I wówczas jednak musi zdobywać jedno piętro po drugim, narażając się przy tym na pociski obrońców, gdy ci natomiast nie obawiają się jego broni.

W takim właśnie pueblu w kształcie piramidy i ja teraz przebywałem, i to na ósmym lub dziewiątym piętrze. Jak można

było stąd uciec, zwłaszcza że na każdej platformie znajdowali się Indianie! Nie, musiałem pozostać. Rzuciłem się więc na łóżko i czekałem. Były to przykre, nieznośne wprost godziny. Czas mijał żółwim krokiem, południe już przeszło, a nie stało się nic takiego, co by potwierdziło proroctwo Indianki. Wreszcie usłyszałem odgłos kroków paru zbliżających się osób. Wszedł Winnetou w towarzystwie kilku Apaczów. Leżałem dalej, udając, że nie wiem o niczym, on zaś obrzucił mnie długim, badawczym spojrzeniem i rzekł:

- Old Shatterhand powie mi, czy już wyzdrowiał.

- Jeszcze niezupełnie - odrzekłem,

- Ale mówić już może, jak widzę?

- Tak.

- A chodzić także?

- Przypuszczam.

- Czy uczyłeś się pływać?

- Trochę.

- To dobrze, gdyż będziesz musiał pływać. Czy pamiętasz jeszcze, w jakim dniu miałeś mnie zobaczyć?

- W dniu mojej śmierci.

- Zapamiętałeś to sobie. Dzień ten dziś nadszedł. Wstań. Teraz cię zwiążą.

Byłoby głupstwem nie posłuchać tego wezwania. Przede mną stało sześciu czerwonoskórych, którzy podnieśliby mnie bez trudu. Mogłem wprawdzie kilku z nich powalić na ziemię, lecz osiągnąłbym chyba tylko to, że zaostrzono by sposób postępowania wobec mnie. Dźwignąłem się więc z łoża i podałem im ręce. Związano mi je z przodu, po czym skrępowano mi dwoma rzemieniami nogi w ten sposób, że mogłem wprawdzie iść, a nawet schodzić po drabinie, lecz nie zdołałbym umykać dużymi skokami. Wyprowadzono mnie na platformę. Stąd prowadziła drabina na niższe piętra. Nie była to drabina w naszym pojęciu, lecz gruby, drewniany słup, którego wcięcia służyły za stopnie. Najpierw zeszli trzej czerwonoskórzy, potem ja. a za mną trzej pozostali. W ten sposób schodziliśmy z piętra na piętro coraz niżej. Na każdej

platformie stały kobiety i dzieci, patrząc na mnie ciekawie, ale w ciszy. I one schodziły potem za nami. Na najniższych piętrach zgromadziło się ich już z kilkaset. Tworzyły nasz orszak, publiczność żądną widowiska naszej śmierci.

Jak zresztą przypuszczałem, pueblo leżało rzeczywiście w wąskiej, bocznej dolinie, wychodzącej na szeroką dolinę Rio Pecos, gdzie mnie poprowadzono. Pecos nie jest rzeką obfitą w wodę, a w lecie i w jesieni ma jej jeszcze mniej niż w zimie i na wiosnę. Są tam jednak miejsca głębokie, w których nawet podczas gorącej pory roku nie znać żadnego ubytku wody. Dzięki temu pobliskie obszary pokrywa bujna roślinność, która zachęca Indian do osiedlania się tam, ponieważ konie znajdują tu obfitą paszę. Takie właśnie miejsce ujrzałem przed sobą. Szerokość doliny wynosiła może godzinę drogi, a z lewej i prawej strony od nas okalały ją zarośla i lasy, do których przylegały zielone murawy. Tuż przed nami jednak las się przerywał na obu brzegach. Nie miałem wtedy czasu namyślać się nad przyczyną tego. Tam właśnie, gdzie boczna dolina przytykała do głównej, ciągnęła się aż do samej rzeki szeroka ławica piaskowa. Taką samą ławicę było widać po drugiej stronie rzeki. Wyglądała jak jasny pas przecinający zieloną dolinę Rio Pecos. Nie było tam trawy ani zarośli, ani drzew, z wyjątkiem olbrzymiego cedru po drugiej stronie rzeki w samym środku tej nieurodzajnej płaszczyzny. Był to prawdziwy olbrzym i dzięki temu oparł się powodzi, która kiedyś zniszczyła tę część doliny i pokryła ją piaskiem. Nie stał on na samym brzegu, lecz w pewnym oddaleniu. Cedrowi temu Inczu-czuna wyznaczył główną rolę w wypadkach dzisiejszego dnia.

Na naszym brzegu panował ożywiony ruch. Zobaczyłem więc najpierw nasz wóz z wołami, zdobyty przez Apaczów. Po drugiej stronie nieurodzajnego pasa pasły się konie, przyprowadzone przez Keiowehów na wykup jeńców. Tutaj także rozbito namioty, powystawiano rozmaite rodzaje broni, przeznaczone także na okup. Inczu-czuna przechadzał się z taksatorami wykupu. Był z nimi Tangua, gdyż jego i jeńców wypuszczono już na wolność. Krótki rzut oka na rój tych

czerwonoskórych, fantastycznie poubieranych postaci uświadomił mi, że jest tam przynajmniej sześciuset Apaczów.

Ujrzawszy nas, zgromadzili się zaraz i utworzyli dokoła naszego wozu szerokie półkole o kilku rzędach. Keiowehowie także przyłączyli się do nich. Doszedłszy do wozu, spostrzegłem Hawkensa, Stone'a i Parkera, przywiązanych już do pali wbitych mocno i głęboko w ziemię. Czwarty pal był wolny i do niego przywiązano mnie. To więc były owe słupy męczeńskie, pod którymi mieliśmy nędznie i w męczarniach zakończyć żywot. Pale były wbite w ziemię szeregiem niedaleko od siebie, tak że mogliśmy z sobą rozmawiać. Sam znajdował się tuż obok mnie, potem następowali Słone i Parker. Pod słupami leżały wiązki chrustu, przeznaczone na spalenie nas po rozmaitych męczarniach. Towarzyszom moim widocznie powodziło się dobrze w niewoli, gdyż wyglądali nieźle, ale min nie mieli bynajmniej wesołych.

- Ach, sir, więc i wy tutaj! - rzekł Sam. -To mizerna, bardzo mizerna operacja, której chcą nas poddać! Nie wiem, czy wytrzymamy. Śmierć tak dalece szkodzi ciału, że się ją rzadko kiedy przeżywa. W końcu mamy się jeszcze spalić, jeśli się nie mylę. Cóż wy na to, sir?

- Czy macie nadzieję ocalenia, Samie? - spytałem.

- Nie wiem, czy kto przyjdzie nas wybawić. Wysilałem mój mózg przez trzy tygodnie, lecz nie znalazłem nic odpowiedniego. Siedzieliśmy w ciemnej norze skalnej, a ponadto byliśmy skrępowani i otoczeni strażą. Jak tu wyjść! A jakże wam się powodziło?

- Bardzo dobrze!

- Wierzę; widać to po was. Wypaśli was jak gąsiora na pieczeń. Jakże tam z raną?

- Znośnie. Mogę już mówić, jak słyszycie, a spuchlizna w ustach także przejdzie niebawem.

- Jestem tego pewien! Ta miła spuchlizna będzie wyleczona tak radykalnie, że z niej nic nie zostanie, ale z was także nic prócz kupki popiołu. Nie widzę dla nas ocalenia, a mimo to nie mam uczucia, jakby mi śmierć groziła. Możecie mi wierzyć albo

nie wierzyć, ale nie doznaję trwogi ani niepokoju. Tak mi jest, jakby nam czerwonoskórzy nic nie mogli uczynić i jakby skądś nagle miał nadejść wybawca.

- To możliwe! Ja nie straciłem jeszcze nadziei. Założyłbym się nawet, że dziś wieczorem, pod koniec tego niebezpiecznego dnia, będziemy się cieszyli dobrym zdrowiem.

- Coś podobnego potraficie powiedzieć tylko wy, jako skończony greenhorn. Cieszyć się dobrym zdrowiem! Głupstwo! O ”dobrym zdrowiu” nawet trudno mówić. Dziękowałbym Bogu, jeślibym w ogóle istniał jeszcze dziś wieczorem.

- Słyszeliście już kilkakrotnie ode mnie i przekonaliście się, że nie jestem zwykłym greenhornem.

- Tak? Co chcecie przez to powiedzieć? Używacie przy tym takiego osobliwego tonu! Czy przyszła wam może jaka dobra myśl do głowy?

- Tak.

- Jaka? Kiedy?

- Wieczorem tego dnia, w którym Winnetou i jego ojcu udało się uciec.

- Wówczas przyszła wam dobra myśl? To szczególne! To się nam na nic dziś nie przyda, gdyż nie wiedzieliście wtedy, że otrzymamy tu u Apaczów takie piękne mieszkania. Jakżeż ta myśl wygląda?

- To kosmyk włosów.

- Kosmyk włosów? - powtórzył zdumiony. - Powiedzcie no, czy macie wszystkie klepki w porządku! Czy nie zgubiliście jednej przypadkiem?

- Sądzę, że nie.

- Ale co pleciecie o kosmyku włosów? Czy wam jaka dawna kochanka darowała warkocz, z którego chcecie zrobić prezent Apaczom?

- Mam go od mężczyzny.

Popatrzył na mnie, jak gdyby wątpił w całość mego rozumu, potrząsnął głową i rzekł:

- Posłuchajcie, kochany sir, wy macie naprawdę niedobrze w głowie. Widocznie rana pozostawiła po sobie jakieś ślady. Ten

kosmyk macie prawdopodobnie w głowie, nie w kieszeni. Nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy się uwolnić od tych słupów za pomocą kosmyka włosów.

- Hm! To jest taki pomysł greenhorna, musimy czekać spokojnie, czy się okaże skuteczny. Co do uwolnienia się od tych męczeńskich słupów, to jestem pewien, że przynajmniej ja na nim nie zawisnę.

- Oczywiście. Skoro was spalą, to nie będzie wisieli.

- Pshaw! Będę wolny, zanim zaczną nas męczyć.

- Co? Jaką macie podstawę do takiego przypuszczenia?

- Każą mi pływać.

- Pływać? - zapytał spoglądając na mnie znowu mniej więcej tak jak psychiatra na swego pacjenta.

- Tak, pływać, a nie mógłbym tego wykonać tu przy słupie. Muszą mnie więc odwiązać.

- Do stu piorunów! Któż wam powiedział, że macie pływać?

- Winnetou.

- Kiedy będziecie pływali?

- Oczywiście, że dzisiaj.

- Winszuję! Skoro ten rozkaz wyszedł od niego, jest to istotnie promień słońca przedzierający się przez chmury. Będziecie, zdaje się, walczyli o swoje życie.

- Ja też tak myślę.

- W takim razie nas czeka to samo, gdyż wątpię, żeby z wami mieli postąpić inaczej niż z nami. Nasze położenie nie jest więc tak rozpaczliwe, jak przypuszczałem.

- I ja tak sądzę. Prawdopodobnie zdołamy się ocalić.

- Tylko bez zbyt wielkich nadziei! Jeśli każą nam walczyć o życie, postarają się to dostatecznie utrudnić. Są jednak przykłady, że biali jeńcy odzyskiwali wolność w ten sposób. Czy uczyliście się pływać, sir?

- Tak.

- Ale jak?

- Tak, że nie potrzebuję się obawiać konkurencji żadnego Indianina.

- Tylko nie bądźcie zarozumiali! Oni pływają jak szczury wodne, jak ryby.

- A ja jak wydra, która łowi ryby.

- Blagujecie!

- Nie. Pływanie było zawsze moim ulubionym sportem. Czy słyszeliście o pływaniu w postawie stojącej?

- Tak.

- Czy umiecie tak pływać?

- Nie, nigdy jeszcze tego nie widziałem.

- Więc być może, że dziś zobaczycie. Jeśli istotnie idzie tu o to, by mi dać sposobność ocalenia życia za pomocą pływania, jestem prawie pewien, że dzień dzisiejszy przeżyję.

- Życzę wam tego, sir! Spodziewam się, że i nam nie poskąpią takiej sposobności. To zawsze lepsze niż wisieć u tego pala. Wolę przecież zginąć w walce, niż żeby mnie zamęczono. Nie przeszkadzano nam w rozmowie, Winnetou nie zważając na nas stał wraz z ojcem i z Tanguą i o czymś z nimi rozprawiał. Reszta Apaczów, którzy mnie przyprowadzili, zajęta była utrzymywaniem porządku w półkolu utworzonym dokoła nas i przed nami. W środku półkola siedziały dzieci, a za nimi dziewczęta i kobiety, wśród których znajdowała się także Nszo-czi. Spostrzegłem, że prawie nie odwracała ode mnie głowy. Dalej zajęli stanowiska starsi chłopcy, a za nimi dorośli wojownicy. W chwili kiedy Sam wypowiedział ostatnie słowa, przygotowania zostały zakończone. Wówczas zabrał głos Inczu-czuna, który znajdował się wraz w Winnetou i Tanguą między nami a widzami, i rzekł tak donośnie, że wszyscy mogli go dosłyszeć:

- Niechaj moi czerwoni bracia, siostry i dzieci, a zarazem wojownicy Keiowehów posłuchają tego, co im chcę oznajmić!

Zatrzymał się, a ujrzawszy, że uwaga wszystkich zwróciła się już na niego, mówił dalej:

- Blade twarze są wrogami czerwonych mężów. Rzadko trafi się taka, której oko przyjaźnie na nas spogląda. Najszlachetniejszy z tych niewielu białych przyszedł do plemienia Apaczów, aby stać się dlań przyjacielem i ojcem.

Dlatego nazwaliśmy go Kleki-petrą, Białym Ojcem. Moi bracia i siostry znali go wszyscy i kochali. Niechaj to zaświadczą!

- Howgh! - zabrzmiało dokoła na potwierdzenie jego słów.

Wódz ciągnął dalej:

- Kleki-petrą był naszym nauczycielem we wszystkich rzeczach, których nie znaliśmy, a które nam potem korzyść przyniosły. Mówił także o Wielkim Duchu. Ten Wielki Duch nakazał, żeby czerwoni i biali ludzie byli sobie braćmi i miłowali się wzajemnie. Ale czy biali spełnili jego wolę? Czy przynieśli nam miłość? Nie. Niechaj moi bracia i siostry o tym zaświadczą! Donośne: ”howgh!” rozległo się wśród zgromadzonych.

- Przyszli, aby zagrabić naszą własność, a nas samych wytępić. To im się udaje, ponieważ są silniejsi od nas. Na dawnych pastwiskach bawołów i mustangów pobudowali wielkie miasta, skąd wychodzi wszelkie zło, jakie nas dotyka. Tam gdzie niegdyś chodził czerwony strzelec, przez puszczę i przez sawanny, pędzi teraz ognisty koń i przywozi naszych wrogów. A gdy czerwony człowiek ucieka przed nim w pozostawione mu jeszcze ostępy, by w spokoju umrzeć z głodu, i tam spotyka niebawem blade twarze, które idą za nim, aby budować nowe drogi dla ognistego konia na ziemi czerwonych mężów. Zetknęliśmy się z takimi białymi i w spokojnej rozmowie oświadczyliśmy im, że ten kraj jest naszą własnością, a więc nie należy do nich. Nie mogli się temu sprzeciwić i musieli to przyznać. Skoro jednak zażądaliśmy od nich, żeby zaniechali sprowadzania w nasze strony ognistego konia, nie usłuchali tego wezwania i zastrzelili Kleki-petrę, którego czciliśmy i kochali jak ojca. Niechaj moi bracia i siostry poświadczą, że mówię prawdę!

Silnym, jednogłośnym: ”howgh!” potwierdzili to zebrani Apacze.

- Przynieśliśmy tutaj jego zwłoki i zatrzymaliśmy na dzień zemsty. Dzień ten dziś nadszedł. Kleki-petrą ma być dzisiaj pochowany, a razem z nim jego morderca ze wspólnikami swego strasznego czynu. Oni są jego przyjaciółmi i

towarzyszami i wydali nas w ręce Keiowehów, lecz wypierają się tego. Wszystkim innym czerwonym mężom wystarczyłoby do zamęczenia ich to, co o nich wiemy, my jednak, posłuszni naukom mądrego Kleki-petry, chcemy być sprawiedliwymi sędziami. Ponieważ oni nie przyznają się do wrogości wobec nas, przesłuchamy ich, a wyrok zapadnie zależnie od tego, czego się dowiemy. Niechaj moi bracia i siostry oświadczą swoją zgodę!

- Howgh! - zabrzmiało dokoła.

- Słuchajcie, sir! - rzekł do mnie Sam. - To wygląda dla nas korzystnie. Skoro nas chcą przesłuchać, sprawa może nie weźmie tak złego obrotu, jak nam się zdawało. Mam nadzieję, że potrafimy im dowieść naszej niewinności. Przedstawię to tym ludziom tak jasno i tak ich przekonam, że nas puszczą na wolność.

- Samie, tego nie dokażecie! - odrzekłem.

- Nie? Czemu? Czyż nie umiem mówić?

- O, mówić uczyli was od dziecka, ale jesteśmy tutaj już sześć tygodni, a przez cały ten długi czas nie udało się wam wpoić w Apaczów innego przekonania.

- Warn także nie, sir!

- To prawda, Samie, gdyż po pierwsze, nie mogłem mówić, a po drugie, gdy ta przeszkoda zniknęła, nie pokazał się u mnie nikt z czerwonoskórych. Widzicie zatem, że nawet nie miałem sposobności do przeprowadzenia obrony wobec obydwu wodzów.

- Więc nie zrobicie tego i teraz

- Czemu?

- Bo to się wam nie uda. Jako greenhorn, jesteście zbyt niedoświadczeni w takich sprawach i bądźcie pewni, że nie tylko nie zdołalibyście nam pomóc, lecz przeciwnie, wpakowalibyście nas w jeszcze większą kabałę. Posiadacie wprawdzie olbrzymią siłę fizyczną, ale tutaj siłą nic nie wskóracie. Tutaj wszystko zależy od doświadczenia, bystrości i chytrości, czego właśnie wam brak. Nie możecie nic na to poradzić, gdyż urodziliście się już bez tych pięknych zalet, i

dlatego nie wtrącajcie swoich trzech groszy i pozwólcie mnie objąć obronę.

- W takim razie życzę wam lepszych wyników niż dotychczas, kochany Samie!

- Będą lepsze, gdyż zobaczycie, że zabiorę się właściwie do rzeczy.

Ta wymiana zdań odbyła się bez przeszkód, gdyż przesłuchanie jeszcze się nie zaczęło. Inczu-czuna i Winnetou rozmawiali z Tanguą i patrzyli przy tym na mnie. Mówili więc o nas. Spojrzenia obu wodzów posępniały i stawały się coraz surowsze, a Keioweh miał taką minę jak człowiek, który skwapliwie stara się rzucić na kogoś podejrzenie. Kto wie, jakie kłamstwa wymyślał, aby nas zgubić. Potem podeszli do nas. Obaj Apacze stanęli po naszej prawej ręce, a Tangua umieścił się na lewo ode mnie. Teraz odezwał się do nas Inczu-czuna tak głośno, że wszyscy mogli dosłyszeć:

- Słyszeliście, co powiedziałem poprzednio. Macie powiedzieć prawdę i wolno wam będzie się bronić. Odpowiadajcie na pytania! Należeliście do białych, którzy budowali drogę dla konia ognistego?

- Tak. Muszę ci jednak oświadczyć, że my trzej nie mierzyliśmy wcale, nas dodano im tylko do obrony - odrzekł Sam. - Co się tyczy tego czwartego, zwanego Old Shatterhand, to...

- Milcz! - przerwał mu wódz. - Masz odpowiadać tylko na moje pytania. Jeżeli zechcesz mówić więcej, każę cię oćwiczyć! A więc należycie do tych bladych twarzy? Odpowiedz krótko: tak, czy nie?

- Tak - rzekł Sam bojąc się, żeby go nie obito.

- Old Shatterhand mierzył także?

- Tak.

- A wy trzej broniliście tych ludzi?

- Tak.

- Jesteście więc jeszcze gorsi od nich, gdyż obrońcy złodziei i zbójów zasługują na karę podwójną. Morderca Kleki-petry Rattler był waszym towarzyszem?

- Tak, lecz zapewniam cię, że nie byliśmy...

- Milcz, psie! - huknął nań Inczu-czuna. - Masz mówić to tylko, o czym chcę wiedzieć, i nic ponadto. Czy znasz prawa Zachodu?

- Tak.

- Jak się karze koniokrada?

- Śmiercią.

- Co więcej warte: koń, czy wielki kraj należący do Apaczów?

Sam nie odpowiedział, by nie wydać na siebie wyroku śmierci.

- Mów, bo cię każę lassem do krwi oćwiczyć! Sam mruknął:

- Bijcie! Sama Hawkensa nikt nie zmusi do gadania! Ale na to ja zwróciłem się ku niemu i rzekłem;

- Mówcie, Samie, to dla nas lepiej!

- Well! - odpowiedział. - Zrobię to dla was, że będę gadał, chociaż właściwie powinienem milczeć.

- A zatem, co więcej warte: koń, czy kraj?

- Kraj.

- A więc złodziej ziemi zasłużył jeszcze bardziej na śmierć niż koniokrad. W dodatku jesteście towarzyszami człowieka, który zamordował Kleki-petrę. To powiększa karę. Jako złodziei ziemi, zastrzelono by was bez mąk, ponieważ jednak jesteście mordercami, będziecie musieli przed śmiercią zaznać męczarni przy palu. Ale na tym nie kończy się jeszcze szereg waszych zbrodni.

Wy oddaliście nas w ręce naszych wrogów Keiowehów?

- Nie.

- To kłamstwo!

- To prawda!

- Przecież jechałeś z Old Shatterhandem za nami, kiedy opuściliśmy wasz obóz.

- Tak.

- To przecież pewna oznaka wrogości!

- Nie. Wyście nam grozili, musieliśmy więc, zgodnie z prawami Zachodu, przekonać się, czy naprawdę oddaliliście się, czy nie. Przecież mogliście się ukryć i wystrzelać nas, dlatego tylko pojechaliśmy za wami.

- Czemu nie uczyniłeś tego sam? Dlaczego wziąłeś ze sobą Old Shatterhanda?

- Aby go nauczyć, jak się rozpoznaje ślady, gdyż był jeszcze nowicjuszem.

- Skoro zamiary wasze były tak pokojowe i tylko z ostrożności podążyliście za nami, to dlaczego wezwaliście na pomoc Keiowehów?

- Ponieważ ślady wasze pouczyły nas, że ty pośpieszyłeś naprzód. Chciałeś widocznie sprowadzić wojowników i napaść na nas.

- Czy było rzeczywiście konieczne zwracać się do Keiowehów?

- Tak.

- Czy nie było innego wyjścia?

- Nie.

- Znowu kłamiesz! Aby się ocalić, wystarczyło zrobić to co wam kazałem, to jest opuścić nasz kraj. Czemu nie uczyniliście tego?

- Bo nie mogliśmy odejść przed skończeniem roboty.

- A więc chcieliście dokonać rabunku, którego wam stanowczo zakazałem, i dlatego sprzymierzyliście się z Keiowehami. Kto szczuje na nas naszych wrogów, jest także naszym wrogiem i musi zginąć. To dla nas nowy powód, żeby odebrać wam życie. Potem znowu nie tylko nie pozostawiliście Keiowehom sprawy walki z nami, lecz pomagaliście im przy tym. Czy to przyznajesz?

- To wszystko stało się jedynie po to, aby zapobiec rozlewowi krwi.

- Czy chcesz, żebym cię wyśmiał? Czyż nie wyszedłeś naprzeciwko nas, kiedyśmy się zbliżali?

- Tak.

- Czy nas nie podsłuchiwałeś?

- Tak.

- I całą noc przebyłeś w naszym pobliżu? Tak, czy nie?

- Tak jest.

- Czy nie zaprowadziłeś bladych twarzy nad wodę, by nas tam zwabić, i czy nie kazałeś ukryć się w lesie Keiowehom, aby na nas potem uderzyli?

- To jest prawda, lecz muszę...

- Milcz! Żądam krótkiej odpowiedzi, a nie długiej mowy. Zastawiono na nas pułapkę. Kto ją wymyślił?

- Ja.

- Tym razem nie minąłeś się z prawdą. Kilku z nas odniosło rany, kilku poległo, a reszta poszła do niewoli. Wy temu jesteście winni; ta krew spada na was i to nowy powód, abyście zginęli.

- Moim zamiarem było, żeby...

- Milcz! Nie pytam cię teraz. Wielki Dobry Duch zesłał nam niewidzialnego wybawcę, przy którego pomocy wydostałem się wraz z Winnetou na wolność. Zakradliśmy się do naszych koni, ale zabraliśmy tylko te, które były nam potrzebne. Resztę zostawiliśmy dla jeńców na czas, gdy odzyskają wolność. Odjechaliśmy, by sprowadzić naszych wojowników, którzy byli na wyprawie przeciw Keiowehom, natknęli się na ich ślady i ruszyli za nimi. Oto dlaczego spotkałem się z nimi tak szybko, że już następnego dnia mogliśmy zjawić się u was. Tu znowu wiele krwi popłynęło. Mieliśmy szesnastu poległych, nie licząc krwi i bólu rannych; to nowy powód, żebyście umarli. Nie spodziewajcie się łaski ani miłosierdzia i...

- Nie chcemy łaski, lecz sprawiedliwości! - wpadł mu Sam w słowo. - Ja mogę...

- Czy będziesz milczał, psie! - przerwał mu Inczu-czuna z gniewem. - Masz mówić tylko wówczas, gdy cię zapytam. Z tobą już zresztą skończyłem. Ponieważ jednak wspomniałeś o sprawiedliwości, przeto wyrok nie zapadnie tylko na podstawie waszych własnych zeznań, lecz przedstawię wam świadka. Wódz Keiowehów, Tangua, zniży się i zabierze głos w tej sprawie. Czy te blade twarze są naszymi przyjaciółmi?

- Nie - zapewnił Keioweh, na którego twarzy przebijało zadowolenie z tego, że sprawa przybierała dla nas coraz bardziej niebezpieczny obrót.

- Czy chcieli nas oszczędzać?

- Nie! Nie! Co więcej, szczuli mnie na was i prosili, żebym was nie oszczędzał, lecz pozabijał, wszystkich pozabijał!

To kłamstwo oburzyło mnie tak dalece, że przerwałem moje dotychczasowe milczenie i rzuciłem mu w oczy te słowa:

- To jest tak wielkie i bezwstydne kłamstwo, że grzmotnąłbym zaraz tobą o ziemię, gdybym choć jedną rękę miał wolną!

- Ty psie śmierdzący! - wybuchnął. - Czy mam cię ubić?

Podniósł pięść, a ja odrzekłem:

- Bij, jeśli się nie wstydzisz porywać na bezbronnego! Mówicie o przesłuchaniu i sprawiedliwości? Czy to jest przesłuchanie i sprawiedliwość, jeśli nie wolno powiedzieć tego, co się ma do powiedzenia? I to znaczy, że mamy się bronić? Czy to jest możliwe, jeśli nam grożą obiciem aż do krwi, gdybyśmy jedno słowo dodali ponad to, co chcecie słyszeć? Inczu-czuna postępuje jak sędzia niesprawiedliwy, bo stawia pytania w ten sposób, że odpowiedzi, które dopuszcza, muszą nas doprowadzić do zguby, a innych dawać nie wolno; ilekroć zaś chcemy powołać się na rzeczy, które mogłyby nas ocalić, tylekroć nam przerywa i grozi biciem. Dziękujemy za taką sprawiedliwość. Lepiej zabierzcie się zaraz do męczarni, jakie obmyśliliście dla nas. Nie usłyszycie ani jednego okrzyku boleści.

- Uff, uff! - doszedł mnie jakiś kobiecy głos. Była to siostra Winnetou.

- Uff, uff, uff! - powtórzyło za nią wielu Apaczów. Odwaga jest czymś, co Indianin zawsze szanuje i uznaje nawet u wroga. Stąd okrzyki podziwu, które teraz padły wśród zgromadzonych. Mówiłem dalej:

- Kiedy po raz pierwszy ujrzałem Inczu-czunę i Winnetou, powiedziało mi moje serce, że to mężowie dzielni i sprawiedliwi, których można czcić i miłować. Pomyliłem się. Nie są bowiem lepsi od innych, gdyż słuchają głosu kłamcy, a prawdy nie dopuszczają do słowa. Sam Hawkens dał się zastraszyć, ale na mnie groźby nie działają, ja gardzę każdym,

kto gnębi jeńca dlatego tylko, że się nie może bronić. Gdybym był wolny, pomówiłbym z wami inaczej!

- Psie, ty mnie nazywasz kłamcą! - wrzasnął Tangua. - Ja ci kości połamię!

Odwrócił strzelbę, którą trzymał w ręku, by uderzyć mnie kolbą. Wtem przyskoczył Winnetou i powstrzymał go, mówiąc:

- Niechaj wódz Keiowehów się uspokoi! Old Shatterhand przemówił bardzo zuchwale, ale ja się zgadzam z kilku jego słowami. Niechaj ojciec mój Inczu-czuna, najwyższy wódz Apaczów, pozwoli mu powiedzieć, co ma do powiedzenia!

Tangua musiał posłuchać słów Winnetou, a Inczu-czuna zgodził się na życzenie syna. Podszedł do mnie bliżej i powiedział:

- Old Shatterhand jest jak ptak drapieżny, który kąsa nawet wtedy, gdy jest pojmany. Czy nie powaliłeś Winnetou dwukrotnie? Czy mnie samego nie ogłuszyłeś pięścią?

- Czy uczyniłem to dobrowolnie? Czyż nie zniewoliłeś mnie sam do tego?

- Jak to? - spytał zdumiony.

- Tak. My gotowi byliśmy poddać się bez oporu, ale wasi wojownicy nie słuchali tego, co mówiliśmy do nich. Wpadli na nas tak, że musieliśmy się bronić. Ale zapytaj ich czy zraniliśmy choć jednego, chociaż mogliśmy ich zabić. Co więcej, umknęliśmy, aby nikomu nie wyrządzić krzywdy. Wtem nadszedłeś ty i rzuciłeś się na mnie, również nie zważając na moje słowa. Wobec konieczności obrony przed tobą mogłem cię zakłuć lub zastrzelić, ale ja powaliłem cię tylko, ponieważ jestem twym przyjacielem i pragnąłem cię oszczędzić. Wtem nadbiegł wódz Keiowehów, Tangua, by w swej wściekłości zdjąć ci skalp. Ponieważ postanowiłem do tego nie dopuścić, walczył ze mną, ale go zwyciężyłem. Zachowałem ci nie tylko życie, lecz także skalp. Potem gdy...

- Ten przeklęty kujot kłamie, jakby miał sto języków! - krzyknął Tangua z wściekłością.

- Czy to kłamstwo naprawdę? - spytał go Winnetou.

- Tak. Mój czerwony brat Winnetou nie wątpi chyba w prawdę moich słów?

- Kiedy przyszedłem, leżałeś bez ruchu, a mój ojciec także. To się zgadza. Niech Old Shatterhand mówi dalej!

- Pokonałem więc Tanguę, aby ocalić Inczu-czunę, gdy wtem nadleciał Winnetou. Nie widziałem go i dostałem cios kolbą, lecz nie po głowie. Winnetou przebił mi usta i język, a przez to pozbawił mnie możności mówienia, bo byłbym mu powiedział, że go miłuję i że chciałbym być jego przyjacielem i bratem. Byłem zraniony i rękę miałem obezwładnioną, a mimo to go zwyciężyłem; leżał przede mną ogłuszony, a Inczu-czuna także - mogłem zabić obydwu, ale nie uczyniłem tego.

- Byłbyś to zrobił z pewnością, ale przeszkodził ci wojownik Apaczów, który cię uderzył kolbą - odrzekł Inczu-czuna,

- Nie, nie uczyniłbym tego. Czyż te trzy blade twarze, skrępowane tu przy mnie, nie przyszły do was dobrowolnie, by się wam poddać? Czy postąpiliby tak, gdyby się uważali za waszych nieprzyjaciół?

- Zrobili to, widząc, że nie ujdą, dlatego uznali, że lepiej poddać się dobrowolnie. Nie przeczę, że niektóre twoje słowa mogłyby wzbudzić wiarę. Kiedy jednak po raz pierwszy ogłuszyłeś mojego syna Winnetou, nie byłeś do tego zmuszony!

- Przeciwnie!

- Przez kogo?

- Przez ostrożność. Chcieliśmy ocalić ciebie i jego. Jesteście bardzo dzielnymi wojownikami, bylibyście się niezawodnie bronili i wtedy zraniono by was lub zabito. Temu usiłowaliśmy zapobiec, dlatego powaliłem Winnetou, a ciebie pokonali trzej moi biali przyjaciele. Spodziewam się, że uwierzysz teraz moim słowom.

- Kłamstwo, nic tylko kłamstwo! - zawołał Tangua.

- Nadszedłem właśnie, kiedy on cię rzucił o ziemię. Nie ja, lecz on chciał ci zabrać skalp. Zamierzyłem się, by mu w tym przeszkodzić, a wtem on ugodził mnie swoją ręką, w której, jak się zdaje, mieszka Zły Duch, gdyż nikt, nawet najsilniejszy człowiek, oprzeć się jej nie potrafi.

Na to odwróciłem się do niego i rzekłem groźnie:

- Tak, nikt jej się oprzeć nie może. Używam jej tylko, aby uniknąć rozlewu krwi, ale skoro będę znowu walczył z tobą, zrobię to bronią, nie ręką, a wtedy nie skończy się tylko na ogłuszeniu. Zapamiętaj to sobie!

- Ty walczyć ze mną? - śmiał się szyderczo. - Spalimy cię, a twoje popioły rozsypiemy na cztery wiatry!

- Tak nie myśl. Będę wolny prędzej, aniżeli ty przeczuwasz, a potem zażądam od ciebie zadośćuczynienia!

- Otrzymasz je. Oby się tylko twe słowa spełniły! Biłbym się z tobą chętnie, bo wiem, że cię zmiażdżę.

Inczu-czuna położył koniec temu zajściu i odezwał się do mnie:

- Old Shatterhand jest bardzo zuchwały, jeśli sądzi, że będzie wolny. Niechaj zważy, ile dowodów przemawia przeciwko niemu; jeżeli nawet jeden z nich upadnie, nie zmieni to jego losu. Wypowiedział on twierdzenie, ale go nie udowodnił.

- Czy nie obaliłem Rattlera, gdy strzelił do Winnetou, a trafił Kleki-petrę? Czy to także nie jest dowodem?

- Nie. Mogłeś to zrobić także z innej przyczyny. Czy masz nam jeszcze coś do powiedzenia?

- Teraz nie, może później.

- Powiedz teraz, gdyż później już nie zdołasz!

- Nie, teraz nie. Jeśli zaś później zechcę powiedzieć, to wysłuchacie mnie, gdyż Old Shatterhand nie jest człowiekiem, którego można by nie słuchać. Teraz milczę, gdyż ciekaw jestem wyroku, jaki na nas wydacie.

Inczu-czuna odwrócił się ode mnie i dał znak ręką. Na ten znak wystąpiło z półkola kilku wojowników i zasiadło wraz z trzema wodzami do narady. Tangua starał się oczywiście ze wszystkich sił o zaostrzenie wyroku. My tymczasem znaleźliśmy sposobność do wymiany zdań.

- Ciekaw jestem, co oni tam nawarzą - rzekł Dick Stone. - Nie będzie to nic mądrego.

- Jestem pewien, że damy głowę - zauważył Will Parker.

- Ja także - potwierdził Sam Hawkens. - Te draby w nic nie uwierzą, choćbyśmy nie wiem co przytaczali! Zresztą sprawiliście się nieźle, sir! Dziwiłem się Inczu-czunie.

- Czemu? - spytałem.

- Że wam pozwolił tak paplać. Mnie zaraz usta zatykał, skoro tylko je otworzyłem.

- Paplać? Czy mówicie to poważnie, Samie?

- Tak.

- Dziękuję za tę uprzejmość!

- Paplaniem nazywam każdą bezskuteczną mowę, jeśli się nie mylę. A skutku nie odnieśliście tak samo jak i ja.

- Ja sądzę inaczej.

- Ale bez powodu!

- Sądzę słusznie. Winnetou wspomniał coś o pływaniu. To było postanowione już przedtem, dlatego myślę, że tylko w czasie przesłuchania byli tacy surowi, by nam napędzić strachu. Wyrok będzie brzmiał znacznie łagodniej.

- Sir, niech wam się to nie zdaje! Czy wyobrażacie sobie, że pozwolą nam się ocalić za pomocą pływania?

- Tak.

- Głupstwo i jeszcze raz głupstwo! Jeśli tak się umówili, to każą wam popłynąć, ale wiecie dokąd?

- No?

- Prosto w paszczę śmierci. Potem, kiedy zginiecie, przypomnijcie sobie, że miałem słuszność, hi! hi! hi!

Ten osobliwy człowieczek potrafił nawet w tak ciężkim położeniu jak nasze prychać śmiechem ze swych, wątpliwych zresztą, dowcipów. Wesołość jego trwała jednak krótko, gdyż właśnie skończyła się narada, wojownicy, którzy wzięli w niej udział, cofnęli się do półkola, a Inczu-czuna oznajmił donośnym głosem:

- Posłuchajcie, wojownicy Apaczów i Keiowehów, tego, co postanowiono względem tych czterech pojmanych bladych twarzy! W radzie starszych już przedtem zapadła uchwała, że będziemy ścigać ich w wodzie, potem każemy im walczyć ze sobą, a w końcu ich spalimy. Lecz najmłodszy z nich, Old

Shatterhand powiedział słowa, w których znajdowały się niektóre dowodzące mądrości dojrzałego wieku. Zasłużyli na śmierć, lecz zdaje się, że nie myśleli tak źle, jak sądziliśmy przedtem. Dlatego znieśliśmy poprzednie postanowienie i pozwolimy, żeby Wielki Duch rozstrzygnął między nami a nimi.

Zatrzymał się - prawdopodobnie po to, aby powiększyć zaciekawienie słuchaczy - a Sam skorzystał z tego i zauważył:

- Do wszystkich piorunów! To zaczyna być zajmujące, wielce zajmujące! Czy wiecie, o co mu chodzi?

- Domyślam się - odrzekłem.

- No, o co?

- O pojedynek, tak zwany sąd boży. Czy mój domysł nie jest słuszny?

- Tak, pojedynek w każdym razie, ale między kim? Jestem niezmiernie tego ciekawy. Wódz mówił dalej:

- Blada twarz, zwana Old Shatterhand, jest, jak się zdaje, najdostojniejsza między nimi, niechaj więc rozstrzygnięcie spocznie w jej ręku. Będzie ono zależało także od tego spośród nas, który jest najwyższy co do godności, a tym jestem ja, Inczu-czuna, wódz Apaczów.

- Do stu piorunów, do stu piorunów! Wy i on! - szeptał Sam w wielkim podnieceniu.

- Uff, uff, uff! - zabrzmiały w szeregach czerwonoskórych okrzyki podziwu.

Byli naprawdę zdumieni tym, że ich wódz chciał ze mną walczyć. Wszak mógł uniknąć niebezpieczeństwa, które mimo wszystko i dla niego istniało, polecając zastąpić siebie komu innemu. Wyjaśnił to, mówiąc dalej:

- Sława Inczu-czuny i Winnetou ucierpiała na tym, że wystarczyło jedno uderzenie pięścią bladej twarzy, by ich powalić i ogłuszyć. Muszą więc zmyć tę plamę w ten sposób, że jeden z nich będzie walczył z bladą twarzą. Winnetou mi ustąpi, gdyż jestem starszy i jestem pierwszym wodzem Apaczów. On zgadza się na to, gdyż przez zabicie Old Shatterhanda oczyszczę zarazem swój i jego honor.

Tu znów przerwał.

- Cieszcie się, sir! - rzekł Sam. - Zginiecie w każdym razie prędzej od nas. Wyście go oszczędzali, a teraz on was za to ukatrupi.

- Zaczekajmy!

- Nie potrzebuję czekać, bo już z góry wiem wszystko. Czy sądzicie, że warunki walki będą równe? - Nie marzę nawet o tym.

- Well! Warunki układa się w podobnych wypadkach tak, że biały zawsze jest zgubiony. Jeśli zdarzyło się, ze ktoś wyszedł z życiem z takich okoliczności, był wyjątkiem potwierdzającym tylko regułę. Słuchajcie!

Inczu-czuna mówił dalej:

- Zdejmiemy więzy z Old Shatterhanda i każemy mu przepłynąć przez rzekę, ale nie damy mu broni, ja zaś pójdę tylko z tomahawkiem. Jeśli Old Shatterhand dostanie się żywy na drugi brzeg i dojdzie do oznaczonego celu, którym jest cedr, to będzie ocalony, a towarzysze jego wolni. Jeśli jednak przedtem zabiję go, oni zginą także, wprawdzie nie wśród mąk i płomieni, lecz od naszych kul. Niechaj wszyscy obecni wojownicy potwierdzą, że słyszeli me słowa, że je zrozumieli i że się do nich zastosują!

- Howgh! - zabrzmiała jednogłośna odpowiedź. Można sobie wyobrazić, że byliśmy bardzo wzburzeni i to nie tyle ja, co Sam, Dick i Will. Pierwszy z nich rzekł:

- Wzięli się do tego wcale chytrze. Powiadają, że macie pływać dlatego, iż jesteście najdostojniejszy. To nieprawda. Liczą na to, że jesteście greenhorn. Oto powód! Niechby mnie puścili do wody! Pokazałbym im, że Sam Hawkens pruje fale jak pstrąg. Ale wy! Pomyślcie, sir, że nasze życie od was zależy! Jeśli przegracie, a my będziemy musieli umrzeć, nie odezwę się już do was nigdy ani słowem. Wierzcie mi, jeśli się nie mylę!

- Nie troszczcie się o to, stary Samie - odrzekłem. - Zrobię, co będę mógł. Myślę zresztą, że czerwonoskórzy uczynili wcale niezły wybór. Czuję, że ja prędzej zdołam nas ocalić niż wy.

- Miejmy nadzieję. A więc na śmierć i życie. Nie wolno wam Inczu-czuny oszczędzać. Niech wam to nawet przez myśl nie

przejdzie!

- Zobaczymy!

- Tu nie ma nic do zobaczenia! Jeśli go będziecie oszczędzali, zgubicie siebie i nas. Zdajecie się pewnie na swoją pięść?

- Tak.

- Nie róbcież tego! Do walki ręcznej wcale nie dojdzie.

- Jestem pewien, że dojdzie.

- Nie, nie!

- Jakżeż inaczej mnie zabije?

- Tomahawkiem. Wszak wiecie, że używa się go nie tylko w walce wręcz, ale jest to także straszliwa broń na odległość. Tomahawkiem się rzuca, a czerwonoskórzy mają w tym taką wprawę, że odcinają na sto kroków koniec palca. Inczu-czuna nie będzie w was walił tomahawkiem, lecz rzuci go za wami, podczas waszej ucieczki, i pozbawi was życia za pierwszym rzutem. Wierzcie mi, że choćbyście byli najznakomitszym pływakiem, nie dostaniecie się na drugi brzeg, bo już w wodzie uderzy was tomahawkiem w głowę, a raczej w kark, co daleko pewniej sprowadza śmierć. Na nic tu cała wasza sztuka i cała wasza siła fizyczna.

- Wiem o tym, kochany Samie. Wiem także, że naparstek chytrości więcej zdziała w pewnych okolicznościach od beczki siły.

- Chytrości? A skąd wy byście mieli wziąć tę chytrość?

Stary Sam Hawkens znany jest jako chytra sztuka, a mimo to nie rozumie, w jaki sposób zamierzacie chytrością wydrzeć wodzowi palmę zwycięstwa. Co poradzi chytrość całego świata wobec dobrze rzuconego tomahawka?

- Poradzi, Samie, poradzi!

- Jakżeż?

- Zobaczycie albo raczej na razie nie zobaczycie. Powiadam wam jednak: jestem prawie pewien, że sprawa się uda.

- Wypowiadacie to olbrzymie samochwalstwo chyba tylko dlatego, żeby ulżyć naszym sercom.

- Nie.

- Tak, by nas pocieszyć! Ale co pomoże pociecha, która przepadnie już w następnej minucie!

- Uspokójcie się. Mam znakomity plan.

- Plan? Tego jeszcze brakowało! Tu nie ma innego planu, jak płynąć na drugą stronę, a podczas tego dosięgnie was tomahawk.

- Nie. Uważajcie! Jeśli utonę, będziemy ocaleni.

- Utonę... ocaleni! Sir, macie lada chwila umrzeć i dlatego bredzicie!

- Wiem, co robię. Zapamiętajcie sobie, że skoro utonę, nie mamy się czego obawiać. Wymówiłem te słowa prędko, ponieważ zbliżyli się trzej wodzowie, a Inczu-czuna powiedział:

- Teraz rozwiążemy Old Shatterhanda, ale niech mu się nie zdaje, że zdoła umknąć. Natychmiast doścignęłoby go kilkuset wojowników.

- Ani mi to przez myśl nie przeszło! - odrzekłem. - Gdybym nawet mógł umknąć, byłoby to podłością wobec moich towarzyszy.

Gdy mnie rozwiązano, poruszyłem członkami, aby wypróbować ich ruchliwość.

- Wielki to dla mnie zaszczyt - rzekłem następnie - pływać na wyścigi lub raczej na śmierć i życie z najsławniejszym wodzem Apaczów, ale dla niego nie ma w tym zaszczytu.

- Czemu?

- Bo nie jestem godnym dla niego przeciwnikiem. Kąpałem się tu i ówdzie w potoku i starałem się nie pójść na dno, ale wątpię, czy zdołam przepłynąć tak szeroką i głęboką rzekę.

- Uff, uff! To mnie nie cieszy. Ja i Winnetou pływamy najlepiej z całego szczepu. Co warte zwycięstwo nad takim lichym pływakiem!

- I jesteś uzbrojony, a ja nie. Idę więc na śmierć, a towarzysze moi przygotowali się na nią także. Mimo to rad bym wiedzieć, jak ma wyglądać ta walka. Kto pierwszy wejdzie do wody?

- Ty.

- A ty za mną?

- Tak.

- A kiedy zaatakujesz mnie tomahawkiem?

- Kiedy mi się spodoba! - odrzekł z dumnym, pogardliwym uśmiechem mistrza, który ma do czynienia z partaczem.

- A więc może się to stać już w wodzie?

- Tak.

Udawałem, że jestem coraz bardziej strwożony i przygnębiony, i pytałem dalej:

- A więc tobie wolno mnie zabić. A ja ciebie mogę?

Zrobił minę, w której była wyraźna odpowiedź: ”Biedny robaku, o tym nie masz co myśleć! Pytanie to mógł ci podsunąć tylko śmiertelny strach”. Potem powiedział:

- To będzie pływanie i walka na śmierć i życie. Możesz mnie zabić, gdyż tylko w ten sposób zdołasz dostać się do celu.

- I śmierć twoja nic by mi nie zaszkodziła?

- Nie. Jeśli ja ciebie zabiję, to nie osiągniesz swego celu, a twoi towarzysze będą musieli umrzeć, a jeśli ty mnie zabijesz, dostaniesz się do celu i od tej chwili nie będziecie jeńcami, lecz ludźmi wolnymi. Chodź!

Odwrócił się, a ja zdjąłem z siebie bluzę i buty. Odłożyłem wszystko, co miałem za pasem i w kieszeniach. Podczas tego Sam Hawkens biadał:

- To się nie uda, sir, to się nie uda. Żebyście mogli zobaczyć swoją twarz! A ten płaczliwy ton w waszych ostatnich słowach! Okropnie się boję o was i o nas!

Nie mogłem mu nic odpowiedzieć, ponieważ usłyszeliby to trzej wodzowie, lecz ja wiedziałem, skąd się wzięła ta płaczliwość. Chciałem, jak się to mówi, wziąć Inczu-czunę na lep.

- Jeszcze jedno pytanie - prosiłem, zanim ruszyliśmy. - Czy w razie uwolnienia otrzymamy naszą własność?

Wybuchnął krótkim śmiechem pełnym zniecierpliwienia, gdyż uważał to pytanie za bezsensowne,

i odrzekł:

- Tak jest,

- Wszystko?

- Wszystko.

- I konie, i strzelby? Na to mnie ofuknął:

- Powiedziałem, że wszystko! Czy nie masz uszu? Raz chciała ropucha latać z orłem na wyścigi i pytała, co jej da, gdy go zwycięży. Jeśli tak samo głupio pływasz, jak pytasz, to wstyd mi, że nie dałem ci starej skwaw na przeciwnika!

Udaliśmy się przez utworzone dokoła nas półkole ku brzegowi. Mijając Nszo-czi, pochwyciłem jej spojrzenie, którym żegnała mnie na zawsze. Indianie poszli za nami i rozłożyli się nad brzegiem, aby wygodnie rozkoszować się czekającym ich widowiskiem. Wiedziałem, że grozi mi ogromne niebezpieczeństwo. Czy płynąłbym prosto, czy zygzakiem, tomahawk wodza musiał mnie dosięgnąć. Pozostawała jedyna droga ocalenia: nurkowanie, a pod tym względem nie byłem takim partaczem, za jakiego miał mnie Inczu-czuna. Ale samo nurkowanie też nie mogło mnie ocalić, gdyż musiałbym wypływać na wierzch dla zaczerpnięcia powietrza, a tym samym dać głowę pod tomahawk. Nie, nie wolno mi było wynurzyć się na powierzchnię, przynajmniej przed oczyma czerwonoskórych. Ale jak miałem tego dokonać? Zbadałem okiem brzeg w dole i w górze rzeki i przekonałem się z zadowoleniem, że sam teren przychodzi mi z pomocą.

Znajdowaliśmy się, jak już powiedziałem, na zupełnie pustej ławicy piaskowej, powyżej jej środka. Górny jej koniec, tam gdzie się zaczynał las, oddalony był ode mnie o sto kroków, dalej ku górze rzeka tworzyła zakręt, a za nim niknęła z oczu. Dolny koniec ławicy leżał o jakieś czterysta kroków ode mnie.

Gdybym skoczył w wodę i nie wynurzył się, pomyślano by, że utonąłem, i szukano by mego ciała oczywiście w dole rzeki. Musiałem więc szukać ocalenia w górze. W tej stronie ujrzałem najpierw miejsce, gdzie woda podmywała brzeg tak, że zwisał nad nią i nadawał się doskonale na chwilowe schronienie. Nieco dalej woda naniosła mnóstwo drzewa, które trzymało się tak silnie, że także mogłem z niego skorzystać w tym samym celu. Przedtem jednak powinienem był udawać, że się boję. Inczu-czuna rozebrał się zostając tylko w lekkich indiańskich spodniach, zatknął za pas tomahawk i powiedział:

- Możemy zacząć. Skacz do wody!

- Czy nie wolno mi najpierw spróbować, jak tu głęboko? - zapytałem trwożliwie.

Po jego twarzy przebiegł nieskończenie pogardliwy uśmiech. Zażądał włóczni, którą zaraz mi przyniesiono. Wepchnąłem ją do wody, ale do dna nie dostałem. Było mi to bardzo na rękę, mimo to nadal udawałem bojaźń. Przykucnąłem nad wodą i zacząłem sobie zmywać czoło i piersi jak człowiek, który się boi apopleksji, gdyby nagle wszedł do zimnej wody. Za mną dał się słyszeć pomruk lekceważenia, a to był pewny znak, że swój cel osiągnąłem. Naraz zawołał Sam Hawkens:

- Na miłość Boga, chodźcie tu lepiej, sir! Nie mogę na to patrzeć. Niech nas zamęczą. To lepsze niż mieć przed oczyma taki przykry obraz!

Przyszło mi mimo woli na myśl, co sobie pomyśli o mnie Nszo-czi. Obejrzałem się. Twarz Tanguy była ucieleśnionym szyderstwem, Winnetou podniósł górną wargę tak, że było mu widać zęby, był wściekły na to, że okazał mi współczucie, a siostra jego spuściła oczy i nie patrzyła na mnie.

- Jestem gotów - huknął Inczu-czuna. - Cóż ty się jeszcze ociągasz? Do wody!

- Czy to rzeczywiście nieuniknione? - zapytałem. - Czy inaczej już być nie może?.

Zabrzmiał powszechny śmiech, nad którym dominował głos Tanguy:

- Puśćcie tę żabę, darujcie mu życie! Wojownik nie powinien przyłożyć ręki do zabicia takiego tchórza. A Inczu-czuna warknął na mnie jak wściekły tygrys:

- Do wody, bo cię natychmiast trzasnę w kark tomahawkiem.

Udałem bardzo przerażonego, usiadłem na brzegu, włożyłem najpierw stopy, potem łydki do wody i próbowałem zwolna się zsunąć.

- Do wody! - krzyknął Inczu-czuna ponownie i kopnął mnie w plecy.

Na to właśnie czekałem. Podrzuciłem bezradnie obie ręce do góry, krzyknąłem przeraźliwie i plusnąłem w wodę. W

następnej chwili skończyło się udawanie. Poczułem dno, rzuciłem się głową w dół i popłynąłem pod wodą przy brzegu w górę rzeki. W chwilę potem usłyszałem za sobą szelest, to Inczuczuna wskoczył za mną. Jak się potem dowiedziałem, chciał mnie puścić na pewną odległość, a potem zapędzić na drugi brzeg i tam dosięgnąć tomahawkiem. Jednak z powodu mej tchórzliwości porzucił tę myśl i skoczył za mną czym prędzej, aby mnie zabić, gdy tylko się wynurzę, z takim bowiem mazgajem należało się załatwić krótko. Dostałem się pod zwisający brzeg i wydobyłem się na wierzch tak, że wychyliłem z wody tylko głowę po usta. Prócz wodza nikt mnie nie mógł zobaczyć, bo tylko on sam był w wodzie, ale ku mej radości twarz miał odwróconą. Odetchnąłem głęboko i poszedłem znów na dno, by płynąć dalej. Wnet znalazłem się koło wspomnianego drzewa, naniesionego przez wodę, i znów zaczerpnąłem powietrza. Drzewo zakrywało mnie tak dokładnie, że mogłem dłużej zostać na powierzchni. Widziałem wodza leżącego na wodzie jak zwierzę gotowe natychmiast rzucić się na zdobycz. Teraz miałem najdłuższą przestrzeń do przepłynięcia, bo aż do miejsca, gdzie zaczynał się las, a zarośla zwisały z brzegu do wody. Dotarłem i tam szczęśliwie i pod osłoną zarośli wyszedłem na brzeg.

Musiałem oczywiście minąć zakręt, by przepłynąć za nim na drugi brzeg, mogłem to zrobić tylko biegiem. Zanim jednak ruszyłem, spojrzałem ku tym, których udało mi się oszukać. Stali wołając i gestykulując nad brzegiem, a wódz pływał tam i z powrotem, wciąż jeszcze czekając na mnie, chociaż było to niemożliwe, żebym tak długo wytrzymał pod wodą bez oddechu. Czy Sam myślał teraz o moich słowach; ”Jeśli utonę, będziemy ocaleni”? Pobiegłem lasem, jak mogłem najdalej, dopóki nie minąłem zakrętu, potem znów wszedłem do wody i przepłynąłem swobodnie na drugą stronę, wszystko to dzięki temu, że Apacze uważali mnie za lichego pływaka i człowieka bojącego się wody.

Na drugim brzegu poszedłem znowu w dół rzeki aż do krańca lasu. Ukryty w krzakach, dojrzałem z przyjemnością, że kilku

czerwonoskórych wskoczyło do wody i dziobało włóczniami dno, szukając utopionego Old Shatterhanda.

Mogłem z całą swobodą pójść teraz do cedru i byłbym wygrał, lecz nie uczyniłem tego, gdyż chciałem nie tylko osiągnąć zwycięstwo, lecz także dać Inczu-czunie nauczkę, a zarazem zobowiązać go do wdzięczności.

On pływał wciąż Jeszcze tam i z powrotem i nie przyszło mu na myśl spojrzeć na drugi brzeg. Osunąłem się znowu w wodę, położyłem się na plecach tak, że tylko nos i usta wystawały mi z wody, i pozwoliłem się nieść fali. Nikt mnie nie zauważył. Dopłynąłem tak naprzeciw nich, dałem znów nurka, podpłynąłem jeszcze kawałek, po czym wynurzyłem się i stojąc w wodzie, zawołałem doniosłym głosem:

- Samie Hawkens, wygraliśmy, wygraliśmy! Wyglądało to zupełnie tak, jakbym się znajdował na płytkim miejscu. Czerwonoskórzy dosłyszeli mnie i spojrzeli w tę stronę. Jakież wycie rozległo się na przeciwległym brzegu! Zdawało się, że tysiąc diabłów, nagle wypuszczonych, zaczęto ryczeć na wyścigi. Kto słyszał to raz w życiu, ten nigdy tego nie zapomni. Ledwo Inczu-czuna mnie spostrzegł, ruszył naprzód silnymi, długimi ruchami i płynął, a raczej leciał na drugą stronę. Nie mogłem go dopuścić zbyt blisko, więc pomknąłem ku brzegowi, wydostałem się nań i - stanąłem!

- Dalej, dalej, sir! - krzyczał Sam do mnie. - Spieszcie czym prędzej do cedru! Nikt już temu teraz nie mógł przeszkodzić, ale postanowiłem dać przedtem Inczu-czunie nauczkę i nie odszedłem, dopóki nie zbliżył się do mnie na czterdzieści kroków. Potem popędziłem ku drzewu. Gdybym był jeszcze w wodzie, na pewno by mu się udał rzut tomahawkiem, teraz jednak byłem pewien, że nie użyje topora, dopóki się nie dostanie na brzeg. Drzewo stało w odległości trzystu kroków od brzegu.

Przebiegłem szybko połowę tej odległości, zatrzymałem się znowu i spojrzałem za siebie. Wódz właśnie wychodził z wody i szedł w pułapkę, którą nań zastawiłem. Doścignąć mnie już nie mógł, chyba rzucając tomahawkiem. Wyrwał go też zza pasa i

ruszył pędem. Nie umykałem wciąż jeszcze i dopiero gdy się przybliżył na niebezpieczną dla mnie odległość, rzuciłem się do ucieczki, ale tylko pozornie. Powiedziałem sobie tak: ”Dopóki będę stał spokojnie, Inczu-czuna nie rzuci toporem, bo wie, że uskoczę na bok, widząc nadlatujący tomahawk.

A zatem rzuci nim dopiero wtedy, gdy się odwrócę i zacznę uciekać”. Zacząłem więc pozornie umykać, ale po dwudziestu krokach zatrzymałem się nagle i znowu odwróciłem się twarzą ku niemu.

Domyśliłem się słusznie! Inczu-czuna bowiem, chcąc być pewnym rzutu, stanął na miejscu, zawinął toporem nad głową i cisnął nim właśnie w chwili, gdy spojrzałem na niego. Wykonałem więc dwa, trzy skoki w bok, topór przeleciał koło mnie i zarył się głęboko w piasek. Tego właśnie pragnąłem, podbiegłem, podniosłem go i ruszyłem spokojnym krokiem naprzeciw wodza. Inczu-czuna krzyknął ze złości i puścił się do mnie biegiem jak wściekły. Widząc to zamierzyłem się tomahawkiem i zawołałem groźnie:

- Stój, Inczu-czuno! Znowu pomyliłeś się co do Old Shatterhanda. Czy chcesz własnym toporem dostać po głowie?

Zatrzymał się w biegu i krzyknął:

- Psie, jak mi w wodzie umknąłeś? Zły Duch znów ci dopomógł!

- Nie wierz temu! Jeśli tu może być mowa o duchu, to właśnie dobry Manitou opiekował się mną w tej niebezpiecznej chwili.

Mówiąc to, spostrzegłem, że jego oczy, zwrócone na mnie, płoną jakby pod wpływem ukrytego zamiaru. Dodałem więc ostrożnie:

- Chcesz mnie zaskoczyć, zaatakować, widzę to po tobie. Nie czyń tego, bo oznaczałoby to twoją śmierć. Nic ci się nie stanie, gdyż naprawdę lubię ciebie i Winnetou, ale jeśli rzucisz się na mnie, będę musiał się bronić. Wiesz, że i bez broni mam nad tobą przewagę, a teraz jeszcze zdobyłem sobie tomahawk. Bądź więc rozsądny i…

Nie mogłem dokończyć zdania. Złość, która go opanowała, odebrała mu spokojną rozwagę. Rzucił się ku mnie z rękami

zakrzywionymi jak szpony. Już zdawało mu się, że mnie pochwycił, gdy wtem usunąłem się szybko w bok, a siła skoku, która miała mnie obalić, powaliła jego samego. Natychmiast stanąłem przy nim, oparłem prawe kolano na jednej, a lewe na drugiej jego ręce, ująłem go lewą ręką za kark, a prawą podniosłem tomahawk i zawołałem:

- Inczu-czuno, czy prosisz o łaskę?

- Nie.

- To ci głowę rozłupię!

- Zabij mnie, psie! - stęknął, na próżno usiłując się uwolnić.

- Nie, jesteś ojcem Winnetou i będziesz żył, ale na razie zmuszasz mnie do tego, żebym cię unieszkodliwił.

Uderzyłem go po głowie płaską stroną tomahawka, wskutek czego zacharczał, drgnął kurczowo i rozciągnął się na ziemi. Czerwonoskórym mogło się wydawać, że go zabiłem. Zabrzmiało wycie, jeszcze okropniejsze niż przedtem. Przywiązałem Inczu-czunie pasem ręce do ciała, zaniosłem go do cedru i tam położyłem. Musiałem, choć niepotrzebnie, odbyć ten kawałek drogi, ponieważ wymagała tego nasza umowa. Zostawiłem go na ziemi, a sam pobiegłem nad rzekę, widząc, że wielu czerwonoskórych, z Winnetou na czele, rzuciło się do wody, aby przepłynąć na moją stronę. Mogło się to stać niebezpieczne dla mnie i dla moich towarzyszy, gdyby Apacze nie chcieli dotrzymać słowa. Dlatego znalazłszy się nad wodą zawołałem:

- Precz! Wódz żyje, nic mu złego nie wyrządziłem, ale zabiję go, gdy się zbliżycie. Niech tu przypłynie tylko Winnetou, chcę z nim pomówić!

Nie zwrócili uwagi na tę przestrogę, ale Winnetou podniósł się w wodzie tak, że go wszyscy mogli zobaczyć, i zawołał kilka słów, których nie zrozumiałem. Posłuchali go i zawrócili, a on sam przypłynął na tę stronę. Czekałem na niego nad wodą i powiedziałem, gdy z niej wychodził:

- Dobrze, że odesłałeś wojowników, gdyż naraziliby twego ojca na niebezpieczeństwo.

- Zabiłeś go tomahawkiem?

- Nie. Zmusił mnie do tego, że go ogłuszyłem, bo nie chciał się poddać.

- Mogłeś go zabić! Był przecież w twoim ręku!

- Staram się zawsze oszczędzać wroga, a tym bardziej ojca umiłowanego przeze mnie Winnetou. Masz tu jego broń! Ty rozstrzygniesz, czy zwyciężyłem, a zarazem, czy dotrzymacie słowa danego mnie i moim towarzyszom.

Wziął podany mu tomahawk i przypatrywał mi się długo, długo. Wzrok jego łagodniał coraz bardziej, wreszcie twarz przybrała wyraz podziwu.

- Co za człowiek z Old Shatterhanda! - zawołał wreszcie! - Kto go pojmie?

- Nauczysz się jeszcze mnie pojmować.

- Dajesz mi ten topór, nie wiedząc, czy dochowamy ci słowa! Mógłbyś się nim bronić. Czy wiesz, że w ten sposób oddajesz się w moje ręce?

- Pshaw! Nie boję się, gdyż na wszelki wypadek mam ręce i pięści, a Winnetou nie jest kłamcą, lecz szlachetnym wojownikiem, który nie złamie słowa.

Na to Winnetou wyciągnął do mnie rękę i odrzekł z błyszczącymi oczyma:

- Masz słuszność. Jesteś wolny, a tamte blade twarze również, z wyjątkiem tego, który się nazywa Rattler. Darzysz mnie zaufaniem, więc i ja ci go nie odmawiam.

- Zaufasz mi tak jak ja tobie. Zaczekaj tylko trochę. Chodź teraz do ojca!

- Tak, chodźmy! Muszę go zobaczyć z bliska, bo gdy Old Shatterhand uderzy, łatwo może nastąpić śmierć, choć sam nie miał zamiaru jej zadać.

Podeszliśmy do cedru i rozwiązaliśmy ręce wodzowi. Winnetou zbadał go i rzekł:

- Żyje, ale nieprędko się zbudzi i będzie go długo bolała głowa. Nie mogę tutaj, pozostać, przyślę mu więc kilku ludzi. Niech mój brat Old Shatterhand pójdzie ze mną! Pierwszy raz wyraził się o mnie ”mój brat”. Ileż razy później słyszałem to z jego ust, a jak poważnie, wiernie i szczerze brzmiały zawsze te słowa!

Poszliśmy znowu ku rzece i przepłynęliśmy na drugą stronę. Czerwonoskórzy z niecierpliwością czekali na nas na brzegu. Widząc nas płynących spokojnie obok siebie, zauważyli, że jesteśmy w zgodzie, i musieli także uznać, że niesłusznie byłem przedmiotem ich szyderstwa i śmiechu. Kiedy wyszliśmy na brzeg, Winnetou wziął mnie za rękę i rzekł donośnym głosem:

- Old Shatterhand zwyciężył. On i jego trzej towarzysze są wolni!

- Uff, uff, uff! - zawołali Apacze.

Tangua stał na boku i patrzył ponuro przed siebie. Miałem się z nim jeszcze policzyć, gdyż należało go ukarać, i to nie tylko z naszego powodu, lecz także ze względu na przyszłość - ze względu na tych białych, z którymi mógł się jeszcze zetknąć.

Winnetou przeszedł wraz ze mną obok niego, nie rzuciwszy nań okiem, i zaprowadził mnie do słupów, do których przywiązani byli moi towarzysze.

- Jesteśmy ocaleni! - zawołał Sam. - Już nas nie sprzątną! Człowieku, mężu, przyjacielu, młodzieńcze, greenhornie, jak wam się to udało?

Winnetou podał mi swój nóż mówiąc:

- Odetnij ich! Zasłużyłeś na to, żebyś sam to uczynił. Zrobiłem to. Ledwie moi towarzysze poczuli się wolni, rzucili się na mnie, wzięli w swoich sześć ramion i zaczęli tak ściskać i gnieść, że aż mnie strach zdjął. Sam pocałował mnie nawet w rękę, a z małych oczek kapały mu łzy w bór jego zarostu, gdy mówił;

- Sir, jeśli wam to kiedyś zapomnę, to niech mnie połknie pierwszy niedźwiedź, którego spotkam. Jak zabraliście się do tego? Zniknęliście. Tak bardzo obawialiście się wody, że wszyscy myśleli, iż utonęliście.

- Czyż nie powiedziałem: jeśli utonę, będziemy ocaleni?

- Old Shatterhand tak powiedział? - spytał Winnetou. - A więc to wszystko było tylko udane?

- Tak - potwierdziłem.

- Mój brat wiedział, co robi. Przypuszczam, że popłynął tuż pod wodą przeciw prądowi, a potem w dół rzeki. Mój brat jest

nie tylko mocny jak niedźwiedź, lecz także chytry jak lis na prerii. Kto jest jego wrogiem, ten musi się mieć na baczności.

- A Winnetou był moim wrogiem?

- Byłem nim, lecz już nie jestem.

- Więc nie wierzysz już temu kłamcy, Tanguy, lecz mnie?

Spojrzał na mnie znowu tak poważnie i długo jak na tamtym brzegu, podał mi rękę i odrzekł:

- Twoje oczy są dobre, a twoim rysom obca jest nieuczciwość. Wierzę ci.

Włożyłem zdjęte uprzednio ubranie, wyjąłem z kieszeni puszkę od sardynek i rzekłem:

- Mój brat Winnetou trafił w sedno. Udowodnię mu to zaraz. Myślę, że pozna to, co mu teraz pokażę.

Wyjąłem zwinięty kosmyk włosów, wyprostowałem i podałem Winnetou. W pierwszej chwili sięgnął po nie ręką, lecz nie dotknął, zaskoczony zupełnie tą niespodzianką cofnął się o krok i zawołał:

- To moje włosy! Kto ci je dał?

- Inczu-czuna wspomniał, że byliście przywiązani do drzew, gdy naraz dobry Wielki Duch zesłał wam niewidzialnego wybawcę. Tak, był on niewidzialny, gdyż nie mógł pokazać się Keiowehom, lecz teraz nie ma już potrzeby kryć się przed nimi. Teraz już chyba uwierzysz, że byłem zawsze twym przyjacielem, a nie wrogiem.

- Więc to ty... ty... ty nas odwiązałeś? Więc tobie zawdzięczamy i wolność, i życie! - wybuchnął, wciąż jeszcze bardzo stropiony, chociaż był człowiekiem, którego nie łatwo było wprawić w zdumienie ani zaskoczyć. Następnie wziął mnie za rękę i zaprowadził na miejsce, na którym obserwując nas ustawicznie, stała jego siostra. Zatrzymał się przed nią wraz ze mną i powiedział:

- Nszo-czi widzi tu dzielnego wojownika, który wyswobodził potajemnie mnie i ojca, kiedy Keiowehowie przywiązali nas do drzew. Niechaj Nszo-czi mu podziękuje! Po tych słowach przycisnął mnie do siebie i pocałował w oba policzki. Ona podała mi rękę i rzekła tylko jedno słowo:

- Przebacz!

Miała podziękować, a tymczasem prosiła o przebaczenie! Dlaczego? Zrozumiałem to dobrze. Wyrządziła mi w duszy krzywdę. Znała mnie lepiej niż inni, a mimo to, gdy dla podstępu udawałem tchórzostwo, uwierzyła, że to jest prawda. Uważała mnie przez chwilę za bojaźliwego, niezgrabnego mazgaja i przeproszenie za to mylne mniemanie było dla niej sprawą ważniejszą od podziękowania, którego domagał się Winnetou. Uścisnąłem jej rękę i odrzekłem:

- Nszo-czi przypomina sobie zapewne wszystko, co jej powiedziałem. Teraz to nastąpiło. Czy moja siostra już mi wierzy?

- Wierzę mojemu białemu bratu!

Tangua stał nie opodal, a wściekłość przebijała wyraźnie z jego twarzy. Przystąpiłem doń i zapytałem patrząc mu ostro w oczy:

- Czy wódz Keiowehów, Tangua, jest kłamcą, czy też miłuje prawdę?

- Chcesz mnie obrazić? - wybuchnął.

- Nie, pragnę tylko wiedzieć, co mam o tobie sądzić. Odpowiadaj więc!

- Niech Old Shatterhand wie, że kocham prawdę.

- Zobaczymy! W takim razie dotrzymujesz słowa, ilekroć coś obiecasz?

- Tak.

- Tak też być musi, bo kto nie czyni tak, jak powie, godzien jest pogardy. Czy pamiętasz jeszcze, co mi przyrzekłeś?

- Kiedy?

- Kiedy byłem jeszcze przywiązany do słupa.

- Wtedy mówiłem o rozmaitych rzeczach.

- To prawda, ale wiesz chyba, które z twych słów mam teraz na myśli?

- Nie.

- Wobec tego muszę ci sam przypomnieć. Oto chciałeś się ze mną policzyć.

- Czy rzeczywiście? - zapytał podnosząc brwi.

- Tak. Powiedziałeś także, że chętnie walczyłbyś ze mną, gdyż wiesz dokładnie, że mnie zmiażdżysz.

Niewątpliwie ton, jakim mówiłem, przeraził go, gdyż rzekł z namysłem:

- Tego sobie nie przypominam. Old Shatterhand chyba źle mnie zrozumiał.

- Nie. Winnetou był przy tym i poświadczy to.

- Tak - potwierdził ochoczo Winnetou. - Tangua chciał załatwić rachunki z Old Shatterhandem i chełpił się, że gotów jest z nim walczyć, żeby go zmiażdżyć.

- Widzisz więc, że tak się wtedy wyraziłeś. Czy dotrzymasz słowa?

- A ty żądasz tego?

- Tak. Nazwałeś mnie tchórzliwą żabą. Szkalowałeś mnie i starałeś się ze wszystkich sił doprowadzić do naszej zguby. Kto jest tak zuchwały, żeby robić coś podobnego, ten musi też mieć odwagę walczyć ze mną.

- Pshaw! Walczę tylko z wodzami!

- Ja jestem wodzem!

- Udowodnij to!

- Pięknie! Uczynię to w ten sposób, że powieszę cię na pierwszym drzewie, jeśli się będziesz wzdragał walczyć ze mną.

Groźba powieszenia jest dla Indianina chyba najcięższą obelgą. Toteż Tangua natychmiast wyrwał nóż zza pasa i wrzasnął:

- Psie, mam cię przebić?

- Możesz, ale tylko w uczciwej walce - pierś w pierś, ostrze przeciwko ostrzu.

- Ani mi się śni! Z Old Shatterhandem nie chcę mieć nic do czynienia!

- Ale gdy byłem przywiązany i nie mogłem się bronić, to chciałeś, ty tchórzu!

Chciał się na mnie rzucić, ale Winnetou stanął pomiędzy nim a mną i powiedział:

- Mój brat Old Shatterhand ma słuszność. Tangua oszkalował go i pragnął go zgubić. Jeżeli nie dotrzyma słowa, to jest istotnie

tchórzem i zasługuje na wykluczenie ze swego szczepu. Rzecz tę należy rozstrzygnąć natychmiast, gdyż nikt nie powinien zarzucić Apaczom, że goszczą u siebie tchórzy. Jak zamierza postąpić wódz Keiowehów?

Tangua, zanim odpowiedział, rzucił okiem dokoła. Apaczów było prawie cztery razy tyle, co Keiowehów, a prócz tego Keiowehowie znajdowali się na ich terytorium. Niepodobna było dopuścić do sporu między obu szczepami teraz, kiedy miał zapłacić tak wielki okup i kiedy właściwie był jeszcze na pół jeńcem.

- Namyślę się nad tym - odrzekł wymijająco.

- Mężny wojownik nie potrzebuje się namyślać. Albo się zgodzisz na walkę, albo przylgnie do ciebie nazwa tchórza. Na to poderwał się obrażony i wrzasnął:

- Tangua tchórzem? Kto tak twierdzi, temu nóż wbiję w piersi!

- Ja to powiadam - rzekł Winnetou dumnie i spokojnie - jeśli nie dotrzymasz słowa danego Old Shatterhandowi.

- Dotrzymam!

- Więc gotów jesteś z nim walczyć?

- Tak.

- I to natychmiast?

- Natychmiast! Pragnę jak najprędzej zobaczyć jego krew.

- Dobrze. Teraz należy postanowić, jakiej broni użyjecie w tej walce.

- Kto ma to postanowić?

- Old Shatterhand.

- Dlaczego?

- Ponieważ ty go obraziłeś.

- Nie, ja powinienem oznaczyć broń.

- Ty?

- Tak, ja, gdyż on mnie obraził, a ja jestem wodzem, gdy tymczasem on zwykłym białym. Jestem więc czymś o wiele ważniejszym od niego.

- Old Shatterhand jest czymś więcej od czerwonoskórego wodza.

- On też tak twierdzi, ale nie zdołał tego udowodnić. Groźba nie jest dowodem. Wtedy ja rozstrzygnąłem tę kwestię:

- Niech Tangua wybiera; mnie wszystko jedno, jaką bronią go zwyciężę.

- Ty mnie nie zwyciężysz! - ryknął na mnie. - Czy sądzisz, że zgodzę się na walkę na pięści, w której ty każdego powalisz, albo na nóż, którym przebiłeś Noża-Pioruna, albo na tomahawk, który nawet dla Inczu-czuny okazał się zgubnym?

- Więc co?

- Będziemy strzelać do siebie, a moja kula ugrzęźnie ci w sercu!

- Dobrze, przystaję z ochotą. Ale czy mój brat Winnetou słyszał, do czego teraz przyznał się Tangua?

- Co takiego?

- Że walczyłem z Nożem-Piorunem po to, by uwolnić Apaczów od słupa męczeńskiego; Tangua przeczył temu dotychczas. Wszyscy się teraz przekonali, że miałem słuszność nazywając go kłamcą.

- Kłamcą? - huknął na mnie Keioweh. - Życiem mi za to zapłacisz! Prędzej, podajcie mu strzelbę! Niech się walka rozpocznie natychmiast, żebym tego psa ujadającego zmusił do milczenia! Trzymał swoją strzelbę w ręku, Winnetou posłał Apacza do puebla po moją rusznicę i amunicję, którą, nim mnie pojmano, nosiłem przy sobie. Wszystko zachowano starannie, gdyż Winnetou, pomimo że mnie uważał za swego wroga, opiekował się mną bardzo troskliwie. Następnie zwrócił się do mnie z tymi słowy:

- Niech mój biały brat powie, z jakiej odległości będziecie strzelać oraz ile strzałów macie dać.

- Mnie wszystko jedno - odrzekłem. - Kto wybierał broń, niechaj i to rozstrzygnie.

- Tak, ja rozstrzygam - rzekł Tangua. - Dwieście kroków i tyle strzałów, dopóki jeden z nas nie padnie i nie zdoła się już podnieść.

- Dobrze - powiedział Winnetou. - Ja będę tego pilnował. Będziecie strzelali na przemian. Ja stanę obok ze strzelbą i

wpakuję kulę w łeb temu, który się ośmieli złamać ten porządek. Ale kto ma pierwszy strzał?

- Naturalnie, że ja! - zawołał Keioweh.

Winnetou potrząsnął niechętnie głową i rzekł:

- Tangua zabiera wszystkie korzyści dla siebie. Old Shatterhand ma pierwszy strzał..

- Nie! - odparłem. - Niech się stanie zgodnie z jego życzeniem. On da jeden strzał, potem ja drugi i będzie po wszystkim.

- Nie! - odrzekł Tangua. - Strzelamy, dopóki jeden z nas nie padnie!

- Oczywiście, to właśnie miałem na myśli, ponieważ pierwszy mój strzał rozciągnie cię na ziemi.

- Samochwał!

- Pshaw! Właściwie powinienem cię zabić, ale tego nie zrobię. Ukarzę cię w ten sposób, że strzaskam ci prawe kolano, zapamiętaj to sobie!

- Czyście słyszeli? - zaśmiał się. - Ta blada twarz, którą właśni przyjaciele nazywają greenhornem, zapowiada, że z odległości dwustu kroków przestrzeli mi kolano! Wyśmiejcie go, wojownicy, wyśmiejcie!

Spojrzał dokoła, ale nikt się nie zaśmiał. Wobec tego mówił sam dalej:

- Wy się jego boicie! Ja wam pokażę, że sobie kpię z niego. Chodźcie, odmierzymy dwieście kroków!

Właśnie przyniesiono mi rusznicę. Zbadawszy ją, przekonałem się, że jest w dobrym, stanie, a obie lufy ma nabite. Dla pewności wystrzeliłem obie kule i nabiłem na nowo tak starannie, jak tego wymagała sytuacja. Wtem zbliżył się do mnie Sam z tymi słowy:

- Mam do was sto zapytań, a nie znajduję do tego sposobności. Na razie tylko jedno. Czy rzeczywiście chcecie tego draba trafić w kolano?

- Tak.

- Tylko?

- To będzie dostateczna kara.

- Nie, na pewno nie! Takie plugastwo należy tępić, jeśli się nie mylę. Zważcie tylko, co on zawinił, ile się już złego stało przez to jedynie, że chciał ukraść konie Apaczom!

- Temu winni biali co najmniej tak samo, ponieważ go namówili do tego.

- Ale dał się namówić! Na waszym miejscu wpakowałbym mu kulę w łeb. On z pewnością będzie mierzył w waszą głowę!

- Albo w piersi. Jestem tego pewien.

- Nie trafi. Pukawka tego draba nic niewarta. Odmierzono już odległość, ustawiliśmy się więc na punktach krańcowych. Byłem spokojny jak zwykle, a Tangua wyczerpywał cały swój zapas obelg, których powtórzyć nie podobna. Niezadowolony z tego Winnetou, stojący nieco z boku pomiędzy nami, rzekł:

- Niechaj wódz Keiowehów milczy i uważa! Liczę do trzech, potem dopiero wolno strzelić. Kto prędzej strzeli, dostanie ode mnie kulę.

Łatwo sobie wyobrazić, że wszyscy obecni byli w najwyższym napięciu. Ustawili się w dwa rzędy po prawej i lewej stronie tak, że utworzyli szeroką ulicę, której końce oznaczaliśmy my. Zapanowała głęboka cisza.

- Niech wódz Keiowehów zaczyna - rzekł Winnetou. - Raz… dwa… trzy!

Stałem spokojnie, zwrócony do przeciwnika całą szerokością ciała. Ten złożył się zaraz za pierwszym słowem Winnetou, zmierzył starannie i wypalił. Kula przeleciała tuż koło mnie. Nikt nie wydał głosu.

- Teraz strzela Old Shatterhand - wezwał mnie Winnetou. - Raz… dwa…

- Zaraz! - przerwałem mu. - Ja stałem naprzeciwko wodza Keiowehów rzetelnie i prosto, on zaś odwraca się i staje ku mnie bokiem.

- To mi wolno! - odparł. - Kto mi zabroni? Tego nie określono, jak mamy stawać.

- To prawda, więc Tangua może się tak ustawić, jak mu się spodoba. Nadstawia mi wąską stronę ciała, sądząc, że nie tak łatwo go trafię, ale się myli, bo nie chybię na pewno. Mógłbym

wypalić, nie mówiąc ani słowa, ale chcę być wobec niego uczciwy. Zapowiedziałem, że dostanie kulę w prawe kolano, jeśli jednak stać będzie bokiem, to kula roztrzaska mu oba kolana. Oto cała różnica. Niechaj robi teraz, co chce; ja go ostrzegłem.

- Strzelaj kulami, a nie słowami! - szydził tamten i nie zważając na moją przestrogę nie zmienił bocznej pozycji.

- Old Shatterhand strzela - powtórzył Winnetou. - Raz... dwa... trzy! Huknął strzał. Tangua wydał głośny okrzyk, puścił strzelbę z ręki, rozłożył ramiona i runął na ziemię.

- Uff, uff, uff! - zawołano ze wszystkich stron i zaczęto się cisnąć, aby zobaczyć, gdzie trafiłem.

Ja podszedłem także, a wszyscy rozstąpili się z szacunkiem.

- W oba kolana, w oba kolana - powtarzano na prawo i lewo. Kiedy przystąpiłem do Tanguy, leżał jęcząc na ziemi.

Winnetou klęczał już przy nim i badał ranę. Spostrzegłszy, że się zbliżam, rzekł:

- Kula poszła zupełnie tak, jak przepowiedział mój biały brat; oba kolana strzaskane. Tangua już nigdy nie wyjedzie konno, aby rzucić okiem na rumaki innych szczepów.

Raniony, ujrzawszy mnie, obsypał mnie całym gradem przezwisk. Huknąłem na niego tak, że zamilkł na chwilę, i rzekłem:

- Przestrzegłem cię, lecz ty nie usłuchałeś. Sam jesteś temu winien.

Nie śmiał dalej jęczeć, gdyż Indianinowi nie przystoi tego robić nawet w największym bólu. Zagryzł wargi i patrzył przed siebie ponuro, a potem warknął:

- Jestem zraniony i nie mogę wrócić do domu, muszę pozostać u Apaczów.

Na to Winnetou potrząsnął głową i rzekł bardzo stanowczo:

- Musisz wrócić do domu, gdyż nie mamy miejsca dla złodziei naszych koni i morderców naszych wojowników. Nie zemściliśmy się krwawo i zadowoliliśmy się okupem. Więcej żądać nie możesz. Keioweh nie należy do naszego puebla.

- Ależ ja nie będę mógł usiedzieć na koniu!

- Old Shatterhand był ciężej ranny i też nie mógł jechać na koniu, a mimo to dostał się tutaj. Myśl o nim często! To ci się przyda. Keiowehowie chcieli nas dzisiaj opuścić; niech to uczynią, gdyż kogo z nich spotkamy jutro w pobliżu naszych pastwisk, z tym obejdziemy się tak, jak wedle ich życzenia mieliśmy postąpić z Old Shatterhandem. Powiedziałem. Howgh!

Wziął mnie za rękę i odprowadził na bok. Wydostawszy się ze ścisku, ujrzeliśmy Inczu-czunę płynącego ku nam łodzią z dwoma wysłanymi doń ludźmi. Winnetou pośpieszył nad rzekę, a ja udałem się do Sama Hawkensa, Dicka Stone'a i Willa Parkera.

- Nareszcie, nareszcie będziemy was mieli dla siebie!- rzekł pierwszy z nich. - Powiedzcie nam przede wszystkim, jakie to włosy pokazaliście Winnetou?

- Te, które mu sam obciąłem.

- Kiedy?

- Gdy uwolniłem go razem z ojcem.

- To wy... do wszystkich diabłów... wy... wy, greenhorn, mielibyście ich uwolnić?

- Oczywiście.

- Nie powiedziawszy nam o tym ani słowa?

- To było zbyteczne!

- Ale jakże tego dokonaliście?

- Tak, jak to czynią greenhorny.

- Mówcie rozsądnie, sir! To było nadzwyczaj trudne.

- Tak, wątpiliście nawet, czy wam by się to udało.

- No, a wam się udało! Albo ja nie mam rozumu, albo przestał mi działać.

- To pierwsze, Samie, to pierwsze!

- Nie róbcie głupich dowcipów! Taki chytrus! Odwiązuje od męczeńskich słupów wodzów i nosi z sobą cudotwórczy kosmyk, nie zdradzając się z tym ani słowem! A taką ma uczciwą minę! Z tego tylko widać, że nie należy nikomu wierzyć! A jakże tam dziś było? Niektóre rzeczy są dla mnie niejasne. Utonęliście i nagle pojawiliście się znowu!

Opowiedziałem mu wszystko, a gdy skończyłem, zawołał:

- Człowiecze, przyjacielu, greenhornie, straszny z was hultaj, jeśli się nie mylę! Muszę was znowu zapytać, czy nie byliście jeszcze nigdy na Zachodzie?

- Nie.

- Ani w ogóle w Stanach Zjednoczonych?

- Nie.

- To niech was diabeł zrozumie, bo ja nie potrafię! Jesteście we wszystkim nowicjuszem, a zarazem mistrzem. Nie widziałem jeszcze takiego dziwoląga. Muszę was pochwalić, naprawdę pochwalić. Poczynaliście sobie sprytnie, hi! hi! hi! Nasze życie wisiało rzeczywiście na włosku. Ale niech wam ta pochwała nie przewróci w głowie, bo jeszcze będziecie robić głupstwa. Dziwiłoby mnie to naprawdę, gdybyście kiedy zostali użytecznym westmanem!

Mówiłby dalej w tym tonie, ale nadeszli Winnetou i Inczu-czuna. Stary wódz patrzył mi długo i poważnie w oczy, jak przedtem syn, i powiedział:

- Słyszałem o wszystkim od Winnetou. Jesteście wolni, a nam przebaczcie. Jesteś bardzo dzielnym i przebiegłym wojownikiem i zwyciężysz niejednego wroga. Czy zapalisz z nami fajkę pokoju?

- Owszem, chciałbym być waszym przyjacielem i bratem!

- To chodźcie teraz ze mną i córką moją Nszo-czi do puebla! Wyznaczę mojemu zwycięzcy godne mieszkanie. Winnetou zostanie tutaj, aby dopilnować porządku.

Weszliśmy z nim i z Nszo-czi - jako wolni ludzie - do zamku w kształcie piramidy, który opuszczaliśmy jako jeńcy wleczeni na śmierć.

ROZDZIAŁ V

"PIĘKNY DZIEŃ"

Wróciwszy teraz do puebla, zobaczyłem, jaka to była silna i olbrzymia budowla kamienna. Uważa się powszechnie ludy amerykańskie za niezdolne do stworzenia wyższej kultury, ale ludzie, którzy umieli poruszyć takie masy skalne i spiętrzyć je w tak niezdobytą dla ówczesnej broni twierdzę, nie mogli przecież znajdować się na niskim stopniu kultury. Choć nie wiadomo, czy dzisiejsi Indianie są potomkami dawnych kulturalnych narodów amerykańskich, to i tak nie ma powodu do twierdzenia, jakoby nie byli zdolni do dalszego rozwoju. Oczywiście, jeśli się nie da im na to miejsca ani czasu, muszą upaść i wyginąć. Wspięliśmy się za pomocą drabin na trzecią platformę, na której leżały najparadniejsze komnaty puebla. Tu mieszkał Inczu-czuna z dwojgiem dzieci i tu wyznaczono dla nas mieszkanie. Moje było obszerne. Wprawdzie nie miało okien i światło wpadało drzwiami, ale drzwi te, bardzo wysokie i szerokie, sprawiały, że było dość jasno. Komnata była pusta, ale Nszo-czi urządziła ją niebawem za pomocą futer, koców i różnych sprzętów tak, że okazała się daleko wygodniejsza, niż mógłbym przypuszczać.

Hawkens, Stone i Parker otrzymali razem taką samą komnatę. Gdy mój pokój gościnny był już o tyle urządzony, że mogłem doń wejść, przyniosła mi Nszo-czi przepysznie rzeźbioną fajkę pokoju i tytoń. Sama mi ją napchała i zapaliła. Gdy pociągnąłem raz i drugi, rzekła;

- Tę fajkę przysyła ci mój ojciec, Inczu-czuna. On sam przywiózł świętą glinę z kamieniołomów, a ja wyrzeźbiłam tę

głowicę. Nie była jeszcze w niczyich ustach, prosimy cię, żebyś przyjął ją od nas na własność, a paląc ją, żebyś o nas pamiętał.

- Wasza dobroć jest wielka - odrzekłem - lecz mnie zawstydza, gdyż nie mam się czym odwzajemnić.

- Dałeś nam już tak wiele, że nie zdołamy ci się za to odwdzięczyć, uratowałeś kilkakrotnie życie Inczu-czuny i Winnetou! Obydwaj byli kilka razy w twoim ręku, a ty ich nie zabiłeś. Dziś mogłeś znowu pozbawić życia Inczu-czunę, nie narażając się na żadną karę, a jednak tego nie uczyniłeś. Za to pozyskałeś sobie nasze serca. Pozwól naszym wojownikom uważać cię za brata.

- Jeśliby się to stało, spełniłoby się moje największe życzenie. Inczu-czuna jest sławnym wodzem i wojownikiem, a Winnetou pokochałem od razu od pierwszej chwili. Jest to dla mnie nie tylko wielki zaszczyt, lecz również wielka radość, że będą mnie nazywali bratem takich mężów. Pragnę tylko, żeby moich towarzyszy także spotkał ten zaszczyt.

- Jeśli zechcą, będą uważani za rodowitych Apaczów.

- Dziękujemy wam za to. A więc to ty sama wyrzeźbiłaś tę fajkę ze świętej gliny? Cóż za zręczność posiadasz w rękach!

Pokraśniała na tę pochwałę i rzekła:

- Wiem, że żony i córki bladych twarzy więcej umieją i zręczniejsze są od nas. A teraz jeszcze ci coś przyniosę.

Wyszła i przyniosła moje rewolwery, nóż, amunicję i inne przedmioty, których nie trzymałem w kieszeniach, stamtąd bowiem nie zabrano mi niczego, nawet gdy byłem w niewoli. Podziękowałem stwierdzając zarazem, że niczego nie brakuje, i zapytałem:

- Czy moi towarzysze otrzymają także na powrót swą własność?

- Rozumie się. Wszystko niewątpliwie już dostali, gdyż kiedy ja ciebie tu obsługuję, nimi zajmuje się Inczu-czuna.

- A co z naszymi końmi?

- Są także. Ty będziesz jeździł na swoim, a Sam Hawkens na swojej Mary.

- Ach! Wiesz, jak się ten muł nazywa?

- Tak. Znam także imię starej flinty Sama Hawkensa. Nie powiedziałam ci, że często z nim rozmawiałam. To bardzo figlarny człowiek, ale też i dzielny wojownik.

- Tak i, co więcej, jest wiernym i zdolnym do ofiar towarzyszem, którego trudno nie kochać. Ale muszę cię jeszcze o coś zapytać. Czy dasz mi szczerą odpowiedź?

- Nszo-czi nigdy nie kłamie! - odparła z dumą, a zarazem z prostotą. - Najmniej zaś tobie mogłabym powiedzieć nieprawdę.

- Wasi wojownicy odebrali Keiowehom wszystko, co mieli oni z sobą?

- Tak.

- A moim trzem towarzyszom także?

- Tak.

- A dlaczego mnie zostawiono to, co było w kieszeniach?

- Bo tak kazał mój brat Winnetou.

- Czy wiesz, czemu wydał taki rozkaz?

- Bo cię miłował.

- Pomimo że uważał mnie za swego wroga?

- Tak. Powiedziałeś przedtem, że pokochałeś go od razu od pierwszej chwili, to samo czuł on w stosunku do ciebie. Bardzo mu było przykro, że musiał cię uważać za wroga, i to nie tylko za wroga...

Zatrzymała się w obawie, że powie coś, co, mogłoby mnie obrazić.

- Mów dalej! - prosiłem.

- Nie.

- To ja skończę za ciebie. To, że musiał widzieć we mnie swego wroga, zapewne nie dolegało mu tak bardzo, gdyż nawet wróg może zasługiwać na szacunek, ale on sądził, że jestem kłamcą, fałszywym i podstępnym człowiekiem. Prawda?

- Słusznie się domyślasz.

- A teraz jeszcze jedno pytanie: co słychać z Rattlerem, mordercą Kleki-petry?

- Przywiązują go właśnie do słupa męczeńskiego.

- Co? Teraz? Teraz właśnie?

- Tak.

- I ja nic o tym nie wiem? Czemu zamilczano to przede mną?
- Winnetou tego żądał.
- Tak? Dlaczego?
- Przypuszczał, że twoje oczy nie mogłyby na to patrzeć, a uszy słuchać.
- Winnetou nie pomylił się, a jednak może zdołałbym na to patrzeć i słuchać, gdyby uwzględniono moje życzenie.
- Jakie?
- Powiedz mi najpierw, gdzie się odbędą tortury!
- Tam na dole, nad rzeką, gdzie ty się znajdowałeś poprzednio. Inczu-czuna odprowadził was, żebyście przy tym nie byli.
- Ale ja chcę być przy tym! Jakie przeznaczono dlań męki?
- Wszystkie, jakie zazwyczaj zadaje się jeńcom. To najgorsza blada twarz ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wpadły w ręce Apaczom. Bez żadnego powodu zamordował nauczyciela Winnetou, Białego Ojca, którego czciliśmy wszyscy i kochali, i dlatego nie umrze tylko po kilku męczarniach, lecz wojownicy spróbują na nim po kolei wszystkich mąk, jakie znamy.
- Tak być nie powinno, to nieludzkie!
- On na to zasłużył!
- Czy mogłabyś patrzeć na to?
- Tak.
- Ty, dziewczyna?

Długie jej rzęsy opadły na oczy. Na kilka chwil spuściła wzrok ku ziemi, potem podniosła go, spojrzała mi w twarz poważnie, prawie z wyrzutem, i rzekła:

- Ty się temu dziwisz?
- Tak. Kobieta nie powinna znosić takiego widoku.
- Czy tak jest u was?
- Tak.
- Rzeczywiście?
- Tak.
- Mówisz nieprawdę, a kłamcą przecież nie jesteś, gdyż wypowiadasz ją nie naumyślnie, lecz nieświadomie. Ty się mylisz.

- Więc ty twierdzisz co innego?
- Tak.
- W takim razie znasz chyba lepiej ode mnie nasze kobiety i dziewczęta!
- A może ty ich nie znasz! Gdy wasi zbrodniarze stają przed sędzią, to innym wolno tego słuchać. Tak?
- Tak jest.
- Opowiadano mi, że bywa tam więcej słuchaczek niż słuchaczy. Czy tam jest miejsce dla skwaw? Czy to ładnie z jej strony, że ściąga ją tam ciekawość?
- Nie.
- A gdy u was tracą mordercę, gdy go wieszają lub ucinają mu głowę, czy nie ma przy tym białych niewiast?
- Tak bywało dawniej.
- A teraz im zakazano?
- Tak.
- A mężczyznom także?
- Tak.
- A więc nikomu nie wolno! Ale gdyby jeszcze było wolno, przychodziłyby i one. O, kobiety bladych twarzy nie są tak delikatne, jak sądzisz. One doskonale znoszą ból, ale ból innych ludzi lub zwierząt. Nie byłam u was, ale mówił mi o tym Kleki-petra. Potem Winnetou był w wielkich miastach Wschodu, a gdy powrócił, opowiadał mi wszystko, na co patrzył i co zauważył. Czy wiesz, co wasze kobiety robią ze zwierzętami, które gotują, smażą i jedzą?
- No?
- Zdejmują z nich żywcem skórę, wyrywają im jeszcze za życia wnętrzności i wrzucają je żywe do wrzącej wody. A czy wiadomo ci, co robią czarownicy białych?
- Co?
- Wrzucają żywe psy do wrzącej wody, aby się dowiedzieć, jak długo będą jeszcze potem żyły, i zdejmują z nich poparzoną skórę. Wycinają im oczy i języki, otwierają brzuchy i męczą je na różne inne sposoby, aby potem robić z tego książki.
- To są wiwisekcje, przeprowadzane dla wiedzy.

- Wiedzy? Kleki-petra był także moim nauczycielem, dlatego wiem, co chcesz przez to słowo powiedzieć. Jak też wasz Wielki Duch ocenia tę wiedzę, która nie potrafi niczego nauczyć bez śmiertelnych mąk zwierząt? I takie męczarnie uprawiają wasi czarownicy w swoich domach, gdzie także mieszkają ich żony, które muszą na to patrzeć! Czy może nie słyszą, jak dręczone zwierzęta wyją z boleści? Czy wasze skwaw nie trzymają ptaków w klatkach? Czy one nie wiedzą, jaka to męka dla ptaka? Czy wasze niewiasty nie siedzą tysiącami na wyścigach i nie radują się jak jeźdźcy zajeżdżają konie na śmierć? Czy nie są obecne skwaw tam, gdzie się kaleczą bokserzy? Jestem młodą, niedoświadczoną dziewczyną, którą zaliczacie do ”dzikich”, ale mogłabym ci powiedzieć niejedno jeszcze, co robią wasze delikatne skwaw, nie odczuwając przy tym przerażenia, które ja odczuwam. Policz te tysiące wiotkich, pięknych, białych niewiast, które z uśmiechem na ustach stały, gdy męczono ich niewolników lub ćwiczono na śmierć czarną służebnicę! A tutaj mamy zbrodniarza, mordercę, który powinien umrzeć tak, jak na to zasłużył. Ja chcę być świadkiem tego, a ty to potępiasz? Czy to istotnie złe z mej strony, że potrafię spokojnie patrzeć na śmierć takiego człowieka? A gdyby nawet było to złe, to kto ponosi winę tego, że czerwonoskórzy przyzwyczaili swe oczy do takich rzeczy? Czyż to nie biali zmuszają nas do odpłacania srogością za ich okrucieństwa?

- Wątpię, czy biały sędzia skazałby pojmanego Indianina na pal męczeński.

- Sędzia? Nie gniewaj się, gdy wypowiem słowo słyszane tyle razy z ust Hawkensa: greenhorn! Ty nie znasz Zachodu. Gdzie tu masz sędziów, ludzi, których tym wyrazem obejmujesz? Silniejszy jest sędzią, a sądzi się słabego. Posłuchaj, co się dzieje u ognisk obozowych bladych twarzy! Czy ci niezliczeni Indianie, którzy padli w walce z białymi napastnikami, zginęli wszyscy od razu od kuli lub noża? Ilu z nich zamęczono na śmierć, choć nie zrobili nic złego, bronili tylko swoich praw! Postanowiono u nas, że zginie morderca, który na tę karę zasłużył, a ja mam odwracać oczy dlatego, że jestem dziewczyną? My także

byłyśmy niegdyś inne, ale wy nauczyliście nas patrzeć na krew i nie drgnąć przy tym powieką. Pójdę i będę obecna, kiedy morderca Kleki-petry poniesie zasłużoną karę! Poznałem tę piękną, młodą Indiankę jako cichą, łagodną istotę, a teraz stała przede mną z błyszczącymi oczyma i płonącymi policzkami, żywy obraz bogini zemsty, nieprzystępnej dla miłosierdzia. Wydała mi się niemal piękniejsza niż przedtem. Czy należało ją za to potępić? Czyż nie miała słuszności?

- To idź - rzekłem - ale ja także pójdę.

- Zostań lepiej tu! -prosiła zupełnie już innym tonem.- Inczu-czuna i Winnetou nie będą zadowoleni z twego przybycia.

- Czy będą się na mnie gniewali?

- Nie. Nie życzą sobie tego, ale ci nie zakażą, gdyż jesteś nam bratem.

- Pójdę więc, a oni mi to wybaczą.

Wyszedłszy na platformę, zastałem tam Sama Hawkensa. Palił krótką myśliwską fajeczkę, ponieważ także dostał tytoń.

- Teraz to zupełnie co innego, sir - rzekł chrząkając z zadowoleniem. - Być najpierw jeńcem, a potem grać wielkiego pana, to chyba różnica. Jak się czujecie w nowych warunkach?

- Dziękuję, dobrze - odrzekłem.

- Ja także doskonale. Sam wódz nas obsługiwał. To przecież przyjemnie, jeśli się nie mylę.

- Gdzie jest teraz Inczu-czuna?

- Poszedł znowu nad rzekę.

- Czy wiecie, co się tam teraz dzieje?

- Domyślam się.

- No, co?

- Czułe pożegnanie z miłymi Keiowehami.

- Nie tylko.

- A cóż jeszcze?

- Męczą Rattlera.

- Męczą Rattlera? A nas tutaj zaprowadzili? Ja muszę także być przy tym! Chodźcie, sir, zejdźmy tam prędko!

- Powoli! Czy potraficie patrzeć na takie sceny i dreszcz was nie odpędzi?

- Patrzeć? Dreszcz? Jaki z was jednak greenhorn, kochany sir! Gdy zabawicie dłużej na Zachodzie, nie będziecie myśleli o dreszczach. Ten drab zasłużył na śmierć i tracą go, tyle że na sposób indiański.

- Ależ to okrucieństwo!

- Pshaw! Nie mówcie o okrucieństwie w tym wypadku! Umrzeć przecież musi! A może się i na to nie godzicie?

- O tak, ale niech się z nim krótko załatwią! To przecież człowiek!

- Człowiek mordujący drugiego, który mu nic a nic złego nie zrobił, to już nie człowiek. Był pijany jak bydlę.

- To okoliczność łagodząca. Nie wiedział już, co czyni.

- Nie bądźcie śmieszni! Tak, tam u was w Starym Kraju zasiadają panowie prawnicy i każdemu, komu się spodoba popełnić zbrodnię w stanie pijanym, liczą wódkę jako okoliczność łagodzącą. Zaostrzyć powinni karę, sir, zaostrzyć! Kto się tak bezmyślnie upije, że rzuca się na bliźniego jak dzikie zwierzę, tego należałoby ukarać podwójnie. Nie mam ani odrobiny współczucia dla tego Rattlera. Pomyślcie tylko, jak on się z wami obchodził!

- Myślę o tym, ale spróbuję, może uda mi się wyjednać mu szybką śmierć.

- Dajcie temu spokój, sir! Po pierwsze, on na to nie zasługuje, a po wtóre, wszelkie wasze wysiłki będą daremne. Kleki-petra był nauczycielem, duchowym ojcem plemienia, a śmierć jego jest niepowetowaną stratą dla Apaczów, morderstwo zaś zostało popełnione bez żadnego powodu. Dlatego nie uda się skłonić czerwonoskórych do pobłażliwości.

- A jednak spróbuję!

- Ale daremnie!

- W takim razie wpakuję Rattlerowi kulę w serce.

- Aby zakończyć jego męczarnie? Nie czyńcie tego, na miłość boską! Usposobilibyście wrogo cale plemię, które ma prawo oznaczania rodzaju kary. Jeśli je tego prawa pozbawicie, natychmiast będzie koniec naszej młodej przyjaźni. A więc idziecie?

- Tak.

- Pięknie, ale nie róbcie głupstw! Zawołam Dicka i Willa.

Zniknął w mieszkaniu i ukazał się wkrótce z obydwoma swymi przyjaciółmi. Razem zeszliśmy z pięter. Nszo-czi poszła naprzód i już jej nie było widać. W dolinie Rio Pecos nie zastaliśmy już Keiowehów, którzy odjechali ze swoim zranionym wodzem. Inczu-czuna był tak rozumny, że wysłał za nimi potajemnie zwiadowców, gdyż bał się, czy nie weźmie ich chętka powrócić niepostrzeżenie, aby się zemścić.

Wspomniałem już, że tam na placu stał nasz wóz; otaczał go tłum Apaczów. Inczu-czuna i Winnetou stali w środku koła pogrążeni w rozmowie z Nszo-czi. Jakkolwiek Nszo-czi była córką wodza, nie śmiała się mieszać do spraw męskich. Jeśli teraz jednak nie znajdowała się przy kobietach, znaczyło to, że miała do zakomunikowania bratu coś bardzo ważnego. Widząc nas nadchodzących, wskazała na nas i cofnęła się do kobiet. Winnetou przebił się przez krąg wojowników, wyszedł naprzeciw nas i rzekł poważnie:

- Czemu moi biali bracia nie zostali na górze w pueblu? Czy nie podobają im się ich mieszkania?

- Podobają się i dziękujemy za troskliwość czerwonemu bratu - odrzekłem. - Przychodzimy, gdyż słyszeliśmy, że Rattler ma teraz ponieść śmierć. Czy tak?

- Tak.

- Ależ ja go nie widzę!

- Leży na wozie przy zwłokach zamordowanego.

- Jaki mu rodzaj śmierci przeznaczono?

- Śmierć w męczarniach.

- Czy to nieodwołalne postanowienie?

- Tak.

- Oko moje takiej śmierci nie zniesie!

- Dlatego mój ojciec, Inczu-czuna, zaprowadził was do puebla. Czemu zjawiliście się znowu tutaj, skoro wzrok wasz na coś podobnego nie może patrzeć?

- Religia moja nakazuje mi wstawić się za Rattlerem.

- Twoja religia? Czy nie jest ona i jego religią?

- Tak.
- Czy on postępował według jej przykazań?
- Niestety nie.
- Więc nie potrzebujesz spełniać ich względem niego. Twoja i jego religia zakazuje zabijać, a on mimo to mordował, nie można więc do niego stosować jej nauk.
- Nie mogę się kierować tym, co on zrobił. Muszę spełnić moją powinność, nie pytając o zapatrywania i czyny innych. Proszę usilnie, byście złagodzili swoją surowość i pozwolili temu człowiekowi umrzeć szybką śmiercią.
- Co raz postanowiono, musi być wykonane.
- Nieodwołalnie?
- Tak.
- Więc nie ma sposobu, aby moje życzenie zostało spełnione?
Popatrzył w ziemię poważnie i z namysłem, a potem odrzekł:
- Jest tylko jeden.
- Jaki?
- Zanim go podam memu białemu bratu, muszę poprosić, żeby go nie użył, gdyż zaszkodziłoby ci to bardzo u moich wojowników.
- W jaki sposób?
- Nie ceniliby cię już tak, jakbym sam tego pragnął ze względu na ciebie.
- Czy to środek niehonorowy i zasługujący na pogardę?
- Wedle pojęć czerwonoskórych mężów tak.
- Cóż to za środek?
- Musiałbyś powołać się na naszą wdzięczność.
- Ach! Tego nikt rzetelny nie uczyni!
- Nie. Zawdzięczamy ci życie. Powołując się. na to, zniewoliłbyś mnie i ojca mego, Inczu-czunę, do zajęcia się twym życzeniem.
- W jaki sposób
- Odbylibyśmy nową naradę i na niej przemawialibyśmy za tobą tak, że wojownicy musieliby uznać wdzięczność, której się domagasz. Wówczas jednak straciłoby wartość wszystko, czego

z taką chlubą dla siebie dokonałeś. Czy ten Rattler godzien jest takiej ofiary?

- Pewnie, że nie!- Brat mój słyszał, że mówię z nim szczerze. Wiem, jakie uczucia i myśli przenikają jego serce, ale moi wojownicy pojąć tego nie mogą. Gardziliby człowiekiem, który by żądał takiego dowodu wdzięczności. Czy Old Shatterhand, który mógłby zostać najsławniejszym wojownikiem Apaczów, ma od nas odejść dlatego, że wojownicy spluwaliby przed nim?

Trudno było na to odpowiedzieć. Serce nakazywało obstawać przy prośbie, ale rozum, a raczej duma sprzeciwiała się temu. Winnetou widocznie współczuł mojej wewnętrznej rozterce, bo powiedział:

- Pomówię z ojcem, a mój brat niech tu zaczeka!

Odszedł.

- Nie róbcie głupstw, sir! - tłumaczył Sam. - Nie domyślacie się, że to wstawiennictwo możecie życiem przypłacić.

- To chyba nie!

- O, i owszem! To prawda, że czerwonoskóry gardzi każdym, kto wprost żąda od niego wdzięczności. Zrobi to, czego się ten ktoś domaga, ale na przyszłość nie chce już znać tego człowieka. Musielibyśmy istotnie dziś się oddalić, a mamy przed sobą nieprzyjaznych Keiowehów. Co to znaczy, tego nie potrzebuję wam tłumaczyć.

Inczu-czuna i Winnetou rozmawiali z sobą przez chwilę bardzo poważnie, po czym zbliżyli się do nas, a ojciec rzekł:

- Gdyby Kleki-petra nie zaznajomił nas nieco z waszym sposobem myślenia, uważałbym cię za człowieka, z którym wstyd mówić. Dzięki Kleki-petrze pojmuję twoje życzenie, ale moi wojownicy nie zrozumieliby go i gardziliby tobą.

- Nie tylko o mnie tu idzie, lecz także o Kleki-petrę.

- Jak to?

- On wyznawał tę samą wiarę, która mnie nakazuje przedłożyć tę prośbę. Wierz mi, że gdyby żył jeszcze, nie dopuściłby do tego, żeby jego morderca zginął taką śmiercią.

- Czy rzeczywiście?

- Jestem tego pewien.

Inczu-czuna potrząsnął zwolna głową i spojrzał w oczy synowi, a syn jemu. Obydwaj zrozumieli wzajemnie swe spojrzenia. Inczu-czuna zwrócił się znowu do mnie i zapytał:

- Czy ten morderca był także twoim wrogiem?

- Tak.

- Więc słuchaj, co ci powiem! Dowiemy się, czy mieszka w nim jeszcze choć ślad czegoś dobrego. Jeżeli tak, to spróbuję spełnić twoje życzenie bez szkody dla ciebie samego. Usiądźcie tutaj i zaczekajcie na to, co się stanie. Gdy ci dam znak, podejdziesz do mordercy i zażądasz, żeby cię poprosił o przebaczenie. Jeśli to zrobi, umrze szybko.

- Czy będzie mi wolno mu to powiedzieć?

- Tak.

Inczu-czuna powrócił z Winnetou do koła wojowników, a my usiedliśmy tam, gdzie staliśmy dotąd.

- Nie przypuszczałem - rzekł Sam - że wódz zgodzi się na wasze życzenie. Musicie się cieszyć jego względami.

- Nie w tym leży przyczyna, ale w czym innym.

- W czym?

- To wpływ Kleki-petry, żywy nawet po jego śmierci. Jestem bardzo ciekaw, co się teraz stanie.

- Zaraz zobaczycie. Uważajcie!

Zdjęto z wozu płachtę, zniesiono jakiś długi, do kufra podobny przedmiot, do którego przywiązany był człowiek.

- To trumna z wypalonych wewnątrz kloców - rzekł Sam Hawkens - obciągnięta zmoczonymi skórami, które po wyschnięciu tak się ściągają, że trumna staje się szczelnie zamknięta. Niedaleko od miejsca gdzie główna dolina schodziła się z boczną, wznosiła się skała, na której zbudowano z dużych kamieni otwarty ku przodowi sześcian. Obok leżało mnóstwo naznoszonych kamieni. Ku temu sześcianowi poniesiono trumnę wraz z przywiązanym do niej człowiekiem. Był nim Rattler.

- Czy wiecie, po co nagromadzono tam kamienie? - zapytał mnie Sam.

- Przypuszczam.

- No, po co?
- Budują grobowiec.
- Słusznie. Podwójny grobowiec.
- Dla Rattlera także?
- Tak. Mordercę pochowają razem z ofiarą, co powinno by się dziać po każdym morderstwie, gdyby to było możliwe.
- To straszne! Być żywcem przywiązanym do trumny zamordowanego i wiedzieć, że to własne ostatnie łoże!
- Zdaje mi się, że naprawdę żal wam tego mordercy. Pojmuję to, że prosiliście, by umarł szybką śmiercią, ale żeby litować się nad nim, tego nie rozumiem naprawdę.

Teraz podniesiono trumnę w ten sposób, że Rattler stanął na nogach, po czym trumnę i jeńca przywiązano rzemieniami do muru. Czerwoni mężczyźni, kobiety i dzieci zbliżyli się i utworzyli półkole. Zapanowała głęboka, pełna oczekiwania cisza. Winnetou i Inczu-czuna zajęli stanowiska koło trumny, jeden z prawej, a drugi z lewej strony. Po czym zabrał głos stary wódz:

- Wojownicy Apaczów zgromadzili się tutaj, by odbyć sąd, gdyż lud Apaczów dotknęła wielka, niepowetowana strata, za którą winny ma zapłacić śmiercią.

Inczu-czuna mówił dalej, kreśląc kwiecistym, indiańskim stylem charakter i działalność Kleki-petry, po czym opisał dokładnie jego śmierć i pojmanie Rattlera. Na końcu oznajmił, że morderca zostanie zamęczony, a potem pochowany obok trumny zmarłego. Skończywszy przemowę, wódz spojrzał ku mnie i dał oczekiwany znak. Wstaliśmy i weszliśmy w krąg czerwonoskórych.

Trumna, ustawiona prosto, miała grubość człowieka i przeszło cztery łokcie długości. Wyglądała jak kawałek grubego pnia pokryty skórą. Rattler był przywiązany do niej plecami. Widać było po nim, że nie cierpiał dotychczas ani głodu, ani pragnienia. Usta miał zatkane kneblem, więc nie mógł mówić. Głowę przymocowano mu także w ten sposób, że nie mógł nią poruszać. W chwili gdy się do niego zbliżyłem, Inczu-czuna wyjął mu z ust knebel i rzekł do mnie:

- Mój biały brat chciał z tym mordercą pomówić. Niech tak będzie!

Rattler zobaczył, że jestem wolny, pomyślał więc sobie niewątpliwie, że zaprzyjaźniłem się z Indianami. Sądziłem przeto, że poprosi mnie, żebym się za nim wstawił. Tymczasem, skoro tylko wyjęto mu z ust knebel, krzyknął zjadliwie:

- Czego chcecie ode mnie? Wynoście się; nie chcę mieć z wami nic do czynienia!

- Słyszeliście, mr. Rattler - odpowiedziałem na to spokojnie - że jesteście skazani na śmierć. To się już nie da zmienić i musicie umrzeć. Ale ja postanowiłem wam...

- Precz, psie, precz! - przerwał i splunął ku mnie.

- Musicie zatem umrzeć - ciągnąłem dalej, nie zbity z tropu - ale rodzaj śmierci od was zależy. Mają was zamęczyć. To jest okropne i chciałbym temu zapobiec. Na moją prośbę okazał Inczu-czuna gotowość oszczędzenia wam męczarni, jeśli tylko wypełnicie postawiony przezeń warunek.

Zatrzymałem się w nadziei, że zapyta mnie o ten warunek, ale zamiast tego rzucił mi straszne przekleństwo, które się nie da powtórzyć.

- Inczu-czuna żąda, żebyście poprosili mnie o przebaczenie - oświadczyłem w dalszym ciągu.

- O przebaczenie? Ciebie o przebaczenie? - krzyknął. - Wolę sobie język odgryźć i znieść wszelkie męczarnie, jakie wymyślą te czerwonoskóre łajdaki!

- Zważcie, mr. Rattler, że nie ja postawiłem ten warunek, bo mnie waszych przeprosin nie potrzeba. Chciał tego Inczu-czuna, a że ja miałem to wam powiedzieć, więc czynię to właśnie teraz. Pamiętajcie, w jakim jesteście położeniu i co wam grozi! Czekają was okropne męki, straszny rodzaj śmierci, którego możecie uniknąć powiedziawszy jedno małe słówko: ”przepraszam”.

- Nie zrobię tego nigdy, nigdy! Zabierajcie się stąd! Nie chcę widzieć waszej łajdackiej twarzy! Idźcie do diabła albo jeszcze dalej!

- Jeśli tak zrobię, jak sobie życzycie, to z pewnością już nie wrócę. Bądźcie zatem rozsądni i powiedzcie to małe słowo!

- Nie, nie i nie! - zaryczał.

- Proszę was o to!

- Precz, precz, powiadam! O jasne nieba, dlaczego jestem związany! Gdybym miał wolne ręce, pokazałbym wam, którędy droga!

- Well, niech się stanie według waszej woli, ale przypominam, że nie wrócę nawet, gdy mnie zawołacie.

- Ja miałbym ciebie wołać? Ciebie, ciebie! Nie myśl nawet o tym! Wynoś się, powtarzam, wynoś się!

- Odchodzę, ale zapytam jeszcze o jedno: czy macie jakieś życzenie? Chętnie wam je spełnię. Może polecicie mi pozdrowić kogo od was? Czy żyją jacy wasi krewni, których należałoby zawiadomić?

- Idź do piekła i zgłoś tam, że jesteś przeklętym łotrem! Ty jesteś w spółce z tymi czerwonoskórymi i oddałeś mnie w ich ręce. Niech cię za to...

- Mylicie się! - przerwałem mu. - A więc nie macie żadnego życzenia przed śmiercią?

- Tylko to jedno, żebyście jak najszybciej poszli za mną do grobu, tylko to jedno!

- Wobec tego skończyliśmy już z sobą. Nie mam tu więcej nic do roboty.

Tego, co na to od niego usłyszałem, nie podobna powtórzyć. Ciarki mi przeszły po ciele! Inczu-czuna wziął mnie za rękę, odciągnął na bok i powiedział:

- Mój biały brat widzi, że ten morderca nie zasługuje na to, żeby się za nim wstawiać. To chrześcijanin. Wy nazywacie nas poganami, ale czy czerwonoskóry wojownik wymówiłby takie słowa?

Milczałem, gdyż nie miałem nic do powiedzenia. Nie spodziewałem się, że Rattler tak się zachowa. Przedtem, gdy mówiono o palach męczeńskich Indian, zachowywał się jak wyjątkowy tchórz, drżał na całym ciele, a dzisiaj zdawało się, że kpi sobie ze wszystkich męczarni świata!

- To nie odwaga z jego strony - rzekł Sam - lecz wściekłość, tylko wściekłość.

- O co?

- Na was, sir. Sądzi, że z waszej winy dostał się w ręce Indian. Nie widział nas od dnia pojmania, a teraz zobaczył, że jesteśmy wolni, Indianie zaś przychylnie do nas usposobieni, gdy tymczasem on ma zginąć. Na podstawie tego przypuszcza oczywiście, że graliśmy w fałszywe karty. Ale niech no się zaczną męki, wówczas będzie śpiewał inaczej. Pamiętajcie, że ja to powiedziałem, jeśli się nie mylę!

Apacze nie kazali nam długo czekać na to smutne widowisko. Widzowie usiedli na ziemi. Wystąpiło kilku młodych wojowników z nożami w rękach i ustawiło się mniej więcej o piętnaście kroków od Rattlera. Rzucili ku niemu nożami, ale starali się go nie trafić - wszystkie ostrza wbiły się w trumnę, do której był przywiązany. Pierwszy nóż utkwił tuż przy prawej, a drugi tuż z lewej strony jego nogi. Następne dwa noże wymierzono nieco wyżej i tak szło to dalej, dopóki obie nogi nie zostały obramowane szeregami noży.

Dotychczas Rattler trzymał się znośnie, ale teraz noże zaświstały wyżej, chodziło bowiem o to, żeby cały kontur jego ciała ”obrysować” nożami. Zdjęła go trwoga. Ilekroć nóż nadlatywał, Rattler wydawał okrzyk przestrachu a okrzyki te stawały się coraz głośniejsze i przeraźliwsze, w miarę, jak Indianie mierzyli coraz wyżej. Kiedy już cały jego korpus tkwił między nożami, przyszła kolej na głowę. Pierwszy nóż wbił się w trumnę na prawo od szyi, drugi na lewo od niej i tak biegły w górę aż do czubka głowy. Rattler już nie krzyczał, lecz po prostu wył bez przestanku.

Widzowie zaczęli szemrać, sykać i na wszelkie sposoby okazywać swą niechęć i pogardę, bo Indianin pod palem męczarni zachowuje się zupełnie inaczej. Od początku widowiska, które kończy się jego śmiercią, intonuje śpiew przedśmiertny, sławi swe czyny i wyszydza swych dręczycieli. Im większy ból mu zadają, tym większe miota na nich obelgi, ale nigdy nie wyda z siebie skargi ani krzyku boleści. Gdy

skona, wrogowie głoszą jego chwałę i chowają go ze wszystkimi indiańskimi honorami. Jest to dla nich zaszczyt, że przyczynili się do śmierci tak pełnej chwały.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z tchórzem, krzyczącym przy najlżejszym zranieniu lub błagającym o łaskę. Zadawanie mu męczarni nie jest zaszczytem, lecz wprost hańbą. Toteż w końcu nie znajdzie się ani jeden dzielny wojownik, który by chciał się nim zajmować. Zabijają go kijami lub pozbawiają życia w inny, równie niehonorowy sposób. Takim tchórzem był Rattler, więc Inczu-czuna huknął na niego:

- Nie wyj dłużej, ty psie! Jesteś smrodliwym kujotem, którego żaden wojownik nie dotknie swoją bronią.

A zwracając się do swoich ludzi, zapytał:

- Kto z synów walecznych Apaczów zechce się jeszcze zajmować tym tchórzem? Nikt się nie odezwał.

- A więc nikt?

Znów to samo milczenie.

- Uff! Ten morderca nie godzien jest tego, żebyśmy go zabili. Nie pochowamy go też z Kleki-petrą. Jak mogłaby ropucha ukazać się obok łabędzia w ostępach wieczności? Odetnijcie go!

Skinął na dwu młodzieńców. Ci zerwali się, skoczyli ku Rattlerowi i odcięli go od trumny. - Związcie mu ręce na plecach i wtrąćcie do wody! - rozkazał wódz.

Rattler wydał okrzyk radości i pozwolił się zawlec do rzeki. Zepchnięto go rzeczywiście do wody, gdyż nie miał nawet tyle ambicji, żeby wskoczyć samemu. Z początku się zanurzył, wnet jednak wychylił się z wody i starał się płynąć na grzbiecie. Nie było to bynajmniej trudne, pomimo że miał ręce związane na plecach. Z powodu niewielkiego ciężaru właściwego człowiek nie idzie na dno, on zaś miał w dodatku nogi swobodne i mógł się z ich pomocą posuwać naprzód, co mu się też w pewnej mierze udawało. Obaj młodzieńcy stali tuż nad wodą i patrzyli za nim. Po chwili wydał Inczu-czuna nowy rozkaz:

- Weźcie strzelby i wypalcie mu w łeb! Wezwani pobiegli na miejsce, gdzie kilku wojowników poskładało strzelby, i wzięli po jednej. Uklękli na brzegu i zaczęli mierzyć w głowę Rattlera.

- Nie strzelać, na miłość boską, nie strzelać! - krzyknął Rattler pełen przerażenia.

Po chwili, trafiony w głowę, zniknął pod wodą. Nie zabrzmiał żaden okrzyk triumfu, jak to się dzieje zazwyczaj przy śmierci nieprzyjaciela. Taki tchórz nie był tego godzien. Pogarda Indian była tak wielka, że nie zatroszczyli się nawet o zwłoki Rattlera. Nie rzuciwszy na nie okiem, pozwolili, by spłynęły z wodą. Mógł być tylko zraniony, nie zabity, mógł tylko udawać, że go trafiono, i nurkować tak, jak ja to zrobiłem, a później dopiero wynurzyć się w jakimś niewidocznym miejscu. Mimo to nie uważali za rzecz godną wysiłku dalej się nim zajmować. Inczu-czuna podszedł do mnie i zapytał:

- Czy mój biały brat jest ze mnie teraz zadowolony?

- Tak, dziękuję ci!- Nie masz powodu do składania podzięki, gdyż bez twojej prośby postąpiłbym tak samo. Ten pies nie zasługiwał na śmierć męczeńską. Dziś widziałeś różnicę między nami - poganami, a wami - chrześcijanami, między dzielnymi czerwonymi wojownikami a białymi tchórzami. Blade twarze zdolne są do każdej zbrodni, ale gdy trzeba okazać odwagę, wyją ze strachu jak psy bojące się batów.

- Wódz Apaczów nie powinien zapominać, że wszędzie są ludzie mężni i bojaźliwi, dobrzy i źli!

- Słusznie mówisz, nie chciałem cię obrazić, ale niech też żaden naród nie sądzi, że jest lepszy od drugiego dlatego, że ma inną barwę skóry. Aby go odwieść od tego drażliwego tematu, zapytałem:

- Co teraz zrobią wojownicy Apaczów? Czy pochowają Kleki-petrę?

- Tak.

- Czy mogę być obecny przy tym wraz z moimi towarzyszami?

- Tak. Sam bym cię poprosił o udział w tej uroczystości. Rozmawiałeś z Kleki-petrą wówczas, kiedy odeszliśmy po konie. Czy to była zwyczajna rozmowa?

- Nie, bardzo poważna, a dla mnie osobiście pełna znaczenia. Czy chcecie wiedzieć, o czym rozmawialiśmy z sobą?

- Powiedz! - odrzekł.

Zwróciłem się teraz do niego w liczbie mnogiej, gdyż przyłączył się do nas Winnetou.

- Gdy odeszliście, usiedliśmy razem z Kleki-petrą obok siebie. Powiedział mi, że miłuje was bardzo oraz że pragnie umrzeć za Winnetou. Wielki Duch spełnił to jego życzenie wkrótce potem.

- Dlaczego chciał umrzeć za mnie? - zapytał zdziwiony młody wódz.

- Ponieważ cię kochał.

- Kiedy umierał, leżąc na moim sercu, mówił do ciebie językiem, którego nie rozumiałem. Czy mówił wówczas o mnie?

- Tak.

- A co?

- Prosił mnie, bym ci pozostał wierny.

- Żebyś... mnie... pozostał wierny...? Wszak ty mnie jeszcze nie znałeś?

- Znałem, gdyż widziałem cię przedtem, a kto choć raz ujrzy Winnetou, ten wie, kogo ma przed sobą. Zresztą Kleki-petrą opowiadał mi o tobie.

- A co ty odpowiedziałeś?

- Obiecałem spełnić to życzenie.

- To było jego ostatnie życzenie w życiu, a ty zostałeś jego spadkobiercą. Ślubowałeś mu wierność dla mnie, chroniłeś mnie, strzegłeś i oszczędzałeś, a tymczasem ja ścigałem cię jak wroga. Pchnięcie nożem, jakie ci zadałem, mogło być śmiertelne. Jestem wielkim, wielkim twoim dłużnikiem. Bądź moim przyjacielem!

- Jestem nim już od dawna.

- Moim bratem!

- Z całego serca.

- W takim razie zawrzemy przymierze nad grobem tego, który moją duszę oddał twojej! Odeszła od nas szlachetna blada twarz, a przed rozstaniem przyprowadziła nam drugą, równie szlachetną.

Niechaj krew moja będzie twoją krwią, a twoja krew moją! Ja napiję się twojej, a ty mojej. Ojciec mój Inczu-czuna, największy wódz Apaczów, na to pozwala!

Inczu-czuna wyciągnął ku nam ręce i rzekł serdecznym tonem:

- Pozwalam. Zostaniecie nie tylko braćmi, lecz jednym mężem i wojownikiem w dwu ciałach. Howgh!

Udaliśmy się teraz tam, gdzie miał być zbudowany grób. Zapytałem o rozmiary i wysokość grobowca, po czym poprosiłem o kilka tomahawków. Następnie poszliśmy z Samem, Dickiem i Willem w górę rzeki, do lasu, gdzie wyszukaliśmy odpowiednie drzewo i wyciosaliśmy krzyż. Gdy wróciliśmy do obozowiska, zaczęły się uroczystości żałobne. Czerwonoskórzy rozłożyli się dookoła budowy, która szybko postępowała naprzód, i zaczęli śpiewać monotonne, głęboko wzruszające pieśni umarłych. Głuchy jednostajny ich dźwięk przerywały od czasu do czasu przenikliwe okrzyki skargi, wystrzelające jak nagłe błyskawice z ciężkich, posępnych zwałów chmur. Z tuzin Indian zajętych było pod kierunkiem wodza budową, a między nimi i płaczącą gromadą tańczyła w dziwacznych, powolnych skokach jakaś postać, osobliwie przybrana i obwieszona rozmaitymi symbolicznymi ozdobami.

- Kto to? - spytałem. - Czy to ich czarownik?

- Tak - odrzekł Sam.

- Indiańskie obrzędy na pogrzebie chrześcijanina! Co wy na to, kochany Samie?

- Czy wam to nie w smak?

- Właściwie nie.

- pogódźcie się z tym, sir! Nie mówcie na ten temat ani słowa! Obrazilibyście strasznie Apaczów.

- Ależ ta maskarada mierzi mnie daleko bardziej, niż się wam zdaje!

- Czynią to w dobrej myśli! Czy sądzicie, że to pogaństwo?

- Oczywiście!

- Niedorzeczność! Ci zacni, poczciwi ludzie wierzą w Wielkiego Ducha, do którego odszedł ich przyjaciel i nauczyciel. Święcą uroczystość rozstania i śmierci na swój sposób, a wszystko, co wyrabia ten czarownik, ma znaczenie symboliczne. Zostawcie im w tym swobodę! Oni nie

przeszkodzą nam także w ukoronowaniu grobowca naszym krzyżem. Gdyśmy położyli krzyż obok grobu, Winnetou spytał:

- Czy ten znak chrześcijaństwa będzie umieszczony na kamieniach?

- Tak.

- To dobrze. Byłbym sam mego brata Old Shatterhanda poprosił o zrobienie krzyża, gdyż Kleki-petra miał go w swoim pokoju i modlił się przed nim. Pragnąłem przeto, żeby ten znak jego wiary czuwał także nad jego grobem. Gdzie ma być umieszczony?

- Ma się wznosić nad grobowcem.

- Tak jak na owych wysokich domach, w których chrześcijanie modlą się do Wielkiego Ducha? Każę go umieścić tak, jak sobie życzysz. Usiądźcie i patrzcie, czy dobrze to zrobimy! Niebawem ukończono budowę i ukoronowano ją krzyżem. Na froncie grobowca pozostała jeszcze otwarta wnęka na trumnę.

Po chwili zjawiła się Nszo-czi niosąc dwie wypalone z gliny miseczki, napełnione wodą z rzeki. Podeszła do nas i postawiła naczynia na trumnie. O ich przeznaczeniu miałem się wkrótce dowiedzieć. Teraz wszystko już było gotowe do pogrzebu. Inczu-czuna dał ręką znak, na który zamilkły śpiewy żałobne. Czarownik przykucnął na ziemi, a wódz przystąpił do trumny i przemówił powoli, uroczystym głosem:

- Słońce wznosi się rano na wschodzie i zapada wieczorem na zachodzie, a rok budzi się z wiosną, w zimie zaś znowu zasypia. Tak samo dzieje się z ludźmi. Azali tak jest?

- Howgh! - zabrzmiało posępnie dokoła.

- Człowiek wschodzi jak słońce i schodzi do grobu. Zjawia się na ziemi jak wiosna i kładzie się na spoczynek jak zima. Ale gdy słońce zajdzie, wstaje ono następnego ranka, a gdy zima przeminie, zaczyna się wiosna. Azali tak jest?

- Howgh!

- Tak uczył nas Kleki-petra. Człowieka kładą do grobu, ale po drugiej stronie śmierci wstaje on jak nowy dzień, jak nowa wiosna, aby żyć dalej w krainie Wielkiego Dobrego Ducha. Tak oznajmił nam Kleki-petra, a teraz wie już sam, czy nam prawdę

powiedział, gdyż zniknął jak dzień i rok, a dusza jego poszła do mieszkania umarłych, dokąd zawsze tęskniła. Azali tak jest?

- Howgh!

- Wiara jego nie była naszą wiarą, a nasza nie była jego. My kochamy naszych przyjaciół, a nienawidzimy naszych wrogów, on zaś uczył, że powinniśmy kochać naszych wrogów, ponieważ są, także naszymi braćmi. My sądzimy, że nasze dusze odchodzą do wiecznych ostępów myśliwskich, on zaś twierdził, że jego dusza pójdzie do wiecznej szczęśliwości. Czasem mi się wydaje, że nasze ostępy są tą wieczną szczęśliwością. Azali tak jest?

- Howgh!

- Często słyszeliśmy od Kleki-petry o Zbawicielu, który przyszedł na świat, aby uszczęśliwić wszystkich ludzi. Wierzyliśmy w prawdę tych słów, gdyż na jego ustach nigdy nie postało kłamstwo. Ten Zbawiciel przyszedł do wszystkich ludzi. Czy był już także u czerwonoskórych? Gdyby się u nas zjawił, pozdrowilibyśmy go z radością, gdyż biali nas uciskają i tępią, a my za nim tęsknimy. Azali tak nie jest?

- Howgh!

- To była jego nauka. A teraz opowiem o jego śmierci, która zaskoczyła go, jak zwierzę drapieżne swoją zdobycz, nagle i niespodzianie. Był zdrów i krzepki i był razem z nami. Miał dosiąść konia i wrócić z nami do domu, kiedy nagle dosięgła go kula mordercy. Niechaj opłakują go moi bracia i siostry!

Rozległ się przeciągły okrzyk skargi, wzmagający się coraz bardziej, a zakończony przejmującym wyciem. Potem wódz mówił dalej:

- Pomściliśmy jego śmierć, ale dusza mordercy uszła. Nie będzie mu ona służyć po tamtej stronie grobu, ponieważ była trwożliwa i nie chciała pójść za nim. Zabiliśmy parszywego psa, do którego należała, a trup jego płynie z wodą w dół rzeki. Azali tak jest?

- Howgh!

- Teraz już nie ma Kleki-petry z nami, ale jest jego ciało, któremu postawimy pomnik, abyśmy my i nasi potomkowie

przypominali sobie dobrego Białego Ojca i ukochanego przez nas nauczyciela. Nie urodził się on w tym kraju, lecz przybył z dalekiego państwa, położonego po drugiej stronie Wielkiej Wody, które poznać można po tym, że rosną tam dęby. Toteż z miłości i czci dla niego nazbieraliśmy żołędzi, by je posadzić dokoła jego grobu. Jak się te dęby rozrosną, tak rozszerzą się w naszych sercach jego słowa i cień znajdziemy pod drzewami. On zawsze myślał i troszczył się o nas. Odszedł od nas posyłając nam bladą twarz, która na jego miejsce ma zostać naszym nauczycielem i bratem. Oto widzicie Old Shatterhanda, białego męża, z tego samego kraju, z którego przybył do nas Kleki-petra. Wie on wszystko, co wiedział Kleki-petra, a jest jeszcze większym wojownikiem od niego. Zakłuł nożem szarego niedźwiedzia, a każdego wroga powalić zdoła pięścią. Inczu-czuna i Winnetou byli po kilkakroć w jego ręku, ale on nas nie zabił i zachował nam życie, ponieważ miłuje nas i jest przyjacielem czerwonych mężów. Azali tak jest?

- Howgh!

- Ostatnim słowem i ostatnią wolą Kleki-petry było, żeby Old Shatterhand został u Apaczów jego następcą, a Old Shatterhand przyrzekł spełnić to życzenie. Dlatego zostanie przyjęty do szczepu Apaczów i będzie uchodzić za wodza, jak gdyby miał czerwoną skórę i u nas się urodził. Dla zatwierdzenia tego musiałby z każdym wojownikiem Apaczów wypalić fajkę pokoju, ale to jest zbyteczne. Napije się on krwi Winnetou, a Winnetou jego, po czym stanie się krwią krwi naszej i ciałem naszego ciała. Czy wojownicy Apaczów godzą się na to?

- Howgh, howgh, howgh! - zabrzmiała po trzykroć radosna odpowiedź obecnych.

- Niechaj więc Old Shatterhand i Winnetou przystąpią do trumny i utoczą swojej krwi do wody braterstwa.

A więc braterstwo, rzeczywiste, prawdziwe braterstwo krwi, o którym tyle razy czytałem! Istnieje ono u wielu dzikich i półdzikich ludów, a polega na tym, że obaj przyszli bracia mieszają i wypijają swoją krew albo że jeden pije krew drugiego i na odwrót. Tym sposobem łączą się z sobą węzłem

silniejszym i bardziej bezinteresownym, niż gdyby byli braćmi z urodzenia. Na podstawie zwyczaju, przestrzeganego u Apaczów, miałem się napić krwi Winnetou, a on mojej. Stanęliśmy po obu stronach trumny, a Inczu-czuna obnażył przede mną rękę Winnetou i zadrasnął ją lekko nożem. Z nieznacznej rany wyciekło kilka kropel krwi, które wódz wpuścił do miseczki z wodą. Następnie uczynił to samo ze mną i kilka kropel mojej krwi znalazło się w drugiej miseczce. Winnetou otrzymał miseczkę z moją krwią, a ja wziąłem miseczkę z krwią jego, po czym rzekł Inczu-czuna:

- Dusza mieszka w krwi. Dusze tych dwu młodych wojowników wejdą w siebie nawzajem i utworzą jedną jedyną. Niechaj potem to, co pomyśli Old Shatterhand, będzie myślą Winnetou, a co Winnetou zechce, niechaj będzie wolą Old Shatterhanda. Pijcie!

Wypiłem swoją czarkę, a Winnetou swoją. Potem wódz podał mi rękę i powiedział:

- Jesteś teraz, tak samo jak Winnetou, synem mojego ciała i wojownikiem naszego plemienia. Sława twych czynów rozbiegnie się szybko i nikt z wojowników cię nie przewyższy. Wstępujesz jako wódz do szczepu Apaczów i wszystkie jego plemiona będą cię uważały za wodza!

Był to awans dość szybki! Niedawno jeszcze nauczyciel domowy w St. Louis, potem surweyor, a teraz wódz ”dzikich”. Przyznaję jednak, że ci ”dzicy” podobali mi się daleko więcej niż biali, z którymi się stykałem.

Sprawdzały się później niejednokrotnie słowa Inczu-czuny, że ja i Winnetou mamy jedną duszę w dwu ciałach. Rozumieliśmy się, nie zwierzając się sobie nawzajem z uczuć, myśli i postanowień. Wystarczyło nam popatrzeć na siebie, a już wiedzieliśmy dokładnie, czego chcemy. Co więcej, nawet tego nie było potrzeba, gdyż postępowaliśmy często w sposób zdumiewająco zgodny nawet wówczas, kiedy byliśmy z dala od siebie. Nie był to oczywiście skutek wypitej krwi, lecz zupełnie naturalny wynik naszego serdecznego przywiązania, miłości i wzajemnego zrozumienia.

Gdy Inczu-czuna wymówił ostatnie słowa, powstali wszyscy Apacze, nawet dzieci, i wznieśli głośne, potwierdzające: ”howgh”, po czym wódz dodał:

- Teraz przyjęty jest między nas nowy, żyjący Kleki-petra, a zmarłego możemy złożyć w grobowcu. Niechaj moi bracia to uczynią!

Gdy zamykano grób, zabrzmiały znowu żałobne śpiewy Apaczów i trwały, dopóki nie włożono ostatniego kamienia. Uroczystość była skończona. Każdy zajął się teraz weselszymi czynnościami, a przede wszystkim jedzeniem. Mnie zaprosił Inczu-czuna do siebie. Zamieszkiwał on największą komnatę wspomnianego piętra puebla. Była urządzona skromnie, ale na ścianie wisiał bogaty zbiór broni indiańskiej, który zajął mnie bardzo żywo. Obsługiwała nas Piękny Dzień, dając dowód, że jest mistrzynią w przyrządzaniu indiańskich potraw. Mówiło się mało, prawie nic. Czerwonoskórzy lubią milczeć, a dziś tyle się już nagadano, że wszystko, co jeszcze było do omówienia, odłożono chętnie na później. Wkrótce po jedzeniu zapadł zmrok. Winnetou zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Czy mój biały brat spocznie, czy pójdzie ze mną?

- Pójdę - odrzekłem nie pytając go, dokąd zamierzał się udać.

Zeszliśmy na dół z puebla ku rzece, czego się zresztą spodziewałem. Tak głęboką naturę jak Winnetou musiał przyciągać grób świeżo pochowanego nauczyciela. Przybywszy tam, usiedliśmy obok siebie. Winnetou ujął mnie za rękę i zatrzymał ją w swojej, nie mogąc przez długi czas przemówić słowa, ja zaś nie miałem także powodu przerywać milczenia. Muszę tu wspomnieć, że nie wszyscy Apacze, których dotąd widziałem, mieszkali w pueblu; na to byłoby, mimo swoich rozmiarów, za małe. Zajmował je tylko Inczu-czuna z najwybitniejszymi wojownikami, tworzyło ono zarazem punkt zborny dla członków plemienia Mescalerów, wędrujących za stadami koni i polujących w okolicy. Stąd rządził wódz całym szczepem Apaczów i stąd podejmował dalekie wyprawy do innych szczepów, które uznawały go za swego najwyższego wodza. Były to szczepy Llanerów, Jicarillów, Taraconów,

Chiricahuarów, Pinalenjów, Gilasów, Mimrenjów, Lipanów, Apaczów z kopalń miedzi i innych. Nawet Nawaje poddawali się zazwyczaj, jeśli już nie bezpośrednim rozkazom, to jego zarządzeniom. Ci z Mescalerów, którzy nie mieszkali w pueblu, oddalili się po pogrzebie. Zostało ich tylko tylu, ilu potrzeba było do pilnowania odebranych od Keiowehów, a pasących się w pobliżu koni. Toteż siedzieliśmy teraz z Winnetou obok grobu Kleki-petry sami i nie widziani przez nikogo.

Winnetou zapytał pierwszy:

- Czy mój brat Old Shatterhand zapomni, że byliśmy jego wrogami?

- To się już stało - odrzekłem.

- Ale jednego nigdy nam nie przebaczysz.

- Czego?

- Obelgi, którą ci wyrządził mój ojciec.

- Kiedy?

- Gdyśmy cię po raz pierwszy zobaczyli.

- Ach, to, że mi w twarz plunął?

- Tak.

- Czemuż nie mógłbym tego przebaczyć?

- Bo ślinę można zmyć tylko krwią.

- Niech się Winnetou o to nie troszczy. I to już jest zapomniane.

- Mój brat powiada coś, w co ja nie mogę uwierzyć.

- Wierz mi. Udowodniłem już dawno, że o tym nie pamiętam.

- Czym?

- Tym, że twemu ojcu, Inczu-czunie, nie wziąłem tego bynajmniej za złe. A może sądzisz, że Old Shatterhand pozwoli sobie plunąć w twarz i nie odpowie na to pięścią, jeśli to uważa za obelgę?

- Tak, dziwiliśmy się później, że tego nie uczyniłeś.

- Ojciec mojego brata Winnetou nie mógł mnie obrazić. Przebaczyłem i zapomniałem. Nie mówmy już o tym.

- A jednak ja muszę do tego wrócić. Jestem do tego obowiązany jako brat względem brata.

- Czemu?

- Musisz się dopiero zapoznać ze zwyczajami naszego narodu. Żaden z wojowników nie przyzna się chętnie do błędu, a tym bardziej wódz. Inczu-czuna wie, że nie miał słuszności, lecz nie wolno mu prosić cię o przebaczenie. Dlatego polecił mi z tobą pomówić. Winnetou prosi cię zamiast ojca.

- To zupełnie zbyteczne. Między nami rachunki są załatwione, gdyż i ja was obraziłem.

- Nie.

- Owszem! Czy uderzenie pięścią nie jest obelgą? A ja was uderzyłem.

- To było w walce, gdzie nie ma obrazy. Mój brat jest szlachetny i wspaniałomyślny. Tego nie zapomnimy mu nigdy.

- Mówmy o czym innym! Zostałem dzisiaj Apaczem. Co będzie z moimi towarzyszami?

- Do szczepu przyjąć ich nie możemy, ale są naszymi braćmi.

- Bez ceremonii?

- Jutro wypalimy z nimi fajkę pokoju. W ojczyźnie mego białego brata nie istnieje ten zwyczaj?

- Nie. Chrześcijanie są wszyscy braćmi i nie potrzeba do tego żadnego obrzędu.

- Wszyscy są braćmi? Czyż nie prowadzą wojen między sobą?

- Zdarza się i to.

- Wiec nie są inni ani lepsi od nas. Nauczają miłości, lecz jej nie czują. Dlaczego mój brat porzucił swoją ojczyznę?

Nie jest zwyczajem czerwonoskórych zadawać takie pytania, ale Winnetou mógł to uczynić, gdyż był teraz moim bratem i pragnął mnie poznać. Pytanie jego jednak było wywołane nie tylko ciekawością, miało ono jeszcze inny charakter.

- Aby tu szukać szczęścia - odrzekłem.

- Szczęścia? Co to jest szczęście?

- Bogactwo!

Gdy to wymówiłem, puścił moją rękę i - nastąpiła przerwa. Wiedziałem, że doznał w tej chwili uczucia zawodu.

- Bogactwo! - szepnął.

- Tak, bogactwo - powtórzyłem.

- A więc dlatego... dlatego... dlatego!

- Co?

- Dlatego widzieliśmy cię u... u...

Bolało go, że musiał wymówić to słowo. Dokończyłem za niego:

- U złodziei ziemi?

- Sam to powiedziałeś. Zrobiłeś to, by się wzbogacić. Czy sądzisz, że bogactwo rzeczywiście uszczęśliwia?

- Tak.

- To się mylisz. Złoto unieszczęśliwiło czerwonoskórych. Z powodu złota jedynie biali wypierają nas ciągle z kraju do kraju, z miejsca na miejsce tak, że wyginiemy zwolna, ale na pewno. Złoto jest przyczyną naszej śmierci. Niech mój brat go nie pożąda!

- Ja też złota nie pożądam.

- Nie? A przecież przyznałeś się, że szukasz szczęścia w bogactwie.

- Tak, to prawda, ale są bogactwa rozmaitego rodzaju, bogactwem może być złoto, mądrość, doświadczenie, zdrowie cześć ludzka, sława oraz łaska u Boga i ludzi.

- Uff, uff! Tak to pojmujesz! A jakiegoż ty pragniesz bogactwa?

- Tego ostatniego.

- Łaski u Boga i ludzi? W takim razie jesteś bardzo dobrym i wiernym chrześcijaninem!

- Nie jestem pewny, czy jestem dobrym chrześcijaninem, o tym wie tylko Bóg, ale chciałbym nim być.

- Więc nas uważasz za pogan?

- Nie. Wy czcicie Wielkiego Ducha i nie modlicie się do bożków.

- Spełnij zatem jedną moją prośbę!

- Chętnie, a jaką?- Nie mów mi o wierze! Nie staraj się mnie nawrócić! Ja cię bardzo, bardzo kocham i żałowałbym, gdyby nasze przymierze zostało zerwane. Jest tak, jak mówił Kleki-petra. Wiara twoja może być prawdziwą, ale czerwonoskórzy ludzie nie zdołaliby jej zrozumieć. Gdyby chrześcijanie nie tępili nas i nie wypierali, uważalibyśmy ich za ludzi dobrych, a ich naukę za najlepszą. Wówczas znaleźlibyśmy czas i miejsce

na nauczenie się tego, co trzeba wiedzieć, aby pojąć waszą świętą księgę i zrozumieć waszych kapłanów. Ale ten, którego zwolna, lecz pewnie pchają ku śmierci, nie może uwierzyć, żeby religia tego, który go zabija, mogła być religią miłości.

- Nie trzeba sądzić o religii po tych jej wyznawcach, którzy nie stosują się do jej zasad.

- Tak mówią wszystkie blade twarze. Nazywają siebie chrześcijanami, ale nie postępują po chrześcijańsku. My mamy naszego Manitou, który pragnie, żeby wszyscy udzie byli dobrzy. Staram się być dobrym człowiekiem i pod tym względem jestem chrześcijaninem, może lepszym od tych, którzy siebie wprawdzie za takich uważają, lecz nie czują miłości do ludzi i szukają we wszystkim tylko własnej korzyści. Nie mów mi zatem nigdy o wierze i nie usiłuj zrobić ze mnie człowieka zwanego chrześcijaninem! Oto prośba, którą ci przedkładam! Uścisnąłem mu rękę na znak, że spełnię jego życzenie, on zaś mówił dalej:

- W jaki sposób przyłączył się mój brat do złodziei ziemi? Czyż nie wiedział, że to zbrodnia wobec ludzi czerwonoskórych?

- Nie przyszło mi to na myśl. Cieszyłem się stanowiskiem surweyora i nadzieją na dobrą zapłatę, którą miałem otrzymać.

- Zapłatę? Zdaje mi się, że nie zdołaliście skończyć roboty. Czy płaci się u was przed ukończeniem?

- Nie. Dostałem tylko zaliczkę i sprzęt. Zarobek mieli mi wypłacić dopiero po ukończeniu pracy.

- A teraz przepadną ci te pieniądze?

- Tak.

- Czy dużo tego było?

- Jak na moje warunki, bardzo wiele.

Milczał przez chwilę, a potem rzekł:

- Przykro mi, że mój brat poniósł przez nas taką stratę. Czy nie jesteś bogaty?

- Bogaty pod każdym innym względem, ale jeśli chodzi o pieniądze, jestem skończony biedak.

- Jak długo mieliście jeszcze mierzyć, żeby dojść do końca?

- Kilka dni.

- Uff! Gdybym znał cię wtedy tak jak teraz, bylibyśmy wpadli na Keiowehów o parę dni później.

- Żeby mi pozwolić dokończyć? - spytałem wzruszony tą wielkodusznością.

- Tak.

- To znaczy, że zgodziłbyś się na to, byśmy dokonali kradzieży ziemi?

- Kradzieży nie, lecz pomiarów. Linie, które kreślicie na papierze, nic nam nie szkodzą, gdyż przez to samo nie dokonuje się jeszcze grabieży. Zło zaczyna się dopiero wówczas, gdy przybywają robotnicy bladych twarzy, aby budować drogę dla konia ognistego. Ja bym ci...

Zatrzymał się:

- Czy chcąc dostać pieniądze, musiałbyś mieć te papiery, o których właśnie wspomniałem?

- Tak.

- W takim razie nigdy ci nie wypłacą, ponieważ wszystkie wasze rysunki zostały zniszczone.

- A co się stało z naszymi przyrządami?

- Wojownicy, którym wpadły w ręce, chcieli je porozbijać, ale ja zabroniłem. Jakkolwiek nie chodziłem nigdy do szkoły bladych twarzy, to jednak wiem, że takie przedmioty mają wysoką wartość, i dlatego kazałem je starannie przechować. Przywieźliśmy je tutaj. Oddam je memu bratu Old Shatterhandowi.

- Dziękuję ci. Przyjmuję ten dar, chociaż nie przyniesie mi bezpośrednio pożytku. Bardzo mi jednak miło, że będę mógł przynajmniej zwrócić te przyrządy.

- A więc nie przyniosą ci pożytku?

- Chyba pod tym warunkiem, żebym dokończył pomiarów.

- Ależ brakuje papierów, które ci zniszczono!

- Przeciwnie. Byłem tak ostrożny, że sporządziłem rysunki podwójnie.

- I masz te drugie?

- Tu w kieszeni, dzięki temu, że nakazałeś, by mi niczego nie zabrano,

- Uff, uff! - zawołał Winnetou na poły zdziwiony, a na poły zadowolony. Następnie zamilkł.

Ważył, jak się później przekonałem, zamiar tak wielkoduszny, na jaki by się nigdy nie zdobył biały człowiek. Po pewnym czasie wstał i powiedział:

- Mój biały brat naraził się przez nas na szkodę. Winnetou postara się o jej wynagrodzenie. Przedtem jednak musisz dojść u nas zupełnie do zdrowia.

Wróciliśmy do puebla, gdzie my czterej biali spaliśmy po raz pierwszy jako ludzie wolni.

Nazajutrz Hawkens, Stone i Parker wypalili z Apaczami uroczyście fajkę pokoju. Posypały się przy tym długie mowy, najpiękniejszą wygłosił Sam, który swoim zwyczajem naszpikował ją tak zabawnymi zwrotami, że poważni Indianie musieli się wysilać, aby nie okazać na zewnątrz wesołości, jaka ich opanowała. W ciągu dnia wyjaśniliśmy sobie nawzajem wszystkie tajemnice wydarzeń ostatnich tygodni. Wspomniało się przy tym także o uwolnieniu Inczu-czuny i Winnetou, a Hawkens wypalił mi z tego powodu następujące kazanie:

- Jesteście podstępnym, bardzo podstępnym człowiekiem, sir! Należy być otwartym względem przyjaciół, zwłaszcza gdy się im tyle zawdzięcza, co wy nam. Kim i czym byliście właściwie, gdy po raz pierwszy ujrzeliśmy was w St. Louis? Nauczycielem, który musiał pakować do głowy dzieciom abecadło i tabliczkę mnożenia. Bylibyście nadal pozostał; takim nieszczęśliwcem, gdybyśmy się wami tak serdecznie i wyrozumiale nie zajęli. Uwolniliśmy was od tej nieszczęsnej tabliczki mnożenia i wlekliśmy przez sawanny z podziwu godną cierpliwością, jeśli się nie mylę. Czuwaliśmy nad wami jak troskliwa matka nad małym dzieciątkiem albo jak kwoka nad kaczątkiem, które wygrzała swym ciepłem. U nas doszliście powoli do rozumu, my wykształciliśmy wasz mózg do tego stopnia, że po dotychczasowej ciemności zaczyna w nim już niekiedy świtać. Krótko i węzłowata: byliśmy dla was ojcem i matką, wujem i

ciotką, nosiliśmy was na rękach, karmiliśmy was cieleśnie najsoczystszymi kąskami mięsa, a duchowo tuczyliśmy naszą mądrością i doświadczeniem. Należało się spodziewać, że okażecie nam za to cześć, poważanie i wdzięczność, nie będziecie zaś uciekali jak kaczka do wody, w której my, jako kwoki, musielibyśmy nędznie utonąć. Mimo to czyniliście zawsze to, czego wam zakazywano. Boli mnie, gdy widzę, jak tyle miłości i poświęcenia wynagrodzono niewdzięcznością. Gdybym chciał wyliczyć wszystkie wasze psie figle, nie zdołałbym prędko skończyć. Ale najgorsze ze wszystkiego jest to, że uwolniliście wówczas obu wodzów i nic nam o tym nie powiedzieliście. Tego wam ani zapomnieć, ani przebaczyć nie mogę i zapamiętam to sobie, dopóki tkwić będę w tej oto mojej starej bluzie myśliwskiej. Skutki tego podstępnego milczenia nie kazały też czekać na siebie. Zamiast usmażyć nas ładnie przy palu i upiec, żebyśmy się dziś przebudzili w miłych ostępach przeznaczonych dla dusz zmarłych Indian, uznano nas za niegodnych zgładzenia. Teraz siedzimy, żywi i zdrowi, w tym zapadłym pueblu, gdzie usiłują zepsuć nam żołądki przysmakami i zrobić z takiego greenhorna, jak wy, półboga. To nieszczęście wam jedynie zawdzięczamy, a to głównie dlatego, że jesteście tak nikczemnym pływakiem. Ale miłość jest równie niepojęta jak niewiasta: im gorzej się z nią obchodzić, tym lepiej się rozwija, dlatego nawet tym razem nie wygnamy was z naszego grona i serca, lecz przebaczymy wam w nadziei, że zastanowicie się nareszcie nad sobą i zmienicie się, jeśli się nie mylę. Oto moja ręka. Czy obiecujecie mi poprawę, kochany sir?

- Tak - odrzekłem ściskając jego dłoń. - Będę się starał tak gorliwie naśladować szlachetny wzór, jakiście mi już dali i dotąd jeszcze dajecie, że wkrótce będę uważany za samego Sama Hawkensa!

- Nie róbcie tego! Daremnie byście się trudzili, najszanowniejszy sir! Taki greenhorn, jak wy, miałby się stać równy Samowi Hawkensowi! To niepodobieństwo! To tak, jakby zielona żaba zapragnęła zostać śpiewaczką operową. Dlatego radziłbym...

Wtem wtrącił Dick Stone śmiejąc się wprawdzie, ale z nutą pewnego niezadowolenia:

- Stop! Bądź już raz cicho, stary gaduło! Trudno wprost z tobą wytrzymać! Wszystko przekręcasz, wszystko robisz na opak! Na miejscu Old Shatterhanda nie pozwoliłbym sobie wiecznie wymyślać od greenhornów.

- Co on może mieć przeciw temu? Wszak nim jest!

- Niedorzeczność! Czy nie zawdzięczamy mu życia? Ze stu doświadczonych westmanów, nie wyłączając ciebie i mnie, ani jeden nie dokazałby tego, co on wczoraj uczynił. On nas chroni, a nie my jego, zapamiętaj to sobie! Gdyby nie on, nie byłoby nam tu teraz tak swobodnie, a ty nie siedziałbyś w zdrowej skórze i pod starą, fałszywą peruką!

- Co, fałszywą peruką? Strzeż się, byś tego więcej nie powtórzył! To prawdziwa peruka. Jeśli nie wiesz o tym dotychczas, to się jej przypatrz!

Zdjął ją i podał Stone'owi.

- Precz, precz z tymi kudłami! - zaśmiał się Dick. Sam nasadził ją z powrotem na głowę i rzekł z wyrzutem;

- Wstydź się, Dicku, nazywać kudłami ozdobę mojej głowy! Nie spodziewałem się tego po takim jak ty koledze! Wy wszyscy nie umiecie się poznać na wartości starego Sama. Wyrażam wam pogardę i idę do mojej Mary. Muszę zobaczyć, czy jej się powodzi równie dobrze jak mnie.

Machnął lekceważąco rękoma i wyszedł. Uśmialiśmy się, gdyż trudno mu było brać cokolwiek za złe.

Nazajutrz powrócili zwiadowcy, którzy udali się skrycie za Keiowehami, i donieśli, że Keiowehowie podążyli bez wypoczynku dalej, nie mieli więc zamiaru przedsiębrać żadnych wrogich kroków.

Nastąpił teraz okres powszechnego spokoju, ale dla mnie okres bardzo pracowity. Samowi, Dickowi i Willowi podobała się bardzo gościnność Apaczów, wypoczywali też gruntownie. Jedynym zajęciem Sama były codzienne przejażdżki na Mary, którą, jak się wyrażał, chciał przyzwyczaić do swego sposobu jeżdżenia. Ja natomiast nie siedziałem z założonymi rękoma,

Winnetou wziął mnie do ”szkoły indiańskiej”. Często całymi dniami odbywaliśmy dalekie jazdy, podczas których musiałem się ćwiczyć we wszystkim, co dotyczyło wojny i polowania. Łaziłem z nim po lasach i uczyłem się podkradać. Winnetou przeprowadzał ze mną ćwiczenia z polowej służby wojennej. Często odłączał się ode mnie, poleciwszy mi siebie szukać. Starał się zacierać, o ile możności, swe ślady, a ja wysilałem się, by je odnaleźć. Ileż to razy, siedząc w jakichś zaroślach lub stojąc zakryty zwisającymi gałęziami w wodzie Rio Pecos, przypatrywał się, jak go szukam. Zwracał moją uwagę na błędy i sam dawał przykład, co mam robić, a czego zaniechać. Była to doskonała nauka, której udzielał mi z równą gorliwością, z jaką ja ją przyjmowałem. Z ust jego nigdy nie wyszła pochwała ani nagana, prostował tylko cierpliwie moje błędy. Jako mistrz we wszystkich umiejętnościach indiańskiego życia, był także mistrzem w nauczaniu. Ileż to razy wracałem do domu śmiertelnie znużony!

Ale i wówczas nie miałem wypoczynku, ponieważ pobierałem w pueblu lekcje języka Apaczów. Miałem dwu nauczycieli i jedną nauczycielkę: Nszo-czi zaznajamiała mnie z dialektem Mescalerów, Inczu-czuna Lianerów, a Winnetou Nawajów. Ponieważ języki te są bardzo spokrewnione i nie cieszą się zbyt wielkim zapasem słów, przeto nauka postępowała dość szybko. Jeżeli w czasie naszych wycieczek nie oddalaliśmy się z Winnetou zbytnio od puebla, towarzyszyła nam także Nszo-czi. Widać było, że cieszyła się bardzo, ilekroć dobrze wywiązywałem się z zadania.

Pewnego razu - byliśmy wówczas w lesie - Winnetou zażądał, żebym ich opuścił i dopiero w pół godziny zjawił się na tym samym miejscu. Polecił mi odszukać Nszo-czi, która miała się dobrze ukryć. Odszedłem więc dość daleko i po upływie wyznaczonego czasu wróciłem. Siady obojga były jeszcze zupełnie wyraźne; potem nagle zniknęły odciski nóg Indianki. Wiedziałem oczywiście, że ma chód lekki, ale grunt był bardzo miękki, więc powinny były zostać choćby nieznaczne ślady. Nie znalazłem niczego, nawet jednej zgiętej lub złamanej trawki,

pomimo że rósł w tym miejscu miękki i bardzo czuły mech. Widoczne były tylko ślady Winnetou, ale nic mnie one nie obchodziły, ponieważ miałem wyśledzić nie jego, lecz siostrę. Był niewątpliwie w pobliżu, aby mnie skrycie obserwować, czy nie popełnię jakiego błędu.

Przeszukałem raz i drugi dokoła, lecz nie zauważyłem najmniejszej wskazówki. To mnie zastanowiło, zacząłem się namyślać. Nabierałem powoli przekonania, że Nszo-czi musiała pozostawić jakiś ślad, gdyż w tym miejscu żadna stopa nie mogła dotknąć ziemi, by jej nie zdradził miękki mech. A gdyby tak Indianka wcale po nim nie przeszła?

Zbadałem jeszcze raz ślady Winnetou. Były głębiej odciśnięte niż przedtem. Czyżby wziął siostrę na ręce i poniósł dalej? Sądził zapewne, że będzie to dla mnie bardzo trudne zadanie. Od chwili jednak, w której odgadłem, że wziął Nszo-czi na ręce, zadanie stało się bardzo łatwe. Teraz chodziło tylko o to, żeby odszukać ślady Indianki, które musiały się znajdować oczywiście nie na dole, lecz w górze.

Jeśli Winnetou szedł sam, to nie trudno mu było mając wolne ręce przeciskać się przez leśne podszycie Jeśli jednak niósł siostrę, musiał nadłamać w górze niejedną gałązkę. Idąc wciąż jego tropem, zwracałem uwagę nie na ziemię, lecz na gałęzie zarośli. I słusznie! Z powodu braku swobody ruchów Winnetou nie mógł ostrożnie rozsuwać gałęzi, a Nszo-czi o tym nie pomyślała. Znalazłem więc w kilku miejscach nadłamane gałązki i uszkodzone listki, czyli znaki, których by tu nie było, gdyby Winnetou przechodził tędy sam.

Ślady wiodły bezpośrednio ku polance, a potem w prostej linii dalej. Siedzieli zapewne oboje po drugiej stronie polany, przekonani, że nie zdołam wykonać zadania. Mogłem przejść wprost, ale chciałem zrobić jeszcze lepiej. Postanowiłem ich zaskoczyć. Korzystając starannie z każdego ukrycia, zacząłem się skradać dokoła po-, lany. Znalazłszy się po drugiej stronie, jąłem znowu szukać śladów Winnetou. Gdyby poszedł dalej, musiałbym je zauważyć, jeśli nie, znaczyło to, że ukrył się razem z Nszo-czi. Położyłem się na ziemi i czołgałem się w

półkolu, starając się ciągle kryć za drzewami. Nie zauważyłem ani jednego odcisku nogi. Siedzieli więc widocznie na skraju polany, tam gdzie sięgał trop, za którym szedłem poprzednio. Po cichu, zupełnie po cichu sunąłem się ku temu miejscu. Siedzieli z pewnością spokojnie, a wprawnemu ich uchu nie mógł ujść żaden szelest. Udało mi się więc lepiej, niż mogłem przypuszczać. Ujrzałem ich oboje w krzaku dzikiej śliwy, zwróconych do mnie plecami. Spodziewali się mnie ze strony przeciwnej. Rozmawiali z sobą, lecz tak cicho, że nie mogłem nic zrozumieć.

Cieszyłem się z góry z niespodzianki i czołgałem się coraz dalej. Byłem od nich na odległość ręki i już chciałem dotknąć z tyłu Winnetou, kiedy wstrzymały mnie od tego wyrzeczone przezeń szeptem słowa:

- Czy przyprowadzić go?

- Nie - odrzekła Nszo-czi. - On sam przyjdzie.

- Nie przyjdzie!

- Przyjdzie!

- Moja siostra się myli. On nauczył się szybko wielu rzeczy, ale twój ślad jest w powietrzu. Jak go znajdzie?

- Znajdzie. Mój brat Winnetou powiedział mi, że Old Shatterhanda nie można już wywieść w pole. Czemu teraz zmienia swe zdanie o nim?

- Bo dziś ma najtrudniejsze zadanie, jakie w ogóle być może. Oko jego wyśledzi każdy trop, ale twój da się tylko myślą odczytać, a tego on się jeszcze nie nauczył.

- A jednak przyjdzie, ponieważ potrafi wszystko, wszystko, co zechce.

Powiedziała te słowa szeptem, a mimo to przebijała z nich taka wiara i ufność, że mogłem być z tego dumny.

- Tak, pierwszy raz spotykam człowieka, który tak zna się na wszystkim. Jednego tylko spełnić nie potrafi i Winnetou bardzo tego żałuje.

- Cóż to takiego?

- Życzenie, które mamy wszyscy.

Właśnie postanowiłem się ukazać, gdy wtem Winnetou wspomniał o jakimś życzeniu. Czyż mogłem czegoś odmówić tym kochanym, dobrym ludziom! Mieli jakieś życzenie, a nie wyjawili mi go, przypuszczając, że go nie spełnię. Może właśnie teraz mógłbym się czegoś o nim dowiedzieć? Nie odzywałem się więc i nadsłuchiwałem dalej.

- Czy mój brat Winnetou mówił już o tym z Old Shatterhandem? - spytała Nszo-czi.

- Nie - odrzekł zapytany.

- A nasz ojciec Inczu-czuna także nie?

- Nie. Chciał mu powiedzieć, lecz ja nie dopuściłem do tego.

- Dlaczego? Nszo-czi kocha tę bladą twarz tak bardzo, a jest córką najwyższego wodza Apaczów!

- Tak, jest nią i jest czymś więcej jeszcze. Każdy czerwony wojownik i każda blada twarz byłaby szczęśliwą, mając Nszo-czi za żonę, tylko nie Old Shatterhand.

- Skąd mój brat Winnetou o tym wie, skoro z nim nie mówił?

- Stąd, że go znam. On nie jest taki jak inni biali; dąży do rzeczy wyższych. On nie pojmie Indianki za żonę.

- Czy tak powiedział?

- Nie.

- Czy serce jego należy do jakiejś białej skwaw?

- Także nie.

- Czy jesteś tego pewny?

- Mówiliśmy o białych kobietach i wywnioskowałem z tych słów, że serce jego dotąd nie przemówiło.

- To przemówi do mnie.

- Niechaj się moja siostra nie łudzi! Old Shatterhand myśli i czuje inaczej, niż sobie wyobrażasz. Jeśli wybierze sobie skwaw, będzie ona wśród kobiet tym, czym on jest wśród mężczyzn.

- Czyż ja taką nie jestem?

- Wśród czerwonych dziewcząt nikt nie dorówna mej pięknej siostrze! Ale co ty widziałaś i o czym słyszałaś? Czegoś się uczyła? Znasz życie kobiet ludów czerwonych, ale nie masz pojęcia o tym, czego się musi uczyć i co musi wiedzieć biała kobieta. Old Shatterhand nie patrzy na blask złota i piękność

oblicza; pożąda rzeczy innych, których nie znajdzie u dziewcząt czerwonoskórych.

Indianka spuściła głowę i zamilkła. Brat pogłaskał ją pieszczotliwie po twarzy i powiedział:

- Boli mnie to, że ranie serce mej dobrej siostry, ale Winnetou zawsze mówi prawdę, nawet gdy jest ona gorzka. A może właśnie Winnetou znajdzie drogę, na której Nszo-czi dojdzie do swego celu.

Na to Nszo-czi podniosła szybko głowę i zapytała:

- Jaka to droga?

- Droga do miast bladych twarzy,

- Tam mam się udać?

- Tak.

- Po co?

- Aby się nauczyć tego, co powinnaś umieć, aby Old Shatterhand mógł cię pokochać.

- W takim razie chcę się tam udać szybko, jak najszybciej! Czy mój brat Winnetou spełni moją jedyną prośbę?

- Jaką?

- Pomów z naszym ojcem Inczu-czuną! Poproś go, by mi pozwolił pójść do wielkich miast bladych twarzy! On nie odmówi, bo...

Więcej nie słyszałem, gdyż poczołgałem się cicho z powrotem. Wydało mi się to niemal zbrodnią, że podsłuchałem tę rozmowę rodzeństwa. Jakże pragnąłem, by tego nie zauważyli! Jakaż bowiem wynikłaby z tego przykra sytuacja dla nich, a tym bardziej dla mnie! Należało teraz podczas odwrotu być jeszcze ostrożniejszym niż podczas podchodzenia. Najdrobniejszy szelest, najmniejszy przypadek mógł zdradzić, że poznałem tajemnicę pięknej Indianki, a wtedy musiałbym natychmiast pożegnać mych czerwonoskórych przyjaciół. Na szczęście udało mi się wycofać niepostrzeżenie.

Oddaliwszy się tak, że mnie nie mogli usłyszeć, podniosłem się z ziemi i obszedłem polanę dokoła, dopóki nie natrafiłem na ich ślad. Zrobiłem kilka kroków w stronę, z której spodziewała się mnie Nszo-czi, wyszedłem na polanę i zawołałem:

- Niechaj mój brat Winnetou przyjdzie do mnie!

Ponieważ nikt się nie poruszył, powtórzyłem wezwanie:

- Niech mój brat przyjdzie, bo go widzę!

Nie pokazał się pomimo to.

- Siedzi tam w krzaku dzikiej śliwy.

Na to rozchyliły się gałęzie i wyszedł Winnetou, ale sam. Nie mógł się kryć dłużej, ale chciał jeszcze zataić obecność siostry, bo zapytał:

- Czy mój brat Old Shatterhand znalazł Nszo-czi?

- Tak.

- Gdzie?

- Jest ukryta w zaroślach.

- W jakich zaroślach?...

- W tych, do których mnie prowadzi jej ślad.

- A czyż widziałeś jej ślady?

Brzmiało w tym wielkie zdziwienie. Nie wiedział, o co mi chodzi. Wątpił, bym mógł powiedzieć nieprawdę, lecz był pewien, że nie znalazłem jego siostry, nie odkryłem jego podstępu. Myślał, że jestem w błędzie i że dałem się zwieść jakimś pozorom.

- Tak - odrzekłem.- Widziałem je.

- Ależ siostra moja pilnowała się bardzo, by śladów nie zostawić!

- Mylisz się, widać je dobrze.

- Nie.

- Nie na ziemi, lecz na gałęziach. Nszo-czi nie dotykała ziemi nogami, ale gdy ją niosłeś, połamałeś gałęzie i pozrywałeś liście.

- Uff! Ja ją niosłem?

- Tak.

- Kto ci to powiedział?

- Twoje ślady. Zrobiły się naraz głębsze. Ponieważ ty nie mogłeś zmienić swojej wagi, więc widocznie musiałeś wziąć na siebie jakiś ciężar. Tym ciężarem była twoja siostra, której noga nie dotknęła mchu.

- Uff! Ty się mylisz. Wróć jeszcze raz i poszukaj.

- To byłoby daremne i zbyteczne, bo Nszo-czi jest tam, gdzie ty siedziałeś. Zabiorę ją stamtąd.

Ruszyłem przez polanę, ale ona sama wyszła z zarośli i rzekła do brata z zadowoleniem:

- Słusznie więc powiedziałam ci, że mnie znajdzie.

- Tak, moja siostra miała słuszność, a ja się pomyliłem. Mój brat Old Shatterhand umie trop ludzki czytać nie tylko okiem, lecz także myślą. Nie potrzebuje się już niczego więcej uczyć.

- O, przeciwnie - odrzekłem. - Mój brat Winnetou wygłasza tu pochwałę, na którą nie zasłużyłem.

Czego jednak dotąd nie umiem, tego się jeszcze od niego nauczę.

Była to rzeczywiście pierwsza pochwała, którą usłyszałem z jego ust; przyznaję, że byłem z niej tak dumny jak niegdyś z pochwał profesorów.

Wieczorem tego dnia przyniósł mi Winnetou bardzo starannie uszyte i ozdobione czerwonym haftem indiańskim ubranie myśliwskie z wygarbowanej na biało skóry.

- Siostra moja Nszo-czi prosi cię, żebyś nosił ten strój - rzekł. - Old Shatterhand nie powinien chodzić w podartym ubraniu.

Pod tym względem rzeczywiście nie mijał się z prawdą, bo moje ubranie było już bardzo zniszczone. Gdyby mnie w takim stroju spotkano w mieście europejskim, dostałbym się do kozy jako ostatni włóczęga. Czy jednak wypadało przyjąć od Nszo-czi taki podarunek? Winnetou odgadł widocznie moje myśli, bo zauważył:

- Możesz je przyjąć, gdyż to ja zamówiłem je dla ciebie. To dar od Winnetou, którego ocaliłeś od śmierci, a nie dar jego siostry. Czy bladym twarzom nie wolno przyjmować darów od skwaw?

- O ile nie jest jego żoną lub krewną.

- Jesteś moim bratem, Nszo-czi jest więc twą krewną. Ale dar ten pochodzi ode mnie, a nie od niej; ona go tylko zrobiła.

Kiedy nazajutrz włożyłem ubranie, przekonałem się, że leżało jak ulane. Nowojorski krawiec nie mógłby lepiej wziąć miary. Pokazałem się oczywiście mojej pięknej przyjaciółce, która uradowała się nadzwyczajnie wypowiedzianą przeze mnie

pochwałą. Wkrótce potem zjawili się u mnie Dick Stone i Will Parker i kazali mi się podziwiać, gdyż mieli także nowe ubrania, tylko zrobione nie przez Nszo-czi, lecz przez inne Indianki. Tego samego dnia, kiedy znajdowałem się w głównej dolinie i ćwiczyłem się w rzucaniu tomahawkiem, podeszła ku mnie posuwistym krokiem osobliwa postać. Był to chodzący strój indiański, zakończony na dole parą starych, olbrzymich butów. Od góry wznosił się jeszcze starszy kapelusz pilśniowy z żałośnie zwieszoną kresą, spod której wyzierał bardzo zmierzwiony zarost, ogromny nos i dwoje chytrych oczek. Poznałem od razu mojego małego Sama Hawkensa. Sam zbliżył się, rozstawił nogi i zapytał:

- Sir, czy znacie człowieka stojącego teraz przed wami?

- Hm! - odrzekłem. - To się okaże! Wziąłem go za barki, obróciłem, przypatrzyłem mu się ze wszystkich stron i zawyrokowałem:

- Zdaje mi się, że to naprawdę Sam Hawkens, jeśli się nie mylę!

- Tak, milord! Nie mylicie się! Oto Sam Hawkens we własnej osobie i całej okazałości. Czyście zauważyli coś na mnie?

- Nowiuteńkie ubranie!

- No, przecież!

- Od kogoście to dostali?

- Od skóry niedźwiedziej, którą mi darowaliście.

- To widzę, Samie, ale ja chcę znać osobę, od której dostaliście ubranie.

- Osobę? Hm! Ach, tak! Tak, osoba, sir! To jest taka rzecz... To właściwie nie jest osoba.

- A cóż?

- Osóbka.

- Jak to?

- No, czyż nie znacie pięknej Kliuny-ai?

- Nie. Kliuna-ai znaczy ”Księżyc”. Czy to skwaw, czy dziewczyna?

- Jedno i drugie albo raczej ani jedno, ani drugie.

- A zatem babka?

- Nonsens! Jeśli jest skwaw i dziewczyną albo ani jednym, ani drugim, to musi być oczywiście wdową. Jest wdową po Apaczu, który zginął w ostatniej walce z Keiowehami.

- A wy ją chcecie pocieszyć?

- Well, sir! - potwierdził. - Życzę jej dobrze, wpadła mi nawet w oko, a raczej w oboje oczu.

- Ależ, Samie!

- Kliuna-ai jest doskonałą partią.

- Dlaczego?

- Bo w całym plemieniu najlepiej garbuje skóry.

- Czy chcecie jej także dać swoją do wygarbowania?

- Nie sadźcie się na dowcipy, sir! Ja nie żartuję! Z nią żyłbym szczęśliwie... rozumiecie mnie? Ma pełną, okrągłą twarz jak księżyc.

- W pierwszej i ostatniej kwadrze?

- Proszę raz jeszcze, nie róbcie żartów z księżycem. Ona jest jak księżyc w pełni i ożenię się z mą, jeśli się nie mylę,

- Ale nowiu chyba z tego nie będzie. Jak zawarliście tę znajomość?

- Właśnie dzięki garbarstwu. Pytałem o najlepszą garbarkę do mojej niedźwiedziej skóry i polecono mi Kliunę-ai. Zaniosłem jej skórę i zauważyłem, że upodobała sobie...

- Co? Skórę?

- Nonsens! Rozumie się, że mnie.

- To świadczy o dobrym smaku, kochany Samie!

- Tak, ona go ma! O, jej bynajmniej nie brak wykształcenia! Dowodem jest to, że nie tylko wygarbowała skórę, lecz także uszyła mi z niej ubranie. Jak się wam podobam?

- Elegant pierwszej wody!

- Dżentelmen, nieprawdaż? Tak, dżentelmen! Omal ze skóry nie wyskoczyła ujrzawszy mnie w tym ubraniu. Wierzcie mi, sir, że się ożenię!

- A gdzie wasze stare ubranie?

- Wyrzuciłem.

- Tak, tak! A pewnego pięknego poranku zapewnialiście mnie, że nie sprzedalibyście tej bluzy za dziesięć tysięcy dolarów.

- To było wówczas, kiedy jeszcze nie znałem Kliuny-ai. Cóż, czasy się zmieniają. Well!

Mały konkurent w niedźwiedziej skórze odwrócił się i odszedł dumnym krokiem. Sympatia, jaką żywił dla pięknej Indianki, nie wzbudziła we mnie żadnych obaw ani wątpliwości co do dalszego przebiegu sprawy; gdyż wystarczyło na Sama popatrzeć, aby się uspokoić pod tym względem. Te kolosalne stopy, te cienkie, a krzywe nóżki, a wreszcie twarz!... Bór zarostu z sępim dziobem na środku! Tego było z pewnością za wiele i dla Indianki. Sam Hawkens nie odszedł jeszcze daleko, kiedy się odwrócił do mnie i zawołał:

- Ten nowy strój to przecież zupełnie coś innego! Jestem jak nowonarodzony! Nie chcę już patrzeć na stary. Ten mój strój sam mógłby pójść w konkury, hi! ni! hi!

Nazajutrz spotkałem go na dole pod pueblem, bardzo zamyślonego.

- Jakież to myśli na miarę astronomiczną snują się wam po głowie, kochany Samie? - spytałem.

- Astronomiczną? Czemu właśnie taką?

- Bo macie minę, jak gdybyście chcieli odkryć kometę albo mgławicę.

- Prawie tak jest. Myślałem, że to kometa, ale prawdopodobnie to będzie mgławica.

- Kto?

- Ona, Kliuna-ai.

- Ach, tak! Wczorajszy księżyc w pełni jest już dziś mgławicą? Dlaczegoż to?

- Zapytałem ją, czy wyjdzie znowu za mąż, i odpowiedziała mi: ”nie”.

- To nie powinno przeszkadzać wam spoglądać z ufnością w przyszłość. Wszak i Rzym nie od razu zbudowano!

- A mego nowego ubrania nie uszyto w jednej godzinie. Macie słuszność. Zostaję więc nadal konkurentem.

Wszedł do puebla, aby się udać do Kliuny-ai,

Nazajutrz osiodłałem sobie deresza, aby wyjechać z Winnetou na bawoły, kiedy zjawił się u mnie Sam Hawkens i

zapytał:

- Czy mogę pojechać z wami, sir?

- Na bawoły? Chyba nie. Wy polujecie teraz na lepszą zwierzynę.

- Kiedy mi szczęście nie dopisuje.

- Tak?

- Niestety! Ona rości pretensje.

- Jak to?

- Byłem znów u niej i oświadczyła mi, że zrobiła ubranie tylko na rozkaz Winnetou.

- Więc nie z miłości?

- Zdaje się, że nie. Potem zapytała, co jej dam za wygarbowanie skóry. Utrzymuje, że robiła to na moje zamówienie.

- A więc żąda zapłaty!

- Tak! Czy to objaw miłości?

- Nie wiem. Nie mam doświadczenia w takich sprawach. Dzieci kochają rodziców, a mimo to rodzice muszą wszystko za nie płacić. Może to właśnie objaw wzajemności ze strony waszego księżyca w pełni.

- Księżyca w pełni? Hm! Możliwe, że to ostatnia kwadra. A więc nie zabierzecie mnie z sobą?

- Winnetou chce jechać tylko ze mną.

- To ja się nie sprzeciwiam.

- Zniszczylibyście sobie nowe ubranie, kochany Samie!

- Prawda! Plamy z krwi nie są stosowne do takiego stroju.

Odszedł, ale znów się odwrócił i zapytał:

- Czy wam się nie zdaje, że moje stare ubranie było jednak o wiele praktyczniejsze?

- Być może.

- Nie tylko być może, lecz nawet na pewno.

Na tym się na razie skończyło, ale w ciągu następnych dni Sam chodził coraz bardziej zamyślony i coraz mniej mówił. Księżyca ubywało widocznie. Aż raz ujrzałem go wychodzącego z domu w starym ubraniu.

- Cóż to, Samie? - zapytałem. - Myślałem, że wyrzuciliście to ubranie.
- Tak też było.
- A jednak odszukaliście je znowu.
- Tak!
- Ze złości?
- Naturalnie! Jestem po prostu wściekły!
- Na ostatnią zmianę księżyca?
- Zrobił się nów. Nie mogę patrzeć na tę Kliunę-ai!
- A więc dobrze wam wywróżyłem!
- Tak. Stało się dokładnie to, co przepowiedzieliście. Zresztą pewna szczególna okoliczność doprowadziła mnie do wściekłości.
- Czy wolno wiedzieć jaka?
- Wam powiem. Byłem znów u niej wczoraj. W ostatnich dniach obchodziła się ze mną źle, nie spoglądała na mnie prawie i odpowiadała mi zawsze bardzo oschle. Otóż siedziałem przy niej, oparłszy głowę o drewniany pal. Była w nim widoczna drzazga, o którą zaczepiła mi się czupryna. Wstałem, coś mnie gwałtownie szarpnęło za czcigodną czaszkę, odwracam się i co widzę, sir... co widzę!
- Perukę zapewne?
- Tak, peruka zawisła na słupie, a kapelusz upadł na ziemię.
- No, a dawna pełnia zamieniła się w nów?
- Najzupełniej. Stanęła, wytrzeszczyła na mnie oczy, jak... jak na człowieka pozbawionego włosów na głowie.
- A potem?
- Potem krzyczała i beczała, jakby sama została obdarzona łysiną.
- A w końcu?
- W końcu? No, w końcu zrobił się z tego nów. Wypadła na dwór i już się nie pokazała więcej.
- Może wzejdzie wam niebawem jako pierwsza kwadra lub pełnia!
- Nie! Kazała mi to powiedzieć.
- Co?

- Żebym nie przychodził już do niej. Głupim zwyczajem chce mieć męża z włosami na głowie. Czyż to nie jest w najwyższym stopniu naiwne?

- Hm!

- Tutaj nie ma co hmkać, sir! Gdy kobieta wychodzi za mąż, powinno jej być wszystko jedno, czy jej mąż ma na głowie włosy, czy perukę, jeśli się nie mylę. To nawet większy zaszczyt, gdy ma on perukę, bo to oznacza, że jego włosy coś musiały kosztować, a prawdziwe rosną za darmo.

- Niechby więc rosły dalej same.

- Szanowny sir, niech was kaczka kopnie! Szukam pociechy w miłosnym strapieniu i słyszę drwiny! Życzę wam także peruki, a potem czerwonoskórej wdowy, która by wyrzuciła was za drzwi. Bądźcie zdrowi!

Odbiegł ode mnie jak szalony.

- Samie! - zawołałem za nim. - Jeszcze jedno!

- Cóż takiego? - zapytał stając.

- A gdzie on?

- Kto?

- Nowy strój?

- Odesłałem go z powrotem. Chciałem włożyć to ubranie na wesele, ale że z wesela nic, więc i bluzy nie potrzebuję. Howgh!

Tak się skończyła przyjaźń Sama z czerwonym księżycem. Zresztą niebawem był znów dobrej myśli i przyznał się, że cieszy się nawet z tego, iż jest kawalerem. Zapewnił, że nie rozstanie się już nigdy ze swą starą bluzą, ponieważ jest lepsza, praktyczniejsza i wygodniejsza od bluz uszytych przez wszystkie czerwonoskóre krawcowe. Sprawdziły się więc moje domysły, że Sama nie można sobie wyobrazić jako małżonka. Wieczorem tego samego dnia jadłem wieczerzę jak zwykle razem z Inczu-czuną i z Winnetou. Młodszy wódz oddalił się po wieczerzy, a ja chciałem zrobić to samo, kiedy Inczuczuna wspomniał o przygodzie Sama i sprowadził rozmowę na związki pomiędzy białymi a czerwonoskórymi. Zmiarkowałem, że mnie brał na spytki.

- Czy mój młody brat, Old Shatterhand, uważa takie małżeństwa za dobre, czy za niewłaściwe? - zapytał.

- Jeżeli zawarte są wobec księdza, a Indianka przyjmie chrześcijaństwo, to nie widzę w tym nic niewłaściwego - odrzekłem.

- A więc brat mój me pojąłby nigdy za żonę Indianki wyznającej naszą wiarę?

- Nie.

- A czy to bardzo trudno zostać chrześcijanką?

- Wcale nie.

- Czy taka skwaw może jeszcze czcić swego ojca, niechrześcijanina?

- Tak. Nasza religia wymaga od każdego dziecka czci i uszanowania dla rodziców.

- Jaką skwaw wolałby mój brat: czerwoną, czy białą?

- To zależy od głosu serca, którego się słucha bez względu na barwę skóry ukochanej - odpowiedziałem. - W obliczu Wielkiego Ducha wszyscy są równi, a ci, którzy sobie odpowiadają i są dla siebie przeznaczeni, zawsze się znajdą.

- Howgh! Znajdą się, jeśli się dla siebie nadają. Brat mój jak zawsze powiedział słusznie i dobrze.

Na tym wyczerpaliśmy ten temat zgodnie z moim życzeniem. Z zupełnie określonym zamiarem położyłem nacisk na to, że Indianka chcąc zostać żoną białego musi przejść na wiarę chrześcijańską. Życzyłem Nszo-czi, by wyszła za mąż za najlepszego i najszlachetniejszego wojownika lub wodza, ja jednak nie przybyłem na Dziki Zachód po czerwoną skwaw. Nie myślałem nawet dotąd o białej. Moje plany życiowe wykluczały w ogóle, jak sobie wtedy wyobrażałem, małżeństwo.

O skutkach mej rozmowy z Inczu-czuną dowiedziałem się nazajutrz. Sprowadził mnie on na pierwsze piętro, gdzie jeszcze dotychczas nie byłem. Tam znajdowały się w osobnym pudle nasze narzędzia miernicze.

- Przypatrz się tym rzeczom, czy której nie brakuje! - wezwał mnie. Przekonałem się, że było wszystko, że niczego nie

uszkodzono; kilka drobnych zagięć sam łatwo mogłem naprawić.

- Te rzeczy uważaliśmy za leki - powiedział - dlatego przechowaliśmy je tak starannie. Niech je sobie mój młody biały brat weźmie z powrotem.

Chciałem podziękować za ten dar, ale stary wódz nie przyjął podziękowania i oświadczył:

- Należały do ciebie, a myśmy je zabrali, bo uważaliśmy cię za wroga. Skoro jednak wiemy już teraz, że jesteś nam bratem, musisz otrzymać wszystko, co było twoje. Nie masz za co dziękować. A co teraz z tym zrobisz?

- Odchodząc stąd, zabiorę narzędzia i oddam tym ludziom, od których je wziąłem.

- A gdzie oni mieszkają?

- W St. Louis.

- Znam nazwę tego miasta i wiem, gdzie ono leży. Syn mój Winnetou był tam i opowiadał mi o nim. A zatem chcesz od nas odejść?

- Tak, choć nie zaraz.

- Przykro nam będzie. Zostałeś wojownikiem naszego szczepu, a ja nadałem ci nawet władzę i tytuł wodza Apaczów. Sądziliśmy, że zostaniesz u nas na zawsze jak Kleki-petra, który był z nami aż do śmierć;.

- Moje położenie jest inne niż jego.

- A ty wiesz, jakie było jego położenie?

- Tak, opowiedział mi wszystko!

- W takim razie obdarzył cię wielkim zaufaniem, chociaż widział cię po raz pierwszy.

- Prawdopodobnie z tego powodu, że pochodziliśmy z jednego kraju.

- Myślę, że nie tylko dlatego. Rozmawiał z tobą nawet w godzinie śmierci. Nie rozumiałem słów, ale powiedziałeś nam, o czym mówiliście. Zostałeś z woli Kleki-petry bratem Winnetou, a jednak chcesz go opuścić. Czy to nie sprzeczność?

- Nie. Bracia nie muszą być ciągle razem; rozchodzą się często dla wykonania rozmaitych zadań.

- Ale potem spotykają się znowu?

- Tak. Zobaczymy się znowu, bo serce sprowadzi mnie do was z powrotem.

- Chętnie słyszy to moja dusza. Ilekroć przybędziesz, przyjmiemy cię z wielką radością. Żałuję, że wspominasz o innych zadaniach. Czy u nas nie mógłbyś się czuć szczęśliwy?

- Jeszcze tego nie wiem. Bawię tutaj tak krótko, że trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Myślę, że to jest tak jak z dwoma ptakami siedzącymi w cieniu tego samego drzewa. Jeden żywi się jego owocem i zostaje, a drugiemu potrzeba innego pożywienia, dlatego nie może długo pozostać i odlatuje.

- Wierz mi jednak, że dalibyśmy ci wszystko, czego byś tylko zażądał.

- Wiem o tym, ale mówiąc o pożywieniu nie miałem na myśli pokarmu dla ciała.

- Tak, ja wiem, że wy, blade twarze, mówicie także o pokarmie dla ducha, słyszałem o tym od Kleki-petry. Jemu także brakowało u nas tego pokarmu, dlatego bywał czasem bardzo smutny, chociaż starał się nie okazać nam tego. Ty jesteś młodszy od niego i zatęskniłbyś tym prędzej i łatwiej. Dlatego nie zatrzymujemy cię, lecz prosimy, żebyś powrócił. Kto wie, czy nie zmienisz potem swego zapatrywania i nie uznasz, że może ci być u nas dobrze. Ale ciekaw jestem, co uczynisz po powrocie do miast bladych twarzy.

- Tego sam jeszcze nie wiem.

- Czy zostaniesz u białych, którzy budują drogę dla konia ognistego?

- Nie.

- Słusznie uczynisz. Jesteś bratem czerwonych mężów i nie powinieneś współdziałać z tymi bladymi twarzami, które chcą nas ograbić z ziemi i mienia. Lecz tam, dokąd się udasz, nie będziesz mógł tak jak tutaj żyć z polowania. Musisz mieć pieniądze, a Winnetou mi powiedział, że jesteś biedny. Dostałbyś pieniądze, gdybyśmy na was nie napadli. Dlatego syn mój prosił mnie, bym ci to wynagrodził. Czy chcesz złota?

Popatrzył mi przy tym w oczy ostro i badawczo i - nie odważyłem się odpowiedzieć: ”tak”. Chciał mnie wystawić na próbę.

- Złota? - rzekłem- Nie odebraliście mi złota, toteż nie mogę go od was żądać.

Była to odpowiedź dyplomatyczna: ani ”tak”, ani ”nie”. Słyszałem, że istnieją Indianie, którzy znają miejsca bogate w kruszce szlachetne, lecz nie zdradzają tego nigdy przed białymi. Inczu-czuna znał zapewne również takie miejsca, dlatego zapytał, czy chcę złota. Któż z białych odpowiedziałby na to po prostu: ”nie”? Nie pożądałem nigdy skarbów, które mogą zeżreć rdza i mole, ale złoto, jako środek do dobrego celu, przedstawia dla mnie zawsze niezaprzeczoną wartość! Takiego zapatrywania nie mógłby jednak zrozumieć wódz Apaczów.

- Tak, nie ograbiliśmy cię z niego - odrzekł - ale przez nas straciłeś zarobek i to chciałbym ci wynagrodzić. Powiadam ci, że w górach leży złoto. Czerwoni mężowie znają miejsca, gdzie można je znaleźć; wystarczy, żeby poszli i zabrali je stamtąd. Czy życzysz sobie, żebym ci je przyniósł?

Stu innych na moim miejscu skorzystałoby z tej propozycji i... nie uzyskaliby nic. Poznałem to po czyhającym wzroku Inczu-czuny i rzekłem:

- Dziękuję ci! Bogactwo, osiągnięte bez trudu, nie przynosi zadowolenia; tylko to ma wartość prawdziwą, co się samemu zapracowało i zdobyło. Nie należy sądzić, że choć ubogi, zginę z głodu po powrocie do bladych twarzy.

Na to zniknął zwolna z jego oblicza wyraz naprężonego oczekiwania. Podał mi rękę i powiedział przyjemnym, serdecznym tonem:

- Twoje słowa dowodzą, że nie pomyliliśmy się co do ciebie. Złoty pył, pożądany przez białych poszukiwaczy, jest pyłem śmierci; kto go znajdzie przypadkiem, zginie od niego. Nie pożądaj go nigdy, bo zabije nie tylko twoje ciało, lecz i duszę! Chciałem cię wypróbować. Nie dałbym ci złota, ale pieniądze otrzymasz; te pieniądze, na które liczyłeś.

- To niemożliwe.

- Ja tak chcę, więc jest to możliwe. Pojedziemy w tę okolicę, gdzie pracowaliście, a ty dokończysz przerwanej roboty i dostaniesz obiecane wynagrodzenie.

Spojrzałem mu w oczy z niemym zdumieniem. Czyżby żartował? Nie, wódz indiański nie pozwala sobie nigdy na takie żarty. Czyżby to znów była próba? Nie, to też nie było prawdopodobne.

- Mój młody biały brat milczy - rzekł w dalszym ciągu. - Czy nie przystaje na moją propozycję?

- Nawet bardzo chętnie, ale trudno mi uwierzyć, że to twój poważny zamiar.

- Czemu?

- Mam skończyć to, za co ukarałeś śmiercią moich towarzyszy? Mam zrobić to, co tak surowo osądziłeś przy naszym pierwszym spotkaniu?

- Robiłeś to bez zgody właścicieli kraju, a teraz otrzymasz na to pozwolenie. To, co mówię, nie pochodzi ode mnie, lecz od mego syna Winnetou, który mnie upewnił, że nic nam nie zaszkodzi, jeśli dokonasz przerwanego dzieła.

- Mylisz się pod tym względem. Kolej zostanie zbudowana, a biali przyjdą tu z nią z pewnością. Spojrzał posępnie przed siebie i przyznał po chwili:

- Masz słuszność. Nie możemy im przeszkodzić w ponownej grabieży. Najpierw wysyłają oni takie małe oddziały jak wasz i te możemy zniszczyć, ale to nie zmieni niczego, bo potem nadciągną gromadami, przed którymi musimy ustąpić, bo zgniotłyby nas. Ale i ty tego zmienić nie zdołasz. Czy sądzisz może, że nie przyjdą, jeśli ty się wyrzekniesz dokończenia pomiarów tej trasy?

- Nie, tego nie sądzę. Choćbyście użyli wszelkich środków, koń ognisty musi pędzić przez te strony.

- W takim razie zgódź się na moją propozycję! Dla ciebie to będzie bardzo korzystne, a nam nie zaszkodzi. Omówiliśmy to już z Winnetou. Pojedziemy z tobą obydwaj, a towarzyszyć nam będzie trzydziestu wojowników. To wystarczy do ochrony i pomocy podczas roboty. Wojownicy ci odprowadzą nas potem

tak daleko na Wschód, aż drogi staną się już bezpieczne. Później udamy się kanoem parowym do St. Louis.

- Co mój czerwony brat mówi? Czy dobrze zrozumiałem? Chce się udać na Wschód?

- Tak, ja, Winnetou i Nszo-czi chcemy się tam udać razem z tobą.

- Nszo-czi także?

- Tak, moja córka także. Pragnie bardzo zobaczyć wielkie miasta bladych twarzy i pozostać tam, dopóki nie stanie się taka jak biała skwaw.

Musiałem zrobić niezbyt mądrą minę, gdyż dodał patrząc na mnie z uśmiechem:

- Mego białego brata najwidoczniej spotkała niespodzianka. Czy nie będzie może zadowolony z naszego towarzystwa? Niechaj powie otwarcie!

- Niezadowolony? Jakżebym mógł? Przeciwnie, cieszę się nadzwyczajnie! W waszym towarzystwie przybędę na Wschód bezpiecznie i już choćby dlatego jest to dla mnie korzystne. Ale najważniejsze, że będą ze mną ci, których tak pokochałem.

- Howgh! - potwierdził z radością. - Dokończysz roboty, a potem ruszymy na Wschód. Czy Nszo-czi znajdzie tam ludzi, u których mogłaby mieszkać i nauczyć się czegoś?

- Tak. Ja sam chętnie się o to postaram. Ale wódz Apaczów musi uwzględnić, że blade twarze nie są tak gościnne jak czerwoni mężowie.

- Wiem o tym. Gdy blade twarze przychodzą do nas jako przyjaciele, otrzymują wszystko, czego potrzebują, bez zapłaty, ale kiedy my się do nich udajemy, musimy płacić za wszystko, i to nawet dwa razy tyle, co biali wędrowcy. Ponadto dostajemy wszystko gorsze niż oni. Nszo-czi będzie więc musiała zapłacić.

- Tak, to prawda niestety, ale o to się już nie troszczcie. Dzięki twej wielkodusznej pomocy otrzymam dużo pieniędzy i będziecie moimi gośćmi.

- Uff, uff! Co też mój młody biały brat myśli o Inczu-czunie i o Winnetou? Wszak już przedtem ci powiedziałem, że czerwoni mężowie znają wiele miejsc, w których znajduje się złoto. Są

góry, poprzecinane złotymi żyłami, i doliny, na których zmyty przez wodę złoty pył leży pod cienką warstwą ziemi. Udając się do miast bladych twarzy nie będziemy mieli pieniędzy, ale będziemy za to mieli złoto, tak że nie weźmiemy od nikogo ani kropli wody za darmo. Gdyby Nszo-czi musiała tam pozostać przez kilka lat, dałbym jej więcej złota, niż potrzeba na ten długi czas. Tylko niegościnność bladych twarzy zmusza nas do szukania złotego pyłu, poza tym nie używa my go wcale. Kiedy mój młody brat będzie gotów do drogi?

- W każdej chwili, kiedy się wam tylko spodoba.

- Więc nie odwlekajmy, bo to już późna jesień, po której szybko następuje zima. Czerwony wojownik nie przygotowuje się długo nawet do tak dalekiej jazdy, moglibyśmy więc wyruszyć od razu jutro, gdybyś był skłonny do tego.

- Jestem gotów. Trzeba się tylko zastanowić, co mamy wziąć ze sobą, ile koni…

- To już Winnetou załatwi - przerwał mi. - On już o wszystkim pomyślał i mój młody, biały brat może być o wszystko spokojny.

Opuściliśmy pierwsze piętro i wróciliśmy na górę. Na progu swego mieszkania zastałem Sama Hawkensa.

- Mam wam coś nowego do powiedzenia, sir - rzekł promieniejąc z radości. - Zdziwicie się, zdziwicie się ogromnie, jeśli się nie mylę.

- Czym?

- Wiadomością, którą wam przynoszę. A może już słyszeliście o tym?

- Powiedzcież, co macie na myśli, kochany Samie!

- Odchodzimy stąd, odchodzimy!

- Ach, tak! O tym wiem już istotnie.

- Wiecie już? Myślałem, że wam zrobię niespodziankę, tymczasem przychodzę za późno.

- Oznajmił mi to właśnie Inczu-czuna. A wam kto powiedział?

- Winnetou. Spotkałem go tam nad wodą, gdzie wybierał konie. Nawet Nszo-czi jedzie z nami. Czy o tym wiecie także?

- Tak.

- To bardzo szczególny pomysł, lecz jest mi on na rękę. Ma ona tam, na Wschodzie, jak się zdaje, zamieszkać w pensjonacie. Na co i po co, to dla mnie wprawdzie niezrozumiałe, jeżeli...

Zatrzymał się w połowie zdania, spojrzał na mnie znacząco swoimi małymi oczkami i mówił-dalej:

- Jeżeli nie... jeżeli nie... hm! Czy może Nszo-czi ma zostać waszą Kliuną-ai? Jak myślicie, kochany sir Shatterhand?

- Moją Kliuną-ai, a więc moim księżycem? Takie rzeczy zostawiam wam. Na co mi księżyc, którego ciągle ubywa, dopóki zupełnie nie zniknie? Ani mi się śni gubić peruki dla dziewczyny.

- Peruki? Słuchajcie, to wam się nie udało. To był lichy dowcip, z którego nie możecie być dumni. Bardzo dobrze się zresztą stało, że moja miłość do tego ubywającego księżyca była tak nieszczęśliwa.

- Czemu?

- Bo nie mógłbym go tutaj zostawić i musiałbym zabrać ze sobą. A któż jeździ chętnie z nowiem po prerii, hi! hi! hi! Dziwna rzecz, że w każdym nieszczęściu jest zawsze trochę szczęścia! Jedno mnie tylko w tym wszystkim złości.

- Co?

- Ta piękna skóra niedźwiedzia. Gdybym ją sam wyprawił, miałbym teraz przepyszną bluzę myśliwską, a tak ani bluzy, ani skóry.

- Niestety! Jeśli kiedy nadarzy mi się jeszcze sposobność zabicia szarego niedźwiedzia, daruję wam skórę.

- Wy mnie? A może ja wam? Nie wyobrażajcie sobie, że szare niedźwiedzie uganiają po prerii tylko po to, aby je greenhorny zakłuwały. Wtedy był to czysty przypadek, który przynosi wam jeszcze mniej zaszczytu niż dopiero co wygłoszony dowcip. Nie życzmy sobie w ogóle niedźwiedzi, przynajmniej w najbliższym czasie, kiedy nas czeka robota. To przecież wspaniała myśl, że możecie skończyć pomiary! Nieprawdaż?

- Szlachetna, Samie, bardzo szlachetna!

- Tak! W ten sposób dostaniemy wszyscy pieniądze, które nam obiecano. Może… do wszystkich piorunów! Chciałbym, żeby się tak stało!

- Co takiego?

- Żebyście dostali wszystkie pieniądze… wszystkie!

- Nie rozumiem was.

- To bardzo łatwo zrozumieć. Jeśli robota będzie skończona, muszą za nią zapłacić. Tamci już nie żyją, więc wam powinni wypłacić ich część.

- Niech wam to się nawet nie śni, Samie! Z pewnością tego nie zrobią.

- Wszystko jest możliwe, wszystko, tylko musicie sprytnie się do tego zabrać i zażądać wszystkiego. Sami prawie wykonaliście całą pracę. Więc jakże będzie?

- Nie, ani myślę ośmieszać się żądaniem większej kwoty, niż mi się należy.

- Greenhorn, znów greenhorn! Powiadam, że tu, w tym kraju, wasza przywieziona zza morza skromność jest zupełnie chybiona. Jestem wam życzliwy i dlatego posłuchajcie mojej rady. Porzućcie myśl zostania westmanem, gdyż nigdy czymś podobnym nie będziecie. Brak wam do tego wszelkich zdolności. Musicie obejrzeć się za inną karierą, a na to potrzeba pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Teraz, gdybyście mieli rozum, moglibyście zdobyć ładną sumkę i żyć spokojnie przez jakiś czas. Jeśli jednak nie posłuchacie mojej rady, to wam kij z wodą popłynie i zginiecie jak ryba wyrzucona na ląd.

- Niech was o to głowa nie boli. Nie przeszedłem przez Missisipi po to, aby zostać westmanem. Jeśli rzeczywiście nie dostąpię tego szczęścia, nie będę opłakiwał me spełnionych nadziei. Nad wami tylko trzeba będzie ubolewać.

- Nade mną? Czemu?

- Bo poświęciliście daremnie tyle trudu, żeby ze mnie coś zrobić. Słyszę już, jak ludzie będą mówić do mnie, że miałem nauczyciela, który nic nie potrafił.

- Nic nie potrafił? Ja? Sam Hawkens, hi! hi! hi! Ja umiem wszystko. Nawet potrafię was tu zostawić, sir!

Odszedł, lecz odwrócił się po kilku krokach i rzekł:

- Zapamiętajcie to sobie jednak. Jeśli nie zażądacie wszystkich pieniędzy, to ja to zrobię i wsadzę je wam potem do kieszeni! Howgh!

Po tych słowach oddalił się krokami, które miały być majestatyczne, ale były tylko śmieszne. Ten miły człowieczek życzył mi jak najlepiej. Chciał więc, abym otrzymał całą zapłatę, ale o tym nie było nawet co myśleć.

To, co powiedział Inczu-czuna, sprawdziło się; czerwonoskóry wojownik nie potrzebuje wielkich przygotowań nawet do najdalszej podróży. Życie w pueblu szło i dzisiaj zwyczajnym trybem, tak że nic nie wskazywało na nasz bliski odjazd. Nszo-czi, obsługująca nas zwykle przy jedzeniu, była także taka jak zawsze. Ileż to nerwów i krzątaniny poprzedza nawet małą wycieczkę białej damy! Ta Indianka wybierała się w daleką i niebezpieczną drogę aby poznać wspaniałości cywilizacji, a nie widać było w jej zachowaniu najmniejszej zmiany.

Nie pytano mnie o nic, nie domagano się rad i nie naprzykrzano mi się niczym. Miałem tylko zapakować narzędzia miernicze, na co Winnetou dał mi kilka miękkich, wełnianych koców. Siedzieliśmy wieczorem, jak zwykle, nie mówiąc ani słowa o zamierzonej podróży, a kładąc się spać, wolny byłem od uczucia, które opanowuje zwykle człowieka przed daleką podróżą. Spokój i zimna krew Indian udzieliły się także i mnie. Rano zbudził mnie Hawkens donosząc, że wszystko już gotowe do wyruszenia. Dzień ledwo się zaczynał. Chłód tego jesiennego poranku dowodził, że nie należało już podróży odwlekać.

Po krótkim śniadaniu wszyscy mieszkańcy puebla odprowadzili nas aż nad rzekę, gdzie miała się odbyć ceremonia, jakiej dotychczas nie widziałem: czarownik miał przepowiedzieć, czy podróż nasza będzie szczęśliwa.

Na tę uroczystość przybyli także Indianie zamieszkali w pobliżu puebla. Nasz wielki wóz stał jeszcze na tym samym miejscu. Nie braliśmy go z sobą, gdyż był zbyt ciężki i zawadzałby nam w tak szybkiej jeździe, koniecznej wobec

spóźnionej pory roku. Stanowił on sanktuarium czarownika, który obwiesił go kocami i sam ukrył się za nimi.

Dokoła wozu utworzono wielkie koło i zaczął się dla czerwonoskórych ”święty obrzęd”, który nazwałem w duchu przedstawieniem. Najpierw dało się słyszeć z wozu jakieś mruczenie i prychanie, jak gdyby kilka psów i kotów gotowało się do zaciętej walki. Stałem pomiędzy Winnetou a jego siostrą. Wielkie podobieństwo między obojgiem rodzeństwa wystąpiło dzisiaj jeszcze bardziej, ponieważ Nszo-czi zdjęła szaty niewieście i włożyła strój męski, zupełnie podobny do opisanego już ubrania brata. Na głowie nie miała żadnego okrycia, a włosy związała tak samo jak on. U jej pasa wisiało kilka woreczków z rozmaitą zawartością, tkwił za nim nóż i pistolet, a przez plecy zwieszała się strzelba. Strój ten był nowy i ozdobiony pstrymi wyszywkami i frędzlami. Dziewczyna wyglądała tak wojowniczo, a zarazem tak dziewczęco i ponętnie, że zwracały się ku niej wszystkie spojrzenia. Ponieważ ja miałem na sobie darowane mi ubranie, więc wszyscy troje wyglądaliśmy prawie jednakowo. Słysząc mruczenie i prychanie, zrobiłem, zdaje się, niezbyt uroczystą minę, bo Winnetou się odezwał;

- Mój brat nie zna jeszcze naszego zwyczaju i śmieje się z nas w duszy.

- Dla mnie żaden obrzęd nie jest śmieszny, choćbym go nawet nie rozumiał - odpowiedziałem.

- To, co teraz usłyszysz, będzie sprzeczką dwu głosów: dobrego i złego losu.

W ten sposób wytłumaczył mi także dalszy przebieg owego czarodziejskiego tańca. Po prychaniu nastąpiło przeciągłe wycie, które chwilami milkło i przechodziło w dźwięki łagodniejsze. Wycie dowodziło, że patrzący w przyszłość czarownik widzi złe znaki, a delikatniejsze tony brzmiały wówczas, kiedy widział coś dobrego. Po dość długim wyciu i prychaniu czarownik wyskoczył nagle z wozu i zaczął, jak wściekły, pędzić z rykiem dokoła. Potem zwolnił nieco biegu, przestał ryczeć, przeszła dobrze udana trwoga, która go gnała, i

rozpoczął się miarowy, groteskowy taniec, tym osobliwszy, że twarz czarownika pokrywała okropna maska, a całe ciało obwieszone było rozmaitymi dziwacznymi, a nawet potwornymi przedmiotami. Tańcowi towarzyszył monotonny śpiew, a jedno i drugie, taniec i śpiew, z początku żywsze, stawały się w miarę czasu spokojniejsze, aż ustały zupełnie. Czarownik usiadł i opuściwszy głowę, długo siedział nieruchomo, nie wydając z siebie głosu. W końcu zerwał się i obwieścił widzom szczegóły swego jasnowidzenia:

- Posłuchajcie, posłuchajcie, synowie i córy Apaczów! Oto, co pozwolił mi zbadać Wielki Duch Manitou. Wodzowie Inczu-czuna i Winnetou oraz nasz biały wódz Old Shatterhand wyjeżdżają ze swymi białymi i czerwonymi wojownikami, aby Nszo-czi, młodą córkę naszego szczepu, odwieźć do mieszkań bladych twarzy. Dobry Manitou gotów jest czuwać nad nimi. Przeżyją kilka przygód, ale nic im to nie zaszkodzi i powrócą do nas szczęśliwie. Nszo-czi, która dłuższy czas pozostanie u bladych twarzy, powróci także szczęśliwie, tylko jednego z nich nie zobaczymy już nigdy.

Zatrzymał się i spuścił głowę, aby dać wyraz żałości z powodu ostatniej przepowiedni.

- Uff, uff, uff! - zawołali czerwonoskórzy zdumieni i zatrwożeni zarazem, ale nikt się o nic nie spytał.

Ponieważ czarownik trwał długo w pochylonej postawie i ciągle milczał, Samowi Hawkensowi zabrakło cierpliwości i zapytał:

- Któż to nie wróci? Niechaj czarownik powie!

Wezwany pogroził mu ręką, zaczekał jeszcze pewien czas, po czym podniósł głowę, zwrócił wzrok na mnie i zawołał:

- Byłoby lepiej, gdyby mnie nie pytano o to. Nie chciałem wymienić tego imienia, ale ciekawa blada twarz, Sam Hawkens, zmusił mnie do tego. To Old Shatterhanda więcej już nie zobaczymy. Śmierć zaskoczy go wkrótce. Niechaj ci, którym przepowiedziałem szczęśliwy powrót, wystrzegają się przebywania w jego pobliżu, jeżeli nie chcą z nim razem życia utracić! Obok niego narażeni będą na niebezpieczeństwo, lecz

jeśli będą się trzymać z dala od niego, ocaleją. Tak oznajmił mi Wielki Duch. Howgh!

Po tych słowach wrócił do wozu. Czerwonoskórzy zaczęli spoglądać na mnie i wydawać okrzyki żalu.

- Co temu hultajowi na myśl przyszło? - rzekł Sam do mnie. - Wy macie umrzeć? Tylko ta barania głowa mogła wpaść na ten pomysł! Taka myśl mogła się urodzić tylko w jego chorym mózgu! Skąd on to wziął?

- Spytajcie lepiej, jaki w tym tkwi zamiar? On nie jest mi życzliwy. Dotychczas nie przemówił do mnie ani razu, ja zaś odpłacałem mu taką samą monetą; był dla mnie niczym. Obawia się mego wpływu na wodzów, który mógłby się rozszerzyć na całe plemię, i skorzystał ze sposobności, aby temu zapobiec.

- Czy mam pójść i przylepić kilka policzków do jego czerwonej twarzy, sir?

- Nie róbcie głupstw, Samie! Cała sprawa nie jest warta, żeby się nią przejmować. Inczu-czuna, Winnetou i Nszo-czi, usłyszawszy wspomniane proroctwo, spojrzeli po sobie z zakłopotaniem. Czy mu wierzyli, czy nie, to rzecz inna, ale znali jego wpływ na swych podwładnych. Postanowiono, że wyruszy z nami trzydziestu wojowników, ale jeśli wojownicy uwierzyli w to, że moja bliskość grozi im zgubą, nie podobna byłoby uniknąć różnorodnych przykrości. Ponieważ przepowiednię ową trudno już było zmienić, przeto pozostawał tylko jeden sposób: osłabić jej znaczenie. Było więc wskazane, aby wodzowie zachowywali się wobec mnie nadal tak samo jak przedtem, i to jawnie, wobec ludzi. Toteż obydwaj ujęli mnie za ręce, a Inczu-czuna rzekł tak głośno, że wszyscy to słyszeli:

- Niechaj czerwoni bracia i siostry posłuchają słów moich! Nasz brat czarownik ma zdolność wnikania swym wzrokiem w przyszłość i często stało się to, co przewidywał, ale przekonaliśmy się nieraz, że może się także pomylić. On przepowiedział w czasie wielkiej posuchy deszcz, który jednak nie spadł. Przed ostatnią wyprawą na Komanczów obiecał, że zdobędziemy wielkie łupy, a odniesione przez nas zwycięstwo

dało nam tylko kilka starych koni i trzy liche strzelby. Gdy nam zeszłego roku radził, żebyśmy się udali nad rzekę Tojali, jeśli chcemy upolować dużo bawołów, postąpiliśmy wedle jego słów, lecz zdobyliśmy tak mało mięsa, że potem zimą omal głód nie zapanował. Mógłbym przytoczyć jeszcze kilka przykładów na to, że oko jego zaciemnia się czasem. Dlatego może być, że i teraz myli się co do naszego brata Old Shatterhanda. Uważam więc jego słowa za niebyłe; wzywam moich braci i siostry, aby uczynili to samo. Zaczekamy, czy słowa te się spełnią. Na to wystąpił mały Sam Hawkens i zawołał:

- Nie czekajmy, nie potrzebujemy czekać, gdyż mamy środek, aby się natychmiast przekonać,

czy czarownik nie minął się z prawdą.

- O jakim środku myśli mój biały brat? - zapytał wódz.

- Zaraz powiem. Nie tylko między czerwonoskórymi, lecz i między białymi żyją czarownicy, którzy umieją badać przyszłość, a ja, Sam Hawkens, należę wśród nich do najsłynniejszych.

- Uff, uff! - zawołali Apacze w zdumieniu.

- Tak, wy się dziwicie! Uważaliście mnie dotychczas za zwykłego westmana, bo mnie nie znacie. A ja nie jestem pierwszy lepszy westman. Teraz mnie poznacie, hi! hi! hi! Niechaj kilku czerwonych wojowników weźmie tomahawki i wykopie w ziemi wąską, ale głęboką dziurę.

- Czy mój biały brat chce zajrzeć do wnętrza ziemi? -zapytał Inczu-czuna.

- Tak, gdyż przyszłość spoczywa ukryta w łonie ziemi lub w gwiazdach. Ponieważ teraz, w jasny dzień, gwiazd nie widzę i nie mogę ich o nią zapytać, muszę się zwrócić do ziemi.

Kilku Indian poszło za jego wezwaniem i toporami wojennymi wydrążyło w ziemi dziurę.

- Nie pozwalajcie sobie na komedie, Samie - szepnąłem. - Gdy czerwonoskórzy spostrzegą, że bawicie się w głupstwa, pogorszycie jeszcze sprawę, zamiast ją naprawić!

- Komedie? Głupstwa? A czymże jest to, co urządza czarownik? Przecież to także głupstwo. Co jemu wolno, to i

mnie także, jeśli się nie mylę, przezacny sir. Wiem, co czynię. Jeżeli nic ze swej strony nie zrobimy, to ludzie, których mamy zabrać z sobą, będą się do nas niechętnie odnosili. Bądźcie tego pewni.

- Wasze obawy nie są pozbawione słuszności, ale przestrzegam was, żebyście nie błaznowali!

- O, to sprawa bardzo poważna! Bądźcie spokojni!

Mimo jego zapewnień było mi trochę nieswojo. Znałem jego skłonność do żartów. Byłbym go też jeszcze w dalszym ciągu napominał, lecz on zostawił mnie, a sam poszedł do Indian, by im powiedzieć, jak głęboka ma być dziura.

Gdy była już gotowa, odsunął ich i zdjął z siebie skórzaną bluzę myśliwską, potem ją znowu pozapinał i postawił nad dziurą, gdzie ta stara szmata wyglądała jak wydrążony z blachy lub drzewa walec. Po tych wstępnych czynnościach przybrał wyraz powagi i zawołał:

- Mężowie, kobiety i dzieci Apaczów zobaczą, co uczynię i czego się dowiem, a popadną w zdumienie! Na skutek moich słów czarodziejskich ziemia otworzy swe łono tak, że ujrzę wszystko, co nas spotka w najbliższym czasie.

Następnie oddalił się nieco od dziury, ruszył dokoła powolnym, uroczystym krokiem, trzepiąc ku memu przerażeniu całą tabliczkę mnożenia, szczęściem tak prędko, że czerwonoskórzy go nie dosłyszeli. Gdy doszedł do dziewiątki, przyśpieszył kroku i zaczął szybko podskakiwać dokoła bluzy, przy czym wył głośno i machał rękami. Nabiegawszy się i naryczawszy aż do utraty tchu, przystąpił do bluzy, ukłonił się jej nisko kilka razy i włożył głowę w otwór kołnierza, aby spojrzeć w głąb dziury. Niepokoiłem się o wynik tego błazeństwa. Ale rozejrzawszy się dokoła, stwierdziłem ku memu uspokojeniu, że czerwonoskórzy odnoszą się do tej sprawy z wielką powagą. Oblicza obu wodzów także nie zdradzały niezadowolenia, choć nie ulegało wątpliwości, że Inczu-czuna wiedział, iż to, co wyprawia Sam, jest prostą komedią.

Z pięć minut trzymał stary chytrus głowę pod kołnierzem bluzy i wymachiwał rękami jakby na znak, że ma przed oczyma ważne i cudowne rzeczy. W końcu wyciągnął głowę z wysoce poważną miną. Porozpinał bluzę, włożył ją znów na siebie i wezwał obecnych.

- Niechaj moi czerwoni bracia zasypią otwór, gdyż dopóki jest otwarty, nie wolno mi nic mówić.

Po wykonaniu tego zarządzenia odetchnął głęboko, jakby się czuł bardzo wyczerpany, i rzekł:

- Wasz czerwony brat czarownik fałszywie widział przyszłość, gdyż stanie się coś przeciwnego. Dowiedziałem się o wszystkim, co przyniosą najbliższe tygodnie, lecz nie wolno mi tego wyjawić. Mogę wytłumaczyć tylko niektóre rzeczy. Widziałem w otworze strzelby i słyszałem wystrzały. Kto ma strzał ostatni, ten nie może polec ani umrzeć, a ostatni strzał pochodził z rusznicy Old Shatterhanda. On więc musi być zwycięzcą. Nieszczęście grozi mym czerwonym braciom, a mogą uniknąć go tylko w ten sposób, że będą się trzymali Old Shatterhanda. Jeśli jednak to uczynią, czego od nich zażądał ich czarownik, zginą. Tak powiedziałem. Howgh!

Skutek tego proroctwa był, przynajmniej na razie, taki, jaki zamierzył Hawkens. Czerwonoskórzy uwierzyli mu najwidoczniej. Z oczekiwaniem spoglądali ku wozowi, sądząc, że czarownik wyjdzie się bronić. Nie pokazał się jednak, więc doszli do wniosku, że uznał się za zwyciężonego. Sam Hawkens podszedł do mnie, błysnął małymi oczkami i zapytał;

- No, sir, jakże się sprawiłem?
- Jak prawdziwy, rzetelny oszust.
- Well! A więc w porządku? Nieprawdaż?
- Tak. Zdaje się, że osiągnęliście swój cel,
- Osiągnąłem go w zupełności. Czarownik pobity. Nie pokaże się ani nie da znaku życia.

Winnetou spojrzał na nas spokojnym, lecz wielce wymownym wzrokiem. Ojciec jego nie był tak milczący, podszedł do nas i rzekł do Sama:

- Mój biały brat jest człowiekiem rozumnym, gdyż odebrał moc słowom czarownika i posiada bluzę, w której tkwią ważne proroctwa. Ta bluza stanie się sławna od jednej Wielkiej Wody do drugiej. Ale Sam Hawkens poszedł za daleko w swych proroctwach.

- Za daleko? Jak to? - dopytywał się mały człeczyna.

- Wystarczyło powiedzieć, że Old Shatterhand nam nie zaszkodzi. Czemu Sam Hawkens dodał, że czeka nas coś złego?

- Bo widziałem to w dziurze.

Na to Inczu-czuna zrobił ruch przeczący i oświadczył:

- Wódz Apaczów wie, o co chodzi; niech Sam Hawkens mu wierzy. Nie należało mówić o złych rzeczach i napędzać naszym ludziom strachu.

- Strach? Wszak wojownicy Apaczów są mężnymi ludźmi, którzy nie boją się niczego.

- Tak też jest. Dowiedziemy tego, nawet gdyby nasza wyprawa, która ma być wyprawą pokojową, miała sprowadzić na nas nieprzyjaciół. Ruszajmy więc!

Przyprowadzono konie, między którymi było sporo jucznych. Kilka z nich niosło moje narzędzia, na resztę włożono zapasy żywności i inne potrzebne rzeczy. U Indian panuje zwyczaj, że odjeżdżających odprowadzają przez część drogi ci, którzy pozostają w domu. Tym razem jednak nie zachowano zwyczaju, ponieważ Inczu-czuna sobie tego nie życzył. Trzydziestu czerwonoskórych, którzy z nami wyjeżdżali, nie żegnało się z żonami i dziećmi. Uczynili to już przedtem, gdyż godność wojownika nie pozwalała im robić tego publicznie.

Tylko jeden z nas pożegnał się głośnymi słowami - był to Sam Hawkens. Zobaczył bowiem Kliunę-ai stojącą pośród kobiet. Siedząc już na siodle zwrócił muła w jej stronę i zapytał:

- Czy Księżyc wie, co widziałem w otworze?

- Wiem, gdyż słyszałam, co mówiłeś - odrzekła.

- Mogłem powiedzieć o wiele więcej, na przykład o tobie.

- O mnie? Czy ja także byłam w otworze?

- Tak. Znam dzięki temu całą twą przyszłość. Czy opisać ci ją?

- Proszę o to - rzekła szybko i skwapliwie. - Co mi przyszłość przyniesie?

- Ona ci nic nie przyniesie, lecz zabierze coś bardzo dla ciebie cennego.

- Co to takiego? - zapytała trwożliwie.

- Twoje włosy. Stracisz je za kilka miesięcy i wyłysiejesz zupełnie jak księżyc, który także włosów nie ma. Wówczas przyślę ci moją perukę. Bądź zdrów, smutny blasku księżyca!

Popędził muła i odjechał śmiejąc się, a Kliuna-ai odwróciła się zawstydzona tym, że przez ciekawość pozwoliła zakpić z siebie. Porządek naszej jazdy ustalił się sam. Inczu-czuna, Winnetou z siostrą i ja jechaliśmy na przedzie, potem Hawkens, Parker i Słone, a za nimi trzydziestu Apaczów, którzy po kilku na przemian prowadzili konie juczne.

Nszo-czi siedziała na koniu po męsku. Była ona rzeczywiście, o czym zresztą nie wątpiłem i przedtem, doskonałą i wytrwałą amazonką - nie tylko znakomicie trzymała się na koniu, ale równie dobrze władała bronią. Ktoś, kto jej nie znał, mógł ją wziąć za młodszego brata Winnetou, ale bystrzejsze oko dopatrzyłoby się w niej łatwo kobiecej miękkości rysów twarzy i kształtów ciała. Nszo-czi była piękna, naprawdę piękna mimo męskiego stroju i męskiego sposobu siedzenia na koniu.

Pierwsze dni podróży minęły bez żadnego godnego wzmianki zdarzenia. Jak wiadomo, Apacze potrzebowali pięciu dni, by po napadzie na nas dotrzeć do puebla nad Rio Pecos. Przedłużył wówczas drogę przewóz rannych i jeńców. Tym razem już w trzy dni dotarliśmy do miejsca zamordowania Kleki-petry przez Rattlera. Tam zatrzymaliśmy się na nocleg. Apacze poznosili kamienie na skromny pomnik. Winnetou spoważniał tu jeszcze bardziej niż zwykle.

Nazajutrz rano ruszyliśmy tam, gdzie przerwały się nasze prace miernicze. Pale tkwiły jeszcze w ziemi, mogłem więc od razu zabrać się do pracy, ale okazało się, że było tu coś jeszcze ważniejszego do roboty.

Oto wówczas, po walce, nie wpadło Apaczom na myśl pochować zabitych białych i Keiowehów, lecz zostawili trupy

tak, jak leżały. Tego, czego oni zaniechali, podjęły się sępy i inne drapieżniki. Pozbieranie tych pozostałych ludzkich szczątków i zakopanie ich we wspólnym grobie było dla mnie, dla Sama, Dicka i Willa robotą okropną. Apacze nie wzięli w niej oczywiście udziału.

Na tym zszedł jeden dzień i dopiero nazajutrz przystąpiłem do mojej właściwej pracy. Oprócz wojowników, którzy mieli mi pomagać, pomagał mi specjalnie Winnetou, a siostra jego nie odchodziła prawie od mego boku. Była to zupełnie inna robota aniżeli wówczas z niemiłymi mi ludźmi. Czerwonoskórzy, których nie potrzebowałem, snuli się po okolicy, a wieczorem przynosili zdobycz z polowania. Łatwo można się domyślić, że robota szła żywo naprzód.

Mimo trudności terenu już po trzech dniach dotarłem do punktu połączenia z następnym sektorem, a czwartego - uzupełniłem rysunki i zapiski. Byłem zadowolony, że w tak krótkim czasie dokończyłem pracy, gdyż zima zbliżała się szybko, a w nocy panowało już takie zimno, że trzeba było do rana utrzymywać ogień.

Powiedziałem, że Apacze mi pomagali, ale to nie znaczy niestety, że czynili to chętnie. Musieli słuchać rozkazu wodzów, ale bez tego rozkazu nie pomogliby mi z pewnością. Widać było po każdym z nich, że się cieszył, ilekroć zwalniałem go od pracy. A gdy wieczorem siadaliśmy razem, owych trzydziestu Indian rozkładało swój obóz nieco dalej, niż tego wymagał wzgląd na szacunek dla wodzów. Inczu-czuna i Winnetou zauważyli to, ale milczeli. Sam, który też to spostrzegł, rzekł do mnie:

- Ci czerwonoskórzy nie przepracowują się zbytnio. To jest i będzie zawsze prawdą, że czerwonoskóry jest dzielnym myśliwym i walecznym wojownikiem, ale poza tym leniuchem. Praca mu nie smakuje.

- To, co dla mnie robią, nie męczy ich wcale i nie jest właściwie pracą, a niechęć ich ma inny powód.

- Tak? Jaki?

- Pamiętają widocznie proroctwo czarownika, któremu wierzą bardziej niż waszemu, kochany Samie.

- Być może, ale to byłoby głupie z ich strony.

- Ponadto zaś praca moja jest niewątpliwie dla nich czymś gorszącym. Te okolice należą do nich, a ja odmierzam je dla innych ludzi, dla ich nieprzyjaciół. O tym musicie także pamiętać, mój Samie.

- Ależ tak chcą ich wodzowie!

- Zapewne. Z tego jednak nie wynika, żeby oni mieli się czuć zadowoleni. W duchu są temu przeciwni. A gdy się im przypatruję, kiedy siedzą z sobą i rozmawiają po cichu, widzę po ich minach, że mówią o mnie, i to zdaje się nic, co by mnie mogło cieszyć.

- Ja się też tego domyślam, ale powinno nam być to obojętne. Myślami swymi i słowami nic nam nie zaszkodzą. My mamy do czynienia z Inczu-czuna, Winnetou i Nszo-czi, a na tych troje nie możemy się chyba uskarżać.

Pod tym względem miał Sam słuszność, bo Winnetou i jego ojciec dopomagali mi we wszystkim z iście braterską uprzejmością, a Indianka wyczytywała mi z oczu każde życzenie, odgadywała każdą moją myśl. Robiła zawsze to, co chciałem, nawet gdy swej woli nie wyrażałem słowami, a odnosiło się to nawet do spraw tak drobnych, których nikt inny by nie zauważył. Czułem dla niej z każdą chwilą coraz większą wdzięczność. Była bystrą obserwatorką i uważną słuchaczką, a niebawem z zadowoleniem i ku mej wielkiej radości zauważyłem, że umyślnie czy też mimo woli stałem się jej nauczycielem, od którego się z zapałem uczyła. Ilekroć coś mówiłem, zawisała po prostu wzrokiem na moich wargach i naśladowała zazwyczaj moje czyny, choćby się to nawet sprzeciwiało zwyczajom jej rasy. Zdawało się, że jest tutaj jedynie dla mnie. Troszczyła się o moje wygody i zdrowie bardziej niż ja sam, gdyż nie rościłem sobie prawa do tego, by miało mi się dziać lepiej niż innym.

Pod koniec czwartego dnia skończyłem pomiary, zapakowałem przyrządy miernicze w koce i rankiem piątego

dnia wyruszyliśmy w dalszą drogę. Obaj wodzowie zgodzili się na tę samą marszrutę, którą Sam przywiódł mnie w te strony.

Jadąc tak przez dwa dni, znaleźliśmy się w płaskiej, pokrytej trawą i z rzadka poprzerywanej zaroślami okolicy, w której mieliśmy przed sobą dość przestronny widok, co na Zachodzie jest zawsze okolicznością korzystną. Nigdy bowiem nie można z góry przewidzieć, jakich ludzi się spotka, więc zawsze lepiej, jeśli się z daleka zauważy, że ktoś się zbliża. W pewnej chwili ujrzeliśmy jadących ku nam czterech białych mężczyzn. Oni spostrzegli nas również i zatrzymali się, niepewni, czy mają Jechać dalej, czy zejść nam z drogi. Spotkanie trzydziestu czerwonoskórych to dla czterech białych rzecz dość niemiła, zwłaszcza jeśli nie wiedzą, do jakiego plemienia Indianie należą. Wnet jednak zobaczyli, że wśród Indian znajdują się biali, i to usunęło prawdopodobnie ich wątpliwości, bo puścili konie dalej w tym samym kierunku.

Ubrani byli jak kowboje i uzbrojeni w strzelby, noże i rewolwery. Na dwadzieścia kroków przed nami wstrzymali konie, ujęli strzelby wedle zwyczaju panującego na Dzikim Zachodzie, a jeden z nich powiedział;

- Dzień dobry, panowie! Czy należy trzymać palec na cynglu, czy też nie?

- Dzień dobry! - odrzekł Sam. - Odłóżcie śmiało pukawki! Nie mamy zamiaru was pożreć! Czy wolno zapylać, skąd idziecie?

- Znad naszej starej Missisipi.

- A dokąd się udajecie?

- W górę, do Nowego Meksyku, a stamtąd do Kalifornii. Słyszeliśmy, że potrzeba tam pasterzy wołów i że lepiej płacą niż tu, gdzie dotąd byliśmy.

- Może macie słuszność, sir; ale przed wami jeszcze daleka droga, zanim obejmiecie to piękne stanowisko. Co do nas, właśnie stamtąd wracamy i wybieramy się do St. Louis. Czy droga wolna?

- Tak. Nie słyszeliśmy przynajmniej nic złego. Ale i w takim wypadku nie byłoby powodu do obaw, bo jesteście w dość

wielkiej liczbie, chyba że czerwoni dżentelmeni odprowadzają was tylko niedaleko.

- Dalej jadą tylko dwaj z tą dziewczyną, która jest córką starszego z nich. Są to Inczuczuna i Winnetou, wodzowie Apaczów.

- Co mówicie, sir! Czerwona lady udaje się do St. Louis? Czy można wiedzieć, jak się nazywacie?

- Czemużby nie? To uczciwe nazwiska i nie potrzeba ich wcale ukrywać. Ja się nazywam Sam Hawkens, jeśli się nie mylę. To są moi towarzysze Dick Stone i Will Parker, a tu obok mnie widzicie Old Shatterhanda, junaka, który przebija nożem szarego niedźwiedzia, a najsilniejszego człowieka obala pięścią na ziemię. Czy będziecie teraz łaskawi wymienić nam swoje nazwiska?

- Chętnie. Słyszeliśmy już o Samie Hawkensie, ale o tamtych dżentelmenach nie. Ja nazywam się Santer i nie jestem takim słynnym westmanem jak wy, lecz prostym, biednym kowbojem.

Podał także nazwiska swoich trzech towarzyszy, których nie zapamiętałem, zapytał jeszcze o to i owo i odjechali. Gdy się oddalili, Winnetou spytał Sama:

- Dlaczego mój brat udzielił tym ludziom tak dokładnych wiadomości?

- Czyż miałem im tego odmówić?

- Tak.

- Cóż w tym złego? Pytali nas uprzejmie, musiałem więc odpowiedzieć tak samo; tak przynajmniej postępuje zawsze Sam Hawkens.

- Nie dowierzam uprzejmości bladych twarzy. Byli uprzejmi, gdyż było nas osiem razy tylu, co ich. Przykro mi, że wyjawiłeś im, kim jesteśmy.

- Czemu? Czy sądzisz, że to nam zaszkodzi?

- Tak.

- W jaki sposób?

- W różnoraki. Nie podobały mi się te blade twarze. Ten, który z tobą rozmawiał, miał niedobre oczy.

- Tego nie zauważyłem. Ale to nic, choćby nawet tak było. Już ich nie ma, oni jadą w jedną stronę, a my w drugą. Ani im przez myśl nie przyjdzie wracać i naprzykrzać się nam.

- Mimo to chcę się dowiedzieć, co zrobią. Niech moi bracia jadą pomału dalej, a ja z Old Shatterhandem zawrócę za tymi bladymi twarzami, aby się przekonać, czy istotnie pojadą, gdzie zamierzali, czy też tylko udają.

Podczas gdy wszyscy ruszyli dalej, zawróciliśmy wraz z Winnetou dotychczasowym naszym śladem za czterema obcymi. Muszę przyznać, że i mnie nie podobał się ten Santer, a i jego trzej towarzysze też nie wzbudzali zbytniego zaufania. Nie umiałem sobie tylko wytłumaczyć, co chcieliby lub mogli nam złego zrobić. Gdyby to byli nawet ludzie, którzy nie odróżniają cudzej własności od swojej, cóż - zapytywałem siebie daremnie - skłoniłoby ich do przypuszczenia, że u nas można coś zrabować? A gdyby nawet tak myśleli, to wydawało mi się nieprawdopodobne, żeby się odważyli uderzyć we czterech na trzydziestu siedmiu dobrze uzbrojonych ludzi. Gdy o to spytałem Winnetou, odrzekł:

- Jeżeli to złodzieje, to nie wystąpią przeciwko nam otwarcie. Pójdą za nami ukradkiem, aby skorzystać z chwili, kiedy ten, którego sobie upatrzą, odłączy się od reszty towarzystwa.

- A kogóż by mogli sobie upatrzyć? Wszak nas wcale nie znają.

- Tego, u którego spodziewają się złota.

- Złota? Skąd mogą wiedzieć, czy w ogóle mamy złoto, a po drugie, kto z nas je posiada? Musieliby być wszechwiedzący.

- O, nie. Wystarczy się zastanowić tylko nad tym, aby nabrać pewności. Sam Hawkens był nieostrożny i zdradził im, że jesteśmy wodzami i udajemy się do St. Louis. Więcej im nie potrzeba.

- Ach, teraz pojmuję, co mój czerwony brat ma na myśli. Indianie dążący na Wschód potrzebują pieniędzy, a nie mając monet, wiozą z sobą złoto. A gdy są w dodatku wodzami, znają na pewno złotodajne miejsca, mają więc prawdopodobnie dużo złota.

- Mój brat Old Shatterhand odgadł. Gdyby ci biali mieli zamiar dokonać kradzieży albo rabunku, zwróciliby uwagę przede wszystkim na nas obu, jako na wodzów. Oczywiście teraz nic nie znaleźliby przy nas.

- Nie znaleźliby? A przecież chcieliście zaopatrzyć się w złoto.

- Zrobimy to dopiero jutro. Po cóż mamy je nosić z sobą, gdy go nie potrzebujemy? Nie mieliśmy dotąd nic do płacenia; nastąpi to dopiero wówczas, gdy zajedziemy do miast położonych na naszej drodze. Dlatego już jutro prawdopodobnie nabierzemy złota.

- Więc takie złotodajne miejsce leży obok naszej drogi?

- Tak. Jest to góra zwana Nugget-tsil. Tylko my ją tak nazywamy, bo inni, którzy nie wiedzą, że tam się znajduje złoto, nazywają ją inaczej. Zbliżymy się do niej dziś wieczorem i weźmiemy złota, ile nam potrzeba.

Przyznaję, że się zdziwiłem, a nawet opanowała mnie pewna zazdrość! Ci ludzie wiedzieli, gdzie leżą masy tego cennego metalu, i zamiast go używać, wiedli życie nie znające prawie zdobyczy cywilizacji. Nie nosili sakiewek ani pularesów, ponieważ wszędzie, gdzie przyszli, znajdowali ukryte skarby - wystarczyło sięgnąć ręką, aby napełnić nimi kieszenie. Jacyż inni ludzie mając złoto żyliby tak skromnie jak oni?

Musieliśmy zastosować wszelkie środki ostrożności, gdyż chodziło o to, by Santer nie spostrzegł, że udaliśmy się za nim. Korzystaliśmy zatem z każdego wzniesienia gruntu, z każdego krzaka, by się ukryć. W dobry kwadrans ujrzeliśmy wszystkich czterech, kłusujących żwawo swoją drogą. Widocznie śpieszyli naprzód, nie myśląc o zawracaniu. Zatrzymaliśmy się, a Winnetou patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli nam z oczu. Dopiero wtedy powiedział: - Nie mają złych zamiarów, możemy zatem być spokojni.

Nie przeczuwał tak samo jak ja, jak bardzo się mylił. Tamci knuli już spisek, ale byli chytrzy. Spodziewali się, że przez pewien czas będziemy ich śledzić, więc udawali, że im bardzo pilno. Potem jednak zmienili kierunek i ruszyli za nami.

Zawróciliśmy konie i pędząc cwałem, wnet doścignęliśmy towarzyszy. Wieczorem stanęliśmy nad wodą. Przywykli do ciągłych ostrożności, wodzowie zbadali najpierw starannie okolicę, zanim wydali rozkaz rozłożenia się obozem. Wodą tą było źródło, które wytryskało z ziemi czystym i silnym strumieniem. Było tu dosyć trawy dla koni, a ponieważ miejsce otaczały drzewa i zarośla, mogliśmy przeto rozniecić jasne ogniska bez obawy, żeby je z daleka ujrzano. Gdy jeszcze Inczu-czu-na postawił dwie warty, zdawało się, że uczyniono wszystko, co nakazywała troska o bezpieczeństwo.

Apacze rozłożyli się jak zwykle w pewnym oddaleniu, aby zjeść przy ogniskach swoje porcje suszonego mięsa. Nas siedmiu siedziało dokoła ogniska na skraju zarośli, które wybraliśmy dlatego, że chroniły przed wiejącym tu wieczorami zimnym wiatrem. Po wieczerzy jak zwykle rozmawialiśmy przez pewien czas. Inczu-czuna oznajmił, że nazajutrz wyruszymy później, aż koło południa, a gdy Hawkens zapytał o powód zwłoki, oświadczył z otwartością, nad którą później ubolewałem:

- To powinno by pozostać tajemnicą, ale powiem ją białym braciom, jeśli mi przyrzekną, że nie będą się starali z niej skorzystać.

Gdyśmy to przyrzekli, mówił dalej:

- Potrzeba nam pieniędzy, więc pójdę jutro z dziećmi po nuggety i powrócę dopiero w południe.

Stone i Parker wydali okrzyk zdziwienia, a Hawkens zapytał z nie mniejszym zdumieniem!

- Więc tu niedaleko jest złoto?

- Tak - odrzekł Inczu-czuna. - Nikt się tego nie domyśla, nawet moi wojownicy. Ja sam dowiedziałem się o tym od mego ojca, a on od swego. Takie tajemnice dziedziczy się tylko z ojca na syna i należą one do świętości. Nie powierza się ich nawet najlepszemu przyjacielowi. Powiedziałem wam o tym teraz, ale nie wskazałbym owego miejsca, a tego, kto by się odważył pójść za nami, by je znaleźć, zastrzeliłbym.

- Czy nas zabiłbyś także?

- Oczywiście! Powziąłem do was zaufanie, ale gdybyście go nadużyli, zasłużylibyście na śmierć. Wiem jednak że nie opuścicie obozu przed naszym powrotem.

Po tym krótkim ostrzeżeniu sprowadził rozmowę na inne tory, a przerwał ją dopiero po pewnym czasie Sam Hawkens. Inczu-czuna, Winnetou, Nszo-czi i ja siedzieliśmy odwróceni plecami do zarośli, a Sam, Dick i Will zajmowali drugą stronę ogniska, mieli zatem zarośla przed oczyma. Wtem Hawkens krzyknął, porwał strzelbę, złożył się, wypalił w zarośla i zaalarmował tym oczywiście cały obóz. Indianie doskoczyli do nas, my zaś zerwaliśmy się, pytając Sama, dlaczego strzeli.

- Zobaczyłem dwoje oczu wyzierających poza Inczu-czną z zarośli - oświadczył. Czerwonoskórzy chwycili natychmiast głownie z ogniska i rzucili się w krzaki, ale szukali na próżno. Wobec tego wszyscy, uspokoili się i usiedli z powrotem.

- Sam Hawkens z pewnością się pomylił - rzekł Inczu-czuna. - Takie migotliwe światło bardzo łatwo wywołuje złudzenie.

- Bardzo bym się dziwił, gdyż zdaje mi się, że zupełnie wyraźnie widziałem parę oczu.

- Może wiatr odwrócił dwa liście, a mój brat zobaczył ich dolną, jaśniejszą stronę i wydało mu się, że to oczy.

- To możliwe istotnie; zastrzeliłem więc dwa liście, hi! hi! hi!

Zaśmiał się zwykłym swoim sposobem, Winnetou jednak nie zapatrywał się na tę sprawę od żartobliwej strony, lecz rzekł poważnie:

- Mój brat popełnił w każdym razie błąd, którego się na przyszłość powinien wystrzegać.

- Ja? Błąd? Jakim sposobem?

- Nie należało strzelać.

- Nie? A to dopiero! Gdy szpieg siedzi w zaroślach, mam prawo posłać mu kulę, jeśli się nie mylę.

- Czy można wiedzieć z góry, że zwiadowca przychodzi ze złymi zamiarami? Może skrada się po to, żeby zobaczyć, kim jesteśmy, może wyszedłby potem z zarośli, aby nas powitać.

- To prawda zaiste - przyznał Sam.

- Ten strzał jest dla nas niebezpieczny - mówił Winnetou dalej. - Albo Sam się pomylił i nie widział oczu, a w takim razie huk był zbyteczny i może sprowadzić nieprzyjaciół, jeśli znajdują się w pobliżu, albo był tam ktoś istotnie, a w tym wypadku również lepiej było nie strzelać, gdyż było do przewidzenia, że kula nie trafi.

- Oho! Sam Hawkens jest pewny swej kuli! Chciałbym zobaczyć tego, kto by mi udowodnił, że spudłowałem!

- Ja także umiem strzelać, a chybiłbym prawdopodobnie. Szpieg spostrzegł niewątpliwie, że w niego mierzą, i usunął się sprzed wylotu lufy. Kula nie trafiła, a ów człowiek zniknął w ciemnościach.

- Tak, tak, lecz co uczyniłby mój czerwony brat na moim miejscu?

- Albo złożyłbym się do strzału, trzymając strzelbę na kolanie, albo odszedłbym stąd po cichu, aby szpiega zajść z tyłu.

Dać strzał ze strzelby trzymanej na kolanie - tak zwany strzał z kolana - jest nadzwyczaj trudno. Nie udaje on się wielu westmanom, chociaż są dobrymi strzelcami. Nie wiedziałem nic o tego rodzaju strzelaniu, ale gdy mi Winnetou zwrócił uwagę, zacząłem się ćwiczyć ostatnio w tej umiejętności.

Przypuśćmy, że siedzę - sam czy z towarzyszami - przy obozowym ognisku, a przy mnie po prawej stronie leży strzelba. Wtem dostrzegam dwoje oczu patrzących na mnie z ukrycia. Nie mogę dojrzeć twarzy obserwatora, gdyż tkwi w ciemności, ale widać jego oczy, jeżeli nie jest dość ostrożny, żeby je zakryć rzęsami. Oczy mają matowy, fosforyzujący połysk, występujący tym wyraźniej, im bardziej człowiek wytęża wzrok. Nie należy jednak sądzić, że łatwo jest zobaczyć dwoje otwartych oczu wśród milionów liści krzaka. Nauczyć się tego nie można, zależy to tylko od wrodzonej bystrości wzroku. Skoro jestem pewien, że mam przed sobą szpiega, muszę go dla własnego ocalenia uczynić nieszkodliwym. Muszę więc go zabić, i to kulą wymierzoną między oczy, które są jedynym widocznym celem. Jeśli jednak złożę się do strzału zwyczajnym sposobem, to znaczy przycisnę kolbę do policzka, wróg zauważy

to i natychmiast zniknie. Trzeba go więc tak wziąć na cel, żeby tego nie dostrzegł. Można to zrobić za pomocą strzału z kolana. Zginam prawą nogę w ten sposób, że kolano się unosi, a udo tworzy linię, której przedłużenie dosięga owych oczu. Potem biorę do ręki strzelbę na pozór bezmyślnie, jakby dla zabawy, i bez żadnego zamiaru kładę lufę na udzie tak, by stanowiła jego przedłużenie, i wypalam. Taki strzał jest bardzo trudny, tym bardziej że można się przy nim posłużyć tylko prawą ręką, gdyby bowiem zajęte były obie ręce, cała operacja pozbawiona byłaby pozoru niewinności. W dodatku cel tworzą tylko dwa niewyraźne punkty wśród masy liści mieniących się w migotliwym świetle ogniska lub poruszanych wiatrem.

Mistrzem w strzelaniu z kolana był Winnetou. Mnie się to nie udawało przeważnie dlatego, że moją ciężką rusznicą trudno było zręcznie kierować. Ale nieustannym ćwiczeniem doszedłem ostatecznie do upragnionych wyników. Podczas gdy innych zadowoliły i uspokoiły bezskuteczne poszukiwania, Winnetou po pewnym czasie wstał i oddalił się, aby raz jeszcze zbadać zarośla. Trwało to około godziny. Gdy wrócił rzekł:

- Nie ma nikogo. Sam Hawkens musiał się pomylić.

Mimo to podwoił straże i kazał im obchodzić obóz. Potem położyliśmy się spać. Spałem niespokojnie i budziłem się często, dręczyły mnie niemiłe sny, w których główną rolę odgrywali Santer i jego towarzysze. Po śniadaniu, które składało się z mięsa i polewki mącznej, wyruszył Inczu-czuna z synem i córką w drogę. Zanim odeszli, prosiłem, żeby mi pozwolili odprowadzić się kawałek. By ich przekonać, że nie chodzi mi o znalezienie drogi do pokładów złota, powiedziałem otwarcie, że nie mogę się pozbyć myśli o Santerze.

- Niechaj mój brat nie troszczy się o nas - odrzekł Winnetou. - Aby go uspokoić, poszukam raz jeszcze śladów Santera. Wiemy, że nie pożądasz złota, ale gdybyś poszedł z nami, choćby niedaleko, domyśliłbyś się, w którym to jest miejscu, a potem ogarnęłaby cię żądza śmiercionośnego pyłu, która nie opuszcza bladych twarzy, dopóki nie zginą na ciele i duszy.

Prosimy cię zatem, żebyś nie szedł z nami, nie z nieufności, lecz z miłości i przezorności. Tym musiałem się zadowolić. Winnetou zbadał jeszcze raz okolicę, ale nie znalazł żadnych śladów, po czym odeszli wszyscy troje. Szli piechotą, z czego wywnioskowałem. że to miejsce było niedaleko.

Położyłem się na trawie, zapaliłem fajkę i wdałem się w rozmowę z Samem, Dickiem i Willem, po to tylko, aby się pozbyć bezpodstawnych obaw. Ale niepokój dręczył mnie dalej, więc podniosłem się wkrótce, zarzuciłem strzelbę na ramię i poszedłem na prerię w nadziei, że może spotkam jakąś zwierzynę i to przerwie tok moich myśli. Inczu-czuna poszedł na południe, więc udałem się na północ, żeby się nie błąkać w pobliżu zakazanego miejsca.

Po upływie kwadransa natknąłem się na trop trojga ludzi, którzy mieli na nogach mokasyny, jak to wyraźnie mówiły ślady. Z tej okoliczności, jak też z tego, że ślady pochodziły od nóg dużych, średnich i małych, wywnioskowałem, że musieli to być Inczu-czuna, Winnetou i Nszo-czi, którzy zrazu puścili się na południe, a potem zawrócili na północ, aby nas wywieść w pole i utrzymać w przekonaniu, że pokłady złota znajdują się na południu.

Czy wypadało mi iść dalej? Nie. Mogli mnie zobaczyć albo natrafić na mój ślad i pomyśleliby, że szedłem za nimi potajemnie. Ponieważ nie chciałem jeszcze wracać do obozu, ruszyłem ku wschodowi.

Wkrótce znów musiałem się zatrzymać, gdyż zauważyłem na trawie nowe ślady, których badanie wykazało, że zostawili je czterej mężczyźni w butach z ostrogami. W tej samej chwili przyszedł mi na myśl Santer.

Ślady prowadziły w tę stronę, w której musieli się znajdować obaj wodzowie, a wychodziły z niedalekich zarośli, z których sterczało kilka pokrytych jeszcze liśćmi szkarłatnych dębów. Tam więc skierowałem najpierw swoje kroki. Gdy wdarłem się między zarośla, ujrzałem stojące tam cztery konie, na których poprzedniego dnia jechali Santer i jego trzej towarzysze. Po śladach na ziemi można było poznać, że czterej opryszkowie

spędzili tu noc. A zatem wrócili! Po co? Chyba tylko ze względu na nas. Nosili się zapewne z zamiarami, które podejrzewał Winnetou.

Sam Hawkens nie pomylił się więc wczoraj wieczorem i rzeczywiście zobaczył oczy, ale spłoszył szpiega, zanim zdołał do niego strzelić. Teraz było pewne, że nas podsłuchano. Santer śledził nas widocznie, aby tego, którego sobie upatrzył, pochwycić na osobności. Ale to miejsce znajdowało się tak daleko od naszego obozu. Jak mógł nas stąd obserwować? Przyjrzałem się drzewom. Były wysokie, lecz niezbyt grube, łatwo więc było się na nie wdrapać. Na korze jednego z nich widniały wyraźnie draśnięcia, które mogły pochodzić tylko od ostróg. Wyleźli więc na drzewo, a stamtąd widzieli, jeśli nie sam obóz, to każdego, kto go opuścił. O nieba! Co za myśl przyszła mi teraz do głowy! O czym mówiliśmy wczoraj, zanim Sam spostrzegł owe oczy? O dzisiejszej wyprawie Inczu-czuny i jego dzieci po złoto! Podsłuchujący to słyszał, a wylazłszy dzisiaj rano na drzewo, widział przechodzących tych troje, na których czekał. I wkrótce potem udał się za nimi z trzema towarzyszami. Winnetou, Nszo-czi i ich ojciec byli więc w niebezpieczeństwie! Musiałem oczywiście natychmiast, jak najprędzej, ruszyć za opryszkami. Nie mogłem sobie nawet pozwolić na to, by powrócić do obozu i dać znać o tym, co się święci. Odwiązałem co prędzej jednego konia, wyprowadziłem go z zarośli, wskoczyłem i popędziłem tropem łotrów. Trop ten niebawem złączył się ze śladami wodzów.

Starałem się przy tym domyślić z tych nielicznych wskazówek, jakie miałem, gdzie należy szukać pokładów złota na wypadek, gdybym zgubił trop. Winnetou mówił o górze, zwanej Nugget-tsil. ”Nuggety” są to ziarnka złota rozmaitej wielkości, a ”tsil” znaczy w języku Apaczów ”góra”. Nugget-tsil znaczyło ”Góra Nuggetów”.

- Pokłady musiały więc leżeć wysoko. Rozejrzałem się po okolicy. Na północy, właśnie w kierunku, który obrałem na pogoń, wznosiło się kilka dużych wzgórz porosłych lasem, a jedno z nich było niewątpliwie Górą Nuggetów.

Stara szkapa, na której jechałem, była dla mnie zbyt powolna, ale ostro popędzana wytężała wszystkie siły. Wkrótce minąłem równinę i znalazłem się u stóp wspomnianych wzgórz. Trop prowadził pomiędzy dwiema górami, lecz niebawem nie mogłem go już rozpoznać, ponieważ w tym miejscu wody górskie naniosły masę złomów kamiennych. Nie zsiadłem mimo to z konia, gdyż ci, których szukałem, musieli przecież pójść dalej doliną w górę. Później jednak otworzyła się przede mną po prawej stronie boczna dolina, zasypana także kamieniami. Tu zeskoczyłem z konia i zbadałem osypisko, by się przekonać, czy wędrowcy skręcili na prawo, czy też poszli dalej prosto. Z niemałą trudnością odszukałem ślady, które wiodły w prawo do parowu. Dosiadłem ponownie konia i pojechałem tędy dalej. Wkrótce jednak droga znowu się rozwidliła i musiałem zsiąść. Obawiałem się, że te zmiany dróg będą się potem powtarzały, wobec czego koń mógł mi tylko przeszkadzać, przywiązałem go więc do drzewa i pośpieszyłem dalej piechotą.

Biegłem wąskim, skalistym żlebem, w którym nie było teraz wody. Trwoga nagliła mnie do jak największego pośpiechu, niebawem więc zabrakło mi tchu. Przybywszy nad ostrą przełęcz, musiałem się zatrzymać, aby odsapnąć, a potem ruszyłem w dół, dopóki ślady nie skręciły do lasu. Pędziłem pomimo gęstwiny drzew. Potem drzewa się przerzedziły i zrobiło się przede mną tak przejrzyście, że wydało mi się, iż mam przed sobą wolną przestrzeń. Nie dotarłem tam jeszcze, kiedy nagle usłyszałem huk kilku strzałów. W parę chwil potem zabrzmiał przeszywający krzyk - był to przedśmiertny krzyk Apaczów.

Teraz już nie biegłem, lecz rzucałem się wprost w długich skokach jak drapieżne zwierzę wpadające na zdobycz. Znowu dał się słyszeć jeden strzał, potem drugi z dwururki Winnetou, którą poznałem po huku. Chwała Bogu! A więc żył jeszcze! Po kilku skokach dostałem się na polanę. Widok, jaki ujrzałem, sprawił, że stanąłem jak wryty. Na środku polany leżeli Inczu-czuna i jego córka, nie wiadomo, czy jeszcze żywi, czy już martwi. Nie opodal, za niewielkim odłamem skały, czaił się

Winnetou zajęty ponownym nabijaniem strzelby, na lewo ode mnie stało dwu drabów ukrytych za drzewem ze strzelbami gotowymi do strzału, gdyby tylko Winnetou odważył się wyjść zza osłony. Na prawo od nich trzeci czołgał się ostrożnie pod drzewami, chcąc zajść młodego wodza z tyłu. Czwarty leżał na wprost mnie z przestrzeloną głową.

Ci dwaj byli na razie dla wodza niebezpieczniejsi od tego, który się skradał. Zdjąłem prędko z ramienia rusznicę i strzeliłem do obydwu, po czym nie nabiwszy ponownie, rzuciłem się w pogoń za trzecim. Ten, usłyszawszy moje strzały, odwrócił się czym prędzej i wymierzył do mnie. Skoczyłem w bok, wskutek czego kula mnie nie dosięgła. Dał wówczas za wygraną i pomknął w las. Pobiegłem za nim, gdyż był to Santer, którego chciałem koniecznie pochwycić. Byliśmy jednak tak daleko od siebie, że wprawdzie na skraju polany widziałem go jeszcze dobrze, ale w lesie zniknął mi z oczu. Zmuszony kierować się jego śladami, nie mogłem biec za nim tak szybko, jak tego pragnąłem, zawróciłem więc niebawem, zwłaszcza że Winnetou mógł mnie potrzebować.

Ujrzałem go też, jak klęczał nad ojcem i siostrą, szukając w nich trwożliwie znaków życia. Na mój widok wstał na chwilę z dziwnym wyrazem, w oczach, którego nigdy nie zapomnę, przebijał z nich szalony ból i wściekłość.

- Mój brat Old Shatterhand widzi, co się stało. Nszo-czi, najpiękniejsza, i najlepsza z dziewic Apaczów, nie pojedzie już do miast bladych twarzy. Jest w niej jeszcze iskra życia, lecz oczu nie otworzy już nigdy.

Nie byłem zdolny wymówić słowa, nie mogłem nic powiedzieć ani o nic zapytać! Na cóż by się to zresztą zdało? Widziałem przecież, co zaszło! Leżeli obok siebie w kałuży krwi - Inczu-czuna z przestrzeloną głową i Piękny Dzień ze zranioną śmiertelnie piersią. On zginął od razu, ona zaś oddychała jeszcze, charcząc ciężko, a brąz jej pięknej twarzy bladł coraz bardziej. Pełne policzki zaczęły się zapadać, a wyraz śmierci przyoblekł drogie mi rysy. Wtem poruszyła się lekko. Zwróciła głowę ku ojcu i otworzyła powoli oczy. Zobaczyła Inczu-czunę

w krwi i przestraszyła się bardzo, chociaż wyraz tego przestrachu nie wystąpił już tak żywo wobec wielkiego osłabienia. Zdawało się, że się namyśla, wreszcie odzyskała przytomność i sięgnęła ręką do serca. Poczuła cieknącą stamtąd ciepłą krew a westchnęła głęboko, charcząc.

- Nszo-czi, moja dobra, jedyna siostro! - skarżył się Winnetou głosem, którego słowami nie podobna opisać.

Na to podniosła na niego oczy.

- Winnetou... mój... bracie! - szepnęła, - Pomścij... pomścij... mnie!

Następnie wzrok jej spoczął na mnie i weselszy, choć zamierający uśmiech zakwitł na jej wybladłych wargach.

- Old... Shatter...hand! - westchnęła. - Jesteś tu... Teraz... umieram... tak...

Więcej nie słyszeliśmy już, gdyż śmierć nie pozwoliła jej dokończyć zamykając usta na zawsze. Myślałem, że serce mi pęknie. Musiałem jakoś wyrazić mój ból. Zerwałem się z klęczek i krzyknąłem tak głośno, że aż echo się odbiło od pobliskich skał. Winnetou wstał powoli, jak gdyby przywalony olbrzymim ciężarem, a objąwszy mnie obiema rękami, powiedział:

- Oni już nie żyją! Największy, najszlachetniejszy z wodzów i siostra moja Nszo-czi, która duszę swoją tobie oddała. Umarła z twym imieniem na ustach. Nie zapomnij o tym, nie zapomnij, kochany bracie.

- Nigdy, nigdy nie zapomnę! - zawołałem. Potem twarz jego przybrała zupełnie inny wyraz, a głos zabrzmiał jak daleki grzmot, kiedy zapytał:

- Czy słyszałeś, co było jej ostatnią prośbą?

- Tak.

- Zemsta! Mam ją pomścić, a pomszczę tak, jak nikt jeszcze mordu nie pomścił. Czy wiesz, kim byli mordercy? Czy ich widziałeś? Były to blade twarze, którym nie zrobiliśmy nic złego. Tak było zawsze i tak będzie zawsze, dopóki nie pozbawią życia ostatniego z czerwonych mężów. Choćby zginął nawet własną śmiercią, to i tak będzie ofiarą zbrodni popełnianej

przez białych na mojej rasie. Chcieliśmy udać się do miast tych przeklętych bladych twarzy. Nszo-czi pragnęła stać się taką jak biała skwaw, ponieważ kochała cię i sądziła, że zdobędzie twe serce, jeśli sobie przyswoi wiedzę i obyczaje białych. Przypłaciła to jednak życiem. To wszystko jedno, czy was kochamy, czy nienawidzimy; gdzie blada twarz nogę postawi, tam idzie w ślad nasza zguba. Pójdzie płacz wielki po wszystkich szczepach Apaczów i podniesie się wielkie wycie wściekłości i zemsty wszędzie, gdzie tylko znajdą się członkowie naszego narodu. Oczy wszystkich patrzą teraz na Winnetou, aby zobaczyć, jak pomści śmierć ojca i siostry. Niech mój brat Old Shatterhand posłucha, co ślubuję tutaj obu tym trupom! Przysięgam na Wielkiego Ducha i wszystkich moich walecznych przodków, zebranych w odwiecznych ostępach, że od dzisiaj każdego, każdego białego, którego spotkam, zastrzelę ze strzelby wypadłej z martwej ręki ojca albo...

- Stój! - przerwałem mu, przejęty zgrozą, gdyż wiedziałem, że przysięgi dotrzyma bezwzględnie, nieubłaganie. - Stój! Niechaj mój brat Winnetou teraz nie przysięga - nie teraz!

- Czemu nie teraz? - zapytał niemal z gniewem.

- Przysięgać należy ze spokojem w duszy.

- Uff! Dusza moja jest spokojna teraz jak grób, do którego włożę moich zmarłych. Jak ziemia ich nigdy nie odda, tak samo ja nie cofnę nic ze słów, które...

- Nie mów dalej!... - zacząłem go prosić znowu. Na to błysnął groźnie oczami i zawołał:

- Czy Old Shatterhand chce mi przeszkodzić w spełnieniu obowiązków? Czy mam dopuścić do tego, żeby na mnie spluwały stare baby, żebym został wyklęty ze szczepu za brak odwagi do pomszczenia tego, co się tu dzisiaj stało?

- Nie myślę tego od ciebie żądać. Ja także domagam się kary dla mordercy. Trzech ona już dosięgła, czwarty umknął, ale nie ujdzie naszych rąk.

- To nie ulega wątpliwości! - wybuchnął. - Ale ja nie tylko z nim mam do czynienia. On działał jako syn tej białej rasy, która przynosi nam zgubę. Ona odpowiada za to, czego go nauczyła,

ją więc pociągnę do odpowiedzialności, ja, Winnetou, teraz pierwszy i najwyższy wódz wszystkich plemion Apaczów!

Stał przede mną wyprostowany jak człowiek, który mimo młodości czuje się królem swoich poddanych! Tak, on był zdolny wykonać to, co zamierzał. On potrafiłby niewątpliwie zgromadzić pod swym dowództwem wszystkich czerwonych wojowników i rozpocząć olbrzymią, rozpaczliwą walkę z białymi. Jej wynik był wprawdzie niewątpliwy, ale przedtem setki tysięcy trupów pokryłyby Dziki Zachód. Teraz, w tej właśnie chwili, rozstrzygało się, czy tomahawk śmierci miał zacząć szaleć w ten sposób, czy nie. Wziąłem zrozpaczonego za rękę i rzekłem:

- Zrobisz, co zechcesz, przedtem jednak wysłuchaj mojej prośby, która będzie może ostatnia: potem nigdy już nie usłyszysz głosu twego białego przyjaciela i brata. Tu leży Nszo-czi. Sam powiadasz, że mnie kochała i że umarła z moim imieniem na ustach. Ciebie ona także kochała; mnie jako przyjaciela, ciebie jako brata, a ty odwzajemniałeś jej miłość sowicie. Na tę miłość cię zaklinam, nie składaj teraz przysięgi, lecz dopiero wówczas kiedy zamkną się głazy nad najszlachetniejszą córą Apaczów!

Winnetou spojrzał na mnie poważnie i zwrócił wzrok na umarłą. Rysy jego twarzy łagodniały zwolna, w końcu popatrzył znowu na mnie, mówiąc:

- Brat mój Old Shatterhand posiada wielką władzę nad sercami wszystkich, z którymi obcuje. Nszo-czi spełniłaby pewnie jego prośbę, więc i ja nie mogę jej odmówić. Wtedy dopiero, kiedy oko moje nie będzie już widziało tych trupów, rozstrzygnie się, czy Missisipi i wszystkie jej dopływy poniosą krew białych i czerwonych narodów do morza. Powiedziałem. Howgh!

Uścisnąłem młodemu wodzowi rękę z wdzięcznością i rzekłem:

- Mój czerwony brat zobaczy, że nie proszę o łaskę dla winnego. Niechaj dosięgnie go kara tak ciężka i surowa, jak na to zasługuje. Nie wolno mu zostawić czasu do ucieczki, pozwolić

zbytnio się od nas oddalić. Niechaj Winnetou powie, co poczniemy!

- Nogi moje są spętane - oświadczył znów posępnie. - Zwyczaje mego narodu nakazują mi pozostać przy zmarłych, jako najbliższych krewnych, aż do ich pogrzebu. Potem dopiero będzie mi wolno wstąpić na drogę zemsty.

- A kiedy odbędzie się pogrzeb?

- Nad tym naradzę się z wojownikami! Albo pochowamy ich tutaj na miejscu, gdzie zmarli, albo zabierzemy ich do puebla, gdzie mieszkali wśród swoich. Jeśli jednak nawet tutaj będzie miejsce ich spoczynku, upłynie kilka dni, zanim spełnimy wszystkie czynności związane z pogrzebem tak wielkiego wodza.

- W takim razie morderca umknie na pewno!

- Nie. Chociaż Winnetou nie może go ścigać, dokonają tego inni. Niechaj brat mój opowie mi krótko, jak się to stało, że tutaj przyszedł.

Teraz, kiedy chodziło o sprawy czysto rzeczowe, był spokojny jak zwykle. Opowiedziałem mu to, czego żądał. Podczas tej rozmowy doleciało nas ciężkie westchnienie z miejsca, gdzie leżeli zastrzeleni przeze mnie rabusie. Widocznie któryś jeszcze żył. Pobiegliśmy tam szybko. Jednemu z nich kula przeszła przez samo serce, drugi, trafiony podobnie jak Nszo-czi, żył jeszcze i właśnie przyszedł był do siebie. Wytrzeszczył na nas bezmyślnie oczy i zamruczał jakieś niezrozumiałe słowa. Pochyliłem się nad nim i zawołałem:

- Czy wiecie, kto jest teraz przy was? Starał się widocznie przypomnieć sobie wszystko.

Oczy rozjaśniły mu się rzeczywiście i usłyszałem ciche pytanie:

- Gdzie… jest… Santer?

- Umknął - odrzekłem.

- Do… dokąd?

- Tego nie wiem, ale spodziewam się, że dostanę od was jakąś wskazówkę. Wasi towarzysze nie żyją, a wy także za kilka sekund przeniesiecie się na tamten świat. Stając u progu

śmierci zachowacie się chyba szlachetniej niż przedtem. Skąd pochodzi Santer?

- Tego… nie… wiem.

- Czy istotnie nazywa się Santer?

- Ma wiele… wiele… nazwisk.

- Czym jest właściwie?

- Także… także… nie wiem.

- Czy macie tu blisko znajomych, może w którym z portów?

- Nie… nie…

- Dokąd jechaliście?

- Ni… nigdzie. Tam, gdzie pieniądze… zdobycz…

- A więc byliście rabusiami z zawodu! To straszne! Skąd przyszło wam na myśl napaść na Apaczów?

- Nug… nuggety.

- Przecież nie mogliście nic wiedzieć o nuggetach.

- Chcieliśmy udać się… do… do… Zamilkł. Było mu nadzwyczaj trudno odpowiadać, lecz odgadłem, co chciał powiedzieć, i spytałem:

- Słyszeliście, że ci Apacze mają zamiar pójść na Wschód i przypuszczaliście, że mają złoto? Skinął głową.

- Postanowiliście więc napaść na nich. Ponieważ zaś domyślaliście się, że będziemy ostrożni, przeto pojechaliście dobry kawał naprzód, a zawróciliście dopiero wówczas, kiedyście sądzili, żeśmy się już przestali obawiać. Skinął znów głową.

- Potem pojechaliście za nami. Czy podsłuchaliście nas wieczorem?

- Tak… Santer.

- A więc to był sam Santer! Czy powiedział wam, co usłyszał?

- Apacze… Nugget-tsil… zabrać nuggety… rano…

- Tak jak się domyślałem. Potem ukryliście się w zaroślach i śledziliście nas z drzew, aby się dowiedzieć, gdzie Apacze zbierają nuggety?

Zamknął oczy i nie odpowiedział.

- A może postanowiliście napaść na nich podczas powrotu, aby..

Wtem przerwał mi Winnetou:

- Niech mój brat dalej nie pyta; ta blada twarz nie odezwie się już, bo nie żyje. Te białe psy pragnęły poznać naszą tajemnicę, ale przyszły za późno. Wracaliśmy już, kiedy oni, zobaczywszy nas, ukryli się za drzewami i strzelili. Inczu-czun,a i Nszo-czi padli, mnie zaś kula musnęła po rękawie. Wypaliłem do jednego z nich, ale w chwili gdy pociągnąłem za cyngiel, skoczył za drzewo. wskutek czego chybiłem. Natomiast druga kula powaliła drugiego. Potem ukryłem się za głazami, ale nie zdołałbym ocalić życia, gdyby nie nadszedł brat mój, Old Shatterhand. Dwaj zagrażali mi z przodu, a trzeci chciał podkraść się od tyłu, gdzie nie miałem osłony, i trafiłby mnie. Wtem usłyszałem donośny głos rusznicy Old Shatterhanda, co było znakiem mego ocalenia. Teraz brat mój wie wszystko, niech się więc zastanowi, jak schwytać Santera.

- Czy to zadanie mnie przypadnie w udziale?

- Tak, Old Shatterhandowi, gdyż on na pewno znajdzie ślad zbiega.

- Spodziewam się, ale na mozolnym szukaniu upłynie dużo czasu.

- Nie. Śladu szukać nie trzeba, gdyż poprowadzi on niewątpliwie do koni morderców, do których musi się on najpierw udać. Tam gdzie nocował ze swymi ludźmi, będzie z pewnością trawa i Old Shatterhand bez trudu pozna, dokąd się zwrócił.

- A potem?

- Potem weźmie mój brat dziesięciu wojowników i ruszy z nimi, aby go pojmać. Pozostałych dwudziestu wojowników przyśle mnie, żeby wraz ze mną rozpoczęli pieśni żałobne.

- Niech się tak stanie. Mam nadzieję, że nie zawiodę zaufania, które mój czerwony brat we mnie pokłada.

- Wiem, że Old Shatterhand postąpi tak, jak gdybym ja sam był na jego miejscu. Howgh!

Uścisnąłem serdecznie podaną mi przez Winnetou rękę, pochyliłem się raz jeszcze nad twarzami obojga zmarłych i odszedłem. Na skraju polany odwróciłem się. Zobaczyłem, jak

Winnetou przykrywał ich głowy, i usłyszałem jego ciche jęki, którymi Indianie zwykle rozpoczynają swoje pieśni za umarłych. O, jakże mnie to strasznie bolało! Ale musiałem działać, ruszyłem więc czym prędzej tą samą drogą, którą tu przybyłem.

Początkowo zdawało mi się, że spełnią się przewidywania Winnetou, ale gdy doszedłem do przełęczy, obudziły się we mnie wątpliwości. Santer musiał myśleć przede wszystkim o tym, żeby jak najszybciej uciec. Gdyby pobiegł do swego obozu, opóźniłby w ten sposób ucieczkę. Mógł się tam udać tylko po konia, a gdyby tak znalazł tego, na którym ja przyjechałem? Wszak uciekał tą samą drogą, którą ja tu przybyłem, musiał go więc spostrzec.

Ta myśl podwoiła szybkość moich kroków. Zbiegłem z góry, zaniepokojony w najwyższym stopniu, czy znajdę jeszcze konia. Łatwo sobie wyobrazić, jaka mnie wściekłość opanowała, kiedy go nie zastałem. Zatrzymałem się tylko na chwilę, a potem poleciałem raczej, niż pobiegłem, przez parów. Mogłem sobie pozwolić na nieuwagę wobec tego, że szukanie śladów na kamiennym osypisku zabrałoby zbyt wiele czasu i do niczego by nie doprowadziło. Znalazłszy się jednak w dolinie przystanąłem, by zbadać trop. Nie od razu mi się to udało, gdyż ziemia była tu jeszcze zbyt twarda. Dopiero w odległości dziesięciu minut drogi grunt stał się miększy, łatwiej więc można było znaleźć odciski kopyt.

Ale tu spotkało mnie zupełne rozczarowanie. Szukałem i badałem, natężałem oczy i umysł, ale nadaremnie. Santer tędy nie przejeżdżał. Widocznie opuścił parów nieco powyżej, w miejscu bardziej skalistym, gdzie nie obawiał się pozostawienia śladów. Inaczej być nie mogło. Stałem więc, nie wiedząc, co począć. Czy imałem wrócić i szukać tego miejsca? Pochłonęłoby to całe godziny, a na taką stratę czasu nie mogłem sobie pozwolić. Lepiej było pośpieszyć do naszego obozu po pomoc. Tak też zrobiłem. Biegłem tak długo i szybko jak nigdy dotąd, lecz wytrzymałem, ponieważ nauczyłem się od Winnetou, jak się zachowywać w biegu, by nie stracić tchu i nie zmęczyć się za

prędko. Należy mianowicie opierać cały ciężar ciała zawsze tylko na jednej nodze, a w razie znużenia przenosić go na drugą. W ten sposób można bez wielkiego natężenia kłusować godzinami.. Trzeba tylko mieć silne płuca.

Zbliżywszy się do celu, zwróciłem się najpierw ku obozowi Santera. Wszystkie trzy konie stały jeszcze w zaroślach. Odwiązałem je, dosiadłem jednego, a resztę wziąłem za cugle i pojechałem do naszego obozu. Dawno minęło już południe, kiedy zobaczyłem Sama, który zawołał:

- Gdzie się włóczycie, sir? Spóźniliście się na jedzenie, a ja... - zająknął się, przypatrzył się koniom zdumionym wzrokiem i mówił dalej: - Do stu piorunów! Poszliście piechotą, a wracacie konno! Zostaliście chyba koniokradem!

- Nie. Zdobyłem te zwierzęta.

- Gdzie?

- Niedaleko stąd.

- Od kogo?

- Przypatrzcie się im dobrze! Ja poznałem je natychmiast, a wy macie przecież dobre oczy.

- Tak jest! Domyśliłem się od razu, czyje, ale nie byłem pewny. To konie Santera i jego towarzyszy. Ale jednego brakuje.

- Poszukamy go wraz z jego właścicielem.

- Ale jakże...

- Cicho, kochany Samie! - przerwałem mu. - Stała się rzecz bardzo ważna i smutna. Musimy stąd natychmiast wyruszyć.

- Stąd? Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi zwołałem Apaczów i zawiadomiłem ich o śmierci Inczu-czuny i jego córki. Po moich słowach zapanowało głębokie milczenie, gdyż wieść, którą przyniosłem, wydała im się zbyt okropna, wprost nie do wiary. Przedstawiłem więc dokładniej wypadki i dodałem na końcu:

- A teraz niechaj moi czerwoni bracia przyznają, kto lepiej przepowiedział przyszłość - Sam Hawkens, czy wasz czarownik? Inczu-czuna i Nszo-czi zginęli, ponieważ oddalili się ode mnie, a Winnetou ja ocaliłem. A więc, czy moje towarzystwo sprowadza śmierć, czy życie?

Teraz nie mogli już wątpić. Rozległo się wycie, dosłyszalne na kilka mil dokoła. Czerwonoskórzy biegali jak wściekli, wymachiwali bronią i robili straszliwe miny dla okazania swej wściekłości. Dopiero po pewnym czasie zdołałem przekrzyczeć ich wrzaski.

- Niechaj milczą wojownicy Apaczów! - nakazałem. - Wyciem nic nie wskóracie. Wyruszamy, aby schwytać mordercę!

- Tak, wyruszamy! - zawołali przyskakując do koni.

- Ciszej! - nakazałem powtórnie. - Wszak bracia moi nie wiedzą, co mają czynić. Ja im to powiem.

Zaczęli się tak do mnie cisnąć, że omal mnie nie przewrócili. Gdyby dostali w tej chwili w ręce Santera, rozszarpaliby go na kawałki. Hawkens, Stone i Parker stali w ciszy obok siebie. Wiadomość o śmierci ojca i siostry Winnetou zrobiła na nich piorunujące wrażenie. Teraz podeszli, a Sam zaczął:

- Zdaje mi się, że mi ktoś dał silnie po łbie; ciągle jeszcze nie mogę tego pojąć. To straszne, to okropne! Ta miła, piękna, dobra, czerwona miss! Zawsze była dla mnie taka uprzejma i teraz miałaby już nie żyć! Wiecie, czuję się zupełnie tak, jak gdybym...

- Jak się czujecie, to zachowajcie dla siebie, kochany Samie! - wpadłem mu w słowa. - Musimy się puścić w pogoń za mordercą. Gadanie nic nie pomoże.

- Well! Zgadzam się z wami, ale czy wiecie, dokąd ten łotr się udał?

- Teraz jeszcze nie.

- Myślę. Wszak nie widzieliście jego śladów. Jak je teraz znajdziemy? To jest niemożliwe, a przynajmniej niezmiernie trudne.

- Przeciwnie, bardzo łatwe.

- Sądzicie? Hm! Chcecie powiedzieć, że pojedziemy do parowu, skąd wymknął się na bok. Będzie moc szukania!

- Nie ma mowy o parowie.

- Nie? W takim razie jestem ciekawy, na jaką myśl wpadliście. Czasem może i greenhorn mieć dobrą myśl, ale...

- Dajcie pokój greenhornowi! Odeszła mnie ochota do słuchania waszych dowcipów. Zachowajcie je dla siebie, bo mnie serce krwawi!

- Dowcipy? Halo! Kto by sądził, że stroję sobie żarty, ten dostanie kułakiem tak, że poleci stąd do Kalifornii! Ja tylko nie mogę zrozumieć, jak schwytacie Santera nie obejrzawszy miejsca, gdzie zgubiliście jego ślady.

- Sami mówicie, że zbyt długo musielibyśmy ich szukać. Potem trzeba by długo iść za śladem przez doliny i góry, co także byłoby zbyt powolne. Dlatego zabierzemy się do tego inaczej.

Gdy się przyglądam tym górom, podejrzewam, że nie łączą się one z sobą, lecz stoją każda osobno.

- To prawda. Znam nieźle te okolice. Z tej i z tamtej strony ciągnie się równina. Te góry nie należą do żadnego łańcucha, lecz usadowiły się samotnie na prerii.

- Prerii? A więc tam jest trawa?

- Tak, trawa dokoła jak tutaj.

- Na to liczyłem. Santer może sobie jechać, jak chce, po górach lub pomiędzy górami, ale skoro je opuści, wyjedzie na otwartą prerię i musi zostawić po sobie ślad.

- To się rozumie samo przez się, szanowny sir.

- Słuchajcie dalej! Utworzymy dwa oddziały i pojedziemy dokoła tych gór, my czterej biali w prawo, a dziesięciu wyznaczonych przez Winnetou Apaczów w lewo. Spotkamy się po drugiej stronie, a wtedy się okaże, czy który z oddziałów wpadł na trop. Jestem pewien, że go znajdziemy, a wtedy już będziemy wiedzieli, jak postąpić.

Sam przypatrzył mi się z boku, zrobił nieszczególną minę i zawołał:

- Tam do licha! Kto by to pomyślał! Że też ja na to nie wpadłem! To najprostszy i najbardziej niezawodny sposób działania i każde dziecko musi to uznać, jeśli się nie mylę!

- Zgadzacie się zatem, Samie?

- Zupełnie, sir, zupełnie. Wybierzcie sobie prędko dziesięciu czerwonoskórych!

- Wybiorę tych, którzy mają najlepsze konie, na wypadek gdyby trzeba było długo ścigać tego łotra. Musimy się też zaopatrzyć w żywność. Jeśli znacie nieźle te strony, to wiecie zapewne, ile czasu trzeba, by objechać góry.

- Przy wielkim pośpiechu dobre dwie godziny.

- Więc nie zwlekajmy!

Wyznaczyłem dziesięciu Apaczów, którzy ucieszyli się moim wyborem, gdyż woleli ścigać mordercę niż śpiewać przy zwłokach pieśni żałobne. Pozostałych pouczyłem, którędy dostaną się najprędzej do Winnetou, i wyprawiłem ich w drogę.

Wkrótce potem dziesięciu moich Indian wyruszyło dokoła gór na lewo, to znaczy na zachód, a my czterej biali mieliśmy się udać na wschód. Dosiadłszy koni, ruszyliśmy najpierw do obozu Santera, gdzie odszukałem ślad konia, na którym jeździłem przed południem. Z tego, bardzo wyraźnego śladu zdjąłem sobie dokładny rysunek. Sam Hawkens potrząsnął na to głową i rzekł:

- Czy odrysowywanie kopyt końskich należy także do sztuki surweyora?

- Nie, lecz westman powinien to znać.

- Po co?

- Bo mu się to nieraz może przydać.

- Jak to?

- Zobaczycie później. Gdy znajdę jakieś ślady koma, porównam je z tym rysunkiem.

- Ah! Hm! Słusznie! To wcale niezłe! Czy to także wzięliście z książek?

- Nie.

- A skąd?

- Ten pomysł sam mi przyszedł do głowy.

- Więc są istotnie pomysły, którym to sprawia przyjemność, że do was przychodzą. Nigdy bym nie przypuszczał, hi! hi! hi!

- Pshaw! U mnie im chyba lepiej niż pod waszą peruką, mój Samie!

- To słuszne, to słuszne! - zawołał Dick Stone. - Nie pozwólcie mu już na nic więcej! Widać to z każdą chwilą coraz bardziej, że

już go dawno prześcignęliście.

- Milcz! - huknął na niego Sam w komicznym gniewie. - Co ty wiesz o ściganiu, a tym bardziej o prześciganiu! To dla mnie obelga - zaglądać mi ciągle pod perukę. Dłużej tego nie zniosę!

- A cóż na to poradzisz?

- Podaruję ją tobie; w ten sposób się jej pozbędę, a ty się dowiesz, jakie myśli pod nią siedzą. Przyznałem zresztą, że pomysł naszego greenhorna jest wcale niezły, powinien był jednak także dać taki ładny wizerunek kopyta tym dziesięciu Apaczom, którzy pojechali tamtą stroną.

- To niepotrzebne - odpowiedziałem.

- Niepotrzebne? Dlaczego?

- Bo wątpię, czy potrafiliby porównać dokładnie ślad kopyta z rysunkiem. Po wtóre, jestem pewien, że oni nie natkną się na trop Santera!

- A ja twierdzę przeciwnie. Nie my, lecz oni go znajdą. Jasne, że Santer pojedzie na zachód.

- Dla mnie nie jest to tak całkowicie jasne.

- Nie? Kiedyśmy go spotkali, jechał przecież także na zachód, teraz uda się w tym samym kierunku.

- Raczej nie. To drab kuty na cztery nogi, czego dowiódł swoim zniknięciem. Pomyśli na pewno, że będziemy się tak właśnie zapatrywali na jego ucieczkę, jak wy teraz, to znaczy, że będziemy go szukali na zachodzie, ponieważ spotkaliśmy go, gdy jechał na zachód - zawróci więc prawdopodobnie na wschód. To można łatwo zmiarkować.

- Skoro to dla was takie proste, miejmy nadzieję, że się tak stanie.

Daliśmy koniom ostrogi i popędziliśmy przez prerię, mając złowrogie góry ciągle po lewej ręce. Trzymaliśmy się oczywiście zawsze miękkiego gruntu, gdzie Santer, jeśli był tam istotnie, musiał zostawić jakiś ślad. Patrzyliśmy przy tym nieustannie na ziemię, gdyż im prędzej jechaliśmy, tym bardziej musieliśmy uważać, by nie przegapić tropu. Tak przeszła godzina, potem jeszcze pół godziny. Okrążyliśmy już prawie góry, kiedy zauważyliśmy ciemny pas biegnący przez trawę tuż przed

nami. Był to trop jeźdźca. Zsiedliśmy z koni i ruszyliśmy wzdłuż śladów, aby znaleźć wyraźny odcisk kopyta. Natknęliśmy się nań niebawem. Porównałem go z rysunkiem. Przystawały do siebie doskonale - był to więc niewątpliwie trop Santera.

- Taki rysunek jest istotnie rzeczą bardzo praktyczną - rzekł Sam. - Muszę to sobie zapamiętać,

- Tak, zapamiętaj to sobie! - potwierdził Parker. - A oprócz tego coś jeszcze!

- Co?

- Ze doszło już do tego, iż ty, nauczyciel, uczysz się od ucznia.

- Czy chcesz mnie rozzłościć, stary Willu? To ci się nie uda hi! hi! hi! - zaśmiał się Sam.

- To zaszczyt dla nauczyciela, gdy jego uczeń staje się mędrszy i zręczniejszy od mistrza. Co do ciebie, trzeba by się z góry wyrzec takich wyników. Ileż to lat trudziłem się, aby zrobić z ciebie westmana, i wszystko okazało się daremne. Ty nie będziesz mógł niczego na stare lata zapomnieć, bo niczego się w młodości nie nauczyłeś.

- Wiem już! Nazwałbyś mnie chętnie greenhornem, bo nie możesz żyć bez tego słowa, a wobec Old Shatterhanda nie wypada ci już z tym wyjeżdżać.

- Jesteś greenhornem, i jeszcze jakim! Tylko że nie młodym, lecz starym; powinieneś się wstydzić młodego, który już dawno starego przewyższył, jeśli się nie mylę.

Pomimo tej utarczki słownej zgodziliśmy się na to, że ślad Santera pochodzi mniej więcej sprzed dwu godzin. Ruszylibyśmy za nim natychmiast, lecz musieliśmy zaczekać na Apaczów, co trwało niestety trzy kwadranse. Wysłałem jednego z nich do Winnetou z wiadomością, że znaleźliśmy trop Santera. Posłaniec miał już pozostać przy wodzu, my zaś puściliśmy się dalej ku wschodowi.

Do wieczora brakowało zaledwie dwóch godzin, a chodziło nam o to, by dojechać jak najdalej, zanim się ściemni. Potem po zapadnięciu nocy musielibyśmy przerwać pogoń aż do następnego dnia - nie moglibyśmy jechać nie widząc śladów.

Należało natomiast przypuszczać, że Santer przekonany, iż będziemy go ścigać, skorzysta z wieczora i nocy, aby się od nas jak najbardziej oddalić. Czekała nas więc nazajutrz ostra jazda, tym cięższa, że utrudniona odczytywaniem śladów, gdy tymczasem ścigany miał zupełną swobodę ruchów. Jedna okoliczność wyrównywała na szczęście jako tako tę różnicę: oto Santer musiał się sam zmęczyć całonocną jazdą, a tym bardziej jego koń, któremu należał się dłuższy odpoczynek.

Wzgórza, nazwane przez Winnetou i jego ojca Górą Nuggetów, zniknęły wkrótce za nami, ustępując miejsca płaskiej prerii, pokrytej krzewami, a potem trawą, z początku zieloną, a dalej zeschłą. Siady były wyraźne. Santer jechał szybko, więc kopyta jego konia odbijały się silnie.

O zmierzchu zsiedliśmy z koni i ruszyliśmy za tropem piechotą, ponieważ w ten sposób widzieliśmy go dokładniej. Tak szliśmy dopóty, dopóki nie straciliśmy go zupełnie z oczu. Zatrzymaliśmy się na szczęście w miejscu, gdzie było trochę zieleni. Konie puściliśmy na paszę i otuliwszy się kocami, ułożyliśmy się do snu.

Noc była bardzo chłodna. Zauważyłem, że towarzysze budzili się z tego powodu kilkakrotnie. Ja i bez zimna nie mógłbym zasnąć. Gwałtowna śmierć Inczu-czuny i jego córki nie pozwalała mi zamknąć oczu, a ilekroć je zamknąłem, widziałem oboje leżących w kałuży krwi i słyszałem ostatnie słowa Nszo-czi. Wyrzucałem sobie, że nie okazywałem jej więcej serdeczności i że w owej rozmowie z jej ojcem nie wyraziłem się inaczej. Wydawało mi się, jak gdybym wpędził ją tym w objęcia śmierci.

Nad ranem zrobiło się jeszcze zimniej. Wstałem i zacząłem chodzić, aby się rozgrzać. Sam Hawkens spostrzegł to i zapytał:

- Zmarzliście, szanowny sir? winniście byli zabrać z sobą na Zachód flaszkę do grzania. Greenhorny zwykły przecież nosić się z takimi rzeczami. Ja chwalę sobie moją starą bluzę; nie przebije jej ani strzała Indianina, ani zimno. Czy wam jej pożyczyć? Hi! hi! hi!

Z powodu zimna pobudzili się wszyscy przed świtem. Skoro tylko można było rozpoznać ślady, pojechaliśmy dalej. Konie dobrze wypoczęły, a że w nocy trochę przeziębły, więc rwały dzielnie naprzód, ponieważ bieg je rozgrzewał.

Znajdowaliśmy się wciąż jeszcze na prerii, która stawała się falista. Na grzbietach wzniesień trawa była zeschła i twarda, a w dolinach zielona i miękka. Tu i ówdzie lśniła kałuża, gdzie zatrzymywaliśmy się, by napoić konie.

Około dwunastej trop, wiodący dotychczas w kierunku wschodnim, skręcił trochę ku południu. Ujrzawszy to Sam Hawkens przybrał minę frasobliwą. Gdy go zapytałem o przyczynę, rzekł:

- Jeśli jest tak, jak przypuszczam, to trud nasz będzie daremny.

- Dlaczego?

- To lis. Jedzie prawdopodobnie do Keiowehów.

- Tego chyba nie zrobi!

- Czemu? Czy powinien może z miłości dla was stanąć na środku prerii i dać się złapać za kołnierz? Co myślicie! On dokłada wszelkich starań, aby się ocalić. Miał chyba oczy otwarte i widział, że nasze konie są lepsze od jego. Przypuszcza więc, że wkrótce go dościgniemy, i wpadł na dobry pomysł schronienia się u Keiowehów.

- A czy go przyjmą przyjaźnie?

- Nie wątpię o tym ani przez chwilę. Wystarczy, by powiedział, że zastrzelił Inczu-czunę i Nszo-czi, a powitają go radośnie. Starajmy się usilnie dopędzić go jeszcze przed wieczorem.

- Jak dawny jest waszym zdaniem ten znaleziony dzisiaj trop?

- To nieważne. Santer jechał tą drogą w nocy, a więc musimy zaczekać, aż dojedziemy do miejsca, w którym odpoczywał. Wtedy zobaczymy, ile godzin upłynęło od czasu, gdy zostawił ślad dzisiejszy. Im dłużej wypoczywał, tym szybciej go dopadniemy. Około południa ujrzeliśmy miejsce, gdzie Santer się zatrzymał. Koń jego leżał jakiś czas, bo był znużony, co można było poznać także po śladach. Sam jeździec musiał być

niemniej wyczerpany, gdyż oceniliśmy, że nowy ślad pochodził sprzed niespełna dwóch godzin. Z tego wywnioskowaliśmy, że spał dłużej, niż zamierzył. Ten czas, o który wyprzedził nas jadąc nocą, odzyskaliśmy teraz, a nawet byliśmy o jakieś pół godziny bliżej niż na początku pościgu. Trop skręcał jeszcze bardziej na południe. Santer chciał widocznie opuścić okolice Kanadianu i zbliżyć się ku rzece Red River. Pozwoliliśmy koniom chwilę odsapnąć i postanowiliśmy ująć go, o ile możności, jeszcze przed wieczorem.

Po południu jechaliśmy znowu przez zieloną prerię, potem natknęliśmy się nawet na zarośla. Ścisłe badanie śladów pouczyło nas, że ścigany był tu zaledwie przed pół godziną. Widnokrąg, rozpościerający się przed nami, przybierał ciemną barwę.

- To las - objaśnił Sam. - Przypuszczam, w dojeżdżamy do jakiegoś dopływu północnego ramienia rzeki. Wolałbym prerię, bo to byłoby dla nas korzystniejsze.

Tak, to byłoby dla nas korzystniejsze, bo na sawannach widziało się wszystko przed sobą, a w lesie łatwo było wpaść na jakąś zasadzkę. Wobec pośpiechu, z jakim jechaliśmy, nie podobna było badać teren, przez który mieliśmy przejeżdżać. Sam miał słuszność. Przybyliśmy niebawem nad małą rzeczkę, w której jednak nie było płynącej wody, tylko tu i ówdzie kałuże w zagłębieniach. Na brzegach rosły krzaki i drzewa. Nie był to właściwy las, tylko większe lub mniejsze grupy drzew w rozmaitych odstępach od obu brzegów. Przed samym wieczorem znaleźliśmy się już tak blisko ściganego, że mógł nam się ukazać w każdej chwili. To zwiększyło naszą gorliwość. Ja pędziłem sam na przedzie, ponieważ mój deresz trzymał się najdzielniej, a także dlatego, że skłaniał mnie do tego jakiś wewnętrzny pęd. Widziałem w duszy pomordowanych i chciałem ująć mordercę. Nie była to ani złość, ani żądza zemsty, lecz silne pragnienie ukarania zbrodniarza.

Przejeżdżaliśmy przez jedno ze skupisk drzew rosnących na lewym brzegu. Dotarłszy do ostatnich, zobaczyłem, że trop skręca w dół do wyschłego łożyska. Zatrzymałem się na chwilę,

aby zawiadomić o tym jadących za mną towarzyszy - i to było dla nas prawdziwe szczęście. Czekając na nich przez kilka chwil, rzuciłem okiem wzdłuż łożyska i odkryłem coś, co zmusiło mnie do jak najszybszego cofnięcia się ze skraju lasku. O pięćset kroków od tego miejsca, ale już na przeciwległym brzegu, ujrzałem las. Pod tym lasem Indianie przepędzali konie. Dostrzegłem pale wbite w ziemię i powiązane rzemieniami, na których wisiało mięso. Gdybym się wysunął jeszcze choć na długość konia, Indianie by mnie zobaczyli. Zsiadłem z konia i pokazałem naszym ludziom. rozgrywającą się przed nami scenę.

- Keiowehowie! - rzekł jeden z Apaczów.

- Tak, Keiowehowie - potwierdził Sam. - Diabeł widocznie bardzo lubi tego Santera, skoro jeszcze w ostatniej chwili użycza mu pomocy. Ale wyciągnąłem już po niego swoje dziesięć palców i mimo wszystko nie ujdzie nam!

- To niewielki oddział Keiowehów - zauważyłem.

- Hm! Widzimy tylko tych, którzy są po tej stronie lasu, ale niewątpliwie są i inni po tamtej stronie. Byli na polowaniu i przyrządzają sobie mięso.

- Co zrobimy, Samie? Czy zawrócimy i cofniemy snę?

- Ani mi się śni! Tu zostaniemy.

- Ale to niebezpieczne!

- Bynajmniej.

- Przecież może tu nadejść któryś z czerwonoskórych!

- Nawet mu przez myśl nie przejdzie. Po pierwsze, są na drugim brzegu, a po wtóre, ściemni się zaraz, a o tej porze nie oddalają się od obozu.

- Ale im ostrożniej, tym lepiej!

- A im trwożliwiej, tym bardziej po greenhornowsku! Zapewniam was, że przed Keiowehami jesteśmy tu tak bezpieczni jak w Nowym Jorku. Oni tu nie przyjdą, ale za to my ich odwiedzimy. Muszę dostać w ręce tego Santera, żebym go miał zabrać spomiędzy tysiąca Keiowehów!

- Robicie dzisiaj to, za co mnie zawsze ganicie: jesteście nierozważni.

- Jak? Co? Nierozważny? Sam Hawkens nierozważny? Śmiać mi się chce, hi! hi! hi! Tego mi jeszcze nikt nie zarzucił! Sir, nie znacie zazwyczaj trwogi, idziecie z nożem na szarego niedźwiedzia; skądże dziś ta bojaźliwość?

- To nie bojaźliwość, lecz ostrożność. Jesteśmy za blisko wrogów.

- Za blisko? Śmieszne! Myślę nawet, że zbliżymy się do nich jeszcze bardziej. Zaczekajcie no, aż się ściemnił Sam Hawkens był dzisiaj inny niż zwykle. Śmierć ”pięknej, miłej, dobrej czerwonej miss” tak go oburzyła, że pragnął zemsty, a ponieważ Stone i Parker go popierali, nie mogłem nic na to poradzić. Spętaliśmy konie i usiedliśmy, aby zaczekać do wieczora. Keiowehowie zachowywali się tak, jakby im nic nie groziło. Jeździli lub biegali po otwartej przestrzeni, nawoływali się i poczynali sobie tak, jakby się znajdowali u siebie, w dobrze pilnowanej wsi indiańskiej.

- Wszak widzicie, jak dalece niczego nie przeczuwają - rzekł Sam. - Nie trapi ich żadne podejrzenie.

- Jeśli się nie mylicie!

- Sam Hawkens nigdy się nie myli!

- Pshaw! Mógłbym wam dowieść czegoś wręcz przeciwnego. Ja mam przeczucie, że Keiowehowie udają.

- Przeczucie? Tylko stare baby miewają przeczucia. Pamiętajcie o tym, szanowny sir! W jakim zresztą celu udawaliby?

- Aby nas zwabić.

- To zbyteczne, bo my i bez wabienia do nich pójdziemy.

- Czy przypuszczacie, że Santer jest u nich?

- Naturalnie! Przybywszy na to miejsce, zobaczył ich i przeszedł do nich przez wyschnięte koryto rzeki.

- A czy sądzicie, że powiedział im o tym, co się stało i dlaczego się do nich chroni?

- Co za pytanie! Oczywiście, że tego przed nimi nie zataił!

- W takim razie zawiadomił ich także, że pościg jest prawdopodobnie bardzo blisko.

- Możliwe i to.

- Wobec tego dziwię się, że nie zachowują żadnych środków ostrożności.

- Nie ma się czemu dziwić. Uważają za niemożliwe, by ta bliskość, o której mówicie, była tak znaczna, i oczekują nas jutro. Skoro się ściemni, zakradnę się tam i przypatrzę się całej historii. Potem zdecydujemy, co robić. Muszę dostać w ręce tego Santera!

- Dobrze, to i ja pójdę!

- To niepotrzebne.

- Ja uważam to wprost za konieczne.

- Sam Hawkens nie potrzebuje pomocników na zwiadach. Nie wezmę was z sobą. Znam was i wasz bezcelowy humanitaryzm. Chcecie zapewne ocalić życie temu mordercy?

- Ani mi się śni!

- Nie udawajcie!

- Mówię, jak myślę. Ja także chciałbym pochwycić żywcem Santera i oddać go Winnetou. Skoro się przekonam, że go nie ujmę żywego, poślę mu kulę w łeb. Bądźcie tego pewni.

- Otóż to właśnie. Kulę w łeb! Zamierzacie i w tym wypadku nie dopuścić, by go zamęczono! Ja także jestem wrogiem takich okrutnych straceń, ale temu opryszkowi życzę z całego serca męczeńskiej śmierci. Pochwycimy go i zabierzemy do Winnetou. Muszę się wpierw dowiedzieć, ilu jest Keiowehów, gdyż nie ulega wątpliwości, że jest ich więcej, niż tu widzimy. Wolałem zamilknąć, gdyż jego słowa obudziły podejrzliwość w Apaczach. Pamiętali, że wstawiałem się za Rattlerem, przypuszczali więc, że i teraz żywię podobne zamiary wobec Santera. Udałem, że stosuję się do woli Sama, i rozciągnąłem się obok konia na ziemi. Słońce zaszło już i zapadł zmrok. U Keiowehów zapalono kilka ognisk, których płomienie buchały wysoko. Ostrożni czerwonoskórzy nigdy tak nie postępują, więc utwierdziłem się w przekonaniu, że postanowili nas zwabić. Swoim zachowaniem starali się nas upewnić, że nic nie wiedzą o naszej obecności, a tym samym skłonić nas do ataku. Gdybyśmy to uczynili, wpadlibyśmy im w otwarte ramiona.

Gdy tak rozmyślałem wydało mi się, że słyszę za sobą szelest. Nie mógł go wywołać nikt z nas, gdyż za mną nie było nikogo, ja bowiem zająłem miejsce na samym kraju. Zacząłem nadsłuchiwać. Szmer się powtórzył. Usłyszałem go wyraźnie i rozpoznałem. Było to tak, jakby ktoś rozsuwał cicho gałązki, na których wisiały zeschłe liście, lub wyciągał źdźbła z wiązki słomy. Gałązka musiała być pokryta kolcami, gdyż szmer powtarzał się w stałych odstępach, jakby od kolca do kolca.

Ta okoliczność naprowadziła mnie natychmiast na myśl, gdzie należy szukać przyczyny szmeru. Za mną, pomiędzy trzema blisko siebie stojącymi drzewami, rósł krzak ożyn, a ktoś poruszał jedną jego gałęzią. Mogło tam siedzieć jakieś małe zwierzę, ale położenie nasze nakazywało ostrożność. Nie była wszak wykluczona obecność człowieka, należało więc to zbadać, przekonać się. W tej ciemności? Chociażby!

Wspomniałem już, że po drugiej stronie płonęły u Keiowehów ogniska, których blask nie padał wprawdzie aż tutaj, pozwalał jednak widzieć każdy przedmiot znajdujący się w zasięgu wzroku. Aby obejrzeć ten krzak ożyn, musiałem przedostać się niepostrzeżenie na drugą jego stronę. Wstałem więc i odszedłem powoli, ale nie w kierunku krzaka. Odszedłszy dość daleko, zawróciłem i zbliżyłem się do lasku z właściwej strony. Będąc już zupełnie blisko, położyłem się na ziemi i zacząłem się czołgać ku ożynom tak, że moi ludzie mnie nie zauważyli. Krzak miałem już przed sobą, mogłem go dosięgnąć ręką, a za nim po przeciwnej stronie płonęły dwa ognie. Do kilku miejsc można było zajrzeć, ale na ogół krzak był bardzo gęsty. Wtem usłyszałem znowu szmer, i to nie ze środka krzaka, lecz z boku. Doczołgałem się tam i istotnie ujrzałem to, czego się spodziewałem.

Siedział tam Indianin, który starał się teraz wydostać. Jego ruchy musiały wywoływać szmer, który usiłował rozłożyć na poszczególne odstępy czasu. Dokonywał też tego naprawdę po mistrzowsku, gdyż zamiast jednego głośnego szelestu następowały po sobie w minutowych odstępach ciche trzaski. Dosłyszałem je tylko dlatego, że leżałem bardzo blisko; gdyby

nie to, sztuczka by mu się udała. Całe jego ciało było już wolne, a tylko jedno ramię wraz z ręką, szyją i głową tkwiło jeszcze w krzaku.

Podsunąłem się ku niemu tak, że znalazłem się za jego plecami. Indianin, wydobywając się coraz bardziej, uwolnił już barki, szyję, głowę i miał jeszcze wyciągnąć rękę. Wtem ja, podniósłszy się na kolanach, pochwyciłem go lewą ręką za szyję i uderzyłem prawą pięścią w głowę trzy razy tak, że padł bez ruchu.

- Co to było? - zapytał Sam. - Czyście nic nie słyszeli?

- Tupnął koń Old Shatterhanda - odrzekł Dick.

- Jego nie ma. Gdzie on może być? Nie palnie chyba jakiego głupstwa!

- Głupstwa? On? Nie popełnił jeszcze żadnego i nie popełni nigdy.

- Oho! On to potrafi. Zakradnie się do Keiowehów, aby ich zaalarmować i ocalić życie temu Santerowi!

- Nie, tego on nie zrobi. Raczej zadławi mordercę, niż go wypuści. Śmierć zamordowanych bardzo go dotknęła. Chyba to zauważyłeś.

- Możliwe, ale nie wezmę go ze sobą, gdy będę się zakradał do Keiowehów, on mi się tam na nic nie przyda. Chcę ich policzyć, obejrzeć to miejsce, a potem naradzimy się, jak na nich napaść. On, jakkolwiek greenhorn, często się sprawia wcale dobrze, ale nie dokaże tego, żeby przy takich ogniach zbliżyć się do obozu Keiowehów. Wiedzą, że mamy nadejść, są więc ostrożni i będą uszu nadstawiać tak, że zdoła ich podpatrzyć tylko stary westman, Old Shatterhanda zobaczyliby i dosłyszeli natychmiast.

Na to wstałem, podszedłem doń szybko i rzekłem:

- Mylicie się, kochany Samie! Warn się zdaje, że mnie nie ma, a tymczasem ja jestem. Umiem się skradać, czy nie?

- Do stu piorunów! - zawołał. - Jesteście tu rzeczywiście? Nie zauważyliśmy was wcale!

- To znaczy, że brak wam tego, o brak czego mnie posądzacie. Nie wiecie w ogóle, że oprócz mnie są tu jeszcze inni ludzie.

- Któż taki? Kogo macie na myśli?
- Idźcie tam do krzaka ożyn, a zobaczycie.
Sam wstał i poszedł za moją wskazówką.
- Halo! - rzekł. - Tu leży Indianin! Skąd się wziął?
- Niech wam to powie!
- Ależ on nie żyje!
- Nie. Ogłuszyłem go tylko.
- Gdzież to? Chyba nie tutaj. Nie było was, zapewne zaskoczyliście go gdzieś, uderzyliście tak, jak wy to umiecie, i potem przynieśliście go tutaj.
- Nie, jesteście w błędzie! Leżał ukryty w ożynach i ja go zauważyłem. Kiedy wysuwał się, by odejść, uderzyłem go w głowę. Wy usłyszeliście to uderzenie, bo pytaliście o nie i wzięliście je za tupnięcie mojego konia.
- Do wszystkich diabłów, to się zgadza! Więc był istotnie, siedział w krzaku i słyszał wszystko, co mówiliśmy do siebie! Co za nieszczęście wynikłoby z tego dla nas, gdyby mu się udało ujść niepostrzeżenie! Jak to dobrze, że go unieszkodliwiliście, jeśli się nie mylę. Związcie go i zakneblujcie! Ale dlaczego on nie został po tamtej stronie ze swymi ludźmi? Co miał tu do roboty? Musiał tu chyba być już przed nami?
- Pytacie się w ten sposób, a innych nazywacie greenhornami! To przecież prawdziwie greenhornowskie pytanie! Oczywiście, że był tutaj przed nami. Keiowehowie wiedzieli, że nadejdziemy, przypuszczali, że podążymy śladem Santera i że się tu pojawimy. Chcieli nas przyjąć, aby zaś nie stracić stosownego momentu, postawili tu strażnika, który miał ich zawiadomić o naszym zbliżaniu się. Ponieważ jednak jechaliśmy zbyt prędko albo może dlatego, że niedobrze uważał, albo wreszcie z tego powodu, że przybył tu właśnie w chwili, kiedy nadeszliśmy z drugiej strony, zaskoczyliśmy go i musiał się ukryć w ożynach.
- Mógł przecież umknąć na drugą stronę do swoich!
- Brakło mu już na to czasu, bo mogliśmy go zobaczyć w biegu i odgadlibyśmy, że dzięki jego ostrzeżeniu Keiowehowie są

przygotowani na nasze przybycie. Kto wie zresztą, czy nie postanowił już z góry ukryć się tutaj, by nas podsłuchać.

- Wszystko to bardzo prawdopodobne. Szczęście, że go mamy w ręku! Teraz będzie się musiał wyspowiadać i przyznać do wszystkiego.

- Nie zdradzi niczego. Nic z niego nie wydobędziecie.

- Możliwe. Nie potrzebujemy też zbytnio się trudzić. Wiemy bez niego, o co idzie, a czego Jeszcze nie wiemy dotychczas, o tym dowiemy się wkrótce, gdyż udam się teraz na tamtą stronę.

- Może po to, aby już na tę nie wrócić!

- Czemu?

- Bo was Keiowehowie zatrzymają. Sami mówiliście o trudnościach skradania się przy tak licznych i jasnych ogniach.

- Tak, dla was to byłoby bardzo trudne, ale nie dla mnie. Dlatego stanie się tak, jak powiedziałem: ja pójdę na drugą stronę, a wy tu zostaniecie.

Wygłosił te słowa tonem tak stanowczym i rozkazującym, że czułem się zmuszony mu odpowiedzieć:

- Jesteście dziś jakby przemienieni, Samie! Nie sądzicie chyba, że wolno wam mi rozkazywać? A może jednak?

- Oczywiście, że tak sądzę.

- W takim razie muszę wam po przyjacielsku oświadczyć, że się mylicie. Jako surweyor, mam stanowisko wyższe od was, gdyż odkomenderowano was nam tylko do obrony. Wiecie też, że za zgodą całego szczepu Inczu-czuna zamianował mnie wodzem. Rozpatrujcie więc swój stosunek do mnie, z której strony wam się podoba, ale ja jestem zawsze nad wami i mam prawo rozkazywać.

- Gadanie żadnego wodza nic mnie nie obchodzi - stwierdził. - Poza tym jestem starym westmanem, a tymczasem wy jesteście greenhornem i moim uczniem, O tym nie powinniście zapominać, jeśli nie chcecie narazić się na nazwę niewdzięcznika. Tak będzie, jak powiedziałem. Ja teraz pójdę, a wy tu zostaniecie!

Poszedł istotnie. Apacze zaczęli szemrać, a Stone rzekł z niechęcią:

- On dzisiaj rzeczywiście jest zupełnie inny niż zawsze. Wam zarzucił niewdzięczność! Powinniśmy wam dziękować, gdyż bez was nie żylibyśmy już dawno. Czy on wam także kiedy życie ocalił?

- Dajcie mu spokój! - odpowiedziałem.- To dzielny człowiek, a jego dzisiejsze wystąpienie przemawia raczej na jego korzyść. To wściekłość z powodu śmierci Inczu-czuny i Nszo-czi! Nie będę mu, co prawda, posłuszny i pójdę także do Keiowehów. W rozdrażnieniu, w jakim się teraz znajduje, może się porwać na coś, czego by nie zrobił kiedy indziej. Zostańcie tu, dopóki nie wrócę, i nie odchodźcie, choćbyście nawet słyszeli strzały. - Tylko gdybyście usłyszeli mój głos, pośpieszcie mi z pomocą.

Zostawiłem rusznicę tak samo jak Sam swoją Liddy i oddaliłem się. Spostrzegłem, że Hawkens wprost od nas poszedł przez łożysko rzeki; chciał się zatem skradać po drugiej stronie. Uważając to za niewłaściwe, postanowiłem postąpić inaczej. Keiowehowie wiedzieli, ze należało nas szukać w górze rzeki, i tam też zwrócili swoją uwagę. Hawkens postąpił błędnie, zbliżając się do nich z tamtej strony. Postanowiłem podejść ich od strony przeciwnej. W tym celu poszedłem w dół rzeki, trzymając się tak daleko od brzegu, żeby mnie nie dosięgnął blask ognia, aż do miejsca gdzie po drugiej stronie kończył się lasek. Tam już ognisk nie było, a drzewa zasłaniały blask płomieni. Panowała tu ciemność, tak że mogłem niepostrzeżenie zejść do łożyska i wydostać się na drugi brzeg. Znalazłszy się pod drzewami, położyłem się na ziemi i poczołgałem naprzód. Paliło się osiem ognisk, więcej zatem, niż było potrzeba, gdyż naliczyłem wszystkiego czterdziestu Indian. Zapalili je więc tylko po to, aby nam pokazać, gdzie obozują.

Keiowehowie siedzieli pod drzewami w grupach i trzy mali w rękach strzelby gotowe do strzału. Biada nam, gdybyśmy wpadli w tę pułapkę, zresztą zastawioną tak widocznie i głupio, że mogli w nią wpaść tylko zupełnie niedoświadczeni ludzie! Konie Indian pasły się na otwartej prerii.

Chętnie podsłuchałbym jedną z tych grup, o ile możności tę, przy której znajdował się dowódca, bo tam najpewniej można

było zasięgnąć potrzebnych wiadomości. Ale gdzie szukać dowódcy? Chyba tam, gdzie był Santer. Zacząłem się sunąć od drzewa do drzewa, aby go wyszukać.

Po jakimś czasie zobaczyłem go wśród czterech Indian, z których żaden jednak nie miał oznaki wodza. Było to zresztą zbyteczne, gdyż wedle zwyczaju czerwonoskórych najstarszy z nich musiał być wodzem. Nie mogłem niestety przyczołgać się na taką odległość, na jaką bym chciał, bo las nie miał podszycia, które by mnie zasłoniło, ale kilka drzew stało tak blisko siebie, że tworzyły jaką taką osłonę. Ponieważ paliło się osiem ognisk, każde drzewo rzucało po kilka cieni i półcieni, które chwiejąc się w różne strony nadawały laskowa niesamowity wygląd.

Na moje szczęście czerwonoskórzy rozmawiali głośno, gdyż wcale nie zamierzali się kryć; chodziło im właśnie to, żebyśmy ich nie tylko widzieli, lecz i słyszeli. Dostałem się do zacienionego miejsca i zatrzymałem się w nim, może o dwieście kroków od Santera, który opowiadał o Górze Nuggetów i wzywał czerwonoskórych, ażeby się tam udali wraz z nim po skarby.

- Czy mój biały brat zna miejsce, gdzie można by je znaleźć? - zapytał najstarszy z Indian.

- Nie. Chcieliśmy się dowiedzieć, ale Apacze za prędko powrócili. Spodziewaliśmy się, że zatrzymają się tam, dopóki nie zdołamy ich podpatrzyć.

- W takim razie daremne są wszelkie poszukiwania, choćby nawet dziesięć razy po stu ludzi udało się tam w tym celu. Czerwoni mężowie umieją doskonale uczynić takie miejsca niewidocznymi. Ponieważ jednak mój biały brat zastrzelił największego z naszych wrogów i jego córkę, zrobimy mu tę przysługę, że pojedziemy tam z nim i pomożemy mu szukać. Przedtem jednak musimy pojmać ścigających, a potem zabić Winnetou.

- Winnetou? Wszak on będzie z nimi!

- Nie, on nie może opuścić teraz swoich zmarłych i zatrzyma przy sobie większą część wojowników, a mniejszą poprowadzi

ten biały pies, Old Shatterhand, który zgruchotał kolana naszemu wodzowi. Ten oddział dziś pokonamy.

- A potem podążymy ku Górze Nuggetów, aby uśmiercić Winnetou i poszukać złota!

- Nie może być tak, jak mój brat myśli. Winnetou musi pochować ojca i córkę, w tym przeszkodzić mu nie wolno, bo Wielki Duch nie przebaczyłby nam tego. Napadniemy na niego dopiero po pogrzebie. On nie pojedzie już teraz do miast bladych twarzy, lecz powróci do domu.

Potem urządzimy zasadzkę albo zwabimy go tak jak Old Shatterhanda, który tu na pewno przybędzie. Czekam tylko na powrót zwiadowcy ukrytego po drugiej stronie. Straże, wystawione daleko, także nie doniosły mi jeszcze o niczym. Ostatnie słowa mówcy przestraszyły mnie bardzo. Przed laskiem były straże! Co będzie, jeśli Sam Hawkens ich nie spostrzeże? Ledwo to pomyślałem, usłyszałem kilka krótkich okrzyków. Dowódca zerwał się i jął nadsłuchiwać. Reszta Keiowehów zamilkła także, nadstawiwszy uszu.

Wtem zbliżyła się od lasku grupa złożona z czterech czerwonoskórych, wlokących z sobą białego, który bronił się, lecz bezskutecznie. Nie był wprawdzie skrępowany, ale czterej zwycięzcy trzymali go w szachu czterema nożami. Jeńcem był mój nieostrożny Sam! Postanowiłem natychmiast, że nie zostawię go w niewoli, choćbym miał to przypłacić życiem.

- Sam Hawkens!- zawołał poznawszy go Santer.- Dobry wieczór, sir! Nie spodziewaliście się chyba zobaczyć się tutaj ze mną?

- Łotrze, zbóju, morderco! - odrzekł mu nieustraszony człowieczek chwytając go za gardło.

- Dobrze, że cię mam, otrzymasz teraz nagrodę, jeśli się nie mylę!

Napadnięty bronił się, czerwonoskórzy przyskoczyli i oderwali Sama. Powstało zamieszanie, z którego czym prędzej skorzystałem. Wziąłem do rąk oba rewolwery i rzuciłem się w sam środek Indian.

- Old Shatterhand! - krzyknął Santer i uciekł ze strachu.

Posłałem za nim dwie kule, które go jednak nie dosięgły, resztę strzałów dałem do Indian, którzy się też cofnęli.

- Precz stąd! A wy trzymajcie się mnie! - zawołałem do Sama.

Zdawało się, że czerwonoskórzy z przerażenia stracili zdolność do ruchu. Stali jak skamieniali, chociaż do nich strzelałem, umyślnie zresztą w taki sposób, aby ich nie zabić. Chwyciłem Sama za rękę i pociągnąłem go z sobą przez lasek na dół w łożysko rzeki. Wszystko to odbyło się tak prędko, że od mego ataku upłynęła zaledwie minuta.

- Niech to wszyscy diabli, nadeszliście w sam czas - rzekł Sam, kiedy zeszliśmy na dół.

- Te draby mnie...

- Nie gadajcie, lecz chodźcie za mną! - przerwałem mu, puszczając jego rękę i zwracając się w prawo w dół rzeki, bo należało przede wszystkim odejść od owego lasku na odległość strzału.

Teraz dopiero zaskoczeni i osłupiali czerwonoskórzy przyszli do siebie. Zawyli za nami tak, że zagłuszyli odgłos kroków Sama. Zabrzmiały przeraźliwe okrzyki, huknęły strzały i nastąpił piekielny hałas. Dlaczego nie umykałem w górę rzeki ku obozowi, lecz w odwrotnym kierunku? Z bardzo prostego powodu. Przede wszystkim dlatego, że czerwonoskórzy nie mogli nas widzieć, bo w łożysku rzeki było ciemno, nadto z tej przyczyny, że pobiegli zapewne w górę, spodziewając się nas w tamtej stronie, a my śpiesząc w dół, byliśmy dość bezpieczni. Mogliśmy potem łukiem dostać się do obozu.

Kiedy mi się wydało, że odbiegłem już dość daleko, zatrzymałem się na chwilę. Wycie czerwonoskórych rozlegało się wciąż jeszcze, ale w miejscu, w którym stałem, nic się nie poruszało.

- Samie! - zawołałem stłumionym głosem. Odpowiedzi nie było.

- Samie, czy umie słyszycie? - spytałem głośniej. Nie odpowiedział i teraz. Gdzież on się podział? Szedł przecież za mną. Uciekaliśmy przez zeschły, popękany namuł i głębokie

kałuże. Dobyłem zza pasa naboje, nabiłem ponownie rewolwery i zawróciłem wolnym krokiem, aby poszukać Sama.

Piekielny hałas Keiowehów brzmiał jeszcze ciągle, ale mimo to zbliżałem się do nich coraz bardziej, dopóki nie znalazłem się znowu w tym miejscu pod laskiem, gdzie wezwałem Sama, aby szedł za mną. Poszukiwanie moje nie odniosło skutku. Sam był widocznie innego zdania i puścił się od razu na drugi brzeg, nie zważając na moje słowa. Ale tam w blasku ognisk nie tylko wystawił się Keiowehom na widok, lecz naraził także na ich kule. Jakże nierozważny okazał się ten mały, a tak uparty człeczyna! Zląkłem się znów o niego. Oddalałem się na powrót od lasku tak, że nie można było mnie dostrzec, i pobiegłem okrężną drogą do naszego obozu.

Tam zastałem wszystkich bardzo wzburzonych. Czerwoni i biali towarzysze cisnęli się do mnie, a Dick Stone zawołał głosem pełnym wyrzutu:

- Sir, dlaczego zabroniliście nam iść za sobą nawet, gdyby padły tam strzały? Czekaliśmy naprawdę z upragnieniem na wasze wołanie. Dzięki Bogu, że wy jesteście przynajmniej już tutaj, i to cali i zdrowi, jak widzę! - Gdzie Sam? Nie ma go tutaj? - spytałem.

- Tutaj? Jak możecie tak pytać? Czyż nie widzieliście, co się z nim stało?

- Cóż takiego?

- Czekaliśmy spokojnie, kiedyście nas opuścili. W jakiś czas potem usłyszeliśmy okrzyki czerwonoskórych i znowu wszystko ucichło. Wtem huknęło kilka strzałów rewolwerowych, a wkrótce potem rozległo się okropne wycie. Następnie padło kilka strzałów ze strzelb i ujrzeliśmy Sama.

- Gdzie?

- Tam na dole przy lasku, ale już na tym brzegu.

- Tak też myślałem. Sam był dzisiaj tak nierozważny jak nigdy jeszcze. Cóż dalej?

- Biegł do nas, ale tuż za nim pędziło mnóstwo Keiowehów, którzy go doścignęli i pochwycili. Widzieliśmy to wyraźnie, bo ogniska palą się jasno. Chcieliśmy pójść mu na pomoc. Zanim

jednak zdołaliśmy dobiec do tego miejsca, wrogowie przeszli wraz z nim przez łożysko i zniknęli między drzewami. Mieliśmy wielką ochotę udać się za nimi i odbić Sama, ale pamiętaliśmy o waszym zakazie i zaniechaliśmy tego.

- Zrobiliście bardzo rozsądnie, gdyż w jedenastu nie dokazalibyście niczego, tylko stracili życie.

- Ale co my poczniemy, sir? Sam pojmany!

- Niestety, a to po raz wtóry.

- Wtóry? - zawołał zdumiony.

- Tak. Po pierwszym razie wydobyłem go na wolność. Gdyby szedł za mną, stałby tu teraz tak samo jak ja, ale on dziś robi wszystko po swojemu.

Opowiedziałem im, co się stało, a gdy skończyłem, odezwał się Will Parker:

- W takim razie nie wasza wina, sir! Zrobiliście o wiele więcej, niżby zrobił ktokolwiek inny na waszym miejscu. Hawkens sam wpakował się w ten bigos, ale mimo to nie możemy go tam zostawić!

- Nie, on musi wyleźć, ale będzie to trudniejsze niż za pierwszym razem. Nie ulega wątpliwości, że Keiowehowie będą teraz lepiej uważali.

- To pewne, ale może jednak uda się go odbić!

- Hm! Wszystko możliwe, ale cóż wskóra dwunastu ludzi przeciwko pięćdziesięciu, i to oczekującym napadu... A jednak jest to prawdopodobnie jedyny środek, gdyż za dnia tym bardziej nie moglibyśmy odważyć się na atak.

- Well! Uderzymy więc jeszcze tej nocy!

- Powoli, powoli! Trzeba się nad tym zastanowić.

- Rozważcie to, sir, ale pozwólcie mi tymczasem przekraść się na drugą stronę i zbadać, jak wygląda sytuacja.

- Możecie to zrobić, ale później, gdy po jakimś czasie zmniejszy się czujność wrogów.

Zresztą nie pójdziecie sami, bo ja będę wam towarzyszył i prawdopodobnie weźmiemy z sobą wszystkich.

- Pięknie, bardzo dobrze, sir! Niech tak będzie. Wyprawa wszystkich pachnie napadem.

Spełnimy naszą powinność. Ja biorę na siebie sześciu lub ośmiu Keiowehów, a Stone też mniej nie zechce. Prawda, mój stary Dicku?

- Tak, zgadłeś, Willu! - odrzekł zapytany. - Nie dbam o liczbę, gdy chodzi o oswobodzenie Sama. Jest to zresztą stary wyga, ale miał dziś kiepski dzień.

Istotnie, Samowi tego dnia szczęście nie dopisało. Zacząłem rozmyślać, jakby go uwolnić. Mogłem narazić własne życie, ale nie miałem prawa wystawiać na szwank życia Apaczów. Przypuszczałem zresztą, że może uda się łatwiej i z mniejszym niebezpieczeństwem osiągnąć cel podstępem, ale to mogło się okazać dopiero później, po przekradnięciu się na drugą stronę. Postanowiłem zabrać z sobą Apaczów na wypadek, gdyby okazał się korzystny nagły atak.

Musieliśmy zaczekać, gdyż po drugiej stronie panował jeszcze wielki ruch. Wnet jednak uspokoiło się zupełnie, a ciszę przerywały tylko silne, donośne uderzenia tomahawków. To czerwonoskórzy rąbali drzewo; widocznie zamierzali utrzymać ognie do rana.

Potem ustały także odgłosy toporów. Gwiazdy wskazywały północ, czas już było przystąpić do dzieła. Najpierw dobrze przywiązaliśmy konie, które postanowiliśmy zostawić, po czym jeszcze raz obejrzałem więzy i kneble pojmanego Keioweha. Następnie opuściliśmy obóz i ruszyliśmy tą samą drogą, którą szedłem poprzednio. Stanąwszy poniżej lasku w łożysku rzeki, kazałem Apaczom pod komendą Dicka Stone'a zatrzymać się unikając wszelkiego szmeru. Potem udałem się z Willem Parkerem cicho ku drzewom. Wydostawszy się na brzeg, położyliśmy się na ziemi i jęliśmy nadsłuchiwać. Dokoła panowała grobowa cisza. Pełzaliśmy powoli naprzód. Osiem ognisk biło wciąż jeszcze w górę płomieniami. Ze zdumieniem spostrzegłem, że ponarzucano w nie całe stosy grubych konarów. Poczołgaliśmy się więc zwolna naprzód, lecz nie ujrzeliśmy nikogo. Wkrótce przekonaliśmy się, że w lasku nie było ani jednego Keioweha.

- Odeszli, rzeczywiście odeszli potajemnie! - rzeki zdziwiony Parker. - A mimo to podsycili ogniska!

- Aby zamaskować swój odwrót. Myśleli, że tymi ogniami utrzymają nas w mniemaniu, że są jeszcze ciągle tutaj.

- Ale dokąd odeszli? I czy na zawsze?

- Przypuszczam, gdyż Sam jest dla nich cenną zdobyczą, którą chcą zabezpieczyć. Ale kto wie, czy nie knują czegoś.

- Co takiego?

- Napaść na nas po tamtej stronie tak, jak my uderzyliśmy na nich tutaj.

- Do pioruna, to możliwe! Musimy temu czym prędzej zapobiec, sir!

- Tak, musimy przejść i zabezpieczyć konie, choćby się to później miało okazać zbyteczne.

Zeszliśmy do Apaczów i pośpieszyliśmy do obozu, gdzie zastaliśmy wszystko w porządku. Ale Keiowehowie mogli podejść nas później, dosiedliśmy więc koni i pojechaliśmy dość daleko w głąb prerii, gdzie znowu rozłożyliśmy się obozem. Keiowehowie nie znaleźliby nas na dawnym miejscu i musieliby zaczekać do następnego dnia, by nas zobaczyć. Jeńca zabraliśmy oczywiście z sobą.

Nie pozostawało już nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość do rana. Kto mógł spać, spał, a kto nie, ten czuwał. Tak przeszła noc, a gdy rankiem zaczęło szarzeć, dosiedliśmy koni i wróciliśmy do naszego pierwszego obozu. Przekonaliśmy się, że nikogo tam w nocy nie było, nie zachodziła więc potrzeba opuszczania tego miejsca, ale ostrożność nie szkodzi. Potem udaliśmy się przez rzekę do obozu Keiowehów. Ogniska już się wypaliły i pozostały z nich tylko kupy popiołu jako jedyne znaki wczorajszego ożywienia.

Zaczęliśmy badać ślady. Wiodły one od miejsca, gdzie stały konie; tu wszyscy Keiowehowie wsiedli na konie i odjechali w kierunku południowo-wschodnim. Porzucili widocznie zamiar wdawania się w walkę, która nie przyniosłaby im żadnego pożytku, skoro nie mogli już nas zaskoczyć.

A Sam? Zabrali go z sobą, co nadzwyczajnie dotknęło Dicka Stone'a i Willa Parkera. Mnie także było serdecznie żal poczciwego człeczyny. Gotów byłem przedsięwziąć wszystko dla jego wyswobodzenia, choćby te kroki tylko w części podyktowane były rozsądkiem.

- Jeśli go nie uwolnimy, będą go męczyli przy palu - biadał Dick Stone.

- Nie - pocieszałem go. - My także mamy jeńca, a więc zakładnika.

- Ale czy oni o tym wiedzą?!

- Na pewno. Sam był tak mądry, że im to powiedział. Jak oni z nim, tak my postąpimy z naszym jeńcem.

- Ależ my musimy pojechać za tymi Indianami, choćby nie wiem co się miało stać.

- Nie.

- Co? Chcecie go tak zostawić?

- Także nie.

- Jakżeż to się zgadza jedno z drugim?

- Tak, że nie pozwolę się tym czerwonoskórym drabom wodzić za nos po sawannach.

- Za nos? Nie rozumiem was.

- Przypatrzcie się ich śladom! Kiedy zostawiane?

- Jak się zdaje, przed północą.

- Ja też tak myślę. Od tego czasu upłynęło około dziesięciu godzin. Czy sądzicie, że zdołamy to dzisiaj nadrobić?

- Nie.

- Albo jutro?

- Także nie.

- A dokąd waszym zdaniem odjechali?

- Do swojej wsi.

- Więc przybędą tam, zanim ich dościgniemy. Czy wyobrażacie sobie może, iż powinniśmy się zapuszczać w terytorium Keiowehów, aby napaść na ich wieś i wyswobodzić jednego jeńca?

- To byłoby szaleństwem.

- Pięknie! Ja też jestem tego samego zdania; nie pojedziemy więc za nimi.

Na to Stone poskrobał się za uchem i mruknął bezradnie i ze złością:

- Ależ Sam, Sam, Sam! Co będzie z naszym starym Samem? Przecież nie możemy go opuścić!

- Nie, tego nie uczynimy; przeciwnie, uwolnimy go nawet.

- A niech was diabeł porwie, sir! Ja nie umiem rozwiązywać takich zagadek. Raz mówicie, że nie pojedziemy za czerwonoskórymi, a za chwilę twierdzicie, że będziemy się starali uwolnić jeńca. To tak samo, jak gdybyście jednym tchem nazwali osła raz wielbłądem, a drugi raz małpą! Niech to rozumie, kto może. Ja tego nie pojmuję!

- Wasz przykład wcale w tym wypadku nie jest stosowny. Keiowehowie nie udali się do swej wsi.

- Nie? A dokąd?

- Nie domyślacie się?

- Nie.

- Hm! I to mają być starzy, doświadczeni westmani! Wobec tego ja wolę greenhornów, którzy rozgryzają takie orzechy i nie łamią sobie na nich zębów! Czerwonoskórzy poszli na Górę Nuggetów.

- Na… na… patrzcie go! Czy rzeczywiście?

- Tak jest, bądźcie pewni.

- Można by się tego istotnie po nich spodziewać!

- Nie tylko spodziewam się tego, lecz twierdzę to zupełnie stanowczo.

- Ależ im nie wolno przeszkadzać w pogrzebie!

- Nie zamierzają też tego robić. Zaczekają na koniec. Są wrogo usposobieni do nas i do Apaczów i pragną zemsty. Przybycie Santera było im więc bardzo na rękę. Dowiedziawszy się o śmierci Inczu-czuny i jego córki, ucieszyli się bardzo. Jakże sobie życzą tego samego losu dla Winnetou! Obmyślili go także i dla nas, usłyszawszy od Santera, że go ścigamy. Byliśmy jednak ostrożni i, z wyjątkiem Sama, nie wpadliśmy w pułapkę. Teraz próbują inaczej. Udali, że jadą do wsi, myśląc, że to nas

powstrzyma od pogoni. Przypuszczają, że powrócimy do Winnetou. Przejechawszy jednak kawałek drogi na południowy wschód i ściągnąwszy, gdy się nadarzy sposobność, jeszcze więcej wojowników, zwrócą się ku Górze Nuggetów, gdzie mają zamiar na nas napaść i wyciąć w pień.

- Ładna rachuba, wcale ładna, ale my się postaramy, żeby wynik był inny!

- Prawdopodobnie podsunął im to Santer, który chce skorzystać ze sposobności i zabrać stamtąd złoto. Jednym słowem, jestem pewien, że jest tak, jak mówię. No, chcecie jeszcze ścigać Keiowehów?

- Ani myślę! Wasze obliczenie jest wprawdzie trochę ryzykowne, ale odkąd was znam, nie pomyliliście się jeszcze nigdy i zawsze mieliście słuszność. Przypuszczam, że będziecie ją mieli i teraz. Cóż ty na to, stary Willu?

- Sądzę, że jest tak, jak powiada Old Shatterhand. Musimy natychmiast stąd ruszyć, aby ostrzec na czas Winnetou. Czy godzicie się, sir?

- Owszem.

- A czy jeńca zabierzemy z sobą?

- Oczywiście. Przywiążemy go do Mary Sama, co mu nie będzie bardzo w smak. Załatwiwszy się z tym, wyruszymy natychmiast. Przedtem jednak musimy znaleźć w łożysku jakąś kałużę, aby napoić konie.

W pół godziny potem byliśmy w drodze, oczywiście niezbyt zadowoleni z wyniku wyprawy. Zamiast pochwycić Santera, utraciliśmy Sama Hawkensa. Jeżeliby jednak moje przypuszczenie się sprawdziło, można by mieć pewną nadzieję, że uwolnimy Sama i pochwycimy Santera.

Ścigając uprzednio Santera, musieliśmy naturalnie trzymać się jego tropu i kołowaliśmy, ponieważ zmienił on pierwotny kierunek i pojechał pod kątem rozwartym. Teraz postanowiłem ten kąt ściąć. Skutek był taki, że już przed południem stanęliśmy u wejścia do parowu prowadzącego na polanę, na której dokonano napadu i morderstwa. Zostawiliśmy konie w dolinie pod opieką jednego z Apaczów, a sami ruszyliśmy w

górę. Na skraju polany stał strażnik, który powitał nas tylko lekkim ruchem ręki. Spostrzegliśmy na pierwszy rzut oka, że pozostałych dwudziestu Apaczów pracowało pilnie nad przygotowaniem pogrzebu dla wodza i jego córki. Mnóstwo wysmukłych drzew, ściętych tomahawkami, przeznaczono na rusztowanie. Oprócz tego leżały tam wielkie stosy kamieni, które ciągle jeszcze znoszono. Do robotników przyłączyli się od razu przybyli ze mną Apacze. Dowiedziałem się, że pogrzeb miał się odbyć nazajutrz.

Nie opodal zbudowano tymczasowy szałas, w którym przechowywano zwłoki obojga zamordowanych. Na wiadomość o naszym przybyciu wyszedł z szałasu Winnetou. Jak nam powiedziano, przesiadywał tam ciągle. Jakżeż wyglądał ten młody wódz Apaczów! Winnetou zawsze był bardzo poważny i rzadko uśmiech rozjaśniał mu twarz. Nie słyszałem nigdy, żeby się zaśmiał głośno. Mimo tej powagi był w jego pięknych, męskich rysach wyraz dobroci i przychylności, jego aksamitne, ciemne oczy umiały spoglądać nawet bardzo przyjaźnie. Ileż to razy spoczywały one na mnie z miłością i pieszczotą, jaką się widuje na ogół tylko w oczach kobiet! Dzisiaj nie było śladu tego wszystkiego. Twarz Winnetou była jakby z kamienia, a oczy spoglądały posępnie. Ruchy miał powolne i ociężałe. Zbliżył się do mnie, obrzucił mnie smętnym, a równocześnie badawczym wzrokiem, uścisnął słabo moją rękę, spojrzał w oczy z wyrazem, który mnie przejął do głębi duszy, i zapytał:

- Kiedy mój brat powrócił?

- W tej chwili właśnie.

- Gdzie jest morderca?

- Umknął.

Uczciwość każe mi przyznać, że podczas tej odpowiedzi spuściłem wzrok ku ziemi. Prawie wstydziłem się własnych słów. Apacz także wbił oczy w ziemię. O, gdybym mógł wiedzieć, co się działo w jego duszy! Po dłuższej chwili zapytał:

- Czy mój brat stracił jego trop?

- Nie, nie straciłem go jeszcze dotychczas. Morderca przybędzie tutaj niebawem.

- Niech mi to Old Shatterhand opowie!

Usiadłszy z Winnetou na kamieniu, dokładnie i zgodnie z prawdą zdałem mu sprawę ze wszystkiego. Słuchał w milczeniu, dopiero gdy skończyłem, odezwał się:

- Więc mój brat nie wie na pewno, czy dosięgły Santera kule rewolwerowe?

- Nie, ale przypuszczam, że go nie zraniłem. Skinął lekko głową, uścisnął mi rękę i rzekł;

- Niech mi mój brat wybaczy, że zapytałem o to, czy trop nie stracony! Old Shatterhand wykonał swe zadanie znakomicie, a na końcu postąpił nawet bardzo mądrze. Sam Hawkens będzie bardzo żałował swej nieostrożności, ale mu ją przebaczymy i wydobędziemy go z niewoli. Ja także tak sądzę jak mój brat; Keiowehowie nadejdą, lecz przyjmiemy ich inaczej, niż się spodziewają. Z jeńcem nie należy się źle obchodzić, ale pilnować go trzeba jak oka w głowie. Jutro wybuduje się grobowce dla Inczu-czuny i Nszo-czi. Czy mój brat będzie przy tym?

- Byłoby mi bardzo przykro, gdyby Winnetou na to nie zezwolił!

- Nie tylko zezwalam, lecz proszę o to. Twoja obecność zachowa może życie wielu synom bladych twarzy. Prawo krwi domaga się śmierci wielu białych ludzi, lecz oko twoje jest jak słońce, które rozmiękcza twardy lód i zamienia go w orzeźwiającą wodę. Wiesz, kogo utraciłem. Bądź mi ojcem i bądź mi siostrą zarazem; proszę cię o to, Szarlih!

Łza zabłysła mu w oku. Wstydził się jej i nie pokazałby nikomu, nie krył się tylko przede mną. Pobiegł do szałasu, w którym, jak wspomniałem, leżeli zmarli, i zniknął w jego wnętrzu. Dziś po raz pierwszy nazwał mnie po imieniu Karol i później wymawiał to imię zawsze tak samo jak teraz - Szarlih.

Powinienem teraz opowiedzieć o pogrzebie, który się odbył ze wszystkimi indiańskimi ceremoniami. Wiem, że dokładny jego opis byłby zajmujący, ale kiedy przypominam sobie te smutne godziny, dziś jeszcze odczuwam ból tak głęboki, jak gdyby się to stało dopiero wczoraj. Opis tych godzin wydaje mi

się jakby zbezczeszczeniem - nie grobowców, które wznieśliśmy wtedy obu zmarłym pod Nugget-tsil - lecz pomnika, który wystawiłem im w mym sercu i który otaczam nieustanną, pełną uszanowania opieką. Dlatego proszę, żeby mi było wolno zaniechać tego opisu.

Zwłoki Inczu-czuny przywiązano do konia, po czym obsypano zwierzę ziemią tak, że nie mogło się poruszyć, a w końcu przestrzelono mu łeb. Potem naniesiono stopniowo tyle ziemi, że zakryła jeźdźca razem z bronią i ”lekami”. Wreszcie obłożono wszystko kilkoma warstwami kamieni.

Nszo-czi otrzymała na moją prośbę inny grób. Nie chciałem, żeby ją pokryto bezpośrednio ziemią. Oparliśmy ją o pień drzewa w postawie siedzącej, a potem tak ułożyliśmy dokoła niej kamienie, że utworzyły silną, pustą w środku piramidę, z której szczytu wystawała korona drzewa. Odwiedzaliśmy później z Winnetou kilka razy grobowce pod Nugget-tsil i zastawaliśmy je zawsze w nienaruszonym stanie...

ROZDZIAŁ VI

WYSWOBODZENIE SAMA

Łatwo sobie wyobrazić, jak bolał Winnetou z powodu straty ojca i siostry. Podczas pogrzebu mógł tę boleść okazać, potem jednak musiał ją zamknąć w sobie głęboko. Nakazywał mu to z jednej strony indiański obyczaj, a z drugiej - konieczność zwrócenia całej uwagi na spodziewane przybycie Keiowehów. Nie był to już przygnieciony gorzką stratą syn i brat, lecz wódz wojennej drużyny, na której czele zamierzał odeprzeć napad nieprzyjaciół i po- chwycić mordercę swych bliskich. Miał już widocznie plan gotowy, gdyż zaraz po pogrzebie kazał Apaczom przygotować się do drogi i sprowadzić konie, które znajdowały się w dolinie.

- Dlaczego mój brat wydaje to zarządzenie? - spytałem. - Teren jest tak uciążliwy, że sprowadzenie koni będzie kosztowało wiele trudu.

- Wiem o tym - odrzekł - ale musi się to stać, gdyż chcę w ten sposób wywieść w pole Keiowehów. Dali schronienie mordercy, za to wszyscy zginą,

Twarz jego przybrała przy tych słowach wyraz stanowczy, groźny. Jeśliby wykonał swój zamiar, Keiowehowie byliby zgubieni. Ja byłem w tym wypadku za łagodniejszą karą. Keiowehowie byli wprawdzie naszymi wrogami, lecz nie byli winni śmierci Inczu-czuny i jego córki. Czy mogłem jednak wpływać na zmianę postanowienia Winnetou? Kto wie, czy nie wzbudziłbym w nim gniewu na samego siebie. Nastręczała się jednak sposobność do tego rodzaju próby, gdy wybraliśmy się sami na polowanie. Apacze bowiem pojechali wypełnić rozkaz

wodza, a Stone i Parker przyłączyli się do nich. Nikt zatem nie mógłby usłyszeć odpowiedzi, która, dana w gniewie, więc niewątpliwie szorstka, w obecności innych miałaby charakter obrazy. Wyjawiłem Winnetou swoje zdanie w tej sprawie, ale ku memu zdumieniu nie nastąpił skutek, jakiego się obawiałem. Spojrzał na mnie dużymi, posępnymi oczami i odpowiedział spokojnie:

- Spodziewałem się tego po moim bracie, gdyż on ustępowania przed wrogiem nie uważa za słabość.

- Tak nie myślałem, o ustępowaniu nie może być mowy. Zastanawiałem się już nawet nad tym, jak ich wszystkich pochwycić. Ale oni nie są winni temu, co się tutaj stało, i byłoby niesprawiedliwością, gdyby mieli ponieść za to karę.

- Ujęli się za mordercą i chcą tu przyjść, aby uderzyć na nas! Czy to dla nas nie dostateczny powód, żeby ich nie oszczędzać?

- Nie, a przynajmniej dla mnie nie. Przykro mi, że brat mój Winnetou gotów jest popełnić błąd, który staje się przyczyną zguby wszystkich plemion indiańskich.

- Jaki błąd ma Old Shatterhand na myśli?

- Ten, że Indianie mordują się nawzajem, zamiast pomagać sobie przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi. Pozwól, że pomówię z tobą szczerze. Kto zdaniem twoim jest na ogół mędrszy i chytrzejszy: czerwony mąż, czy blada twarz?

- Blada twarz. Przyznaję to, bo to prawda. Biali posiadają więcej niż my wiadomości i zdolności. Przewyższają nas niemal we wszystkim.

- Ale tobie Wielki Duch udzielił takich darów, jakimi nawet u białych mało kto się cieszy, dlatego chciałbym, żebyś myślał inaczej niż zwykły czerwony mąż. Rozum masz bystry, a wzrok twój sięga o wiele dalej niż wzrok zwykłego wojownika. Ileż to razy wykopywano między wami wojenny tomahawk! Nie zaprzeczysz, że to jest nieustanne, okropne samobójstwo, popełniane przez czerwonych mężów, a ten, który postępuje w ten sposób, bierze udział w tym samobójstwie. Inczu-czunę i Nszo-czi zabili nie czerwonoskórzy, lecz biali, a jeden z morderców schronił się do Keiowehów i namówił ich do

napadu na was. To oczywiście jest wystarczający powód, by tu na nich zaczekać i walczyć z nimi, ale nie usprawiedliwia tego, żeby ich wystrzelać jak wściekłe psy. To są twoi czerwoni bracia, pamiętaj o tym!

Tłumaczyłem mu tak jeszcze przez jakiś czas, Winnetou zaś słuchał spokojnie. A kiedy wypowiedziałem ostatnie słowo, podał mi rękę i rzekł:

- Old Shatterhand jest prawdziwym i szczerym przyjacielem wszystkich czerwonych mężów i słusznie nazywa postępowanie ich samobójstwem. Zrobię, czego sobie mój biały brat życzy. Schwytam Keiowehów, ale potem wypuszczę ich na wolność, a zatrzymam tylko mordercę.

- Schwytasz? To będzie trudne, bo nadciągną w przeważającej liczbie. Czy wpadłeś może na tę samą myśl, co ja?

- Jaką?

- Zwabić Keiowehów w takie miejsce, w którym by się nie mogli bronić.

- Tak, to mój plan.

- Mój także. Znasz te strony, więc chciałem cię zapytać, czy jest tu gdzieś takie miejsce.

- Jest i leży niedaleko. To wąski, skalisty parów. Tam chcę zwabić nieprzyjaciół.

- Sądzisz, że ci się to uda?

- Tak. Skoro się znajdą w tym parowie, na którego ściany wspiąć się nie można, zaatakujemy ich z przodu i z tyłu. Będą musieli się poddać, jeżeli nie zechcą dać się bezbronnie wystrzelać. Daruję im życie i wystarczy mi, że dostanę w ręce Santera.

- Dziękuję ci! Serce mego brata Winnetou stoi otworem dla dobrej myśli. Może i w innej sprawie żywi on równie łagodne zamiary.

- O jaką sprawę chodzi memu bratu Old Shatterhandowi?

- Chciałeś zaprzysiąc zemstę wszystkim białym, a ja prosiłem cię, żebyś tego nie czynił od razu, lecz zaczekał z decyzją, aż minie pogrzeb. Czy wolno mi wiedzieć, co teraz postanowiłeś? Zapytany patrzył przez pewien czas na ziemię, a potem

podniósł na mnie jasny wzrok, wskazał na szałas, w którym przed pochowaniem leżały zwłoki, i odrzekł:

- Ubiegłą noc spędziłem tam przy umarłych i walczyłem z sobą. Zemsta podsunęła mi wielką, śmiałą myśl. Chciałem sprowadzić wojowników wszystkich czerwonych plemion i wyruszyć z nimi przeciw bladym twarzom. Byłbym wówczas zwyciężony, ale w walce z sobą, którą stoczyłem dziś w nocy, zostałem zwycięzcą.

- Więc porzuciłeś tę wielką, śmiałą myśl?

- Pytałem o to trzy osoby, które miłuję: dwoje zmarłych i jednego żyjącego. Radzili mi plan ten porzucić, postanowiłem więc pójść za ich radą.

Spojrzałem na niego pytającym wzrokiem, a on mówił dalej:

- Mój brat nie wie, o kim mówię. Mam na myśli Kleki-petrę, Nszo-czi i ciebie. Was troje pytałem w myślach i otrzymałem potrójną, ale jednobrzmiącą odpowiedź.

- Tak, gdyby żyli oboje i gdybyś mógł ich zapytać, powiedzieliby pewnie to samo, co ja ci radzę. Plan, który miałeś, był wielki i ty mógłbyś się podjąć jego wykonania, ale…

- Niech mój brat skromniej o mnie mówi i myśli - przerwał mi. - Gdyby się rzeczywiście udało jednemu wodzowi zjednoczyć wszystkie czerwone szczepy, nie stałoby się to tak prędko, jakbym sobie tego życzył. Trzeba by całego długiego, pełnego trudów życia, aby dojść do celu, na końcu zaś tego życia byłoby za późno zaczynać walkę. Jeden czerwony mąż, choćby największy i najsławniejszy, nie spełni tego zadania, a po jego śmierci zabrakłoby godnego następcy, który by poprowadził dalej i dokończył rozpoczętego dzieła.

- Cieszę się, że brat mój Winnetou doszedł do tego wniosku; jest on słuszny. Jeden człowiek nie wystarczy, a o następcę byłoby trudno. Gdyby nawet i to się udało, walka czerwonoskórych przeciwko białym musiałaby i tak skończyć się dla was klęską.

- Wiem o tym; ona przyśpieszyłaby tylko naszą zgubę. Gdybyśmy nawet ze wszystkich walk wyszli zwycięsko, to jednak bladych twarzy jest tyle, że mogliby przeciwko nam

wysyłać coraz to nowe hufce, gdy tymczasem my nie zdołalibyśmy naszych strat uzupełnić. Zwycięstwa wyniszczyłyby nas wolniej wprawdzie, ale tak samo pewnie jak klęski. Musiałem to sobie szczerze powiedzieć, kiedy siedziałem w nocy przy moich zmarłych. Postanowiłem więc zaniechać tego planu. Chciałem się zadowolić z kolei pojmaniem mordercy i zemścić się na tych, którzy dają mu pomoc i przychodzą, by uderzyć na nas. Ale i to odradził mi mój brat Old Shatterhand, zemsta więc moja ograniczy się teraz tylko do tego, że pochwycę i ukarzę Santera. Keiowehów puścimy wolno.

- Te słowa wprawiają mnie w dumę z powodu przyjaźni, która nas łączy; nigdy ci ich nie zapomnę. Chociaż nie możemy tego twierdzić na pewno, jesteśmy mimo to obaj przekonani, że Keiowehowie nadciągną. Idzie tylko o to, żeby się dowiedzieć, kiedy przybędą.

- Przybędą tu już dzisiaj - rzekł tonem tak stanowczym, jak gdyby szło o stwierdzenie faktu zupełnie dowiedzionego.

- Skąd możesz to wiedzieć na pewno?

- Wnoszę z tego, co mówiłeś o waszej ostatniej wyprawie. Keiowehowie udali, że wracają do wsi, aby was zwabić za sobą, a zdążają właściwie tutaj; musieli więc bardzo okrążać, bo inaczej pojawiliby się już wczoraj. Istniały też inne jeszcze powody tego opóźnienia.

- Jakie powody?

- Pierwszy: Sam Hawkens, którego tu oczywiście nie sprowadzą, lecz odeślą do swoich do domu. Na to trzeba było wybrać odpowiedni czas i miejsce, a może nawet zaczekać na sposobność, która by się nastręczyła przypadkiem. Musieli także pchnąć posłańca z doniesieniem o waszym przybyciu.

- Aha, sądzisz, że wojownicy wyjechali naprzeciw nas ze wsi?

- Tak. Wojownicy, z którymi mieliście do czynienia tam, nad wyschłą rzeką, chcieli was pociągnąć za sobą, nie mieli jednak czasu zaatakować, ponieważ postanowili przyjechać tutaj. Wysłali więc jednego lub kilku wojowników do swoich z rozkazem, żeby wyruszono przeciwko wam ze wsi. Tym posłańcom powierzyli także Sama Hawkensa. Po tych

zarządzeniach zboczyli z poprzedniego kierunku i ruszyli ku Nugget-tsil. Chodziło o to, żebyście wy tej zmiany kierunku nie zauważyli, musiała się więc ona odbyć w miejscu, w którym nie zostają ślady. Miejsca takie są rzadkie, trzeba ich szukać, a to zabiera czas. Dlatego też Keiowehowie me mogli nadejść tu wczoraj, ale dziś przybędą na pewno.

- A skąd wiesz, że ich nie ma jeszcze dotychczas? Wskazał na najbliższe wzgórze. Ponad lasem wznosiło się wysokie drzewo, którego korona stanowiła najwyższy punkt w tych górach. Kto siedział na tym drzewie, a miał dobre oczy, mógł objąć wzrokiem całą pobliską prerię.

- Mój brat nie wie - odrzekł - że wysłałem na drzewo wojownika, który tam uważa i zobaczy Keiowehów, jak tylko się zbliżą, bo ma sokole oczy. Ujrzawszy ich, zejdzie natychmiast i doniesie mi o tym.

- To dobrze. Wiadomości od niego nie było, więc widocznie wrogów jeszcze nie widać. Czy sądzisz jednak, że nadciągną dzisiaj z pewnością?

- Tak, nie mogą zwlekać dłużej, jeśli chcą nas tu jeszcze zastać.

- Ależ oni nie mieli zamiaru dojść aż do Góry Nuggetów, chcieli tylko przygotować na ciebie zasadzkę, kiedy będziesz wracał do domu.

- Byłoby się im to udało, gdybyś ich nie podsłuchał. Ponieważ jednak teraz jestem o tym uwiadomiony, zasadzka na nic się nie przyda, przeciwnie, ja zwabię ich tutaj. Do domu wracałbym w kierunku południowym. i tam by się na mnie zaczaili. Teraz udam, że zmierzam na północ, i zwabię ich tu za sobą.

- Czy jesteś pewny, że pójdą za tobą?

- Tak, jestem pewny. Keiowehowie muszą wysłać zwiadowcę, by się przekonać, czy tu jesteśmy. Temu szpiegowi nie zrobimy nic złego i pozwolimy mu odejść spokojnie do swoich. Ze względu na niego kazałem tu sprowadzić konie. Jest ich ponad trzydzieści i pomimo twardego gruntu na osypisku będzie musiał zobaczyć ich ślady. Stąd podążymy do parowu, który posłuży za pułapkę na Keiowehów. Zwiadowca nie pójdzie tam

za nami, będzie tylko śledził jakiś czas, czy odeszliśmy rzeczywiście, a potem wróci czym prędzej do swoich z wieścią, że odjechaliśmy nie na południe, lecz na północ. Czy mój brat przyznaje mi słuszność?

- Tak. Wskutek tego porzucą myśl urządzenia zasadzki, przybędą tutaj i stąd puszczą się za nami.

- Jestem pewien, że tak uczynią. Santer, którego musie pochwycić, jeszcze dziś będzie w mym ręku.

- A co z nim zrobisz?

- Proszę mego brata, żeby mnie o to nie pytał. On umrze. To wszystko.

- Gdzie? Tu? Czy zaprowadzisz go do puebla?

- To jeszcze nie postanowione. Prawdopodobnie nie będzie takim tchórzem jak Rattler, któremu musieliśmy zadać szybką śmierć jak psu i mazgajowi. Słuchaj! Dolatuje mnie tętent naszych koni. Opuśćmy to miejsce, wrócimy tu potem z jeńcami.

Przyprowadzono konie. Mój koń i Mary Hawkensa były też z nimi. Każdy prowadzał swego konia za cugle, gdyż droga była zbyt niewygodna, by można było ich dosiąść. Winnetou szedł na czele. Sprowadził nas z polanki na północ, potem w las opadający dość stromo ku dołowi. Na dole znajdowała się otwarta łąka. Tam wsiedliśmy na konie i pojechaliśmy ku wznoszące] się jak wysoki, prostopadły mur, skalnej ścianie, którą przecinał wąski parów. Wskazując na ten parów, Winnetou powiedział:

- Oto pułapka, o której mówiłem. Teraz przez nią przejedziemy.

Słowo to określało bardzo dobrze wąskie przejście, którym teraz przejeżdżaliśmy. Ściany biegły z obu stron prawie prostopadle ku niebu i nie podobna było się na nie wdrapać. Gdyby Keiowehowie okazali się tak głupi i wjechaliby tutaj po obsadzeniu przez nas obu wejść, bronić się tu byłoby z ich strony szaleństwem.

Droga nie wiodła prosto, lecz skręcała to w prawo, to w lewo i kwadrans upłynął, zanim stanęliśmy u wylotu parowu, gdzie

zsiedliśmy z koni. Po chwili ujrzeliśmy Apacza, który wypatrywał z drzewa Keiowehów.

- Przybyli - oznajmił. - Chciałem ich zliczyć, ale nie mogłem, bo nie jechali pojedynczo i byli jeszcze bardzo daleko.

- Czy zwrócili się ku dolinie? - pytał Winnetou.

- Nie. Zatrzymali się na prerii i rozłożyli pośród zarośli. Potem oddzielił się od nich jeden wojownik i poszedł piechotą ku dolinie.

- To zwiadowca. Mamy właśnie, tyle czasu, żeby pułapkę otworzyć, a potem zamknąć. Mój brat Old Shatterhand weźmie z sobą Stone'a, Parkera i dwunastu moich wojowników i obejdzie górę tu, po lewej stronie. Koło bardzo grubej i wysokiej brzozy, jaką tam ujrzy, wejdzie w las, który się powoli wznosi, a po drugiej stronie znowu opada. Przybywszy tam, znajdzie się mój brat w przedłużeniu doliny, skąd wyszliśmy na Nugget-tsil. Idąc dalej tą doliną, dotrze niebawem na miejsce, gdzie zostawiliśmy konie, a dalszą drogę już zna. Niech jednak nie posuwa się otwartą doliną, lecz jej brzegiem i kryje się w lesie. Old Shatterhand będzie siedział w tym lesie, skąd po drugiej stronie prowadzi wejście do parowu. Spostrzeże nieprzyjacielskiego zwiadowcę, ale mu nie będzie przeszkadzał w śledzeniu. Potem zobaczy nadchodzących nieprzyjaciół i pozwoli im wejść do parowu.

- Więc taki jest twój plan - mówiłem dalej za niego. - Ty zostaniesz tutaj, aby obsadzić wyjście, a ja wrócę drogą okrężną, opisaną teraz przez ciebie, do stóp Nugget-tsil, aby tam zaczekać na nieprzyjaciół i towarzyszyć im potajemnie, dopóki nie wejdą do pułapki?

- Tak sobie to wyobrażam. Jeżeli Old Shatterhand nie popełni jakiegoś błędu, to połów uda się nam z pewnością.

- Będę ostrożny, jak tylko można. Czy Winnetou da mi jeszcze jakieś wskazówki?

- Nie. Resztę pozostawiam tobie.

- Kto będzie się układał z Keiowehami, jeśli się uda ich zamknąć?

- Ja. Zadaniem Old Shatterhanda jest tylko nie wypuścić ich z parowu, gdy zobaczą moich wojowników i zechcą zawrócić. Ale śpieszcie się! Południe już dawno minęło, a Keiowehowie nie zatrzymają się do jutra, lecz pójdą za nami dziś jeszcze, zanim się ściemni.

Słońce dokonało już prawie swej dziennej wędrówki i za godzinę należało się spodziewać zmierzchu. Udałem się więc w drogę z Dickiem, Willom i z moimi Apaczami. W kwadrans potem spostrzegliśmy brzozę i weszliśmy w las. Wygląd okolicy zgadzał się zupełnie z opisem Winnetou. Wkrótce wydostaliśmy się na owo miejsce w dolinie, na którym pasły się konie. Naprzeciw nas otwierał się boczny parów, wiodący na polanę do grobów Inczu-czuny i Nszo-czi. Stamtąd, usiadłszy pod drzewami, mogliśmy widzieć nadchodzących Keiowehów. Nie mieliśmy powodu obawiać się, by nas spostrzegli, gdyż należało przypuszczać, że wejdą do parowu z drugiej strony.

Apacze milczeli, a Stone i Parker rozmawiali z sobą po cichu. Byli pewni, że Keiowehowie wpadną nam w ręce razem z Santerem, ja natomiast miałem pewne wątpliwości. Do zmroku brakowało najwyżej dwudziestu minut, a Keiowehowie się nie zjawiali. Sądziłem zatem, że dopiero jutrzejszy ranek przyniesie rozstrzygnięcie, zwłaszcza że nie było widać także zwiadowcy nieprzyjaciół. U nas pod drzewami było już ciemno.

Szept Parkera ze Stone'em ustał. Lekki wiatr poruszał szczytami drzew i wywoływał jednostajny szmer, który należałoby raczej nazwać nieustannym, głębokim oddechem lasu, od którego bardzo łatwo odróżnić każdy inny odgłos. Naraz wydało mi się, że coś pełza po miękkim, leśnym gruncie. Zacząłem nadsłuchiwać. Tak, coś się poruszało. Zwierzę czworonożne nie zbliżyłoby się do nas tak bardzo. A płaz? Również nie. Odwróciłem się szybko i położyłem, aby zobaczyć, co się dzieje u dołu, przy samej ziemi. Zrobiłem to jeszcze na czas i ujrzałem jakiś czarny przedmiot, który leżał za mną, a teraz przemykał się między drzewami. Zerwałem się i pośpieszyłem za nim. Zobaczyłem go przed sobą - jakby smugę

cienia na jaśniejszym tle. Sięgnąłem ręką i chwyciłem kawałek jakiejś tkaniny.

- Precz ! - odezwał się czyjś przestraszony głos i równocześnie tkanina wymknęła mi się z ręki. Cień zniknął, wobec tego wstałem i zacząłem nasłuchiwać, aby przynajmniej uchem coś złowić. Ale moi towarzysze dostrzegli moje szybkie ruchy i usłyszeli okrzyk. Zerwali się z miejsc i zaczęli pytać, co się stało.

- Cicho, cicho bądźcie! - odrzekłem i natężyłem słuch ponownie. Ale nic już nie było słychać. Podpatrywał nas jakiś człowiek, i to biały, jak tego dowodził angielski okrzyk. Prawdopodobnie był to sam Santer, gdyż oprócz niego nie było u Keiowehów żadnej innej bladej twarzy. Musiałem się puścić za nim bezwarunkowo, pomimo ciemności!

- Usiądźcie z powrotem i zaczekajcie, dopóki nie wrócę! - nakazałem moim ludziom i pobiegłem. Nie wahałem się ani przez chwilę, dokąd się skierować - należało biec ku prerii, gdzie znajdowali się Keiowehowie.

Podsłuchujący mógł cofnąć się tylko do nich i nigdzie indziej. Trzeba było coś uczynić, by tak prędko nie uciekał, zmusić go do ostrożniejszego posuwania się. Zawołałem:

- Stój, bo strzelam!

W kilka sekund potem oddałem na potwierdzenie tej groźby dwa strzały rewolwerowe. Nie popełniłem przez to błędu, gdyż obecność nasza i tak już wyszła na jaw. Teraz można było przypuszczać, że zbieg wejdzie ze strachu głębiej w las, gdzie oczywiście musi zwolnić biegu z powodu panującej tam ciemności. Ja natomiast skoczyłem ku skrajowi lasu, skąd mogłem go jeszcze dojrzeć, i posuwałem się wzdłuż tego skraju. Chciałem przebyć w ten sposób całą dolinę i ukryć się w miejscu, gdzie stykała się z prerią, by tam pochwycić szpiega. Gdyby uciekał tamtędy, musiałby przejść koło mnie.

Plan ten był dobry, ale niestety nie dało się go wykonać. W chwili kiedy biegłem zakrętem doliny i wychyliłem się poza wystającą grupę zarośli, ujrzałem przed sobą ludzi i konie tak blisko, że z trudem zdołałem się rzucić wstecz i wsunąć

pomiędzy drzewa. Tuż u wylotu doliny rozłożyli się obozem Keiowehowie. Dlaczego to uczynili, nietrudno było odgadnąć.

Zatrzymali się najpierw na prerii i wysłali jednego wojownika nie na zwiady, jak przypuszczaliśmy, lecz na poszukiwanie Santera. Santer bowiem, znający okolicę, ruszył ku nam wcześniej niż oni i dotarł do gór, zanim Winnetou posłał strażnika na drzewo. To było jego zadanie; znaleźć nas i donieść o tym Indianom, skoro tylko przybędą. Kiedy jednak nadeszli, a on jeszcze nie wrócił, wysłali jego tropem jednego czerwonoskórego. Zwiadowca nie miał się czego obawiać, gdyż w razie niebezpieczeństwa Santer wróciłby, aby ostrzec Indian. Zwiadowca wszedł więc tak daleko w dolinę, jak mu się to zdawało konieczne, a nie ujrzawszy nieprzyjaciela, cofnął się z tą wiadomością do swoich. Ponieważ dolina lepiej nadawała się na nocleg niż otwarta preria, Keiowehowie postanowili się przenieść. Santer wracając musiał się na nich natknąć, pomimo że dla ostrożności nie rozniecili ognisk.

Teraz już wiedziałem, że nie dostaniemy ich w ręce ani dziś, ani jutro, jeżeli Santer był dość mądry i odgadł nasz plan. Co należało uczynić? Wrócić na swoje miejsce i zaczekać, czy Keiowehowie pomimo wszystko nie wpadną rano w pułapkę? A może wobec zmiany sytuacji trzeba było cofnąć się aż do Winnetou po nowe zarządzenia? Było jeszcze trzecie wyjście, najbardziej dla mnie niebezpieczne, a mianowicie pozostać tutaj i dowiedzieć się, co postanowią czerwonoskórzy uwiadomieni przez Santera o tym, co widział. Santer powiedział im niezawodnie, że go ścigam, było więc do przewidzenia, że będą się mieli na baczności. Postanowiłem jednak odważyć się na wszystko, jakkolwiek miałem małą nadzieję powodzenia. Liczyłem na panujące wokół ciemności, gdyż Keiowehowie nie rozniecili ognisk, w obawie, aby ich nie dostrzeżono.

Pod drzewami leżały wielkie złomy skalne, porosłe mchem i otoczone paprocią. Może by mi się udało ukryć za jednym z nich?

Większość czerwonoskórych zajęta była jeszcze końmi, które przywiązywali do palików, aby się nie mogły oddalić i nie zdradziły obozu. Reszta siedziała lub leżała na skraju lasu. W jednym jego punkcie brzmiały wydawane półgłosem rozkazy. Tam zapewne znajdował się wódz i tam też postanowiłem się dostać, jeśliby się to okazało możliwe! Leżąc na ziemi, posunąłem się w tym kierunku, nie dbając o osłonę, gdyż dokoła panowała ciemność, a czerwonoskórzy znajdowali się przeważnie po drugiej stronie. Mogli mnie dostrzec tylko wtedy, gdyby któryś z nich potknął się o mnie. Tak się nie stało, wobec czego dotarłem szczęśliwie do celu. Zauważyłem tam dwa głazy leżące obok siebie - jeden wysoki i długi, drugi niższy. Niewątpliwie z tej strony Keiowehowie nie spodziewali się niebezpieczeństwa. Wspiąłem się spokojnie z niższego głazu na wyższy i rozciągnąłem się na nim jak długi. Leżałem na wysokości dwu metrów dość bezpiecznie, gdyż żaden z czerwonoskórych nie miał powodu wchodzić tu za mną. Indianie, którzy dotychczas byli zajęci końmi, zeszli się także i usiedli lub rozłożyli się na ziemi. Tam gdzie spodziewałem się obecności wodza, wydano półgłosem kilka rozkazów niezrozumiałych dla mnie, gdyż nie znałem jeszcze wtedy języka Keiowehów. Następnie oddaliło się kilku wojowników, którzy - jak mi się zdawało - mieli pełnić straż. Rzeczywiście obsadzili wylot doliny, ale skraj lasu pozostawili swobodny. Było to dla mnie bardzo korzystne, ponieważ zapewniało mi odwrót.

Obozujący rozmawiali z sobą półgłosem. Słyszałem każde zdanie, ale niestety niczego nie rozumiałem. A jakżeby mi się przydało uchwycić treść ich rozmowy! Często opowiadam, że w czasie moich wypraw po Zachodzie skradałem się pod obozy Indian najrozmaitszych szczepów, a w trakcie podróży po innych krajach - pod obozowiska innych narodów, gdzie podsłuchiwałem znajdujących się tam ludzi. Temu zawdzięczam wiele z moich sukcesów, a częstokroć nawet życie. Czytelnik nie wyobraża sobie i nie zdaje sobie sprawy, jak trudno i jak niebezpiecznie jest w ten sposób podchodzić pod

obóz. Trudno nie tylko dlatego, że ta czynność wymaga fizycznej zręczności, siły i wytrwałości, lecz przede wszystkim dlatego, że potrzeba do niej wewnętrznej dyscypliny, inteligencji i wielu różnych wiadomości, bez których nie można się obejść. Na darmo bowiem podchodziłbym, choćby nawet po mistrzowsku, pod obóz Indian, Beduinów albo Kurdów, sudańską seribah albo południowoamerykańską osadę Gauchów, gdybym nie władał językiem tego szczepu i nie mógł pojąć znaczenia usłyszanych wieści. A treść rozmów znaczy w takich wypadkach więcej niż wszystko, co się przy tej okazji zobaczy. Dlatego starałem się zawsze poznać język ludzi, z którymi miałem do czynienia. Winnetou przyswoił sobie szesnaście dialektów indiańskich i w tym także zakresie stał się moim najwybitniejszym nauczycielem. Nie zdarzyło mi się później już nigdy, żebym podchodził pod obóz nieprzyjacielski nie znając języka nieprzyjaciół.

Leżałem z dziesięć minut na kamieniu, kiedy usłyszałem wołanie straży, po czym nastąpiła upragniona przeze mnie odpowiedź:

- To ja, Santer. Więc weszliście w dolinę?

- Tak. Niech mój biały brat idzie dalej, a zaraz spotka czerwonych wojowników.

Te słowa już zrozumiałem, ponieważ w stosunku do Santera posługiwano się żargonem złożonym ze słów indiańskich i angielskich. Zagadnięty zbliżył się, a wódz przywołał go do siebie i zapytał:

- Mój brat zabawił o wiele dłużej, niż było postanowione. Niewątpliwie zatrzymały go ważne powody?

- Ważniejsze, niż byście mogli przypuszczać. Jak długo się tu znajdujecie?

- Od czasu, który blade twarze zowią połową godziny.

- Spotkaliście mego konia?

- Tak, gdyż jechaliśmy w trop za tobą. Mijając miejsce, na którym go przywiązałeś, zabraliśmy go z sobą.

- Powinniście byli zostać na prerii! Tu nie jest zupełnie bezpiecznie.

- Nie rozłożyliśmy się tam obozem, ponieważ tu jest wygodniej, sądziliśmy zresztą, że tu nic by nam nie groziło, ty bowiem powróciłbyś prędko, aby nas ostrzec.

- Rzecz się ma inaczej. Nie było mnie tak długo, ponieważ narażeni tu jesteśmy na niebezpieczeństwo. Straciłem dużo czasu, zanim się dowiedziałem, na czym ono polega. Old Shatterhand jest tutaj.

- Tak myślałem. Czy mój brat go widział?

- Tak.

- Pochwycimy go i zabierzemy do wodza, któremu strzaskał kolana. Czeka go śmierć przy palu męczeńskim. Gdzie on się znajduje?

A więc Keiowehowie nie chcieli nas zwabić do swojej wsi, ale przypuszczali, że powrócimy do Winnetou.

- To jeszcze bardzo wątpliwe, czy go pochwycicie - odrzekł Santer.

- Tak będzie, bo te psy mają tylko trzydziestu wojowników na naszych pięćdziesięciu, nadto nie wiedzą, że tu jesteśmy. Zaskoczymy ich więc niespodzianie.

- W takim razie grubo się mylisz. Oni wiedzą, że mamy nadejść, a może nawet wiedzą, że już jesteście, gdyż niewątpliwie wysłali naprzeciw was zwiadowców.

- Uff! Wiedzą o tym?

- Tak.

- Wobec tego nie możemy ich już zaskoczyć!

- Oczywiście, że nie.

- Skoro więc ich napadniemy, dojdzie do walki, która będzie wymagała dużo krwi, bo Winnetou i Old Shatterhand wystarczą każdy na dziesięciu wojowników.

- Tak, to prawda. Śmierć Inczu-czuny i jego córki napełniła ich wściekłością. Kipią zemstą, będą się bronili jak rozjuszone drapieżne zwierzęta. Ale mimo to muszą się dostać w nasze ręce! Przynajmniej Winnetou.

- Czemu właśnie on?

- Ze względu na nuggety. On jeden zna prawdopodobnie pokłady złota.

- Nie pokaże ich nikomu.
- Nawet gdy go schwytamy?
- I wtedy nie.
- Będę go męczył dopóty, dopóki nie wyjawi tajemnicy.
- On mimo to będzie milczał. Ten młody pies Apaczów drwi z wszelkich mąk. Skoro zaś wie, że nadchodzimy, będzie się starał umknąć przed nami.
- O, ja wiem, jak się mamy do tego zabrać, żeby go wziąć do niewoli.
- Skoro wiesz, to nam powiedz!
- Wystarczy wyzyskać pułapkę, którą oni na nas zastawili.
- Zastawili pułapkę? Jaką?
- Chcą nas zwabić do wąskiego parowu, gdzie nie podobna się bronić, i tam nas wziąć do niewoli.
- Uff! Czy mój brat Santer słyszał to wyraźnie?
- Tak.
- Czy zna ten parów?
- Byłem w nim.
- Opowiedz, jak się o tym dowiedziałeś.
- Odważyłem się na wiele, na bardzo wiele. Gdyby mnie spostrzegli, poniósłbym śmierć w męczarniach i diabelnie się cieszę, że tak się szczęśliwie skończyło. Zawdzięczam to tylko temu, że znałem już drogę do Nugget-tsil i okolicę, gdzie stoją oba grobowce.
- Grobowce? Więc istotnie Winnetou pochował tam swoich zmarłych?
- Tak jest. Bardzo mi się to przydało, gdyż odwróciło od nas uwagę Apaczów. Domyślałem się oczywiście, że znajdują się tam na polanie, i miałem się nadzwyczaj na baczności. Przeszedłem już niejedno i mogę się pochwalić, że nie jestem niedoświadczonym westmanem, ale tak ostrożny jak dzisiaj nie byłem jeszcze nigdy. Nie obrałem oczywiście drogi przez dolinę, lecz skrajem lasu. U wejścia do przesmyku stały ich konie. Podejście Apaczów, nie używając drogi przez parów, nie było drobnostką, ale mi się udało. W górze podwoiłem jeszcze ostrożność i wytężyłem całą swą chytrość. Już myślałem, że nie

zdołam dotrzeć aż do polany, ale Apacze mieli oczy i uszy skierowane tylko na pogrzeb i dlatego ośmieliłem się podejść aż poza skałę położoną na skraju polany. Stamtąd mogłem wszystko podpatrzyć.

- Mój biały brat był bardzo odważny; że jeszcze żyje, zawdzięcza tylko pogrzebowi.

- Sam to już przyznałem! Skoro tylko zamknięto groby, Winnetou posłał swoich ludzi, żeby sprowadzili konie.

- Tam na górę? Czy to nie trudne?

- Nawet bardzo uciążliwe!

- Miał zapewne ważny powód do tego!

- Naturalnie. Chciał, żebyśmy widząc, iż oni poszli tamtędy z końmi, wspięli się za nimi, a potem posuwali się dalej śladem, który właśnie prowadził w pułapkę.

- Dlaczego tak przypuszczasz?

- Nie przypuszczam, lecz wiem to na pewno, bo słyszałem.

- Od kogo?

- Od Winnetou. Wysławszy swoich ludzi po konie, został sam z Old Shatterhandem niedaleko mojej kryjówki i wdał się z nim w rozmowę, którą ja w całości podsłuchałem.

- Uff! Stał się cud! Winnetou dał się podsłuchać! To było możliwe tylko dzięki temu, że myśli jego nie były przy nas, lecz przy ojcu i siostrze.

- O były także i przy nas. Wysłał jednego wojownika na najwyższy szczyt góry, skąd mógł on dostrzec nasze przybycie.

- Czy je zauważył?

- Nie, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Widzisz więc, jak to dobrze, że pojechałem naprzód. Jako pojedynczy jeździec, uszedłem oka tego szpiega.

- Tak, postąpiłeś bardzo rozumnie. Mów dalej!

- Skoro tylko czerwonoskórzy sprowadzili konie, nie czekali już dłużej. Opuścili polanę i przenieśli się na drugi jej koniec ku dolinie prowadzącej do wąskiego i długiego parowu, na którego ściany nie można się wspiąć. Tam chcieli was zwabić.

- A więc Winnetou zamierza zamknąć ten parów z obu stron?

- Tak, ale oczywiście dopiero wtedy, gdy wy tam wejdziecie.

- Wobec tego musi podzielić swoich ludzi. Połowa przejdzie przez parów i zaczeka na nas na jego końcu, a druga połowa ukryje się z tej strony i pójdzie potem za nami.

- Ja tak samo myślałem.

- Czy grunt jest tam skalisty, czy porosły trawą?

- W parowie skalisty, a przed nim w dolinie rośnie trawa.

- W takim razie drugi oddział Apaczów zostawi ślady, które zauważymy. Nie wpadlibyśmy zatem w pułapkę mimo usilnych starań Winnetou.

- O, przeciwnie! Ci hultaje są sprytniejsi, niż sobie wyobrażasz. Drugi oddział nie został,

lecz przejechał także przez parów.

- Uff! Więc jakże mogliby nas zamknąć?

- Ja sobie także to pytanie zadałem i znalazłem tylko jedną odpowiedź, a mianowicie, że ten oddział chce się dostać na nasze tyły inną drogą.

- Mój biały brat znów roztropnie pomyślał. Czy odszukałeś tę inną drogę?

- Tak. Wszedłem najpierw do parowu, aby go także poznać, chociaż to było niebezpieczne.

W całości przejść go nie mogłem, gdyż byłbym się natknął na Apaczów, którzy obsadzili jego wylot. Powróciłem więc zaraz, ale nie opuściłem go jeszcze zupełnie, kiedy usłyszałem pośpieszne kroki. Szczęściem leżało tam kilka wielkich kamieni, za którymi przykucnąłem. Minął mnie Apacz, lecz nie dostrzegł.

- Czy to nie był zwiadowca ze szczytu góry?

- Prawdopodobnie.

- Zobaczył, żeśmy przybyli, i śpieszył donieść o tym Winnetou.

- Może i nie. Winnetou, opuszczając dotychczasowy obóz przy grobach, kazał go o tym zawiadomić i powiedzieć, żeby szedł za nim.

- Tak się nie stało. W takim razie bowiem byłby z nim razem ten, który miał mu ten rozkaz zanieść, on zaś szedł sam. Jest tak, jak sądzę. Spostrzegł nas i pobiegł do Winnetou z wieścią o naszym przybyciu. Jak to dobrze, że miałeś jeszcze czas się ukryć. Cóż potem uczyniłeś?

- Zastanawiałem się przez pewien czas, jak mogłyby się potoczyć wypadki. Jeżeli nieprzyjaciele chcieli nas zajść z tyłu - myślałem sobie - mogli to wykonać w ten sposób, że zaczekaliby na nas wygodnie ukryci w jakimś miejscu, przez które my byśmy musieli przechodzić. Szukając w myśli takiego miejsca, doszedłem do przekonania, że będzie nim dolina, w której się znajdujemy, a mianowicie ta jej strona, z której droga wiedzie w górę do parowu. Jeśliby Apacze zaczaili się tam między drzewami, zobaczyliby nas przechodzących, poszli niepostrzeżenie za nami aż do pułapki i zamknęli ją po naszym wejściu. Tak sobie powiedziałem, zawróciłem tedy i poszedłem tam, gdzie spodziewałem się ich znaleźć, jeśli moje rachuby nie były mylne.

- I znalazłeś ich?

- Nie od razu, gdyż przybyłem tam przed nimi, ale nie czekałem zbyt długo.

- Czy widziałeś i policzyłeś ich dobrze?

- Był to Old Shatterhand z obydwoma białymi i dziesięciu Indian.

- A więc Winnetou dowodzi tym oddziałem, który obsadził wylot parowu?

- Tak jest. Ci usiedli na ziemi. Odważyłem się dziś już na tyle i udało mi się to szczęśliwie, że spróbowałem jeszcze podejść ich tak blisko, żeby usłyszeć, o czym z sobą mówią.

- A o czym mówili?

- Nic nie mówili. Kiedy jeszcze byłem daleko, rozmawiali z sobą dwaj biali, ale nie tak głośno, żebym ich zdołał dosłyszeć, a kiedy później zbliżyłem się do nich, zamilkli. Apacze zachowywali się cicho, a Old Shatterhand też nie powiedział ani słowa. Leżałem tak blisko niego, że mogłem go niemal dosięgnąć ręką. Jakżeby się złościł, gdyby to wiedział!

Santer miał zupełną słuszność. Jeszcze jak się złościłem! Ten człowiek, równie przebiegły, jak zuchwały, potrafił podsłuchać mnie i Winnetou, kiedy rozmawialiśmy koło grobów, potem pójść za nami do parowu, odgadnąć cały nasz plan i czekać na nas tam, dokąd nas wysłał Winnetou! Leżał za mną i ja

trzymałem go już nawet za brzeg bluzy! To dopiero był pech, nadzwyczajny pech, tak wielki prawie jak dzisiejsze szczęście Santera! Gdyby mi się wówczas udało przytrzymać go, wypadki potoczyłyby się zupełnie innym torem, może nawet moje życie przybrałoby całkiem inny kierunek.

Gniew mną wstrząsał - to tylko było przynajmniej pewnym wyrównaniem, że już tyle tu podsłuchałem, gdy tymczasem Santer nic się u nas nie dowiedział.

- Byłeś już tak blisko tego psa? - zawołał Keioweh.

- Dlaczegoż nie pchnąłeś go nożem w serce?

- Nawet mi to w głowie nie postało.

- Czemu?

- Bo byłbym wszystko popsuł. Co by to był za hałas! Apacze, pobiegłszy do Winnetou, zawiadomiliby go, że jego plan zdradzony. Nie zdołałbym go już schwytać, a w takim razie w jaki sposób dostałbym się do nuggetów, które muszę mieć?

- Nie dostaniesz ich w ogóle nigdy. Czy Old Shatterhand znajduje się jeszcze tam, gdzie go zostawiłeś?

- Spodziewam się.

- Spodziewasz się tylko? Więc może odszedł? A ja byłem pewny, że jeszcze tam na nas czeka!

- Chciał to uczynić, ale mógł odstąpić od tego zamiaru.

- Z jakiego powodu?

- Wie, że go podpatrywano.

- Uff! Jakże mógł się o tym dowiedzieć?

- Przez dziurę, przez fatalną, przeklętą dziurę, wykopaną w ziemi przez jakieś zwierzę.

- Czy dziury umieją mówić?

- Czasami tak. Ta właśnie przemówiła. Chcąc bowiem odejść, odwróciłem się. Oparłem przy tym cały ciężar ciała na rękach, ale zapadłem się prawą ręką w jakąś dziurę, przy czym powstał szmer, który posłyszał Old Shatterhand. Odwrócił się natychmiast i niezawodnie zobaczył mnie, bo kiedy się zerwałem, aby umknąć, rzucił się za mną. Omal że mnie nie pojmał, bo chwycił mnie już za bluzę, wyrwałem mu się jednak i skoczyłem w bok. Zawołał wprawdzie, żebym stanął, grożąc

strzałem, ale mnie oczywiście ani przez myśl nie przeszło popełnić takie głupstwo. Przeciwnie, zaszyłem się w las jeszcze głębiej, gdzie osłaniała mnie ciemność, i usiadłem, by zaczekać, kiedy będę mógł bezpiecznie pójść dalej.

- A co zrobili jego ludzie?

- Chcieli pewnie szukać mnie razem z nim, lecz on im zabronił. Kazał im pozostać aż do swego powrotu i badał sam dalej. Słyszałem jeszcze przez pewien czas jego kroki, po czym wszystko ucichło,

- A więc poszedł gdzieś?

- Tak.

- Dokąd?

- Tego już nie wiem. Daleko z pewnością nie zaszedł, a przekonawszy się, że mnie nie znajdzie, zawrócił niewątpliwie do swoich.

- Czy cię poznał?

- Chyba nie, było za ciemno.

- Może zakradł się aż tutaj, siedzi teraz gdzieś i przypatruje się nam!

- To niemożliwe! Nie mógł widzieć, dokąd się potem skierowałem. Na pewno powrócił na swe stanowisko. Odczekawszy dość długo, wyszedłem z lasu. na wolne pole, gdzie mogłem już biec. Wtem zawołał na mnie twój strażnik, od którego dowiedziałem się, że tu się znajdujecie. Nastąpiła pauza w rozmowie. Dowódca otrzymał widocznie potrzebną wiadomość i rozważał ją. Po jakimś czasie zapytał:

- Co mój biały brat zmierza zrobić?

- Chcę najpierw usłyszeć, co ty postanowisz.

- Z twego sprawozdania widzę, że stało się zupełnie inaczej, niż przypuszczaliśmy. Gdyby nam się udało zaskoczyć Apaczów niespodzianie, dostaliby się w nasze ręce żywi lub martwi i nie kosztowałoby nas to chyba zbyt wiele krwi. Teraz jednak czekają na nas. Old Shatterhand cię zauważył, wie zatem, że jego plan już zdradzony, i będzie się miał na baczności. Najlepiej będzie, jeśli opuścimy te strony.

- Opuścimy? Chcesz odejść? Co ci na myśl przyszło? Boisz się tej garstki Apaczów?

- Mój biały brat nie chce mnie chyba obrazić? Nie ”znam trwogi, ale jeśli mogę dostać wroga w ręce bez rozlewu krwi lub z rozlewem, to wolę bez. Tak postępuje każdy rozumny wojownik, choćby był najwaleczniejszy.

- Czy ci się zdaje, że opuszczając te strony zdołasz pochwycić tych białych i Apaczów?

- Tak.

- Oho! Ciekaw jestem, w jaki sposób!

- Będą nas ścigać.

- To nie jest znów tak pewne.

- To pewne. Winnetou musi się zemścić na tobie, a wie, że jesteś z nami, nie zejdzie więc z naszego tropu. Zrobimy go umyślnie tak wyraźnym, żeby go łatwo było zobaczyć, i udamy się wprost do naszej wsi, dokąd odesłałem pojmaną bladą twarz, Sama Hawkensa.

- I zdaje ci się, że Apacze podążą tam za nami?

- Tak, będą nas nawet ścigali z wielkim pośpiechem.

- Aha! Żeby mnie pojmać? Czy mówisz to, aby mnie pocieszyć? Mam się znowu pozwolić ścigać, kiedy tu nastręcza mi się najlepsza sposobność do wykonania moich zamiarów?

- Tu nic nie uzyskasz, a podczas jazdy do naszej wsi nie narazisz się na najmniejsze niebezpieczeństwo.

- Ale skoro nas dopędzą, niebezpieczeństwo będzie tak wielkie, że większego już być nie może.

- Ależ oni nas nie dościgną, gdyż oddalimy się od nich tak, że będziemy zupełnie bezpieczni. Odjedziemy natychmiast, a oni mogą ruszyć za nami dopiero wówczas, gdy zauważą, że nas już nie ma. Nie nastąpi to przed jutrzejszym południem.

- Wracać, i to zaraz? Nie godzę się na to. Jak przyjmie to Tangua, skoro się dowie, że porzuciłeś te wszystkie korzyści, jakie tu miałeś w ręku, choć nic cię do tego nie zmuszało? Rozważ to dobrze!

Wódz nie odezwał się ani słowem na to ostrzeżenie; widocznie zrobiło na nim wrażenie. Nie uszło to uwagi Santera,

toteż mówił dalej:

- Tak, położenie nasze tutaj jest tak korzystne, że twój nowy plan nie może nam przynieść nic lepszego. Naszym jedynym zadaniem jest tylko odwrócić pułapkę, by Apacze sami w nią wpadli.

- Uff! Jak mamy to uczynić?

- Zaatakujemy oba oddziały, które postanowiły nas zamknąć w parowie, jeden po drugim, i nie dopuścimy do przeprowadzenia ich zamiarów.

- W takim razie trzeba by wpierw pokonać oddział Old Shatterhanda. Co ty na to?

- Zgadzam się.

- A więc jutro rano miniemy ich i będziemy udawać, że nie wiemy, iż nas gonią.

- Nie, nie potrzeba tak długo czekać. Zniszczymy ich już dzisiaj.

- Uff! Niech mój biały brat powie, jak mamy to zrobić.

- To takie proste i łatwe, że właściwie nie ma co tłumaczyć! Znam dokładnie miejsce, w którym znajduje się Old Shatterhand ze swoimi ludźmi, i zaprowadzę was tam. Oczy Keiowehów są przyzwyczajone do ciemności, a ruchy ich podobne do ruchów węża, którego się nie słyszy, gdy pełznie po mchu leśnym. Osaczymy tych trzech białych wraz z ich Apaczami i na dany znak wpadniemy na nich. Nie ujdzie nam żaden. Zakłujemy ich, zanim zdołają pomyśleć o obronie.

- Uff, uff, uff! - odezwało się potwierdzająco kilku słuchaczy. Plan Santera widocznie im się podobał.

Ale dowódca nie załatwił się z tym tak prędko i rzekł po krótkiej chwili namysłu:

- To się istotnie może udać, jeśli będziemy ostrożni.

- Nie może, lecz musi się udać. Najważniejsze - otoczyć ich niedosłyszalnie, a to nie będzie trudne. Potem kilka pewnych pchnięć nożem i sprawa załatwiona. Łup, zdobyty na nich, należy do was, ja nic nie żądam. Potem zabierzemy się do Winnetou.

- Także jeszcze tej nocy?

- Nie, nad ranem. Jego osoba jest dla mnie tak cenna, że muszę go mieć na oku podczas walki, a w nocy jest to niemożliwe. Zrobimy tak jak Apacze, to znaczy rozdzielimy się. Jedną połowę wprowadzę jeszcze nocą do parowu, w którym nas miano zamknąć. Oddział ten pozostanie tam aż do świtu i ruszy potem dalej. U wylotu uderzy nań Winnetou, sądząc, że Old Shatterhand znajduje się na jego tyłach. Drugi oddział uda się ze mną o świcie tą drogą, którą Old Shatterhand wrócił w dolinę; wiem na pewno, że ją odnajdę. Jestem przekonany, że z początku prowadzi ona prosto przez las, a potem dokoła u stóp góry aż do wylotu parowu, który obsadził Winnetou ze swymi wojownikami. Winnetou całą swą uwagę zwróci na wnętrze parowu, zobaczy nasz pierwszy oddział, ale nie spostrzeże, że się zbliżamy do niego także od tyłu. Zostanie więc zamknięty tak jak chciał nas zamknąć, a mając z sobą ledwie piętnastu wojowników lub niewielu ponadto, będzie musiał się poddać, jeśli nie zechce zgubić siebie i swoich ludzi. Taki jest mój plan.

- Jeśli plan da się tak wykonać, jak mój brat przedstawił, to jest dobry.

- Więc zgadzasz się nań?

- Tak. Chcę dostać Winnetou żywcem, aby go przyprowadzić wodzowi, a przez twój plan możemy to osiągnąć nie czekając dłużej.

- A zatem nie zwlekajmy!

- Otoczyć Old Shatterhanda w ciemnym lesie, tak żeby tego nie zauważył, będzie bardzo trudno. Wybiorę do tego wojowników, którzy i w nocy mają bystry wzrok i potrafią się cicho skradać.

Zaczął wymieniać ich nazwiska. Był więc dla mnie najwyższy czas do powrotu. Gdybym się dał wyprzedzić Keiowehom, nie zdołałbym ostrzec swoich ludzi. Zsunąłem się więc z wyższego kamienia na niższy, stamtąd na ziemię i oddaliłem się chyłkiem z tego miejsca. Gdy znalazłem się poza wspomnianą powyżej kępą krzaków, wyszedłem z lasu na prerię i przy dostatecznym świetle gwiazd pobiegłem przez dolinę ku górze, dopóki nie znalazłem się na równoległej linii z towarzyszami. Tam

wszedłem znowu w las i dostałem się do nich. Oczekiwali mnie w wielkim napięciu.

- Kto idzie? - zapytał Dick Stone słysząc moje kroki. - Czy to wy, sir?

- Tak - odpowiedziałem.

- Gdzie bawiliście tak długo? Prawda, że był tu jakiś drab? Pewnie Keioweh, który, skradając się gdzieś, natknął się na nas?

- Nie, to był Santer.

- Do stu piorunów! On? I myśmy go nie wytropili? Ten łotr wpada nam w ręce, a my go nie chwytamy! Nie do wiary!

- Zaszły jeszcze gorsze rzeczy, ale nie mam teraz czasu na to, by wam opowiadać, gdyż musimy stąd natychmiast uchodzić. Później dowiecie się o wszystkim.

- Uchodzić? Dlaczego?

- Keiowehowie zbliżają się, by na nas uderzyć.

- Chyba żartujecie!

- To nie żarty. Podsłuchałem ich właśnie. Chcą teraz załatwić się z nami, a rano napaść na Winnetou. Znają nasz plan. Dlatego ruszajmy prędko z tego miejsca!

- Dokąd?

- Do Winnetou!

- Środkiem lasu? W ciemności? Potłuczemy sobie głowy i nazbieramy siniaków!

- Weźcie oczy do ręki, i naprzód!

Przeprawa nocą przez bezdrożną puszczę jest dla całości twarzy ludzkich wielce niebezpieczna. Musieliśmy, stosownie do mego wezwania, ”wziąć oczy do ręki”, czyli zdać się bardziej na zmysł dotyku niż wzroku. Dwóch z nas, macając rękami, szło naprzód, a reszta w ten sposób, że każdy następny trzymał się idącego przed nim. Upłynęła godzina, zanim wydostaliśmy się z lasu, przy czym najtrudniej było zachować właściwy kierunek. W czystym polu szliśmy już wygodniej i prędzej, okrążyliśmy górę i zbliżyliśmy się do parowu, gdzie u wylotu obozował Winnetou.

Od strony, z której ukazaliśmy się teraz, Winnetou nie miał się czego obawiać, mimo to postawił straż, która przyjęła nas

donośnym pytaniem, kim jesteśmy. Odpowiedziałem tak samo głośno, Apacze poznali mój głos i zerwali się z ziemi.

- To mój brat Old Shatterhand? - zapytał Winnetou ze zdziwieniem. - W takim razie stało się coś ważnego. Czekaliśmy na Keiowehów, ale na próżno.

- Chcą nadejść dopiero jutro, i to nie tylko przez parów, lecz i z tej strony, aby was zniszczyć.

- Uff! Aby tego dokonać, musieliby wpierw zwyciężyć ciebie, a w ogóle wiedzieć, co zamierzamy.

- Oni to wiedzą.

- Nie może być!

- Wiedzą istotnie. Santer był podczas pogrzebu na górze przy grobach i słyszał wszystko, co mi powiedziałeś, kiedy byliśmy sami.

Twarz Winnetou tonęła w ciemnościach, nie mogłem więc rozpoznać, jakie wrażenie zrobiła na nim ta wiadomość, ale milczenie, które nastąpiło po moich słowach, było dla mnie miarą jego zdumienia. Potem usiadł z powrotem, poprosił mnie, żebym zajął miejsce obok niego i rzekł:

- Skoro to wiesz, musiałeś go także podsłuchać jak on nas.

- Oczywiście.

- A więc nasze rachuby spełzły na niczym. Opowiedz, co się stało!

Poszedłem za tym wezwaniem. Apacze cisnęli się do nas, żeby nie uronić ani słowa, i przerywali opowiadanie częstymi okrzykami podziwu: ”uff!”, Winnetou jednak milczał aż do końca, a potem spytał:

- Mój brat Old Shatterhand uważał w tym wypadku za najlepsze opuścić swój posterunek?

- Tak. Pozostawały jeszcze, co prawda, dwa sposoby działania, ale ani jeden, ani drugi nie doprowadziłby do celu tak pewnie, jak tego wymaga nasze położenie,

- Jakież to sposoby?

- Mogliśmy się cofnąć kawałek i zaczekać tam do rana.

- Postąpilibyście fałszywie, gdyż rano mielibyście przeciwko sobie pięćdziesięciu wrogów, a nasz plan byłby i tak

udaremniony. A drugi sposób?

- Mogliśmy pozostać na stanowisku. Nawet kiedy mi to wpadło na myśl, przyszła mi ochota to wykonać. Santer miał przyprowadzić do nas Keiowehów, skradałby się więc jako pierwszy i zjawiłby się u nas przed wszystkimi. Uważając bardzo pilnie, posłyszałbym go, potem ogłuszył pięścią i wyniósł się stamtąd z nim razem.

- Mój brat jest śmiałym wojownikiem ale takie zuchwalstwo mogłoby się stać dla niego zgubą. Z Santerem na plecach nie potrafiłbyś się poruszać zbyt prędko, a wtedy pokonano by cię i zabito.

- Tego się też spodziewałem, a przy tym nie miałem pewności, czy Santer istotnie pójdzie jako pierwszy. Mógł tylko z pewnej odległości wskazać Keiowehom, gdzie nas szukać, i pozostawić im wykonanie napadu. Dlatego pomyślałem, że najlepiej zrobię, jeśli udam się do ciebie.

- Postąpiłeś bardzo słusznie. Mój brat działa zawsze tak, jakbym ja działał, gdybym się znalazł na jego miejscu.

- Powiedziałem też sobie, że trzeba pójść do ciebie, by się porozumieć, co dalej należy czynić.

- Co czynić! Jak myśli mój brat Old Shatterhand?

- Nie można nic postanowić, zanim się nie dowiemy, co przedsięwzięli Keiowehowie zauważywszy, że nas już nie ma.

- Czy musimy się o tym dowiadywać? Czy nie da się tego odgadnąć?

- Tak, odgadnąć można, ale zgadując nie uzyskuje się takiej pewności, jak wtedy gdy się widzi i słyszy. Zresztą wiadomo, że człowiek łatwo się myli.

- W tym wypadku nie. Keiowehowie nie są dziećmi, lecz dorosłymi wojownikami. Ze wszystkiego, co możliwe, zrobią rzecz najmądrzejszą, a taka może być tylko jedna.

- Odjadą do swojej wsi?

- Tak. Nie zastawszy ciebie, pojmą, że zamiaru Santera nie wykonają, dowódca wróci więc do swego uprzedniego planu. Jestem przekonany, że już tutaj na nas nie uderzą.

- Santer będzie próbował namówić ich do tego.

- Niewątpliwie, ale nikt go nie posłucha i odjadą.

- A my? Co my zrobimy? Czy pojedziemy za nimi, jak się tego spodziewają?

- Albo ich wyprzedzimy!

- Dobrze! Będąc przed nimi, możemy ich niespodzianie zaatakować.

- Tak, moglibyśmy, ale mam plan znacznie lepszy. Musimy pojmać Santera i uwolnić Sama Hawkensa. Droga nasza wiedzie zatem do wsi Tanguy, gdzie znajduje się Sam Hawkens.

Ale nie musi to być ta sama droga, którą obiorą Keiowehowie. Tej właśnie powinniśmy unikać, ponieważ na niej nas oczekują. Tą drogą nie moglibyśmy się posuwać niepostrzeżenie, a to jest konieczne do wykonania naszego zamiaru.

- Czy mój brat Winnetou zna wieś Tanguy?

- Tak.

- I wiesz dokładnie, gdzie leży?

- Tak dokładnie, jak znam położenie własnego puebla. Leży nad Salt Fork, dopływem północnego ramienia Red River.

- A zatem na południowy wschód stąd?

- Tak.

- Więc będą nas oczekiwać z północnego zachodu, a my nadejdziemy od strony przeciwnej, czyli od południowego wschodu?

- Tego właśnie i ja chcę. Mój brat Old Shatterhand ma zawsze to samo na myśli, co ja. Sprawdzają się słowa, które powiedział mój ojciec Inczu-czuna, kiedy piliśmy krew braterstwa: ”Dusza żyje w krwi. Dusze tych dwu młodych wojowników przejdą w siebie nawzajem tak, że utworzą jedną duszę. Co potem pomyśli Old Shatterhand, niechaj będzie myślą Winnetou, a co Winnetou zechce, niechaj będzie także wolą Old Shatterhanda”. Tak powiedział i tak się też stało. Oko jego spojrzało w nasze serca i zobaczył naszą przyszłość. Ucieszy go to także w odwiecznych ostępach i wzmoże jego szczęśliwość, że przepowiednia się spełniła. Howgh!

Zamilkł ze wzruszenia, a my wszyscy, znajdujący się przy nim, uczciliśmy to milczenie. Był to wymowny wyraz czci

okazanej ojcu przez syna. Dopiero po kilku minutach chrząknął, jak gdyby wstydząc się wzruszenia, które go opanowało, i mówił dalej:

- Tak, udamy się do wsi Tanguy, ale nie prostą, najkrótszą drogą, którą pojadą Keiowehowie, lecz okrążymy ich terytorium i przybędziemy z drugiej strony. Tam nie będzie straży i łatwiej wykonamy nasz plan. Pytanie tylko, kiedy należy stąd wyruszyć. Co Old Shatterhand o tym myśli?

- Moglibyśmy odjechać zaraz; droga daleka, a im prędzej się wybierzemy, tym prędzej dotrzemy do celu. Ale nie radziłbym tego czynić.

- Czemu nie?

- Bo nie wiemy, kiedy Keiowehowie opuszczą tę strony.

- Prawdopodobnie jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Ja uważam to także za prawdopodobne, ale może zatrzymają się tu aż do jutra. Nie jest też pewne, że nas nie zaatakują. W każdym razie odchodząc musimy się przygotować na to, że odnajdą nasze ślady i podążą za nami. Wówczas zmiarkują, co zamierzamy, i udaremnią wszystko.

- Mój brat znów wypowiada moje myśli. Musimy pozostać tutaj, dopóki Keiowehowie nie odjadą, dopiero wtedy będziemy bezpieczni. Ale w tym miejscu nie możemy spędzić nocy, bo trzeba się liczyć z możliwością ich ataku. A to nie powinno im się udać.

- Wobec tego musimy się przenieść na miejsce, z którego moglibyśmy widzieć ten wylot parowu, skoro tylko dzień nastanie.

- Znam takie miejsce. Niech moi bracia wezmą konie za cugle i ruszą za mną!

- Zabraliśmy konie, które pasły się w pobliżu, i udaliśmy się za Winnetou na prerię. Po kilkuset krokach dotarliśmy do większej grupy drzew, za którą zatrzymaliśmy się. Tu rozłożyliśmy się obozem pewni, że Keiowehowie nie zdołają nas znaleźć. Rano mogliśmy stąd dojrzeć wyraźnie cały parów od jednego końca do drugiego.

Ponieważ noc była równie chłodna jak poprzednie, zaczekałem, dopóki się mój koń nie położył, i przytuliłem się do niego, żeby mnie rozgrzewał. Zwierzę leżało spokojnie, jak gdyby wiedziało, jakiej od niego żądam przysługi, tak że do rana tylko raz się zbudziłem. Kiedy się zrobiło jasno, nie wyszliśmy od razu spoza drzew, lecz obserwowaliśmy parów przeszło godzinę. Nic się tam nie poruszyło, postanowiliśmy więc poszukać Keiowehów. Musieliśmy być ostrożni i zbliżać się do nich ukradkiem. To wymagało dużo czasu, dlatego zaproponowałem Winnetou:

- Keiowehowie przybyli do Nugget-tsil przez prerię i wrócą pewnie tą samą drogą. Po cóż więc szukać ich mozolnie? Jeśli objedziemy górę aż do miejsca, na którym zobaczył ich wczoraj twój zwiadowca, na pewno się przekonamy, czy są tam jeszcze, czy nie. Po co tracić tyle czasu, skoro można to osiągnąć prędzej i z mniejszym trudem?

- Mój brat ma słuszność, postąpimy wedle jego słów. Wsiedliśmy na konie i pojechaliśmy dokoła gór łukiem zwróconym ku południowi, a wygiętym ku północy. Była to w odwrotnym kierunku ta droga, którą jechali Apacze szukając śladów Santera po jego ucieczce. Kiedyśmy wyjechali na prerię położoną na południe od Nugget-tsil, sprawdziło się moje przewidywanie: ujrzeliśmy bowiem dwa wielkie i wyraźne tropy - wczorajszy wiódł do doliny, a dzisiejszy prowadził z doliny. Nie ulegało więc wątpliwości, że Keiowehowie stąd wyruszyli. Mimo to wjechaliśmy w dolinę i zbadaliśmy ją, dopóki i dalsze ślady nie przekonały nas, że nieprzyjaciele ją opuścili.

Ruszyliśmy teraz ich nowym tropem, który prowadził od Nugget-tsil, łączył się z dawnym i był tak wyraźny, iż nie podobna było nie poznać, że chcieli go nam umyślnie pokazać. Życzyli sobie, żebyśmy poszli za nimi, dlatego zadawali sobie trud, by odcisnąć ślady tam nawet, gdzie w innym wypadku by ich nie pozostawili. Na ustach Winnetou zaigrał uśmiech. - Ci Keiowehowie - rzekł - znają nas przecież. Powinni by właśnie zacierać swe ślady, które zresztą i tak znaleźlibyśmy. To, że tego

nie czynią, musi w nas wzbudzić podejrzenie. Chcą być sprytni, a zachowują się, jakby nie mieli odrobiny oleju w głowach. Powiedział to umyślnie głośno, żeby usłyszał go pojmany Keioweh, którego oczywiście woziliśmy wciąż jeszcze ze sobą. Zwracając się wprost do niego, dodał: - Ty umrzesz prawdopodobnie, gdyż zabijemy cię, jeśli twoi wojownicy nie uwolnią Sama Hawkensa lub jeśli się dowiemy, że go męczono. Gdyby się to jednak nie stało, gdybyśmy cię więc puścili wolno, powiedz swym wojownikom, że postępują jak chłopcy, którzy się niczego nie nauczyli, i którzy są śmieszni, gdy się chcą zachowywać jak dorośli. Nam ani przez myśl nie przejdzie jechać dalej tym śladem.

Po tych słowach zboczył z tropu wiodącego na południowy wschód i zwrócił się wprost ku wschodowi. Znajdowaliśmy się między dorzeczem południowego Kanadianu a dorzeczem północnego ramienia Red River, do którego Winnetou miał zamiar się dostać. Konie tych Apaczów, którzy wraz ze mną ścigali Santera, były wyczerpane i dlatego jazda nasza nie była tak szybka, jak sobie tego życzyliśmy. W dodatku kończyły się nasze zapasy żywności i zachodziła obawa, że będziemy skazani na jedzenie tylko tego, co upolujemy codziennie. Byłoby to dla nas podwójnie niekorzystne, gdyż po pierwsze, tracilibyśmy czas, z którego nie mogliśmy poświęcić ani godziny, a po wtóre, nie dałoby się podczas polowania zachować koniecznej ostrożności, zostawialibyśmy bowiem za sobą ślady, czego właśnie należało unikać.

Szczęściem napotkaliśmy pod wieczór małą gromadkę bizonów. Były to ostatki wielkich stad, które ukończyły już swą wędrówkę na południe. Zabiliśmy dwie krowy i zaopatrzyliśmy się w mięso na cały tydzień. Teraz mogliśmy już myśleć tylko o właściwym celu naszej podróży. Nazajutrz osiągnęliśmy północne ramię Red River, ubogiej wprawdzie w wodę, ale ujętej w zielone brzegi, gdy dotychczas jechaliśmy wciąż po zeschłej trawie. Mieliśmy więc odtąd paszę dla koni.

Salt Fork płynie z zachodu i wpada z prawej strony do Red River, tworząc w ten sposób kąt, w którym leżała wówczas wieś

wodza Keiowehów - Tanguy. Znajdowaliśmy się po drugiej stronie ”Czerwonej Rzeki” i mogliśmy liczyć na to, że nikt nas nie spostrzeże. Mimo to, dotarłszy do okolicy ujścia Salt Fork, objechaliśmy je łukiem i zbliżyliśmy się do Red River o pół dnia drogi poniżej ujścia. Z tych samych względów ostrożności poruszaliśmy się w nocy i rzekę zobaczyliśmy nad ranem, Znaleźliśmy się w ten sposób tam, gdzie zamierzaliśmy, to jest po przeciwnej stronie, niż spodziewali się nas Keiowehowie. Tu wyszukaliśmy sobie zakryte miejsce, aby wypocząć po nocnej jeździe. Tylko dla mnie i dla Winnetou nie było spoczynku, ponieważ wyszedł on na zwiady i prosił, żebym mu towarzyszył.

Dotychczasowa droga prowadziła w dół rzeki, a zwiady musiały się odbywać w odwrotnym kierunku, i to drugim brzegiem. Musieliśmy zatem przeprawić się przez rzekę. co zresztą nie przedstawiałoby trudności nawet przy wyższym stanie wody. Oczywiście nie rozpoczęliśmy przeprawy w pobliżu naszego obozu, bo przez to można byłoby go łatwo odkryć, gdyby ktoś później natrafił na nasz trop i poszedł nim z jakiegokolwiek powodu. Pojechaliśmy jeszcze kawałek w dół, aż przybyliśmy nad dopływ rzeki Red River. Tu dopiero zmusiliśmy konie do wejścia do wody i ruszyliśmy pod prąd. W ten sposób zniknęły nasze ślady. W pół godziny potem opuściliśmy rzeczkę i zwróciliśmy konie na prerię, aby dostać się znów do Red River w miejscu znajdującym się o kilka mil angielskich powyżej naszego obozu.

To okrążanie i ukrywanie śladów zabrało nam sporo czasu, ale trud na to zużyty został wynagrodzony szybciej, niż mogliśmy się tego spodziewać. Oto będąc jeszcze na prerii, w pewnej odległości od rzeki, ujrzeliśmy dwóch jeźdźców prowadzących z sobą około tuzina jucznych mułów. Nie jechali wprost ku nam, lecz kierunek ich drogi wiódł nieco na prawo obok naszego. Jeden z nich otwierał, a drugi zamykał pochód karawany. Twarzy ich nie mogliśmy rozpoznać, odzież jednak wskazywała na to, że to biali.

Oni zobaczyli nas także i zatrzymali się. Gdybyśmy ich minęli obojętnie, zwróciłoby to ich uwagę, poza tym zagadnąwszy ich mogliśmy się czegoś dowiedzieć. Nie obawialiśmy się zaczepki z ich strony, a szukać naszych śladów, by się dowiedzieć, skąd przybywamy, także by im na myśl nie przyszło, bo na rzeczkę mogli się natknąć dużo dalej, na północ od miejsca, w którym ją opuściliśmy. Toteż zapytałem Winnetou:

- Czy zbliżymy się do nich?

- Tak - odrzekł. - To blade twarze, kupcy prowadzący handel zamienny z Keiowehami. Ale nie powinni wiedzieć, kim jesteśmy.

- Dobrze! Ja jestem niższym urzędnikiem Agencji i udaję się w tym charakterze do Keiowehów, nie znam jednak ich języka i dlatego zabrałem cię z sobą. Ty jesteś Indianinem Pawnee. - Tak będzie dobrze. Niechaj mój brat rozmówi się z bladymi twarzami. Podjechaliśmy ku nim, a oni zwyczajem Dzikiego Zachodu wzięli strzelby w ręce i czekali na nas z zaciekawieniem.

- Odłóżcie strzelby, panowie! - rzekłem, gdyśmy się do nich zbliżyli. - Nie mamy zamiaru was ukąsić.

- To by wam zresztą nie wyszło na dobre - odpowiedział jeden z nich - bo my także umiemy kąsać. Strzelby ujęliśmy nie ze strachu, lecz ponieważ taki jest zwyczaj, a wy nam podejrzanie wyglądacie.

- Podejrzanie? Jak to?

- No, jeżeli dwaj dżentelmeni, jeden biały, a jeden czerwony, sami jeżdżą po prerii, to są zwykle łotrzykami. Nadto macie indiańskie szaty. Dziwiłbym się, gdybyście byli uczciwymi ludźmi!

- Dziękuję za tę szczerość! Zawsze to dobrze wiedzieć, co inni o nas myślą. Zapewniam was jednak, że się mylicie.

- Być może. Nie macie twarzy wisielca, to prawda. Jest mi zresztą obojętne, czy was prędzej, czy później gdzieś powieszą, gdyż to wam, a nie mnie założą stryczek na szyję. Może będziecie łaskawi powiedzieć, skąd przybywacie?

- Bardzo chętnie. Nie mamy powodu tego ukrywać. Jedziemy od Falze Washita.
- Tak! A dokąd?
- Po trosze do Keiowehów.
- Do których?
- Do plemienia, którym dowodzi Tangua,
- To niedaleko.
- Wiem o tym. Wieś leży pomiędzy rzekami Red River a Salt Fork.
- Słusznie! Ale jeśli nie pogardzicie dobrą radą, to zawróćcie czym prędzej i nie pokazujcie się nikomu z Keiowehów.
- Dlaczego?
- Bo to zły zwyczaj dawać się zabijać czerwonoskórym.
- Pshaw! Nie mam tego zwyczaju i nie zamierzam tego czynić również w przyszłości.
- Co się kiedyś stanie, tego nikt nie wie. Przestrzegam was z dobrego serca. Powód jest ważny. Wracamy właśnie od Tanguy. Żywi on chwalebny zamiar skręcenia karku każdemu białemu i każdemu czerwonoskóremu nie-Keiowehowi, który mu wpadnie w ręce.
- W takim razie jest bardzo życzliwym dżentelmenem! Czy sam wam to powiedział?
- Oczywiście, i to kilkakrotnie.
- Figlarz!
- Oho! On wcale nie żartował!
- Nie żartował? Rzeczywiście? Jakimże więc sposobem mam przyjemność oglądać was w dobrym zdrowiu? Tangua chce pozbawić życia każdego białego, jak twierdzicie, i każdego czerwonoskórego. Uważałem was także za białych. A może wy jesteście Murzynami?
- Nie róbcie głupich dowcipów! Nam on nic nie zrobi, bo my jesteśmy wyjątkiem, jako jego starzy, dobrzy znajomi. Byliśmy już wielokrotnie w jego wsi. Jesteśmy handlarzami, jak odgadliście zapewne, i to, rzetelnymi handlarzami, a nie opryszkami, którzy oszukują czerwonoskórych na towarze i nie śmieją im się potem pokazać. Dlatego przyjmują nas wszędzie

chętnie. Wszak czerwonoskórzy potrzebują naszych towarów, nie są więc tak głupi, żeby się rzetelnemu człowiekowi dobierać do gardła. Ale was wykończą na pewno. Wierzcie mi.

- Nie dam się wykończyć, gdyż mam także wobec nich uczciwe zamiary, a udaję się teraz do nich z dobrą nowiną.

- Tak? Więc powiedzcie nam już raz, kim jesteście i czego od nich chcecie.

- Jestem z Agencji.

- Agencji? Słuchajcie! To jeszcze gorzej! Nie bierzcie mi tego za złe, ale oświadczam wam, ze względu na was samych, że czerwonoskórzy są bardzo źle usposobieni względem agentów, bo... bo...

Zawahał się, więc dokończyłem sam:

- Bo tyle razy ich oszukano. O tym pewnie myślicie, a ja przyznaję wam słuszność.

- Bardzo mnie cieszą wasze własne słowa, że wy, agenci, jesteście łajdakami - zaśmiał się.

- Keiowehów właśnie okpiono strasznie w ostatnich dostawach. Jeżeli czujecie ochotę do męczeńskiej śmierci, to jedźcie tam. Zaraz się wami serdecznie zajmą.

- Zrzekam się tego, sir! Być może, iż Keiowehowie z początku nie przyjmą mnie dobrze, ale spodziewam się, że się ucieszą, gdy im powiem, po co do nich przybywam. Doprowadziłem właśnie do skutku to, że popełniony błąd będzie naprawiony. Przez dodatkową dostawę otrzymają Keiowehowie, co im się należy, a ja zamierzam wyjaśnić, gdzie mogą odebrać towar.

- Do stu piorunów! To z was jakiś biały kruk! - zawołał zdumiony. - W takim razie nie zrobią wam nic oczywiście. Ale po co zabraliście ze sobą czerwonoskórego?

- Bo nie znam dialektu Keiowehów. To tłumacz, Pawnejczyk, którego zna także Tangua.

- Well! Wobec tego wszystko jest w największym porządku i przestroga moja była zbyteczna, choć wywołana tym, że Tangua jest po prostu wściekły na wszystko, co nie jest Keiowehem.

- Dlaczego?

- Doznał w ostatnich czasach piekielnych przykrości. Apacze wpadli na jego terytorium i zabrali mu kilkaset koni. Ścigał ich oczywiście, ale został pobity, ponieważ mieli trzy razy więcej wojowników. Byłoby do tego nie doszło mimo ich przewagi liczebnej, gdyby nie towarzystwo kilku białych westmanów, którzy pomagali Apaczom. Jeden z tych ludzi spowodował wystrzałem kalectwo Tanguy. Nazywa się Old Shatterhand i najsilniejszego człowieka powala pięścią na ziemię. Ale nie wyjdzie mu to na dobre.

- Nie? Czy czerwonoskórzy zamierzają się zemścić?

- Naturalnie. Tanguy przestrzelono oba kolana, co dla wodza jest straszne! Pieni się z wściekłości i nie spocznie, dopóki tego Old Shatterhanda i Winnetou nie dostanie w swe ręce.

- Winnetou? Kto to?

- Młody wódz Apaczów, który z małą gromadką wojowników obozował o dwa dni drogi stąd. Biali są z nim, a oddział Keiowehów wyruszył naprzeciw, żeby zwabić ich do wsi.

- Czy ci biali i Apacze będą tak głupi, żeby wpaść w pułapkę?

- Prawdopodobnie. Tangua jest tego pewien i kazał obsadzić drogę, którą będą musieli nadejść. Ci ludzie są bezwarunkowo zgubieni. Mnie to oczywiście nie dotyczy, ale ponieważ chodzi też o białych, przeto zabrałem się stamtąd czym prędzej. Byłbym jeszcze zabawił kilka dni u Tanguy, ale przypatrywać się męczeniu białych, to mi nie odpowiada.

- A gdybyście spróbowali im dopomóc?

- Mimo najlepszych chęci nic bym nie wskórał. Po co mam zresztą pchać zdrowe palce do cudzego ognia? Utrzymuję, można powiedzieć, stosunki handlowe z Keiowehami i ani mi się śni szkodzić sobie ujmowaniem się za ich wrogami. Miałem dobre serce i podjąłem się małej próby, ale musiałem tego czym prędzej zaniechać, gdyż Tangua warknął na mnie jak wściekły pies łańcuchowy.

- Mogę to sobie wyobrazić, gdyż pora nie była odpowiednia, aby wstawiać się za jeszcze nie schwytanymi jeńcami. Powinniście byli zaczekać.

- O, jeden był już pojmany; jeden z ludzi Old Shatterhanda. Szczególny człowiek; śmiał się i zachowywał tak, jak gdyby mu wcale nie groziła śmierć.

- Widzieliście go?

- Widziałem, jak go sprowadzono i jak z godzinę leżał skrępowany na ziemi. Potem zabrano go na wyspę.

- Na wyspę? Służy ona za więzienie?

- Tak; leży na rzece Salt Fork, o kilka kroków od wsi, i Keiowehowie strzegą jej bardzo pilnie.

- Czy mówiliście z jeńcem?

- Kilka słów. Zapytałem go, czy życzy sobie jakiej przysługi. Na to on uśmiechnął się do mnie po przyjacielsku i powiedział, że czuje wielki apetyt na maślankę, oraz zapytał, czy nie pojechałbym do Cincinnati po jedną szklankę tego napoju. Zupełny błazen! Przestrzegłem go, że jego położenie jest wcale nie do śmiechu, on na to znów zachichotał i oświadczył, żebym się o niego nie troszczył, bo są inni ludzie, którzy się tym zajmą. Mimo to wstawiłem się za nim u wodza, ale mnie odpędził jak psa. Obchodzą się zresztą z jeńcem nieźle, gdyż Old Shatterhand trzyma u siebie pojmanego Keioweha jako zakładnika. Tylko Santer stara się białemu jeńcowi uprzykrzyć pozostającą mu jeszcze odrobinę życia.

- Santer? Nazwisko świadczyłoby, że to biały. Czy oprócz was byli jeszcze jacyś biali u Tanguy?

- Tylko ten Santer, wstrętny dla mnie osobnik. Przybył tam wczoraj z czerwonoskórymi, którzy zwabili Winnetou, i zabrał się zaraz do jeńca. Poznacie go także, gdy przyjedziecie do wsi.

- Czy wiecie, czego chce od wodza?

- Nie. Pozdrowiłem wprawdzie tego Santera, ale nie zważałem nań potem, gdyż wyraźnie nie podobała mu się moja obecność. Mogłem się dowiedzieć od czerwonoskórych, lecz nie pytałem. Nie pytam o to, co mnie nie obchodzi; to moja zasada, z którą jest mi w życiu bardzo wygodnie.

- Czy ten Santer jest gościem wodza, czy też ma osobny namiot?

- Wyznaczono mu namiot, ale nie tuż obok namiotu wodza, co jest zwykłym przywilejem chętnie widzianych gości, lecz starą budę skórzaną na końcu wsi. Widocznie nie jest w szczególnych łaskach u wodza.

- Czy nie wiecie, jak się nazywa biały jeniec?

- Sam Hawkens, sławny podobno westman, pomimo swego błazeństwa. Żałuję, że go sprzątną, ale nic na to nie poradzę. Może wódz prędzej was posłucha niż mnie, jeśli wstawicie się za jeńcem dobrym słowem.

- Spróbuję. Czy potrafilibyście podać mi dokładniej położenie namiotu, w którym mieszka Santer?

- Na co? Zobaczycie sami, gdy tam przybędziecie. Czwarty czy piąty w górę rzeki. Wątpię, czy się wam ten człowiek spodoba; ma twarz wisielca. Strzeżcie się go! Mimo swego urzędu jesteście jeszcze bardzo młody. Nie bierzcie mi za złe dobrej rady! Ale muszę już jechać dalej. Bądźcie zdrowi i wracajcie cało!

Czy miałem go zatrzymać, by się dowiedzieć więcej? W takim razie należało mu powiedzieć, kim jesteśmy, a to byłoby zbyt niebezpieczne. Winnetou był także tego zdania, gdyż ruszył dalej i rzeki do mnie stłumionym głosem:

- Już dość. Niech mój brat dalej nie pyta, gdyż to zdziwiłoby tych ludzi, którzy są przyjaciółmi Keiowehów.

- Mnie się zdaje, że i tak osiągnęliśmy dużo. Wiemy dość dokładnie, gdzie siedzi Hawkens i gdzie mieszka Santer, i znajdziemy obydwóch. Jak długo jeszcze będziemy jechali?

- Dopóki ci dwaj handlarze nie znikną nam z oczu.

Potem wrócimy do obozu. Spotkanie z nimi przyniosło nam wielką korzyść. Aby wybadać to wszystko, co od nich usłyszeliśmy, musielibyśmy się narazić na wielkie niebezpieczeństwo. Wiemy już, jak sprawy stoją, i dziś wieczorem zakradniemy się do wsi Keiowehów. Obaj handlarze zniknęli nam zwolna z oczu. Musieli jechać powoli ze względu na owe juczne zwierzęta. Przekonałem się później, jakim to się stało dla nich nieszczęściem. Dowiedziałem się również, że wzięli od Keiowehów na zamianę rozmaite futerka. Ten, który

mówił z nami, był właściwym handlarzem, a drugi tylko pomocnikiem. Ponieważ nie było ich już widać i nie mogli nas dostrzec, wróciliśmy tą samą drogą do obozu starając się zatrzeć za sobą ślady.

Dick Stone i Will Parker, bardzo zadowoleni z wyniku naszych zwiadów, ucieszyli się szczególnie tym, że ich kochany Sam miał się stosunkowo dobrze i że nie stracił humoru. Prosili nas, żebyśmy ich wieczorem wzięli ze sobą, ale Winnetou odmówił tymi słowy:

- Niech dzisiaj moi biali bracia zostaną tutaj, gdyż tym razem jeszcze nie zdołamy uwolnić Sama.

Może uda się to dopiero jutro, a wy nam przy tym na pewno pomożecie. Kryjówkę mieliśmy dość dobrą, ale przypadek mógł sprowadzić jakiegoś Keioweha na brzeg, na którym rozłożyliśmy się obozem. Toteż Winnetou rozporządził:

- Znam wyspę położoną trochę dalej w dół rzeki. Rosną na niej drzewa i krzaki, za którymi się lepiej ukryjemy. Tam nikt nie przyjdzie. Niechaj moi bracia przeniosą się ze mną na tę wyspę.

Opuściliśmy tedy obóz, pojechaliśmy w dół rzeki, dopóki nie zobaczyliśmy wyspy. Woda tu była głęboka i płynęła wartko, ale przedostaliśmy się na koniach dość łatwo. Okazało się, że Winnetou miał słuszność, wyspa bowiem była wielka i dostatecznie zalesiona, by użyczyć bezpieczeństwa i ludziom, i koniom.

Urządziłem sobie legowisko w zaroślach i ułożyłem się do snu przewidując, że następnej nocy nie będzie można nawet pomyśleć o spaniu. Nie dla braku czasu lub sposobności, lecz z powodu… wody.

Sam Hawkens znajdował się na małej wysepce. Chciałem się do niej podkraść, musiałbym więc wejść do wody. Zresztą jeszcze przedtem, aby się dostać wraz z Winnetou z naszej wyspy na brzeg rzeki, trzeba było ją przepłynąć, czyli przemoczyć doszczętnie ubranie. Była to już połowa grudnia, a woda zimna. Któż by mógł wtedy spać w przemoczonym ubraniu? Gdy się ściemniło, zbudzono nas. Czas było ruszać do

wsi. Zdjęliśmy część odzieży i zostawiliśmy wszystko, co mieliśmy w kieszeniach. Z broni wzięliśmy z sobą tylko noże. Potem wskoczyliśmy do rzeki i przepłynęliśmy na prawy brzeg. Idąc wzdłuż niego, mogliśmy się dostać nad Salt Fork. Szliśmy z godzinę tym brzegiem przeciw prądowi i dostaliśmy się na miejsce, gdzie Salt Fork uchodzi do Red River. O kilkaset kroków dalej na lewo ujrzeliśmy ogniska wsi. Leżała na lewym brzegu, a my znajdowaliśmy się na prawym. Musieliśmy się więc przeprawić.

Uczyniliśmy to jednak nie od razu. Pozostaliśmy na prawym brzegu i puściliśmy się wzdłuż wsi, aby się jej przyjrzeć. Słowo ”wieś” nie ma tu europejskiego znaczenia, nie określa kompleksu domów otoczonych ogrodami i polami. Z ogrodów i pól nie było tu ani śladu, a mieszkania tworzyły namioty z grubej skóry. W lecie mieszkają czerwonoskórzy zwykle w płóciennych.

Prawie przed każdym namiotem płonęło ognisko, przy którym siedzieli mieszkańcy grzejąc się i spożywając zwierzynę. Największy namiot stał mniej więcej w środku wsi. Wejście do niego zdobiły włócznie, obwieszone piórami i szczególnego kształtu ”lekami”. Przy ognisku siedział wódz Tangua z młodym, osiemnastoletnim może Indianinem i dwoma chłopcami w wieku lat mniej więcej dwunastu i czternastu.

- Ci trzej to jego synowie - rzekł Winnetou. - Najstarszy jest jego ulubieńcem i zostanie kiedyś dzielnym wojownikiem. Biega tak szybko, że nazwano go Pida, co znaczy ”Jeleń”. Pośród namiotów krzątały się kobiety, ale u Indian nie wolno żonom i córkom jeść razem z mężami i synami. Jadają one później i muszą się zadowolić tym, co zostanie, pomimo że wykonują wszelkie, nawet najtrudniejsze roboty.

Szukałem wyspy. Niebo było czarne i pełne chmur, tak że nie widać było ani jednej gwiazdy, tylko ogniska umożliwiały nam rozpoznanie trzech wysp położonych w niewielkich odstępach przy brzegu.

- Na której może się znajdować Sam? - zapytałem Winnetou.

- Mój brat musi sobie przypomnieć słowa handlarza - odrzekł Apacz.

- Mówił, że ta wyspa jest blisko brzegu. Pierwsza i trzecia leżą dalej, a więc będzie to druga, środkowa.

- Prawdopodobnie. Tu na prawo jest koniec wsi. W czwartym lub piątym namiocie mieszka Santer. Teraz się rozdzielimy. Ja muszę pojmać Santera, mordercę mego ojca i siostry, a Sam jest bardziej twoim towarzyszem niż moim, dlatego ty go poszukaj.

- A gdzie się potem spotkamy?

- Tu, gdzie się rozchodzimy.

- Jeśli się nie stanie nic nadzwyczajnego! Bo gdyby którego z nas spostrzeżono przypadkiem,

będzie musiał uchodzić, oznaczmy więc także i inne miejsce, bardziej oddalone od wsi.

- Przedsięwzięcie nasze jest w ogóle niełatwe, a twoje zadanie jeszcze trudniejsze od mego, bo musisz popłynąć ku wyspie i dozorcy mogą cię zauważyć. Ciebie więc łatwiej spostrzegą niż mnie. Gdyby cię przy tym schwytano, skoczę ci na pomoc. Jeśli jednak uda ci się ujść, to powrócisz do naszej wyspy, okrążając ją, żeby ukryć przed nimi kierunek ucieczki.

- To jutro rano zobaczą ślady!

- Nie, gdyż wkrótce spadnie deszcz i zatrze ślady.

- Dobrze! Gdyby tobie trafiło się nieszczęście, to ja cię odbiję.

- To się nie zdarzy, jeśli nie zajdzie jakiś zły przypadek. Spojrzyj na drugą stronę! Przed piątą chatą nie pali się ognisko. Niewątpliwie należy ona do Santera i on tam śpi, więc będzie go łatwo schwytać.

Po tych słowach odszedł na prawo w dół rzeki, aby przepłynąć poza obrębem wsi na drugą stronę i skrycie podejść do namiotów.

Ja musiałem postąpić inaczej. Namiot, do którego zdążałem, znajdował się w blasku ognisk. Nie podobna było pokazać się na powierzchni wody, więc musiałem się dostać na wyspę, nurkując. Nie mogłem płynąć na wprost, bo choć ufałem, że dopłynę pod wodą na drugą stronę, ale co byłoby, gdybym się tam wynurzył akurat przed strażnikiem? Nie. Trzeba było

najpierw dotrzeć do pierwszej wyspy, prawdopodobnie nie zamieszkanej, a odległej o jakich dwieście metrów od drugiej, środkowej, do której właśnie zmierzałem. Przypuszczałem, że z tej pierwszej wyspy rozpatrzę się, jaki jest dostęp do drugiej i co się na niej dzieje. Poszedłem kawałek w górę rzeki i zacząłem się przyglądać pierwszej wyspie. Nie zauważyłem na niej żadnego ruchu, z czego wywnioskowałem, że prawdopodobnie nie ma tam nikogo. Zsunąłem się więc zwolna do wody, zanurzyłem się i popłynąłem na drugą stronę. Przybyłem tam szczęśliwie i wystawiłem najpierw tylko głowę po usta, aby zaczerpnąć powietrza. Znajdowałem się na górnym krańcu wyspy i tu zorientowałem się, że był jeszcze inny, lepszy sposób wykonania mego zadania, niż poprzednio myślałem.

Wyspa, przy której stałem teraz w wodzie, była tak samo jak tamta oddalona o dwadzieścia metrów od drugiego brzegu, gdzie przywiązano szereg łodzi indiańskich. Łodzie te mogły mi dać doskonałą osłonę. Zanurzyłem się więc znowu i podpłynąłem do pierwszej łodzi, potem do drugiej, trzeciej i tak dalej, dopóki pod szóstą nie zbliżyłem się do środkowej wyspy o tyle, że już objąłem ją wzrokiem.

Leżała bliżej lądu i pokryta była niskimi zaroślami; ponad nimi sterczały dwa drzewa. Jeńca i straży nie było widać. Już miałem się zanurzyć, by tam popłynąć, gdy wtem usłyszałem nad sobą, na wysokim brzegu jakiś hałas. Spojrzałem w górę. Z brzegu schodził Indianin. Był to Pida, czyli Jeleń, syn wodza. Szczęściem szedł skośnie w dół rzeki, tak że mnie nie widział. Wskoczył do czółna i powiosłował ku środkowej wyspie. Nie mogłem więc jeszcze teraz się przeprawić i musiałem zaczekać.

Wkrótce doleciały mnie głosy ludzi rozmawiających po drugiej stronie. Poznałem wśród nich głos Sama. Chciałem podsłuchać, o czym mówiono, i podpłynąłem pod następną pirogę, których było tyle, że chyba każdy mieszkaniec wsi miał jedną na własność. Wynurzywszy się, usłyszałem słowa syna wodza:

- Mój ojciec Tangua żąda tego!.

- Ani mi się śni zdradzić! - odrzekł Sam.

- W takim razie będziesz musiał wycierpieć dziesięć razy straszniejsze męczarnie!

- Nie bądź śmieszny! Sam Hawkens i męczarnie, hi! hi! hi! Twój ojciec spróbował już raz mnie zamęczyć, tam nad Rio Pecos u Apaczów. Wiesz, z jakim skutkiem?

- Ten pies, Old Shatterhand, zrobił z niego kalekę!

- Well! Podobnie stanie się tutaj. Nie boję się niczego!

- Jeśli to mówisz bez żartów, to obłąkanie zapanowało w twojej głowie. Jesteś uwięziony i nie zdołasz umknąć. Pomyśl, że całe twe ciało obwiązane jest rzemieniami tak, iż nie możesz poruszyć żadnym członkiem!

- Te więzy zawdzięczam zacnemu Santerowi, ale zupełnie mi z tym dobrze!

- Cierpisz ból, wiem o tym, ale nie przyznajesz się. Nie tylko masz skrępowane ręce i nogi, ale nadto przywiązany jesteś do drzewa, a czterej wojownicy pilnują cię we dnie i w nocy. Jakże uciekniesz?

- To moja rzecz, kochany młodzieńcze! Na razie podoba mi się tutaj, więc zaczekaj, dopóki nie zechcę odejść; wtedy już mnie nie zatrzymacie.

- Puścilibyśmy cię wolno, gdybyś nam wyjawił, dokąd on się udał.

- Tego nie zrobię. Rozumiem już wszystko. Zacny Santer opowiedział mi tę historię, by mnie nastraszyć, ale nic tym nie wskórał. Pojechaliście pod Nugget-tsil, aby pojmać Winnetou i Old Shatterhanda. Śmieszne! Pochwycić Old Shatterhanda, mojego ucznia, hi! hi! hi!

- Ale ty, jego nauczyciel, wpadłeś jednak w nasze ręce!

- To tylko dla rozrywki. Chciałem być u was przez kilka dni, bo was kocham, jeśli się nie mylę. Jeździliście nadaremnie, a teraz wam się wydaje, że Winnetou z Old Shatterhandem pobiegną za wami. Pierwszy raz słyszę taką niedorzeczność! Dziś widzicie, żeście się przeliczyli. Apacze nie przyszli, a wy nie wiecie, gdzie się znajdują, i ja mam wam powiedzieć, dokąd pojechał Old Shatterhand! Myślicie, że ja to wiem? Zresztą powiem ci otwarcie, że wiem.

- No, dokąd?

- Pshaw! Dowiesz się wkrótce i beze mnie, gdyż... Tu przerwał, ponieważ zastanowiły go głośne okrzyki, które się teraz podniosły. Słów, które krzyczano, nie rozumiałem niestety, ale brzmiały tak jak wówczas, kiedy ludzie wołają za zbiegiem: ”łapaj, trzymaj!” Rozróżniłem tylko powtarzane z rykiem imię Winnetou.

- Słyszysz ich, gdzie są!- zawołał Hawkens z triumfem. - Gdzie Winnetou, tam i Old Shatterhand.

Oni są tu, oni są tu!

Wrzask we wsi i odgłos kroków biegnących Indian zwiększył się jeszcze bardziej. Spostrzegli Winnetou, choć nie pochwycili go jeszcze. To pokrzyżowało moje rachuby. Widziałem, jak syn Tanguy stal wyprostowany na wyspie i patrzył na brzeg. Następnie wskoczył do swej pirogi i zawołał na czterech strażników:

- Weźcie strzelby do rąk i zabijcie każdą bladą twarz, gdyby się pokazała, by uwolnić jeńca!

Potem powiosłował ku brzegowi. Chciałem, o ile możności, oswobodzić Sama jeszcze dziś, ale na razie nie mogło być o tym mowy. Gdybym się nawet odważył rzucić na czterech czerwonoskórych, pociągnęłoby to za sobą natychmiast śmierć Sama. Strażnicy bowiem, posłuszni rozkazowi Pidy, zamordowaliby jeńca.

Wtem, zanim jeszcze Pida zdołał dotrzeć do brzegu, przyszła mi do głowy pewna myśl. Był to ulubiony syn wodza. Gdybym go dostał w swe ręce, mógłbym go potem wymienić na Sama. Był to plan wprost szalony, ale w tej chwili nie zważałem na nic. Chodziło tylko o to, żeby młodego wodza pochwycić niepostrzeżenie.

Jeden rzut oka przekonał mnie, że położenie moje było korzystne. Winnetou biegł ku Red River, a zatem w lewo, gdy nasz obóz znajdował się na wyspie po prawej stronie. Winnetou postąpił mądrze, gdyż w ten sposób wyprowadził w pole swych prześladowców. Za Apaczem brzmiały wrzaski ścigających go czerwonoskórych i w tamtą stronę, w którą on uciekał, zwrócili

twarze strażnicy Sama. Byli obróceni do mnie plecami, a oprócz nich w pobliżu nie było nikogo.

Syn Tanguy dotarł swą łódką do brzegu, chciał ją przywiązać i pośpieszyć tam, gdzie go wzywały wrzaski Keiowehów. Pochylił się, ale w tej samej chwili wynurzyłem się z wody tuż przed nim i jednym uderzeniem pięści rozciągnąłem go na ziemi. Wrzuciłem go do czółna, potem sam w nie skoczyłem i powiosłowałem w górę rzeki przy samym brzegu. Szalony pomysł udał się stosunkowo łatwo. Ze wsi nikt mnie nie widział, a strażnicy patrzyli jeszcze ciągłe w przeciwnym kierunku. Zabrałem się z całej siły do wiosłowania, aby jak najszybciej wydostać się poza obręb wsi. Potem, kiedy nie dosięgał mnie już blask jej ognisk, przepłynąłem na prawy brzeg Salt Fork, gdzie zemdlonego Indianina położyłem na trawie. Następnie odciąłem rzemień służący do przywiązywania łodzi, aby nim skrępować pojmanego, i pchnąłem łódź w dół rzeki, żeby mnie nie zdradziła. Związawszy silnie ręce Pidy, wziąłem go na barki i ruszyłem z powrotem ku naszej wyspie.

Był to trud nie lada. Nie dlatego, żeby chłopiec był dla mnie za ciężki, lecz dlatego, że przyszedłszy do siebie, nie chciał iść ze mną dobrowolnie. Musiałem mu kilkakrotnie zagrozić nożem. Broń oczywiście odebrałem mu już wcześniej.

- Ktoś ty? - zapytał w końcu z wściekłością. - Parszywa blada twarz, którą mój ojciec Tangua schwyta już jutro i zniszczy.

- Twój ojciec mnie nie dostanie, gdyż nie może wcale chodzić - odparłem.

- Ale ma niezliczonych wojowników, których wyśle za mną!

- Śmieję się z waszych wojowników; każdego z nich może łatwo spotkać to, co twojego ojca, gdy ośmieli się ze mną walczyć.

- Uff! Ty z nim walczyłeś?

- Tak.

- Gdzie?

- Tam gdzie padł, gdy mu posłałem jedną kulę w oba kolana równocześnie.

- Uff, uff! Więc ty jesteś Old Shatterhand? - zapytał przerażony.

- Jak możesz o to pytać! Któż oprócz mnie i Winnetou odważyłby się wejść w sam środek waszej wsi i porwać stamtąd syna wodza?

- Uff! Umrę więc, ale wy nie usłyszycie z ust moich ani jednego krzyku boleści.

- Nie zabijemy ciebie. Nie jesteśmy takimi mordercami jak wy. Jeśli twój ojciec wyda nam obie blade twarze, to puścimy cię wolno.

- Santera i Hawkensa?

- Tak.

- On ich wyda, bo syn więcej dlań wart niż dziesięć razy po dziesięciu Hawkensów, a na Santera wcale zważać nie będzie.

Od tej chwili nie wzbraniał się już iść ze mną. Przepowiednia Winnetou się sprawdziła, gdyż deszcz zaczął padać, i to tak obficie, że nie mogłem odnaleźć naszej wyspy. Wyszukałem więc dość gęsto pokryte liśćmi drzewo, aby zaczekać pod nim, dopóki deszcz nie ustanie lub nie nadejdzie świt.

Była to nudna próba cierpliwości. Deszcz nie ustawał, a dzień nie nadchodził. Pocieszałem się jedynie tym, że już nie przemoknę bardziej, niż przemokłem, ale wilgoć ta była tak zimna, że wstawałem kilkakrotnie, aby się rozgrzać gimnastyką. Żal mi było młodego wodza, który musiał leżeć bez ruchu, lecz on był o wiele bardziej zahartowany ode mnie. Nareszcie spełniły się oba moje życzenia; deszcz ustał i zaczęło świtać, tylko gęsta, ciężka mgła zawisła dokoła. Mimo to znalazłem już bez trudu miejsce na brzegu, którego w nocy szukałem. Zawołałem głośno:

- Halo!

- Halo! - odpowiedział natychmiast Winnetou. - Czy to mój brat Old Shatterhand?

- Tak.

- To chodź! Czemu wołasz? To niebezpieczne!

- Mam jeńca. Przyślij kilku dobrych pływaków i rzemienie.

- Płynę sam.

Jakże się ucieszyłem, że nie wpadł w ręce Keiowehów!

Niebawem ujrzałem jego głowę we mgle nad wodą. Wyszedłszy na brzeg i ujrzawszy Indianina, rzekł zdumiony:

- Uff! Pida, syn wodza! Gdzie go mój brat pochwycił?

- Na brzegu, niedaleko od wyspy Hawkensa.

- A Hawkensa widziałeś?

- Nie, lecz słyszałem, jak mówił z Jeleniem. Byłbym się może dostał do niego i nawet go uwolnił, gdy wtem ciebie odkryto i musiałem umykać.

- To był nieszczęśliwy przypadek. Dotarłem prawie do namiotu Santera, gdy wtem ukazało się kilku Keiowehów. Przechodzili tamtędy. Nie mogłem się zerwać i stoczyłem się na bok. Oni stanęli, a w czasie rozmowy jeden z nich rzucił okiem w tę stronę i wtedy ruszyli ku mnie wszyscy. Wobec tego musiałem oczywiście wstać i uciekać. Blask ognisk oświetlił moją postać i poznali mnie. Umykałem w górę zamiast w dół rzeki, aby ich wywieść w pole, przepłynąłem przez rzekę i uszedłem, ale Santera oczywiście nie widziałem.

- Zobaczysz go niebawem, gdyż ten młody wojownik zgodził się na wymianę siebie za Santera i Sama Hawkensa, a pewien jestem, że wódz zgodzi się na to także.

- Uff! To dobrze, to bardzo dobrze! Mój brat Shatterhand postąpił odważnie, nawet zuchwale, biorąc Pidę do niewoli, ale to było dla nas najlepsze.

Mówiąc, że Winnetou zobaczy wkrótce Santera, nie przypuszczałem, że stanie się to o wiele prędzej, niż sobie wyobrażałem.

Przywiązaliśmy jeńca między sobą tak, że barki jego dotykały naszych, a głowa, chociaż ręce miał skrępowane, została ponad wodą. Tylko nogami mógł nam pomagać w pływaniu.

Potem weszliśmy w rzekę. Pida nie stawiał oporu, a nawet gdy straciliśmy grunt pod stopami, zaczął płynąć z nami w tym samym tempie.

Na wodzie leżała tak gęsta mgła, że nie było widać dalej jak na sześć długości człowieka. Za to - jak wiadomo - we mgle

słyszy się lepiej. Byliśmy już niedaleko brzegu, kiedy Winnetou rzekł:

- Cicho, coś usłyszałem.

- Co?

- Coś jakby plusk wioseł powyżej nas.

- To zatrzymajmy się.

- Tak, słuchaj!

Poruszaliśmy się tylko o tyle, o ile to było potrzebne do utrzymania się na powierzchni, nie wywołując żadnego szmeru. Tak, Winnetou miał słuszność. Ktoś wiosłował z prądem wody. Było mu widocznie bardzo pilno, gdyż mimo silnego spadku, jaki rzeka tutaj miała, używał wioseł.

Zbliżał się szybko. Czy należało się pokazać, czy też nie? Mógł to być nieprzyjacielski zwiadowca, ale z drugiej strony nie bez znaczenia było dla nas przekonać się, kto to jest. Spojrzałem pytająco na Winnetou, a on zrozumiał mnie i odpowiedział:

- Nie wracać! Chcę wiedzieć, kto płynie! Nie zobaczy nas, bo leżymy na wodzie zupełnie cicho.

Można się było spodziewać, że nas nie dostrzeże, gdyż tylko głowy nasze wystawały nad wodą. Nie odpłynęliśmy więc z powrotem. Pida był tak samo zaciekawiony jak my. Mógł wprawdzie nas zdradzić wołaniem o pomoc, lecz nie zrobił tego, bo pewny był uwolnienia. Uderzenia wioseł zbliżały się i z mgły wychyliła się łódź indiańska. Siedział w niej... kto? Postanowiliśmy zachować się cicho, ale Winnetou, gdy zobaczył wioślarza, wydał donośny okrzyk:

- Santer!.. Ucieka!

Mój, zwykle bardzo spokojny, przyjaciel tak był podniecony widokiem swego śmiertelnego wroga, że uderzył gwałtownie rękami i nogami w wodę, aby się dostać do pirogi, zapomniawszy, że był przywiązany do mnie i do Pidy.

- Uff! Ja muszę popłynąć do niego... muszę go mieć! - zawołał i odciął nożem rzemień wiążący go z Pidą.

Santer usłyszał oczywiście okrzyk Winnetou; odwrócił się i zobaczył nas.

- Do wszystkich diabłów! - krzyknął przerażony. - Toż to oni...

I zatrzymał się. Wyraz przestrachu znikł z jego oblicza i ustąpił miejsca złośliwej radości. Zrozumiał nasze położenie, wrzucił wiosło do czółna, pochwycił strzelbę, wymierzył do nas i zawołał:

- Wy psy, to wasza ostatnia wyprawa!

Wypalił na szczęście w chwili, kiedy Winnetou uwolnił się od nas i w gwałtownych skokach sadził ku łodzi, a my wskutek szarpnięcia oddaliliśmy się od punktu, w który Santer wymierzył. Kula więc nas nie dosięgła.

Winnetou nie płynął właściwie, lecz skakał wprost po wodzie. Wziął nóż między zęby i leciał ku wrogowi w długich podskokach jak kamień odbijający się od wody przy tak zwanym opuszczaniu kaczek". Santer miał jeszcze kulę w drugiej lufie, wycelował do Apacza i zawołał szyderczo:

- Chodź tu, przeklęta czerwona skóro! Wyślę cię do wszystkich diabłów!

Zdawało mu się, że się z Indianinem prędko załatwi, że wystarczy pociągnąć za cyngiel! Ale pomylił się, gdyż Winnetou zanurzył się natychmiast, aby się wychylić pod łodzią i przewrócić ją. Gdyby mu się to udało, strzelba na nic by się nie przydała Santerowi, gdyż wpadłby do wody i doszło by do walki wręcz, w której Indianin, jako zręczniejszy, na pewno zostałby zwycięzcą. Morderca Inczu-czuny i Nszo-czi pojął to, odłożył czym prędzej strzelbę i chwycił za wiosło. Był to dla niego najwyższy czas. W sekundę później Winnetou wynurzył się z wody w tym miejscu, w którym łódź była przed chwilą. Santer już zaniechał strzelania. Kilku silnymi ruchami wioseł usunął się z niebezpiecznego sąsiedztwa wroga i krzyknął:

- Widzisz, psie, że mnie nie schwytasz? Kulę zachowam na następny raz!

Winnetou wytężył wszystkie siły, aby go dosięgnąć, ale na próżno. Żaden pływak, choćby nawet szampion światowy, nie dopędzi łodzi popychanej wiosłami po rwącej wodzie. To wszystko rozegrało się w ciągu niespełna jednej minuty, a mimo to, zaledwie Santer zniknął we mgle, ukazało się kilku Apaczów, którzy usłyszawszy głośne okrzyki i wystrzał, natychmiast

skoczyli z wyspy do wody. Zawołałem ich do siebie, żeby mi pomogli zanieść Pidę na wyspę i odwiązać ode mnie. W tej chwili ukazał się na brzegu Winnetou i zwrócił się do swoich ludzi ze słowami:

- Niechaj moi czerwoni bracia przygotują się prędko! Santer popłynął właśnie rzeką na czółnie i musimy ruszyć za nim.

Był tak wzburzony, jakim nie widziałem go nigdy przedtem.

- Musimy za nim wyruszyć, na pewno musimy - potwierdziłem. - Ale co się stanie z Samem Hawkensem i naszymi dwoma jeńcami?

- Tobie ich powierzam - odpowiedział.

- Więc mam tu pozostać?

- Tak. Ja muszę pochwycić Santera, mordercę mojego ojca i siostry, ale ty masz obowiązek wyswobodzić Sama Hawkensa, jako swego towarzysza; musimy się więc rozłączyć.

- Na jak długo?

Namyślał się przez kilka chwil i rzekł:

- Kiedy się zobaczymy, tego na razie nie wiem. Życzenia i wola człowieka podlegają woli Wielkiego Ducha. Sadziłem, że dłużej będę z moim bratem Old Shatterhandem, lecz Manitou się na to nie godzi. Chce, żeby się stało inaczej. Czy wiesz, dlaczego Santer umknął?

- Wyobrażam sobie. Nie wpadliśmy w nastawioną na nas pułapkę. Wczoraj wieczorem zobaczono cię we wsi. Keiowehowie wiedzą więc, że tu jesteśmy i nie spoczniemy, dopóki nie pochwycimy Santera i nie uwolnimy Hawkensa. Wobec tego Santera ogarnęła trwoga i zabrał się stąd, jak mógł najprędzej.

- Tak, ale może być jeszcze inaczej. Syn wodza zniknął, a Keiowehowie łączą to oczywiście z naszym pojawieniem się - przypuszczają, że dostał się w nasze ręce. Tangua się tym rozzłościł, wylał swój gniew na Santera, który wszystkiemu zawinił, i wypędził go ze wsi.

- I to możliwe. Widocznie Keiowehowie powiedzieli Santerowi, że nie będą go bronić.

- Ale dlaczego obrał drogę wodną, a wyrzekł się swojego konia?

- Ze strachu. Bał się spotkać z nami, a gdyby nawet do tego nie doszło, wiedział, że wpadniemy na jego trop i ruszymy za nim w pogoń. Dlatego umknął pirogą, którą zamieni pewnie potem na konia. Nie domyślał się oczywiście, że jesteśmy tutaj na wyspie i że właśnie dzięki jego ostrożności dowiemy się o tej ucieczce. Ujrzawszy nas, nie wątpi, że go zaczniemy ścigać, i będzie dzielnie wiosłował, aby jak najszybciej pędzić naprzód. Czy sądzisz, że go dościgniecie na koniach?

- To trudne, ale możliwe. Musimy przecinać zakręty rzeki.

- To właśnie byłby błąd. Zwracam na to uwagę mojemu bratu Winnetou.

- Dlaczego?

- Bo Santerowi może przyjść na myśl opuścić rzekę i uciekać dalej lądem. Ponieważ nie wiecie, na który brzeg wyjdzie, musicie się podzielić i jechać wzdłuż obu brzegów Red River.

- Mój brat ma słuszność. Uczynimy wedle jego wskazówki.

- Trzeba przy tym bardzo uważać, żeby nie przeoczyć miejsca, na którym on wyląduje, a to wam zabierze dużo czasu. Nie możecie także przecinać zakrętów rzeki, gdyż to, co dla jednej strony jest wklęsłością, dla drugiej stanowi wypukłość i gdy jeden oddział przecinałby łuk, drugi musiałby go okrążać. W ten sposób rozchodzilibyście się coraz bardziej.

- Jest tak, jak mówi mój brat, pojedziemy tedy wzdłuż wszystkich zakrętów rzeki. Szkoda nam więc teraz każdej minuty!

- Jakże chętnie przyłączyłbym się do was, ale muszę uwolnić Hawkensa, nie mogę go opuścić.

- Nie zażądam nigdy od ciebie niczego, co byłoby sprzeczne z twoją powinnością. Tobie z nami jechać nie wolno. Ale jeśli Wielki Duch zechce, zobaczymy się za kilka dni.

- Gdzie?

- Odjeżdżając stąd, udaj się tam, gdzie ta rzeka łączy się z Rio Bosco de Natchitoches. W miejscu gdzie obie rzeki zaczynają wspólny bieg, na ich lewym brzegu, czekać będzie jeden z

moich wojowników, oczywiście jeżeli spotkanie będzie możliwe.

- A jeżeli nie zastanę tam nikogo?

- W takim razie będzie to znak, że ciągle jeszcze ścigam Santera, że nie wiem, dokąd umknie, i nie mogę określić, gdzie mnie masz szukać. Udasz się więc ze swymi trzema towarzyszami do St. Louis, do bladych twarzy, które chcą budować drogę dla ognistego konia. Ale proszę cię, żebyś do nas powrócił, skoro tylko dobry Manitou ci na to pozwoli. Zawsze chętnie cię przyjmę w pueblu nad Rio Pecos, a gdyby mnie tam nie było, dowiesz się, gdzie mnie można znaleźć. Podczas naszej rozmowy Apacze przygotowali się do drogi. Winnetou podał rękę Parkerowi i Stone'owi, a następnie znów zwróciła się do mnie.

- Mój brat wie - rzekł - jak radowały się nasze serca, kiedy ruszaliśmy w drogę znad Rio Pecos, ale po drodze śmierć zaskoczyła Inczu-czunę i Nszo-czi. Jeśli kiedy nas odwiedzisz, nie usłyszysz już głosu najpiękniejszej córy Apaczów, która zamiast do miast bladych twarzy odeszła w krainę zmarłych. Teraz zemsta każe mi rozłączyć się z tobą, ale ty wrócisz do nas. Pragnę bardzo zostawić ci wiadomość nad Rio Bosco, gdyby to jednak nie nastąpiło, nie baw zbyt długo w miastach Wschodu, lecz przyjeżdżaj do mnie jak najszybciej. Wiesz, kogo mi masz zastąpić. Czy przyrzekasz powrócić szybko, mój kochany, drogi bracie Szarlih?

- Przyrzekam - odpowiedziałem. - Serce moje pójdzie za tobą, kochany bracie Winnetou.

Tobie także wiadomo, co obiecałem umierającemu Kleki-petrze. Dotrzymam słowa.

- Niechaj więc dobry Manitou kieruje wszystkimi twymi krokami i osłania cię na wszystkich drogach. Howgh!

Uścisnął mnie i ucałował, wydał swym ludziom krótki rozkaz i wsiadł na konia, by wjechać w wodę. Apacze podzielili się i jeden oddział ruszył prawym, a drugi lewym brzegiem rzeki. Patrzyłem za Winnetou, dopóki nie zniknął w mgle. Zdawało mi się, że tracę część mojej własnej istoty, i jemu na pewno równie

ciężko było rozstać się ze mną. Stone i Parker zauważyli moje rozrzewnienie, a pierwszy z nich rzekł w swój prosty, serdeczny sposób:

- Nie bierzcie sobie tego tak do serca, sir! Wkrótce znów spotkamy Apaczów. Pojedziemy za nimi, skoro tylko Sam będzie wolny. Nie będziemy zwlekali z wymianą jeńców. Jak zamierzacie to zrobić?

- Powiedzcie mi najpierw swoje zdanie, kochany Dicku. Macie więcej doświadczenia niż ja. Westman, któremu pochlebiła ta pochwała, pogładził brodę i oświadczył:

- Za najprostsze uważam posłać pojmanego Keioweha zaraz do Tanguy i donieść mu, gdzie się znajduje jego syn i pod jakim warunkiem puścimy go wolno. Cóż ty na to, stary Willu?

- Hm! - mruknął Parker. - Jeszcze nigdy nie miałeś tak głupiej myśli jak teraz właśnie.

- Głupiej! Ja? Do pioruna! Dlaczego głupiej?

- Jeśli wyjawimy, gdzie się znajdujemy, Tangua wyśle swoich ludzi, którzy odbiorą nam Pidę, nie dając w zamian Hawkensa, Ja zrobiłbym inaczej.

- Jak?

- Pojedziemy dobry kawał w głąb prerii, gdzie będziemy mieli przed sobą odkrytą przestrzeń, którą swobodnie obejmiemy wzrokiem. Potem wyślemy Keioweha i postawimy za warunek, żeby przyszło tylko dwu, a nie więcej wojowników, którzy przyprowadzą nam Sama, a wezmą sobie Pidę. Gdyby ich nadeszło więcej, by na nas napaść, zobaczymy ich z daleka i zabezpieczymy się przed nimi zawczasu.

- Ja bym radził podjąć coś pewniejszego i nie wysyłać żadnego posłańca - zauważyłem.

- Żadnego? W takim razie jakże Tangua się dowie, że jego syn...

- Dowie się.

- Od kogo?

- Ode mnie.

- Od was? Czy sami udacie się do wsi?

- Tak.

- Dajcie temu pokój, sir! To niebezpieczne. Zatrzymano by was natychmiast.

- Wątpię.

- Na pewno! Na pewno!

- W takim razie Pida byłby zgubiony. Nie widzę potrzeby posyłać jeńca i tracić w ten sposób jednego zakładnika.

- To słuszne. Ale dlaczego właśnie wy macie iść do wsi? Ja mogę także to zrobić.

- Wierzę bardzo, że nie brak wam do tego odwagi, sądzę jednak, że będzie lepiej, jeśli ja pomówię z Tangua.

- Zważcie, jaki jest na was wściekły! Skoro ujrzy mnie, zgodzi się prędzej na każdy warunek, natomiast złość go opanuje na wasz widok.

- Dlatego właśnie chcę z nim sam prowadzić układy. Niech się złości, że śmiem się przed nim pojawić, ale nic mi nie będzie mógł zrobić. Jeśli wyślę kogo innego, pomyśli, że się go boję, a pragnę uniknąć podobnego podejrzenia.

- Więc róbcie, co chcecie, sir! Gdzie mamy na was czekać? Tu na wyspie, czy też wyszukamy jakieś lepsze miejsce?

- Nie ma lepszego.

- Well! A biada naszym jeńcom, jeśli się wam we wsi co stanie! Postąpilibyśmy z nimi bez pardonu. Kiedy wyruszycie?

- Dzisiaj wieczorem.

- Dopiero? Czy to nie za późno? Przecież, gdyby dobrze poszło, moglibyśmy uporać się z wymianą do południa i ruszyć za Winnetou.

- A Keiowehowie za nami i wybiją nas.

- Tak sądzicie?

- Tak. Tangua chętnie wyda nam Sama za syna, ale odzyskawszy go, poruszy wszystko, aby zemścić się na nas. Dlatego wymiana musi nastąpić wieczorem, po czym odjedziemy, aby się w nocy oddalić, zanim nas zaczną ścigać. Zaczekać do wieczora dlatego jeszcze warto, że do tego czasu wzmoże się obawa wodza o syna. To go uczyni ustępliwszym.

- To prawda, ale jeśli nas tu przedtem spostrzegą, master Shatterhand?

- To także nic złego.

- Będą oczywiście szukali Pidy i mogą przyjść na wyspę!

- Na wyspę nie, bo zauważą pewnie na brzegu ślady Winnetou i pomyślą, że odjechaliśmy z Pidą. To jeszcze bardziej przerazi Tanguę. Słuchajcie no!

Zabrzmiały głosy ludzkie. Mgła się zaczęła podnosić odsłaniając brzegi, na których stało kilku Keiowehów. Wymieniali głośno uwagi o zauważonych właśnie śladach kopyt; potem zniknęli nie rzuciwszy okiem na wyspę.

- Oddalili się, było im widocznie bardzo pilno - rzekł Dick Stone.

- Udali się pewnie do wsi, aby donieść Tanguy o śladach. Wyśle on natychmiast oddział jeźdźców za tym tropem.

Przepowiednia ta ziściła się w niespełna dwie godziny. Po drugiej stronie ukazała się gromada jeźdźców i ruszyła za śladami. Nie było obawy, żeby ci Keiowehowie doścignęli Winnetou, gdyż ten niewątpliwie rozwinął przynajmniej taką samą szybkość jak oni. Rozmowę prowadziliśmy oczywiście po cichu, by nie usłyszeli jej jeńcy. Toteż nie wiedzieli oni, co się działo na drugim brzegu, gdyż leżeli skrępowani w trawie za zaroślami. Przed południem sprawiło nam niespodziankę słońce. Ogrzało nas, wysuszyło nasze ubrania i obozowisko i zwiększyło przyjemność odpoczynku, którego zażywaliśmy mając przed sobą czas do wieczora.

Po południu ujrzeliśmy na rzece jakiś przedmiot. Płynął ku naszej wyspie i zatrzymał się w nadbrzeżnych zaroślach, Była to piroga, w której leżało wiosło; rzemień, którym właściciel przywiązywał ją zwykle do brzegu był odcięty. Poznałem łódź, na której uwiozłem Pidę. Woda przyniosła ją z Salt Fork do Red River i dlatego tylko tak późno dotarła do wyspy, że po drodze zapewne gdzieś ugrzęzła. Przybycie łodzi było mi bardzo na rękę, wciągnąłem ją więc na wyspę, aby się nią posłużyć wieczorem i nie przemoknąć znowu podczas przeprawy przez rzekę.

O zmroku zepchnąłem łódź w wodę i powiosłowałem w górę rzeki. Stone i Parker odprowadzili mnie, życząc powodzenia.

Powiedziałem im, że wtedy dopiero byłby powód do obaw, gdybym nie wrócił do rana. Płynąć pod prąd było bardzo trudno i dopiero po godzinie skręciłem z Red River do Salt Fork. W pobliżu wsi przybiłem do brzegu i przywiązałem pirogę do drzewa rzemieniem, w który ją przedtem zaopatrzyliśmy.

Zobaczyłem znowu, tak samo jak wczoraj, płonące ogniska, siedzących przy nich mężczyzn oraz krzątające się kobiety. Sądziłem, że wieś będzie dziś pilnie strzeżona, ale omyliłem się.

Keiowehowie znaleźli ślady Apaczów, wysłali za nimi wojowników l zdawało im się, że są bezpieczni.

Tangua siedział dzisiaj także przed namiotem, lecz w towarzystwie tylko dwóch młodszych synów. Ze spuszczoną głową wpatrywał się posępnie w ogień. Znajdowałem się na lewym brzegu Salt Fork, na którym leżała wieś. Zacząłem się skradać od rzeki pod kątem prostym poza namiotami, dopóki nie zobaczyłem przed sobą namiotu wodza. Miałem szczęście, gdyż w pobliżu nie było nikogo, kto by mnie mógł zauważyć. Położywszy się na ziemi, poczołgałem się ku tylnej ścianie namiotu. Tam usłyszałem niską, monotonną pieśń skargi: to wódz opłakiwał indiańskim obyczajem stratę ulubionego syna. Posunąłem się dalej ku drugiej stronie namiotu, podniosłem się i stanąłem nagle tuż obok Tanguy.

- Dlaczego Tangua śpiewa pieśń skargi? - zapytałem. - Dzielny wojownik nie skarży się. Jęki przystoją tylko starym kobietom.

Nie podobna opisać, jak go moje ukazanie się przeraziło; chciał coś powiedzieć, lecz nie zdołał wydobyć z siebie ani słowa. Chciał się zerwać, ale musiał zostać na ziemi z powodu uszkodzonych kolan. Wytrzeszczył na mnie szeroko rozwarte oczy, jakby zobaczył widmo, i wyjąkał;

- Old… Old… Shat… Shat… uff, uff, uff! Skąd przychodzisz… jak jesteś… gdzie… Jesteście jeszcze tutaj? Nie odeszliście?

- Jestem jeszcze. Jak widzisz. Przybyłem, gdyż chcę z tobą pomówić.

- Old Shatterhand! - wypowiedział wreszcie całe moje nazwisko.

Usłyszawszy to obaj chłopcy uciekli.

- Old Shatterhand! - powtórzył raz jeszcze pod wpływem trwogi, po czym twarz jego przybrała wyraz wściekłości. Naraz krzyknął coś, zwróciwszy się do innych namiotów. Nie rozumiałem, co mówi, bo użył swego narzecza, lecz usłyszałem swoje imię. W chwilę potem zabrzmiało w całej wsi takie wycie, że mi się wydało, iż ziemia drży pod mymi nogami. Zewsząd przybiegli wojownicy z podniesioną bronią. Na to ja dobyłem noża i wrzasnąłem Tanguy do ucha:

- Czy Pida ma być przebity? On mnie tutaj do ciebie przysyła.

Pomimo wycia zrozumiał moje słowa i podniósł rękę. Ten ruch wystarczył, aby spowodować ciszę, ale Keiowehowie już nas otoczyli. Spojrzenia, którymi mnie po prostu pożerali, mówiły, że nie puszczą mnie żywcem. Usiadłem spokojnie obok Tanguy, popatrzyłem mu zimno w twarz i rzekłem:

- Między mną a Tangua panuje nieprzyjaźń na śmierć i życie. Nie jestem temu winien, ale też nic nie mam przeciwko temu. Czy się go boję, niech wywnioskuje z tego, że przyszedłem do jego wsi, by z nim pomówić. Załatwmy to krótko: Pida znajduje się w naszym ręku i powieszą go na drzewie, jeśli ja nie wrócę o oznaczonym czasie.

Ani jedno słowo, ani jeden ruch nie zdradziły wrażenia moich słów na stojących dokoła czerwonoskórych. Tylko oczy wodza zaiskrzyły się z wściekłości, że nic mi nie może zrobić nie narażając życia swego syna. Zgrzytając zębami, wykrztusił pytanie:

- Jak... jak... dostał się w wasze ręce?

- Byłem wczoraj tam na wyspie, kiedy rozmawiał z Samem, powaliłem go i zabrałem z sobą.

- Uff! Old Shatterhand jest ulubieńcom Złego Ducha, który go znowu obronił. Gdzie trzymacie mego syna?

- W miejscu bezpiecznym, o którym się teraz nie dowiesz! On sam ci to potem powie. Z tych moich ostatnich słów pojmujesz, że nie zamierzam Pidy zabić. Mamy u siebie jeszcze jednego Keioweha, wziętego do niewoli, wyciągnąłem go z cierniowych zarośli, w których nas podsłuchiwał. Będzie wolny razem z twoim synem, jeśli nam wydasz w zamian Sama Hawkensa.

- Uff! Dostaniesz go, tylko przyprowadź wpierw Pidę i wojownika Keiowehów!

- Przyprowadzić? Ani mi się śni! Znam Tanguę i wiem, że mu ufać nie można. Oddaję dwu za jednego, a więc postępuję wobec was nie tylko sprawiedliwie, lecz nawet bardzo łaskawie. Muszę od was za to zażądać, żebyście zaniechali wszelkich podstępów.

- Udowodnij mi wpierw, że Pida rzeczywiście się u was znajduje!

- Udowodnić? Co ty sobie wyobrażasz? Ja to powiadam, a więc to prawda. Old Shatterhand to nie Tangua. Pozwól mi zobaczyć Sama Hawkensa! Już go zapewne na wyspie nie ma, bo niewątpliwie boicie się, że tam już nie jest dość bezpieczny. Muszę się z nim porozumieć.

- O czym chcesz z nim mówić?

- Chcę się dowiedzieć z jego własnych ust, jak mu się u was powodziło. Od tego będzie zależało to, co potem nastąpi.

- Muszę wpierw zapytać o zdanie najstarszych wojowników. Oddal się do najbliższego namiotu, a potem usłyszysz, co postanowiliśmy.

- Dobrze! Ale nie ociągajcie się, gdyż jeśli mnie zatrzymacie poza oznaczony czas, Pidę powieszą.

Ten rodzaj śmierci jest dla czerwonoskórego najhaniebniejszy. Można sobie wyobrazić wściekłość Tanguy! Podszedłem do najbliższego namiotu i usiadłem na ziemi, otoczony, tak samo jak przedtem, wojownikami. Tangua zwołał swoich starszych wojowników do siebie i zaczął się z nimi naradzać. W każdej parze zwróconych na mnie oczu gorzał ogień, który tylko ze względu na Pidę nie stał się dla mnie zgubnym. Zauważyłem przy tym, że moja nieustraszoność zaimponowała Keiowehom. Po jakimś czasie wyprawił wódz jednego z wojowników, który zniknął w namiocie i wyprowadził zeń małego Sama. Zerwałem się i podbiegłem ku niemu. Ujrzawszy mnie, zawołał z radosnym triumfem:

- Dobra nasza, Old Shatterhand! Powiedziałem, że na pewno przyjdzie! Sprzykrzyło się wam bez starego Sama? Prawda?

Wyciągnął do mnie skrępowane ręce, aby się ze mną przywitać.

- Tak - odrzekłem. - Greenhorn przyszedł, aby wam oznajmić, że jesteście największym mistrzem w podchodzeniu. Złożyliście tego świetne dowody. Choćby wam gadać pół dnia, gdzie macie iść, wy zawsze polecicie w przeciwną stronę.

- Na wyrzuty będzie czas później, mój ukochany sir, teraz powiedzcie mi lepiej, czy moja Mary jeszcze istnieje?

- Jest u nas.

- A Liddy?

- Pukawka? Ocaliliśmy ją także.

- W takim razie wszystko dobrze, jeśli się nie mylę. Chodźcie, zabierajmy się stąd. Tu trochę nudno.

- Cierpliwości, cierpliwości, kochany Samie! Wam się zdaje, że to nic, że odejść stąd to dziecinna zabawka.

- To jest zabawka, ale istotnie tylko dla was. Ciekaw jestem, czego wy byście nie zdołali dokazać. Ściągnęlibyście mnie nawet z księżyca, gdybym się tam zabłąkał, hi! hi! hi!

- Śmiejcie się, śmiejcie! Miarkuję z tego. że się wam tu nieźle powodziło.

- Nieźle? Co wam przychodzi na myśl! Było mi dobrze, nadzwyczaj dobrze! Każdy Keioweh kochał mnie jak własne dziecko. Od ciągłych pieszczot, głaskań i całusów nie mogłem się pozbierać. Karmili mnie jak pannę młodą, a gdy chciałem spać, nic potrzebowałem się układać, bo stale leżałem na plecach.

- Czy kieszenie wam wypróżnili?

- Oczywiście. Wytrzęśli każdy proszek.

- Otrzymacie wszystko z powrotem, jeśli tylko coś ocalało. Zdaje się, że narada się już skończyła.

Oświadczyłem wodzowi, że dłużej czekać już nie mogę, jeżeli syn jego ma pozostać przy życiu. Wobec tego odbyły się krótkie wprawdzie, lecz bardzo energiczne układy, z których wyszedłem zwycięsko, ponieważ ani trochę nie ustąpiłem. Wódz obawiał się o syna. W końcu postanowiono, że czterej zbrojni wojownicy odprowadzą mnie i Sama w dwu łodziach i

odbiorą od nas jeńców. Na wypadek gdyby inni Keiowehowie próbowali udać się za nami potajemnie, zagroziliśmy śmiercią Pidy.

Żądałem właściwie wiele, domagając się wydania Sama. Mogłem towarzyszącym nam czterem Indianom wypłatać figla, ale uwierzono mym słowom i odtąd zawsze wierzono słowu Shatterhanda. Nie powiedziałem oczywiście, dokąd popłyniemy. Gdy Samowi rozwiązano ręce, podniósł je i zawołał:

- Wolny, znów wolny! Tego wam nigdy nie zapomnę, sir! Nigdy też nie popędzę w górę na lewo, jeśli wasze błogosławione nogi pobiegną na dół na prawo!

Kiedyśmy się wybierali w drogę, tu i ówdzie dały się słyszeć gniewne pomruki. Indianie złościli się strasznie, że muszą puścić wolno jeńca i mnie w dodatku, a Tangua syknął zwrócony do mnie:

- Do powrotu mego syna jesteś bezpieczny, ale potem puści się za tobą całe plemię. Znajdziemy twoje ślady i pochwycimy cię, choćbyś odjechał powietrzem!

Nie uważałem za stosowne odpowiadać na tę złośliwą groźbę i zaprowadziłem Sama oraz czterech Keiowehów do rzeki, gdzie po dwóch - ja oczywiście z Samem - wsiedliśmy do łodzi. W chwili gdy odbijaliśmy od brzegu i długo jeszcze potem, towarzyszyło nam wycie. Siedząc z tyłu przy sterze, musiałem Samowi opowiedzieć, co się stało od momentu, gdy go wzięto do niewoli. Żałował wprawdzie, że Winnetou musiał się z nami rozłączyć, ale nie skarżył się na to zbytnio, gdyż obawiał się wyrzutów Apacza...

Pomimo ciemności wylądowaliśmy szczęśliwie na wyspie, przyjęci radośnie przez Dicka Stone'a i Willa Parkera, którzy dopiero po moim odejściu uświadomili sobie w całej pełni ryzyko całego przedsięwzięcia.

Wydaliśmy obydwóch jeńców, którzy nie pożegnali nas ani słowem, i zaczekaliśmy, dopóki nie ucichły uderzenia wioseł wracającej pirogi. Następnie wsiedliśmy na konie i przeprawiliśmy je na lewą stronę rzeki. Należało tej nocy

ujechać sporą przestrzeń, toteż było nam bardzo na rękę, że Sam dość dobrze znał te strony. Hawkens podniósł się w strzemionach na swojej Mary, pogroził pięścią za siebie i powiedział:

- Teraz Keiowehowie wysilają głowy i radzą, jakby nas dostać w swoje przednie łapy. Ale ogarnie ich gorzkie zdziwienie! Sam Hawkens nie będzie już taki głupi i nie utknie w dziurze, z której by go greenhorn musiał wywlekać. Już mnie żaden Keioweh nie złapie, jeśli się nie mylę...

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
ROZDZIAŁ I GREENHORN
ROZDZIAŁ II KLEKI-PETRA
ROZDZIAŁ III WINNETOU W PĘTACH
ROZDZIAŁ IV DWA RAZY W WALCE O ŻYCIE
ROZDZIAŁ V ”PIĘKNY DZIEŃ”
ROZDZIAŁ VI WYSWOBODZENIE SAMA